



Adam Barcikowski

PIEKIELNA DALESTRA

GRANICA MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ
BYWA CIĘSZA, NIŻ CI SIĘ WYDAJE.
A MOŻE... PO PROSTU JEJ NIE MA?

NOVAE RES

Adam Barcikowski

DIEKIELNĀ DALESTRĀ



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

Prolog

I. Przejęcie

II. Dar na morzu i marmurowy obelisk

III. Mafijne porachunki w Radovii

IV. Ostatnie zlecenie Tatuśka

V. Sąd, bal i Maria Wisnowska

VI. Przeciek w Edenie

VII. Powstańcza Armia Podziemna

VIII. Przypadek Rumsztyka Szajloka

IX. Zagadka z Nowogrodzkiej

Część druga

I. Renifer znad jeziora duchów

II. Spotkanie z klientem w Piekło

III. Przeszłość Tatarów, czarownica i stare drzewo

IV. Na Powązkach

V. Powrót na step i dalej w drogę za końskim zadem

VI. Herbatka na polanie

VII. Stęskniony oficer, stary motocykl i głodny kot

VIII. Kontakt na strychu

IX. Wizyta u Kaczki

XI. Kolacja na Markotnej

XII. Przeniesienie

XIII. Motel Admirał

Epilog

CZEŚĆ PIERWSZA

*Nie widziałam Cię już od miesiąca.
I nic. Jestem może bledsza, trochę
śpiąca, trochę bardziej milcząca.
Lecz widać można żyć bez powietrza!*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

Książkę dedykuję Hieronimowi I'Nblanco

PROLOG

Przez kosmiczne przestrzenie, wypełnione prehistoryczną, niezbadaną i wiecznie zajęętą ważnymi sprawami pustką, płyną dwie połówki orzecha. Nikt do tej pory nie zastanawiał się, skąd się wzięły ani dokąd zmierzają. Nikt nie zbadał, jakich są rozmiarów. Nie zostały również sklasyfikowane przez astronomów, zarówno profesjonalnych, jak i amatorskich.

Ci, którzy widzieli to zjawisko w snach, twierdzą, że to jakiś roztargniony astronauta, może przedstawiciel starożytnej cywilizacji, dawno zapomnianej przez gwiazdy, wyciągnął go w trakcie kosmicznego spaceru, szukając niefrasobliwie śrubokręta w kieszeni kombinezonu.

Inni z kolei twierdzą, że to jakaś gigantyczna wiewiórka, żyjąca w koronach drzew z czarnej materii, zakopała go w czeluściach międzyplanetarnych przed zimą, a potem, jak wszystkie wiewiórki w znanym wszechświecie, zapomniała o nim.

Bez względu na to, która wersja jest bliższa prawdy, Orzech nie wykiełkował i nie zamienił się w majestatyczne drzewo, jak powinien zrobić szanujący się orzech, gdy osiągnie pewny wiek. Może to z powodu braku wody w stanie ciekłym w otwartej przestrzeni kosmicznej albo dobrej gleby korzenie nigdy nie przebiły się przez twardą skorupę?

Tego nie wiadomo.

Wiadomo jednak, że ten konkretny Orzech, oblepiony miniaturowymi kraterami i zmrożony kosmicznym chłodem, zamiast zachowywać się, jak na orzecha przystało, popłynął w czarną pustkę na spotkanie przygodzie i przeznaczeniu. Jakby tego było mało, gdzieś po drodze, na poboczu kosmicznej autostrady, uderzył go pędzący kosmiczny odłamek i spowodował typowe dla orzechów pęknięcie wzdłuż wrażliwego obwodu skorupy. Dlatego Orzech prowadził dalej swoją podróż rozdzielony na dwie Połówki, z Owocem krążącym wokół niego jak księżyc, pofałdowanym niczym kora mózgu niektórych gatunków zwierząt. Wszystko to działo się naturalnie, zgodnie z zasadami grawitacji, niezmiennymi dla wszystkich obiektów we wszechświecie.

Gdyby ktoś był dostatecznie cierpliwy, zobaczyłby, jak obie Połówki obracają się powoli i majestatycznie wokół własnej osi, z Owocem krążącym wokół nich po zmiennych orbitach. Kosmiczne odłamki i miniaturowy gwiazdny kurz osiadły na powierzchni Połówek, tworząc stopniowo coś, co zaczęło bulgotać. Stało się to zaraz po tym, jak Orzech

wszedł na orbitę jednej z młodych, aspirujących gwiazd o błękitnym świetle i obiecujących zdolnościach grzewczych.

W skali kosmicznej nie trwało to długo, nim błękitna gwiazda usłyszała pierwszy kwik, pisk i krzyk. Zdziwiona tym nagłym rwetesem przygasła nawet na moment, co skutecznie uciszyło dziwne odgłosy i spowiło powierzchnie Połówek lodową czapą. Po chwili jednak przypomniała sobie, jak powinno zachowywać się porządne Słońce i zapłonęła na nowo, potężnie i ciepło. W końcu jest obiektem westchnień i tęsknoty świadomości. Nie może sobie przygasać jak byle żarówka.

Bulgot, szum i rwetes wszczęły się na nowo. I wtedy, po kilkudziesięciu milionach obrotów Orzecha wokół Słońca, jakiś głos krzyknął: „Eureka!”. Pełen odkrywczej euforii wrzask odbił się od Owocu, przepływającego właśnie nad jedną z Połówek, która już jakiś czas temu zazieleniła się, a jej wgłębienia zapełniły się błękitną cieczą. Odbity okrzyk wpadł pomiędzy dwie Połówki, skierowane do siebie pustymi, martwymi wnętrzami, denerwując śpiące duchy zmarłych i poleciał w kosmiczną pustkę na spotkanie z nieskończonością.

A przynajmniej tak myślał w twórczym przypiływie romantyzmu, dopóki nie uderzył w przelatującą kometę i nie powrócił. Trafił na drugą Połówkę, wpadając prosto w umysł włochatego dzikusa, zgarbionego nad nędzną kupką patyków.

Dziki nagle poczuł, że chrust jest interesujący w nieodkryty do tej pory sposób. Podobnie zaczęła mu się przedstawiać sprawa związana z zastosowaniem dwóch suchych patyków, trzymanyh do tej pory bezmyślnie w kosmatych łapach. Uderzony nagłą iskrą świadomości małpolud spojrział na oba kawałki drewna, marszcząc wystające brwi. Po chwili namysłu i rozważeniu wszystkich dostępnych opcji podrapał się jednym kijem po plecach. Jego rozjaśniający się wzrok spoczął znów na kupce chrustu. Wykrzykując ku nieboskłonowi pełne triumfu pomruki i charknięcia, wiercony zdziwionymi spojrzeniami pozostałych dzikusów, którzy na moment oderwali się od ogryzania kości zdechłego lemozaura, odkrywca zaczął zaciekle i z determinacją pocierać jednym patykiem o drugi.

Po chwili wąska stróżka dymu zaczęła triumfalnie wznosić się ku niebieskiemu Słońcu.

I. PRZEJĘCIE

Tymczasem... albo raczej należałoby powiedzieć, że innym czasem, później lub wcześniej. A to dlatego, że nie było nikogo, kto by policzył upływ ziemskich sekund nakreślonej tu sceny albo chociaż ten czas wymyślił...

A więc... W innym czasie, w innej przestrzeni i zupełnie odmiennej astralnej, kosmogonicznej płaszczyźnie rzeczywistości, a na pewno miliardy kilometrów od Połówek, dokładnie na skrzyżowaniu pięćdziesięciu dwóch stopni szerokości geograficznej północnej oraz dwudziestego pierwszego stopnia długości geograficznej na wschód od Greenwich, na pewnej błękitnej planecie, błysnęła jasna iskra świadomości. Zaraz za nią błysnęły w miejskim półmroku reflektory czarnej limuzyny.

- Łapać gnoja! - rozległ się niski, złowróżbny krzyk.

Jay zastanawiał się, co właściwie zaszło. Wrzask z ciemności wśliznął mu się do uszu, a po chwili

z zadziwiającą prędkością przeszedł przez cały system nerwowy i pchnął chłopaka do szaleńczej ucieczki.

Rozległy się warkot silnika i pisk opon. Jay skręcił gwałtownie w prawo, w boczną uliczkę. Światło reflektorów błysnęło za plecami chłopaka, rozświetlając wąską uliczkę. Silnik wchodził na coraz wyższe obroty.

Mężczyzna skoczył w lewo. Jednym susem pokonał niski murek i pomknął przez ciasne podwórko. W dłoni ścisnął paczuszkę zabraną dilerowi. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego to zrobił. Po prostu w pewnym momencie jego pięść znalazła się na twarzy łysola. Następnie Jay wyrwał narkotyki...

Gdzieś z tyłu zapiszczały opony i trzasnęły drzwi samochodu. Słysząc krzyki i tupot ciężkich butów.

- Złapcie go! - zawołał mężczyzna, który najwyraźniej rościł sobie prawo do dowodzenia pościgiem.

Chłopak skręcił w najbliższą bramę i wypadł na ulicę. Usłyszał klakson hamującej taksówki. Jay podskoczył w ostatniej chwili i przetoczył się po masce samochodu. Zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Teraz albo nigdy. Niewiele myśląc, rzucił się do drzwi najbliższej kamienicy. Otwarte. Wpadł do środka, zatrasnął za sobą drzwi, znalazł zasuwę i zamknął w dwóch miejscach.

Trzech ogolonych na łyso drabów wypadło przez bramę na jezdnię. Spojrzeli w lewo, a potem w prawo, w tym samym momencie, jednym ruchem jak na rozkaz. Ulica była pusta,

jeżeli nie brać pod uwagę jednego pijaka, który podpierał ścianę i taksówki odjeżdżającej w kierunku Marszałkowskiej. Chwila dogłębnej analizy wystarczyła, żeby mężczyźni stwierdzili, że alkoholik nie jest ich celem. Taksówka również. Dwóch drabów spojrzęło z nadzieją na najniższego w grupce, sierżanta.

W pełnej napięcia ciszy rozległa się wesoła melodyjka.

- Macie go? - rozległ się wściekły głos.

- Nie. Chyba zwiął - odparł niepewnie sierżant.

- Jak to zwiął?!

Policjant odsunął telefon od ucha z grymasem zniesmaczenia. Dwóch pozostałych spojrzęło na siebie z przerażeniem. Sierżant starał się uspokoić swoich podwładnych gestem dłoni.

- Nie ma go - wyjaśnił spokojnie do słuchawki.

- Łysy, uważaj sobie, żebym ja ciebie zaraz nie zniemał!

- warknął głos w telefonie.

- Proszę? - zapytał uprzejmie sierżant.

- Proszę to ja twoją matkę o wyjście nad ranem, bucu leniwy, tupa, łysa pało! - Sierżant ponownie odsunął telefon od ucha i pozwolił, aby stek przekleństw wyciekł ze słuchawki w zapyłony eter wczesnowiosennej, miejskiej nocy. - Gdzie jesteście?

Sierżant skinął pytająco w kierunku podwładnych, ale napotkał tylko irytujące, puste spojrzenia. Westchnął cicho i wyteżył wzrok, żeby odnaleźć jakąkolwiek wskazówkę. Zawiesił spojrzenie na ścianie naprzeciwko. Na odrapanym tynku, pomiędzy zaniedbanymi framugami niewątpliwie

zabytkowych drzwi kamienicy, wisiała niebieska tabliczka z białym numerem.

- Nowogrodzka czternaście - powiedział do słuchawki.

Jay wyjrzał przez okno na klatce schodowej. Po przeciwnej stronie ulicy stało trzech łysoli z grupy pościgowej. Jeden z nich, najniższy i według Jay'a charakteryzujący się niewątpliwie przywódczą aurą, rozmawiał przez telefon. Dwaj pozostali, nowocześni wojownicy ulicy, wyglądali na nieco spanikowanych.

Po chwili wypełnionej nerwowym oczekiwaniem przywódca drabów uderzył kciukiem w telefon, wepchnął go do ciasnej kieszeni skórzanej kurtki i skinął głową na swoich podwładnych. Dwaj siepacze załapali dopiero po chwili.

Ruszyli w poprzek ulicy. Jakiś samochód nadjechał od strony Kruczej i z piskiem opon zahamował przed grupą pościgową. Rozległ się klakson. Jeden z drabów wyciągnął coś z kieszeni i wycelował dłonią w kierowcę. Zgrzytnęła skrzynia biegów, silnik zawarczał i samochód pośpiesznie się wycofał.

Jay poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Przyczyną jego rosnącego przerażenia nie była scena z prezentacją broni palnej, która właśnie miała miejsce na środku ulicy Nowogrodzkiej, w samym centrum miasta, w europejskiej, cywilizowanej stolicy, jak uważali niektórzy. Trzech oprawców nieuchronnie zmierzało w stronę bramy.

Jego bramy! Czemu akurat tutaj? Jakim cudem? Przecież nie mogli go widzieć! Był szybszy! A może nie był?

Myśli biegły wokół wewnętrznej strony czaszki. W końcu jedna wyrwała się i Jay uderzył otwartą dłońią w czoło. Przecież wbiegł do pierwszych drzwi na wprost od bramy. Gdzie mieliby zacząć poszukiwania, jeśli nie tutaj?

Mężczyzna rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegokolwiek wsparcia. Przed sobą miał mroczny korytarz, po lewej stronie od schodów troje drzwi, zapewne prowadzące do opuszczonych mieszkań. Niestety wszystkie były ostentacyjnie zabite deskami lub co najmniej zapięte grubymi kłódkami, już na pierwszy rzut oka nie pozostawiały nadziei.

Rozległo się głucho uderzenie. Jeden z drabów uderzał właśnie mięsistym barkiem w bramę.

Jay chciał biec wyżej po drewnianych stopniach, byle dalej od pościgu, lecz nagle zobaczył drzwi. W odróżnieniu od pozostałych znajdujących się na tym samym poziomie nie były ani zabite deskami, ani zablokowane łańcuchem z potężną kłódką. Perfekcyjnie normalne, a nawet, co stwierdził, gdy zbliżył się do nich z rosnącą w sercu nadzieją, lekko uchylone.

Natychmiast otrząsnął się z szoku, szarpnął za obluzowaną klamkę i wpadł do środka.

Zamknął za sobą drzwi do mieszkania. Obmacał je jeszcze w poszukiwaniu zamka albo chociaż zasuwki, ale nic nie

znalazł. Wydawało się, że zamykają się od środka tylko na klucz.

- Witaj, Aleksandrze - rozległ się głos za jego plecami.

- Kto tu jest? - szepnął przerażony prosto w ciemność, przedzieloną wąskimi paskami poświaty ulicznych latarni. Obrócił się gwałtownie. Światło padło mu na twarz. Kurz unosił się w powietrzu i falował delikatnie, niczym rzęsa na powierzchni spokojnego jeziora. - Kto tu jest? - powtórzył Jay.

Szybko przekalkulował w głowie dostępne możliwości działania, szczególnie porównanie potencjalnej szkodliwości nieznanego głosu do trzech łysych oprawców, po czym nie zastanawiając się dłużej, ruszył wzdłuż wąskiego korytarza, w kierunku mrocznego wnętrza mieszkania.

Pod stopami zachrzęściło rozbite szkło. Ściany korytarza były pokryte bezbarwną, poszarpaną tapetą. Jay minął wejście do jakiegoś bocznego pomieszczenia. Zerknął tylko do wnętrza, ale nie sprawiało dobrego wrażenia. W środku znajdowały się wyłącznie wąska kanapa i niska komoda.

Ruszył dalej.

Uspokojone chwilowo myśli Jay'a sięgnęły do pokładów pamięci krótkotrwałej. Minęły półeczki z nagraniem głuchego damskiego głosu, który na razie uznały za zwidy spanikowanego umysłu, po czym zatrzymały się przy fragmencie biblioteczki z zapisanymi zwojami wydarzeń sprzed ostatniej godziny.

Był piątek, to pamiętał dobrze. Właśnie zaczął się nowy semestr na uczelni i znajomi z polibudy zorganizowali imprezkę. Przyszli zarówno kumple z jego kierunku, znajomi z balistyki na Wacie, jak i inni ludzie, których Jay nie do końca kojarzył.

Pojawiła się tam również Alicja. Tak, chyba tak miała na imię. Nigdy wcześniej jej nie widział. Z pewnością by pamiętał.

Dziewczyna była śliczna. Niewysoka, o długich blond włosach, z ogromnymi, zielonymi oczami. Miała na sobie czerwoną sukienkę, opiętą na biodrach, która prezentowała jej idealne kształty... Przeszedł go dreszcz na samo wspomnienie. Z jakiegoś powodu dziewczyna wykazała zainteresowanie osobą ani niezbyt przystojnego, ani niezbyt towarzyskiego Jay'a. Nie zastanawiał się jednak nad tym dogłębnie i gdy Alicja zaproponowała, że może przeniosą się do jakiegoś lokalu, żeby wspólnie kontynuować ten miły wieczór, Jay zgodził się bez wahania.

A potem wydarzenia potoczyły się szybko. Za szybko.

Obrazki w skrytce jego pamięci pokazywały się niewyraźnie. Jakiś pub, uśmiech czerwonej sukienki, żądanie ze strony dziewczyny i zdradziecki impuls wychodzący z lędźwi, pchający go nieuchronnie do spełniania wszystkich jej zachcianek. Potem ulica, mdłe światło latarni i śmieszny, pająkowaty cień na asfalcie, dziwne, że właśnie to zapamiętał z tego wydarzenia. Minął drabów palących szlugi przy czarnym bmw.

Tak, teraz pamięta. Dziewczyna chciała działkę. Jay usiłował wyblagać ją od dilera. Nie miał pieniędzy. Był w końcu tylko ubogim studentem. Po chwili wyszedł za handlarzem z lokalu. Pamięta, że diler skinął w stronę bocznej szyby auta.

Cichy, lekko zachrypnięty głos czerwonej sukienki szeptał Jay'owi do ucha słodkie słowa zachęty, płonące kuszącą obietnicą spełnienia. Słyszał jej śmiech, gdy podnosił z ziemi kawałek betonu. Szeptwała, gdy zderzał beton z czaszką dilera. Płonęła, gdy złapał za paczkę z prochami.

A potem był bieg i chaotyczna ucieczka...

Zza drzwi dobiegły nerwowe krzyki. Po chwili rozległ się huk wyważanych drzwi. Jay myślał gorączkowo i bezładnie. Gdzieś na dnie podświadomości mały człowieczek huczał przez megafon: „Proszę zachować spokój!” Powinien go słuchać, wiedział o tym, ale nie umiał. Rzucił się w głąb mieszkania. Zauważył w kącie wielką, dębową szafę. Ruszył w jej kierunku, ale potknął się o zawinięty dywan i wpadł na drewniane drzwi. Drżącymi dłońmi wyszukał klucz. Przekręcił go w zamku i z niejakim zdumieniem usłyszał zbawienny zgrzyt. Mroczne wnętrze potężnej szafy wyjrzało na zaniedbany pokój i zlustrowało chudą, mizerną sylwetkę Jay'a.

- Witaj, Aleksandrze - powiedział głuchy głos zza jego pleców. - Przyszedłeś, ukochany, nie zdradziłeś mnie, prawda?

Przed nim stała kobieta. Miała na sobie zwiewną, białą sukienkę. Gęste, czarne loki okalały jej twarz o dziewczęcych rysach. Spoglądała na Jay'a wielkimi, orzechowymi oczami, przekrzywiając na bok głowę i uśmiechała się kącikiem ust.

- Dzień dobry, mówią na mnie Jay - odparł chłopak po chwili bezmyślnej ciszy.

- Jakiś ty formalny, Aleksandrze - odezwała się kobieta, wyciągając do niego dłonie. - Przecież to ja, twoja Maria. - Ruszyła powoli w jego stronę. Była bosa, ale nie poruszała nogami. Wydawało się, że sunie tuż ponad podłogą z krzywych, dębowych klepek. Światło, przeciskające się z zaciekawieniem do pokoju przez deski na oknach, zdawało się gromadzić na jej ramionach i ściekać w dół, niczym woda po płaszczu przeciwdeszczowym. Albo kaczym kuprze, pomyślał Jay. Uśmiechnął się i dopiero wtedy to zobaczył...

Poruszało się w obrzydliwie organiczny sposób. Znajdowało się dokładnie na piersi Marii i wyglądało z czerwonej dziury. Serce.

- Bardzo mi miło - wystękał z trudem, nie mogąc oderwać oczu od bijącego serca. - Jestem Jay - dodał.

Cofnął się jeszcze kawałek i poczuł pod piętami krawędź szafy. Maria spojrzała na niego z nagłym zdziwieniem na ślicznej twarzy.

- Dzeji? - zapytała z nienaturalnym akcentem. - Cóż to za nowe przezwisko? A gdzie jest Aleksander?

- Eeee... - jęknął chłopak. - Nie wiem, proszę pani. Może to któryś z tamtych? - zaproponował i skinął głową w stronę korytarza, skąd było słychać walenie w drzwi.

Kobieta patrzyła na niego jeszcze przez chwilę nic nierozumiejącym spojrzeniem, po czym nagle zmarszczyła brwi.

- Oszukałeś mnie - powiedziała znów tym samym, głuchym głosem.

- Nie... ja...

- Zdradziłeś mnie! - zawołała i poderwała w górę ramiona. Jednocześnie cała jej sylwetka oderwała się od podłogi i nagle zapłonęła żywym ogniem. Krzyk odbił się echem od ścian pokoju, jakby znaleźli się w jakiejś olbrzymiej, pustej i mrocznej jaskini, a nie w starym mieszkaniu w zapuszczonej kamienicy.

- Ale... - stęknął.

Maria przemieściła się momentalnie i znalazła się tuż przy jego twarzy. W oczy błysnął mu naszyjnik, który nosiła na piersi. Srebrny liść.

- Jesteś mój - szepnęła.

Stracił grunt pod nogami i wpadł do wnętrza szafy, wydając z siebie tylko głuchy, krótki okrzyk. Maria wpadła za nim.

Drzwi zatrzasnęły się, jakby ktoś szarpnął je od środka. Klucz przekręcił się w zamku i zniknął w jego wnętrzu. W pokoju ciemność tańczyła z pyłem wznieconym z podłogi stary, bardzo stary taniec. Tak pierwotny, że nawet nie wypada o nim mówić.

A czas poderwał, otrząsnął się i pobięł przed siebie jak szalony.

II. DAR NA MORZU I MARMUROWY OBELISK

Dużo później, po upływie wielu miliardów milisekund i niezliczonej liczby godzin deszczowych i minut słonecznych, zerwanych znajomości i rozpalonych miłości, po milionach narodzin, śmierci, odnów i zapewne wielu, ale to bardzo wielu filiżankach wypitej w spokoju herbaty, gdzieś w kosmosie, w ciemności i pyle błysnął płomień.

Zapłonął niedbale, niemal od niechcienia. Westchnął z zachwytem i posłał w kosmos iskrę świadomej inteligencji, która poszybowała hen w przestworza, zmieniając przy okazji życie wielu skrzydlatych stworzeń, obok których przemknęła, nie zważając już na nic. Iskra zauważyła ich trud, wykształciła skrzydła, pomyślała, a następnie świadomość inteligencji, największa rzecz we wszechświecie (jeśli nie liczyć Pałacu Kultury i Nauki

w Warszawie) skierowała ku niebiosom rozmarzone spojrzenie.

- Boże... - powiedziała inteligencja w pełnej egzaltacji chwili. Następnie wychyliła się za burtę i zwróciła śniadanie.

Maurycy Wielowieyski zawsze uważał, że potęga ludzkiego umysłu może działać cuda. Może nie dosłownie, bo nie wierzył w cuda jako takie. Używał tego pojęcia, żeby odpowiednio zmieścić swoje myśli w ramach powszechnego sposobu pojmowania rzeczywistości. Z tego powodu u ateisty, za którego uważał się z całą pewnością Maurycy, określenie, że potęga umysłu może działać cuda, należy uznać za dopuszczalne, pomimo teologiczno-filozoficznej absurdalności, która się za tym kryje.

Wielowieyski uznał więc, że umysł ludzki, efekt milionów, jeśli nie miliardów lat ewolucji, potrafił działać cuda. To znaczy, że przy jego wykorzystaniu ludzie potrafili przywoływać do rzeczywistości przedmioty, rozwiązania lub po prostu... rzeczy, które zanim powstały, jeśli w ogóle były rozpatrywane, to w kategoriach cudowności.

Maurycy podziwiał potęgę rozumu: postęp techniczny, wynalazki, w tym również smartfony, podróże kosmiczne, medycynę utrzymującą przy życiu ludzkie ciała, które w innych okolicznościach powinny być martwe i gnić gdzieś pod ziemią, mieszać się z biosferą. Jako Zmorak musiał naturalnie czasem naprawiać negatywne konsekwencje tej

swoistej nadświadomości, pchającej ludzi do ciągłego postępu, ale generalnie ją podziwiał, tak jak strażaka może zachwycić potęga ognia.

Jednego jednak nie był w stanie pojąć. Po co ludzie pchają się na morze? I dlaczego przy całej nieskończonej perfekcji wszechświata statki muszą się bujać?

- Boże... - jęknął i ponownie wychylił się za burzę, zwracając resztki jajecznicy, którą z braku doświadczenia pochłonął zachłannie przed niespełna dwiema godzinami. Pogoda od początku rejsu była spokojna, a teraz co? Przeszkadzało to komuś? Ktoś narzekał?

- Chłopie, zgubiłeś zegarek? - zapytał bosman. Stał nieopodal, przy maszcie. Zarechotał rubasznie i klepnął w plecy oficera stojącego obok. - Już popłynął do Neptuna, raczej go nie znajdziesz.

- Może obrączka mu wypadła? - zaproponował oficer. - Jakoś bardzo gorliwie jej wypatruje. Człowiek nie narażałby się tak dla zwykłego zegarka. Przecież to musi być strasznie niewygodne, tak wisieć przy tym przechyle.

Obaj przyglądali się z obojętną satysfakcją dramatycznej walce Maurycego oparci plecami o nadbudówkę. Z wprawą amortyzowali na ugiętych kolanach narowiste podskoki podkładu.

Maurycy uniósł głowę i spojrzał na nich przez załzawione oczy.

- Co jest? Nie ma? - zapytał bosman słodkim głosem.

Pomimo porywistego wiatru, pchającego ponad pokładem strugi wody, bosman miał na sobie biały

podkoszulek bez rękawów, odsłaniający imponujące mięśnie, oraz poszarpane jeansy. Z tłącym się smętnie papierosem w zębach wyglądał dokładnie tak, jak w opinii każdego szczura lądowego powinien wyglądać bosman. Taki, o którym opowiadają szanty albo reklamy piwa.

- Chodź, młody, zejdziemy do mesy, dostaniesz suchary - zaproponował oficer. Uśmiechał się lekko, a jego pociągła, przystojna twarz przybrała wyraz szczerzej troski o początkującego adepta sztuki żeglarskiej.

- Dobra - powiedział Maurycy, nie puszczając relingu.

Zebrał całą siłę woli i już miał wykonać mężny skok ku nadbudówce, gdy usłyszał uderzenie. Pokład gwałtownie się uniósł, lecz po chwili zaczął powoli opadać. Bosman przesłonił ramieniem twarz z papierosem. Pierwszy oficer obrócił się plecami i wtedy nadleciała woda. Huknęła w Maurycego, przewracając go na śliski pokład. Mężczyzna nie puszczał jednak relingu. Usiłował się podnieść, gdy żaglowiec napotkał kolejny wybój. Zawartość żołądka podeszła pod samo gardło. Zmorak nadał policzki i szarpnął się przez reling, składając pradawny ukłon bogom morskich głębin, przy wtórze ryku godnego, dorodnego samca morskiego lwa.

- Masz, golnij sobie. To ci pomoże. - Pierwszy oficer podał Maurycemu piersiówkę. - No, już, pij, póki stary nie

widzi. Gotów nas wysadzić na Bornholmie i zostawić, jak przyłapie.

- Dzięki - burknął Maurycy, odbierając naczynie. Pociągnął łyk. Po chwili poczuł, jak palący strumień alkoholu spływa prosto do żołądka, spychając w najmroczniejsze kąty narastającą znów falę mdłości.

- No! - Oficer kiwnął głową z zadowoleniem. Schował pierśówkę do wewnętrznej kieszeni sztormiaka i oparł się o pikowane, płaskie poduszki na siedzisku w messie oficerskiej. - Pierwszy raz na Darku? - zagadnął po chwili niezręcznej ciszy.

Maurycy skinął głową, mrużąc oczy.

- Nie jesteś z Akademii - stwierdził bardziej, niż zapytał, oficer. - Pewnie, że nie. Za stary jesteś.

Zabytkowa, naftowa lampa w mosiężnej, błyszczącej oprawie kiwała się pod niskim sklepieniem messy, oświetlana jaskrawym płomieniem elektrycznych żarówek.

- Adam jestem - powiedział oficer, wyciągając do Maurycyego dłoń ponad stołem.

- Maurycy. Maurycy Wielowieyski, Zmorak.

- Kto?

- Zmorak.

- Taka ksywa? - zapytał. - Dziwna. Ale niech będzie. Mnie kiedyś nazywali Łoniak - przyznał. - Mało chlubna ksywka i zapewne zastanawiasz się, po co ci to mówię.

- Nie.

- Co?

- Nie zastanawiam się nad tym.

- Aha - zmieszał się pierwszy oficer. - Jesteś w mojej wachcie, prawda? Stary mówił, że masz jakieś specjalne zadanie i żebym cię za bardzo nie zajmował robotą na pokładzie. Co to za zadanie, jeśli można wiedzieć? Fotograf? A może tajny inspektor?

Maurycy milczał. Dar Młodzieży był olbrzymim żaglowcem, przynajmniej tak się Zmorakowi wydawało. Nie znał się szczególnie na tym, ale ten statek wydał mu się po prostu duży. Bardzo duży. Nagle rozległo się uderzenie w burtę i żaglowiec uniósł się znów na jakiejś zdradzieckiej fali, po czym zaczął powoli opadać, odwracając działanie odwiecznych praw grawitacji.

- Ósemka wieje - wyjaśnił Adam, jakby czytał w myślach Maurycego.

Wielowieyski uśmiechnął się. Miał przystojną twarz o lekko pociągłym kształcie. Spiczastą, blond bródkę i gęste, kręcone włosy o tym samym odcieniu dopełniały duże, piwne oczy.

- No, to jak? Co to za tajemnicze zadanie masz wykonać, co? Pamiętaj, kapitan na morzu jest pierwszy po Bogu, a ja jestem pierwszym oficerem, czyli praktycznie kimś w rodzaju wicekapitana. - Uśmiechnął się, odsłaniając krzywe zęby. - Logicznie rozumując, jestem więc kimś w rodzaju Jezusa albo Ducha Świętego. - Zachichotał z własnego dowcipu. - Chociaż nie, Duchem Świętym to jest raczej bosman.

- A nie drugi oficer? - zaproponował Maurycy.

- E tam - Adam machnął ręką. - Drugi to pizda.

Huknęła kolejna fala i w tym momencie w messie rozległ się władczy głos płynący z głośników pod sklepieniem.

- Wszystkie ręce na pokład! Zwijamy żagle!

Adam zerwał się i zapiął sztormiak.

- Później mi powiesz - powiedział. - Teraz chodź. Pomożesz przy szotach. Mamy bukszpryt do ogarnięcia. Tylko weź coś załóż na ten... koc - dodał, lustrując strój Maurycego. Zmorak wiedział, że białobrązowe wełniane ponczo i kolorowe bawełniane spodnie to rzeczywiście nie był odpowiedni strój na takie warunki.

Oficer wybiegł z messy. Maurycy wstał... i usiadł, poddając się zwariowanej grawitacji.

- W mordę - mruknął pod nosem - powinienem dostać jakiś dodatek za pracę w trudnych warunkach.

Rozbiegany wzrok mężczyzny spoczął na jaskrawej kurtce, która wisiała przy przejściu do kambuza. Zebrał się w sobie, chwiejnym krokiem potoczył się w jej kierunku i zerwał ją z wieszaka. Zarzucił okrycie na ramiona. Było nieco za małe, ale trudno.

Maurycy rozpoczął wspinaczkę po schodach. Usiłował utrzymać swoje ciało w pozycji pionowej, brnąc ku światłu, ale jedyny efekt, jaki osiągnął, to bolesne obicie łokcia o wystające elementy o niewiadomym przeznaczeniu. Było ich tu pełno. Maurycy nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, że coś, co w istocie można określić przecież jako

metalową wannę z kilkoma setkami metrów kwadratowych białego płótna na stalowych kijach, potrzebowało tylu niepotrzebnych elementów do prawidłowego funkcjonowania. A może to jakiś tajemniczy system odzyskiwania energii kinetycznej z zataczających się na falach załogantów? Jak się nad tym zastanowić, ciągle zaburzenia grawitacji, jakim były poddawane ciała żeglarzy na morzu, powodowały niewyobrażalne marnotrawstwo energii. Przecież można by ją jakoś spożytkować, na przykład do napędzania chłodni, elektroniki na statku albo oświetlenia w kabinie... Ostatecznie postawiłoby się na rufie wielki, elektryczny grill, a obok krany z piwem. Każdego z załogi klasyfikowanoby wtedy w odpowiedniej kolejności, w zależności od tego, ile energii wyprodukował swoim obijającym się ciałem. Ten, co wytworzył jej najwięcej, dostałby na zachętę dodatkową porcję grillowanych steków.

Wielowieyski chwycił się kurczowo poręczy przy stromych, wąskich schodach. Zewsząd dobiegał szum morza, wiatru i wyraźnie potężniejsze od obydwu tych rzeczy przekleństwa bosmana. Raz po raz mały prostokącik zachmurzonego nieba przesłaniała struga wody, przelatująca beztrąsko nad pokładem.

- Ty! - wrzasnął bosman, tuż nad uchem. - Tak, ty, łachmanie jeden! Biegnij na bukszpryt i łap za szot foksztaksla.

- Eee... - odparł Maurycy niepewnie. Postanowił za wszelką cenę nie wypuszczać z rąk poręczy, która

wydawała mu się jedynym stałym elementem najbliższego otoczenia.

- Na dziób! - krzyknął bosman. Miał na sobie swój wyjściowy podkoszulek bez rękawów, a w zębach ścisnął skrzywionego papierosa. Maurycemu zdawało się, że to ten sam papieros, co poprzednio. A może już kolejny? - To ten spiczasty koniec - wyjaśnił mężczyzna, machając potężnym ramieniem w stronę, skąd najbardziej wiało. - Tam, gdzie najgorzej pīdzi - dodał, szczerząc krzywe zęby. Walnął Maurycego w plecy i wyraźnie korzystając z kolejnego przechyłu, pchnął w kierunku prawej burty.

Mężczyzna zatoczył się i przeszedł kilka metrów krokiem pijanego żurawia. Rozpaczliwym ruchem złapał za jakąś napiętą linę. Zza grubej rury masztu wyłonił się dziób. Woda ciągle pryskała na podłużne, trójkątne żagle, rozciągnięte na drewnianej kłodzie wysuniętej w morze. Wiatr wył niemiłosiernie. Komendy z wrzaskiem latały po pokładzie. Sznur, którego uczepił się Zmorak, stracił swoje napięcie, a gdzieś w górze załopotalo zluzowane płótno. Statek wspiał się na fale i opadł majestatycznie. Pozbawiony uchwytu Maurycy poleciał posłusznie w kierunku dziobu.

- Jesteś. Co tak długo? - wykrzyczał mu prosto do ucha Adam, wyłaniając się zza masztu. - Masz, trzymaj. Kiedy dam znak, ciągnij, ile dasz radę. Mamy mało ludzi - oświadczył i odszedł wyćwiczonym krokiem w stronę grupki osób mocujących się z olinowaniem na relingu. Maurycy, nie bez wdzięczności, złapał podaną mu grubą, mokrą linę.

Stał się nieco pewniejszy swego losu. Przynajmniej na chwilę.

Spojrzał na żagle, a następnie wychylił się w lewo, żeby zobaczyć, co znajduje się przed dziobem i zamarł. Czuł, jak wybełtana w żyłach krew posłusznie cofa się w kierunku wnętrza jego ciała. Przeszedł go dreszcz.

- Ciągnij! - wrzasnął Adam. W tym momencie Maurycy wyrwał się z odrętwienia i oderwał oczy od olbrzymiej, czarnej chmury, wyrastającej prosto z morza. Zajmowała niemal cały horyzont i błyszczała od piorunów. - Ciągnij, do cholery!

Wiatr zerwał kaptur z głowy pierwszego oficera. Zmorak poprawił uchwyt i napał całym ciężarem w tył. Z początku tylko powiesił się na linie, zniżył się przy tym niemal do poziomu pokładu. Po chwili sznur puścił i mężczyzna poleciał w kierunku śródkręcia, objając łokcie. Szybko zerwał się na nogi i pobiegł z luźną liną. Słyszał łopot żagli i przecierającą się wiklinę. Napiął sznur. Szarpnęło. Mężczyzna pobiegł z powrotem do swojej wachty.

Kilku ludzi, przypiętych szelkami wspinaczkowymi do stalowych uprząży, balansowało na drewnianej kłodzie, usiłując pozbierać rozrzucone płótno żagli. Pozostali układali kolejne liny i mocowali wszystko, co się dało.

- Hej, ty! - usłyszał Maurycy. Obejrzał się. Przed nim stał jeden z żeglarzy w jaskrawej kurtce i w szerokich, nieprzemakalnych spodniach. Brązowymi oczami

podejrzliwie łypał na Wielowiejskiego. - Stary chce cię zobaczyć. Natychmiast - oświadczył nieznajomy.

Maurycy zastanowił się przez chwilę. Kim był „Stary”? Rozejrzał się i zatrzymał wzrok na rozłożystym mostku. Przed zamoczonymi szybami sterówki dostrzegł sylwetkę mężczyzny trzymającego w dłoniach drewniane koło sterowe. Miał gęstą, białą brodę, czarną czapkę i gruby, wełniany sweter.

Wielowiejski wbiegł na mostek zdyszany i zdrowo poturbowany. Powoli utwierdzał się w przekonaniu, że morze nie jest naturalnym środowiskiem dla człowieka, skoro wymaga tylu obijających ludzkie ciała, niezrozumiałych elementów. Chyba po to, żeby rzeczywiście zasugerować wdrożenie jakiegoś kinetycznego systemu elektroenergetycznego.

Szarpnął za drzwiczki. Podczas gdy Maurycy przedzierał się przez pokład, białobrody kapitan schował się do pomieszczenia, przekazując ster jakiemuś przestraszonemu żeglarzowi w kaloszach. Zmorak wszedł do sterówki. Dowódca był sam. Stał pochylony nad mapami rozciągniętymi na szerokim, drewnianym stole nawigacyjnym. Z bliska jeszcze bardziej przypominał typowego kapitana, tak jak mógłby go sobie wyobrazić najbardziej parszywy szczur lądowy. Mimowolnie Zmorak rozejrzał się w poszukiwaniu fajki i papugi.

- Teraz masz pan szansę - odezwał się kapitan niskim, zachrypniętym głosem, nie podnosząc wzroku znad mapy. - Idziemy prosto w sztorm. Cała załoga jest na pokładzie. Zostaną tu jeszcze jakiś czas. Trzeba ściągnąć szmaty z grotmasztu, zasztauować liny, sklarować pokład - wyliczał.

I zrefować bukszpryt, pomyślał Maurycy.

- Tak jest, panie kapitanie - odezwał się po chwili namysłu.

Kapitan spojrzał na niego chłodnymi, stalowymi oczami. Wyrażały zdziwienie pomieszane z dziwnym rodzajem dumy.

Maurycy rzucił okiem na mapę i zauważył na niej żółty kształt, wcinający się w rozległe, niebieskie pole, poprzecinane przerywanymi i ciągłymi liniami niewiadomego przeznaczenia. W rogu mapy, pod ramieniem kapitana, widniał napis: „Bałtyk zachodni”.

- Nie życzę sobie, żeby pan przeszkadzał mojej załodze. Kiedy uderzy sztorm, wtedy poślę ich pod pokład. Zostanie tylko wachta nawigacyjna. Masz pan pół godziny - powiedział kapitan. Podszedł do pochyłych okien kabiny, uchylił jedno ku górze. Do środka wpadły fale chłodnego powietrza. Jakieś papiery poleciały na podłogę. - Plus dwa stopnie, panie Nowak - stwierdził do chłopaka, który dzielnie trzymał się drewnianego koła sterowego.

- Tak jest, panie kapitanie - odkrzyknął sternik.

Kapitan zamknął okienko, odcinając morze od wnętrza pomieszczenia. Obrócił się na pięcie i podszedł chwiejnym

krokiem w kierunku drugiego stołu, na którym ktoś rozłożył otwartą księgę. Nagle zatrzymał się i spojrzał na Zmoraka, wciąż kiwającego się na ugiętych nogach przy drzwiach wejściowych.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Potrzebuję więcej czasu - odparł Maurycy.

Kapitan spojrział za okno. Zmorak podążył za jego wzrokiem. Czuł, że długo nie wytrzyma w zamkniętym pomieszczeniu, jeszcze z takim widokiem. Zbyt dobrze można było oszacować rozmiar fal przetaczających się po morzu jak ruchome góry. Waliły z lewej burty, od czasu do czasu przelewały się ponad potężnymi, stalowymi burtami żaglowca. Fontanna morskiej wody pryskała znad dziobu, który niemal zanurzał się w grzbiecie kolejnych fal. Po całym pokładzie sunęły w różne strony kolorowe mróweczki - załoganci. Ponad tym wszystkim majaczyła coraz większa i coraz bardziej nieunikniona olbrzymia, czarna chmura, zbliżająca się nieubłagalnie.

Będzie zabawa - odezwał się żołądek Maurycego.

- Czterdzieści jeden minut - oświadczył kapitan po chwili. - Pojutrze dopływamy do Kopenhagi i masz pan zniknąć.

- Tak jest! - Zmorak wyprężył się w parodii salutów. Mało czasu, ale musi stąd wyjść jak najszybciej.

Kapitan ściągnął brwi, bruzdząc podzielone zmarszczkami czoło do granic wytrzymałości. Nie lubił tych lądowych

gnojków. Miejsce szczerów jest na lądzie, nie na morzu. Przyjeżdżają na rejsy, żeby zobaczyć, jak to jest, żeby potem opowiadać znajomym, pochwalić się, jacy byli dzielni. Kapitan nie lubił również bałaganu i chaosu. Nie znosił zimnej kawy. Nie wybaczał niedosolonej jajecznicy i nieprecyzyjnych komend. Nie tolerował głupoty oraz braku szacunku. Prawie nikogo ani niczego nie lubił, no, może poza sobą, a i to nie zawsze. Szanował tylko Neptuna. O tak, z Neptunem to by się chętnie napił. To było odpowiednie towarzystwo dla człowieka morza. Co tam inni wiedzieli...

Mężczyzna uniósł wzrok i zobaczył, że szczer w sztormiaku zniknął. Kto go w ogóle tu wpuścił? Armator kazał. Podobno Zmorak miał wykonać jakieś ważne zadania, ale jakie? Tego już nie raczyli mu powiedzieć.

Kapitan nie lubił armatora.

Maurycy stanął przy drzwiach zejściówki. Szarpnął za małą klamkę i, wykorzystując kolejną zmianę nachylenia pokładu, wtoczył się do środka, zanim struga wody zdążyła wlać mu się za kołnierz. Zsunął się po wąskich stopniach, obił przy tym ramię o metalową poręcz. Stanął chwiejnie na wyslizganej podłodze i opuścił wzrok.

- Do roboty - mruknął.

Przełknął ciężko ślinę i napływające do gardła fale mdłości. Zejście pod pokład było jak przekroczenie jakiejś niewidzialnej bariery, jak przekroczenie bram piekieł, gdzie

torsje atakowały ze zdwojoną siłą. Mężczyzna odetchnął kilka razy, a następnie zebrał całą dostępną siłę woli i ruszył w wąską przestrzeń korytarza. Na górze coś huknęło.

Konsylium dostało zlecenie na saivę, który zamieszkał na Darze Młodzieży. Z reakcji kapitana Maurycy wnosił, że to raczej nie on wydał zlecenie. Dowódca prawdopodobnie zachodził w głowę, co obcy szczur lądowy robi na jego statku. Chociaż może teraz już nie. Kapitan nie wyglądał raczej na człowieka, który zbyt często zastanawiał się nad jakąś sprawą, jeśli nie przynosiło to rezultatów.

Zmorak nie wiedział ani skąd saiva się tu wziął, ani w czym przeszkadzał. Nie rozumiał również, dlaczego musiał przejąć saivę na morzu. Dlaczego nie mógł tego zrobić na spokojnie, gdy statek dotrze do portu? Treść zlecenia nie pozostawiała jednak wątpliwości, saiva ma zostać przechwycony na morzu. I tyle. Nic więcej, żadnych instrukcji, podpowiedzi, wyjaśnień. Jak zawsze.

Maurycy nie miał pomysłu, od czego zacząć poszukiwania. Zdążył się już zorientować, że wnętrze żaglowca jest ogromne i bardzo skomplikowane. Przez pierwsze dwa dni przeglądał metodycznie pomieszczenia. Zaczął od dziobu, takie podejście wydawało mu się dość logiczne. Wiedział też, że gdzieś w tych wnętrzach kryje się saiva, który nie powinien tu być. Zadaniem Maurycyego, jako Zmoraka, było usunięcie saivy z Daru Młodzieży.

Kontrakt nie obejmował odstawienia saivy do Edenu, czyli azylu dla świadomości zagubionych w świecie żywych,

jak to często określały Kruki. Maurycy nie lubił tego nazewnictwa. Podobnie nie lubił określenia „rezerwat” albo „park narodowy”. Wszystkie te pojęcia sugerowały, że ani zwierzęta, ani rośliny, ani saivowie nie mogli czuć się bezpiecznie w naturalnym środowisku. Człowiek za bardzo rozwinął już swoje umiejętności abstrakcyjnego myślenia, żeby nie powstrzymywać się od włożenia brudnymi butami do cudzego pokoju. Mało tego, ludzie wkraczali do salonu Natury i wytrzepywali na środku pradawnych, perskich dywanów błoto ze swoich topornych butów.

Saivowie byli taką samą częścią Natury, co zwierzęta, rośliny, bakterie, grzyby. Wywodzili się od ludzi, lecz różniło ich jedno - byli martwi.

Maurycy zaglądał po kolei do wszystkich kabin napotkanych na swojej drodze. Właściwie to sam przed sobą musiał przyznać, i to przyznać szczerze, że nie do końca wiedział, czego szuka. Przed przyjazdem na statek porozmawiał z jednym z Kruków, który, o dziwo, przekazał mu kilka szczegółów zlecenia. Podobno poszukiwany saiva był świadomością carskiego oficera, żyjącego pod koniec dziewiętnastego wieku, odbywającego część służby w Warszawie. Co carski oficer robił na polskim żaglowcu zwodowanym w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku w Gdyni? Tego już Maurycy nie wiedział.

Ludzie bardzo rzadko widzieli, czuli czy słyszeli saiwów. Często mylili ich z duchami, zjawami, będącymi z reguły efektem przywidzeń, przesłyszeń lub wszelkiego rodzaju innych prze... dowcipów, które płatał im ich niedoskonały

mózg. Tylko niewielki odsetek populacji miał na tyle wyczulone określone zmysły, że mógł odbierać sygnały wysyłane do środowiska przez saivów. Maurycy to potrafił.

Zmorak zaglądał do kolejnych kajut, ale nie było w nich nic interesującego. Puste, zasłane prycze, bagaże, czasem jakiś but. Żadnych ludzi. Wszyscy przecież znajdowali się na pokładzie. Maurycy nie widział nawet najmniejszego śladu obecności kogoś obcego.

Najpierw należy znaleźć nośnik. Saiva nie mógł istnieć w przestrzeni, ot tak sobie jak powietrze, czy dajmy na to jakiś cholerny duch, pomyślał Zmorak. Świadomość w momencie śmierci ciała przenosiła się na coś w pobliżu. Najczęściej na to, z czym dany denat miał jakiś emocjonalny związek, na przykład jakiś przedmiot, biżuteria, broń, ale również pomieszczenie, dom, czy nawet przydrożny krzak, który mu się dobrze kojarzył. Chociaż ci, co trafiali do krzaków, nie doczekiwali raczej życia wiecznego. Krzaki nie były z reguły najtrwalsze.

Ale jaki nośnik może mieć świadomość carskiego oficera, który zginął w... Maurycy sięgnął do kieszeni i wygrzebał z niej pomietą, nieco już przemoczoną karteczkę. Rozwinął ją, podpierając się barkiem o ścianę korytarza. W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim w Warszawie. Swoją drogą, ciekawe, co carski oficer robił w Warszawie w latach dwudziestych? Może Bitwa Warszawska? Jakiś dezertor? Nie, to wydarzyło się przecież wcześniej. Zresztą, carski oficer w Armii Czerwonej? No, nieważne. Jakiś nośnik istnieje i najwyraźniej ktoś go

zawłókł na pokład żaglowca. Jedno było pewne: należy szukać przedmiotu starszego niż sam statek.

Zmorak schował karteczkę do kieszeni i już miał ruszyć dalej, gdy coś go tknęło. Może imię i nazwisko coś podpowiedzą? Rozwinął ponownie zmaltretowany papier i przeczytał na głos:

- Porucznik Aleksander Bartenjew.

Zmorak złapał rytm. Odbijał się od metalowych ścian to jednym, to drugim ramieniem i utrzymywał resztę ciała w położeniu względnie pionowym. Burza była coraz bliżej. Żaglowiec wyraźnie zwiększył okres utraty grawitacji pomiędzy jednym grzbietem fali a drugim.

Kajuta była pusta, podobnie jak kilkanaście już sprawdzonych. Nie znajdowało się w niej nic, co przy zastosowaniu choćby najbardziej luźnej interpretacji historii można by uznać za pochodzące z przełomu wieków pary i cudów techniki ludobójczej. W kajucie brakowało również śladów poszukiwanego porucznika. Saivowie na ogół pozostawiali po sobie jakiś trop, dzięki nim, przy odrobinie umiejętności i doświadczenia, można ich wysledzić. Z reguły zostawiali dookoła siebie ślady przypominające te, które mogą świadczyć o obecności w danym pomieszczeniu przeziębionego kota.

Zmorak popłynął myślami na pokład, do anonimowego żeglarza, prawdopodobnie właśnie w tej chwili był zmuszony walczyć ze sztormem w mokrych skarpetkach.

Maurycy wzdrygnął się z obrzydzeniem. Nie ma nic gorszego od mokrych skarpetek. No, może to przesada, jest kilka gorszych rzeczy. Na przykład mokre skarpetki w przemoczonych butach.

Statek wyzerował grawitację. Co prawda ktoś mógł przynieść ze sobą jakieś cholerstwo, coś, co nadawało się na nośnik dla porucznika. Co prawda kapitan nie widział żadnego problemu, ale to akurat Maurycyego nie dziwiło. Ludzie, którzy najpewniej stąpali po ziemi, o ile tak w ogóle można powiedzieć o kimś, kto większość życia spędza na rozchwianym pokładzie, najrzadziej mieli okazję dostrzec problem saiwów.

Zmorak przełknął mdłości, przymknął oczy, a następnie wyszedł z kajuty. Czas się powoli kończył. Narastający huk z zewnątrz sugerował, że chmura burzowa zaczyna pochłaniać żaglowiec. Dzielni żeglarze zbiegną z zielonymi twarzami, w przemoczonych skarpetkach i rzucają się do koi, tak jak stoją. A Maurycy miał upolować saiwę. Cholera, pomyślał, trzeba było się targować przy braniu zlecenia. Przecież to jest praca w trudnych warunkach jak nic.

Wielowieyski ruszył przed siebie i wtoczył się do messy, przekraczając wysoki próg. W pomieszczeniu nie było nikogo, jeśli nie liczyć jednego zmarnowanego żeglarza, dogorywającego z cierpiętniczą miną na twardej ławce. Z oczu mężczyzny można wyczytać, że błagał o ratunek i jak najszybszą ewakuację z tego rozchwianego piekła. Nad jego głową bujała się stara, mosiężna lampa, którą Maurycy widział już wcześniej, gdy siedział w messie z pierwszym

oficerem. Przypomni sobie, e Adam opowiada mu wtedy o tej lampie. Wbrew domysom Zmoraka, lampa wcale nie bya wspoczesn reprodukcj ani nie posiadaa w srodku arwki z dorobion instalacj elektryczn. Wrecz przeciwnie, pono to oryginalna lampa z pocztku ubiegego wieku, przywiz j tu jeden z kapitanw w przyplywie nostalgii. Maurycy pamita, e w kapitan by z Warszawy, co Adam podkrela przy kadej okazji.

Statek podskoczy przy wtrze huku wody, pragncej odepchn kadub nie wiadomo dokd, byle dalej. eglarz jkn co niezrozumiale i z absolutnym cierpieniem i wtedy Maurycy zobaczy wiato. Wygldao to troch tak, jakby wylao si ze starej lampki. Zmorak otworzy szerzej oczy ze zdziwienia. Lampa przestaa si buja, jakby podrygi statku jej nie dotyczyy. Przechylia si lekko w bok, urgajc prawom grawitacji jeszcze bardziej ni caa reszta otoczenia. wiato wylao si cienk pomaraczowofioletow struk na sto i po krotkiej chwili zaczo si formowa w niewyrazny ksztat. Doc szybko na stole zmaterializowaa si ludzka postac.

Maurycy znieruchomia, naturalnie na tyle, na ile to moliwe w tym absolutnie ruchomym otoczeniu. Postac siedziaa do niego plecami, ale mimo to dobrze widzia byszczc gowni szabli i kurtk munduru. Krotko przystrzyone wosy byy nieco rozczochrane, a szerokie barki postaci zdoy pagony.

Zmorak mia przed sob zonierza. Martwego. Taki fart?
- pomyla Zmorak, sigajc do pasa.

Postać, na której coraz większe rozchwianie pokładu zdawało się nie robić żadnego wrażenia, pochyliła się i oparła dłonie o pierś cierpiącego żeglarza. Mężczyzna wydał z siebie krótkie westchnienie i nagle zeszywniał. Maurycy nie interweniował. Delikatnie przesunął dłoń pod poły sztormiaka i sięgnął po długi, fiński nóż, skryty w skórzanej pochwie. Ostrożnie objął brzoźową rękojeść, ostrze zaczęło wysuwać się z cichym zgrzytem.

Nagle pokład przekrzywił się na bok. Maurycy nie utrzymał równowagi i zrobił kilka hałaśliwych kroków w bok, chwytając się po drodze wszystkiego, co było pod ręką, w tym uchwytu drzwi od niskiej szafki, tuż przy ścianie. W efekcie huknęły blaszane naczynia. Zmorak kopnął dwa kubki, które poleciały przez messę z blaszanym rabanem i dopiero wtedy złapał równowagę.

Saiva oderwał dłonie od żeglarza. Trwał jednak w pozornym bezruchu. Dopiero po chwili Maurycy zauważył, że pojedyncze strumienie światła odrywają się od jego pleców i zaczynają płynąć w górę, do lampy, jak na odwróconym nagraniu. Pomarańczowo-fioletowe splechki znikwały w mosiężnej lampie, jak wessane do środka.

Maurycy wyciągnął nóż i skoczył przed siebie, z ostrzem skrytym za lewą dłońią, gotowy do wyprowadzenia niskiego ciosu z biodra. Saiva obejrzał się i Zmorak zobaczył rozszerzające się, smutne oczy. Żołnierz usiłował się uchylić. Był jednak za wolny. Szabla, zwisająca u pasa, zahaczyła o krawędź stołu i szarpnęła nim do pionu, wystawiając go wprost na sunący w powietrzu cios.

Zmorak odbił się w locie lewą nogą, żeby nadać sobie impetu przed uderzeniem. Siły grawitacji zdecydowały jednak inaczej i przekrzywiły gwałtownie pokład. W efekcie Zmorak, zamiast uderzyć prosto w wystawioną na cios pierś żołnierza, przechylił się na jednej nodze jak baletnica, z nożem wyciągniętym przed siebie, po czym runął jak długi na podłogę. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak saiva zeskakuje ze stołu i wyprowadza sprawny cios z dołu, wyszarpnąwszy szablę z pochwy. Maurycy w wyjątkowo nieprofesjonalnym uniku, zachwianym przez niefortunny ruch pokładu, uderzył głową w ostrą krawędź blatu i stracił przytomność.

Świadomość najpierw odebrała dźwięki. Były to głównie spokojne rozmowy i przytłumione krzyki różnych osób. Nie wrzaski i nerwowe komendy wykrzykiwane wśród wszechogarniającego chaosu. Słyszał raczej głosy podobne do tych, które na co dzień, jeszcze lepiej, w piątek po południu, można usłyszeć w centrum miasta. Nieśpieszne kroki. Świergot jakiegoś ptaka. Słysząc było nawet klaksony samochodów i warkot silników.

- Jak się czujesz? - powiedział ktoś, gdzieś ponad Maurycym, gdzieś po drugiej stronie zmysłowej bariery, która z wolna rozpływała się w mroku.

Różowa poświata rozjarzyła się nieśmiało przed oczami. W tym samym momencie Wielowieyski zdał sobie sprawę, że nie czuje pod plecami charakterystycznego przenoszenia środka ciężkości z jednego krańca łóżka na drugi. Przez

ostatnie dni rejsu zdążył się przyzwyczać do zmian kierunków działania grawitacji na żaglowcu do tego stopnia, że gdy teraz leżał spokojnie, bez konieczności wykonywania tych drobnych ruchów mięśni kontrujących przechyły, czuł się wręcz nieco nieswojo.

Otworzył oczy. Jaskrawe światło oślepiło go na moment. Zamknął oczy, przekrzywił głowę i po chwili ponownie rozkleił powieki. Zobaczył przed sobą czystą podłogę kajuty i krawędź koi przykrytej czerwonym prześcieradłem. Zaraz obok stały smukłe, długie damskie łydki obleczone w przezroczyste rajstopy. Tuż powyżej zgrabnego kolana zaczynały się pierwsze falbanki białej sukienki. Poniżej łydek znajdowały się natomiast czerwono-niebieskie trampki.

Maurycy westchnął i powoli obrócił głowę, żeby spojrzeć na właścicielkę zgrabnych nóg.

- Jak się czujesz? - powtórzył głos znad łydek, gdzieś z okolic białej sukienki. Był przyjemnie ciepły i spokojny. Jak rozmruczany kot.

Oczy przyzwyczały się do blasku. Zmorak zobaczył przed sobą młodą dziewczynę. Miała krótko przystrzyżone, rude włosy i ogromne, zielone oczy. Spoglądała na niego z dziwną mieszanką zaciekawienia i troski, przykrytej pozorną obojętnością.

Mężczyzna bąknął coś, sam nie wiedział co, byle odpowiedzieć.

- Uderzyłeś się w głowę - stwierdziła dziewczyna. - Na dole, w messie. Prawdopodobnie o stół. Leżałeś obok na

podłódze. Trzeba uważać w czasie sztormu - dodała.

Dzięki za dobrą radę, pomyślał Maurycy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał, przypominając sobie nagle o braku bujania.

- W Kopenhadze - odparła ruda i widząc, że pacjent najwyraźniej czuje się lepiej, odeszła w kąt kajuty.

Pochyliła się nad szerokim, niebieskim workiem i zaczęła pakować ubrania poukładane w równe stosy na koi obok. Jej letnia, biała sukienka odsłaniała kształtne łydki i kolana, a teraz ukazała również fragmenty zgrabnych ud. Dziewczyna miała zarzucony na ramiona jaskrawy, czerwony sztormiak z cytrynowym kapturem, który nijak pasował do reszty ubioru oraz starannie ułożonej fryzury.

- Jestem Maurycy - powiedział i spróbował wstać.

- Co, proszę? - Dziewczyna odwróciła się do niego i zaraz dodała: - Nie wstawaj! Możesz mieć zawroty głowy. Dość porządnie się walnąłeś. - Podeszła pośpiesznie, asekurowując ramionami powietrze wokół Maurycyego. Widząc jednak, że pacjent nie zamierza się podporządkować, podparła się pod boki i spojrzała krytycznym wzrokiem. - No dobra, to chociaż powoli i posiedź chwilę - powiedziała.

- Maurycy - powtórzył. - Jestem Maurycy. - Usiadł na skraju koi i opuścił nogi. Poczuł, jak świat zawirował. Przymknął oczy.

- Marta - odparła dziewczyna.

Zmorak otworzył ostrożnie oczy. Dziewczyna wróciła do pakowania.

- Zostajesz na kolejny etap, czy wracasz do Polski? - zapytała znad sterty grubych swetrów. - Ja wracam.

Potrząsnął głową.

- Nie wiem... - mruknął.

I wtedy wszystko do niego wróciło. Przypomniał sobie o dogorywającym żeglarzu, messie, mosiężnej lampie i saivie z szablą. Gwałtownie obmacał pas i odetchnął z ulgą. Nóż był na swoim miejscu, sieć psychostatyczna, którą miał za pasem, również. Najwyraźniej zabrali go z messy i ułożyli na koi, tak jak leżał. Dotknął ostrożnie głowy. Nie wyczuł pod palcami żadnych opatrunków. Ściągnęli mu tylko gogle. Leżały obok na koi. Podniósł je i założył na czoło.

- Muszę iść - powiedział. - Dzięki jeszcze raz - dodał, po czym wstał i ruszył chwiejnie do wyjścia.

- Czeka! - zawołała za nim.

Maurycy jednak był już na korytarzu. Marta wybiegła za nim i zobaczyła, jak jego szerokie plecy, spowite w białobrazowe ponczo, obijają się o metalowe ścianki.

Zmorak wpadł do messy i błyskawicznie rzucił się do zlewu, a następnie zwymiotował do niego obficie.

- O, stary! Nie mogłeś do kibla? - zawołał Adam. Stał przy półce z książkami i przeglądał jeden z woluminów. Maurycy otarł usta i uniósł się znad zlewu. Oficer uśmiechał się do niego wesoło.

- Przecież już nie buja. O co chodzi? - drążył dalej.

Wielowieyski odwzajemnił uśmiech, szczerząc zęby, a następnie rozejrzał się po messie. Zlokalizował mosiężną lampkę wiszącą nad stołem po drugiej stronie pomieszczenia.

- Co nic nie mówisz? Schodzisz w Kopenhadze? - zagadnął pierwszy oficer, wracając do lektury. Przysiadł na ławce przy stole, tuż pod mosiężną lampką.

- Tak - odparł Maurycy i powoli ruszył w kierunku stołu, nie odrywając wzroku od lampy. Stawiał ostrożnie każdy krok, jakby pokład wciąż był rozchwiany.

- Ciągle cię buja? - zapytał Adam.

Maurycy nie odpowiedział. Zamiast tego sięgnął do pasa i powoli wyjął zawiniątko z siecią psychostatyczną. Kulka rozbliła delikatnym, pomarańczowym światłem.

- Kurde, co to jest? Jakaś nowa zabawka? - zapytał oficer, odrywając się już całkiem od książki. Odłożył ją na stół i usiłował wstać. Na okładce Maurycy dostrzegł prezentujący się dumnie tytuł *Panna z Charlestonu*.

- Siedź! - powiedział Zmorak, unosząc dłoń. Adam zastygł.

- Co jest...? - zaczął, ale Maurycy uciszył go gestem. Pierwszy oficer patrzył na niego zdziwiony. Nagle zza jego pleców rozległ się krzyk.

- Maurycy! - zawołała Marta, wpadając do messy. - Adam, on nie powinien jeszcze chodzić. Trzymaj go, bo znowu się przewróci.

Adam spojrzał na Wielowieyskiego ogłupiałym spojrzeniem. Ten syknął przez zęby, nakazał mu milczenie

i powoli wspiął się na stół. Wyprostował się i zachwiał lekko na blacie. Sieć psychostatyczna rozwinęła się, wydając przy tym elektryczne trzaski. Malutkie fioletowe i pomarańczowe błyskawice strzelały na boki.

- Nie! - krzyknęła dramatycznie Marta. Dopadła do stołu, robiąc przy tym niesamowity hałas, jeśli wziąć pod uwagę jej drobną figurę i trampki. Szarżowała przez mesę jak stukilogramowy strażnik miejski w ciężkich glanach. Zmorak ostrożnie sięgnął do lampy i jedną ręką zdjął ją z haczyka. Jednocześnie drugą ręką przygotował sieć.

- Uważaj! - krzyknęła Marta i w tym momencie świat zawirował.

Zmorak zachwiał się i zsunął ze stołu, przydeptując przy tym sieć, która trzasnęła wściekle. Lampa uderzyła o blat i wypadła mu z ręki. Mężczyzna jednak utrzymał się na nogach i oparł na Marcie, a ta objęła go zaskoczona.

Jednocześnie lampa rozbłysła pomarańczową poświatą i wyrzuciła z siebie pojedyncze języki światła, które zawirowały w powietrzu, jak kłócące się ptaki. Następnie zwinęły się w ciasną spiralę i uniosły ku górze. Maurycy wysunął się z objęć Marty i szarpnął za sieć. Na Zmoraka spojrzały zdziwione, stalowe oczy saivy.

- To ty! Ty mnie widzisz? - zapytał. Przeciągnął świeżo wykształcone ramiona i skoczył naprzód w kierunku wyjścia z messy. - Nie dostaniecie mnie.

- Stój! - Maurycy porwał lampę z ziemi i bujając nią niczym śpieszący się ksiądz z kadzidłem, pobiegł za saivą.

Marta patrzyła bezradnie, jak Zmorak wybiega przez drzwi, potykając się po drodze o wysoki próg.

- O co tu chodzi? - zapytał Adam, wychodząc z za stołu.
- Do kogo on krzyczał?

- Nie wiem - odparła Marta. Zorientowała się, że wciąż trzyma wyciągnięte przed siebie ręce, którymi jeszcze przed chwilą obejmowała Maurycego. Odchrząknęła i zapięła sztormiak.

Maurycy wybiegł za saivą na pokład. Mógł się zatrzymać i wrócić do messy. Miał przecież możliwość poczekać, aż saiva wyjdzie poza zasięg nośnika i Równowaga sama go cofnie do lampy. Jednak saiva biegający po pokładzie, a potem po ulicy, zapewne narobiłby w tym czasie sporo szkód. Lepiej było go złapać.

Na szczęście na pokładzie było niewielu ludzi. Większość wciąż znajdowała się w swoich kabinach i najwyraźniej pakowała się przed wyjazdem. Pozostali kręcili się po betonowym nabrzeżu.

- Co to ma być, do cholery?! - zawołał kapitan. Wszedł z za nadbudówki i stanął przed trapem. - Tak ci spieszo na ląd, szczurze jeden? - Rękami podpierał się pod boki i przyjął postawę, która wysyłała wyraźny komunikat: nie przejdiesz. Brakowało mu tylko laski wbitej w pokład, pomyślał Maurycy i wtedy zobaczył, jak Bartenjew wyskakuje z za nadbudówki i biegnie prosto na kapitana.

- Panie kapitanie! - krzyknął Maurycy. - Niech się pan odsunie! - Machał w biegu rękami.

- Nie mów mi, co mam robić, ty... - Kapitan uniósł groźnie pięści i urwał, gdy saiva w carskim mundurze przebiegł prosto przez niego i wyskoczył na nabrzeże.

- Cholera! - zaklął Zmorak.

Początkowo kapitan stał jak przedtem, twardy i niewzruszony, ale po chwili zmarszczył brwi i spojrzał w dół. Następnie złapał się za pierś i runął na pokład. Maurycy skoczył, zdążył zamortyzować upadek. Ułożył kapitana delikatnie na pokładzie. Końcówki jego sękatych dłoni zaczynały drżeć niespokojnie.

- Pomocy! Czy jest tu lekarz? - zawołał Maurycy. Po chwili zobaczył, jak saiva przeskakuje przez płot i biegnie dalej wzdłuż nabrzeża.

- Co mu się stało? - zawołała Marta. - Spokojnie, jestem lekarzem - oświadczyła z rozbijającym uśmiechem.

- Zajmij się nim - odparł Zmorak i zwinął się. Mosiężną lampę zarzucił sobie na ramię i pobiegł przez nabrzeże, roztrącając ludzi, orientujących się, że właśnie stało się coś godnego uwagi. Przeskoczył ogrodzenie i pobiegł alejką. Park urwał się po chwili i Maurycy biegł dalej żwirową ścieżką wzdłuż brzegu wysypanego głazami. Na jednym z nich siedziała spiżowa Syrenka.

Plecy saivy były coraz bliżej. Facet chyba nie opanował jeszcze za dobrze funkcjonowania w realnym świecie, pomyślał Maurycy. Poszukiwany przebiegł właśnie prosto przez przechodnia, młodą kobietę szczebioczącą wesoło

przez telefon po duńsku. Kobieta nagle urwała w pół słowa i zatrzymała się, gapiąc się pustym wzrokiem przed siebie. Słuchawka krzyczała do niej damskim, piskliwym głosem.

- Co to za zamieszanie? - zapytała Syrenka po angielsku, obracając się za Maurycym.

- Panienska wybaczy - powiedział - pilne zlecenie - dodał, po czym skręcił w lewo. Usłyszał jeszcze, jak Syrenka komentuje coś pod nosem po duńsku.

Biegł wzdłuż fosy fortu, a następnie wpadł za saivą na betonowy mostek prowadzący do twierdzy. Przebiegł przez bramę i zobaczył przed sobą szeroki dziedziniec. Pośrodku stały dwa długie budynki z czerwonej cegły. Saiva skręcił za jeden z nich. Maurycy pobiegł za nim i dostrzegł, jak Bartenjew przenika przez ceglaną ścianę.

- No bez jaj - jęknął Zmorak i niewiele myśląc, wybił ramieniem niewielkie okienko tuż obok miejsca, w którym zniknął Bartenjew. Mężczyzna znalazł się w wąskim, ciemnym korytarzu. Zobaczył zieloną kurtkę munduru. Skręciła w lewo, w odnogę korytarza. Maurycy za nią. Były tam schody. Saiva zbiegł i zniknął.

Zmorak gonił za saivą Bartenjewa już dobry kwadrans, krążąc po labiryncie ciemnych korytarzy. Skręcił w lewo, w kolejną odnogę niskiego, ceglanego tunelu twierdzy. Przynajmniej tak mu się wydawało, że ciągle jest w twierdzy w Kopenhadze. Nie zastanawiał się nad tym dłużej. W nieruchomym powietrzu unosiła się zatęchła woń

wilgoci i czegoś, co Maurycemu kojarzyło się ze zgniłym zapachem spleśniałych belek stropowych. Pamiętał dobrze ten zapach z dzieciństwa, z wakacji spędzanych u babci w Świdrze, w jej starej drewnianej willi nad rzeką.

Przed Zmorakiem pojawił się kolejny zakręt. Słyszał wyraźnie echo kroków Bartenjewa. Maurycy dobrze wiedział, że saivowie, jeśli tylko odpowiednio opanują zmysłową emanację swojej świadomości, mogą naginać pewne powszechnie uznawane prawa fizyki, jak na przykład opór powietrza. Lampa naftowa obijała się boleśnie o plecy. Maurycy wciąż biegł zgarbiony, żeby nie zawadzić o niski sufit i zdradzieckie, wystające gdzieś ze stropu nadłamane belki. Przynajmniej dobrze, że nie było całkiem ciemno. Nie wiedział dokładnie skąd, ale jakieś światło rozświetlało delikatnie korytarz.

Wielowieyski odbił się barkiem od zwięzających się ścian i wypadł zza zakrętu. Ceglany tunel urwał się nagle i Maurycy musiał gwałtownie się zatrzymać, żeby nie uderzyć w szklane drzwi, które wyrosły przed nim z czarnej przestrzeni. Nigdzie nie dostrzegł śladu Bartnejewa. Nie słyszał żadnych kroków. Za sobą miał łukowaty otwór ceglanego tunelu, a po bokach czarną przestrzeń. Badawczo sięgnął ręką w mrok i napotkał na śliską, zimną powierzchnię ściany. Spróbował z drugiej strony. Również ściana.

- Co, do cholery... - zaklął pod nosem i spojrzał na drzwi. Przez matowe szkło nic nie było widać. Maurycy obejrzał framugę z polerowanego aluminium. Nie dostrzegł

żadnych zawiasów. Najwyraźniej drzwi otwierały się na zewnątrz. Nie widział również niczego, co mogłoby pełnić rolę klamki lub jakiegokolwiek uchwytu.

- Zawsze, kurna, coś - mruknął pod nosem. Poprawił lampę na plecach i położył rękę na brzożowej rękojeści noża skrytego w pochwie pod grubym ponczo. Splunął przez ramię i naparł barkiem na szklaną tafłę.

Czerwone słońce wstawało nad Warszawą. Wiał chłodny, wiosenny wiatr ze wschodu. Miasto powoli budziło się do życia, do kolejnego dnia po przyczajonej nocy pozornego uśpienia. Warszawa na noc przymykała tylko delikatnie oczy, nie zapadała nigdy w głęboki sen.

Anne Olsson wyszła przez rozsuwane drzwi Terminalu Drugiego na warszawskim Okęciu. Poprawiła na plecach mały, skórzany plecak i rozejrzała się w poszukiwaniu środka transportu. Jej obecność została dostrzeżona przez miasto.

- Halo, halo, panienkę gdzieś podwieźć może? - zawołał taksówkarz, wychylając się przez okna starego, żółtego mercedesa.

Kobieta spojrzała w jego kierunku i uśmiechnęła się promieniście, odgarnęła kosmyk jasnych włosów, który wymknął się spod wełnianej opaski. Zachęcony taksówkarz wyskoczył z auta, przeczesał rzadkie, mysie włosy, śliniąc w tym celu obficie dłoń, po czym ruszył tanecznym krokiem w kierunku potencjalnej klientki.

- Zapraszam, zapraszam - mówił z uśmiechem od ucha do ucha. - Dla takiej pięknej panienci dam nawet zniżkę.

- *Taxi?* - zapytała.

- Tak, *taxi taxi, yes, yes, bjutiful lejdi* - odparł taksówkarz, instynktownie wyczuwając dobry początek dnia pracy. Nie dość, że zagraniczna turystka, chyba gdzieś z zachodu, myślał, to jeszcze jaka zgrabna dziewczuszka. - *Pliz, pliz.*

Otworzył drzwi mercedesa i zaprosił klientkę gestem godnym prawdziwego, warszawskiego szofera. Musi się w końcu zachowywać jak prawdziwy taksówkarz. Nie był jak inni, przyjezdni albo Ukraińcy, co to nawet nie wiedzą gdzie Tamka, a gdzie Okólnik, tfu, tfu. Uśmiech zadrgał na twarzy kierowcy na wspomnienie przyjezdnej konkurencji, zaśmiecającej mu jego ukochane miasto, jego Warszawę, którą ojciec i dziad podnosili z ruin, cegła po cegle. To oni i tacy jak oni rozpalali na nowo płomień po ulewie żab historii.

Taksówkarz był dumny. Był warszawiakiem, ale takim prawdziwym warszawiakiem, a nie takim jak inni. Zamknął drzwi za blondynką i wsiadł na miejsce kierowcy, otrząsając się jeszcze z nieczystych myśli. Zasiadł za szeroką, drewnianą kierownicą z dużą, srebrną gwiazdą na środku i założył szary kaszkiet, wydobyty gdzieś z czeluści schowka. Spojrzał z uśmiechem w lusterko wsteczne. Dziewczyna usiadła na tylnej kanapie, nieco niepewnie oglądała wnętrze auta. Anne miała niezbyt długie, falowane blond włosy, wsunięte pod wełnianą opaskę w szaro-czarną

kratkę. Równe, wąskie brwi wieńczyły duże oczy, niebieskie jak lśniąca szkło wieżowców przy rondzie ONZ. Wydatne kości policzkowe nadawały jej obliczu subtelnej zadziorności, co dodatkowo podkreślała krótka, skórzana kurtka, rozpięta na piersi oraz czarne, obcisłe spodnie, zmyślnie podarte w kilku miejscach.

- *Please, could you get me to the centre¹?* - zapytała z idealnym, brytyjskim akcentem. - *Próżna street, please²* - doprecyzowała, błyszcząc czystą polszczyzną przy wypowiedaniu nazwy ulicy.

Taksówkarz nie wychwycił tej subtelności i uśmiechnął się tylko jeszcze szerzej, obnażył przy tym swoje krzywe zęby, żółte jak jego wiekowy mercedes.

- *Afkorz, bjutiful lejdi* - odparł, dotykając szarmancko daszka kaszkietu.

Kobieta spojrzała za okno. Warszawiak przekreślił kluczyk i obudził wysłużonego diesla. Radio zadudniło rytmicznie.

- *Mam tak samo jak tyyyy!* - zaintonował taksówkarz. - *Moje miasto a w niiiiimm...* - Stuttgarcki diesel zaterkotał i ruszył, sypiąc przez otwarte okna melodią skrzypiec prosto w nadwiślański świt.

Maurycy usłyszał za sobą trzask szklanych drzwi, a następnie, gdzieś ponad nim, rozległ się matowy głos spikera:

- Uwaga! Metro Warszawskie informuje, że na stacji znajduje się żółty telefon alarmowy. - Echo odbiło się od pustych ścian stacji. Na ścianie na prawo od Zmoraka czerwienił się napis „Świętokrzyska”.

- Kurde - mruknął Maurycy.

Rozejrzał się po pustej stacji. Grube filary zasłaniały mu dalszą część peronu. Sprawdził jeszcze, czy szklane drzwi za plecami na pewno są zamknięte, po czym usłyszał zachrypnięty głos:

- Gdzie leziesz, łazęgo?

Odwrócił się i zobaczył okrągłą czapkę oraz ciemnoniebieski mundur z żółtymi wstawkami. „Straż Ochrony Metra”, ogłaszał światu napis na piersi mężczyzny.

- Przejście służbowe. Nie ma spania na zapleczu. Na stacji też nie - doprecyzował strażnik, opierając jednocześnie dłoń na rękojeści plastikowej pałki, zwisającej u pasa. - Wypieprzaj mi stąd, ale już! Bo wezwę policję!

- Dobra, dobra - odparł Maurycy i zasłonił się rękami. Przyzwyczał się już do tego, w jaki sposób ludzie na niego reagują. Białobrązowe ponczo z wełny alpaka, kolorowe spodnie z Nepalu i stare, skórzane gogle wyścigowe na czole gwarantowały negatywne tak zwane pierwsze wrażenie u każdego rozsądnego przedstawiciela współczesnego społeczeństwa. Jeśli dodać do tego twarz przeciętą dwiema pionowymi bliznami i długie blond włosy, które przynajmniej częściowo sterczały na wszystkie strony, to mózg odbiorcy, przetwarzający taki obraz, po prostu musiał bić na alarm. Albo co najmniej wysyłać dyskretne

sygnały ostrzegawcze, podpowiadające swojemu właścicielowi, że coś jest nie tak i lepiej zwiększyć dystans od obiektu.

Zmorak zdał sobie sprawę, że nie założył soczewek kontaktowych. Na żaglowcu mu przeszkadzały, więc chodził w goglach, w których miał przyciemniane szybki. Ale teraz musiał wbijać wzrok w czubki własnych butów jak opieprzony dzieciak. Wiedział, że jeśli jest coś w jego wyglądzie, co potrafi wzbudzić większą niechęć niż jego strój i poharatana twarz, to będą to żółte oczy o poziomych źrenicach. Strażnik mógłby mieć problem z zaakceptowaniem takiego widoku.

- Patrz na mnie, jak do ciebie mówię, łazęgo - warknął strażnik, wykazując się przy tym nadzwyczajną ciekawością, która u przedstawiciela jego zawodu nie zawsze była pożądana, a często mogła prowadzić do rozmaitych nieprzyjemności. - Co tam masz na plecach? - Maurycy poruszył mosiężną lampą, przerzuconą na łańcuchu przez ramię.

- Pamiątkę - odparł Maurycy. - To może ja już pójde...

- Czekaj, mówię! A bilet masz? - Zmorak przeklął w duchu.

A jeśli już mowa o duchach, to ciekawe, jak daleko już mu uciekł ścigany saiva? Nie powinien oddalić się za bardzo od nośnika, który Zmorak miał przecież na plecach, ale z drugiej strony, cholera go wie. Zmorą chyba nie był, ale Maurycy nie zdążył tego sprawdzić. Raczej saivą-wampirem energetycznym, typem, co to usadawia się

w miejscu, gdzie jest dużo nieprzytomnych albo znajdujących się w kiepskim stanie ludzi i korzysta sobie po cichu, i napycha się ich energią. Messa szkoleniowego zagłowca była bardzo dobrym miejscem. Maurycy miał świadomość jednak, że tacy goście najczęściej, prędzej czy później, przeistaczali się w zmory. Dodatkowo była też opcja, że przeskoczy na inny nośnik, ale mało prawdopodobna. Musiałby akurat natrafić na nośnik opuszczony przez innego saivę, który zassałby jego świadomość jak pusta butelka otwarta pod wodą.

Zmorak nie mógł zrobić nic innego, niż spojrzeć na strażnika. Przecież nie dźgnie go nożem. A może złapie go w sieć psychostatyczną? Nie. Jeszcze mu się mózg usmaży. I zniszczy taką ładną czapeczkę. Czapeczka to w końcu kluczowy atrybut każdego zbrojnego ramienia władzy wykonawczej. Konieczne z szerokim daszkiem.

Maurycy uniósł wzrok i spojrzał władzy głęboko w oczy.

- Ja pieprzę...! - Strażnik odruchowo cofnął się o dwa kroki, omal nie spadając z peronu na tory. Żółte oczy, widać, czasem się przydają i to nie tylko do straszenia dzieci po nocach. Zmorak nie zastanawiał się dłużej i pobiegł w kierunku schodów. Przeskakując po trzy schodki, dopadł do korytarza i natrafił na nowy wynalazek zastosowany przez władze miasta stołecznego zazdrosnego o dochody z kolejki drążącej jego piaszczyste trzewia. Szklane, rozsuwane bramki o wysokości dorosłego człowieka. Tak żeby nie chciało się przez nie skakać.

- Stój! - Rozległ się krzyk, który po chwili został wchłonięty przez szum i wizg nadjeżdżającego pociągu.

Maurycy wziął rozpęd i przeskoczył ponad szklanymi połówkami rozsuwanej bariery, podciągając się wolną ręką. Mosiężna lampa uderzyła go boleśnie w plecy. Zeskoczył na korytarz i pomknął w prawo nowiutkim, lśniącym korytarzem na jedynym w Polsce połączeniu dwóch linii jedynej w Polsce podziemnej kolejki. Usłyszał za sobą ciężkie kroki. Trzech ludzi. Faszyci, pomyślał. Ba, to nawet gorzej niż faszyci, wszak nie ma nic gorszego na świecie od faszyzmu, jeśli nie liczyć nadgorliwości. I whisky z lodem. Skrzywił się na samą myśl i pomknął w górę po schodach.

Na korytarzu pusto. Musiało być jeszcze wcześniej. Albo dziś niedziela. Maurycy zdał sobie sprawę, że właściwie nie wie, jaki jest dzień tygodnia. Na żaglowcu jakoś stracił rachubę. A ile szedł w tym tunelu? Z Kopenhagi to chyba kawałek jest.

Wybiegł po schodach na ulicę rozświetloną porankiem czerwonym jak reklama Coca-Coli, świecąca po drugiej stronie Marszałkowskiej - symbol wolnej Polski. O to właśnie walczyli robotnicy w Gdańsku. Maurycemu przeleciała tylko ta myśl przez głowę, gdy ujrzał biały napis. Natknął się na niego, gdy zadarł głowę w poszukiwaniu orientacji. Jego oczom ukazała się brudnoszara wieża niegdyś białego Pałacu Kultury i Nauki.

Mężczyzna rzucił jeszcze okiem na tarczę zegara, tuż pod iglicą. Piąta trzydzieści. Nieźle. Nie pamiętał, o której

godzinie zeskakiwał z pokładu Daru Młodzieży, ale chyba rzeczywiście było wcześniej. Postanowił chwilowo nie zastanawiać się nad fizycznymi możliwościami podróży podziemnej pomiędzy dwiema stolicami. Teraz musi oddać Krukowi nośnik. Saiva pewnie do niego wróci. A potem może ptaszory się wypowiedzą na tematy bardziej turystyczne.

Skręcił za budką z kebabami i pobiegł w stronę ulicy Próżnej.

Nadwiślański świt rozświetlał jasnozielonym blaskiem młode liście rozłożystych koron drzew, szumiących ponad pomnikami nagrobków na Starych Powązkach. Słońce znajdowało się jeszcze zbyt nisko, żeby dotrzeć do powierzchni cmentarza, więc ziemne ścieżki, nieco mokre po nocnym deszczu, pławiły się w wilgotnym półmroku.

- I gdzie on polazł, krucafuks? - odezwał się ochrypły głos. Odbił się delikatnym echem od zadaszenia katakumb.

- Tam jest! - zawołał drugi głos przeciążonym altem.

Zza filara wychynął niewielki czarny cień i przemknął pomiędzy jasnymi nagrobkami.

- Dawaj, za nim! - krzyknął zachrypły.

Obok nagrobków wynurzyła się chuda, wysoka postać w brudnej kurtce i podartych jeansach. Przytrzymała na głowie czapkę z daszkiem i pomknęła za czarnym cieniem z gracją strusia z zagipsowaną nogą.

- Zdzisław, czekaj! - zawołał za nim drugi głos. Na scenę wkroczył okrągły, niski mężczyzna w poplamionej, niebieskiej kufajce, niedopiętej na okazałym brzuchu.

- Kocisko zapieprzyło mi kielbasę! - krzyczał Zdzisław. - Człowiek nie może sobie w spokoju wypić o świcie wódki na Powązkach i zagryźć kielbachą. Dawaj, Henryk, dorwiemy sukinkota.

Ceglany tunel nagle zakończył się metalowymi drzwiami z zadrutowanym oknem. Aleksander odwrócił się i nasłuchiwał. Ten szaleniec w kolorowym kocu i z podejrzaną siecią gonił go cały czas. Żołnierz nie do końca wiedział, gdzie właściwie się znajduje. Wcześniej nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest na zagłowcu. Nigdy nie widział tak ogromnego statku. Wciąż myślał, że siedzi w garkuchni w przytułku na Dzikiej, w dobrze znanym Cyrku, albo w tym mieszkaniu na dwunastym piętrze, tam, gdzie kiedyś stał Cyrk. Gdy był głodny albo spragniony, wychodził sobie na środek sali i siadał na ławie przy jakichś młodych ludziach. Siadał blisko nich, bardzo blisko. Tak blisko, że czuł ich ciepło, czuł ich krew buzującą w ciepłych żyłach. Wyczuwał energię, której mieli aż za dużo. Przecież mogliby mu troszkę użyczyć, prawda? I tak mieli jej aż nadto. A on? Coraz mniej energii, coraz mniej ciepła...

Do Mani nie mógł już przychodzić. Wcześniej chadzał codziennie, jeśli miał siłę, albo co najmniej raz w tygodniu, gdy czuł się gorzej. Z Cyrku było niedaleko, mimo to często

wracał tak osłabiony, że potem całymi dniami musiał czekać w mieszkaniu na powrót właścicieli. Wiedział, że lampa była ważna, ta mosiężna lampa, która wisiała jeszcze w mieszkaniu przy Nowogrodzkiej czternaście, gdzie spotykał się z Marią, gdzie ją... zabił. Aleksander przełknął ślinę i zadrżał na samo wspomnienie tego dnia.

Na Nowogrodzką nie mógł chodzić, za daleko. Kiedyś próbował i zasnął po drodze. Stracił przytomność, a potem obudził się znowu w mieszkaniu na dwunastym piętrze wieżowca, w którym nowi właściciele powiesili sobie jego mosiężną lampę. Wcześniej Bartenjew mieszkał w innym miejscu i strasznie się w nim dusił. Nie był w stanie nawet wychodzić poza swoją lampę.

A teraz? Teraz wybiegł z żaglowca i uciekł do jakiegoś obcego miasta. Skąd lampa wzięła się na żaglowcu? Jak długo tam był? Nie miał pojęcia. Ważne, że nie musiał już tam siedzieć i czerpać sił z młodych chłopców i dziewcząt przesiadujących w garkuchni. Wcześniej nie mógł opuścić tego pomieszczenia, ale to się zmieniło, gdy lampa upadła na podłogę i zabrał ją ten wariat. A niech ją sobie bierze, pomyślał Bartenjew, już mi niepotrzebna. Czuł się jak nowonarodzony, pełny sił i energii, miał wrażenie, że może wszystko, że nic mu nie przeszkodzi. Musi tylko stąd wyjść i skierować się od razu na Nowogrodzką, od razu do Mani. Powie jej, jak bardzo żałuje, powie jej, że jej nie zdradził, że pozostał jej wierny do śmierci. Że umarł z jej imieniem na ustach w brudnym, warszawskim rynsztoku, z dala od domu, opuszczony przez rodzinę, wyklęty przez cesarza,

odrzucony przez nową, czerwoną ojczyznę. Wierny. Powie jej, że ją jedną kochał, że żałował swojego tchórzostwa, które wstrzymało wtedy palec na spuście.

Bartenjew odchrząknął i odwrócił się do metalowych drzwi. Położył dłoń na klamce, znieruchomiał na moment, jakby nad czymś się zastanawiał. Po chwili zdecydowanym ruchem pchnął drzwi i pochłonęła go światłość.

- Tam jest kocur zakichany! - wrzeszczał Zdzisław, kuśtykając przez ścieżkę pomiędzy starymi nagrobkami. - Dawaj siatkę, Heniek, złapię gnoja i zrobię z niego kiełbasy, takie jak te, co mi ukradł.

- Mogą być niedobre - wtrącił Henryk nieśmiało.

Czarny kot siedział na szczycie białego, spiczastego nagrobka w kształcie szerokiego obelisku z rzeźbionym popiersiem młodej kobiety, umieszczonym pośrodku. W rozdziawionym pyszczku trzymał grubą, czerwoną kiełbasę i spoglądał z zainteresowaniem na dwóch kloszardów zmierzających w jego kierunku.

Nagle trzasnęły metalowe odrzwia grobowca po drugiej stronie ścieżki.

- Co jest, kurwa? - zapytał Zdzisław, stając w miejscu. Czarny kot czmychnął za nagrobek i zniknął razem z kiełbasą. Metalowe drzwi skrzypnęły i rozwarły się na całą szerokość. Henryk odruchowo cofnął się za sąsiedni

grób. Patrzył na rozwarte drzwi. Zdzisław stał jak zamurowany.

Na mokrej ścieżce przed Zdzisławem widoczne były ślady butów. Po chwili pojawiły się kolejne i kolejne, coraz bliżej chudego kloszarda, który wciąż stał nieruchomo.

- Wiej, kurwa! - zawołał Henryk, przełykając gulę rosnącą w gardle.

Mężczyzna poderwał wzrok, ale było za późno. Nagle wrzasnął cieniutkim, nieludzkim głosem, wyrzucił ręce ponad głowę i pobiegł przed siebie w kierunku bramy, zupełnie nie zważając na zwichniętą nogę.

- Zdzisław! Czeka! - Henryk pobiegł za przyjacielem.

Ślady butów doszły do białego pomnika i zatrzymały się tuż przed marmurową płytą grobowca.

Kot zeskoczył z nagrobka i przysiadł spokojnie na betonowym krzyżu nieopodal. Nie wypuszczał z pyszczka zrabowanej kiełbasy. Trzeba uważać na wrony, ostatnio są coraz bardziej bezczelne. Zanim oddał się konsumpcji, postanowił jeszcze obejrzeć scenę do końca. Zawsze intrygowały go zachowania ludzi, można się z nich wiele nauczyć o naturze i istocie świata, i o tym, kim tak naprawdę jest kot, jak powinien postępować w życiu i czym się kierować.

Dwie łamagi uciekły za bramę. Tymczasem trzeci facet, który wylazł z grobowca, co już samo w sobie zasługiwało na wysokie miejsce na liście ciekawych zdarzeń kota na

dzisiejszy dzień, oczywiście zaraz po zdobyciu kiełbaski, stanął przed białym grobowcem z rzeźbą młodej kobiety na sterczącym kawałku kamienia. Kot zawsze zastanawiał się, po co ludzie robią swoje podobizny w kamieniu. Przecież jaki człowiek jest, każdy widzi. Po co niszczyć fajny kamień? Ani potem usiąść, ani się położyć, a nawet jak się na jakimś takim zniekształconym głazie uda spocząć, to zaraz gonią. Dziwactwa.

Facet był krępy i niewysoki. Wyglądał inaczej niż inne dwunogi, jakoś nie pasował do reszty, ale kot nie do końca wiedział dlaczego.

- Mania - jęknął dziwak. - Moja Mania.

Kot spojrział na pomnik, do którego facet ewidentnie kierował swoje jęki. Oczywiście zwierzę nie potrafiło czytać, ale gdyby umiało, to przeczytałoby napis, umieszczony na płycie pod roślinną płaskorzeźbą, poniżej popiersia młodej kobiety: „Maria Wisnowska, Artystka Sceny Polskiej”.

Aleksander Bartenjew klęczał przed kamiennym obliczem Marii, podobnie jak w przeszłości. Patrzył na jej zamarznęte w marmurze bujne włosy. Łapał zalotne spojrzenie ogromnych, głębokich oczu. Czuł zapach jej skóry o poranku. Kwietny zapach perfum Mani. Wspomnienie tych wszystkich dni, które razem spędzili. Wspomnienie życia.

Porucznik nie miał złudzeń, wiedział, że Maria nie była dla niego. Mówił mu to ojciec, mówili koledzy z pułku w Cytadeli. Lecz on się starał. Po wielu wizytach w teatrze, gdzie siadał w pierwszym rzędzie, wydawał na bilety ciężko zarobiony żołąd tylko po to, żeby móc choć przez chwilę popatrzeć na Marię, choć przez chwilę być blisko. W końcu zwróciła na niego uwagę.

- Piękna dziewczyna, nie ma co - mówili oficerowie. - Nie dla ciebie, carski żołądaku! Nie dla ciebie ta śliczna Poleczka, kochasiu, chodź, napijemy się, to ci przejdzie.

I Bartenjew szedł i pił.

- Katoliczka! - krzyczał ojciec. - Katoliczka z Priwislanskiego kraju! Ty jesteś carski żołnierz! Rosyjski oficer! Nie dla ciebie jakieś Polki, artystki i aktorki - powtarzał. - Chodź, napijemy się.

I Bartenjew szedł, a potem Bartenjew pił.

- Za wysokie progi, oficyjerze - naigrywali się malarze i artyści, znajomi Marii. - Opuść, ona cię nie chce - szeptały aktorki i szeleściły swoimi długimi sukniami. - Są inne. Odejdź. - Mrugały zalotnie.

I Bartenjew szedł. A potem pił.

- Ja wiem, że wy carski przedstawiciel - mówił dyrektor teatru, podając papierosa. - Ale musicie z Marysią? - Wypuszczał spod sumiastych wąsów kółka z dymu, które wirowały w miejscu, a potem rozwiewały się w obłoczki i uciekały oknem na warszawską ulicę. - Ona nie dla was. Pobawi się wami i zostawi. Aktorki takie są. - Pochylał się nad kawowym stoliczkiem i uśmiechał się znacząco. - Wiem

coś o tym. Ja nie chcę skandalu, panie oficerze, to jest porządny teatr – dodawał. – Niech pan przyjdzie wieczorem do Kochańskiego. Napijemy się. Ja stawiam.

I Bartenjew szedł. A potem Bartenjew pił.

Ale zawsze wracał. Nie zważał na to, co mówią. Po każdej takiej rozmowie, po każdej pijackiej nocy, gdy miał przepustkę z Cytadeli, Aleksander zawsze wracał. Kupował bilet do teatru i siadał w pierwszym rzędzie, śledząc każdy jej ruch, każde drgnięcie skóry na policzkach, na jej alabastrowych ramionach, skóry delikatnej jak jedwabna chusteczka. Sycił się jej spojrzeniem. Umierał w jej uśmiechu. Pławił się w kwietnym zapachu, gdy czasem wychodziła do niego po spektaklu. Chłonał jej głos jak powietrze. Nie mógł inaczej. Nie zważał na to, że nie miała dla niego dużo czasu. Nie zauważał delikatnego rozbawienia balansującego na granicy uprzejmego uśmiechu, gdy podchodziła do niego i podawała mu dłoń do ucałowania. Nie dbał o odwrócone spojrzenie na ulicy.

A potem odchodził. Odchodził i pił. I kupował kolejny bilet do kilkuminutowego szczęścia. Następnie był pocałunek, namiętność jak wybuch wulkanu, jak huk karabinu. Były uśmiech, ciepło, miękkość jej skóry na jego policzku. Potem krzyki, rozstania, powroty, wymiana obrączek.

Miała wyjechać do Ameryki. Słusznie. Dusila się w Polsce. Przecież ona mogła być drugą Modrzejewską. Ba! Mogła ją przerosnąć, mogła być gwiazdą lśniącą na deskach teatrów całego świata. Jego Mania...

Jego Mania chciała umrzeć. Wiedział to i czuł. Inni mówili, że ona tylko się przekomarza, że to poza, artystyczne fanaberie rozkapryszonej kobietki. Ale nie, to nieprawda. On wiedział, że ona chciała umrzeć. Chciała żyć i nie żyć. Być i nie być. Kochać i nie kochać. Skrajność, jej natura, istota piękna.

Bartenjew huknął pięściami w marmurową płytę i zawył. Kochał Marię. Wciąż ją kochał. Zabił ją, bo tego chciała. Zastrzelił ją ze swojego wojskowego pistoletu... i nie poszedł za nią, choć obiecał. Kochał ją, ale nie mógł za nią pójść, nie mógł pociągnąć za spust, uwalniając drugą śmierć, czekającą tylko na rozkaz, żeby zagłębić się w jego udręczony mózg.

Położył się na chłodnej płycie grobu, zaszlochał i zniknął.

¹ *Please, could you get me to the centre?* (ang.) – Czy mógłby mnie Pan zawieźć do centrum?

² *Próżna street, please* (ang.) – Na ulicę Próżną, poproszę.

III. MAFIJNE PORACHUNKI W RADOVII

W Śródmieściu było ciasno i duszno. Latarnie gazowe rozświetlały tylko niewielkie plamy chodników w pobliżu. W powietrzu unosiła się ciężka, zawieszista mgła. Jay miał wrażenie, że musi ją rozgarniać rękami, jakby pływał w basenie.

Doświadczył tego charakterystycznego, radovskiego zjawiska już nie raz i nie dwa. Właściwie to doświadczał go bardzo często przez ostatnie kilka lat, szczególnie zimą i wczesną wiosną, gdy mieszkańcy wrzucali do pieców co popadnie, żeby ogrzać swoje mieszczańskie domy.

Zatrzymał się przed zaniedbaną bramą kamienicy. Wcisnął głębiej kapelusz na głowę, postawił kołnierz skórzanego płaszcza i czekał.

Kamienica wyglądała znajomo. Spojrzał w prawo, nie obracając przy tym głowy. Furtka po drugiej stronie była

prawie identyczna jak tamta w Warszawie, tego pierwszego wieczoru, który rozpoczął z cudną blondynką, a zakończył w śmierdzącej piwnicy Radovii. Po wyjściu z szafy myślał, że zbyt mocno uderzył się w głowę i majaczy. Ale szybko okazało się, że się mylił. To się działo naprawdę. Mężczyzna miał wrażenie, że z bramy zaraz wybiegnie trzech łysych drabów. Rozejrzą się wzdłuż ulicy. Jeden wyciągnie telefon, przyjmie instrukcje, po czym ruszą przez jezdnię na drugą stronę, terroryzując po drodze spanikowanego kierowcę, który znalazł się nie tam, gdzie powinien. Nie... Tu przecież nie ma samochodów. Uśmiechnął się pod nosem. Nie będzie zresztą sprawdzał każdej bramy. Na początku robił to codziennie, ale w końcu stwierdził, że już starczy. Poza tym doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie ma dokąd wracać. Do skłóconych rodziców na Podlasiu, którzy nie rozwiedli się tylko ze względu na to, co ludzie powiedzą i że to przecież obraza Boska? Do coraz mniej atrakcyjnej kariery na uczelni? Do głupkowatych kolegów bez ambicji, zainteresowanych tylko tym, żeby mieć za co dobrze żyć, spłodzić dzieci, najlepiej co najmniej jednego syna, ale jak nie wyjdzie, to trudno, kupić auto, postawić dom, posadzić co najmniej jedno drzewo, a przy budowie ściąć co najmniej sześć? Może wróciłby dla Alicji. Tak, dla niej mógłby wrócić. Ale ona i tak pewnie już go nie pamiętała. Nigdy by jej nie zobaczył.

Radovia pod wieloma względami przypominała Warszawę, ale nie tę, w której żył, odkąd przyjechał na studia. Jeśli już, to Warszawę z filmów i starych fotografii.

Przedwojenną, jak mówili za jego czasów. Ale to nie była Warszawa. To nie była Polska. Zapewne to nie była nawet Europa.

Do końca jeszcze nie odkrył, o co w tym wszystkim chodzi, ale wiedział jedno - zostanie królem tego miasta. I to już niedługo. Nie po to wpadał do nowego świata, żeby nie zacząć życia od nowa. Tym razem zdobędzie wszystko. Rozeznał się już wystarczająco w zakresie funkcjonowania Radovii. Na szczęście prawa fizyki działały podobnie jak w Warszawie. Nawet niektóre elementy przyrody były podobne. Na przykład siarka, glin, chlorek potasu... Mieli też stal. Ale nie umieli tego wszystkiego połączyć w postać prochu strzelniczego i broni palnej. Wystarczyło tylko trochę kontaktów i środków, by przekonać lokalnych rzemieślników, a tego nie brakowało, gdy robiło się dla mafii i już zyskiwał przewagę nad resztą zakapiorów.

Jay wymacał w kieszeni broń, którą sam przygotował na tę okazję. Nie był to może jakiś bardzo zaawansowany pistolet, raczej przerobiony karabin w stylu obrzyna, ale za to z mechanizmem automatycznego przeładowania amunicji. Mechanika nie stanowiła problemu. Radovski rzemieślnik bez problemu poradził sobie z lufą, kolbą, zamkiem, spustem, komorą i tak dalej. Kluczem był przepis na proch strzelniczy, którego najwyraźniej na miejscu nikt jeszcze nie wynalazł. Jay nie pojawiał się wcześniej z nową bronią. Miejscowi mieli coś w stylu broni palnej, ale działała ona bardziej jak proca niż karabin. Z reguły były to długie, nieporęczne strzelby, najczęściej na wyposażeniu

wojska. Ach, no i zdaje się, że zaangażowano w to jakieś małe stworzenia. Wcale nie proch, wbrew pozorom. Mafia nie używała takiej broni. Była dobra do walki w równych szeregach piechoty na otwartym polu, czy do rozgania tłumy, a nie w ciasnych uliczkach Śródmieścia. Ponadto nie miała zbyt dużej siły, bardziej chodziło o huk i błysk, wzbudzenie paniki lub zasypanie przeciwnika gradem kul.

Z zamyślenia wyrwał go stukot nerwowych kroków na bruku.

- Panie - szepnął ktoś tuż przy jego uchu. - Panie, już czas.

Jay odwrócił się powoli i zobaczył przed sobą Baruela. Jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało, Baruelo był krasnoludem - dość niskim, krępy i szeroki w barach, co teoretycznie wskazywałoby na jego „krasnoludzkość”. Nie miał jednak brody. Mówił, że zgolił. W Mafii nie wolno nosić zarostu. Taki przepis. Pochodzenie etniczne Baruela nie miało jednak większego znaczenia. Teraz liczyło się zadanie.

Ruszyli. Nie odzywali się do siebie i szli za sobą w odległości kilku kroków. Baruelo skręcił w prawo, w lewo, potem wszedł na jakieś podwórko. Mgła była tak gęsta, że Jay ledwo widział kawałek chodnika tuż przed przewodnikiem. Wyszli na główną arterię miasta, pustą o tej porze.

Baruelo przystanął na skraju ulicy. Rozejrzał się, zupełnie niedyskretnie, po czym przebiegł przez ulicę. Nagle ciche brzęczenie nocy przerwało krakanie. Jay

rozejrzał się. Na kloszu pobliskiej latarni siedział wielki, czarny ptak. Możliwe, że kruk, ale tutaj nigdy nic nie wiadomo. W końcu można tu też spotkać latające żółwie. Ptak siedział na latarni i pilnie obserwował ulicę. Jay wzruszył ramionami i pobiegł za Baruelem, który właśnie zniknął w wąskiej uliczce, odchodzącej od głównej arterii.

- Wchodzimy, panie? - zapytał Baruelo, stając pod szerokimi, podwójnymi drzwiami śródmiejskiej kamienicy. Mężczyzna spojrzał w górę. Należałoby raczej powiedzieć, że to pałac wciśnięty pomiędzy dwie sześciopiętrowe kamienice. Wyglądał jak elegancki pan w tramwaju otoczony barczystymi robotnikami w szarych kaszkietach. Oczywiście. Przecież Tatusiek nie mógł mieszkać w zwykłym domu.

- Wchodzimy - odpowiedział. Wyciągnął pistolet i odbezpieczył zamek. Na coś przydały się lekcje z balistyki. Chemia też. Może te studia nie były całkiem głupie? Skonsternowany Baruelo zezował na dziwną broń w dłoniach przełożonego.

- Panie... - jęknął nieśmiało.

- Wchodzimy - powtórzył Jay i otworzył kopniakiem bramę. Krasnolud wyciągnął z za pasa dwa długie sztylety i wskoczył za nim.

Rumszyk szedł chwiejnym krokiem ulicą imienia Marszałka Webera, sławnego zdobywcy Andurii. Nie miał jednak głowy do tego, żeby się nad tym zastanawiać. Jego głowa była w stanie alkoholowej wirówki i wszystkie jej zasoby myślowe zorganizowano do pilnowania drogi do domu. Kilka razy próbowała mu się wymknąć i pobiec gdzieś dalej ulicą, podczas gdy on skręcał w bok i szukał jej w jakiejś ciemnej bramie.

Musiał przyznać, że Izabela miała po części rację, wykopując go ze swojego domu na ulicę. Impreza nie toczyła się po jego myśli. Chociaż impreza jak impreza: alkohol, żarcie, kobiety, mężczyźni, jakaś muzyczka, gadanie, alkohol, żarcie, kobiety...

I mężczyźni. Rumszyk zmarszczył brwi na wspomnienie wrednego hrabiego Platerra, który śmiał mu zarzucić plebejskie pochodzenie, nieprzystające do człowieka chcącego zbyt długo konwersować z panną Izabelą. Rumszyk nie za bardzo wiedział, kim był ten arystokrata, ale nie przeszkodziło mu to zwymyślać go od krasnoludów. Pewnie to jeden z głównych powodów, dlaczego wyrzucono go z imprezy. Może to i dobrze?

Nagle nocną ulicę, pogrążoną w zadymionej ciszy, rozerwał krzyk. Rumszyk zatrzymał się. Krzyk rozległ się ponownie. Docierał wyraźnie z tego nowobogackiego pałacyku między kamienicami, tuż przy skrzyżowaniu z Arterią. Następnie usłyszał twardy huk, jakby ktoś trzasnął z ogromnego bicia. Rumszyk instynktownie wskoczył w pobliską bramę.

Znowu krzyki, znowu huk i wrzask, przeciągły wrzask przerażonej kobiety. Po chwili ciszy, w którą urywanymi kropelkami wlewał się kobiecy szloch, pod pałacyk zajechała dorożka. Rumsztyk, skryty w bramie, zobaczył, jak przed budynek wychodzi dwóch ludzi: jeden wysoki w czarnym płaszczu i szerokim kapeluszu, drugi niski i krępy. Ten wysoki powiedział coś do wnętrza dorożki, po czym jacyś ludzie wynieśli z bramy ciało. Blask latarni padł na twarz trupa, krwawiącego z kilku głębokich ran na piersi. Rumsztyk wciągnął powietrze i cofnął się głębiej w bramę zasłaniając ręką usta. Serce waliło mu jak oszalałe. Skulił się pod ścianą.

W ciemności trzasnął prawdziwy bicz i dorożka ruszyła ulicą przez mgłę. Stukot drewnianych kół jeszcze przez chwilę mieszał się ze szlochem i lamentami dobiegającymi od strony pałacyku.

Następnego wieczoru, gdy opadł pierwszy kurz i ucichły wrzaski, Jay przystąpił do kolejnego etapu zadania, które sam sobie wyznaczył. Eliminacja poszła gładko, przekupieni ochroniarze Tatuśka nie przeszkadzali za bardzo. Żaden nie musiał umrzeć. Młodą wdowę szybko wywieźli za miasto i pewnie wciąż jedzie w kierunku wygodnej daczy Tatuśka, gdzie posiedzi sobie, aż wszystko się poukłada, naturalnie z odpowiednią opieką. Teraz trzeba przystąpić do etapu drugiego.

Afirmacja.

Jay siedział w głębokim, skórzanym fotelu za masywnym, dębowym biurkiem w gabinecie Tatuska, na ostatnim piętrze pałacu szefa Mafii. Splótł dłonie przed sobą na blacie. Wzrok spoczął na sygnecie, którego jeszcze przedwczoraj sam musiał całować na palcu Tatuska. Teraz już nikt nie będzie mu mówił, co ma robić.

Tatusiek sam wyciągnął go z dna miejskich otchłani aż na szczyt mafijnej hierarchii. Polubił go wyraźnie od pierwszych dni, gdy Jay, zagubiony po niespodziewanym zdarzeniu na Nowogrodzkiej, znalazł się w zupełnie innym świecie, w zupełnie innym czasie. Sam do końca nie wiedział, czy to sen albo jakieś zwidy po dragach. Nie przejmował się tym. Ostatecznie sprawy poukładały się całkiem dobrze. Może nawet lepiej, niż mógł tego oczekiwać od niedoszłej przyszłości w zawodzie inżyniera.

Do Mafii trafił przypadkiem. Po jakimś czasie od przeniesienia do Radovii, gdy już zdążył się zorientować, że jakkolwiek rzeczywistość, która go otacza, może być snem albo urojeniem, tak głód i potrzeba schronienia były jak najbardziej realne. Jak na złość, pomimo niewątpliwej zmiany miejsca i czasu, pora roku pozostała taka sama i Jay trafił prosto w środek rozmazanej, miejskiej, zimowej pluchy. Zatrudnił się w restauracji na zmywaku. Jako student miał już pewne doświadczenie w tej branży. Szybko zauważył, że knajpka należała do lokalnych oprychów i służy im za miejsce spotkań i pralnię brudnych pieniędzy. Zakręcił się tam, gdzie trzeba, pokazał się komu trzeba, aż pewnego dnia sam Tatusiek wpadł do knajpy, a Jay akurat

pracował za barem. Podśluchał, jak mówili o jakiejś nowej akcji. Potrzebowali kogoś na zastępstwo. Jay natychmiast zgłosił się na ochotnika. Z początku nie chcieli go wziąć, szczególnie Brudny Józef stawiał opór, potrzebował Jay'a w knajpie. Pozostali mafiosi również nie wyrażali entuzjazmu, a jeden z nich nawet chciał go wyrzucić z restauracji, w dość fizycznym rozumieniu tego słowa. I wtedy Jay znokautował go jednym, celnym ciosem w podbródek. Drab kompletnie nie spodziewał się ataku ze strony chłopaka zza baru i padł na ziemi jak długi, bez przytomności. Fakt, kastet ściskany w kieszeni pomógł, mimo to Jay sam się zdziwił skutecznością swojego ataku. Pozostali skoczyli na równe nogi. Brzęknęły noże i rozmaite inne ostrza, które powyciągali z zakamarków skórzanych płaszczów. Sprawa zaczynała kształtować się dość problematycznie. Brudny Józef zniknął gdzieś w kuchni, najwyraźniej spisując chłopaka na straty. Jay został sam przeciwko pięciu uzbrojonych i wściekłych mafiosów.

I wtedy Tatusiek uniósł dłoń. Nie zrobił nic innego. Po prostu uniósł dłoń i w ten sposób uspokoił swoich podwładnych. Nie tylko nie kazał go zabijać, ale dodatkowo przyjął chłopaka na próbę, twierdząc, że zawsze potrzeba mu dzielnych, młodych ludzi, którzy potrafią podejmować szybkie decyzje.

Jay uśmiechnął się pod nosem, siedział teraz w fotelu, za którym jeszcze niedawno stał za Tatuśkiem i wypełniał wszystkie jego polecenia, a gdy mógł, doradzał. Jego inżynierska wiedza, choćby wyniesiona tylko z pierwszych

lat studiów, okazywała się zaskakująco przydatna w tym świecie, w którym małe ludziki wystrzeliwały kule z karabinów za pomocą sprężynowych zamków, a miejsce telefonów zajmował skomplikowany system rur i kanałów rozciągających się pod miastem i chyba również poza miastem, ale tego jeszcze nie wiedział do końca. Gnomy, bo tak nazywano małe uniwersalne ludziki, stanowiące krwiobieg tej dziwnej cywilizacji, zbierały głos nadawcy wiadomości do specjalnych tub i z zadziwiającą szybkością pędziły tunelami do odbiorców. Wbrew pozorom rozmowa prowadzona za pomocą tego środka komunikacji mogła trwać godzinami i to bez żadnych zakłóceń. Kiedyś Jay był świadkiem rozmowy odległościowej z przywódcami Mafii z innych miast Imperium, chyba nawet z samej stolicy, z cesarskiej Sidry. Wyglądało to trochę jak rozmowa przez Skype'a z opóźnieniem z powodu kiepskiego łącza.

Mężczyzna strzelił palcami. Sięgnął do szuflady i wyciągnął cygaro. Powoli, pieczołowicie odciął końcówkę, a następnie zapalił. Wstrzymał oddech, po czym roztań dębowy smak na podniebieniu i z zadowoleniem wypuścił kłęb dymu. Obok Jay'a stał Baruelo i uważnie obserwował pomieszczenie. Mdłe światło gazowych latarni wpadało przez wysokie, wąskie okna o matowych szybach i mieszało się z tytoniowym dymem, który leniwie unosił się nad głowami zgromadzonych w pokoju ludzi. Przybyło jednak, nie licząc Baruela, również dwóch krasnoludów: Giorgio i Fabio, obaj ogoleni na łyso i z przystrzyżonymi równo bokobrodami. Obok nich stał tunelowiec John. Był wyższy

od innych o głowę, ale za to chorobliwie chudy i o nieproporcjonalnie krótkich nogach i długim tułowiu. Na nosie nosił skórzane gogle, których nie zdejmował nawet w mrocznym pomieszczeniu. Z szerokich rękawów kurtki wystawały dłonie o trzech palcach.

- Dziękuję za przybycie - odezwał się Jay, strzepując popiół z cygara do kryształowej popielniczki, podsunętej przez Baruela. - Zastanawiacie się, czemu was wezwałem - kontynuował.

Odpowiedziało mu pełne napięcia milczenie. Jeden z ludzi poprawił kapelusz. Fabio odchrząknął głośno. Tunelowiec strzelił po kolei każdym z trzech nieproporcjonalnie długich palców chudych dłoni. Na ten dźwięk Giorgio jęknął, ktoś inny westchnął.

- Wybaczcie - odparł chudzielec brzęcącym jak przeciągnięcie pilnikiem po zardzewiałych kratkach więzienia głosem.

- No więc - powiedział Jay po chwili.

Fabio mruknął coś pod nosem i skrzywił się boleśnie. Wszyscy zgromadzeni wiedzieli, że krasnolud był językowym estetą i nie znosił zaczynania zdania od „no więc”. Jay najwyraźniej nie zauważył wywołanej przez siebie konsternacji i mówił dalej:

- Jak wiecie, nasz wielce umiłowany przewodniczący, nasz Tatusiek, miał nieprzyjemny wypadek. - Uśmiechnął się jadowniczo. - Właściwie to wypadek, który zasmucił nas wszystkich swoim śmiertelnym efektem - dodał, zniżając głos.

Gdzieś w kącie rozległo się nerwowe szuranie. Ktoś charknął głośno i spod jednego z kapeluszy wyleciała ledwie dostrzegalna kropelka śliny. Zawisała na moment w powietrzu, po czym opadła bezgłośnie na wypolerowany parkiet.

- Na szczęście, w tym całym nieszczęściu, nasz Tatusiek był jak zawsze przewidujący - podjął po chwili Jay, rozpierając się na fotelu. - Przewidział, co powinno się stać z naszą... organizacją w przypadku jego śmierci. Ach, Tatusiek, zawsze o nas myślał! Był dla nas jak ojciec. Baruelo! - Jay skinął na krasnoluda. Ten wyciągnął zatkniętą za pas niewielką kopertę. Uniósł ją w górę i pokazał wszystkim naokoło. - To oryginalna pieczęć Tatuśka z jego rodzowym herbem - wyjaśnił Jay. - Czy ktoś ma jakieś wątpliwości? - zapytał. Odczekał chwilę, a Baruelo powoli prezentował kopertę z każdej strony. - Dobrze. Dostaliśmy tę kopertę od szanownej małżonki naszego drogiego Tatuśka, świeć, Panie, nad jego duszą. Niestety, pani Tatuśkowa nie mogła z nami dzisiaj być, ponieważ wzburzenia po śmierci męża zmusiły ją do wyjazdu na wieś. Na bardzo odległą wieś. No, ale pani Tatuśkowa, pomna wielkiego dzieła, jakie pozostawił jej mąż, nakazała nam - wskazał końcówką cygara na siebie i Baruela - odczytać wolę Tatuśka, w której zawarł ponoć szczegółowe instrukcje co do przyszłości naszej organizacji. Ależ panowie! - powiedział nagle, wstając z fotela. Wywołał tym niespokojne poruszenie na sali. Rozległ się szcęk metalu. Coś zgrzytnęło złowrogo. Giorgio nabrał powietrza,

nadymając się przy tym jak wielka, brodata kulka. -
Siadajcie, proszę. - Jay wskazał na skromne krzesła,
ustawione pod ścianami.

Nikt się nie poruszył. Jay uśmiechnął się i klasnął
w dłonie. Podwójne drzwi do pokoju rozwarły się z hukiem
i do pomieszczenia wpadło kilkunastu drabów
w czapeczkach cyklistówkach. Wszyscy trzymali w rękach
grube, metalowe drągi i patrzyli groźnie po zgromadzonych
znad kwadratowych szczęk. Sękate dłonie krasnoludów, jak
na rozkaz, wystrzeliły do pasów, przy których wisiały
długie, smukłe szpady. Kilku mężczyzn w kapeluszach
sięgnęło sugestywnie pod prochowce.

- Ależ proszę panów - powiedział z uśmiechem - proszę
się nie denerwować - dodał i z hukiem położył na blacie
coś, czego wszyscy się bali i natychmiast wyciągnęli ręce
wzdłuż ciała, puszczając rękojeści broni. Zanim tu przyszli,
wszyscy zdołali się dowiedzieć, w jaki sposób Jay wykończył
Tatuśka.

Uśmiechnął się ponownie i skinął dłonią w kierunku
ściany. Dziesięciu drabów podeszło do krzesel i przemieścili
je za każdego ze zgromadzonych.

- Pan też, panie Retifer - dodał Jay.

Z cienia, który gęstniał w kącie, wyłonił się chudy
osobnik w wysokim, czarnym cylindrze. Nosił długi,
skórzany, czarny płaszcz i wydawało się, jakby cień z kąta
lepił się do jego sylwetki, gdy wychodził na środek sali.

- Dziękuję - powiedział, patrząc na pistolet
spoczywający na blacie biurka. Część zgromadzonych

usiadła, a ci, co tego nie uczynili, zostali szybko nakłonieni ciężkim ramieniem najbliższego draba.

- Dobrze - powiedział Jay z zadowoleniem. - Panie Baruelo, proszę złamać pieczęć.

W pokoju rozległ się trzask wosku, a następnie szelest rozkładanego papieru. Krasnolud odchrząknął i zaczął czytać.

- Bardzo się cieszę, że panowie przyjęli wolę Tatuśka z taką aprobatą - powiedział Jay. Przed nim wznosił się las rąk zgromadzonych w pomieszczeniu mafiosów.

- Kto jest przeciw? - zapytał Baruelo. - Nie widzę. Kto się wstrzymał? Nie widzę. Dziękuję.

- No! - zawołał nagle Jay, powodując tym nerwowe poruszenie na sali. - Wypijmy za zdrowie Tatuśka - dodał, po czym skinął na drabów, którzy podali każdemu szklanki z ciemnozłotym płynem. - Zdrowie!

IV. OSTATNIE ZLECENIE TATUŚKA

Świeże pędy traw śmiało przebijały zeschniętą ściółkę. Jasnozielone pączki odznaczały się na suchych gałęziach drzew i krzewów. Owady wypełzały z dziupli i spróchniałych pni porozrzucanych po lesie jak zapałki. Dwa zające ganiały się po pobliskiej polanie, obserwowane przez zdezorientowanego koziołka, który zastanawiał się, o co w tym wszystkim biega. Ptaki wrzeszczały jak oszalałe, oświadczając światu, co było widać już na pierwszy rzut oka, a koziołek wciąż tego nie rozumiał: wiosna brała las szturmem.

Promienie słońca z łatwością przedzierały się pomiędzy łysymi gałęziami drzew i prychnając z zadowoleniem, ocierały się o poszycie lasu. Powietrze starało się jednak studzić ten szalony zapał i wciąż oplatało pnie drzew chłodnym, zimowym całunem.

Zerwał się wiatr. Klekotał suchymi gałęziami i przynosił dobrze znany zapach. Koziółek poruszył nozdrzami, po czym czmychnął w pobliskie zarośla. Zające zatrzymały się chwilę później, zatrzęsły uszami i również uciekły w podskokach.

Na polanę wszedł człowiek. Postawił kołnierz długiego, wełnianego płaszcza i poruszył ramionami. Z cienia rzucanego przez rondo wysokiego, czarnego cylindra wystawał tylko podbródek, ostry jak czubek damskiego buta, oraz wykrzywione w dół, wąskie usta.

- Jestem - oświadczył w kierunku drzew. - Mam towar - dodał, prezentując lasowi grubą skórzaną tubę.

Mężczyzna obrócił się powoli, jakby chciał pokazać tubę wszystkim drzewom zgromadzonym wokół polany, po czym opuścił ją i znieruchomiał w oczekiwaniu. Tylko usta poruszały się nieznacznie, jak gdyby mężczyzna odmawiał jakąś modlitwę do któregoś z leśnych bóstw. Najwyraźniej nie wiedział, że o tej porze roku leśne bóstwa przebywają jeszcze zazwyczaj na zimowej przerwie w ciepłych krajach. Przylecą na grzbietach bocianów, gęsi albo innych podróżnych, którzy akurat będą się udawali w tę samą stronę. Ptasiostop to środek transportu powszechnie stosowany na całej Połównie przez istoty pozazmysłowe.

- Nikt cię nie śledził? - odezwał się głuchy głos po pełnej napięcia ciszy. Dochodził ze wszystkich stron jednocześnie.

- Nie - odparł kapelusznik.

W odpowiedzi zapadła kolejna, dłuższa niż poprzednia, chwila ciszy. Nawet zwariowane w wiosennym amoku ptaki umilkły albo odleciały hałasować gdzieś indziej. Napięcie nabierało mocy jak zaciskana z wolna pięść.

- Dobrze - zdecydował w końcu niewidoczny rozmówca.

- Podaj hasło.

- Jakie hasło?

- No... Takie specjalne wyrażenie, żebym wiedział, że mam do czynienia z tym, z kim powinienem mieć do czynienia.

- W dupie mam hasło - odpowiedział kapelusznik.

- I ja ciebie też - odparł głuchy głos, wyraźnie artykułując każdą sylabę. - Dobra, wszystko się zgadza. Podejdź.

Na skraju polany zapłonął ogień.

Mężczyzna ze skórzaną tubą, mimo zdziwienia obrotem sprawy, ruszył z wolna w kierunku ognia. Płomień wyglądał, jakby ktoś wywiercił w ziemi maleńki otwór, przez który trysnęły wąskim słupem ognie piekielne.

- No chodź, chodź, nie bój się - zachęcało echo. - Przecież nie gryzę.

Kapelusznik rozejrzał się jeszcze raz czujnie, ale nie dostrzegł nic podejrzanego, ot, zwykły wiosenny las i polanka, a na jej skraju płonie po prostu wąskie, pionowe ognisko. A to, że gada, to co? Ogniska czasem tak mają.

Skorupa ziemna Połówki nie była szczególnie gruba, więc często dochodziło do przecieków z wnętrza, gdzie wszystko się gotowało. Alfonso del Rey co prawda nie widział wcześniej takiego zjawiska na żywo, ale słyszał o nich. Nie był w stanie jednak sobie przypomnieć, czy w tych przekazach wspomniano cokolwiek na temat prowadzenia konwersacji z tymi ogniskami, ale cóż... Świat jest zaskakujący i pełen cudów.

Kurier podszedł do dziwnego ogniska na tyle blisko, że czuł na twarzy pęd powietrza zasysanego przez płomień. Jego usta wykrzywiły się jeszcze bardziej.

- Dobra - odezwał się głuchy głos. Tym razem dochodził z ognia. - Zostaw tubę i możesz spadać.

- A zapłata? - zapytał mężczyzna, nie tracąc czujności.

- Stoi za tobą - odparł ogień.

- Co? - zaczął kapelusznik, odwracając się przez ramię.

Dokładnie na środku polany stał spanikowany zając. Patrzył w stronę Alfonsa i cały się trząsał jak galareta.

- Zając - stwierdził.

- Ano zając - potwierdził ogień. - Nikogo innego nie udało mi się dorwać, żeby przynieść zapłatę. Ferie są. Jak chcesz, możesz też go wziąć. Nie jest mi potrzebny.

Zając zatrzęsał w panice uszami.

- Nie potrzebuję zająca - odparł kurier. Powoli wycofał się w stronę spanikowanego zwierzęcia. Nie odłożył jednak tuby. Przewiesił ją przez ramię.

- Ej, co jest?

- Skąd mam wiedzieć, że ten futrzak nie zwieje z zapłatą, gdy tylko położę towar? Nie jestem głupi.

- Nie zwieje, nie zwieje. Dawaj towar! - zawołał ogień. Jego głos brzmiał, jakby ktoś puścił nagranie z koncertem rockowym w środku jaskini.

Kurier nie zważał jednak na protesty kontrahenta i powoli podszedł do zająca, który w łapkach trzymał niewielką, elegancką teczkę z brązowej skóry. Zwierzak tak się trząsł, że ledwo utrzymywał pionową pozycję, spojrzał na kuriera rozbieganym wzrokiem. Nagle z rękawa płaszcza kapelusznika wystrzeliły długie, zakrzywione szpony i chwyciły za teczkę. Zając puścił zapłatę i upadł na ziemię bez przytomności.

- Coś zrobił?! - Pionowy słup ognia zaczął się rozdwajać, a następnie się potroił, sycząc przy tym jak odkręcony kurek z gazem. Końcówka płomienia, sięgająca niebezpiecznie blisko najniższych gałęzi pobliskiego dębu, nabrzmiała jak nadmuchiwana bańka. Nagle dwie nowe odnogi płomieni załamały się i wyciągnęły się równolegle do ziemi w stronę zająca.

Kurier rzucił tylko przez ramię krótkie spojrzenie na płomień, nabierający wyraźnie humanoidalnych kształtów, po czym ścisnął teczkę pod pachą, schował skórzaną tubę pod płaszczy i skoczył w stronę przeciwną do ognia.

- Stać! W imię cesarza! - rozległ się krzyk od strony lasu. - Nie próbujcie żadnych sztuczek, jesteście otoczeni.

Jakby dla podparcia tego stwierdzenia, dokoła polany rozbrzmiały charakterystyczne brzęknięcia szabel

i halabard. Kilka karabinowych gnomów zameldowało gotowość do strzału. Kurier zamarł w miejscu.

- Ani kroku dalej! - Spomiędzy drzew wyłonił się cesarski oficer w paradnym mundurze i z błyszczącą szpadą u pasa. Na głowie nosił wysoką, futrzaną czapę. Jego kwadratowa twarz była ozdobiona trefionymi, zakręconymi ku górze wąsami i według Alfonsa idealnie pasowała do szerokiej, choć niezbyt wysokiej sylwetki.

Kurier zatrzymał się i zacisnął mocniej pas płaszcza. Ogień syknął gdzieś za jego plecami, po czym ucichł. Powoli zaczynały śpiewać ptaki, z początku jakby na próbę, ale po chwili coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu rozświergotały się na dobre, być może chciały wykurzyć ze swojego lasu całe to impertynenckie towarzystwo dwunogów i pokazać im, kto tu rządzi. Z wysokości gałęzi, bez zbędnego zmniejszania dystansu.

- Ręce do góry! - ryknął oficer.

Kapelusznik byłby nie posłuchał, gdyby nie świadomość wymierzonych w swój kark naładowanych karabinów i zbliżających się ostrzy, za którymi z lasu wyłoniło się co najmniej tuzin cesarskich żołnierzy. Del Rey nie bał się broni białej, ale nie miał szczególnego zaufania do karabinów w rękach żołdaków. Przecież któremuś mogły puścić nerwy i pociągnąłby za spust, uderzając w ten sposób skrzata siedzącego w magazynku. On

błyskawicznym ruchem wrzuciłby nabój do komory, naciągnął sprężynę i bam! Potem można by tylko liczyć na zezowate spojrzenie żołnierza. W tym jednym nic nieznaczącym elemencie przyrody zawierzyć swoje życie. Śmierć nie była jednak zbyt częstym następstwem karabinów wyrzutowych. Zdarzała się praktycznie tylko wtedy, gdy ołowiana kulka trafiła przeciwnika w odpowiedni punkt, dokładnie między oczy albo prosto w oko. Czasem też w reakcji na huk towarzyszący wystrzałowi delikwent upadał lub dostawał nagłego ataku serca. Sprężyny karabinów specjalnie skonstruowano w ten sposób, żeby przez lufę razem z kulą wylatywały huk i błysk. Z tego powodu tylko gnomy mogły służyć w tej elitarnej formacji wojskowych naciągaczy. Co więcej, tylko one wiedziały, jak robić tego rodzaju sprężyny.

Kurier powoli uniósł ramiona na wysokość głowy. Tuba trzymała się pod płaszczem, nie powinna wypaść, ale mężczyzna nie chciał unosić rąk zbyt wysoko, żeby nie odznaczyła się pod materiałem. Teczka upadła na trawę.

- No już, już. Wyżej. - Oficer zachęcił go gestem dłoni w brązowej, skórzanej rękawiczce. - Wiem, co tam masz. Nie musisz tego chować.

Del Rey przeklął w myślach. Piekielnik go wystawił. Nie odwracał się za siebie, nie chciał w ten sposób prowokować zezowatego żołdaka do wypróbowania swojego szczęścia, ale wiedział, że jego kontrahent się ulotnił. W tym przypadku mogło to być nawet bardzo trafne

określenie. Zając też pewnie zwiął. Ale może warto spróbować?

- Panie władzo - powiedział, unosząc wyżej ramiona - niech pan jeszcze sprawdzi tamtych dwóch.

- Cisza! - wrzasnął oficer. - Nie mydlcie mi tu oczu! Jesteście oskarżeni o posiadanie nielegalnych dokumentów oraz działanie na szkodę Cesarstwa. Spiskujecie przeciwko Najjaśniejszemu Panu, co? To teraz zobaczycie, co znaczy karząca ręka Cesarza!

- Chyba sprawiedliwości... - wtrącił kapelusznik.

- Milczeć! - Wrzask, wbrew pozorom, wcale nie spłoszył ptaków z okolicznych gałęzi, a sprawił tylko, że zaczęły jeszcze bardziej zabiegać o wykurzenie intruzów ze swojej polanki. - Brać go! - rozkazał oficer.

Trzasnęły gałęzie, szczęknęły zabezpieczane karabiny, brzęknął jakiś hełm. Ciężkie, wojskowe buty zachręściły na suchej leśnej ściółce i zgniotły świeże życie, które właśnie wypuszczało pierwsze zielone pędy w kierunku błękitu słońca.

Ale nie ma czym się martwić, pomyślał del Rey, gdy wykręcali mu ręce za plecy i wiązali twardym sznurem. Życie zawsze podnosi głowę, gdy tylko ucichnie tupot wojskowych kamaszy. Przy założeniu oczywiście, że wciąż ma co podnosić.

Mała, zabrudzona lampa kiwała się smętnie pod sufitem na falach przeciągu, który wpadał przez uchylone okno.

Ceglane ściany ziały chłodem, a niewygodne krzesło wpijało się w plecy del Reya. Związane z tyłu ręce nie polepszały ogólnego odczucia dyskomfortu w zaistniałej sytuacji.

- No i co? - zapytał retorycznie cesarki oficer, pochylając się nad stołem. - Myśleliście, że jesteście cwani, co? Że możecie bezkarnie spiskować przeciwko Cesarzowi i my się o tym nie dowiemy? - wyrzucał z siebie kolejne znaki zapytania.

- Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? - odparł Alfonso spokojnym głosem. Był kurierem Mafii. Nie da się tak łatwo wyprowadzić z równowagi.

- Zamknij pysk! - powiedział drugi żołnierz. Stał posłusznie pod ścianą celi.

Był służbistą i był z tego dumny. Usiłował tego dowodzić na każdym kroku. Koledzy trochę go za to nie lubili, ale on nie zważał na takie nic nieznaczące brednie. W końcu w plecaku każdego żołnierza jest marszałkowska buława, prawda? Tak ojciec powtarzał. Dlatego w tym momencie żołnierz uniósł karabin i zamierzył się kolbą na więźnia. Gnom wyjrzał przez lufcik, niepewny, czy należy się ewakuować. Oficer powstrzymał żołnierza gestem dłoni spowitej w brązową, skórzaną rękawiczkę. Podwładny spojrzał pytająco na przełożonego, napotkał jednak jego surowy wzrok, więc opuścił niechętnie broń do nogi. Gnom westchnął i wyciągnął kolejnego papierosa.

- Imię i nazwisko? - zapytał oficer spokojnym głosem. Powoli, pieczołowicie zaczął zsuwać rękawiczkę z każdego palca.

- Jan Kowalski - odparł kurier.

Jego twarz wciąż pozostawała skryta w cieniu rzucanym przez rondo cylindra, ale nic w tym dziwnego, w końcu był ciennikiem. Kapelusze stanowiły nieodłączną część ich ciała, a słońce nigdy ich nie oświetlało. Nie do końca udało się opisać to zjawisko uczonym antropologom. Ciennicy byli bardzo rzadką rasą i trudno ich spotkać w Imperium, a już na pewno zebrać odpowiednio liczną grupkę kontrolną. Ponoć pochodzili gdzieś z Dalekiego Wschodu, z niezbadanych równin tuż przy Wielkiej Pionowej Krawędzi. Mało kto się tam zapuszczał i ponoć działy się tam dziwne, niestworzone rzeczy, dokładnie tak czytał o tym oficer.

Jedna z teorii głosi, że powstawały tam wszystkie dziwne istoty chodzące po tej Połówce. Jakie chodziły po drugiej? Nie wiadomo. Do niedawna nikt nie zdawał sobie sprawy, że istnieje coś takiego jak druga Połówka. Taki pogląd mógł zostać uznany za groźną herezję. W końcu świat, na którym życie stworzone przez bogów jest tak wspaniałe, tak bogate, nie może być tylko połową jakiegoś świata. Jakże to mogłoby być?

Teorię o drugiej Połówce przedstawił pewien kędzierzawy uczonec z Tornu, jednego z Wolnych Miast z Północy. Ponoć zobaczył w swoim teleskopie, jak odbijała się od Owocu przelatującego nad Połówką. Twierdził, za starożytnymi filozofami, że na Owocu była woda w stanie stałym, czyli lód. Od jednego z zamarzniętych jezior, które utworzyły się na jego pofałdowanej powierzchni, odbijało

się coś, co po wykonaniu dodatkowych wyliczeń, uwzględnieniu prawa ciężenia, zmienności pór roku i torów migracji gęsi i kaczek oraz bogów lasu, okazało się być bliźniaczą Połówką świata.

Z początku prawie nikt nie wierzył temu szaleńcowi z Tornu i chciano go nawet spalić na stosie, ale uratował go przypadek. W Tornie lało bez przerwy przez cztery tygodnie i za nic nie dało się porządnie rozpalić stosu. W końcu Prześwięceni Detektywi Kościoła stwierdzili, że mają w sumie ważniejsze rzeczy do roboty niż palenie zwariowanych uczonych. Na przykład tropienie zdrajców wiary wśród coraz bardziej nieostrożnych filozofów albo losowe kontrole wiary w przedszkolach. Ostatecznie uczonemu i tak mało kto wierzył, więc nie sprawiał realnego zagrożenia. A filozofowie i owszem. Mogli na przykład przekonać ludzi do tego, że Imperator powinien czasem podzielić się jakimś kawałeczkiem ze swojej wszechogarniającej władzy. A co by się wtedy stało z Kościołem? Tego woleli sobie nawet nie wyobrażać.

Obywatel Wolnego Miasta Torna, któremu nikt nie wierzył, nazywał się Mikołaj Lebkuchen i miał dużo więcej szczęścia co do zyskiwania wiary innych ludzi, w tym przedstawicieli władzy, niż del Rey przywiązany do niewygodnego krzesła w mrocznej i chłodnej celi radovskiej cytadeli. Ostatecznie poglądy Lebkuchena przyjęły się w społeczeństwie jako ciekawe i atrakcyjne, a del Rey... Cóż, może mieć ciężko.

- Dobrze... - mruknął oficer i skinął na protokolanta, który w tej chwili został dostrzeżony przez pozostałych obecnych w celi.

Mały, chudy chłopaczek ze spiczastym nosem i odstającymi uszami speszył się wyraźnie uzyskanym zainteresowaniem. Skinął nerwowo głową i zaczął skrobać piórem po pergaminie.

- Urodzony...? - oficer zawiesił głos.

- W Chatce z Piernika - odparł posłusznie ciennik.

- Dobrze... - powtórzył oficer, gładząc się dłonią po ogolonym podbródku.

Pióro skrobało po pergaminie i nagle zamarło w pół wyrazu. Protokolant pospiesznie przekartkował grubą księgę, ułożoną obok na stoliku, po czym uniósł przerażone spojrzenie. Oficer nawet na niego nie zerknął, robiąc wciąż groźną minę do więźnia.

- Co jest? - zapytał po chwili.

- Panie oficyjer... - odezwał się chłopak. - Ale... To znaczy... Nie ma takiego miasta jak Chatka z Piernika... Jest - spojrzał w karty księgi, przesunął palcem po liście - jest Chatka z Drewna, Chatka ze Słomy, Chatka z Cegieł, Chorzów, Chu...-Kupa-Kamieni-Kupa... - wyliczał.

- Dość - warknął oficer. Spojrzał na przesłuchiwanego chłodnymi stalowymi oczami. - Dworujecie sobie ze mnie? - zapytał.

- Gdzieżbym śmiał? - zarzekął się ciennik.

Żołdak pod ścianą uniósł kolbę, spojrzeniem przekazał prośbę. Oficer jednak ponownie wstrzymał go gestem.

- Słuchaj, chłystku - zaakcentował każdą zgłoskę ostatniego słowa - naprawdę lepiej dla ciebie będzie, jeżeli zaczniesz współpracować. Ja jestem miły. Ale jak mi się nie uda z tobą dogadać, to przyjdzie tu sierżant Mrokow, a z nim... uwierz mi, z nim nie chcesz mieć do czynienia - dodał i oparł się z powrotem na krześle zadowolony z zastosowanej taktycznej zagrywki psychologicznej.

- Ojej... - Zmartwił się więzień. - No, to rzeczywiście. Jak tak sytuacja wygląda, to powiem wam prawdę, cesarskie psy - powiedział i pochylił się do przodu, na ile pozwalały mu związane za plecami ręce.

Oficerowi wydawało się, że ciemność spod kapelusza del Reya skapuje na biurko i gromadzi się w małą kałużę. Wśród chłodu, który nagle powiał, mrok zaczął pełznąć w jego stronę. Ciennik odezwał się głosem, który był częścią tej ciemności:

- Urodziłem się w głębinach piekieł, tak mrocznych i niewyobrażalnie dla was obrzydliwych, że nie jestem w stanie wam tego opisać. Możesz sobie wyobrazić ciemność, chłód i nieustające wycie wiatru. W czeluściach Wielkiej Pionowej Ściany. Gdzie dzieci rodzą się czarne i ludzie nie mają głów. Gdzie ciennicy chodzą po ulicach opuszczonych miast, gdzie nawet krasnoludowie nie odważają się zapuszczać. Tam, gdzie matki pożerają własne dzieci, gdy akurat są głodne. Gdzie zwykli ludzie cierpią i tylko niegodziwcy są w stanie żyć. Urodziłem się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Oficer powoli rozszerzał oczy. Cofał się na krześle przed pełznącą ciemnością. Obraz zaczynał mu się rysować przed oczami. Wracały wspomnienia z dzieciństwa. Opowieści mamki z czasów spędzonych w domu rodzinnym. Opowieści straszne i takie, które właśnie mamki lubią opowiadać dzieciom na dobranoc, żeby się bały, żeby poznały, co to strach i mogły wejść w dorosłe życie z odpowiednio grubym pancerzem, odpornym na wszystkie niegodziwości tego świata. Oczywiście nie była to najskuteczniejsza z metod wychowawczych, ale tradycja to wielkie słowo i powinno być zawsze pisane przez duże „T”.

Z odretwienia wyrwało oficera ciche, przeprasające niemal, chrząknięcie protokolanta.

- Poruczniku Bartenjew - odezwał się chłopak.

- Tak...? - zapytał oficer, usiłując przegnać wizję Wielkiej Pionowej Ściany.

- To... Tego... Jak ja mam zaprotokołować? - zmartwił się protokolant. - Może więzień mógłby powtórzyć?

- Nie! - krzyknął Bartenjew, po czym dodał zaraz, ciszej: - Gdzie Diabeł Mówi Dobranoc. Tak proszę zaprotokołować. Jan Kowalski, urodzony w Gdzie Diabeł Mówi Dobranoc.

- Tak jest! - odparł zadowolony protokolant i zaczął skrobać dalej po swoim pergaminie.

Krople deszczu zaczęły uderzać o bruk, tuż poniżej krawędzi wąskiego, zakratowanego okienka celi. Jeśli nie

liczyć drażniącego skrobania pióra po pergaminie i okrzyków żołnierzy na służbie, którzy nawoływali się na murach cytadeli, panowała cisza. Porucznik zrobił sobie przerwę po dwóch godzinach przesłuchania i właśnie wrócił do celi w rozluźnionym mundurze.

Ze względu na swoje właściwości ciennicy byli bardzo poszukiwanym materiałem na szpiegów, zabójców czy agentów służb specjalnych. Cień i mrok zdawały się pochłaniać ich sylwetki. Bartenjew widział, jak pracował Martifer. Porucznik dowodził grupką żołnierzy, pomagającej w rozbiciu jednej z siedzib Powstańców. Pamiętał, jak ciennik wszedł w cień rzucany przez kamienicę, a był już wczesny wieczór. Po prostu wszedł tam i zniknął, a następnie z drugiego piętra rozległy się krzyki i szczęk broni. Żołnierze z oddziału Bartenjewa wyważyli drzwi i pobiegli na górę. W niedużym pokoju na drugim piętrze kilku zaskoczonych Powstańców zbiło się w grupkę i usiłowało odgonić najeżony ostrzami cień, który wirował wokół. Gdy Bartenjew wszedł z żołnierzami do pokoju, cień wpadł w ścianę i po chwili Martifer stał już za ich plecami. Dokończenie roboty stało się wtedy formalnością. Powstańcy byli tak dezorientowani, że nawet nie stawiali szczególnego oporu. Bartenjew przypomniał sobie, że po tamtej operacji Martifer zniknął. Armia wydała za nim nawet oficjalny list gończy, jak za dezercerem, ale na razie bez skutków.

Bartenjew westchnął i usiadł na krześle naprzeciwko więźnia.

Żołnierz stojący pod ścianą celi z obrzydzeniem dostrzegł, jak skóra na kapeluszu więźnia pulsuje rytmicznie. Strażnik nazywał się Julian Trąbka i nie lubił innych. Nie cierpiał obrzydliwej inności. Był szanującym się człowiekiem, pochodził z porządnej, robotniczo-chłopskiej, radovskiej rodziny z Tradycjami przez duże „T” i nie mógł pojąć, jak inni porządni ludzie, z Cesarzem na czele, akceptowali te wszystkie dziwolągi w jego wielkim, wspaniałym mieście. W ogóle nie rozumiał, dlaczego pozwalano tym wszystkim ciennikom, krasnoludom, tunelowcom, planetnikom, laskowikom, ptasznikom, gnomom i całej reszcie obrzydliwego tałatajstwa pałętać się po Imperium na tych samych prawach, co ludziom. Gdyby on, Julian Trąbka, był Cesarzem, to wygnałby to całe cholerne obrzydlistwo gdzieś daleko na rubieżę. Najlepiej pod samą Wielką Pionową Ścianę, albo jeszcze lepiej, wywindowałby ich na sam szczyt Ściany i zepchnął na drugą stronę, prosto w czeluści niezbadanych piekieł. Byłby spokoj.

Porucznik Bartenjew bujał się w przód i w tył na krześle i zataczał w powietrzu niewielkie kółka trzymaną w ręce skórzaną tubą. W pewnym momencie z trzaskiem odłożył ją na blat i spojrzał na zgarbionego ciennika. Trąbka mocniej ścisnął karabin.

- Zobaczymy może, co tu masz, co? - zapytał porucznik.

- A może sam wolisz opowiedzieć?

Ciennik milczał. Bartnejew czekał przez chwilę, aż w końcu nagłym ruchem schylił się pod biurko i wyciągnął

brązową teczkę. Rzucił ją obok tuby.

- To jeszcze mamy to - powiedział.

Pióro skrobało po pergaminie.

- Co to jest? - zapytał oficer.

- Teczka i skórzana tuba - odparł po chwili ciennik.

- To widzę.

Oficer chwycił tubę i zerwał pokrywkę. Sięgnął do środka. Więzień poruszył się niespokojnie na krześle.

- Ooo! Widzę, że coś ciekawego... - Oficer zastygł z ręką w tubie. - No, to zobaczmy.

Mężczyzna mocował się przez chwilę z zawartością. Po chwili zza skórzanej krawędzi tuby zaczął wyłaniać się zwinięty, pożółkły papier.

- Hmm... - mruknął Bartnejew.

- Zostaw! - rzucił del Rey.

Bartnejew wstrzymał rękę i spojrzał na więźnia. Zmarszczył groźnie brwi.

- Dla kogo pracujesz? - zapytał. Ciennik milczał, wciąż pochylony nad stołem. - Gadaj, dla kogo pracujesz?!

Żołnierz pod ścianą uniósł broń z nadzieją, gdy za oknem rozległy się krzyki. Huknął strzał. Zaraz po nim rozległ się drugi, a potem kolejny i głuchy grzmot wstrząsnął ścianami celi. Chaotyczne krzyki mieszały się z pośpiesznym tupotem żołnierskich butów.

Bartnejew wstał z krzesła. Protokolant uniósł podkrążone oczy znad pergaminu. Rzucona na stół tuba stoczyła się na podłogę.

- Co tam się dzieje? - zapytał Bartnejew.

Trąbka zorientował się, że jest adresatem pytania i ruszył do drzwi celi. Za oknem rozlegała się regularna kanonada. Dołączyły do niej wrzaski i szczęk metalu. Julian złapał za klamkę i w tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wpadł strzelec w przekrzywionej czapce i z bagnetem zatkniętym na karabin.

- Panie poruczniku! Powstańcy! Atakują od wschodniej bramy! - krzyknął od progu.

- Ty - rzucił porucznik do protokolanta. - Zostań z nim. - Skinął brodą w kierunku więźnia. - Idziemy - powiedział do Trąbki i wszyscy trzej wyszli z celi, zatrzasnąwszy drzwi.

Protokolant usłyszał jeszcze szczęk klucza w zamku i został sam z więźniem. Uniósł powoli wzrok znad pergaminu. Ujrzał ciemność wbijającą się w jego twarz. Więzień uśmiechnął się paskudnie, poniżej linii mroku.

Po chwili na korytarzu kazamat cytadeli rozległ się przytłumiony wrzask. Odbił się kilka razy od nagich ścian więzienia, po czym utonął w rosnącej wrzawie bitwy.

Przez wąskie okienko wpadały do celi chaotyczne okrzyki i odgłosy wystrzałów. Ktoś przebiegł na zewnątrz, bijąc podkutymi butami o bruk dziedzińca. Po chwili rozległ się strzał i coś uderzyło głucho o ścianę, przesłaniając na moment okienko.

Protokolant siedział wyprostowany na krześle. Przed nim na biurku leżała otwarta księga, zapisana drobnymi, pochyłymi literkami. Ostatni rząd kończył się w rozciągniętym szlaczku i rozmazywał się, przechodząc na fragment blatu i prowadził w dół, niemal prosto do pióra, które zwisało w ręce protokolanta. Chłopak siedział wciąż z szeroko otwartymi oczami i wpatrywał się w sufit, jakby usiłował wyczytać z niego przepowiednię własnej przyszłości. Z kącika ust ciekła ślina.

Ostrożna, doświadczona mysz wysunęła powoli pyszczek z dziury. Poruszyła nerwowo nosem i szarymi uszami. Zdawała się nie zwracać uwagi na odgłosy walki, które dobiegały zza okna. One jej nie dotyczyły. A raczej nie dotyczyły jej w sensie bezpośredniego zagrożenia życia lub zdrowia, jak uczyli brygadziści na szkoleniach z mysiego BHP. Mówili: strzały i krzyki za oknem oznaczają, że są daleko oraz że ludzie znajdują się na zewnątrz, więc nie ma ich w środku. Bezpośrednie zagrożenie niemal zawsze wiązało się z obecnością człowieka wewnątrz czterech ścian. Z reguły ich obecność poza tymi ścianami oznaczała, że można się udać na żer. Od tej zasady istniały oczywiście istotne wyjątki, jak na przykład: nigdy nie jedz sera, który leży w podejrzenie obfitej ilości na drewnianej tacce z metalowym zatrzaskiem albo generalnie nie jedz tego, czego jest podejrzenie dużo, nie włącz do dziwnych, podłużnych tubek, z których pachniało żarciem i tak dalej.

Niestety, pomyślała myszka, rozglądając się ostrożnie po sali, niestety, nie każdy stosuje się do tych zasad. Mamy

dzisiaj rozluźnienie obyczajów, istne rozpasanie mysiego narodu. Coraz więcej młodych usiłuje lansować teorię o uczeniu się na własnych błędach. Źle to się skończy, oj źle. Uczenie się na błędach nie jest dla myszy. My powinniśmy bazować na doświadczeniu starszych, a nie próbach i eksperymentach tych młodych. Uczenie się na błędach jest dobre dla słoni. Ciężkie, oj ciężkie czasy nadchodzą dla mysiego ludu.

Zamyślona myszka nie dostrzegła ruchu w kącie celi. Wychyła już śmieiej z norki i zaczęła węszyć po nierównej podłodze. Lubiła nierówne podłogi. W zagłębieniach i rowkach zawsze zostawały jakieś resztki, które ludzie przeoczą. Pod nosem myszki coś zachrząściło, trącone wąsem. Spojrzała w dół i zobaczyła pierwszorzędnny okaz okruszka chleba. Był idealny. Dokładnie taki, jakiego życzyła sobie żona: nieco przesuszony, ale jednocześnie odpowiednio nadpleśniały. Mysz uśmiechnęła się, obwąchała jeszcze z ostrożnością okruszek, po czym chwyciła go w zęby. Już miała zawrócić, gdy coś trzasnęło. Tuż przy jej uchu rozległo się przerażające szuranie. Mysz w panice wyrzuciła okruszek i gnana upiornym odgłosem pomknęła do norki.

Chwilę później mysz stała przerażona na środku swojego salonu, usiłując wytłumaczyć całe zajście zadziwionej żonie, a z zewnątrz, z celi, dobiegły kolejne dźwięki. Najpierw, gdy tylko ucichło upiorne szuranie, rozległ się brzęk metalu, a zaraz po nim gardłowy głos

wypowiedział jakieś niezrozumiałe dla myszy słowa. Oboje z żoną wyczuli jednak kipiącą z tych słów irytację i agresję.

Kolejne szurnięcie, delikatny brzęk, a potem już tylko skrobanie, cichutkie i monotonne, przerywane tylko nerwowymi sapnięciami.

- Okruszek poczeka - powiedziała pani mysz, głaszcząc czule męża po siwej głowie. - Nikt go nie weźmie. Poczeka i potem razem po niego pójdziemy - zapewniała.

Szuranie ustało. Nagle rozległy się pojedyncze trzaski pękającego materiału.

Julian Trąbka, wierny żołnierz Jego Cesarskiej Mości, wyskoczył na korytarz kazamat cytadeli. Pobiegł za porucznikiem Bartenjewem i drugim żołnierzem prosto na dziedziniec. Oficer skręcił w prawo, w kierunku głównej bramy, przytrzymując na głowie wysoką, futrzaną czapę. Żołnierz, który wcześniej przybiegł do celi ostrzec o ataku, stanął przy drzwiach na straży.

Strzały ucichły. Wokół słyhać nawoływania żołnierzy i nieartykułowane okrzyki. Od strony bramy dobiegał szcęk broni i dzikie wrzaski.

- Atakują cytadelę? Zwariowali? - zapytał Trąbka, przekrzykując tumult.

- To szaleńcy - odparł strażnik przy drzwiach. - Powstańcy to nie są normalni ludzie. Trzeba być szalonym, żeby sprzeciwiać się Cesarstwu.

Od strony bramy doleciały huk i wrzask setek gardeł. Następnie podobne odgłosy rozległy się z przeciwnej strony dziedzińca.

- Wyszadzą bramę zachodnią! Do mnie! - wrzeszczał ktoś.

Trąbka rozejrzał się po dziedzińcu. Nikt nie odpowiadał na wezwanie. Wszyscy zdawali się być przy głównej bramie. Teraz, pomyślał, teraz jest szansa. Teraz pokaże, na co go stać. Może dostanie medal?

- Idę! - oświadczył strażnikowi.

- Ja miałem pilnować... - odparł nieśmiało żołnierz w obliczu tego nagłego objawu heroizmu towarzysza.

Nie było to jednak konieczne. Trąbka chwycił karabin i pobiegł w stronę zachodniej bramy. Zmierzał na ratunek. Na to czekał całą swoją nędzną wojskową karierę. Wreszcie mógł się wykazać. Teraz im pokaże, co jest wart żołnierz z rodu Trąbków, gdzie jego miejsce: nie na ćwiczeniach, nie przy podlizywaniu się przełożonym, nie za biurkiem, nie w więzieniu, pilnując zwyrodnialców. Miejsce Juliana Trąbki jest na polu bitwy, w ogniu walki. Wreszcie zobaczą, wreszcie pożałują tych wszystkich słów, tych wszystkich obelg, ironicznych spojrzeń tego całego braku szacunku.

Trąbka uśmiechnął się pod nosem. Podkute buty uderzały o bruk w miarowym truchcie. Skręcił, mijając ścianę kazamat, myślał o medalach i odznaczeniach, które otrzyma z rąk samego Cesarza.

I wtedy rozległ się huk wystrzału i szeregowy Julian Trąbka, ze szlachetnego i starożytnego robotniczo-

chłopskiego rodu Trąbków z Radovii, padł na twarz na nierówny bruk cytadeli.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na murze zachodniej bramy, stał krasnolud. Nazywał się Fritz i właśnie spoglądał wzdłuż lufy na dziedziniec cytadeli po drugiej stronie, zdziwiony efektem pociągnięcia za spust.

- Ładny strzał, panie krasnoludzie - powiedział gnom, wysuwając małą, zakurzoną twarzączkę z magazynka podczepionego pod kolbę długiego karabinu. - Będziemy dalej walić czy fajrant?

Fritz usłyszał krzyk i tupot dziesiątek butów na dziedzińcu.

- Chyba na dziś starczy - odparł i zeskoczył z muru.

Gnom zasalutował brudną rączką i schował się z powrotem do magazynka.

Ciennik piłował więzy. Szczęśliwie protokolant miał nóż. Porządna armia, pomyślał, nawet dzieciakom dają broń. Bardzo przydatne na wypadek ataku.

Skrob, skrob, skrob, jak pióro po pergaminie. Protokolant powinien obudzić się za jakieś dwie godziny. Ciennik zdołał zamrozić na moment jego świadomość, ale długo się to nie utrzyma. Moment był idealny, skrob, skrob, ktoś mógłby nawet pomyśleć, skrob, skrob, że on sam

zaaranżował atak Powstańców, skrob, skrob, albo że to, skrob, Mafia po niego przyszła.

Nieważne, skrob, skrob... trzask! Więzy pękły jak sucha trzcina. Ciennik zerwał się z krzesła i roztarł obolałe nadgarstki. Rozejrzał się ostrożnie po sali.

Zza okna wciąż dobiegały odgłosy walki. Wrzaski i huk z prawej strony, tam chyba była brama główna, jeśli dobrze pamiętał. Po co oni w ogóle atakowali? Przecież nie mieli szans w otwartym szturmie na cesarki garnizon w samym sercu Radovii. No, ale mniejsza z tym.

W celi poza drewnianym stołem i trzema krzesłami, z których jedno okupował śliniący się chłopak, nie znajdowało się właściwie nic więcej. Ściany były jednolite, nieco skośne i schodzące się łukowato nad głową tak, że jeśli ciennik chciałby podejść do jednej z nich, to zawadziłby skórzastym kapeluszem o cegły. Na stole leżała teczka z zapłatą oraz tuba z Mapą Tuneli. Kazali mu dokonać transakcji z Piekielną Palestrą na łące w lesie pod miastem. Powiedzieli mu też, że nie wolno otwierać tuby w dziennym świetle, bo coś tam... Rumsztyk coś tam mówił, gdy przekazywał mu Mapę. Ciennik wiedział, że to bardzo rzadki, legendarny artefakt. A wyjęcie go na światło dzienne zniszczy mapę na zawsze.

Skąd tam na łące wzięli się cesarscy, tego nie mógł wydedukować. Na pierwszy rzut oka były dostępne trzy opcje. Po pierwsze, mogli zdobyć informacje od swojego wywiadu. Wydawało się to jednak najmniej prawdopodobne z uwagi na to, że wywiad cesarski w Radovii był dość hojnie

opłacany z wielu źródeł, z których skarbiec Jego Cesarskiej Mości należał do najmniej istotnych. Tatusiek bardzo pilnował tego, żeby płacić im więcej niż ich pan i władca ze wschodu, chyba że...

I tu wchodziła w grę druga opcja. Tatusiek chciał wkopać Palestę przed Cesarzami. Dlaczego miałyby to zrobić? I po co? Przecież wtedy straciłyby dobre stosunki z piekielnikami. Może potem by to odzyskał? Kto wie... Tatusiek ma swoje źródła i ma swoje powody. Nie należało się zbytnio nimi interesować, jeśli chciało się dożyć w zdrowiu co najmniej średniego wieku.

Ze względu na dbałość o własne życie i spokojną starość można jeszcze rozważyć opcję numer trzy, czyli prowokację ze strony Palesty. Była ona mało prawdopodobna, bo stracili towar, który teraz leżał sobie spokojnie na prostym, drewnianym biurku w celi w podziemiach radovskiej cytadeli oraz, po drugie, niewiele by im to dało. Chyba nie sądzili, że Mafia przejmie się jednym kurierem, nawet jeśli był ciennikiem. Po prostu by się go wyparli, a cesarscy albo zapuszkowaliby go na dobre, albo najzwyczajniej w świecie rozstrzelali na tyłach cytadeli. No, może ta druga wersja wydarzeń była nieco zbyt drastyczna. To niezrównoważeni wariaci, ale dbali o los wszelkiego rodzaju odmieńców i dziwadeł tego świata.

Kurier spojrzął na drzwi. Miał pewność, że słyszał trzask zamka, gdy wychodził ten oficer, jak mu tam, Barujew? Tik nerwowo wykrzywił mu na moment twarz.

Zastanowił się jeszcze chwilę, po czym podszedł do drzwi i szarpnął na próbę. Zamknięte.

Obrócił się i spojrzał na protokolanta. Nie sądził, żeby zostawili mu klucz, ale co szkodzi spróbować. Podszedł do wyprężonego na krześle chłopaka i obszukał kieszenie munduru. Zajrzał pod klapy kurtki, obmacał spodnie. Napięte w paraliżu mięśnie nie ułatwiały poszukiwań, ale z drugiej strony uwypukliłyby jakikolwiek przedmiot schowany w kieszeniach.

Pusto. Nie, nie do końca pusto. Ciennik znalazł jakieś szpargały należące do chłopaka, ale na pewno żaden z nich nie był kluczem. Kurier wyprostował się i podrapał nad rondem cylindra. Spojrzał na ścianę. Mała mysia dziura ziała czernią w jednolicie czerwonej powierzchni. Tam nic nie znajdzie, zdążył jeszcze pomyśleć, gdy usłyszał skrobanie. Z początku nie był w stanie dokładnie zlokalizować kierunku, z którego dochodził dźwięk. Rozejrzał się i wtedy rozległ się głuchy huk. Potem drugi i trzeci. Posadzka zadrżała. Ciennik odruchowo odskoczył pod ścianę.

Na moment dziwne dźwięki ucichły. Del Rey spojrzał na teczkę i skórzaną tubę, które wciąż spoczywały na stole. Już chciał po nie sięgnąć, gdy wstrząs wrócił ze zdwojoną siłą. Coś zagruchotało, coś stuknęło i... mógłby to przysiąc... usłyszał paskudne przekleństwo dochodzące gdzieś z okolic podłogi. Spojrzał w dół i wtedy nastąpił trzask tłuczonych kamieni. Z ziemi podniósł się kurz i ruda chmura

przesłoniła stół i znieruchomiła go na krześle protokolanta. Ciennik usłyszał drewniany łomot i znów przekleństwo.

- Kto, kurwa, stawia biurka w celi?! - zapytał ktoś z wnętrza chmury. - Panie pułkowniku, jest pan tam?

Ciennik milczał i czekał aż chmura opadnie. Ponad szarym pyłem wyłoniła się zidiociała twarz protokolanta, a chwilę później odezwał się drugi głos.

- Ty, Ezio, a może to nie ta cela, co?

- Co, że niby nie umiem kopać tam, gdzie trzeba, to chcesz powiedzieć? - warknął ten pierwszy.

- Nie, znaczy się...

- Dzień dobry - zaryzykował del Rey. - Czy mógłbym w czymś pomóc?

- Tak, mógłbyś. Czy... - zaczął wojowniczy Ezio. - Czekać... - zmitygował się, a następnie nad chmurą pyłu ukazała się okrągła, łysa głowa z chustą w czaszki, która przesłaniała połowę twarzy od oczu w dół. Ciennik zobaczył charakterystyczne, trójkątne uszy o wydłużonych w dół małżowinach. Krasnolud, pomyślał.

- O w mordę, Martell, zobacz, trzymają tu ciennika!

- Witam szanownych panów krasnoludów - powiedział ciennik, kłaniając się nisko wśród powoli osiadającego ceglastego pyłu. - Wybaczę panowie, że nie uchylę kapelusza przed tak szacownym towarzystwem, ale... -

wskazał wymownie na cylinder - sami rozumiecie - rozłożył ręce w geście bezradności.

- Taa...- mruknął krasnolud zwany Eziem.

Jeśli nie liczyć wąskiej kitki z jasnych włosów spiętych na czubku głowy fikuśną gumką, krasnolud pozostawał całkiem łysy. Również jeśli chodzi o zarost, co niewątpliwie musiało mu doskwierać. Racją jest, że co bardziej postępowi krasnoludowie nie zapuszczają już bród. Nawet można by powiedzieć, że w pewnych kręgach, z tego co wiedział del Rey, posiadanie owłosienia na twarzy uchodziło za co najmniej... hmm... prostackie. Wciąż jednak zdarzało się to tylko w niektórych środowiskach i dotyczyło tylko tych bardziej postępowych krasnoludów. A postępowi przedstawiciele dowolnego gatunku stanowią wszędzie we wszechświecie mniejszość wytykaną palcami. Z reguły właśnie dlatego w powszechnym odbiorze uchodzą za postępowych, oczywiście jeśli nie nazywa się ich w inny sposób, mniej wywyższający, ale niemniej wyróżniający spośród członków danej grupy społecznej. Krasnoludowie naturalnie nie stanowili w tym względzie wyjątku, co towarzysz Ezia dał koledze odczuć niemal natychmiast.

- Zamknij się - warknął, cedząc każdą zgłoskę przez gęstą, czarną i niewątpliwie tradycyjną brodę.

- Czym mógłbym panom służyć? - zapytał ciennik, obdarzając obu przedstawicieli równorzędnego gatunku jednakowo uprzejmym uśmiechem wąskich ust.

Krasnoludowie, podobnie jak tunelowcy, ludzie, ciennicy, gnomy, planetnicy i inni przedstawiciele gatunków

obdarzonych tym, co sami z reguły zwykli nazywać duszą i inteligencją, wywodzili się z jednego pnia ewolucji. A przynajmniej tak twierdził pewien zwariowany filozof z Wysp Orkney, małego wyspiarskiego królestwa położonego spokojnie wśród zimnych fal Morza Północnego. Nazywał się Carolus Gruppinus i opublikował jakiś czas temu książkę, w której przedstawiał teorię tak zwanej ewolucji. Zwrot „tak zwanej” jest o tyle zasadny, że Gruppinus sam ją tak nazwał. Sam też był najgorliwszym obrońcą swojej teorii, co nierzadko spotykało się z dość wyrazistą i bezpośrednią krytyką wszystkich członków Kościoła Publicznego, właściwych dla każdej z ras. Jak by to mogło być, dajmy na to krasnolud i płanetnik mieliby tego samego przodka, który prawdopodobnie, zgodnie z tym, co twierdził ten szaleniec, był małpą? Przecież to woła o pomstę do nieba! A wiadomo, niebo samo swej pomsty nie wykona, chyba że za pośrednictwem pioruna, ale celność tego środka niebiańskiego przymusu pozostawia wiele do życzenia. W związku z tym, najczęściej pomstę niebieską, o którą różne rzeczy i ludzie wołają, realizują jego skromni przedstawiciele tu, na ziemi. Naturalnie oni również nie muszą w tym celu używać własnych rąk, mogą wyznaczać dalszych pełnomocników oraz... Ale nie w tym rzecz.

- Tak, może nam pan pomóc - odezwał się ochoczo Ezio, za co został dotknięty niebiańską pomstą, wykonaną karzącą ręką prawdziwego krasnoluda.

- Zamknij się - syknął drugi z krasnoludów. Był najwyraźniej starszy. I miał brodę, co upoważniało go do

podejmowania pewnych kroków. Świeczka przytwierdzona na pasku do czoła krasnoluda płonęła wesoło. - A ty - wskazał na ciennika grotem bełta, który szczyrzył się z naciągniętej kuszy - gadaj, co tu robisz i gdzie jest pułkownik? I co to za jeden? - wskazał na nieprzytomnego protokolanta, leżącego pod ścianą z wyciągniętymi za siebie sztywnymi ramionami. Ceglany pył osiadał na nim cienką warstwą.

- Cesarski. Nieprzytomny - wyjaśnił del Rey. Krasnolud uniósł kuszę do ramienia. - Ależ panowie, po co te nerwy? - Ciennik wyrzucił dłonie ponad głowę w uniwersalnym geście poddania.

Chociaż z tym należało akurat uważać, przeleciało mu przez myśl. W niektórych regionach odległego królestwa Karn-Tynii można za taki gest trafić do owianych złą sławą lochów Kazamatu. Uniesienie w górę rąk z jakiegoś powodu było tam uważane za gest sugerujący dość wyraźnie i ponad wszelką wątpliwość, iż matka, jak również babka i prababka współrozmówcy, wchodziły w młodości w zbyt bliskie stosunki z pewnymi zwierzętami. Biorąc pod uwagę okoliczności, przy których nieopatrzni cudzoziemcy dokonywali tej fatalnej pomyłki, konsekwencje często bywały oplakane.

Ciennik uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Zamknij ryj - poinstruował go starszy krasnolud, ten z brodą i bez kitki na głowie. Na zewnątrz rozległ się huk, a chwilę potem triumfalny krzyk wielu gardeł. - Kurwa -

skomentował krasnolud. - Trzeba się zbierać. A to, co to jest? - Wskazał kuszą na teczkę i skórzaną tubę...

Ciennik wskazał na swoje usta, w wyrazie niemego zapytania.

- Ezio, bierz to i spadaj do bazy - rozkazał brodac. Młodszy krasnolud posłusznie chwycił zdobywcze przedmioty, po czym zniknął w dziurze. - A ty - zwrócił się ponownie do ciennika - pójdiesz ze mną - powiedział. Skinął kuszą, zapraszając go do dziury obok biurka. - No, no. Rączki! - przypomniał.

Del Rey natychmiast uniósł w górę ręce i wskoczył do dziury w podłodze.

Po dłuższej chwili, w trakcie której pan mysz powoli dojrzywał do podjęcia męskiej decyzji i wyjrzenia ponownie z norki, w celi rozległ się jęk. Zwierzę schowało się i stwierdziło, że to nie jest jego dzień, a pod ścianą ktoś powiedział:

- Zawsze, kurna, coś... - Zaraz potem na korytarzu rozległy się krzyki, a w drzwiach do celi zachrobotał klucz.

- Nie próbuj żadnych sztuczek - powiedział krasnolud. - Nigdzie stąd nie uciekniesz. Z tyłu cesarscy, a z przodu nasi. Nie wymkniesz się.

Ciennik szedł zgięty w pół, żeby nie zawadzić o niskie sklepienie tunelu. Miejscami musiał schodzić na kolanach i niemal czołgać się po wilgotnym podłożu. Szedł już tak dobre pół godziny. Tunel sprawiał wrażenie świeżo wykopanego. Miejscami zakręcał ostro, a zaraz potem ciągnął się prosto przed siebie. Momentami mężczyzna mijał małe zawały, które na szczęście nie zamykały całkowicie przejścia. Przeciskał się przez niewielkie otwory pozostawione przez obsypaną ziemię.

Krasnolud cały czas szedł z tyłu. Ciennik nie musiał się obracać, żeby wiedzieć, że kusza wciąż wymierzona jest w jego plecy. Drugi krasnolud, ten bez brody, zniknął gdzieś za zakrętem z tęczką i tubą i już go nie widzieli.

- Zrobiliście podkop pod cytadelę? - zapytał ciennik po dłuższej chwili. - To po to był ten atak od frontu, żeby odwrócić uwagę, tak? Nie mieliście przecież szans zdobyć cytadeli. A już na pewno nie utrzymalibyście jej długo.

- Stul pysk! - odpowiedział krasnolud.

Tunel ponownie zniżył się tak, że ciennik musiał zejść na kolana i dalej poruszał się na czworakach. Słyszał za plecami, jak krasnolud obija kuszą o ścianę, usiłując utrzymać ją przed sobą. Ciennik mógłby go teraz obezwładnić, z tej pozycji krasnolud raczej by go nie trafił. Nic by mu to jednak nie dało. Gdzie miałby uciec? Wykopać szyb do góry?

Nagle zza pleców rozległ się odległy, stłumiony huk. Narastał bardzo szybko, jakby gonił ich wielki, żarłoczny kret.

- Kurza twarz - zaklął krasnolud. - Ruszaj się, szybciej - powiedział i dźgnął ciennika bełtem w pośladek.

- Co jest?

- Ruszaj się, nie gadaj - odparł krasnolud i po chwili dodał, już mniej agresywnym tonem, jakby do siebie: - Zawalają tunel. Cholera, mieli poczekać. Widać wyciągnęli pułkownika inną drogą.

- Jakiego pułkownika?

- Zamknij się! - Krasnolud przywrócił rozmowę do dawnej konwencji.

- Czterech rannych i żadnych zabitych, panie poruczniku! - zameldował sierżant Mrokow, przęząc się jak struna przed przełożonym.

- Dziękuję, sierżancie - odparł Bartenjew. - Proszę dać spocznij i rozejść się do zadań.

- Tak jessst! - zasalutował sierżant. Następnie odwrócił się do żołnierzy, ustawionych za nim w dwuszeregu i wrzasnął, już bez żadnej wdzięczności: - Słyszeliście, tłumoki? Do roboty! Raz, raz!

Żołnierze pobiegli do koszar. Jeden z nich został i wciąż siedział pod ścianą ze zboląłą miną, obok czterech innych, którzy leżeli na noszach, gotowi do przeniesienia do lazaretu.

- A wy co, Trąbka? - warknął sierżant. - Ogłuchliście, czy co?

- Ależ panie sierżancie! - odparł żołnierz. - Jestem ranny. Postrzelili mnie! Rebelianci postrzelili mnie, żołnierza w służbie Cesarza Jego Wysokości, gdy broniłem Bramy Zachodniej! - O! Proszę! - Wskazał dramatycznym gestem na mundur na piersi, gdzie ziała rozdarta szeroka dziura, poplamiona głęboką czerwienią.

Sierżant warknął pod nosem, podszedł do żołnierza i rozdarł mu kurtkę. Metalicznie przedziurawiona piersiówka stuknęła o bruk dziedzińca. Czerwony płyn wyciekł przez poszarpany otwór i wsiąkł w ziemię pomiędzy kostkami bruku.

- Takiś ranny?! - ryknął sierżant.

Kopnął piersiówkę w kąt i chwycił Trąbkę za poły kurtki. Szarpnął i bez trudu postawił podwładnego na nogi. Sumiaste wąsy sierżanta wywinęły się w dół, a krzaczaste brwi zbiegły się w jedną, czarną kreskę nad niewielkimi oczkami.

- Marsz do koszar! - wrzasnął Trąbce prosto w twarz. - Czyścisz kible do końca miesiąca! Już! Ruchy! - krzyczał, poganiając nieszczęsnego żołnierza kopniakami.

- Sierżancie! Dajcie spokój - odezwał się Bartenjew, który obserwował całą scenę z boku z rękami skrzyżowanymi za plecami.

Sierżant zatrzymał się z nogą w powietrzu wymierzoną do kolejnego kopniaka i wypiął potężną pierś w salucie.

- Tak jest, panie poruczniku!

Bartenjew podszedł powoli do rannych i już miał się schylić i wypowiedzieć dzielnemu żołnierzowi, o twarzy

wykrzywionej bólem, słowa oficierskiego uznania, gdy zatrzęsała się ziemia. Coś gruchnęło, coś chrupnęło, a następnie cała ściana pobliskiego więzienia rozpadła się jak domek z kart, wzburzając chmurę rudego pyłu.

- Biegnij, choroba jasna! Biegnij! - wrzeszczał krasnolud.

Ciennik starał się uciekać tak szybko, jak to było możliwe, pochylony i zgięty wpool pod niskim stropem. Co chwilę zahaczał boleśnie skórą cylindra o powałę.

Za nimi narastał głuchy gruchot.

- Biegnij, kurna, biegnij! - krzyczał krasnolud. - Uciekaj, ku... - Przekleństwo krasnoluda przeszło w ochrypły jęk urwany głuchym łomotem tuż za plecami ciennika. Cały korytarz przesłaniały chmury pyłu. Ciennik krztusił się i w końcu był zmuszony się zatrzymać. Osłonił twarz bufiastym rękawem koszuli i usiłował złapać oddech.

Kurz opadał powoli. Del Rey rozglądał się, usiłując zorientować się co do kierunków. Nagle światło zgasło i w tunelu zapadła ciemność. Mężczyzna zaczął macać naokoło dłońmi. Po chwili usłyszał stłumiony jęk dobiegający zza jego pleców.

Momentalnie rzucił się w tamtą stronę i dopadł do zawału. Wymacał przed sobą kupę ziemi i cegieł. Przejechał dalej dłońią i napotkał na dłoń z rozczapirzonymi palcami. Krasnolud jęknął ponownie spod ziemi. Ciennik niewiele

myślał, zaczął kopać w zawalanej ziemi, krztusząc się co jakiś czas. Krasnolud nie leżał głęboko, najwyraźniej zdołali uciec przed głównym fragmentem zawalonego tunelu.

- Do jasnej ciasnej! - jęknął krasnolud, gdy ciennik odgrzebał jego głowę spod wilgotnej ziemi.

Po chwili z tyłu rozległ się pośpieszny tupot podkutych butów. Dwóch żołnierzy odepchnęło ciennika na bok i rzuciło się do odkopywania towarzysza.

W tunelu zimno. Ciszę, która zapadła po zawale, przerywano tylko miarowym odgłosem kopania i sapaniem krasnoludów.

- No, szybciej, wyciągnijcie mnie, do jasnej ciasnej - warknął jeden z nich.

Zaraz po odkopaniu prawej dłoni krasnolud sięgnął po kuszę i wyciągnął ją przed siebie, w kierunku ciennika. Jego koledzy zdawali się nie przejmować tym, że przed dotarciem do celu bełt będzie musiał przeszyć jednego z nich. Ciennik wiedział, że to nie stanowi dla nich przeszkody. Kiedy trzeba, krasnoludowie potrafią być zaskakująco szybcy, szczególnie jeśli chodzi o uniki, w tym chowanie głowy. To kolejna cecha, która zbliża ich do żółwi. Zaraz obok wiecznie zaciętego wyrazu twarzy i twardych jak skała pleców oraz zadka.

- Tak jessst kapitanie! - odparł jeden z przybyłych krasnoludów.

Rozległo się paskudne przekleństwo, potem coś gruchnęło, coś chrupnęło, a w końcu pacnęło o kamienistą podłogę. Kapitan wstał, wygładził brodę i wypluł garść piasku, osadzając przy tym kilka milionów drobnych ziarenek na swojej brodzie.

- Donatello, Michelangelo - powiedział kapitan.

Członkowie ekipy ratunkowej skinęli powoli głowami. Nie mieli bród, a jedynie kilkutygodniowy zarost, który wyglądał jak dwudniowa szczecina u ludzi. Broda krasnoludów rosła bardzo wolno i między innymi dlatego była tak cenionym elementem wyglądu prawdziwego krasnoluda.

Ze względu na rosnącą populację krasnoludów w Radovii zaczęły nawet powstawać specjalne salony fryzjerskie tylko dla nich, specjalizujące się w odpowiednim strzyżeniu i modelowaniu krasnoludzkich bród. Nie wiadomo, jaki był powód nadania im nazwy „Golibrody Sklep”, zapewne wymyślił to jakiś wybitny specjalista od marketingu podprogowego.

Kapitan otrzepał wełniany kaftan i spojrzał na ciennika. Więzień stał wciśnięty w kąt. Jego cylinder wyglądał co najmniej nie na miejscu w zapyłonym, niskim tunelu, wśród trzech brudnych krasnoludów z powstańczego podziemia. Niemniej kapitan musiał przyznać, że to... nakrycie głowy prezentowało się bardzo okazale, a sam wiedział dobrze, co znaczy to słowo.

Nikt nie wiedział do końca, jakie jest przeznaczenie tych kapeluszy, niewątpliwie stanowiących część ciała

cienników. Jedni mówili, że to taka bezużyteczna ozdoba jak pawi ogon albo łałok u łosia. Ale byli też tacy, co twierdzili, że to właśnie skórzasty cylinder jest źródłem niezwykłych mocy cienników, że skrywa się tam specjalny organ, którego nie mają inne gatunki hominidów, a daje ciennikom siły psioniczne. Kapitan miał swój pogląd na ten temat. Uważał, że wszystkie te sztuczki stosowane przez cienników to w istocie tylko sztuczki, w większości oparte na wyuczonej iluzji.

Ciennik naturalnie nie miał brody. Jego kapelusz pozostawał czysty, jakby odpychał kurz za pomocą odwróconego pola elektrostatycznego, ale długi, wełniany płaszcz nie miał już takich właściwości i obecnie przybrał szarą barwę pyłu. W wątłym świetle olejnej lampy twarz del Reya pozostawała niewidoczna. Kapitan wiedział jednak, że nawet przy lepszym świetle raczej nie byłby w stanie rozróżnić rysów twarzy ciennika. To kolejna sztuczka, zapewne jakaś iluzja polegająca na odpowiednim ustawianiu się w świetle i wykrzywianiu mięśni twarzy tak, żeby powstawały na niej cienie.

- Uratowałeś mnie - powiedział kapitan.

- Ależ kapitanie... - Ciennik skłonił delikatnie głowę, na ile to było możliwe z uwagi na już dość pochyłą pozycję, jaką utrzymywał w niskim tunelu. - To tych dwóch dzielnych wojaków cię uratowało. Powinien pan im nadać za to ordery honoru - dodał.

- Nie ironizuj mi tu, gagatku - odparł kapitan, gestykulując kuszą. - Oni mnie odkopali, bo taki ich psi

obowiązek. A ty mogłeś uciec, nawiać jak tchórz, a nawet mogłeś mnie tu zadźgać moim własnym nożem. – Postukał się w skórzaną pochwę na pasie. – Jakbyś się do niego dogrzebał. Ale ty zdecydowałeś się zostać i mnie odkopać. I szczęśliwie zaczęłeś od głowy, a nie od noża właśnie. Byłbym się udusił zanim przybyły te patafiany. Dziękuję ci za to. – Krasnolud schylił głowę i symbolicznie poklepał się po brodzie na klatce piersiowej. Zaraz jednak uniósł ponownie kuszę i wycelował ją w ciennika. – Ale żebyś sobie nie myślał – zastrzegł – jeszcze nie zdecydowaliśmy, co z tobą zrobić.

– Byłem więźniem w cesarskiej cytadeli, to chyba stawia nas po tej samej stronie, prawda? – zaproponował ciennik. – Poza tym – dodał po chwili, zniżając głos – nie zabiłem cię, a mogłem, jak sam raczyłeś zauważyć.

W półmroku korytarza błysnęły spiczaste zęby kapelusznika.

– Grozisz mi? – zapytał krasnolud. – Śmiesz mi grozić? Dalej, chłopcy, związać go i do bazy z nim – rzucił do ekipy ratunkowej. – I zakneblujcie go jeszcze, nie chcę słuchać jego głosu. Nikt nie będzie groził Leonardowi z linii Martell, a już na pewno nie bezkarnie.

Krasnoludowie spojrzeli na siebie, nieco zdezorientowani takim obrotem spraw, ale zaraz rzucili się wykonać rozkaz. Ciennik podał grzecznie ręce do przodu i pozwolił się związać.

– Nie wiem, czy byłeś więźniem cesarskich, czy znalazłeś się w tej celi przez przypadek, a może to ten

dzieciak był więźniem, a tyś go katował? - powiedział kapitan Martell. Ciennik chciał zaprotestować, ale Donatello wepchnął mu w usta kawał szmaty. - No, już, już. Idziemy. Jakby był tu pułkownik, to może byś się jakoś wywinął, ale tak... możesz, że tak powiem, nie znaleźć dużego posłuchu.

- Panie kapitanie... - wtrącił ostrożnie Michelangelo.

- No, co tam?

- Pułkownik jest wolny - powiedział. - Chłopaki z Jedenastej Brygady Podziemnodesantowej go wyrwały, te, co szły drugim tunelem. Kazał nam jak najszybciej pana odnaleźć. Ma się pan stawić u niego na kwaterze.

- Pułkownik wolny? No, to zmienia postać rzeczy - powiedział kapitan. - To na co czekacie, lenie?

V. SĄD, BAL I MARIA WISNOWSKA

Wiatr szumiał za oknami Królewskiego Cesarskiego Sądu Okręgowego Radovii, tłukąc o szyby suchymi gałązkami przydrożnych drzewek. Ostre światło wiosennego, wieczornego słońca wpadało przez grube szkło do pomieszczenia i ślizgało się przebłyskami po dębowej podłodze z jasnych i ciemnych klepek. Od czasu do czasu, gdy wiatr zmuszał na moment gęste korony większych drzew do skłonu, światło wznosiło się nieco i omiatało lakierowane, drewniane ławy i ściany wyłożone do połowy wysokości takimi samymi lśniącymi deskami. Żyrandole błyszczwały wątłym światłem świec, które przedwcześnie zapalone toczyły nierówną walkę ze słońcem.

Za masywnym, drewnianym biurkiem, stojącym na niewielkim podeście pod oknami, siedziało dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy troje mieli na głowach czarne

birety i byli ubrani w szerokie, czarne togi z rozłożystymi kołnierzami, spięte pod szyją purpurowym żabotem. Za ich plecami wystawały wysokie, drewniane oparcia krzeseł zwieńczone rzeźbionymi, trzygłowymi orłami.

Przed podestem, za mównicą z ciężkiego drewna, twarzą do siedzących stał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jasną, kraciatą marynarkę i białą koszulę, z rozpiętymi górnymi guzikami. Pod szyją miał przewiązany elegancki, mlecznobiały fular. Rozwichrzone, czarne włosy rozsypywały się przy każdym ruchu głowy o kwadratowej szczęce.

- Co oskarżony na to? - zapytał środkowy sędzia. Miał sumiaste, siwe wąsy i gęste, białe bokobrody, które przy każdym ruchu muskały purpurowy żabot. - Umyślne zabójstwo w trakcie napadu z bronią w ręku to dość poważny zarzut - dodał i pochylił się nad stołem, opierając łokcie o blat.

Mężczyzna za mównicą rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że słowa sędziego były skierowane do niego. Następnie kiwnął głową, nonszalancko przeczesał włosy na jeden bok i zastrzygł cieniutkimi wąsikami.

- Nie miałem żadnej broni - odparł z bezczelnym uśmiechem na twarzy.

- Tak? - zapytał sędzia. - A co to niby jest? - Wskazał dłonią na długi sztylet o wąskim, smukłym ostrzu, leżący przed nim na stole.

Oskarżony zmrużył oczy. Popatrzył na ostrze z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

- To nie jest broń - odparł i zaraz dodał z rozbrajającym uśmiechem - to jest nóż. Używam go do smarowania chleba masłem.

Wśród publiczności zgromadzonej w ławach za plecami oskarżonego przetoczył się pomruk i ledwie tłumiony chichot.

- Cisz! - powiedział sędzia, waląc drewnianym młotkiem w blat. - Czyli mam rozumieć - zapytał, gdy na sali zapadła ponownie pełna niezdrowego zaciekawienia cisza - że oskarżony zabił umyślnie obywatelkę Joannę Kożę w trakcie napadu za pomocą noża do masła?

- Ależ wysoki sędzie, ja nikogo nie zabiłem. Obywatelka Koza sama się zabiła, a ja wręcz usiłowałem ją przed tym powstrzymać.

- Dźgnęła się sama w brzuch, a następnie poderżnęła sobie gardło pańskim nożem do masła, a pan, mimo że próbował, nie zdołał temu zapobiec? - zapytał niski, chuderlawy osobnik, stojący po lewej stronie mównicy. Miał szerokie, czarne wąsy, zajmujące większą część twarzy i był ubrany w togę podobną do tych, które nosili sędziowie, tyle że spiętą pod szyją czerwonym żabotem.

Oskarżony nawet na niego nie spojrział. Utkwił teraz pewne siebie spojrzenie w sędzinie siedzącej po lewej stronie, drobnej blondynce o dość ładnej, wciąż dziewczęcej twarzy, pomimo niewątpliwie zaawansowanego wieku.

- Dokładnie tak, panie prokuratorze - odparł. - Tak właśnie było - zapewnił. Sędzina wytrzymała spojrzenie i zmrużyła groźnie oczy.

Sędzia przewodniczący zacisnął pięść, a następnie powoli ją rozluźnił.

- Na oskarżonym ciąży zarzut umyślnego zabójstwa Joanny Kozy - oświadczył powoli grobowym głosem. - Ława przysięgłych orzeknie o winie. - Skinął w kierunku podwójnej ławy ustawionej pod ścianą.

Siedzieli w niej w dwóch rzędach, jedni wyżej od drugich, jak w teatrze, ludzie, krasnoludy, kilku małych laskowików o spiczastych twarzach i biało-czarnych włosach oraz dwa gnomy, które wodziły wzrokiem dookoła, najwyraźniej nie za bardzo pojmowały, za co właściwie mają dostać te pięćdziesiąt rubli, obiecane im przez miłego człowieka w okrągłych okularach w korytarzu na dole.

Jak na razie, myślał jeden z nich, młody Nogai, nic nie wskazywało na to, żeby ktoś miał im dać darmową czekoladę do próbowania. Kizył pewnie znowu go nabrał. Spojrzał z nienawiścią na siedzącego obok kuzyna. Tak jak z tą strzelnicą. Mówił, że przyjedzie do Radovii i będzie mógł pracować na strzelnicy jako ładowniczy w cesarskich karabinach, służyłby cesarzowi, może poszedłby na wojnę, może zwiedziłby w magazynku swojego Mitsauera, dalekie kraje, przeżywał przygody... Byłby jak Szejk, sławny gnom, który walczył w Trzeciej Wojnie w jednostce Strzelców Podhalańskich. Ponoć został nawet majorem i sam cesarz odznaczył go za męstwo... Owszem, Nogai trafił na strzelnicę, ale nie cesarską, tylko sportową, gdzie nie strzelano z Mitsauerów, tylko z kuszy i biedny gnom wcale nie został ładowniczym, tylko czyścił bełty. Te od kusz, ma

się rozumieć. Spojrzał ponownie na kuzyna, który był winny całemu złu, jakie spotykało Nogaia i aż fuknął z irytacją.

- Pan ławnik chciał coś dodać? - zapytał sędzia przewodniczący tonem kogoś, kto musi traktować na równi z sobą osobę, która jego zdaniem nie powinna nawet oddychać tym samym powietrzem.

Kizył znał ten ton bardzo dobrze. Przebywał w mieście dłużej niż Nogai i zdążył już się przyzwyczaić. Ludzie, w szczególności ci, którzy nie mieli na co dzień z gnomami do czynienia, traktowali ich wciąż jak obywateli ostatniej kategorii z możliwych. Stary cesarz Aleksander przyznał równe prawa wszystkim istotom myślącym w cesarstwie, co niechybnie objęło też gnomy, już dawno temu. Stateczni i godni szacunku obywatele Radovii szanowali przepisy, dlatego między innymi uważali się za godnych szacunku obywateli, ale nie musieli ich przecież wykonywać z pełną gorliwością, prawda?

- Nie, nie... Przepraszam - odparł gnom i skulił się w sobie.

- Cicho siedź, bo nam nie zapłacą - syknął Kizył. Krasnolud siedzący obok nich odchrząknął znacząco i pogładził się po brodzie. - Już jesteśmy ciii... - powiedział gnom i wykonał gest, jakby zaklejał swoje maleńkie usta niewidocznym plastrem.

Krasnolud burknął coś w odpowiedzi i zatopił się w swojej gęstej brodzie.

Sędzia przewodniczący zmrużył oczy. Ostatnie promienie słońca wdzierające się do sali przez grube szkło podłużnych okien otaczały go, tworząc wokół sylwetki, a w szczególności gęstych bokobrodów, imponującą aureolę. Zdawał się promienieć autorytetem i omiatać nim oskarżonego oraz wszystkich zgromadzonych na sali rozpraw.

- Czy po usłyszeniu odpowiedzi oskarżonego pan prokurator chciałby coś dodać albo zmienić treść oskarżenia? - zapytał, a jego bokobrody zapłonęły, niby rozświetlone od środka wszechogarniającym blaskiem sprawiedliwości.

Prokurator wstał ze swojego miejsca pod ścianą.

- Dziękuję, nie - oświadczył.

- Poproszę obronę o wygłoszenie stanowiska - powiedział sędzia.

Prokurator zajął z powrotem swoje miejsce z miną kogoś, kto wieczorem, po niesmacznej kolacji będzie mówić swojej brzydkiej, zmęczonej żonie: „znowu w życiu mi nie wyszło”. Na środek sali wyszedł adwokat. Jego czarna toga opinała smukłe, muskularne ciało o wyprostowanej sylwetce. Zaczesane na bok krótkie blond włosy i pewne siebie spojrzenie jasnoblękitnych oczu osadzonych w przystojnej twarzy o regularnych rysach dopełniały wrażenie człowieka, którego jedynym celem istnienia jest zwycięstwo, w dowolnej dziedzinie. Mężczyźni zamarli, kobiety usiłowały utrzymać serca w piersiach, a gnom smarknął donośnie.

- Dziękuję, wysoki sędzie - powiedział adwokat, a jego głos zmiękczył kolana wszystkich kobiet na sali, no może oprócz kobiet krasnoludów, siedzących obok gnomów na ławie przysięgłych. Muskularni, wysocy, przystojni mężczyźni o jasnych włosach i pięknym, mocnym głosie nie byli w guście krasnoludzkich niewiast. W szczególności piekielnicy.

A adwokat był piekielnikiem, choć niewielu na sali zauważyło to na pierwszy rzut oka. Co prawda, pewną wskazówkę mogłyby stanowić wypalone w podłodze delikatne ślady butów. Jednak przynależność rasowa adwokata pozostawała jeszcze przez jakiś czas spowita tajemnicą.

- O czym my tu mówimy, szanowni państwo? - zaczął blondyn. Początkowo spojrzął na sędziów i skinął głową z szacunkiem. Następnie odwrócił się do publiczności zgromadzonej na sali, aż w końcu zwrócił się do ławników. Niektórzy poruszyli się nerwowo na swoich miejscach. - O przestępstwie, szanowni państwo - odpowiedział adwokat. - Mówimy tu o przestępstwie, które zdaniem prokuratury popełnił szanowany obywatel Josef Mitka. - Obrócił się bokiem do ławników i wskazał skromnym gestem na oskarżonego. Oskarżony przeczesał włosy, posłał sędzinie ostatnie spojrzenie, po czym odwrócił się do ławników ze smutną miną obywatela gnębianego przez system. - Ba! Oskarżenie twierdzi, że ten tutaj obecny uczciwy obywatel popełnił zbrodnię umyślnego zabójstwa niczemu niewinnej obywatelki. Ale czy to jest w ogóle

możliwe, proszę państwa? Czy to w ogóle możliwe, żeby uczciwy, szanowany obywatel, który płaci podatki, pracuje, chodzi do świątyni co tydzień, ma żonę i dzieci – wskazał w kierunku pierwszej ławki na widowni, na której dwoje małych, zupełnie niepodobnych do bandziora dzieci tuliło się do ewidentnie starszej kobiety, w dodatku niegrzeszącej urodą – popełnił tak straszliwą zbrodnię? I to czym? Nożem do masła? I to w obliczu czego takie oskarżenie, proszę państwa, w obliczu czego? – przemawiał podniesionym głosem. – W obliczu dowodów w postaci niemego noża do masła oraz w obliczu zeznań jednego świadka. Wszak czterech pozostałych świadków zeznało jednogłośnie. I podkreślam tu, że wszyscy mówili dokładnie to samo, mimo ewidentnego braku porozumienia pomiędzy nimi. A co mówili? Bo to jest ważne. Dla istoty myślącej ważne powinno być to, co się mówi, a nie, jak się mówi, bo można popaść w podległość najokropniejszej ze zbrodni ludzkiego intelektu – tutaj adwokat zawiesił głos i spojrzał uważnie na każdego ławnika z osobna, a następnie dokończył mocnym głosem: – KŁAMSTWU! – Wyprostował się i znów uśmiechnął, żeby przygładzić nierówności emocjonalne, które wywołał poprzednią częścią przemowy. Na przerażonych lub niepewnych twarzach ławników pełzył nieśmiały uśmiech. Ledwie widoczna iskierka nadziei na lepsze jutro, na sprawiedliwość, błysnęła w oku tego i tamtego ławnika, gdy adwokat kontynuował: – Chcą nam wmówić, na podstawie niefortunnego kształtu ostrza i zeznań jednego świadka, o swoją drogą dość podejrzaną

proweniencji, że oskarżony zabił, wręcz zaszlachtował z zimną krwią, tę kobietę, która, należy to powiedzieć z całą stanowczością, była chora psychicznie. Opinie biegłych pokazują wprost, że cierpiała na chroniczne napady hysterii, doprowadzające ją do takiego stanu, że mogła w danym momencie nie panować nad wszystkimi odruchami swojego ciała. Do tego z opinii biegłych dowiemy się - wskazał na stos teczek z aktami postępowania dowodowego sprawy - dowiemy się, że ofiara miewała również w przeszłości myśli samobójcze, a ponadto jej znajomi wskazali, że ofiara w dość burzliwy sposób rozstała się ze swoim kochankiem, co nie mogło przecież pozostać bez wpływu na jej stan psychiczny, prawda? - Spojrzał na ławników lekko pochylony, z rękami rozłożonymi do góry w geście szczerości.

Pytanie zawieszane przed twarzami ławników było tak nachalne, że w połączeniu z uczciwym, dobrym i pomocnym wrażeniem, jakie sprawiał adwokat, zmusiło kilku z przysięgłych do kiwnięcia głowami. Gnom splunął na podłogę siarczyście, przy czym twardy jak skała uśmiech adwokata drgnął jedynie na milisekundę.

Prokurator patrzył na całą scenę spode łba. Przeklinał w duchu, że na niego padło, żeby stawać w procesie przeciwko Piekielnej Palestrze, w dodatku oskarżając członka radovskiej Mafii. Nie miał innego wyboru, musiał wnosić o...

- Kara śmierci - oświadczył nagle adwokat niskim, grobowym głosem. - Tego chce oskarżenie dla tego

uczciwego obywatela, ojca rodziny, którego jedynym przewinieniem zdaje się być to, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Szalona kobieta, biedna, chora obywatelka uczyniła wdowcem swojego męża, osierociła swoje dzieci... Zostawiła w żałobie swoich starych rodziców. To nie powinno tak być, żeby rodzice chowali swoje dziecko, to wbrew naturze!

Jego aksamitny głos uderzał teraz w czułe, melodramatyczne tony. Ktoś na ławie przysięgłych pociągnął nosem, i nie był to gnom. Ktoś inny odchrząknął nerwowo. Piekielnik tymczasem wyprostował się i przeszedł do finału swojej mowy końcowej.

- Ale jak to by mogło być, przy całym smutku, jaki wywołał nieszczęśliwy czyn Joanny Kozy, żeby pomnażać jeszcze wyrządzone zło, skazując uczciwego obywatela na śmierć? Jaki jest cel kary dla osoby, która nie jest winna zbrodni? Czy można karać niewinnych? Do jakiego terroru sprawiedliwości doprowadzilibyśmy wtedy życie zwykłych ludzi?

Pytania wypływały z ust adwokata, zbierały się w chmury i wirowały ponad głowami ławników, strzelając co jakiś czas błyskawicami zrozumienia prosto w ich otwarte głowy. Kolejni ławnicy uśmiechali się niepewnie, a potem ich brwi marszczyły się w wyrazie gniewu. Pojedyncze, groźne spojrzenia przelatywały w kierunku prokuratora zatopionego w swoich myślach pozbawionych nadziei.

Głos adwokata był coraz bardziej donośny.

- Joanna Koza popełniła samobójstwo! Jediną przewiną oskarżonego było to, że nie zdołał jej pomóc, nie zdołał jej powstrzymać. Nie wiemy nawet, czy się starał ani czy próbował, ale jedno jest pewne! - Adwokat odszedł kilka kroków w tył, stając obok oskarżonego i uniósł dłoń. - Oskarżony nie jest winny umyślnego zabójstwa. Ale oczywiście to do państwa należy decyzja o tym, czy rzeczywiście wina tego strasznego czynu leży po stronie oskarżonego i czy powinien on zostać straconym przez powieszenie... - Zawiesił głos i opuścił potulnie głowę na piersi. Oskarżony przestał się uśmiechać i również przybrał postawę pełną pokory i uniżenia.

Nad salą sądową rosła pełna napięcia cisza. Słońce zniżyło się już za dachy okolicznych kamienic i pomieszczenie było rozświetlone dziesiątkami świec płonących na rozłożystych żyrandolach. Ktoś odchrząknął, gdzieś z tyłu sali zaszurało krzesło.

- Dziękuję, panie mecenasie - odezwał się sędzia przewodniczący. Jego niski głos zabrzmiał w ciszy jak nagły grom. Odpowiedziało mu głośnie pociągnięcie nosem, które rozległo się gdzieś w okolicach brody szacownej krasnoludzkiej damy ławnika.

Adwokat wyprostował się i skłonił lekko głowę przed sądem, a następnie przed ławą przysięgłych i resztą zgromadzonych, jakby właśnie zakończył bardzo udany występ na scenie. Szepnął jeszcze coś oskarżonemu,

a następnie mecenas odszedł na swoje miejsce, znacząc podłogę spalenizną spod butów.

- Czy strony pragną złożyć jeszcze jakieś wnioski formalne? - zapytał sędzia.

Prokurator pokręcił smętnie głową. Adwokat również zaprzeczył.

- Dobrze - powiedział sędzia. - Ława przysięgłych i sąd udadzą się teraz na naradę przed wydaniem orzeczenia - dodał, a następnie wstał zza stołu.

Rozległ się zbiorowy szum odsuwanych krzeseł. Pozostali sędziowie również wstali i wyszli z sali, a za nimi podążyli członkowie ławy przysięgłych. Wielu z nich wyraźnie nie mogło jeszcze zebrać myśli.

- Ej, kurna, uważaj sobie! - rozległ się wrzask.

Jeden z ławników, postawny, otyły mężczyzna o rozłożystych wąsach, podskoczył jak oparzony i spojrzał pod nogi.

- Och! Przepraszam - powiedział. Zaraz potem pochylił się do sąsiada, chudego, łysawego mężczyzny w średnim wieku i szepnął: - Kto tu wpuścił gnomy? Zupełny upadek obyczajów w tym mieście, mówię panu. - Chudy pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Ej, słyszałem! - wrzasnął Nogai. - Mamy prawo tu być, jesteśmy gnomami, ale mamy pełne... Auuu! - Urwał, gdy Kizyl kopnął go w kostkę.

- Pięćdziesiąt rubli - syknął, uśmiechając się sztucznie do strażnika przy drzwiach.

Ławnicy po kolei opuścili salę. Rozpoczął się narastający stopniowo gwar wymienianych uwag i domysłów.

- Piękna mowa, panie mecenasie - powiedział stary hrabia de Volaille. Skłonił się dystyngowanie, podchodząc do grupki gości, w której stał adwokat. Przyjęcie dopiero się zaczynało i goście powoli przybywali. - Muszę powiedzieć - kontynuował hrabia - że sam niemal uwierzyłem w samobójstwo ofiary - dodał. - A efekt? Cóż za efekt! Pełne uniewinnienie. Jednak prawdą jest, co mówią - w beznadziejnej sprawie tylko Piekielna Palestra pomoże.

- Ależ panie hrabio - Piekielnik odwzajemnił ukłon - jest pan nazbyt uprzejmy. Ja po prostu wykonuję swoją pracę.

Adwokat był ubrany w czarny smoking zamiast adwokackiej togi, a zielony żabot pod szyją zastąpiła czarna muszka. Jasne blond włosy miał zaczesane na jedną stronę w ten najnowszy, elegancki sposób, który ostatnio coraz częściej spotykano na salonach. Adwokat wiedział, że salony Radovii to nie były jakie salony.

- No, proszę nie być takim skromnym - odparł hrabia. Poprawił na sobie elegancki płaszcz reprezentacyjny, obszyty od środka białym futrem i przepasany szarfą w rodowe barwy, po czym skłonił się ponownie. - Jestem zaszczycony, że zechcieli panowie pojawić się na moim balu

dobroczynnym. Zarówno ja jestem zaszczycony, jak i moja małżonka. Gdzie moje maniery?! – Hrabia zmartwił się, ale mimo to pociągnął naprzód drobną blondynkę, ubraną w rozłożystą, balową suknię. Kobieta opierała się lekko, uczipiona ramienia hrabiego, ale ostatecznie ustąpiła i dygnęła wdzięcznie. – Panowie może mieli już okazję? Oto moja małżonka, szczęście i zgrzyzota moja, mój skarb, Wioletta de Volaille.

Kobieta skinęła wdzięcznie głową.

– To zaszczyt móc w końcu panią poznać – powiedział adwokat. Wyciągnął rękę i schylił się, żeby ucałować dłoń hrabiny. – Nazywam się Elliot Mess, do pani usług. – Odsunął się na przepisową odległość od hrabiowskiej pary, z głową wciąż schyloną w półukłonie. Arystokracja lubiła takie drobne akcenty, które pokazywały, że są ponad innymi, a gdy się zniżają do ich poziomu, robią to tylko z własnej, nieprzymuszonej woli. – Pozwolą państwo, że przedstawię im moich współpracowników – dodał Mess, wskazując na stojących za nim dwóch mężczyzn w jednakowych frakach. W odróżnieniu od Messa obaj mieli gęste, rude włosy zaczesane do tyłu. Jednocześnie wydawali się niemal identycznej postury i wzrostu co on. – Józef Goldszmit i Jonasz Goldfinger.

Rudowłosi skłonili się z szacunkiem. Hrabia odwzajemnił uprzejmy ukłon, po czym dyskretnym gestem przywołał do siebie żonę, która wciąż stała pomiędzy mężczyznami i wyraźnie zaczynała się zastanawiać, co ma zrobić. Nie było to pożądane zachowanie wśród

arystokracji. Wyżej urodzeni zawsze wiedzą, co należy robić. Nieporadność jest oznaką słabości. Kobieta, a właściwie bardzo młoda kobieta, a może nawet dziewczyna, choć już raczej nie dziewczynka, uśmiechnęła się wdzięcznie i chwyciła męża pod ramię.

Kolejna, pomyślał piekielnik. Poprzednia miała chociaż osiemnaście lat, a to biedne stworzenie? Przecież to jeszcze dziecko. Zaraz jednak porzucił tę myśl, nie jemu oceniać zwyczaje matrymonialne ludzkiej arystokracji. Pozostawi to znawcom. Departament Grzechów Lekkich w Piekło powinien na bieżąco analizować takie przypadki i przedstawiać kwartalne rozliczenia grzechów Cesarzowi. Ta sprawa znajduje się poza kręgiem zainteresowań adwokata.

- Udanej zabawy życzę - powiedział hrabia. - A teraz, panowie wybaczą, pozostali goście wyraźnie wymagają mojej uwagi - dodał, wskazując na grupkę cesarskich oficerów zgromadzonych przy stole z zakąskami. Jeden z nich, wysoki, postawny brunet machał do nich bardzo żywiołowo.

- Dziękuję. Zabawa z pewnością będzie udana, jak zawsze na przyjęciach u pana hrabiego - odparł adwokat z uśmiechem.

- Dziękuję, dziękuję państwu za przybycie - powiedział stary hrabia de Volaille na środku sali balowej. - Witam

szanownych państwa na naszym balu w imieniu swoim i małżonki. – Młodziutka hrabina dygnęła wdzięcznie, przywołując na twarz niepewny uśmiech. – Witam i życzę niezapomnianej zabawy. – Hrabia skłonił się ponownie. W sali rozległy się brawa. – Orkiestra! – Przez szum braw przebił się jeszcze uradowany okrzyk hrabiego, po czym sala utonęła w dźwiękach walca.

Elliot Mess, adwokat Piekielnej Palestry, rozejrzał się po sali. Pary powoli odrywały się od mniejszych i większych grup gości, a następnie kierowały się na parkiet. Białe i błękitne suknie mieszały się z czarnymi smokingami w wirującym walcu, który pochłaniał, jak rosnąca chmura słodkiego, rozemocjonowanego dymu, coraz większą część sali. Nie oszczędzał pozostałych, nietańczących jeszcze gości, wyrywał najpierw ich uwagę, a następnie również i ciała od stołów z przekąskami i alkoholem.

Adwokat prześlizgnął się wzrokiem po zgromadzonych. Wzrok kobiet, których partnerzy kończyli lub nie byli w stanie skończyć prowadzonej dyskusji, wędrował co jakiś czas tęsknie na parkiet. Pojedyncze westchnienia unosiły ich piersi.

Mess zatrzymał na dłużej wzrok na jednej grupce. Składała się z czterech cesarskich oficerów w galowych mundurach i wypolerowanych butach do końskiej jazdy. Konwersowali wesoło i śmiali się, co jakiś czas stukając się szklankami ze złotawym trunkiem. Towarzyszyła im jedna kobieta i to na niej mecenas Mess skupił niemal całą swoją uwagę. Stała pod rękę z jednym z oficerów, niskim, krępy

blondynem o kwadratowej szczęce. Jej wzrok, podobnie jak w przypadku innych kobiet, przyciągały co jakiś czas pary wirujące na środku sali. Inaczej jednak niż w przypadku pozostałych kobiet - spojrzenie partnerki cesarskiego oficera nie wyrażało tęsknoty czy rozczarowania, tłumionego wyraźnie, choć nieskutecznie, przez wpojona uległość wobec swoich mężczyzn. Nie było to grzeczne spojrzenie ułożonej panny z dobrego domu. Mess dobrze to widział. Ta kobieta badała, analizowała spojrzeniem tańczące pary, a gdy wracała wzrokiem na chwilę do oficerów zagadnięta przez nich, czy po prostu dla urozmaicenia sytuacji, przez jej wyćwiczony uśmiech przeskakiwał ledwie dostrzegalny grymas znudzenia. Trwało to ułamek sekundy, zanim wysyłała kolejny, czarujący uśmiech w stronę panów oficerów, ale Elliot Mess dobrze to widział. Musiał widzieć takie rzeczy. Za to mu płacili jego zleceniodawcy, żeby potrafił umiejętnie odczytać intencję z drgnięć ust, żeby dostrzec prawdę za cieniem powiek, za sztywnością uśmiechu. Elliot Mess był w tym dobry, miał dar, a przynajmniej tak o sobie myślał. Wysokie honoraria i kolejka zleceń tylko utwierdzały go w tym przekonaniu.

- Zabawcie się, chłopaki - powiedział do towarzyszących mu aplikantów. - Nie czekajcie na mnie - dodał i odszedł tanecznym krokiem w kierunku grupki oficerów.

Żołnierze go nie zauważyli. Zatopieni we własnych, imperialnych tematach, w męskich, żołnierskich

rozmowach, zdawali się nie dostrzegać nawet pięknej damy, która im towarzyszyła.

Orkiestra skończyła grać walca. Rozległy się brawa. Elliot zatrzymał się i dołączył się do aplauzu.

- Piękny walc, piękny walc - ekscytował się starszy pan, stojący obok adwokata. Elliot nawet na niego nie spojrzał. Wzrok miał utkwiony w oficerskiej towarzyszce.

- Istotnie wyśmienity - odparł machinalnie.

Z zadowoleniem zauważył, że kobieta wyłapała jego wzrok z tłumu i uśmiechała się nieznacznie kącikiem ust. Gęste, czarne włosy opadały na nieco dziewczęcą, bladą twarz. Duże, orzechowe oczy śledziły każdy ruch Elliota, gdy mężczyzna ponownie ruszył w jej stronę. Biała suknia odsłaniała nagie, gładkie jak marmur ramiona.

Orkiestra rozpoczęła kolejny utwór. Adwokat podszedł do oficerów i ukłonił się wytwornie czarnowłosej.

- Szanowna pani, panowie oficerowie - powiedział. Żołnierze spojrzeli na niego nieco zaskoczeni.

- Ach, to pan mecenas Mess. Dobry wieczór - powiedział jeden z nich. Blondyn trzymający pod rękę czarnowłosą piękność obrzucił go wrogim spojrzeniem.

- Jestem zaszczycony - powiedział adwokat. - Poruczniku Bartenjew, czy mógłbym być na tyle śmiały, żeby poprosić szanowną panią do tańca? - zapytał.

Blondyn spojrział na niego, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

- Z przyjemnością - odezwała się kobieta. Blondyn niechętnie puścił jej ramię i odeszła z mecenasem na

środek sali.

- Ach, jak dobrze, że pan mnie wyrwał z tego nudnego towarzystwa - powiedziała kobieta, gdy ruszyli w tańcu.

Elliot prowadził ją pewnie, ale delikatnie. Kobieta z ochotą poddawała się jego poleceniom. - Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Mess. - Wszak nie co dzień nadarza się okazja do tańca z samą Marią Wisnowską - dodał z uśmiechem i oboje zawirowali przez środek sali.

Nowy przewodniczący Mafii siedział przy biurku pochylony nad stosem papierów. Gabinet Tatuśka był pusty, jeśli nie liczyć Baruela, który ślęczał razem z nim nad dokumentami, usiłując prześledzić wszystkie otwarte operacje i kontrakty. Zatrzymali się na niedoszłej, całkiem niedawnej transakcji z Piekiełną Palestrą. Mafia dostała zlecenie na dostarczenie jakiegoś tajemniczego towaru, nigdzie nie wskazano jakiego. Palestra miała zapłacić dość istotną sumę w kamieniach szlachetnych. Jay stwierdził, że przydałaby mu się taka suma na obecnym etapie przejmowania władzy. Sprawa wydała się tym bardziej interesująca, że transakcja została udaremniiona przez cesarski wywiad. Żołnierze przejęli zarówno towar, jak i zapłatę.

- Maria Wisnowska? - zapytał. - Czy ja gdzieś słyszałem to nazwisko?

- Na pewno, padre - odparł Baruelo zza jego krzesła. - Przecież to sławna aktorka. Przyjechała dwa lata temu do Radovii z południa, chyba z Lemburga, i od razu zrobiła

furorę. Naprawdę, mówię panu, po prostu zawojowała deski radovskich scen. Publiczność ją uwielbia. – Baruelo nachylił się do ucha przełożonego. – Szczególnie męska cześć publiczności – powiedział, zniżając głos.

– Doprawdy? – zapytał Jay znużonym głosem. Strzepnął popiół z cygara i przewrócił stronę z rozliczeniami z ostatniego miesiąca.

– Nikt przed nią jeszcze nie odsłaniał na scenie tyłu... hmm... kształtów – wyjaśnił krasnolud. – Ponoć w jednej sztuce pokazała nagie plecy... i łydki.

Jay skrzywił się i odsunął się od krasnoluda. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tej całej pruderyjności i niezdrowego podniecenia, którym dyszeli obywatele Radovii, choćby na wspomnienie o damskich plecach albo łydkach.

– No i co ona ma wspólnego z transakcją Tatuśka? – zapytał.

– Wisnowska? – Krasnolud wyprostował się ponownie z chrzęstem skórzanej kamizelki. – Bezpośrednio to nic. Tatusiek chciał kupić tę rzecz bezpośrednio od Piekielnej Palestry, Wisnowska nie miała nic do tego.

– To po co mi o niej mówisz? – zapytał Jay nieco już poirytowany. – łydki nie interesują mnie tak bardzo jak ciebie – dodał.

Krasnolud spojrzał na swojego zwierzchnika z mieszaniną zdziwienia i ledwie skrywanej odrazy. Ale znał go na tyle, żeby tego nie komentować. Każdy wielki człowiek ma w końcu jakieś odchyły. Nawet o Tatuśku

mówili, że miał pewną niezdrową relację ze swoim adiutantem, tunelowcem o nazwisku Truski. Niestety ludzie zbyt dużo zaczęli o tym gadać i Truski miał nieprzyjemność bardzo bliskiego spotkania z pewnym dyliżansem, który akurat przejeżdżał z pełną prędkością boczną uliczką Radovii w środku nocy.

- Ludzie Retifera mówią, że jest w bardzo bliskich kontaktach z Aleksandrem Bartenjewem, porucznikiem garnizonu cesarskiego z cytadeli - powiedział Baruelo.

- No i...?

- To cesarscy urządzili zasadzkę w Lesie Boviańskim pod miastem, gdzie miało dojść do transakcji - wyjaśnił krasnolud. - Zgarnęli naszego ciennika i przedmiot, który miał kupić od Palestry. Oddziałem w lesie dowodził właśnie Bartenjew.

- Cesarscy mają naszego ciennika?

- Nie mamy pewności, czy ciągle go mają - przyznał niechętnie krasnolud. - Wiemy, że zabrali go do cytadeli, ale ostatnio miał miejsce atak Powstańców i...

- Tak, wiem, chcieli uwolnić pułkownika. - Jay machnął ręką. - Przecież sprzedaliśmy im karabiny z obsługą gnomów.

- Dokładnie. Nie udało nam się jeszcze potwierdzić informacji o naszym cienniku, ale nasi ludzie pracują nad tym - dodał pośpiesznie Baruelo.

- Dobrze - powiedział Jay i oparł się o skórzany fotel. Rozejrzał się z zadowoleniem po pokoju, w którym wczoraj bossowie Mafii afirmowali jego wybór na nowego

przewodniczącego. Uśmiechnął się pod nosem. – Pracujcie nad tym. Informuj mnie na bieżąco.

– Oczywiście, padre. – Baruelo skłonił przed nim głowę i schylił się, by ucałować sygnet na palcu Jay'a.

Cofnął rękę. Krasnolud odszedł niewzruszony. Szczęknął zamek drzwi.

– Zaczekaj – zawołał Jay.

– Padre?

– Umów mi spotkanie z tą aktorką Wiśniewską.

– Wisnowską – poprawił Baruelo uprzejmym tonem.

– Tak, tak. – Jay machnął ręką. Podniósł z blatu pistolet i schował pod płaszcz. – Może być na jutro wieczór, na kolację.

– Dobrze – odparł Baruelo i wyszedł z pokoju.

– Pani jest piękna niczym jesienny poranek na polnej drodze usłanej różami – powiedział adwokat-piekielnik.

– Och, a pański język jest niczym wąż – odparła Maria Wisnowska z zalotnym uśmiechem – sączący słodką truciznę komplementów prosto do ucha skromnej, bezbronnej damy.

Wirowali w szybkim walcu wokół sali, wśród pozostałych eleganckich, roztańczonych par. Orkiestra grała na trzy, coraz szybciej i szybciej. Adwokat nie odrywał od kobiety wzroku. Kątem oka dostrzegał, jak coraz więcej par odchodzi na bok, ustępując z parkietu.

A muzyka wciąż przyspieszała.

Wkrótce pod kryształowymi żyrandolami oprócz Wisnowskiej i adwokata wirowała tylko jedna para. Aktorka śmiała się potargana. Jej policzki zaczerwieniły się od wysiłku. Obnażone ramiona lśniły od potu. Mecenas prowadził ją pewnie. Minął drugą parę. Dostrzegł potężne plecy mężczyzny, spowite w czarny smoking, jakby o kilka numerów na niego za mały. Towarzyszyła mu smukła blondynka o figurze akrobatki. Była ubrana w zieloną suknię i uśmiechała się promiennie.

Publiczność zaczęła rytmicznie klaskać w dłonie. Rozpoczęła się konfrontacja.

Adwokat nie miał złudzeń, widział, że jego partnerka jest u kresu sił, pomimo dzielnego uśmiechu, który nie schodził z jej ust. Wciąż wbijała w niego wzrok. Nie było to zbyt rozsądne, musiała mieć okropne zawroty głowy. Jeśli Maria Wisnowska zdążyła dać się poznać w Radovii z jakiegoś powodu, to był nim niewątpliwy talent aktorski, a także upór w dążeniu do celu. Ta kobieta się nie poddawała. Nigdy. Byłaby dobrym żołnierzem cesarskiej armii. Naturalnie jeśli nie byłaby kobietą.

Mecenas zwolnił obroty i zaczął stawiać krótsze kroki.

- Czyżby pan nie miał siły? - wydyszała Maria. - Niech pan nie zwalnia, bo jeszcze gotowa będę pomyśleć, że pan robi to ze względu na mnie - dodała z ogniem w oczach. - A tego bym nie chciała, zapewniam pana.

- Ależ skąd, pani. Proszę zdać się na mnie. Nigdy bym nie postąpił w sposób, który mógłby jakkolwiek pani

uchybić – zapewnił piekielnik. – Byłby to godny pożałowania błąd. – Gwałtownie zmienił kierunek obrotu i przyspieszył. Wisnowska roześmiała się wesoło, strząsając pot z czoła. – I grzech – dodał, obnażając równe, białe zęby.

Minął konkurującą parę po raz kolejny. Tancerki nie rozpoznawał. Musiała to być któraś z tych nowych debiutantek, szukających poklasku i sposobności, żeby wybić się na salonach. Natomiast mężczyzna, który ją prowadził, i co nie umknęło czujnemu spojrzeniu mecenasa, był o niebo gorszy w tańcu od swojej partnerki, należał do Mafii. Uśmiechnął się do Messa, wykrzywiając usta w grymasie zniekształconym wysiłkiem. Adwokat odwzajemnił uśmiech i skinął głową.

Publiczność klaskała coraz szybciej. Muzyka zmierzała do punktu kulminacyjnego. Adwokat wyczuwał, jak jego partnerka słabnie, obwisa powoli w jego ramionach, ale nie mógł odpuścić, nie teraz. Naraziłby się na śmieszność i nic by nie ugrał.

Przed oczami mignął mu partner Wisnowskiej. Grubo ciosana, pociągła twarz wykrzywiona nieskrywanym grymasem wrogości. Ale adwokat się nie obawiał, a przynajmniej nie w tym konkretnym momencie. Teraz podtrzymywał smukłe ciało Marii Wisnowskiej, wiotczące w jego ramionach z sekundy na sekundę coraz bardziej. W innych okolicznościach, w innym miejscu, pewnie troszkę by się obawiał gniewu oficera, ale to popchnęłoby go tylko do kolejnego działania. Zresztą porucznik Bartenjew warknął wściekle pod nosem, wyszarpnął się spod dłoni

kolegi oficera, który usiłował go uspokoić, po czym szybkim krokiem opuścił salę.

W drugiej parze sytuacja wzajemnego wsparcia partnerów była odwrotna. Partnerka wyraźnie przejęła prowadzenie, a wysoki mafioso, jak się okazało, o ramionach nieproporcjonalnie długich w stosunku do reszty ciała oraz małej głowie, pokrytej czarną szczecina, słabł w oczach.

Rozpoczął się finalny takt. Adwokat okręcił Marię dwukrotnie i złapał pewnie w talii, podtrzymując ją przed upadkiem. Aktorka westchnęła cicho. Mafioso stanął w wyćwiczonej pozie, a blondynka sama wygięła się w jego wystawionych ramionach.

Rozbrzmiał ostatni dźwięk skrzypiec i na sali zaległa cisza wypełniona szybkim oddechem tancerzy.

Adwokat uklonił się wytwornie i odetchnął. Konkurent zdołał jeszcze obrócić partnerkę, a raczej ona sama obróciła się pod jego wzniesioną ręką.

I wtedy wybuchły brawa. Lawina oklasków posypała się na dwie pary, które wytrwały do końca nieformalnych, elitarnych zawodów, obwołując wszystkich zwycięzcami. Kilka dam zapiszczało. Paru mężczyzn krzyknęło na wiwat.

- Brawo! Brawo! - zawołał hrabia de Volaille, wychodząc na środek parkietu, pod ramię ze swoją spłoszoną, młodą małżonką. Skłonił się przed Wisnowską. Hrabina dygnęła. Następnie powtórzyli ukłony przed drugą parą, a hrabia nawet podszedł do blond tancerki, ujął jej

spoconą dłoń i złożył na niej wytworny pocałunek, spoglądając znacząco w błękitne oczy tancerki.

Brawa i wiwaty powoli cichły. Maria spojrzała na adwokata, a ten uśmiechnął się do niej i skinął delikatnie głową. Wisnowska zauważyła, z niejaką satysfakcją, jak opanowany i wytworny adwokat rzuca krótkie, trwające ledwie ułamek sekundy spojrzenie na jej unoszący się z wysiłku biust.

- Pięknie! Pięknie! - zachwycił się hrabia. - Cóż za pokaz! Co za wspaniałe przedstawienie, co za rywalizacja, co za gracia, cóż za umiejętności i wytrzymałość! - Wskazywał upierścienioną dłonią na obie zmęczone tańcem pary. - Szanowni państwo! Wznieśmy toast za piękne tancerki - skinął głową w kierunku Wisnowskiej i blondynki - oraz ich wspaniałych partnerów! - Wzniósł kieliszek w kierunku mecenasa i gangstera.

Brzęknęło szkło. Rozległo się kilka wiwatów i po chwili orkiestra zaczęła grać, tym razem bardziej spokojną melodię. Publiczność rozchodziła się powoli, formując pomniejszych grupki, dyskutujące o ostatnich wydarzeniach lub kontynuujące rozmowy przerwane przez niespodziewany konkurs taneczny.

- Pani... - Elliot Mess ukłonił się Marii, a zaraz potem posłał porozumiewawcze spojrzenie w kierunku mafiosa. Mężczyzna zmarszczył brwi i kiwnął głową. Kilka kropli potu skapnęło mu pod nogi. Wypuścił z ramion partnerkę, którą uśmiechniętą od ucha do ucha momentalnie porwał

tłum, po czym skierował się do okna z krzywym uśmiechem na zmęczonej twarzy.

- Czyżby Tatusiek zdecydował się oddać Palestrze co do niej należy? - zapytał Elliot Mess. Stał oparty o parapet na końcu sali. - Czy może chciał przeprosić za ten niefortunny zbieg okoliczności, który sprawił, że mapa trafiła w łapska cesarskich żołdaków? A może to nie był zbieg okoliczności? - Adwokat uśmiechnął się i skłonił się dystyngowanie przed kroczącą opodal księżną Zdzierską, która dygnęła uprzejmie, obdarzając gwiazdy wieczoru wyniosłym uśmiechem. - Jak pan myśli, panie Kobolt?

- Padre przesyła pozdrowienia i o zdrowie zapytuje jaśnie pana mecenas - odparł mafioso, wyginając kącik wąskich ust w usilnym, wymuszonym uśmiechu. - Dziękuje jednocześnie za profesjonalizm i oddanie w sprawie reprezentacji przed sądem naszego człowieka.

- Doprawdy, żadna specjalna zasługa - prychnął Mess. - Taką mamy pracę. Gdybyśmy nie bronili niekompetentnych bandziorów, którzy nie potrafią utrzymać na wodzy swojej żądz mordy, to Piekło dawno przestałoby utrzymywać zmory i inne potworności pod ziemią. A wtedy to byłby problem natury, jakby to powiedzieć... - Podrapał się po gładko ogolonym podbródku. - Społecznej? Nie... Nie, to nie jest dobre określenie skali tego potencjalnego zjawiska. Gdyby Piekło przestało kontrolować swoje więzienia

z powodu natłoku nowych grzeszników, to byłaby to, proszę pana, sprawa wagi państwowej.

Kobolt nie odpowiedział. Rozglądał się po sali. Pary znów zajęły parkiet i kiwały się leniwie do spokojnego utworu z melodyjną linią skrzypiec.

- Mam do pana interes - odezwał się po chwili mafioso.

- Zamieniam się w słuch, drogi panie.

- W sprawie tej transakcji, o której pan wspominał.

- Tak. A jednak? Czyżbym właśnie miał się stać świadkiem jakiegoś ważnego wyznania? - Kobolt zignorował ostatnią uwagę adwokata i wciąż uśmiechał się wdzięcznie w przestrzeń.

- Tatusiek chciałby wyjaśnić z państwem kilka kwestii dotyczących tych transakcji - oznajmił.

- Doprawdy? - zdziwił się adwokat. - A cóż to mogłoby być, czego szacowny Tatusiek nie wie? Przecież sam zaaranżował tę transakcję. Czego mógłby nie wiedzieć?

Kobolt wychwycił z tłumu błysk gęstych czarnych włosów. Począł jeszcze chwilę, aż ich właścicielka powoli wyłoni się z tłumu. W międzyczasie kontynuował:

- Nie moja to rzecz, panie mecenasie - odparł. - Ja mam przekazać wiadomość. Tatusiek prosi o możliwie szybki kontakt z państwa strony, najchętniej jeszcze w dniu jutrzejszym, aby wyjaśnić pewne kwestie natury szczegółowej - wyrecytował mafioso. - Od siebie mogę dodać tylko - zaczął i odwrócił wzrok od Marii, która właśnie wyłoniła się z tłumu i rozglądała się po sali. Kobolt spojrzał na piekielnika z krzywym, ledwie dostrzegalnym

uśmiechem na poharatanej bliznami twarzy - pana stwierdzenie, że Tatusiek zaaranżował transakcję, jest prawdziwe. Ale już to, że powinien znać jej szczegóły, w zaistniałej sytuacji nieco odbiega od, jak wy to określicie, stanu faktycznego - dodał.

Skinął głową i odszedł pospiesznie w kierunku Marii Wisnowskiej.

Elliot widział, jak Kobolt zatrzymuje się przed aktorką i skłania się nisko i wytwornie. Kobieta dygnęła wdzięcznie, spojrzała na postawnego tancerza wzrokiem pełnym zaciekawienia oraz rozbawienia, tym charakterystycznym spojrzeniem, znali je niemal wszyscy mężczyźni, których obdarzyła swoim zainteresowaniem. Kobolt wyprostował się i coś jej tłumaczył, gestykulując przy tym potężnymi ramionami. Maria stała z zadartą głową, wpatrzona w wyższego od niej o dwie głowy mężczyznę. Odpowiedziała coś i skinęła głową.

- Dziękuję. - Wyczytał adwokat z ruchu jej warg. - Będę czekać.

Mafioso skłonił się w pas. Aktorka podała mu dłoń, na której złożył wytworny pocałunek, po czym szybkim krokiem opuścił salę.

Mess podszedł do Marii.

- Ach, panie Elliocie! - zawołała z daleka.

- Pani, taki piękny wieczór. Czy nie miałyby pani ochotę na wieczorny spacer ulicami Radovii?

- Z panem? - zapytała z pozornym oburzeniem. Zaraz jednak na jej oblicze powrócił uprzejmy uśmiech. - Co by

powiedział mój narzeczony?

- Pani jest zaręczona?

- Pan nie wiedział? - zapytała. - Nie czytuje pan gazet?

- Wręcz przeciwnie, jednak obawiam się, że w czasopismach, które czytuję, raczej nie ma zbyt dużo informacji na temat planów matrymonialnych błyszczących gwiazd radovskich scen - odparł Mess.

- Naturalnie. Nie wszystkie gazety interesują się moim losem - powiedziała Maria. - Jeszcze - dodała z zagadkowym uśmiechem. - A wracając do pańskiego zapytania, chętnie wybiorę się z panem na wieczorny spacer. Zdaje się, że Aleksander zdecydował się już opuścić przyjęcie, a ja również zaczynam czuć zmęczenie. Może odprowadzi mnie pan do mojego mieszkania?

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt - przyznał adwokat.

- Nie miałem pojęcia, że sławna Maria Wisnowska, najpiękniejsza i najbardziej utalentowana aktorka desek teatralnych Radovii, Graalii, a zapewne wkrótce i całego Imperium, wychodzi za mąż - powiedział Elliot Mess. - Co panią skłoniło do tego drastycznego, nie bójmy się tego słowa, kroku? Wiele serc męskich i chłopięcych zostanie bezpowrotnie złamanych, gdy ta wiadomość zostanie potwierdzona i wyjdzie z niegroźnej sfery plotek.

Maria westchnęła.

- Miłość, panie mecenasie - oświadczyła rozmarzonym głosem. - Na każdą kobietę to kiedyś spadnie, a gdy spotka tego właściwego, tego jedyne w życiu mężczyznę, który obdarzy ją tożsamym uczuciem, ach... Panie Elliocie, cóż wspanialszego może spotkać młodą, samotną kobietę...? - Pytanie zawisło w powietrzu.

Adwokat podziwiał jej grę. Bo przecież oczywiste, że miłość to nie jest. Widział ją nieraz na deskach Teatru Powszechnego czy Narodowego Teatru Graalskiego przy ulicy Kameralnej, właściwie to zapewne nie było zbyt wielu, którzy nie widzieli Marii Wisnowskiej w jakiejś sztuce. Nic nie przyciągało lepiej prostych ludzi do sztuki i teatru niż obnażone damskie łydki czy ramiona. Wielu było takich, którzy mówili, że to całe epatowanie negligem na deskach tak szacownej instytucji jest karygodne i należy to jedynie potępiać. Elliot jednak tak nie uważał. Sam lubił damskie łydki. Szczególnie, gdy były nagie i tak zgrabne, jak u Wisnowskiej. Wobec tego nie mógł się dziwić zachowaniom gawiedzi, szczególnie jej męskiej części. Przy okazji oglądania wyjątkowych wdzięków aktorki proletariat był zapoznawany siłą, nawet podświadomie, z dorobkiem kulturalnym cywilizacji hominidów. Czy to nie dobrze? Czy to nie wspaniałe? Nawet zagonieni batem nie pojęliby tyle ze sztuki, co wtedy, kiedy gna ich najprostszy instynkt. Cel uświęca środki, przedstawiciele piekielnych departamentów wiedzieli o tym bardzo dobrze. A jeśli jedynym skutkiem ubocznym tej metody ukulturalniania gawiedzi było oburzenie kilku wiekowych matron, bo

adwokat nie wierzył w szczeróć oburzenia ich mężów, hrabiów, książyć, zacnych kupców czy miejskich rajców, to chyba dla dobra społeczeństwa można to wybaczyć.

Elliot podziwiał grę aktorską Marii. Pierwszy raz miał okazję jej doświadczyć osobiście.

- Doprawdy - odezwał się po chwili. - Gdyby zechciała pani przystąpić do Piekielnej Palestry, to z takim talentem zawsze znalazłoby się dla pani miejsce w szeregach naszych adwokatów.

- Ależ panie mecenasie - zaszczebiotła Maria - jest pan nazbyt uprzejmy. - Mess poczuł, że kobieta mocniej ściska jego ramię. - Miłość to rzeczywiście duże słowo. Ale jakie piękne, nie sądzi pan? - Spojrzała na Messa rozmarzonymi oczami.

- Pani jest wspaniała. - Elliot zatrzymał się przy wlocie do niewielkiej bramy odrapanej kamienicy. Ulica Wiązek zawierała wiele takich perełek architektury, które umknęły upływowi czasu oraz troskliwej ręce miejskiego konserwatora zabytków.

Maria przeniosła wzrok na adwokata. Kątem oka widziała niewielkie smużki dymu unoszące się spod jego stóp. Wirowały cieniutkimi spiralami jak pokręcone nitki zwiewnych pnączy. Wznosiły się dzielnie w ciemną noc, tylko po to, żeby zaraz rozmyć się w przytłumionym, żółtym świetle. Strumyczki gazu sunęły wąskimi rurkami w metalowych wnętrzościach latarni, sycząc miarowo, prosto ku swojemu zabójczemu przeznaczeniu, jak drobinki helu i wodoru, które urodziwszy się we wnętrzach gwiazd,

pędzą ku powierzchni po to tylko, żeby przemienić się w życiodajne światło i ciepło słońca. Chciałoby się powiedzieć, że te bezimienne drobinki, zamieniając się w życie roślin i zwierząt, zyskują nieśmiertelność, należącą się tylko bogom.

I meduzom oczywiście też. Oraz kwiatowym pyłkom, raz wprowadzonym w ekologiczny superobieg bezimiennych drobinek nigdy nie umierają. Dlatego też twierdzenie o nieśmiertelności bogów, jacykolwiek by byli, nawet jeśli chodzi o jedyne boga, jak na przykład okrutny Jaweh z dalekich, pustynnych krain Mojawola, jest chyba troszkę na wyrost. Materia sama w sobie jest nieśmiertelnością, a przecież bogowie mogą być wszystkim, więc z definicji nie są związani tylko z jedną formą materii. Można więc spokojnie powiedzieć, że bogowie są nie tyle nieśmiertelni czy wszechmocni, co raczej nieznikający i wszechobecni w świadomości wiernych. Tyle mogą zrobić, na ile im pozwolą wierni i zasób wiary zgromadzony w ich świadomościach. No, chyba że dany bóg wyhoduje sobie odpowiednie stadko kapłanów, którzy potrafią się znaleźć w społeczeństwie, w najbardziej materialnym znaczeniu tego określenia. Wtedy świadomość i jej możliwości schodzą na nieco dalszy plan, a zdolności bogów zależą raczej od wyobraźni kapłanów i promieniują na słabe umysły, jak te właśnie bezimienne, chemiczne drobinki pędzące ku powierzchni słońca.

Bóg jest jak kot, pomyślał Elliot Mess, wypełnia każde naczynie, niezależnie od kształtu.

- Ma pani bardzo piękne oczy - powiedział przytłumionym głosem.

Maria uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Dziękuję - odparła, spuszczać skromnie spojrzenie.

Aktorka stała plecami do ciemnego wnętrza bramy. Mess zauważył ruch pod jej prawym ramieniem. Potem drugi po lewej stronie, szybki, zwinny ruch.

A potem rozległo się ciche uderzenie, ledwie tylko głośniejsze od syku lamp. Maria, nie przestając się uśmiechać, opadła na plecy. Elliot złapał ją w pól i uniósł bez trudu.

- Prowadźcie - powiedział do ciemnych kształtów, które wyrosły po obu bokach bramy jak gargulce oderwane od gzymsu. Zakotłowały się, zapiszczały jak przestraszone myszki, po czym zniknęły w bramie. Elliot Mess wkroczył w mrok. Alabastrowa dłoń Marii Wisnowskiej kiwała się, przez chwilę odznaczając się na tle ciemności białą plamą, po czym zniknęła.

Na bruku widniały dwa odciski butów o regularnym kształcie. Tliły się delikatnie. Po chwili chłodny powiew wczesnowiosennej nocy rozwiał je i zgasił żar.

Aleksander Bartenjew wyszedł do ogrodu przy pałacyku hrabiego de Volaille'a. Była już noc i przestrzeń rozświetlały tylko pojedyncze, niezbyt mocne latarenki, ustawione po bokach podwórka. Aleksander szacował, że jego rodzice na wsi mieli większy ogród przy swoim skromnym dworku,

a przecież nie byli nawet w jednej setnej tak bogaci, jak jaśnie gospodarz, który dumnie plasował się w pierwszej dziesiątce najbardziej wpływowych obywateli Imperium. Prawda, był Graalem, ale przecież wielu Graali zdobywało coraz bardziej szanowane pozycje w Imperium. Kilku z nich ponoć nawet osobiście doradzało samemu Cesarzowi. Od podbicia, a właściwie przejęcia Graalii przez Imperium, minęło już nieco ponad sto lat. Wtedy, jak opowiadał Aleksandrowi jego dziadek, weteran cesarskiej armii imperialnej, nie było wojny. Podobno nie było nawet jednego wystrzału. Wojska imperialne po prostu wkroczyły do Radovii, stolicy Graalii i rozbroiły lokalne garnizony. Władze na to pozwoliły i podobno sam graalski król nakazał swoim żołnierzom złożyć broń przed zbrojnym ramieniem Cesarza, mówiąc:

- Nie nasza to wina, co ma miejsce w tym pięknym i wspaniałym mieście. Nie nasza to wina, że musimy się poddać pod obce władanie, że musimy przyjąć ciężar obcego zwierzchnictwa. Góra błędów nagromadzonych przez wieki właśnie osypuje nam się na głowy, a moim obowiązkiem, jako waszego króla, wybranego przez możnych świętej Graalii, jest zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa. Dlatego proszę i rozkazuję - złożcie broń i bądźcie posłuszni rozkazom nowego zwierzchnika. Mnie osądzi bóg i historia.

Krół nie sprecyzował podobno, o jakiego boga mu chodziło, co doprowadziło w kolejnych latach do wielu kontrowersji, szczególnie w momencie jego śmierci, gdy

wysłannicy Zaświatów nie do końca wiedzieli, kogo mają wezwać na sąd. Legenda mówi, że ostatecznie padło na Bachusa, boga zabaw i wina, który przysnął na rozprawie i nawet proces ważenia duszy króla przebiegł nie tak, jak należy, bo Bachus potknął się i przewrócił wagę.

Bartenjew nie do końca rozumiał postępowanie króla Graalii w tamtym czasie. Podobnie do sprawy podchodziło wielu obywateli samego państwa. Część z nich nie uznawała władzy Cesarza i chciała z powrotem otrzymać wolną Graalię, tylko po co? Bartenjew również ich nie rozumiał, ale fakt, Powstańcza Armia Podziemna to problem dla każdego cesarskiego oficera. Jak widać, nawet cytadela w Radovii nie jest bezpieczna od ataków tych terrorystów. Ale tym zajmie się jutro. Będzie musiał się tłumaczyć przed oficerami ze Sztabu Generalnego, jak to możliwe, żeby w samym środku stolicy jednej z większych Imperialnych prowincji banda zbuntowanych dzikusów wykonała pięciokilometrowy podkop i wysadziła najważniejsze budynki, jednocześnie uwalniając jednego z nieformalnych przywódców Powstania.

Oficer sam nie wiedział, jak to możliwe, ale nie zmieniało to faktu, że on w tamtym czasie miał służbę i odpowiadał za obronę cesarskiej twierdzy. Oskarżono go o doprowadzenie do zniszczenia cudzej własności. Cytadela należała do Cesarza, to oczywiste. Polityka gospodarcza Imperium kierowała się prostymi regułami. Jedną z nich było oddać Cesarzowi, co cesarskie, a bogom, co boskie. W praktyce oznaczało to, że od interpretacji cesarskich

urzędników zależało, co należy danemu Cesarzowi oddać. Bardzo użyteczna zasada stanowiąca uświęcony tradycją precedens prawny, który ułatwiał sprawy, takie jak nacjonalizacja majątków czy też ochrona dóbr kultury i dziedzictwa narodowego.

Aleksander zatrzymał się przy niewielkiej ławce, skrytej za girlandą winorośli. Przyglądał się pękatej, kamiennej wazie ustawionej pośrodku niewielkiego zaułka. Wyglądała jak jakiś starożytny zabytek z którejś z południowych prowincji. Przyjrzał się dokładniej. Napis u podstawy, ozdobionej zawiłym, roślinnym motywem, głosił: „Na pamiątkę prof. de Volaille wdzięczne koleżanki.” Na pamiątkę czego? Nieważne.

Usiadł na ławce i wsłuchał się w nocny szum ogrodu. Przez moment poczuł się, jakby znów był u rodziców na wsi. Tylko gdzie to było? Aleksander od jakiegoś czasu zauważał, że ma duże problemy z przypomnieniem sobie najprostszyc rzeczy z przeszłości. Wszystko jakoś się wykrzywiało i zniekształcało w jego pamięci. Ostatecznie doszło do tego, że nie pamiętał nawet, gdzie mieszkają jego rodzice. Nie umiał wskazać swojej rodzinnej miejscowości na mapie Imperium. Nie wiedział, kiedy zaczął służbę. Nie pamiętał, z kim i gdzie się szkolił w Akademii Oficerskiej. Naturalnie wiedział to wszystko z dokumentów i opowieści innych, ale miał wrażenie, że to nie są jego wspomnienia. Że on nie pasuje do tego świata, który przyjął go co prawda, obudowując wokół jego osoby całą historię. Ale tego nie było. Nigdy się nie wydarzyło.

Na razie nikomu o tym nie mówił. Przecież miał pojechać do ojca i prosić o pozwolenie na ślub z Manią. Może to przez te nerwy wszystko zapomniał?

Maria nie pierwszy raz zostawiła go na lodzie. Pamiętał, jak go ostrzegali, że ona nie jest dla niego, że do siebie nie pasują, że ona go tylko wykorzysta, że się nim pobawi i zostawi. Słyszał to, pamiętał nawet brzmienie głosów wypowiadających te bolesne słowa rwące korzenie uczucia w jego sercu. Ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, kto mu to mówił. Naturalnie koledzy z cytadeli powtarzali to często. Dodatkowo kilku aktorów z teatru, w którym Maria najczęściej występowała, ale Aleksander wiedział, że to nie wszyscy. Oni tylko powtarzali w jego głowie już wcześniej istniejącą myśl, już wcześniej przekazaną. A może sam sobie to wymyślił?

Zamknął oczy. Widział fioletowo-pomarańczowy wir światła, a w nim tańczyła Maria Wisnowska. Jego Mania. I ten adwokat. Chwilę później zobaczył ulice dziwnie znajomego miasta. Ulice, budynki, nawet ludzie płynący szarymi strumieniami chodników wydawali się znajomi. Ale to nie była Radovia. Miasto podobne, ale inne.

Usłyszał szum. A potem nagły blask i huk utopił znane-nieznane miasto w ciężkiej, szarej chmurze wszechobecnego pyłu. Krzyki, grzmoty i dziwne trzaski, a potem metaliczny, twardy terkot i znowu huki. Stopniowo wszystkie te dźwięki przybierały na sile, rosły, otaczały Aleksandra straszliwą, rozedrganą powłoką

przeciwsłoneczną, przeciwpowietrzną i antyuczuciowym zubożeniem.

A potem rozległ się przesywający wrzask, zmieszany okrzyk bólu i przerażenia wydany z tysiąca gardeł kobiet, mężczyzn i... tak, również dzieci.

Nagle cisza i ciemność, i tylko pył gryzł wciąż płuca, wdzierał się do wnętrzości i osiadał na dnie ciężką zawiesiną, która ciągnęła całe ciało ku ziemi.

Aleksander otworzył oczy i uniósł głowę, a w miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze stała antyczna waza, prezent dla hrabiego od wdzięcznych koleżanek, wyrastał z ziemi biały obelisk. Bartenjew uniósł się na kolana. Poczł chłody, wilgotny dotyk grobowego głazu pod zmarzniętymi dłońmi. Na płycie stały świeże kwiaty i dwa znicze - biały i czerwony, tłące się iskierką nadziei zatopionej w gęstym szkle.

Bartenjew uniósł wzrok. Gdzieś w górze szumiały drzewa. Trzykrotnie zakrakał kruk. Zamiauczał kot. A oficer krzyknął. Przeraźliwie i beznadziejnie. Patrzył jeszcze przez chwilę na białe popiersie Marii Wisnowskiej.

- Mania... - jęknął. - Moja Mania... - Upadł na twarz, a zimny kamień grobowca wciągnął go w siebie i przyjął do martwego wnętrza.

Czarny kot oblizał się, wspominając jeszcze dobry, wyśmienity wręcz, smak tłustej kiełbaski. Smakowała tym lepiej, że skradziona. A skradziona to prawie jak

upolowana, można nawet powiedzieć zasłużona. A teraz jeszcze całe to widowisko. Człowiek zapadł się w kamienną płytę, a wcześniej tamci dwaj wybiegli przez bramę jak pajace, wymachując łapskami. No... To jest dopiero coś. Na cmentarzu widział już wiele różnych zjawisk, ludzi biegających, przechodzących przez kamienie, ludzi bez głów i innych części ciała, ale czegoś takiego jak dziś nie widział jeszcze nigdy.

Tak, to był dobry dzień, pomyślał kot. Podniósł się i przeciągnął grzbiet. Dla pewności przetarł jeszcze języczkiem łapki, po czym z gracją zeskoczył z krzyża. Czas na spoczynek, dzień można zaliczyć do wyjątkowo udanych. Trzeba się tym nacieszyć i zadbać o to, żeby nic nie zdołało go zepsuć.

Wskoczył na mur, przemaszerował z gracją po szczycie, po czym wdrapał się na pochyloną gałąź drzewa, na której zaczynały zielenić się pierwsze liście. Wszedł pomiędzy swoje ulubione konary, w zaciszu i spokoju. Westchnął i zwinął się w kłębek na kawałku nieco szorstkiej kory.

Nad Warszawą wschodziło słońce.

VI. PRZECIEK W EDENIE

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu, pomyślał Cicero, unosząc się pół metra nad falującym miarowo dywanem trawy. Suchy step ciągnął się pustką po horyzont, a zapewne i jeszcze dalej, aż nie napotykał czegoś, co by wypełniło jego bezkresne, niezaburzone niczym przestrzenie. Tym czymś mógł być na przykład koń. Albo wielbłąd. Wielbłądy istotnie pojawiały się coraz częściej, interesujące zjawisko, myślał dalej. Czy wypierały konie z ich naturalnego środowiska? Na płaszczyznach Edenu potrafiły się rozgrywać istniejące darwinistyczne dramaty. Z reguły polegały na powolnym wypieraniu jednych gatunków przez inne, ale czasem, w przypadku szczególnie ciekawej osobowości danego saivy-gospodarza, na płaszczyźnie rzeczywistości rozgrywały się bitwy gatunkowe, a czasem nawet wojny.

Całkiem niedawno sam Cicero był świadkiem, jak na płaszczyźnie rzeczywistości zamieszkiwanej przez pewnego

saivę młodego następcy tronu jakiegoś dalekowschodniego królestwa miała miejsce regularna, krwawa wojna dwóch plemion surykatek. Jedne z nich, charakteryzujące się ciemniejszym ubarwieniem, w pewnym momencie zrozumiały, że ich chwytne łapki mogą być wykorzystane do podnoszenia różnych przedmiotów. Pech chciał, że zaczęły ćwiczyć swoje umiejętności na podnoszeniu różnych patyków i kijków. W trakcie jakiejś nic nieznaczącej kłótni pomiędzy dwoma przedstawicielami plemienia jeden z nich odkrył, że sprzeczki można w bardzo prosty sposób rozwiązywać, jeśli odpowiednio się chwyci kij o zaostrzonym końcu. Nie wymaga to nawet dużej siły, zdecydowanie mniejszej niż okładanie adwersarza małymi piąstkami, które najczęściej prowadziło do zmęczenia obydwu przeciwników i zaniechania kłótni z powodu ogólnego zniechęcenia. W pewnym momencie wściekłość zawsze ustępuje wizji miękkiego legowiska i ciepłej mrówczej larwy na kolację. Ostry kij pozwalał natomiast odpowiednio skanalizować tę wściekłość zanim zdąży wygasnąć i wszyscy rozejdą się do swoich norek.

Cicero z niemałym zainteresowaniem obserwował kierunek zmian społecznych ciemnego plemienia surykatek. Umocnienie władzy wykonawczej i istotne zwiększenie stopnia organizacji plemienia były wprost intrygujące.

Drugie plemię, o dużo jaśniejszym umaszczeniu niż swoi sąsiedzi, zamieszkujące inny fragment sawanny, również odkryło możliwości chwytne swych małych łapek. Jednak z uwagi na to, że żyły one w okolicy mniej obfitej

w suche patyki, nie spostrzegły potencjału militarnego kryjącego się w zaostrzonym kiju. Miały jednak całkiem sporo piasku. Zaczęły więc budować coraz to wyższe i wyższe konstrukcje z gliny i błota, podpatrzone przez jedną sprytną surykatkę u termitów, wznoszących całkiem niedaleko swoje niebosiężne kopce.

Z początku były to małe, nic nieznaczące konstrukcje, których rola ograniczała się raczej do walorów estetycznych. Z czasem jednak surykatki z jasnego plemienia odkryły również możliwość drążenia w nich tuneli. W końcu zwierzęta przeniosły się do kopców z gliny, opuszczając swoje norki. Wewnątrz olbrzymich konstrukcji powstały komory mieszkalne. Kolejne pokolenia surykatek przychodziły na świat, dorastały i umierały, często w ogóle nie wychodziły na spalony słońcem step więcej, niż to potrzebne dla zgromadzenia żywności. Pewna sprytna surykatka, której nikt nie lubił w szkole, ale była bardzo mądra i nigdy nie patrzyła w tę samą stronę, co inne, odkryła, że pewne gatunki grzybów można zjadać i polane sosem z larw mrówek potrafią być nawet całkiem smaczne. W kopcach powstały zatem specjalne komory przeznaczone tylko do hodowli grzybów, a z czasem i owadów, przez co surykatki wychodziły na step jeszcze rzadziej.

Cicero, Strażnik i Przewodnik w Edenie, bywał dość często u dalekowschodniego księcia w odwiedzinach. Co ciekawe, książę przybył do Edenu z dalekiej Północy, z norweskich fiordów, gdzie zginął i przemienił się w saivę, emanację jego własnej świadomości, która z jakiegoś

powodu nie opuściła tego świata razem ze śmiercią jego chudego ciała. Tam został w pewnym momencie ekstrahowany przez Zmoraka, działającego z polecenia Konsorcjum Narodu Niemieckiego, i przewieziony do Edenu przez Bramę Lodową, na płaskowyżu, dokładnie na linii koła podbiegunowego północnego, tuż obok międzynarodowej drogi E6, prowadzącej z południa na północ Norwegii.

Strażnik poprawił kapelusz. Jedna z pięciu lewitujących spokojnie w powietrzu dłoni spoczęła na szerokim rondzie. Przewodnik poruszył rybem ogonem i powoli ruszył dalej, pod wiatr. Właśnie wracał z ostatniej wizyty u księcia. Postanowił jeszcze zrobić obchód wokół płaszczyzn rzeczywistości. Sam już nie pamiętał, kto zamieszkiwał ten step. Mógł w dowolnej chwili sięgnąć do zasobów bazy danych Edenu i to sprawdzić, dowiedzieć się wszystkiego o tej płaszczyźnie rzeczywistości, jej gospodarzu, okolicznościach jego śmierci, historii stepu i całej masy przydatnych, ale w tym momencie zupełnie niepotrzebnych informacji.

Nie potrafił jednak pozbyć się sprzed oczu obrazu surykatek. Czarne plemię, wznoszące w górę zaostrzone patyki, opętańczy pisk ich wodza, który tłumaczył zagorzale swoim poddanym, że zginą niewierzący w boga słońca, bluźniący w twarz bóstwom, usiłujący osiągnąć swymi konstrukcjami z gliny i piasku nieboskłonów. Nawoływał do zemsty za wszystkie krzywdy doznane przez czarne plemię,

obiecywał raj tym, którzy zginą w bitwie. Czas, żeby powstać z kolan! Na nich, bracia!

Cicero obserwował bitwę z pawilonu księcia, ustawionego zaraz na skraju sawanny. Zwiewne, białe zasłonki, uczepione do bambusowego sklepienia falowały delikatnie jak rzęsa na jeziorze, a oni siedzieli z księciem na miękkich poduszkach i popijali słodki wyciąg z soczystych traw.

- Widzisz, mistrzu? - zagadywał księżę. - Agresja to gleba dla pędów rozumu. Ekspansja i dominacja to nawóz, który pozwala wznosić się ku niebu łodygom świadomości, a nienasycenie jest jak promienie słońca dla liści inteligencji - mówił, patrząc na bitwę przez lunetę ustawioną na skraju tarasu.

Ciemne plemię surykatek atakowało niemal bez przerwy. Ich zaostrzone kije łamały się na ścianach kopców z twardej, wysuszonej na słońcu gliny. Jasne plemię rzucało w nich kamieniami, odpadkami, kawałkami gliny, czymkolwiek, co mogło powstrzymać przeciwników od wspinaczki na ściany ich uporządkowanego świata. Wiele ciemnych surykatek zginęło. Ich drobne ciała zaścielały podnóża wielopiętrowych stosów. Ale wielkie ofiary i początkowe niepowodzenia nie zniechęciły ciemnego plemienia. Wręcz przeciwnie, kije stawały się coraz grubsze, ostrza coraz twardsze. Zaczęto stosować kamienne groty. Ciemne surykatki ruszały do ataku w hełmach z powyginanych patyków, chroniących ich delikatne mordki przed uderzeniami ciskanych ze stosów

odłamków. Dzięki temu były w stanie wspinać się jeszcze wyżej i momentami dochodziło nawet do walki wręcz, gdy docierały do najniżej położonych okien i tarasów glinianych kopców. Z reguły jeszcze przegrywały i spadały z kwikiem, często pociągając za sobą kilku swoich pobratymców.

Walka wydawała się nie mieć końca, ponieważ na nowe ofensywne wynalazki czarnych surykatek jasne plemię odpowiadało zamurowywaniem okien, wzmocnieniem ścian i dobudowywaniem kolejnych pięter i tajemnych przejść pomiędzy swoimi wyniosłymi twierdzami. Gdy Cicero odchodził od księcia nad ranem, widział jeszcze, jak na tyłach, w usłanej suchymi patykami okolicy, gdzie czarne surykatki miały swoje norki, zaczęło się coś dziać. Był tego pewien i to pomimo braku jakichkolwiek oznak zewnętrznych owego czegoś. Samiczki czarnych surykatek jak zwykle chowały młodych wojowników lub nowe matki dla kolejnych wojowników lub kolejnych młodych matek. Młodzieńcy niezdolni jeszcze do służby wojskowej oraz starcy zbierali prowiant i razem z samiczkami szykowali zapasy, które w większości były wysyłane na front walki z białymi. Wielkie transparenty wciąż wisiały ponuro nad całą osadą. Patrzyły z nich złowieszczo wykrzywione okrutnie mordki białych surykatek, często trzymających w swoich nienaturalnie dużych łapkach jakieś młode z czarnego plemienia. Cicero zapytał kiedyś księcia o te łapki. Okazało się, że w przypadku surykatek zbyt duże łapki były uważane za wyjątkowe wynaturzenie, obrzydliwą

deformację, niewątpliwie świadcząca o zwyrodnieniu psychicznym ich posiadacza.

Inaczej mówiąc, tamtego dnia wszystko wydawało się w normie, poza dźwiękiem. Z nim są zawsze problemy. A ponad osadą czarnych unosiły się dziwne, smętne nuty pieśni wykonywanej piszczącym, surykaczym głosikiem i brzęczące uderzenia. Śpiew niósł ze sobą żalobę i zniechęcenie, niewysłowiony bunt i nadzieję na lepsze jutro. I zdarzało się nawet, że czarni, wracający z frontu na przepustkę, lub ci, którzy zostali ranni w walce, zaczęli śpiewać i nie chcieli już wracać, łamali kije na drobnych kolankach i przytulali samiczki, śpiewali z nimi pomimo świszczących w powietrzu batów dowódców, skręconych z suszonych łądyg wysokich traw.

Cicero pomyślał, że będzie musiał odwiedzić jeszcze księcia i dowiedzieć się, jak potoczyły się dalej losy tych interesujących stworzonek. Ale teraz przejdzie się jeszcze po stepie. A potem zostanie już tylko tysiąc dwadzieścia pięć kolejnych płaszczyzn rzeczywistości do odwiedzenia.

Omiótł step spokojnym spojrzeniem żółwich oczu. Pustka. Niczym nieograniczona pustka gnała ponad morzem traw jak wiatr, aż nie napotka na swojej drodze przeszkody, która ją wypełni, chociaż w części. Taką przeszkodą mógłby być na przykład wielbłąd, pomyślał Cicero. Coraz więcej ich widać w tych stronach, zdają się wypierać... Konie?

Strażnik zmrużył oczy i zsunął niżej kapelusz, osłaniając wzrok przed słońcem. Na idealnie płaskiej linii horyzontu

pojawił się niewyraźny kształt. Zbliżał się szybko i rósł w oczach. Oderwał się od widnokręgu i Cicero mógł już bez problemu rozpoznać sylwetkę niskiego, krępego wierzchowca z jeźdźcem na grzbiecie. Po chwili na horyzoncie, daleko za plecami jeźdźca, wykwitła chmura pyłu.

Strażnik usłyszał tętent kopyt. Zdjął srebrzysty trójząb przytwierdzony do wypukłej skorupy na grzbiecie i chwycił go dwiema dłońmi. Trzecią przytrzymał kapelusz i czekał. Czwartą podrapał ogon... A piąta, z braku zajęcia, falowała sobie swobodnie na wietrze.

Ułan-Ude pędził po stepie, poganiając konia krzykiem i celnymi płazami szabli. Mały, przysadzisty konik pruł przed siebie, jakby od tego zależało jego życie i koński honor. Krótki łuk refleksyjny obijał się o udo wojownika. Skórzany kołpak opadał mu co chwilę na oczy. Poprawiał go rękojeścią szabli pomiędzy kolejnymi płazami.

Obejrzał się za siebie. Chmura kurzu zostawała z tyłu. Pościg nie odpuszczał. Ułan-Ude wiedział, że na tym stepie prędzej czy później go dopadną. Jego koń był silny i wytrzymały, urodził się i umrze na stepie, podobnie jak wszyscy jego przodkowie.

Ale wciąż to tylko zwierzę. Wojownik nie miał pewności, czy koń był żywy, w końcu on sam nie żył i znajdował się w azylu dla zmarłych, w Edenie. A przynajmniej tak mu to tłumaczył pomiot, który mianował się strażnikiem azylu dla

saivów. Zdaniem strażnika Ułan-Ude był saivą. Nie do końca jednak rozumiał całą tę koncepcję i za bardzo się nad nią nie zastanawiał.

- Dalej, dalej! - krzyknął i przytulił się do grzywy wierzchowca.

Pęd powietrza wyciskał mu łzy z oczu. Nacisnął głębiej kołpak. Poprawił łuk na biodrze.

Cicero ścisnął mocniej trójząb. W chmurze dymu coś błysnęło, a po chwili do Strażnika doleciał donośny huk.

No, ciekawe, pomyślał.

- Uciekaj pan! Uciekaj! - wrzeszczał jeździec pochylony nisko nad końską grzywą, pędzący na złamanie karku.

Strażnik uniósł się w powietrze i pozwolił, żeby jeździec przegalopował pod nim. Następnie uniósł trójząb i ruszył za nim, przytrzymując kapelusz na głowie. Dogonił go i zrównał się w biegu. Ustawił się bokiem i spoglądał na wojownika galopującego z szaleńczą prędkością. Od wierzchowca odpadały płaty piany, ale jeździec wciąż spinał go do szybszego biegu i smagał płazem szabli. Pęd powietrza szarpał poły skórzanego kaftana oraz krawędzie futrzanego kołpaka.

- Cóż to, mości Ułanie-Ude? - zagadnął Cicero, lewitując tuż obok jeźdźca. - Samotne wyścigi po stepie urządzacie? Jest jakaś okazja? - pytał.

- Uciekaj, do cholery - rzucił jeździec, spoglądając znad końskiej grzywy. Wierzchowiec dyszał ciężko i co jakiś czas

rzucał łbem, ale ani na moment nie zwalniał kroku. – Ślepy jesteś? – Jeździec wyrzucał z siebie pojedyncze słowa, jakby nie mógł nabrać powietrza.

– Ale przed czym mam uciekać? – zapytał uprzejmym, konwersacyjnym tonem.

Jeździec ostrożnie wyciągnął rękę z szablą, wskazując za plecy.

– Przed nimi – odparł.

Zanim Cicero zdążył zadać kolejne pytanie, z chmury pyłu, która wyraźnie się powiększyła, huknął strzał.

– Przed burzą? – zagadnął Strażnik, po chwili.

– To nie... burza... – wysapał jeździec. – Uciekaj, głupcze! – warknął jeszcze i ponownie przytulił się do końskiej grzywy, spinając konia do jeszcze szybszego biegu.

– Kieruj się na zachód, dzielny wojowniku – powiedział Cicero. – Tam znajdziesz schronienie w martwym lesie – dodał.

Następnie Przewodnik uchylił lekko kapelusz, na ile to było możliwe pod wściekłym naporem wiatru, raczej wysunął spod niego lekko swoją żółwią głowę i gdyby miał wargi, byłby się uśmiechnął. Potem wyciągnął przed siebie wszystkie ręce, poza tą trzymającą kapelusz i wyhamował, puszczając jeźdźca przodem.

Po chwili, będąc już kilkadziesiąt metrów ponad powierzchnią stepu, Cicero wyprostował ogon i położył dłonie wzdłuż ciała, a następnie wznosił się jeszcze wyżej, pionowo w górę. Powyżej stu metrów nad ziemią mniej wiało. Strażnik zatrzymał się i spojrzał w dół. Widział

wyraźnie malutką sylwetkę Ułana-Udego, sunącą szybko po stepie. Cicero z zadowoleniem zauważył, że wojownik zgodnie z jego propozycją skręca powoli na zachód. Jechał teraz po szerokim łuku, najwyraźniej żeby nie wytracić prędkości. Nieliczne błyszczące elementy uzbrojenia i rzędu krępego wierzchowca rzucały pojedyncze odblaski, jakby ktoś puszczał z jego pleców sygnały alfabetem Morse'a.

Cicero spojrział w drugą stronę. Z tej wysokości horyzont znajdował się dużo dalej niż wtedy, kiedy patrzył z ziemi. Już samo to go zaciekało. Nie wszystkie płaszczyzny rzeczywistości były okrągłe albo posiadały widnokrąg, który zakrzywiał się tak, jakby w istocie dana powierzchnia była okrągła. Istniało również wiele płaszczyzn rzeczywistości, których saivowie-rezydenci nie pozwalali sobie wmówić ani nikt im nawet nie próbował wmówić, często ze strachu o własną przyszłość, że ziemia jest okrągła. Wobec tego również po śmierci ich świadomość wykształcała taką płaszczyznę, jaką rozumiała, czyli na przykład bez efektu zakrzywienia widnokręgu. Prowadziło to czasem do interesujących rezultatów.

Przewodnik przypominał sobie jednego szlachcica, saivę odmienionego ze zmary po pobycie resocjalizacyjnym w jednej z najcięższych komór Stosu. Mimo że mężczyzna ów zginął, zaszlachtowany dość brutalnie przez chłopów z jednej z wsi, w czasach, które można nazwać postkopernikańskimi, szlachcic nie wiedział o koncepcji okrągłej kuli ziemskiej. Wymyślił sobie więc płaską okolicę,

a na dodatek niezbyt dużą, bo ograniczającą się do kilku wsi i skrawka lasu. Świat kończył się zaraz za oborą przy jednej z drewnianych chałup. Zdarzało się nawet, że niektóre krowy, gdy zrobiły nieopatrzny krok w tył, spadały w ciemną pustkę, oznaczającą koniec świata. Kolejna krawędź znajdowała się w lesie. W pewnym momencie drzewa po prostu się urywały i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Niejeden spanikowany zając czy nieostrożny jeź dołączyły do krów poza krawędzią świata. Cicero pomyślał, że w kolejnej turze obchodu po płaszczyznach rzeczywistości musi się tam udać i zajrzeć pod powierzchnię świata. Musi też zapytać Ułana-Udego, skąd znał koncept okrągłej ziemi. Ale to później.

Kilkanaście metrów przed ścianą kurzu pędziło po stepie czterech jeźdźców. Byli wyraźnie wolniejsi od Tatara, który już zniknął gdzieś za horyzontem, kierując się na wystające ze stepu na zachodzie pojedyncze, skalne słupy. Mimo to jeźdźcy nieugięcie pędzili w ślad za wojownikiem. Na plecach mieli przewieszane coś, co wyglądało jak długie strzelby i coś, czym co jakiś czas jeden z nich oddawał rozpaczliwy strzał w kierunku uciekającego przeciwnika. Jeźdźcy dosiadali koni, które były dużo większe od przysadzistego wierzchowca Ułana-Udego i... tak, Cicero był niemal pewien, że te konie miały delikatne, potrójne różki, wyrastające spomiędzy spiczastych uszu.

Strażnik obniżył nieco pułap i leciał równo z grupą pościgową, przyglądając się najbliższemu jeźdźcowi. Miał na głowie wysoką, futrzaną czapę i był ubrany w czerwono-

złoty mundur. U pasa zwisał mu długi pałasz w drewnianej pochwie na szerokim, skórzanym pasie. Wysokie, wypolerowane buty do jazdy konnej nieustannie spinały boki wierzchowca do szybszej jazdy. A koń rzeczywiście miał na łbie trzy rogi. Cicero zauważył u niego również oznaki wskazujące na to, że miał podwójny ogon.

Cicero wzniósł się wyżej. Nie powinien interweniować w ekosystem płaszczyzn rzeczywistości. W Edenie pozostawiano w tym zakresie saivom daleko idącą swobodę. Niemniej nie miał do końca pewności, czy ci jeźdźcy na rogatych wierzchowcach w istocie stanowią efekt ewolucji stepu lub bezpośredni wytwór wyobraźni Ułana-Udego. Spojrzał na karabiny. Właściwie były to długie rury zakończone pękatą kolbą. W momencie strzału następował huk i błysk, ale Cicero nie widział ani śladu prochu. Nie wyczuwał go też w powietrzu. Dość dziwne, ale Strażnik wolał jednak sam nie podejmować decyzji o interwencji, dopóki nie upewni się, że równowaga systemu może zostać naruszona. Był elementem systemu Edenu i uczestniczył w jego budowie, ale to Konsylium Kruków zarządzało Azylem i gospodarką Równowagi.

To, co widział pod sobą na stepie, wymaga konsultacji z Konsylium. Cicero sprawdził, że Ułan-Ude zmierza w kierunku skalnej bramy pomiędzy płaszczyznami, a następnie pozwolił, żeby jego dłonie, wliczając w to te, które trzymały trójzab, zawirowały wokół niego. Na szczęście przestało wiać, ale trójzab i tak zawadził kilka razy o tunikę. Musiał opracować jakiś lepszy system

radzenia sobie z trójzębami, może na plecy? – pomyślał, po czym zniknął.

Gdzieś na dole huknął kolejny strzał.

Wiatr sunął po stepie niczym bobslej po idealnie wygładzonym torze ułożonym w próżni kosmosu. Albo niczym startujący łabędź. Muskał po drodze niewysokie kępki traw, zmuszając je do synchronicznego tańca z ukłonami tylko w jedną stronę. Trawy z reguły nie lubią tańczyć. To tylko tak wygląda, że kłaniają się na wietrze, jakby nic innego w życiu nie chciały robić. Tak naprawdę trawy, a w szczególności te z nich, które rosną w Edenie, lubiły spokój. Żdźbła miały tego świadomość i jęczały w cichym proteście wobec nieugiętej tyranii wiatru.

Ale kopyta były gorsze, pomyślały źdźbła zgromadzone w jednej, niewysokiej kępcie. Podnosiły się właśnie z bólem po brutalnym przygięciu do ziemi przez galopujące potwory, większe niż te, których do tej pory doświadczały. Wyprostowały się i zaraz zaczęły ponownie swój wietrzny taniec.

- Panie sierżancie - odezwał się jeden z jeźdźców pędzących po stepie, huzar Sasza Tropiew. - Nie widać go. Jest za szybki, pewnie zniknął za horyzontem.

Sierżant nie odpowiedział, smagnął tylko konia płazem szabli po zadzie. Podwójny ogon wierzchowca poruszył się nerwowo.

Jechali już dobre kilka godzin, w pogoni za nieznanym, dzikim jeźdźcem na przysadzistym koniu. Ścigali Powstańców. Wyjechali na codzienny patrol wokół strażnicy na skraju wielkiej puszczy thorgalskiej, około stu pięćdziesięciu mil na wschód od Radovii. Przyłapali oddział Powstańców, gdy ci uzupełniali zaopatrzenie w osadzie drwali. Buntownicy mieli silne bazy w sercu puszczy. Wywiad cesarski doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale nie sposób było dopaść ich w lesie. Zaprzestano tego jeszcze na początku Powstania, gdy kilka oddziałów cesarskiej piechoty zostało dosłownie wchłoniętych w czeluści puszczy, nie pozostał po nich absolutnie żaden ślad. Naturalnie oficjalna wersja była taka, że to Powstańcy, dostosowani do walki w lesie, wyrznęli cesarskich żołnierzy w pień. Nie brakowało jednak poglądów, wymienianych po cichu przy ognisku albo na stancy pod lasem, gdy głucha ciemność zapadała ponad koronami drzew, że to puszcza ich wchłonęła. Połknęła cesarskich żołnierzy, którzy ośmielili się naruszyć jej święte wnętrza.

Byli też tacy, którzy mówili, że to elfy władające puszcza są w zмовie z Powstańcami, ale akurat w to Tropiew nie wierzył. Przecież wiadomo, że elfów nie ma. To bajki dla dzieci i bajania starych bab na bazarach. Wszak kapłani Kościoła Powszechnego zaprzeczali, jakoby istniały elfy, wróżki, bobaki, czy inne baśniowe stwory. Był tylko Wszechbóg.

- To wytwory diabła, który zsyła zwodnicze wizje na wasze umysły, bracia i siostry - mówili kapłani. - Bądźcie

silni we Wszechboggu, a on was uchroni. Otoczy was swoją nieskończoną miłością i spłynie na was jego nieskończona łaska, chroniąca was od wszystkiego, co złe.

Tropiew nie do końca rozumiał, o co chodzi z tym całym spływaniem i nieskończoną miłością. Ale nie powinien myśleć o tym za długo, bo jeszcze coś wymyśli. Tak ojciec powtarzał i tego trzeba się trzymać w życiu. Jak człowiek nie myśli za dużo, to ma mniej problemów i jest szczęśliwszy. Tropiew miał jednak problem z piekłem. Kapłani mówili, że to diabeł zsyła te wizje. Ale kim on jest, ten diabeł? Przecież nie pochodzi z piekła. W piekle byli piekielnicy i Piekielna Palestra. Nie sądził, żeby szanowani mecenasi zsyłali na ludzi jakieś wizje i bobaków, ale wciąż... Nie należy o tym za dużo myśleć.

Faktem jest, że gonili teraz Powstańców i zapuścili się za nimi w puszcę, wjechali w jakiś wąwóz i zgubili trop, a potem, nie wiadomo w jaki sposób, znaleźli się na trawiastym stepie. Puszcza gdzieś zniknęła, na horyzoncie, jak okiem sięgnąć, nie widać ani jednego drzewa. Przecież nie mogli odjechać tak daleko.

I wtedy zobaczyli dzikusa. Strzelał do nich z łuku. Sierżant nakazał otworzyć ogień, więc gnomy wzięły się do roboty. Nie trafili, ale to nic dziwnego. Przecież główną rolą gnomich karabinów nie było trafianie w cel, przecież kule wyrzucane przez gnomy z lufy nie miały nawet wystarczającej prędkości, żeby przebić jakikolwiek pancerz. Pewnie mogły nabić siniaki, ale nic więcej. Głównie chodziło o huk i groźny wygląd.

Ten dzikus ewidentnie przestraszył się huku, więc dał w długą, sierżant zarządził pościg, ale tamten najwyraźniej był szybszy. Zwiął im jak zając hordzie psów, obok których przebiegła suka w rui. Zniknął za horyzontem. Zdawało się, że pobiegł gdzieś w kierunku tych wielkich głazów wystających z gruntu po lewej stronie stepu.

- Panie sierżancie - powtórzył Tropiew, czując, że jego wierzchowiec zaczyna gubić krok. Do tego co jakiś czas rzucał na boki rogatym łbem i bryzgał pianą z pyska.

- Milczeć - warknął sierżant.

Milczeli więc, Tropiew i pozostałych trzech huzarów z patrolu. Jechali na swoich wyczerpanych tarpanach i przeklinali w duchu ciężki żołnierski los. Szczególnie zaś musiał go przeklinać starszy huzar Suworow. Tropiew słyszał plotki, że dowództwo zesłało go na służbę na placówce przy skraju puszczy za jakieś dziwne, nic nieznaczące dla przeciętnego szeregowego, błędy.

Suworow był księgowym w sztabie generalnym w Sidrze i zdaje się, że coś pokręcił w rachunkach. Audyt wewnętrzny zbyt dokładnie przyjrzał się zapisom wydatków pewnej kompanii, no i... jak to mówią, wyszło szydło z worka. Tyle że szydłem w tym wypadku były popijawy urządzone przez kapitana dla młodszych oficerów. Skrupulatny księgowy zapisywał dokładnie koszt każdej butelki i każdego kieliszka, a także wszystkich gości, naturalnie tych, którym należało zapłacić za ich towarzystwo. Z reguły goście reprezentowali płęć piękną. No i sprawa kiepska, bo z jednej strony Suworow niby

popęłnił błąd, ale z drugiej pułkownik w sztabie, odpowiedzialny za tę kompanię, był mu wdzięczny, bo akurat szukał kozła ofiarnego, na którego mógłby zrzucić winę za trzy przegrane potyczki z Powstańcami w Końcowej Ziemi, na dalekich północnych rubieżach Cesarstwa. Mieszkający tam tunelowcy i ludzie, słysząc o sukcesach radovskich Powstańców, postanowili przyłączyć się do swoich pobratymców z południa i podnieść broń na Najjaśniejszego Pana. A podnieśli ją nadzwyczaj skutecznie. No i w efekcie zadowolony pułkownik wysłał kapitana zarządzającego sobie popijawy w jednostce na koszt Cesarza na szafot za zdradę, naturalnie za pisemną zgodą Cesarza. Sam był wolny od zarzutów i czczego gadania, które zaczynało się szerzyć w sztabowych kularach.

A księgowy Suworow? Miał stanąć przed egzekucyjnym plutonem pod jakąś ceglastą ścianą ze śladami setek śmiertelnych pocisków. Naturalnie dla skuteczności cesarskich karabinów była konieczna niewielka odległość od celu. W związku z tym pluton egzekucyjny musiał stać naprawdę blisko ofiar. Z tego powodu cesarskie egzekucje nie należały do zbyt imponujących, ale z pewnością nie marnowano kul. Te, które przeszły przez skazańców na wylot i wbiły się w ścianę, skrupulatnie wydłubywała specjalnie wyznaczona do tego celu służba obecna w każdej jednostce. Porządek i efektywność przede wszystkim, tak brzmiały podstawowe zasady, według których urządzono armię Najjaśniejszego Cesarstwa.

Ale księgowy nie miał okazji sprawdzić skuteczności cesarskiego plutonu egzekucyjnego. Pułkownik, zadowolony bądź co bądź z nieświadomej pomocy udzielonej mu przez Suworowa, wpłynął na dowódców i ci zesłali winnego do jednostki na końcu świata.

- Zatrzymujemy się pod tamtą skałą - rozkazał nagle sierżant groźnym głosem, jakby wiele go kosztowało wydanie rozkazu wstrzymującego na moment szaleńczy pościg. - Puścić tarpany na popas, wyczyścić broń i zabezpieczyć teren - wyliczał, wciąż w pełnym galopie. - Potem możecie uwalić swoje dupska na jakiejś kępce suchej trawy. Te zielone są dla wierzchowców, a nie dla waszych spoconych dup. Jeśli zobaczę, że choć jedna szuja zbliża swój zawszony zad do kępki trawy pełnej wartościowej energii, to osobiście dopilnuję, żeby jego własny gnom wypalił mu w zad trzy kule - wyrzucił jednym tchem. - Zrozumiano?

- Tak jest, panie sierżancie! - odkrzyknęli chórem huzarzy cesarscy.

Cztery wierzchowce zaczęły zwalniać i po kolei podjeżdżać do pojedynczej, około pięciometrowej skały, wystającej pionowo wprost ze stepowej trawy. Kawałek dalej wyrastała z ziemi kolejna skała, a dalej kolejna i kolejna. W sumie Suworow naliczył ich jedenaście. Starszy huzar miał naturalny dryg do kalkulowania wszystkiego, co widział, szczególnie jeśli to coś było nieoczekiwane w danym

miejscu i czasie, na przykład liczba krasnoludzkich kobiet na przyjęciu u kapitana kompanii. Albo pięciometrowe menhiry, rosnące na absolutnie pustym i beznadziejnie płaskim stepie, które w dodatku były ustawione w okrąg.

Cicero złapał w locie kapelusz i wylądował delikatnie na miękkiej łące usłanej soczystymi, zielonymi kępkami świeżej trawy. Gdzieś na horyzoncie poszarpanym przez szczyty odległych drzew i kominy pobliskiej osady wschodziło słońce. Nie było go jeszcze widać, ale pierwsze promienie wyskakiwały ochoczo zza linii widnokręgu i wygrażały ciemnościom, niczym harcownicy przed bitwą.

Strażnik Edenu lewitował kilka centymetrów nad łąką. Krańce białej tuniki muskały delikatnie pojedyncze źdźbła traw oraz co wyższe, suche łodygi chwastów.

Cicero osadził kapelusz na łysej, żółwiej głowie, uniósł trójząb i ruszył w kierunku skraju lasu. Cała łąka w stronę linii drzew była usiana płaskimi, niezbyt wysokimi kopczykami, porośniętymi trawą i gdzieś tam, szczególnie bliżej lasu, młodymi drzewkami. Kopczyki wznosiły się pojedynczo lub w grupach po dwa albo trzy obok siebie. Cicero mruknął coś pod nosem i ruszył w kierunku grupki trzech największych, tuż pod lasem. Wokół panowała cisza. Pomimo lekkiego wiatru, który wprawiał korony drzew w miarowe falowanie, nie było słyhać żadnego szumu. Nie było słyhać ptaków ani

odgłosów pobliskich gospodarstw, winnych właśnie hałaśliwie budzić się do życia.

Cicero mimowolnie uśmiechnął się kącikami żółtego dzioba. Lubił spokój. Lubił też słońce. I rozgrzane kamienie, na których mógłby się rozłożyć i wystawić skorupę do błyszczącej tarczy. Westchnął rozmarzony.

W tym momencie usłyszał wybuch. Zaraz po nim drugi, a potem trzeci. Suchy huk albo może raczej trzask. Ruchoma brama rzeczywistości. Strażnik nie oglądał się za siebie, ale dobrze wiedział, co by zobaczył. Po pierwszym trzasku pojawiła się z pewnością mała, świetlista kulka. Po drugim kulka rozszerzyła się gwałtownie i rozbłysła rtęciowym blaskiem. A po trzecim w miejscu rozbłysku pojawił się...

- Ja pierdzielę! Uciekaj! Uciekaj! - wrzeszczał Ułan-Ude. Cicero słyszał kolejne trzaski, ale tym razem nie była to ruchoma brama. - Wiejjjjj! - wołał Tatar, tłukąc wierzchowca płazem szabli.

Strażnik uniósł nad głowę dwie białe i całkowicie ludzkie dłonie. No, prawie całkiem ludzkie, za wyjątkiem tego, że unosiły się swobodnie wokół jego hybrydowego ciała. Szarpnął ciałem w przód i obie dłonie pomknęły jak dwa pociski za galopującym jeźdźcem. Momentalnie zrównały się z nim i leciały przez chwilę po bokach wierzchowca. Cicero widział, jak Ułan-Ude rzuca ponad końską grzywą nerwowe spojrzenia na boki i unosi szablę do ciosu.

Nagle dwie kolejne dłonie Cicera uniosły się w górę i zakręciły w powietrzu, jedna wyżej, druga niżej, jakby Strażnik rozpędzał w powietrzu niewidzialne łąso. Następnie ostatnią dłonią przytrzymał kapelusze na głowie i rzucił niewidzialną linią za siebie. Koń zatrzymał się w pół kroku, dłonie Cicera zaczęły krążyć wokół końskiego grzbietu, omijając jeźdźca. Wierzchowiec zastygł w bezruchu i unióś się w powietrze, z kopytami wyciągniętymi w zmrożonym skoku. Ułan-Ude również znieruchomiał z dłonią na rękojeści szabli.

Strażnik zaczął zbierać niewidzialną linię. Cicero wykonał energiczny gest i koń wylądował delikatnie na trawie.

- Stój! - rozkazał Cicero. Zwierzę wykonało dwa skoki i zatrzymało się z pyskiem tuż przed wyprostowaną dłonią Strażnika.

- Uciekaj, uciekaj! Gonią! Diabły! Gonią! - dukał Tatar i usiłował zachęcić konia do dalszego biegu, ale wierzchowiec stał nieruchomo, wpatrzony w dłoń Strażnika.

- Spokojnie. Tu jesteś bezpieczny - powiedział Cicero.

Tatar po chwili przestał smagać zad nieruchomego konia i rozejrzał się ostrożnie.

- Gdzie ja jestem? - zapytał, podziwiając falujące drzewa.

- Przy Bramie Kurhanów - odparł Strażnik. - Pod Zamościem.

- Pod Zamościem... - powtórzył Ułan-Ude.

Gdzieś w górze trzykrotnie zakrakał kruk.

- No, panie Ułanie-Ude - odezwał się Cicero. - To zaraz wszystko opowiesz. Po kolei.

Tatar potoczył wzrokiem po wrzosowisku, prześliznął się po linii horyzontu, a następnie spojrzął na przestrzeń pomiędzy trzema kurhanami. A przestrzeń zaczęła falować, jakby ktoś rozpałił na nim niewidzialne ognisko.

- Kra, kra, kra!

- Kra, kra, kra!

- Zamknij dziób! - powiedziała Anne Olsson do wielkiego, czarnego kruka, który rzucał się po kwadratowym podwórku przedwojennej kamienicy.

W Warszawie przetrwało niewiele tych pełnych uroku i tajemnicy obskurnych, dusznych budowli, skruszałych zębów szczerbatego Paryża Północy. Dwie z nich stały przy ulicy Próżnej, jak sama nazwa wskazuje, prowadzącej kiedyś donikąd, a obecnie na plac Grzybowski, z jeziorkiem wykopanym wśród trupów.

Podwórko było puste, jeśli nie liczyć trzepoczącego się spazmatycznie, czarnego ptaszyska, stosików rudego gruzu pod odrapanymi ścianami i kilku blaszanych pojemników na nieistniejące śmieci. W końcu śmieć, pomyślała Anne, obserwując pierzastą burzę pośrodku podwórka, to pojęcie względne. Czym jest śmieć wśród śmieci, czyż nie tylko kolejnym przeciętniakiem? Śmieć jest tym samym, co

doskonałe piękno w otoczeniu nadnaturalnej estetyki światła.

- Czego się tak tłuczesz? - zawołała Olsson.

- Kra, kra, kra!!! - darł się kruk.

- Zapomniałeś języka w dziobie? Mam ci przypomnieć?

- Ściągnęła skórzany plecak i wyciągnęła niewielkie zawiniątko. W drugiej dłoni chwyciła krótki, czarny pistolet, wyciągnięty zza pasa i wymierzyła nim w ptaka. Kruk zatrzepotał jeszcze dwa razy, po czym przysiadł na ukruszonym gzymsie. Jego łeb szarpały pojedyncze tiki nerwowe.

- Ty... - wycharczał. - Ty... Olssson - syknął.

Ptak trzepotał się raz po raz w miejscu, starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, wpatrzony w ciemną lufę pistoletu.

- Ja, ja, Olsson - przedrzeźniała go kobieta. - Gadaj, czego chcesz i po co wzywaliście mnie do tego cholernego miasta.

- Jesteś ssszzz... Zzz... Zmorrakiem - wyrzucił z siebie.

Jego łebek drżał i obracał się gwałtownie na boki, jakby przez pokryte lśniącymi piórami ciało kruka przepływały impulsy elektryczne.

- Jestem i co z tego?

- Masz się sssłuchać - wysyczał kruk. - Być na rrrrozkazy.

- Goń się - odparła Anne i pociągnęła za spust. Rozległ się ogłuszający huk, zwielokrotniony przez ściany podwórka

o budowie studni. Ptak zsunął się z gzymsu i spadł na betonowe podłoże.

Anne popatrzyła na ukruszony tynk, a potem na trzęsącego się na ziemi ptaka, zaczęła się śmiać. Zabezpieczyła pistolet i wetknęła za pas. Jednocześnie strzepnęła lewą ręką i niewielkie zawiniątko rozwinęło się w szeroką sieć, błyskającą pomarańczowymi i fioletowymi błyskawicami. Nie przestając się śmiać, ruszyła w kierunku kruka, który zbierał się niemrawo na łapy. Czarny łebek wciąż rzucał się na boki w konwulsjach.

- Zawsze chciałam to zrobić - mruknęła Anne pod nosem. Zawinęła w powietrzu siecią. Rozległ się elektryczny trzask. Błyskawice poleciały do ścian kamienicy. - Pieprzone ptaszyska. Teraz zobaczysz, jak to jest, zobaczysz, jak się czują ci wszyscy saivowie, na których nas nasyłacie, na których wystawiacie wyroki w swoim tajnym Konsylium, Kruki zakichane.

Wygięła się do tyłu i z rozmachem rzuciła sieć na ptaka. Rozległ się elektryczny trzask, głośniejszy niż poprzednio. Posypały się iskry. Płatanina przewodów brzęknęła o beton. Ptak otworzył jedno oko.

- Anne! - zawołał ktoś. - Anne, to ty?!

Szum drzew uderzył gwałtownie i pochłonął całą łąkę. Kurhany przedwiecznych ludów, miejsca spoczynku przodków wszystkich ludzi, pławiły się w wibrującym szeleście świeżych, jasno zielonych liści.

- Co to ma być, do cholery! - wrzeszczał Ułan-Ude. - Co zrobiłeś z moim koniem, żółwi patafianie?

Zeskoczył z siodła i wymachiwał przed Cicerem zaciśniętymi pięściami. Otrząsnął się z początkowego szoku i teraz cała adrenalina, naprodukowana w trakcie ucieczki przed tajemniczymi jeźdźcami, dosłownie wyciekała mu nosem. Przytknął jedną dziurkę i smarknął siarczysto.

- Łąka pod Zamościem - odezwał się Cicero uprzejmym tonem. - Mówiłem już.

- Jakim Zamościem?! - krzyczał Tatar. - Gdzie jest mój step?

- Tam, gdzie ci uprzejmi panowie na rogatych koniach o podwójnych ogonach - odparł Cicero. - W twojej płaszczyźnie rzeczywistości - dodał.

- To zrób z tym coś! - krzyknął Ułan-Ude. - Jesteś w końcu pieprzonym strażnikiem, czy nie? Za co ci płacą?

- Panie Ułanie-Ude - powiedział powoli Cicero - proszę o spokój. Właśnie się tym zajmujemy. O, niech pan zobaczy. - Wskazał na rozmazane powietrze pomiędzy trzema kurhanami. - Połączenie na Bramie Kurhanów już prawie gotowe.

- Co? - zapytał Tatar, rozglądając się ogłupiałym wzrokiem.

Jego wierzchołek, opuszczony na ziemię i pozbawiony spanikowanego jeźdźcy, odszedł nieopodal. Obecnie zajmował się wyskubywaniem co smakowitszych młodych listków z gałęzi niewielkiego drzewka na pobliskim kurhanie. Lubił kwiecień. Wtedy były najlepsze listki.

Niskie słońce wyszło zza chmur, które pędziły po niebie jak oszalałe, jakby uciekały byle najdalej od śmiercionośnej, rozpalonej kuli. Były na zachód, a potem jakoś to będzie.

Znów rozległo się trzykrotne krakanie i z rozświetlonego nieba zleciał, dość niezgrabnie, wielki, czarny kruk. Tatar odruchowo uniósł szablę.

- Spokojnie. - Lewitująca, zaskakująco ciężka dłoń Cicera spoczęła na ramieniu Ułana-Udego.

Kruk wylądował na najwyższym z kurhanów, otaczających drżące powietrze. Potknął się na osuwającej się ziemi. Zamachał skrzydłami i z trudem złapał równowagę.

- Cholera! - zaklął pod dziobem. - Dzień doberrek, panie Cicero. - Skłonił łebek w kierunku Strażnika. - Dzień doberrek, panie Mongoł - dodał.

Strażnik uniósł lekko kapelusz, odsłaniając łysą, pokrytą łuskami czaszkę.

- Łączymy? - zapytał Kruk.

- Gdy tylko pan będzie gotowy - odparł Cicero.

- Się robi. - Ptak odwrócił się przodem do falującego powietrza, a następnie wskoczył w sam środek, pomiędzy kurhany. Ułan-Ude szarpnął się nerwowo, ale dłoń Cicera przytrzymała go w miejscu.

Tymczasem Kruk rozpostarł szeroko skrzydła, jakby szykował się do lotu, machnął nimi, a następnie opuścił gwałtownie, uderzając w ziemię. Powietrze zmatowiało, a potem stało się przejrzyste, jakby para zesza powoli z owalnego, wysokiego lustra, zaczynając od środka. Kruk

zdawał się podtrzymywać lustro na grzbiecie, wsparte pomiędzy opuszczonymi skrzydłami. Ułan-Ude zobaczył w zwierciadle swoją zdziwioną twarz i natychmiast przytknął rozdziawione usta. Obraz znikł i szyba stała się przejrzysta.

Po drugiej stronie pojawiły się dwie postacie i kolejny Kruk.

Anne Olsson odwróciła się ostrożnie, nie zważając na przeklinającego szpetnie Kruka. Zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu delikatnym, spokojnym, jednostajnym ruchem.

- Coś ty zrobiła temu ptaszorowi? - zapytał intruz z wyraźnym rozbawieniem w głosie. Anne zobaczyła postać stojącą w bramie, prowadzącej na ulicę Próżną. Dłoń puściła rękojeść.

- Maurycy?! Maurycy Wielowiejski?! - zawołała.

- Nie, Duch Święty i diabeł Boruta w jednym - rzucił Kruk za jej plecami.

Olsson zlustrowała spojrzeniem sylwetkę wysokiego, smukłego blondyna o włosach do ramion, nieco potarganych, spływających nierównymi strumieniami wzdłuż pociągłej twarzy, przeciętej dwiema pionowymi bliznami. Na nosie mężczyzna nosił skórzane, staromodne gogle o przyciemnianych szybkach, natomiast ubrany był w białobrązowe ponczo i kolorowe spodnie.

- Maurycy - stwierdziła z zadowoleniem w głosie, które zaraz jednak wyparowało. - To ty! Czego tu chcesz? -

zapytała chłodno.

Zmorak, zaskoczony tą nagłą zmianą nastroju rozmówczyni, stał wciąż z uśmiechem, nadał przy tym swojej twarzy wyrazu bezradności i niezrozumienia.

- Eeee... - jęknął. - No, zlecenie mam. - Zagrzechotał mosięzną lampą, przewieszoną przez ramię na plecach.

- Co za zbieg okoliczności - odparła Anne, krzyżując ramiona na piersi. - Ja też. Właśnie próbowałam się dowiedzieć od tego poronionego ptaszyska, po co wzywali mnie do tego cholernego miasta. Zaczynałam bardzo ciekawe zlecenie w Kirunie, saiva w kopalni żelaza, właśnie się zamienił w zmorę i straszył zamożnych turystów zwiedzających stare chodniki. Wyłaził też podobno na miasto i potwierdzono kilka zgonów - tłumaczyła, patrząc spode łba to na Maurycego, to na Kruka, który właśnie się pozbierał i miał jeszcze pod dziobem jakieś niecenzuralne słowa.

- Zabierz to - powiedział ptak, kiwając dziobem w kierunku syczącej sieci.

Anne podeszła do zawiniątka. Uniosła sieć i wyplątała z niej podłużny przedmiot. Obejrzała pod słońce błyszczące, szerokie ostrze długiego, fińskiego noża.

- Ładna błyskotka. Chyba skądś ją znam - powiedziała i obejrzała rękojeść z brzozonej kory. - Przeszkodziłeś mi - stwierdziła chłodno, mierząc ostrzem w Zmoraka. - Chciałam sobie tylko porozmawiać z Kruczkiem, wyjaśnić, po co mnie wzywa tutaj, do tego cmentarza, ale ty musiałeś

się popisać swoimi zdolnościami nożownika z lapońskich bagien.

- Mam interes - zaczął Maurycy.

Kobieta roześmiała się, odrzucając w tył głowę. Wodospad gęstych, jasnych włosów spłynął na jej smukłe plecy, spowite w obcisłą, skórzaną kurtkę.

- Wiem, wiem. Tyle to o tobie pamiętam, że masz interes - powiedziała. Spojrzała na Zmoraka zalotnie i ruszyła w jego stronę, bawiąc się ostrzem. - Całkiem poważny zresztą.

W tym czasie Kruk otrzepał pióra i wzleciał kilka metrów nad ziemię. Zakrakał trzykrotnie. Następnie zamachał skrzydłami, opadł z powrotem i uderzył nimi o ziemię. Znow zaczął się szarpać i już wydawało się, że wpadnie w drgawki, jak przed przybyciem Maurycego, ale udało mu się utrzymać w miejscu. Tylko lśniący, czarny łebek skakał na boki, jakby był pobudzany jakimiś elektrycznymi impulsami, które przechodziły przez opierzone ciało.

- Proszę - powiedziała Anne, podając Maurycemu nóż rękojeścią do przodu. - Masz tu swój interes - oświadczyła. - Ten jest przynajmniej ostry. - Roześmiała się.

- Dość tych pogawędek. Poflirtujecie sobie wieczorem - odezwał się głos z za pleców kobiety. Odwróciła się i odeszła na bok.

Maurycy zobaczył, że pośrodku odrapanego, betonowego podwórka kamienicy pojawiło się wysokie, owalne lustro. Wydawało się, że stoi na grzbiecie Kruka,

wsparte pomiędzy skrzydłami. Maurycy wyraźnie widział w matowej tafli zarys swojej sylwetki i o głowę od niego niższej Anne Olsson. Po chwili obraz w lustrze zamazał się i w jego miejscu pojawiła się przezroczysta szyba, przez którą było widać falujące na wietrze drzewa i jakąś łąkę, a na niej, coraz bardziej wyraźne, dwie sylwetki.

Głos, który oboje usłyszeli, nie dochodził jednak z owalnego lustra.

- O, właśnie - odezwał się ponownie, a zaraz po tym zza lustra wyszedł wysoki człowiek ubrany w długi czarny frak i białą koszulę z wysokim kołnierzykiem. Na głowie nosił wysoki cylinder, a w dłoni, skrytej w białej rękawiczce, trzymał główkę eleganckiej laseczki. Mężczyzna miał czarne włosy, spływające lokami po dwóch stronach pociągłej twarzy oraz czarne, zawinięte ku górze, cienkie wąsy. - Teraz lepiej. - Wyszedł przed lustro, skinął im głową i zajrzał w krajobraz po drugiej stronie. - Cicero już jest?

- Jestem - odezwał się głos zza szyby.

Sylwetki były coraz wyraźniejsze. Anne mogła już rozpoznać charakterystyczną, smukłą postać Strażnika Cicera, w szerokim, brązowym kapeluszu, ubranego w białą tunikę narzuconą na żółwie ciało, z rybim ogonem podwiniętym ku górze, z pięcioma dłońmi lewitującymi spokojnie wokół ciała. Obok niego stał niski, krępy wojownik ubrany w bezładne z pozoru kawały skóry z futrzanym kołpakiem nasuniętym na skośne oczy. W dłoni ścisnął krótką szablę. Gdzieś z tyłu pasł się spokojnie koń. W tle falowały drzewa.

- Jestem - powtórzył Cicero. - Czym mogę służyć, Sekretarzu van Poe?

- Bardzo się cieszę - odparł kapelusznik. - Zaraz przejdziemy do rzeczy. - Odwrócił się twarzą do Anne i Maurycego. - Miło was widzieć, gołąbeczki - powiedział swoim zwyczajnym, kurtuazyjnym tonem. Tym samym, którym nieodmiennie budził w Maurycym chęć przyłożenia mu prosto w szczękę. Anne wyraźnie podzielała jego zdanie, bo splunęła przez ramię, zupełnie nie po damsku.

- Kogo nazywasz gołębiem, utrefiony psi kutasie? - zapytała.

Van Poe spojrzał na nich z uniesioną głową. Dłoń, spowitą w białą rękawiczkę, oparł wdzięcznie na srebrnej gałce eleganckiej laseczki.

- Panno Olsson, po co od razu te nerwy? - odrzekł powoli ze sztucznym uśmiechem, przyklejonym do twarzy. - Wszak tylko oznajmiłem, że miło mi was widzieć ponownie razem. Upłynęło chyba sporo czasu odkąd się ostatnio widzieliście?

Spojrzał znacząco na Maurycego, a następnie przeniósł wzrok na Anne. Kobieta fuknęła gniewnie i mruknęła coś pod nosem po szwedzku.

- Co, proszę? - zwrócił się do Olsson, unosząc brwi.

- Wal się na pysk - powiedziała po angielsku.

- Och, chyba będę zmuszony odmówić - odpowiedział. - Mamy teraz inną, dość ważną kwestię, nad którą musimy się wspólnie pochylić.

Rozejrzał się po podwórku. Zatrzymał wzrok na bramie ze spróchniałego drewna, wiszącej krzywo na zawiasach za plecami Maurycego. Zmarszczył nieco brwi, po czym pstryknął palcami. Odgłos stłumiony przez cienki materiał rękawiczki odbił się delikatnym echem od ścian podwórka. Następnie z jednego z pozbawionych szyb okien kamienicy wypadły dwa kruki, obijając się o siebie skrzydłami. Nie wydały jednak żadnego odgłosu, było słychać tylko trzepotanie czarnych piór. Van Poe wskazał na bramę. Kruki zakręciły w powietrzu, po czym pomknęły prosto w tę stronę. Maurycy uchylił się przed ostrym szponem. W ostatniej chwili, tuż przed zderzeniem, ptaki złożyły skrzydła wzdłuż ciała, a następnie wbiły się z tępym uderzeniem dziobami w drewno bramy. Zmoracy usłyszeli cichy, drażniący pisk, jakby właśnie wyrównali ciśnienie w trakcie nurkowania na bezdechu. Trwało to tylko chwilę, po czym na podwórko opadł całun ciszy. W tle nie dobiegały nawet odgłosy aut sunących po zabytkowym bruku ulicy Próżnej.

- Tak lepiej. - Uśmiechnął się van Poe. - Nie chcemy przecież pokątnych świadków. Po co wzbudzać wśród ludności niepokój? Od razu by się zaczęło: nawiedzona kamienica, duchy żydowskich ofiar hitlerowskiego oprawcy ożyły i tak dalej. Zaraz by nam tu zaczęło się złazić stado domorosłych łowców duchów. - Spojrzał wymownie na Maurycego. - Wiecie przecież, że nie należy się zbytnio obnosić z naszą działalnością, szczególnie jeśli chodzi o saiwów, prawda, panie Wielowieyski? - Uniósł brew. - Pan

wie coś niecoś na ten temat. – Skinął głową na mosiężną lampę, która wciąż zwisała z ramienia Zmoraka. – Ale o tym później porozmawiamy. Dobrze jednak, że pan przyszedł, mimo że nie wykonał pan zlecenia. – Sekretarz odwrócił się z powrotem do lewitującego lustra. – Cicero – zwrócił się w kierunku lasu za szkłem – jak rozumiem, ma pan do nas istotną sprawę, niecierpiącą zwłoki. Słuchamy zatem.

Obraz w lustrze rozmył się na moment i zamrugał, po czym ustabilizował się i Maurycy zobaczył wyraźnie żółwiorybią sylwetkę strażnika Edenu wraz z jego nieodłącznym, brązowym kapeluszem. Obok niego stał jakiś dzikus, ubrany w skóry i w futrzanej czapie na głowie. Zmorak od razu rozpoznał w nim saivę. Światło słoneczne po drugiej stronie lustra spływało po sylwetce wojownika jak woda po płaszczu przeciwdeszczowym i formowało się w niewielkie kałuże u jego stóp. Zdaniem Maurycyego saiva wyglądał jak jakiś Kozak albo Tatar, nie wiedział dokładnie, ale na pewno jak wróg Narodu, zgodnie z tym, co przekazywały filmy tworzone na bazie prozy pisanej „ku pokrzepieniu serc”. Brakowało tylko dzielnego Skrzetuskiego, żeby pogonić dziada po ukraińskim stepie. Ale Ukrainy też brakowało po drugiej stronie lustra. Transmisja odbywała się bezpośrednio z Bramy Kurhanów. Maurycy wiedział, że Cicero musiał na potrzebę tej rozmowy wytworzyć niewielką płaszczyznę rzeczywistości tuż przed przedsionkiem Edenu, przylegającą bezpośrednio do Bramy Kurhanów pod Zamościem. Jakkolwiek Eden był skomplikowanym systemem bezpośrednich transmisji

audiowizualnych, to azylu dla saivów jeszcze nie wymyślono.

- Proszę, słuchamy - zachęcił van Poe.

- Dziękuję, panie sekretarzu. - Strażnik po drugiej stronie lustra uchylił kapelusza i skinął żółwią głową. Maurycego zawsze denerwowały te ich przesadne uprzejmości. - Mamy przeciek. Z informacji i analiz systemu wynika, że przeciek pochodzi spoza Edenu. - Cicero zawiesił głos.

- Proszę kontynuować. - Van Poe pogładził się dłonią po brodzie. - Jaka jest natura przecieku?

- Dziękuję. Przeciek nastąpił w płaszczyźnie rzeczywistości zamieszkiwanej przez tego obecnego tu szlachetnego Ułana-Udego. - Skinął jedną z dłoni w kierunku Tatar, który, słysząc swoje imię, mimo ciągłego oniemienia zaistniałą sytuacją, uniósł dłoń.

- Napadło mnie czterech jeźdźców - odezwał się Tatar. - Mieli olbrzymie wierzchowce, dużo większe od mojego oraz długie, stalowe kije plujące metalowymi kulami. Jedna trafiła mnie w plecy i jeszcze mam ślad. O! - Podciągnął skóry i odwrócił się, prezentując okazałych rozmiarów fioletowy siniec. - Nie wiem, czy dobrze rozumiem, ale chyba rozmawiam z kimś w rodzaju wodza tego miejsca, prawda? Wobec tego, wodzu, sądzę, że należy mi się coś w rodzaju odszkodowania. Tak, tak - dodał, widząc unoszące się brwi Sekretarza. - Wiem, co to jest odszkodowanie. Nie jestem takim dzikusiem, za jakiego mnie macie. Za życia jeszcze dowiedziałem się tego i owego

o sprawach finansowych. Pomagałem ojcu w prowadzeniu rachunków przy zbieraniu danin od ruskich ludów dla wielkiego chana. To jak będzie? Potrzebuję dwóch nowych wierzchowców i jedno stado bydła, proszę je dostarczyć na mój step. No i jeszcze pozostaje kwestia jurty. Przydałoby mi się trochę płótna na wymianę poszycia.

Van Poe odwrócił się i spojrział na stojących za nim Zmoraków. Maurycy patrzył na całą sytuację z ledwo skrywanym uśmiechem. Anne Olsson wciąż wrzała gniewem.

- Rozważymy to razem z Konsylium Kruków w trakcie najbliższego zebrania - odezwał się po chwili van Poe. Widząc, że Tatar chce protestować, Sekretarz uniósł dłoń i kontynuował: - Nie jestem władny samodzielnie podejmować takich decyzji, jednak mogę pana zapewnić, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zagwarantować panu komfort i zadowolenie z pańskiego pobytu w azylu.

- No, ja myślę - zachnął się jeszcze Ułan-Ude.

Cicero uśmiechnął się jak zwykle, uprzejmie i zupełnie nieadekwatnie do sytuacji.

- Jeśli pan pozwoli, może wrócimy teraz do kwestii intruzów - zaczął van Poe. - Czy uważa pan, że to byli saivowie?

Tatar popatrzył na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Kto?

- Nie, nie byli to saivowie, Sekretarzu - odpowiedział za niego Cicero. - Eden nie zarejestrował próby wgrania

świadomości na żadnej partycji nośnika. Zdaje się jednak, że te istoty posiadały pewne atrybuty saivów. Na przykład nie miały postaci fizycznej i jestem niemal pewien, że to, co widzieliśmy, to emanacja ich świadomości, ale nie całkiem oddzielonej od ciała. Wskazywały na to pewne anomalie, jak na przykład kompletna niepodatność na panujące warunki atmosferyczne, w tym niepoddawanie się mocnemu wiatrowi. Pomimo pędu intruzi byli w stanie utrzymywać na głowie wysokie, futrzane czapy, które nawet się nie zachwiały. Ponadto jeźdźcy nie pozostawiali żadnych śladów na suchej ziemi.

- Czyli znajdowali się w Edenie na podobnej zasadzie co Zmoracy? - wtrącił Maurycy.

Van Poe spojrział na niego karcąco.

- Tak się wydaje, panie Wielowieyski - odparł Cicero. - Niemniej są też pewne aspekty tego wydarzenia, które sugerowałyby zgoła coś innego.

- Mianowicie? - zagadnął van Poe.

- Wierzchowce, na których poruszali się jeźdźcy, miały podwójny ogon i potrójne, niewielkie rogi na łbach - wyjaśnił Strażnik.

Na podwórku kamienicy zapadła cisza.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni i puścili je na popas. Wierzchowce podreptały spokojnie w kierunku kępki zielonej trawy rosnącej nieopodal.

- Pięć minut odpoczynku, a potem szukamy śladów dzikusa - rozkazał sierżant. - Na pewno tędy przejeżdżał na tym swoim kucyku.

- Ale, panie sierżancie - wtrącił nieśmiało Suworow - on już pewnie jest daleko, sam pan widział, jaki jest szybki.

- Szybki to będzie zaraz mój but lądujący na twojej dupie, gryziórk - powiedział sierżant. - Wykonać! - dodał i żołnierze rozeszli się pod skały, wynajdując jakiś wygodny kąt osłonięty od wiatru.

Wiatr gwizdał i zawodził przeciągle, jakby za każdym menhirem kryła się potępiona, zagubiona dusza. Sierżant przechadzał się pomiędzy kamieniami, założywszy ręce za plecy. Był wysoki i szeroki w barkach. Futrzana czapa opadała na niskie czoło, przesłaniając co jakiś czas małe, lekko skośne oczy, wciąż czujne i analizujące otoczenie. Poprawiał ją sękatą dłonią.

Wciąż pluł sobie w brodę, że zgodził się na wzięcie tego patrolu. Od początku wiedział, że coś będzie nie tak. Nie żeby cokolwiek na to wskazywało. Pogoda była dobra, deszcz ustąpił i nie wiało, a to już coś. Nie byli na Północnych Rubieżach Imperium, ale Puszcza Thorgalska słynęła z wilgotnej i kapryśnej aury. Dzień bez deszczu to niemal święto, szczególnie latem. W zimę naturalnie było dużo takich dni, ale wtedy z reguły padał śnieg i wszystko ścinał koszmarny mróz. Tak dla odmiany. Poza tym huzarzy, których mu przydzielono, wydawali się doświadczeni w kwestii rutynowych patroli. Nie można ich określić mianem weteranów wielu bitew, ale przynajmniej wiedzieli,

przez który koniec karabinu gnom wyrzuca kule, a to już coś, jeśli weźmie się pod uwagę poziom reprezentowany przez dzisiejszych rekrutów. Lata pokoju doprowadziły do tego, że rząd sukcesywnie obcinał wydatki na wojsko. Po co nam tylu żołnierzy, skoro Cesarstwo i tak kontroluje osiemdziesiąt procent powierzchni kontynentu, powtarzali jajogłowi specjaliści, którzy nigdy w życiu nie powąchaliby prawdziwej szabli. Ba, sierżant podejrzewał nawet, że tak zwani cywilni specjaliści od wojskowości nigdy nawet nie spali pod gołym niebem ani nie podcierali się mchem. Nigdy też nie dostali porządnie w tyłek, nikt nie przyrównał ich do świńskich odchodów. Chociaż nie, to ostatnie prawdopodobnie mogło mieć miejsce. To w końcu politycy. Czego jak czego, ale przyzwyczajenia do wyzwisk nie można im odmówić.

Huzarzy byli trochę tępawi, jak na przykład ten Suworow. Kto to słyszał, żeby za karę zsyłać księgowego sztabowego do wysuniętej na front placówki? No, ale trzeba przyznać, że chłopak sobie jakoś radził. Przynajmniej jeszcze nie nadział się na własną szablę. W trakcie swojej piętnastoletniej służby w cesarskiej armii sierżant widział wiele, w tym również rzeczy, których widzieć nie powinien. Na przykład szeregowych przewracających się na treningu i nadziewających na własne szable. Widok ten nie należał do przyjemnych i jak na złość zapadał w pamięć.

Czyli tamten dzień zapowiadał się bardzo dobrze.

Sierżant zgodził się wziąć dowództwo patrolu za porucznika Kropiewa, który akurat źle się poczuł. Na tyle

źle, że nie mógł wstać i wymiotował przy każdym ruchu. Ponoć podpadł w czymś kucharzowi, ale sierżant nie wierzył, żeby Kropiew, młody absolwent Akademii w Sidrze, był na tyle głupi, żeby narażać się wojskowemu kucharzowi. Każdy, nawet najgłupszy szeregowy, wiedział, że z kucharzem się nie zadziera. Sierżant pomyślał wtedy, że co mu szkodzi – pogoda dobra, skład patrolu nie najgorszy, a dodatkowo ledwie dwa dni wcześniej miała miejsce dość znaczna potyczka z Powstańcami, zwycięska zresztą dla żołnierzy Najjaśniejszego Cesarza, co oznaczało, że buntownicy nieprędko wyjdą z lasu.

Mimo to sierżant czuł, że ten patrol nie skończy się dobrze. Nic na to nie wskazywało, ale on to wyczuwał swoim instynktem starego żołnierza. Coś się musiało schrzanić, tylko nie wiedział jeszcze co. Naturalnie wtedy nie wiedział. Teraz zdawał sobie z tego sprawę doskonale. Najpierw przydybali grupkę Powstańców we wsi pod lasem, gdy ci uzupełniali zaopatrzenie. Pogonili ich, to fakt. Nie stracili nawet żadnego człowieka, Powstańców było pięciu, wszyscy niemal nieuzbrojeni. Cesarscy wyraźnie ich zaskoczyli, więc buntownicy złapali tylko tyle zapasów, ile już załadowali do sakw i rzucili się w las. Sierżant pomyślał, że jak wróci do jednostki, to musi pamiętać zameldować nazwę tej wsi. Trzeba poważnie porozmawiać z miejscowym sołtysem. Co prawda powinni spalić wieś, a mieszkańców wygnać lub powiesić, tak głosiły oficjalne wytyczne Sztabu Generalnego w zakresie postępowania z cywilami, którzy udzielali pomocy Powstańcom. Jednak to tylko przepisy.

Ważne, racja, ale tu, na skraju wielkiej Thorgalskiej Puszczy, sprawy wyglądają trochę inaczej. Linie zaopatrzenia były na tyle rozciągnięte, że cesarscy żołnierze niejednokrotnie sami musieli się zaopatrywać w puszczańskich wioskach w niezbędne zapasy, takie jak żywność. Albo wódka, tej zawsze przysyłali za mało.

Błędem sierżanta, za który teraz pluł sobie w brodę, była zbytnia nadgorliwość. Dał się ponieść emocjom i pogalopował za buntownikami w las, a tam... wiadomo, dziwne rzeczy się dzieją. Dlatego się tam nie wchodzi. Może gdyby Cesarz przysłał jedną z Armii Południa i saperów z tysiącami toporów, to dałoby się coś zdziałać, ale tak...

Rozejrzał się po stepie. Nigdzie ani śladu puszczy. I jakoś tak cieplej było niż tam na placówce, tylko wiatr był trudny do zniesienia. Przeciskał się przez grube tkaniny cesarskich mundurów i wyciągał wszystkie siły ze zmęczonych mięśni. Sierżant spojrzął na swoich ludzi. Siedzieli pojedynczo, oparci plecami o dziwne kamienie wyrastające prosto z niczego. Zmęczeni. Na twarzach widział to, czego żaden dowódca nie chciałby oglądać u swoich żołnierzy. Zrezygnowanie powoli wypełzało na ich oblicza. Wiedział, że oni wiedzą, że on nie wie, o co tu chodzi. I to go martwiło najbardziej. Nie ma nic gorszego, niż żołnierz, który zbyt dużo myśli.

- Wstawać, leniwe psy! - wrzasnął na całe gardło. - Znaleźć mi ślady tego futrzanego dzikusa, ale już!

Żołnierze podnieśli się niechętnie na nogi i zaczęli się rozglądać. Sierżant zgrzytnął zębami.

- Tropiew - zachodnia strona kręgu, Wałuwiew - południowa, Suworow - północna i wschodnia - zakomenderował. - Ruchy!

- Ale dlaczego ja dostałem dwie strony...? - odezwał się Suworow. Sierżant wyszarpnął z pochwy szablę. Zgrzyt odbił się echem od kamiennych bloków. - No dobrze, dobrze, tylko pytałem - dodał wojskowy księgowy i odszedł ze spuszczoną głową w kierunku krawędzi kamiennego kręgu.

- Może to efekt wyobraźni wojownika? - zapytał Maurycy.

Cicero spojrzał na Ułana-Udego.

- Co? Że moja wina? - zdziwił się wojownik. - Podwójny ogon? U konia? Ale w jakim sensie, jak to możliwe? Macie mnie za idiotę?

- Nie, panie Tatar - odparł Maurycy. - Absolutnie nie mamy pana za idiotę. Niemniej jednak jest pan saivą. A jak wszyscy wiemy, płaszczyzna rzeczywistości Edenu może być kształtowana tylko przez zamieszkującego go saivę.

- Albo przez sam system - dodał van Poe.

- Co, proszę? - zapytał Zmorak.

- System - powtórzył Sekretarz. - Są dwa źródła modyfikacji płaszczyzny rzeczywistości: świadomość danego saivy wgrana na konkretną partycję albo sam system, sam Eden może modyfikować rzeczywistość.

- Ale nie wbrew świadomości saivy - wtrąciła Anne Olsson. - System może modyfikować rzeczywistość dowolnie do momentu zasiedlenia jej przez saivę - tłumaczyła, wymachując w powietrzu pistoletem. - Potem saiva staje się elementem danej płaszczyzny i psychofizyczne modyfikacje wbrew bazie podświadomości są niedostępne, nie mieści się to w algorytmie.

- Prawda. - Cicero skinął głową i uchylił z szacunkiem kapelusza.

- Dziękujemy, pani Olsson - odezwał się chłodno van Poe. Stuknął laseczką o beton podwórka. - Wszyscy znamy pani erudycję w zakresie inżynierii psychofizycznej i teorii nieświadomości stojących u podstaw Edenu. - Anne rzuciła mu harde spojrzenie niebieskich oczu. - Niemniej nie musi pani ich akcentować tym diabelskim wynalazkiem. - Zamachał dłonią w kierunku Zmoraczki. Anne zabezpieczyła pistolet i wepchnęła go za pasek. - O, widzi pani? Od razu lepiej. - Uśmiechnął się Sekretarz. - Chciałbym jednak przypomnieć, że Eden został skonstruowany według Planu. A ten, jak państwo zapewne dobrze wiecie, nie jest dostępny dla wszystkich, a zrozumiały pozostaje dla jeszcze węższej grupki osób. - Uśmiechnął się jadowicie i dodał: - Zmoracy nie zaliczają się do żadnych z wymienionych grup.

Anne sapnęła gniewnie. Maurycy położył jej dłoń na ramieniu. Strząsnęła ją, ale nie skomentowała wypowiedzi Sekretarza. Wszyscy Zmoracy wiedzieli, jaki stosunek ma do nich Konsylium Kruków. Robole, rzeźnicy, bezmyślne

maszyny do wykonywania zleceń, brudne ręce do wykonywania mokrej roboty gospodarowania Równowagą.

- A Plan - kontynuował van Poe wyniosłym tonem - plan nie jest taki prosty. Dopuszcza też inne... hmmm... - zastanowił się przez moment, po czym dokończył: - furtki. Może nie rozwiązania, możliwości, ale furtki, przez które czasem coś się przedostanie.

- Co? - zapytał Maurycy. - Co się przedostanie? O czym pan mówi?

- O tym, że te feralne, dwuogoniaste konie niekoniecznie muszą być wytworem wyobraźni obecnego tu pana Tataro albo błędu w systemie Edenu. Są też inne... - zawiesił głos na moment - furtki, tak, jednak furtki to dobre słowo.

Zmoracy spojrzeli po sobie. Anne wzruszyła ramionami.

- Cicero - van Poe zwrócił się do lustra - uprzejmie proszę zablokować płaszczyznę rzeczywistości zasiedloną przez saivę Ułana-Udego. Dostęp mogą mieć tylko Strażnik, Zmorak Maurycy Wielowieyski oraz Zmorak Anne Olsson.

- Co?! - zawołali chórem Zmoracy.

Van Poe nie zwrócił na nich uwagi i kontynuował:

- Jednocześnie opuszczenie tej płaszczyzny będzie niemożliwe do odwołania, za wyjątkiem Strażnika naturalnie - doprecyzował.

- Oczywiście, sekretarzu - odparł Cicero. - Jeśli wolno zapytać...

- Słucham.

- Czy dobrze rozumiem, że pan Ułan-Ude również nie będzie miał dostępu do swojej płaszczyzny na czas kwarantanny? - zapytał.

- Tak. - Van Poe kiwnął głową. - Proszę go umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu na czas... przeglądu.

- Dobrze - potwierdził Cicero.

- Dziękuję - powiedział van Poe, po czym podrzucił w powietrzu laseczkę i z szerokiego zamachu uderzył gałką w czyste szkło lustra. Owalna szyba stłukła się z krystalicznym brzękiem i posypała na betonową posadzkę tysiącami drobnych kryształów. Uwolniony spod jej ciężaru Kruk poderwał się w powietrze, otrzepał się z odłamków i zniknął w jednym z pustych okien kamienicy.

- A co do was... - odezwał się van Poe, celując w Zmoraków końcówką laseczki. Drobne kryształki rozsypane u jego stóp poruszały się niespokojnie, jak ziarenka piasku podrzucane na membranie bębna. - Wielowieyski ma dokończyć zlecenie. - Dźgnął powietrze laseczką. - Zdaje się, że coś ci nie wyszło, co? - Maurycy już otworzył usta, by zaprotestować, ale van Poe był szybszy i wymierzył pchnięcie w powietrze przed Anne. - A ty możesz mu pomóc pozwiedzać sobie Warszawę albo udać się od razu do Edenu. Cicero odprowadzi was do odpowiedniej płaszczyzny rzeczywistości.

- I co niby mamy tam robić? - zapytała Anne, piorunując spojrzeniem Sekretarza. - Szukać koni o dwóch ogonach?

- Niezbyt śmieszne - odparł van Poe. - Ale sądzę, że nie będziecie musieli ich długo szukać. Macie się rozejrzeć i przeczesać całą płaszczyznę, a następnie zameldować o wszystkich niezgodnościach. Pani wie wszystko na temat konstrukcji Edenu, prawda? Z łatwością znajdzie pani jakiegokolwiek odchylenia od reguły.

- I po to wzywaliście mnie do Polski? - zapytała, spoglądając wrogo na van Poego. - Przecież mogłam wejść do Edenu ze Szwecji.

- Owszem - przyznał van Poe. - Ale wtedy nie miałibyście okazji do tego, jak mniemam, dość sentymentalnego spotkania, prawda? - Uśmiechnął się szeroko. - No! - Stuknął laseczką o beton i przemieszał końcówką drżące kryształki. - To skoro wszystko jasne, pozwólcie, że wrócę do ważniejszych spraw, które wymagają mojej uwagi. - Zaczął pojedynczymi szarpnięciami podrzucać w górę kryształki, które opadały z powrotem powoli, jak płatki śniegu, formując stopniowo u jego stóp coraz wyższy, świecący wał.

- Czy mogę jeszcze o coś zapytać? - odezwał się Maurycy.

- Nie - odparł van Poe. Zagarnął jeszcze trochę kryształków, po czym uderzył wał po bokach i pociągnął laską z jednej i z drugiej strony ku górze. Szkło wzniosło się strumieniem za końcówką laseczki jak opiłki żelaza za magnesem.

- To zapytam - stwierdził Maurycy. - Czemu nic nam nie mówiliście, że można z Kopenhagi do Warszawy przyjść

w kilka godzin na piechotę?

- O czym ty mówisz, Zmoraku? - Van Poe trzepnął laseczką jeszcze raz u swoich stóp i pozostałe drobinki szkła podskoczyły ku górze, tworząc wypukłą poprzeczkę ponad dwiema pionowymi liniami. Kryształki rozbłysły pomarańczowym światłem i pomiędzy poprzeczkami pojawił się fioletowy wir.

- O tunelu w twierdzy w Kopenhadze, który prowadzi na stację Świętokrzyska na drugiej linii metra - wyjaśnił Maurycy, z zadowoleniem obserwując konsternację na twarzy Sekretarza. Van Poe odwrócił się powoli i spojrzał na Zmoraka spod runda cylindra. Anne założyła ręce na piersi i obserwowała wymianę zdań z nieskrywanym zainteresowaniem. Drwiący uśmiech błąkał się po jej pełnych ustach. - Dodam tylko, że tenże tunel, niewiadomej proveniencji - tłumaczył wyniosłym tonem Maurycy - jest jedną z głównych przyczyn powstania... hmm... komplikacji przy wypełnianiu zlecenia na saivę carskiego oficera.

- Jak już mówiłem - powiedział po chwili van Poe, odwracając się do nich plecami - są pewne zagadnienia, które przez jakiś czas, a możliwe, że na zawsze już, pozostaną poza zasięgiem waszych zdolności poznawczych.

- Czyli nie zamierzasz mi wyjaśnić w jaki sposób saiva Aleksandra Bartenjewa, carskiego oficera sprzed pierwszej wojny światowej, oraz moja skromna osoba przedostały się w niecałe trzy godziny na piechotę z Kopenhagi do Warszawy? - zapytał i zaraz dodał: - Naturalnie zakładam, że Bartenjew jest w stolicy, bo gdzie ma być? - Potrząsnął

lampą, która zagrzecgotała mu na ramieniu. - Mam przecież jego nośnik.

- Nie, nie zamierzam - potwierdził van Poe. - Żegnam - dodał, po czym przestąpił kryształowy, niski próg portalu i zniknął pochłonięty przez wir fioletowego światła. Kryształki błysnęły oślepiająco, po czym rozsypały się z dźwięcznym brzęczeniem tysięcy miniaturowych dzwoneczków. Drobinki szkła zamieniły się w małe ślimaki o spiczastych skorupach i rozpełzły się w kierunku co lepiej zacienionych zakamarków podwórka.

Maurycy spojrział na Anne. Anne spojrzała na Maurycego. I uśmiechnęła się promiennie, a Zmorak właśnie w tym konkretnym momencie przypomniał sobie coś ważnego.

VII. POWSTAŃCZA ARMIA PODZIEMNA

Sieć kanałów pod Królewskim Miastem Radovii była bardziej skomplikowana niż niejedna pajęczyna. W istocie wielu młodych pajaków, czeladników w zawodzie tkackim z jednej z królewskich gildii, spuszczano w ścieki, żeby nabrali respektu przed rozpoczęciem wykonywania swojego ciężkiego i odpowiedzialnego zawodu. Wiele pokoleń tkackich adeptów zniknęło bez śladu w tym labiryncie. Kolejni miejscy-królewscy kartografowie łamali sobie wyłysiałe głowy nad tym, jak rozrysować plan królewskich kanałów. Naczelny z problemów polegał na tym, że kanały zdawały się zmieniać swoje miejsce i sposoby krzyżowania się poszczególnych odnóg. Wydawało się nawet, że z roku na rok powstawały nowe odnogi, a stare zniknęły albo przemieszczały się pod ziemią.

Kolejni cesarscy namiestnicy, sprawujący rolę honorowego i nieingerującego zwierzchnika nad Radą Królewskich-Miejskich Rajców Radovii, wysyłali wyprawy badawcze w głąb tuneli, naturalnie na koszt mieszkańców, którzy składali się ochoczo na ten cel. Wyprawy wracały, czasem w niepełnym składzie. W kanałach pod Radovią działy się rzeczy dziwne.

Nikt do końca nie wiedział, jakie to są rzeczy, ale z pewnością były dziwne, w tym stopniu, w jakim dziwne mogą być żółwie latające nad Radovią skorupą do dołu albo jednonogi struś, zaprzęgnięty do karety jakiegoś bankiera-ważniaka. Sprawozdania wracających członków tunelowych wypraw, jak je po jakimś czasie nazywano na mieście, były niejednoznaczne. Jedni mówili, że spotykali przewodników. Ale inni mówili, że to majaki, że tak naprawdę w kanałach żyją tylko szczury. Wysokie jak dwóch ludzi i chodzące na dwóch nogach z karabinami miotającymi płynną zarazę.

Jakkolwiek by było, kanały pod Radovią to miejsce osobliwe i owiane tajemnicą. I właśnie z tego powodu idealnie nadawały się na kryjówkę Powstańczej Armii Podziemnej.

- Trzeba będzie mu zaraz ściągnąć tę opaskę. Łeb sobie rozwali, a nie o to nam przecież chodzi - odezwał się kapitan Leonardo Martell.

Za nim szli Michelangelo i Donatello, którzy prowadzili ciennika. Jeniec miał narzucony na głowę dość obszerny, czarny worek, który wyraźnie odkształcał się ku górze w obrys cylindra. Ciennik huknął głową o belkę i zachwiało

się podtrzymywany przez krasnoludów. Było to już czwarte uderzenie, odkąd ruszyli spod zawału za cytadelą.

- Kapelutek sobie obije, a szkoda by było, taki ładny jest, świecący i skórzasty - szydził Leonardo.

Donatello szarpnął za worek. Spod czarnej tkaniny rozległo się rozpaczliwe, stłumione jęknięcie.

- No, nie marudź tam, już niedaleko - powiedział Leonardo.

Doszli właśnie do rozwidlenia korytarzy i kapitan usiłował upewnić się, w którą stronę powinien iść. Szedł już tędy nie raz, ale w kanałach pod Radovią nigdy nic nie wiadomo. Raz tunel idzie prosto i prowadzi tak jak dziesiątki razy wcześniej, a innym razem poskręca się i połamie w niezrozumiałych zakrętach i wędrowiec może dość szybko znaleźć się w tarapatach. Dlatego Powstańcy wymyślili pewien sposób, jak przeciwdziałać niepożądanym skutkom tunelowych ekscesów.

Leonardo zbliżył dużą, naftową lampę do muru. Przejechał palcem po ceglanej ścianie, oślizgłej od porostów. Dłoń zagłębiła się w niewielkim rowku, który prowadził w pierwszą w lewo. Kapitan uśmiechnął się pod nosem i odsunął lampę.

- Dobra, idziemy - rozkazał i ruszył w lewą odnogę tunelu.

Po chwili wypełnionej stukotem obcasów o ceglaną posadzkę rozległo się głucho uderzenie, a zaraz po nim bezradny jęk.

- Panie kapitanie - odezwał się w mroku Michelangelo - melduję posłusznie, że jeniec wyrznął głową w sufit i nie chce dalej iść!

Leonardo obrócił się i skierował snop światła na ciennika. Kapelusz, spowity w czarne płótno, kiwał się niemrawo na lewo i prawo, jakby zaraz miał się urwać i upaść na ziemię by potoczyć się gdzieś w mrok tunelu.

- Dobra, podnieście go i zdejmijcie mu to - rozkazał dowódca. - Tylko ostrożnie - dodał zaraz, widząc, że nadgorliwy żołnierz znów szykuje się do potężnego szarpnięcia za worek. - Od góry złap - podpowiedział.

- Panie kapitanie... - zająknął się młody powstaniec. - Z całym szacunkiem, ale...

- Ale nie sięgniemy, melduję posłusznie! - wyjaśnił Donatello za kolegę.

- No, to stańcie jeden na drugim, podsadźcie jeden drugiego, wymyślcie coś. Matoły! - westchnął kapitan.

Krasnoludowie spojrzeli po sobie, po czym Michelangelo splótł dłonie razem i wskazał je wzrokiem koledze. Donatello postawił na nich stopę i wybił się w górę. Złapał za worek na głowie ciennika, ale jeniec odsunął się odruchowo do tyłu. Donatello nie uzyskał spodziewanego oparcia na barkach del Reya i runął w przód, z głuchym hukiem i brzękiem broni.

- No, co za łamagi! - zawołał Leonardo.

- Mmmm... Mmmm...! - zajęczał ciennik.

- A no tak - odparł kapitan - *pardon*. - Podszedł do ciennika i wyciągnął mu gwałtownie kawał szmaty z ust.

- Auu!

- Nie ma za co. - Uśmiechnął się Leonardo.

Ciennik poruszał zdrętwiałą szczęką. Coś chrupnęło nieprzyjemnie. Następnie odwrócił się i sugestywnie wskazał na wciąż związane dłonie. Obaj żołnierze natychmiast dopadli do niego i chwycili mocno pod ramiona.

- Za co mnie tak traktujecie? - zapytał. - Przecież walczyłem z cesarskimi, tak jak wy, przecież poddałem się i nie walczyłem z wami, chociaż mogłem. A dodatkowo, wyciągnąłem ciebie, panie kapitanie, spod zawału, za co sam mi nie omieszkałeś podziękować. - Ciennik mówił powoli i ostrożnie, jakby bał się, że przy bardziej gwałtownym ruchu odpadnie mu obolała szczęka.

- No, no. - Leonardo pogroził palcem. - Ty mi tu, gagatku, nie gadaj tyle, nie po to ci wyciągnąłem szmatę z gęby - powiedział. - Pójdziemy do pułkownika, to on zadecyduje, co z tobą zrobić. Ja jestem tylko skromnym oficerem, co ja mogę? - Wzruszył bezradnie ramionami. - Niewiele. Mogę tylko wykonywać rozkazy, co prawda czasem posiłkując się przy tym takimi oto kretynami jak ci dwaj tutaj, ale ostatecznie i tak większość robię sam. A rozkazy są proste. Każdego, kto nie należy do grupy uderzeniowej, zlikwidować na miejscu albo w przypadku bardzo uzasadnionego i silnego podejrzenia, że może on być cywilem, skrupować i doprowadzić przed Radę Podziemia - wyrecytował. - Także widzisz, mój cienniku. - Krasnolud podszedł do więźnia i zadarł głowę, żeby

spojrzeć mu w oczy. Napotkał jednak nieprzenikniony mrok, który rozpoczynał się tuż ponad linią wąskich ust. Kapitan wzdrygnął się. – I tak potraktowałem cię ulgowo. Musiałem mieć uzasadnione i silne podejrzenia, że jesteś cywilem, żeby cię nie zabić.

W tunelu rozlegało się echo kapiącej gdzieś niedaleko wody. Gęsty, wilgotny mrok rozświetlała jedynie lampa bujająca się w ręce kapitana oraz mały kaganek umieszczony przez kogoś w ścianie.

Gdzieś w oddali coś chrobotnęło. Było słychać wyraźnie odgłos toczących się kamieni. Leonardo odruchowo spojrzał w mrok tunelu, kierując tam lampę.

– Co to było? – zapytał niepewnie Donatello.

– Pewnie oni... – jęknął Michelangelo.

– Jacy oni?

Kapitan spojrzał uważnie na ciennika. Powstrzymał wzdrygnięcie i skierował na niego lampę. Nie rozviało to jednak mroku skrywającego jego twarz.

– Bez żadnych iluzji, drogi kolego, bo znowu cię zakneblujemy i oślepiemy na jakiś czas – zagroził Leonardo.

– Ależ skąd! – zarzekał się ciennik. – Przecież i tak nie wiedziałbym, jak stąd uciec. Starłem się liczyć zakręty po drodze, ale mam wrażenie, że troszkę mnie pokręciliście, co chłopaki? – zapytał wesoło żołnierzy. Strażnicy nie odrywali jednak przerażonych spojrzeń od gęstniejącej ciemności. – Zresztą i tak co najwyżej doszedłbym do zawału, prawda?

Kapitan przyjrzał mu się uważnie. Widoczna, dolna część twarzy ciennika, poprzecinana krótkimi bliznami, jak

po przegranej bójce na noże, była wykrzywiona w szczerym uśmiechu. Leonardo Martell wiedział jednak, że nie można mu ufać. Teraz się uśmiecha, przybiera szczerzy wyraz twarzy, a w głowie kombinuje już sobie kolejną iluzję. O nie, trzeba być ostrożnym.

- Dobra - zdecydował w końcu. Opuścił lampę. - Idziemy. Donatello, Michelangelo - zwrócił się do przerażonych żołnierzy. - No, weźcie się w garść, matoly! - zawołał. Dla pewności kapitan pacnął jeszcze każdego z nich po łysej głowie. - To szczury tam sobie biegają, a wy zaraz się zsikacie w gacie ze strachu. Baczność! - Żołnierze wyprostowali się jak struny. - No, od razu lepiej. A teraz brać jeńca i dalej w drogę. Idziecie przodem. Tam. - Wskazał lampą w głąb tunelu.

Trójka krasnoludzkich Powstańców oraz ciennik zeszli po wyślizganych, wąskich schodkach. Tupot podkutych butów żołnierzy ścigał ich, odbity od ścian, napierający ciasno ze wszystkich stron. Ciennik nawet nie zauważył, kiedy zaczęli schodzić w dół. Po prostu w pewnym momencie korytarz zaczął opadać, z początku powoli, potem coraz bardziej gwałtownie. Płaskie podeszwy eleganckich butów jeńca ślizgały się po wilgotnej, pochyłej posadzce. Zaczęły pojawiać się stopnie, z początku ledwie zauważalne, ale wystarczająco wysokie, żeby się o nie potknąć. A z czasem coraz wyższe i wyższe, aż żołnierze armii powstańczej musieli zeskakiwać z kolejnych stopni, łomocąc butami.

- Bachusie kochany, co za łamaga - narzekał kapitan Martell, gdy ciennik potknął się po raz kolejny i na moment zawisł w ramionach prowadzących go krasnoludów.

- Mogliście mnie uprzedzić, że będziemy łązić po śliskich tunelach - odparł ciennik. - Założyłbym lepsze buty.

- Milczeć! - uciął kapitan. - Bo zaknebluję. - Leonardo uniósł w górę sękatą pięść dla dodania powagi swojej groźbie. Najwyraźniej osiągnął zamierzony efekt, bo jeniec zamilkł.

Szli tak jeszcze nie dłużej niż pół godziny, wśród potknięć, zirytowanych westchnień, a również przy cedzonych przez zęby przekleństwach, zarówno w języku krasnoludzkich imigrantów, jak i szeleszczącym narzeczu istot z Ziemi Przy Wielkiej Ścianie.

- Kto mi to mówił? - odezwał się Martell. - Słuchaj mnie dobrze, młody Martell. Z cesarskimi podstawowa zasada to żadnych jeńców! Oni się z nami nie cackali przez te wszystkie lata, a dodatkowo pochód wojska mogą opóźnić, szczególnie jak idziesz w lesie - perorował teatralnym basem.

- Major Waniszewski - odparł Michelangelo znudzonym głosem.

- A właśnie! - zawołał uradowany Martell. - Właśnie, właśnie. No, stary major Waniszewski to był prawdziwy patriota. Ani krasnoluda, ani człowieka, ani nawet ciennika nigdy nie skrzywdził, ale na cesarskich to taki był cięty...

- Ja słyszałem, że bił żonę - wtrącił Donatello.

- Oj tam. - Kapitan machnął zirytowany ręką. - My tu o ważnych rzeczach, młody krasnoludzie, o wojnie, o jeńcach, oficerach i walce za ojczyznę, a wy mi tu z żonami wyjeżdżacie.

- Ależ panie kapitanie... - zaczął Donatello.

Michelangelo pokręcił w milczeniu głową. Różnice pokoleniowe u krasnoludów doprowadzały do wielu sporów i zgrzytów ścierających się tektonicznych płyt poglądów. Ale Donatello mimo to jeszcze się nie nauczył, że jakiegokolwiek poglądy miałyby starsze pokolenie, to jednak oni byli oficerami.

W ciszy rozległ się cichy trzask, a potem urwany jęk.

- No, może to was nauczy nie dyskutować z przełożonymi - powiedział kapitan Leonardo, rozcierając pięść.

- Jako jeńiec muszę przyznać, że cieszy mnie zaistniały bieg wydarzeń - wtrącił nieśmiało ciennik.

- Zawrzyj pysk! - rozkazał Leonardo.

- Taaa jest! - przedrzeźniał ciennik.

- Masz szczęście, gagatku, że już dochodzimy, bo inaczej bym cię znów zakneblował.

- A gdzie niby dochodzimy? Do jądra Orzecha? Wszak nie wiecie, że po prehistorycznej, kosmicznej katastrofie Orzech rozpadł się na dwie połówki, a owoc, czyli to, co mogłoby być jego jądrem, wypłynął spomiędzy skorupki i krąży teraz wokół nas i tej drugiej Połówki z częstotliwością dokładnie dwóch obrotów na dobę?

Leonardo zamarł z ręką wzniesioną do ciosu. Donatello masował obolałą szczękę, jednocześnie drugą ręką starał się utrzymać ramię ciennika, który usiłował gestykulować przy swojej przemowie.

- Nie dość, że bezczelny, to jeszcze heretyk... Heretyk i zdrajca... bo każdy heretyk to zdrajca...

- No co pan, panie kapitanie?! - odparł ciennik. - Niech pan nie mówi, że nie wiedział, że nasz świat jest pozbawiony jądra...

- Zawrzyj gębę, bo przyrzekam, jakem Martell, przyłożę ci, choć żeś jeniec - oznajmił kapitan. Popatrzył groźnie na ciennika, zadzierając przy tym głowę, następnie spiorunował wzrokiem dwóch żołnierzy, odwrócił się i zszedł ostatnie kilka stopni, po czym zniknął za zakrętem korytarza.

- Ty, dawaj, idziemy. Nie kłóć się z nim. Naprawdę nie warto - mruknął Michelangelo.

Cała grupka podążyła za kapitanem, skręcając w prawo. Korytarz nagle się urwał i stanęli u wylotu olbrzymiej, jasno oświetlonej sali. Wysoko pod sufitem wisiały olbrzymie, rozłożyste żyrandole, wypełnione dziesiątkami świec. Łukowate sklepienie wspierało się na kilkunastu szerokich, artystycznie żłobionych kolumnach. U podstawy każdej z nich stały skrzynie i poukładany w równe stosy sprzęt wojskowy: broń, elementy pancerzy, amunicja, zapasy żywności i rozmaite worki. Mnóstwo worków.

Pomiędzy kolumnami krzątały się pospiesznie sylwetki poubierane w czarne lub szare płaszcze, przenosząc różne

rzeczy ze stosu na stos i przesuwał skrzynie, pozornie bez żadnego porządku. Część skrzyń i sprzętu lądowało na niewielkich kopalnianych wagonikach, ustawionych pośrodku sali w równe rzędy. Na szczycie każdego z nich, po przeciwnej stronie sali, dymiły zaprzęgnięte do wózków kretociągi.

- Co tu się wyrabia? - zawołał kapitan Martell.

Jego pełen szczerego zdumienia okrzyk utonął w morzu trzasków, huków bagaży rzuconych do metalowych wózek, zwielokrotnionych echem potężnej sali kroków setek stóp oraz porządkujących rozkazów, wypowiedzianych spokojnym, ale pewnym głosem. Zadziwiająco jaskrawe światło świec odbijało się refleksami od elementów rynsztunku i uzbrojenia. Ciennik miał wrażenie, że trafił bardziej do jakiejś zapomnianej sali balowej niż do tajnej siedziby Powstańczej Armii Podziemnej, gdzie bojownicy o wolność Graalii planowali kolejny krok w nierównej walce przeciwko zaborcy.

- Spierdalamy, panie kapitanie! - odpowiedział kapitanowi przebiegający obok człowiek. Był wysoki, niemal dorównywał wzrostem ciennikowi. Potężne barki ledwie mieściły się w bluzie powstańczego munduru, napinając guziki na piersi do granic wytrzymałości. Żołnierz dźwigał przed sobą ogromny, płócienny worek, który grzechotał metalicznie przy każdym ruchu. - Spierdalamy z Gniazda - powtórzył, po czym pobiegł w stronę najbliższego wózka.

Ciennik dopiero teraz zauważył, że wózek, podobnie jak pozostałe, ustawione w równych rzędach, zaprzęgnięte

w kretociągi, nie miał kółek. A przynajmniej nie miał ich tam, gdzie można by się ich spodziewać. Wydawało się, jakby wypukła misa unosiła się bezpośrednio nad świecąca posadzką hali.

Martell rozejrzał się. Zatrzymał wzrok na czymś, co zdaniem del Reya musiało znajdować się gdzieś pośrodku.

- Za mną! - rozkazał i ruszył w kierunku najbliższego rzędu żeliwnych wózków.

Gdy podeszli bliżej, ciennik zauważył, że wózki rzeczywiście nie posiadają żadnych kółek u podstawy. Nie unosiły się jednak w powietrzu. Każdy z nich stał na dwóch długich, wąskich płozach, zakrzywionych ku górze z przodu i z tyłu. Podobne płozy były przytwierdzone parami do burt.

Jakiś żołnierz, w którym del Rey od razu poznał laskowika, z dwukolorowymi włosami i małym czarnym noskiem, osadzonym w spiczastej, nieco szczurzej twarzy, podbiegł z boku i ułożył pieczołowicie na dnie wózka naręcze lśniących szabli.

- Kapitanie Martell! - odezwał się ktoś z przodu. - Kapitan Leonardo Martell! To naprawdę pan! Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się nigdy więcej zobaczyć pana żywego.

- Gdzie, kurwa, ciskasz ten chleb?! - rozległ się wrzask od strony drugiego rzędu wózków. - Tak to se możesz swoją starą ciskać, a nie chleb powstańczy, którym będą się żywić ci walczący o wolność ojczyzny!

- Przepraszam, panie sierzancie - odparł nieśmiały głos.

- Zamknij pysk i ładuj mąkę - wrzasnął sierżant.

- Taa jessss! - odparł niewidzialny powstaniec.

Zamieszanie ucichło zaraz po serii pośpiesznych kroków podkutych butów zruganego żołnierza i gniewnym westchnieniu sierżanta.

- Szczerze mówiąc, nie miałem wielkich nadziei, gdy wysyłałem po pana ekipę ratunkową - odezwał się znów ten sam głos, gdzieś z przodu.

Ciennik rozglądał się po okolicy i zdziwił się, gdy obróciwszy wzrok w kierunku, z którego dobiegał głos martwiący się o los kapitana Martella, zobaczył tylko gruby filar i stos czegoś, co wyglądało jak stare skóry. Obok nich stała duża, drewniana skrzynia o metalowych okuciach i okrągłej, relatywnie dużej dziurce od klucza.

- Saperzy się trochę pośpieszyli z tym całym zawalaniem - kontynuowała skrzynia, zwijając i rozszerzając dziurkę od klucza w miarę kolejnych słów - tak jakbym ja był najważniejszy w tym całym zamieszaniu. Wyciągną mnie z cesarskiego pierdla i nie pomyślą o innych oficerach.

- Panie pułkowniku - powiedział Leonardo. - Mieliśmy pana uwolnić, taki był rozkaz Rady. Jesteśmy na wojnie. Wypadki się zdarzają, a ja... - Uderzył się w pierś, po czym zaraz się skrzywił z bólu. - A ja, Leonardo Martell, jestem gotowy, żeby umrzeć w słusznej sprawie - dodał.

- Martwy nam się na nic nie przydasz - odparła skrzynia. - Potrzebujemy oficerów, wiesz o tym, a ty jesteś jednym z bardziej kompetentnych krasnoludów, jakich było

mi dane poznać. Także panowie, w imieniu Powstańczej Armii Podziemnej Królestwa Graalii składam wam najserdeczniejsze gratulacje i podziękowania za wzorowe wykonanie misji i zwrócenie nam jednego z naszych najlepszych oficerów, a zarazem mojego dobrego przyjaciela. – Skrzynia zwróciła się ewidentnie do Donatella i Michelangela, którzy wciąż trzymali ciennika pewnym chwytem tuż powyżej łokci.

Donatello i Michelangelo puścili ramiona ciennika i zasalutowali, prężąc dumnie piersi.

– Spocznij – powiedziała skrzynia. – A panu w czym mogę pomóc? Nazywam się pułkownik Josef Stirling.

– To więzień – oświadczył Leonardo, zanim ciennik zdążył odpowiedzieć. – Przebywał w celi, z której chcieliśmy pana wydostać, panie pułkowniku. Poszliśmy zachodnim tunelem z porucznikiem Eziem, wysadziliśmy sufit dokładnie pod celą, jak wskazali nam saperzy od zachodniej odnogi.

– Tylko że ja byłem we wschodniej części więzienia – wtrącił pułkownik.

– Właśnie – przytaknął Leonardo. – A w zachodniej celi znaleźliśmy tego oto obywatela oraz biurko z cesarskim protokolantem, które spadło nam na głowy.

– Biurko w celi? – zapytał pułkownik. – Po co trzymać biurko w celi?

– Też się zdziwiliśmy, ale nie mieliśmy zbyt dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wzięliśmy to, co było w celi, włącznie z tym oto więźniem. Ezio pobiegł przodem

z teczką i skórzaną tubą, a ja chciałem zabić na miejscu tego tutaj. - Wskazał niedbale na ciennika. - Tyle że zdecydowałem się jednak wziąć go do niewoli. W końcu wszystko wskazywało na to, że to cywil. A Powstańcza Armia Podziemna nie morduje niewinnych cywili - oświadczył dumnie. - Dlatego postanowiłem sprowadzić go tutaj, żeby Rada zadecydowała, czy jest to rzeczywiście niewinny cywil, czy może jednak jest winny. No i potem nastąpił zawał, nie zdążyłem uciec i trochę ziemi spadło mi na głowę.

- A ten protokolant z celi? Zabiłeś go? - zapytał pułkownik.

- Nie, panie pułkowniku - odparł Leonardo. - Był nieprzytomny w momencie wybuchu i pozostał nieprzytomny do momentu ewakuacji. Uznałem, że nie było potrzeby go eliminować. Podejrzewam - dodał po chwili - że to nasz jeńiec miał z tym coś wspólnego. To ciennik - odpowiedział.

- Widzę przecież, że to ciennik - powiedziała skrzynia, lustrując jeńca od stóp do głów krytycznym spojrzeniem, niewidocznym, lecz bardzo dobrze wyczuwalnym. - Jak się pan nazywa?

- Murad Safjan - odparł ciennik bez zastanowienia.

- Kłamiesz - stwierdził pułkownik.

- Możliwe. - Ciennik wzruszył ramionami.

Leonardo uniósł dłoń do ciosu. Pułkownik wstrzymał go... właściwie trudno stwierdzić, w jaki sposób, może odpowiednim gestem dziurki od klucza.

- Nie trzeba - powiedział. - A nawet nie wolno, kapitanie Martell. Przecież na razie formalnie jest jeńcem. Opowiedz nam, proszę, panie Safjan, dlaczego znalazł się pan w cesarskiej celi.

- Zastanawiam się, czy zaistniała już taka konieczność... - zaczął ciennik.

- Obawiam się, że tak - przerwał pułkownik. - Jak pan może zdążył zauważyć, znajduje się pan w kwaterze Powstańczej Armii Podziemnej oraz rozmawia właśnie z dowódcą tejże armii. Obie kwestie pozostają ściśle tajne i nie mogę pozwolić panu odejść, dopóki nie będę absolutnie pewien co do pańskiej lojalności. - Skrzynia wykonała niewidzialny gest, który jednak sprawił, że Alfonso rozejrzał się po hali. Rozgardiasz powoli się uspokajał i coraz więcej żołnierzy gromadziło się w równych szeregach wzdłuż linii kretociągów. - Ponadto, jak pan widzi, jesteśmy w trakcie przeprowadzki, więc nie mamy wiele czasu. Wobec tego proszę się streszczać.

Ciennik spojrzał z powrotem na skrzynię. Donatello i Michelangelo stali w pogotowiu po obu jego bokach. Kapitan Martell patrzył na niego spod byka, wyraźnie niezadowolony z konwersacyjnego charakteru, który przybrało to spotkanie.

- Dobrze - zdecydował del Rey i zaczął opowiadać.

- Bardzo ciekawa historia - powiedział pułkownik po chwili ciszy. - Szkoda tylko, że kompletnie niewiarygodna.

- Tak pan sądzi? - zmartwił się ciennik.

- Tak sędzę - potwierdziła skrzynia zwana pułkownikiem.

- I ja również - wtrącił kapitan Leonardo. - A wy co tu jeszcze stoicie, bałwany? - warknął nagle do dwóch krasnoludów, którzy wciąż stali w pogotowiu.

- My myśleliśmy... - zaczął Michelangelo.

- Nie wy tu jesteście od myślenia - przerwał Martell. - Marsz do kretociągów. Przygotować się do wymarszu, słyszeliście pana pułkownika! Ewakuacja!

- Tak jest! - Zasalutował Donatello i obaj odbiegli szeregowym truchcikiem w stronę żeliwnych wagoników.

- Dobrze - powiedział po chwili pułkownik Stirling. - Nie wierzę panu, niestety. Naprawdę chciałbym panu uwierzyć, ale nie mogę. Poczucie realizmu i kompletny brak absurdalności w wyobraźni powoduje, że po prostu nie jestem w stanie tego zrobić. Podobnie jak nie jestem w stanie się podrapać po nosie. Chociaż oczywiście mogę to sobie wyobrazić. Ale wyobrazić sobie, że wyobrażam sobie zaistnienie sytuacji, o której pan był uprzejmy opowiedzieć, to wykracza poza moje możliwości. Przykro mi.

Leonardo uśmiechnął się paskudnie pod gęstym wąsem. Położył ciężką dłoń na ramieniu del Reya, a drugą ręką sięgnął za pas.

- W takim razie pan pozwoli, panie pułkowniku, że odejdziemy na bok. Może tam, bocznym korytarzem, i tak

zaraz się zasklepi - zaproponował. Wyciągnął zza pasa długi, szeroki nóż. - Pięć minut i po krzyku, a potem korytarz się zasklepi i wypluje go, bogowie wiedzą gdzie.

- Pewnie wiedzą - przyznał pułkownik. - W końcu ktoś musi wiedzieć. Inaczej jaki to by miało sens?

Martell kiwnął cierpliwie głową. Znał filozoficzne zapędy dowódcy. W końcu pułkownik Josef Stirling był myślącą skrzynią. Co miał robić, jak nie myśleć? W dodatku wszystkim Powstańcom to całe jego myślenie wychodziło raczej na dobre. Gdyby nie zdolności strategiczne pułkownika Stirlinga i przenikliwy umysł, przez niektórych mniej mu przychylnych oficerów kwalifikowanych jako diabelskie jasnowidzenie, Powstańcza Armia Podziemna nie byłaby w stanie pluć Najjaśniejszemu Cesarzowi w nos od ponad stu dwudziestu lat bez większych strat.

Kiedy pułkownik został porwany przez cesarskich żołnierzy, nawet oficerowie, którzy natychmiast rozpoczęli knuć na temat przyszłości Powstania, nie wierzyli, że cała ta impreza jeszcze długo potrwa. Kapitan Martell obawiał się, że jeśli nie uda się uwolnić pułkownika w krótkim czasie, to oficerowie z Rady doprowadzą do kapitulacji. Dlatego zgłosił się jako pierwszy na ochotnika do misji odbicia dowódcy z cesarskiego więzienia. Udało im się dosłownie w ostatniej chwili. Powstańczy wywiad donosił, że cesarscy zamierzają następnego dnia wywieźć pułkownika na Wschód, poza zasięg Armii Powstańczej. Wtedy wszystko byłoby stracone, ale teraz jest jeszcze nadzieja.

- Tylko pośpieszcie się - powiedział Stirling znudzonym głosem. - Musimy ruszać.

Del Rey zobaczył jeszcze, jak z boków skrzyni wysunęły się cztery pręty, które złamały się w pół i skierowały końcówki w kierunku ziemi. Następnie skrzynia uniosła się ciężko na drucianych odnóżach. Martell pchnął ciennika brutalnie w stronę okrągłej, czarnej dziury, mającej w skalnej ścianie po przeciwnej stronie grotu. Del Rey miał wrażenie, że poszarpane krawędzie otworu pulsują lekko i to zbliżają się, to oddalają się od siebie, ledwie dostrzegalnie, niczym jakaś wielka paszcza skalistego potwora.

- Zaraz! - zawołał del Rey. Usiłował się zatrzymać, ale kapitan Martell unieruchomił mu ramiona wyćwiczonym chwytem i pchnął mocniej w kierunku wylotu tunelu. - Nie tylko bogowie wiedzą, dokąd prowadzą korytarze - krzyczał. - Nawet nie wiecie, co zabraliście Cesarskim! To mapa tuneli całej Połówki, a wy nie macie pojęcia, jak jej używać - wrzeszczał, a czarna, pulsująca otchłań zbliżała się nieubłaganie w jego stronę. - Zaprowadzę was do kogoś, kto wie, co z nią zrobić! Będziecie mogli zaskoczyć cesarskich w każdym miejscu w Graalii, a nawet w pieprzonej Sidrze! Sami nie dacie rady, zablokujecie ją tylko, a gdy cesarscy ją znajdą, to będziecie mieli przerąbaneeeee!!! Nie!!! - Krawędzie skały zaczęły wyciągać w jego kierunku mięsiste wargi. Na szyi poczuł mroźny dotyk stali.

- Stać!

Stal przestała się zagłębiać w jego skórę, ale nie wycofała się ani milimetr. Martell przestał go pchać. Gdzieś z tyłu rozległ się delikatny, metaliczny stukot.

- Co powiedziałeś? - zapytał głos pułkownika, tuż przy uchu ciennika. - To jest mapa tuneli? Skąd to wiesz? - Ciennik milczał. Czuł ziejącą mu w twarz zgniłą wilgoć skalnej czeluści. - Odpowiadaj! - krzyknął Stirling.

- Zaprowadzę was do nich. Zaprowadzę was do Braci - jęknął del Rey.

W powietrzu zawisła pełna napięcia cisza, która trwała całe sekundy, minuty i godziny. Del Rey miał wrażenie, jakby cały wszechświat zaistniały w skalnej jaskini zawisł na włosku i oczekiwał na rozwiązanie. Czeluść niecierpliwiła się. Usiłowała sięgnąć swoją ofiarę wystającymi, skalnymi krawędziami, mlaszcząc i gruchocząc. Martell wciąż blokował ciennikowi ramiona, gotowy do zadania śmiertelnego ciosu. Wystarczyło pół metra.

Cisza pękła.

- Na wóz z nim - rozkazał pułkownik, po czym odszedł, stukając metalowymi odnóżami.

Kapitan Martell jęknął rozczarowany. Skalna czeluść kłapnęła kamiennymi wargami, następnie zasklepiła się z nieprzyjemnym mlaśnięciem. Del Rey poczuł, jak miękną mu kolana.

VIII. PRZYPADEK RUMSZTYKA SZAJLOKA

W tym samym czasie, gdy Alfonso del Rey cudem uniknął śmierci w odmętach Tuneli, kilkadziesiąt skalnych warstw wyżej oraz nie więcej niż cztery kilometry na zachód, a dokładnie na skrzyżowaniu ulic Królewski Deptak i W Dół Po Skarpie, Rumsztyk Szajlok siedział za ladą sklepu z towarami kolonialnymi.

Szajlok pochylał się nad kartami głównej księgi firmy handlowej Wincel i Synowie. Przebiegał wzrokiem kolejne, szerokie strony zapisane drobnym maczkiem liczb i nazwisk kontrahentów.

Mętne światło naftowej lampki ustawionej na biurku padało na nieco zszarzałą twarz. Czarne wąsy, podkreścone w górę, tuż pod nieco garbatym, choć nie spiczastym nosem, rzucały rogate cieni na rejestry przychodów i kosztów. Przez przeszklone drzwi do sklepu zaglądało

światło gazowych latarni Królewskiego Deptaka wraz z cichnącym z wolna szmerem usypiającego miasta.

Szajlok dodawał kolejne linijki przychodów, odejmował koszty poniesione przez firmę handlową przed dwoma laty. Robił to po raz szósty tego wieczoru. Rachunkowość firmy starego Wincla absolutnie nie miała czego się wstydzić, była naprawdę porządnie prowadzącą się młodą damą. Rumsztyk również się do tego przyczynił, do niedawna jako subiekt i zastępca właściciela do spraw handlowych wyprowadził firmę na prostą. Stary Wincel coraz gorzej radził sobie z interesami i nie dostrzegał oczywistych błędów, jakie wciskali mu księgowi od Arthura Clarkssona, okradając pokaźny majątek, zgromadzony przez najbardziej szanowanego kupca Radovii. Na szczęście dla Wincla pewnego dnia w sklepie pojawił się, niecałe półtora roku temu, młody adept sztuki kupieckiej, zaraz po szkole handlowej i praktykach w południowych rubieżach Imperium, gdzie zdobywał pierwsze szlify w arkanach ekonomii. Adept ów zakończył pewien rozdział w swoim życiu i nie za bardzo wiedział, jak dalej kształtować obiecująco rozpoczętą karierę.

Ludwig Wincel już wtedy podupadał na zdrowiu. Coraz częściej zdarzały się dni, gdy nie był w stanie osobiście doglądać interesu. Jeszcze rok przed pojawieniem się Rumsztyka firma Wincel i Synowie posiadała pięć sklepów w samej Radovii oraz rozliczne placówki w innych największych miastach Imperium. Nawet na głównym Newskim Prospekcie w Sidrze szyld z nazwiskiem

radovskiego kupca pysznił się wspaniale wśród największych i najbogatszych firm cywilizowanego świata.

Niestety ta jakże obiecująca i napawająca każdego Radovczyka dumą sytuacja (naturalnie wtedy, gdy akurat nie był on w nastroju zawistnym, czyli jednym z dwóch stanów, które przeciętny Radovczyk może odczuwać w stosunku do sukcesów osiągniętych przez rodaków) uległa drastycznej zmianie. I nie miało to związku ani z wrodzoną zawiścią współobywateli, gotowych jednego dnia wychwalać osiągniętego sukcesy rodaka, a nazajutrz spreparować niesłychany wręcz donos do Fiskusa Cesarskiego. Nie było to spowodowane również niepewną sytuacją polityczną w regionie. Na utratę przez starego Wincla wszystkich placówek w innych miastach nie miała większego wpływu pogarszająca się sytuacja na rynku importu towarów z zamorskich kolonii Imperium ani nawet seria fatalnych sztormów, które pochłonęły trzy z siedmiu statków firmy, kursujących pomiędzy portami nad Morzem Północnym a Nową Mundią czy daleką Wschodnią Kashubią. To ostatnie nawet wyszło firmie na dobre, bo z tytułu odszkodowania z przezornie zawartego ubezpieczenia firma mogła zamówić dwa nowe statki, budowane według najnowszych zdobyczy techniki skutniczej. Nie miały masztów i podobno pod ich pokładami rozpalano ogniska, które następnie napędzały szerokie, metalowe wiosła, wirujące za stalowymi burtami. Rumszyk miał pewność jednak, że to kolejny efekt niemałego już szaleństwa, powoli pochłaniającego umysł

Wincla. Rozpalać ognisko pod pokładem statku i nakłaniać go w ten sposób do ruchu? Ale tym tematem młody Szajlok zajmie się później.

Wszystkie pozaradovskie placówki firmy Wincel i Synowie przejęli właśnie ci ostatni. Stary Wincel miał trzech synów, z czego każdego z inną kobietą, jednocześnie żadna z nich nie była jego żoną. To ostatnie zacne stanowisko zajmowała od piętnastu lat szanowna Małgorzata Wincel, która ku swojej nieustającej frustracji nie dała mężowi żadnego potomka. Było to szkodliwe nie tylko dla samopoczucia pani Wincel, ale również, jak się okazało, dla firmy. Synowie, podobno nakłaniani przez skrzyknięte wspólnie matki, weszli w podejrzone interesy z Mafią. Rumszyk słyszał, że w sprawie o podział majątku z tytułu zaległości w płatności alimentów przez starego Wincla brała udział sama Piekielna Palestra.

Sprawa skomplikowana i z pewnością nielegalna. A Rumszyk Szajlok nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Szajlok to uczciwy ekonom i uważał, że można zdobyć fortunę, niekoniecznie wchodząc przy tym w konflikt z prawem. Wszystko, co było przeciwko ustalonemu porządkowi, nawet jeśli ten porządek nie został nigdzie spisany w formie ustaw czy cesarskich edyktów, a istniał tylko w rumszykowej głowie o głębokich zakolach, przyprawiało młodego kupca o ból tejże głowy.

Podobnie jak ostatnie zdarzenia, których był świadkiem na ulicy. Żeby strzelać w ciemną noc w centrum jednej z imperialnych stolic? Wynosić jakichś ludzi z domu na

noszach? Szajlok będzie musiał jeszcze kilka godzin wertować główną księgę, żeby uspokoić drżące ręce. Kto wie, może nawet sięgnie do rachunku zysków i strat?

- Rumsztyczku, kochany mój - odezwał się głos w ciemności. - Dlaczego tak siedzisz po nocy?

- Dwadzieścia trzy procent na dwa lata plus pięć procent kuponu z obligacji... - mamrotał pod nosem.

Nagle poczuł na karku ciepły dotyk miękkich dłoni.

- Ależ z ciebie pracuś, mój malutki, biedny, taki dzielny, tak liczy i dba o interes mojego schorowanego starego męża... - wyszeptał głos, a ciepły oddech trafił prosto do ucha Szajloka.

Rumsztyk przymknął na moment oczy. Poczuł, jak dłoń Małgorzaty Wincel skrada się po jego karku, zaczyna oplatać szyję. Dreszcz przeszedł wzdłuż pleców.

- Dość! - krzyknął, zatrzasnąwszy z hukiem skórzane okładki księgi głównej.

- Ależ Rumsztyczku! - oburzyła się pani Winclowa.

Szajlok zerwał się z krzesła i odwrócił do kobiety, opierając się o krawędź lady. Pani Małgorzata Wincel, bezdzietna żona Ludwiga Wincla, jednego z najpotężniejszych kupców Radovii i całej Graalii, stała przed nim ubrana w zwiewną, nocną koszulę w różowe kwiatki.

A Ludwig Wincel umierał piętro wyżej...

Rumsztyk otworzył oczy. Słońce przeciskało się przez ciasne szparki w gęsto plecionych włóknach szkła na pierwszym piętrze kamienicy przy Królewskim Deptaku. Dzień był już w pełni. Zza uchylonego okna dobiegały odgłosy setek kroków, wystukujących swój przedpołudniowy, pośpieszny rytm na granitowym bruku. Szajlok pociągnął nosem. Od okna wiało jeszcze chłodem. Przemknęło mu przez myśl, że powinien był zamknąć je na noc. Spojrzał w kierunku okna. Pojedyncze krople deszczu spływały powykręcanyymi ścieżkami po szybie, omijając niewidzialne nierówności matowego szkła. Woda pędziła równoległymi strumieniami, które to oddalały się od siebie, to znów zbliżały się jeden do drugiego, a czasem nawet krzyżowały się lub łączyły swoje siły, żeby pomknąć w dół, ku rynnowej zagładzie, na krawędzi szaro-żółtego gzymsu kamienicy.

Szajlok westchnął i spojrział w lewo. Potężny kark Małgorzaty Wincel unosił się miarowo w sennym oddechu. Kobieta mruknęła coś przez sen i obróciła się na plecy. Spod kołdry wysunęły się ramiona o nieco obwisłej, choć mimo wieku wciąż gładkiej skórze w kolorze bielonej sosny. Małgorzata przeciągnęła się, mrużąc z rozkoszą oczy.

- Ale miałam sen - odezwała się rozmarzonym głosem. Otworzyła oczy i ujrzała Rumsztyka, który dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ciągle patrzy na obnażone piersi kobiety. - Ach, więc to jednak nie był sen - dodała z uśmiechem.

Rumszyk musiał przyznać, mimo że Małgorzata Wincel była ponad dwukrotnie starsza od niego, pozostawała ponadprzeciętnie pociągającą kobietą. Czy to chodziło o jakiś szczególny rodzaj spojrzenia, którym lustrowała swoje ofiary, zaszczepiając w nich ziarno poddaństwa? Czy może sekret tkwił w tonie głosu, obiecującym podświadomie nieskończoną rozkosz, przykrywając jednak tę dyskretną sugestię warstewką pruderii tkaną z doświadczenia, prześwitującą niczym letnia, jedwabna sukienka? A może to po prostu kwestia chemii? Może chodziło o losowe zestawienie mikroskopijnych cząsteczek, z których ponoć zbudowano cały świat? Może to właśnie one, te niewidoczne elementy przyrody, składały się w cielesnych gruczołach kobiety w taki sposób, że gdy docierały do receptorów umieszczonych na cielesnej powłoce przedstawicieli męskiego rodzaju dowolnego gatunku hominidów, powodowały określone reakcje świadomości odbiorców?

Tego Rumszyk nie wiedział, zastanawiał się nad tym, owszem, bardzo długo. Raczej nie dzielił się z nikim swoimi rozterkami, był przecież racjonalnym, uporządkowanym ekonomem, który nie powinien sobie zaprzętać głowy rozważaniami tak próżnymi w swojej istocie. Jedno jednak wiedział. Małgorzata Wincel schwytała go w swoje sidła, a on nie potrafił już z nich się wydostać.

Oczywiście, jak się nad tym zastanowić, to ostatecznie nie było to aż takie złe. Małżonka jego szefa to kobieta doświadczona. Rumszyk nie narzekał, gdy okazywała mu

stopień swojego doświadczenia. W dodatku to dziedziczka, nieco może pomniejszonej przez aferę z firmowymi synami, ale wciąż fortuny starego Ludwiga Wincla.

Jednak gdzieś pod tą przykrywką świadomości potencjalnych oraz całkiem obecnych korzyści z uwagi i emocji, którymi obdarzała go stara Winclowa, kryło się irracjonalne uczucie. Jakiś mały, wredny stworek, zapewne włochaty i z ogromnym, wilgotnym nosem, siedział na granicy świadomości Rumsztyka i mówił coś o sumieniu. Mamrotał o oddaniu i lojalności. Czasem wysyczał słowa pełne goryczy, jak zdrada, czy podłość.

Ale mężczyzna starał się tym za bardzo nie przejmować. Nie mógł stworka zagłuszyć, próbował już wiele razy. Skubaniec chował się wtedy gdzieś głęboko i nie dało się go utopić, chlustając na niego kolejnymi kieliszkami wódki. Dlatego też Rumsztyk starał się nim nie przejmować. Niemniej on wciąż gdzieś tam był, a teraz widząc, że jego ofiara obudziła się po nocnych igraszkach z żoną umierającego chlebobawcy, stwór wychynął znów ze swojego leża i łypał na Rumsztyka spod krzaczastych brwi.

A poza tym pozostawała jeszcze Izabela... Ideał, anioł i przenajwspanialszy obiekt westchnień Rumsztyka niemal od roku. Ale na to jeszcze nie czas. Jeszcze jest za słaby. Wiedział, żeby osiągnąć poziom Izabeli, wzbudzić w niej zainteresowanie i szturmem zdobyć zamknięte bramy jej serca, będzie musiał się wspiąć na sam szczyt finansowej drabiny społeczeństwa Radovii. Stosunki z Małgorzatą

Wincel mogły w pewien sposób stanowić dość atrakcyjną trampolinę.

- Dzień dobry, pani Małgorzato - powiedział.

- Ale co ty z tą panią! - Wincelowa machnęła dłonią i podciągnęła się na poduszkach. Druga pierś wyskoczyła spod kołdry i przykuła rozedrgane spojrzenie Rumsztyka. - Mówiłam ci już, Gocha jestem.

Rumsztyk nie odpowiedział. Sięgnął do piersi. Małgorzata uśmiechnęła się zadowolona na ten gest oddania.

- Muszę iść - odezwał się po chwili.

- Nic nie musisz - odparła pani Wincel, przeczesując mu włosy na skroni. - Ale skoro chcesz, to nikt cię przecież nie trzyma. - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Muszę... - zaczął Rumsztyk. - Chciałbym - sprostował - wrócić dziś do siebie, do swojego mieszkania.

- Do tej małej, mizernej klitki na poddaszu na Przyrzeczu? - Skrzywiła się Małgorzata. - Po co miałbyś tam wracać? Tu masz przecież do dyspozycji całą kamienicę. Przecież wiesz, że mój mąż raczej już się nie obudzi - dodała.

Rumsztyk wzdrygnął się na wspomnienie o starym Ludwigu.

- Chciałbym wracać do siebie! - powtórzył, unosząc głos.

- Ależ dobrze, dobrze - odparła Małgorzata. Podciągnęła kołdrę. - Przecież możesz iść, gdzie chcesz -

dodała. - Ale za chwilę, dobrze? Może teraz dałbyś jeszcze swojej małej Goni coś od siebie na do widzenia, co?

Objęła Rumsztyka w pasie. Szajlok rzucił się na nią, nie zwlekając dłużej i oboje utonęli w dusznej pościeli, smaganej wątlymi promieniami przedpołudniowego słońca.

Radovia tętniła życiem. Jako największe miasto Graalii, najbogatszej i najbardziej uprzemysłowionej prowincji Cesarstwa, była centrum kulturalnym, handlowym i naukowym, w którym skupiało się całe życie okolicznych terytoriów, często sięgających daleko poza ciasne granice państwa.

Rumsztyk kochał to miasto. Odkąd do niego przyjechał pięć lat temu na studia w Szkole Handlowej, nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że mógłby je kiedyś opuścić na dłużej niż kilka tygodni. No, może kilka miesięcy też by dał radę, gdyby wiązał się z tym dobry interes dla firmy. Szajlok był pracowitym ekonomistą, a w dodatku bardzo zdolnym. Jako jeden z niewielu z rocznika skończył studia z wyróżnieniem, zdobywając tytuł Mistrza Ekonomii oraz jako jedyny z tej niewielkiej, elitarnej grupki, znalazł dobrze płatną i obiecującą posadę. Pozostali koledzy prymusi wciąż dłubali doktoraty i wbijali ciężką wiedzę o gospodarce do opornych głów młodych studentów, jednocześnie wykonując wszystkie dodatkowe prace i nieprzyjemne czynności, które zwykli robić adiunkci, stojący najniżej w feudalnej społeczności każdej uczelni wyższej. Taki zwyczaj,

a z czymś takim się nie dyskutuje. To tak, jakby próbować dyskutować z tym, że woda jest mokra albo trawa zielona.

Szajlok nie utrzymywał zbyt bliskich kontaktów z kolegami Mistrzami Ekonomii, ale z tego, co zdołał zauważyć, sukces finansowy zdawał się odwrotnie proporcjonalny do średniej ocen zdobytych w trakcie studiów. Ciekawe, czy ktoś kiedyś zrobi na ten temat badania?

Rumszyk skręcił w ulicę Dolną i został zmuszony przerwać rozmyślenia, gdy pośliznął się na pochyłym bruku. Ulica Dolna, odchodząca od Deptaka Królewskiego, przy której znajdował się sklep Wincla i mieszkanie pani Wincel, źródło nieskończonych wyrzutów sumienia Rumszyka, schodziła skosem po Skarpie w kierunku Rzeki. Wielu turystów odwiedzających Radovię, w szczególności tych ze Wschodu, gdzie rzeki płynęły niemalże jedna obok drugiej, dziwiło się, dlaczego ten niezbyt szeroki pas zamulonej wody nazywa się po prostu Rzeką. Rumszyk pytał o to nie raz swoich znajomych, o których wiedział, że są rodowitymi radovczykami, ale nigdy nie otrzymywał konkretnej odpowiedzi. Z reguły mówili, że tak jest i tyle.

Rumszyk Szajlok skręcił w ulicę Bednarską, która biegła prostopadle do kilkunastometrowej Skarpy. Minął ogródek i eleganckie witryny Ziemiańskiej, jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w mieście. Kelnerzy dopiero otwierali. Wynosili właśnie okrągłe stoliki na specjalny podest, ustawiony na nierównym bruku, i przykrywali je eleganckimi, białymi obrusami. Skinął

uprzejmie jednemu z kelnerów, gdy ten ukłonił mu się ze szmatką przewieszoną przez ramię. Był to Roman Vandemajer, kolega Rumsztyka ze studiów. Adiunkt, chyba już trzeci rok. Szajlok musiał przyznać, że chłopak dzielnie walczył o łaskawe dopuszczenie do obrony przygotowanego przez siebie doktoratu na temat mający coś wspólnego z psychologią rynku finansowego. Temat bardzo ciekawy i zapewne niezwykle ważki dla społeczeństwa i ludzkości w ogóle. Nie zmieniało to faktu, że Vandemajer wciąż musiał zarabiać na chleb, podając do stołu wieczorami ekskluzywne i niewyobrażalnie drogie potrawy ludziom, którzy na tej psychologii zrobili majątek, nawet jeśli nie zdawali sobie z tego do końca sprawy.

Z lewej strony, w przerwie pomiędzy kamienicą, w której mieściła się Ziemiańska, a reprezentacyjnym pałacykiem, siedzibą Cesarskiego Urzędu Fiskusa w Radovii, Szajlok widział granatową wodę Rzeki, zaraz za upstrzonymi białymi i fioletowymi kwiatkami drzewami sadu w dole Skarpy, na terenie zalewowym. Widok po chwili zniknął i Szajlok odwrócił wzrok, napotkawszy smutne spojrzenie zgarbionego, chudego człowieka w szarej marynarce. Owalne binokle ledwo trzymały się na jego spiczastym nosie, wycelowanym w chodnik z powodu zgarbionej sylwetki. Był to Walerij Złotow, Cesarski Inspektor Fiskalny Radovii. Rumsztyk, podobnie zresztą jak chyba wszyscy ekonomiści w Radovii, nie lubił tego człowieka. Mógł się zresztą założyć, że grono osób nielubiących inspektora Złotowa było znacznie szersze.

Mógł się również założyć, o równie wysoką stawkę, że inspektor Złotow nie do końca był człowiekiem. Nikczemna postura i nieproporcjonalnie krótkie nogi w porównaniu do dość długich ramion wskazywałyby na krasnoluda. Jednak spiczasty nos i paskudny charakter niezbyt pasowały do cech reprezentowanych przez tę szlachetną rasę. Bardziej pasował na półgnoma, ale na to z kolei był trochę za duży. Gnomy rzadko osiągały więcej niż trzydzieści centymetrów wzrostu.

Rumszyk westchnął pod nosem. Niezależnie od tego, z jakiej rasy hominidów wywodził się inspektor Złotow, wciąż pozostawał tak samo wścibski i podejrzliwy w stosunku do wszystkiego, co go otaczało. Wydawało się, że jakby mógł, przepytałby kwiaty rosnące smętnie przed urzędem, czy nie pobierają z cesarskiej ziemi zbyt dużo wody.

Szajlok wszedł po schodkach i zapukał do drzwi kamienicy. Skrzypnęły zawiasy i Rumszykowi ukazała się poczciwa twarz woźnego Straszaka, kamienicznego dozorca.

- Och, to panicz Szajlok - zawołał uradowany dozorca starczym, skrzeczącym głosem. - Proszę, proszę. - Otworzył drzwi i zaprosił Rumszyka gestem na klatkę schodową.

- Dzień dobry, panie Straszak - odparł Rumszyk.

- Ciężki dzień w pracy? - zapytał z troską dozorca, przyglądając się twarzy Rumszyka.

- I noc... - odparł Szajlok.

- Pan się zamęczy, panie Mistrzu - zatroskał się Straszak, ściskając pocziwie miotłę w dłoniach. - Wszak nie można się dać tak wykorzystywać. Ja wiem, że trzeba się starać i być oddanym pracownikiem, ale żeby do tego stopnia? Panie Szajlok...

- Pan wybacz, panie Straszak - uciął Rumsztyk - zmęczony jestem i udam się prosto do siebie - dodał, po czym bez słowa zaczął wspinać się na piętro po skrzypiących, drewnianych schodkach.

Pan Straszak pokręcił z rezygnacją siwą głową i westchnął pod nosem. Po chwili gdzieś u góry trzasnęły drzwi.

Rumsztyk odwiesił kapelusz i płaszcz, a następnie przeszedł do salonu niewielkiego mieszkania. Odsłonił zasłony, żeby wpuścić trochę światła do wąskiego, podłużnego pomieszczenia zastawionego starymi meblami. Wynajmował tę kawalerkę odkąd przyjechał do Radovii, z początku za pieniądze pożyczone od rodziny, ostatnio już z własnych środków. Wciąż jednak nic w niej nie zmienił. Czasem zastanawiał się, ilu poprzednich lokatorów pamiętało te meble albo skąd się wzięła ta rudobrązowa plama obok komody, na której trzymał nigdy nierozpakowane walizki. Z reguły jednak nie miał na to czasu. W mieszkaniu głównie spał, a ostatnio i to zdarzało się coraz rzadziej, odkąd pan Ludwig upadł poważniej na zdrowiu, a pani Małgorzata stała się bardziej nachalna.

- Dzień dobry, panie Szajlok - rozległ się głos z rogu pomieszczenia.

Rumszyk odwrócił się na pięcie, zaciskając pięści.

- Kto tu jest?! - zawołał.

- Przyjaciel - odparł głos. Dochodził z cienia, tuż obok masywnej, drewnianej szafy, ustawionej w rogu. - Chociaż nasze relacje będą też w dużej mierze zależeć od pana. - Z cienia wyłonił się podłużny kształt, zwieńczony czarnym, rozłożystym kapeluszem. - Przysyła mnie nasz wspólny znajomy.

- Gdzie jest mapa?! - wysyczał intruz.

Rumszyk leżał na podłodze swojego pokoju, zwinięty w kłębek, usiłując ochronić zbite żebra. Nie zauważył nawet momentu, w którym upadł. Powiedział tylko „bo wezwę...” a następnie świat zawirował, zgasł na moment, a potem wybuchł potwornym bólem z okolic klatki piersiowej.

Intruz roztarł pięści spowite w czarne, skórzane rękawiczki. Szajlok nie zdołał dokładniej mu się przyjrzeć, zanim otrzymał cios. Zdążył jedynie zauważyć, że bandyta nosił głęboki, szary kapelusz o wąskim rondzie i brunatny prochowiec.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Intruz warknął zniecierpliwiony. Kolejny, precyzyjny cios w nerki.

- Mam ci pomóc? - syknął Rumsztykowi tuż nad uchem.
- Dobrze wiemy, że pomagałeś Tatuškowi zdobyć mapę. Nie kłam, bo tylko pogarszasz swoją sytuację.

- Ale jaką mapę? - jęknął Szajlok i zaraz pożałował. Kopniak w żebra wypchnął mu z ust przeciągły jęk bólu.

- Nie drzyj się - ostrzegł intruz. - Sprzedałeś mapę ciennikowi del Reyowi - stwierdził.

- Nic mu nie sprzedałem - zaprotestował słabo Rumsztyk i zanim otrzymał kolejny cios, dodał: - nie wiem, o jakiej mapie mówisz. Pomogłem del Reyowi, robiliśmy nie raz interesy.

W górze coś zaszleściło. Rumsztyk skulił się w sobie, ale zamiast ciosu poczuł szarpnięcie za włosy. Bandyta poderwał do góry jego głowę i podetknął mu pod nos pomiętą skrawek papieru, zapisany drobnym druczkiem.

- Czytaj!

- Kiedy nie widzę... - Łzy rozmazały Rumsztykowi pole widzenia i pismo na karteczce wyglądało jak pochyła, porwana, czarna linia. Intruz szarpnął mocniej, ale spowodował tym tylko kolejny, żaloszny jęk ofiary. Po chwili zaklął szpetnie pod nosem, po czym cisnął głowę Rumsztyka z powrotem na ziemię. Szajlok w ostatniej chwili ochronił nos posiniaczonymi dłońmi.

- To jest notatka del Reya do Tatuška: *Nabyłem mapę tuneli od Mistrza Szajloka od starego Wincla. Przystępuję do kolejnego etapu transakcji, podpisano AdR* - przeczytał bandzior. Rumsztyk widział przed sobą czubki podkutych, skórzanych butów i nogawki garnituru, wystające spod

prochowca. – Ponawiam pytanie i tym razem radzę ci się dobrze zastanowić nad odpowiedzią. Gdzie jest mapa tuneli?

Myśli galopowały pod czaszką Szajloka jak stado spanikowanych antylop. Del Rey? Co miał z tym wspólnego del Rey? Przecież nie raz robił z nim interesy. Co on miał wspólnego z Mafią? Z reguły pomagał mu zdobywać jakieś bardzo dziwne i, zdaniem Rumsztyka, kompletnie pozbawione płynności przedmioty. Szajlok miał dość szeroką siatkę kontaktów. Wszyscy szanujący się kupcy i pośrednicy wszelkich towarów musieli się liczyć z prawą ręką starego Wincla. Szajlok dziwił się czasem, po co Alfonso zbiera te wszystkie śmieci, ale może miał jakichś dobrych odbiorców? Nie wnikał. Płacił zawsze i bardzo dobrze, więcej go nie interesowało. Alfonso del Rey, stary dobry kolega ze studiów. Zawsze był trochę dziwny, ale co go łączyło z tym zakapiorem? I Tatusiek? Nieuchwytny, niemal mityczny, szef radovskiej Mafi... I jaka mapa? – zastanawiał się Rusztyk.

Cios przyszedł nagle. Szajlok nawet nie zdążył krzyknąć.

- Gadaj do cholery! – wrzasnął napastnik.
- Przecież sam napisał – wycharczał po chwili Rumsztyk – że mu to sprzedałem. Skąd mam wiedzieć co z tym zrobił?
- Nie cwaniakuj mi tu – ostrzegł bandyta. Szajlok odważył się spojrzeć w górę. Zobaczył, jak napastnik unosi do krótkiego ciosu metalowy pręt. Czarne, wąskie brwi były

zmarszczone w wyrazie wściekłości. Ale trzeba spróbować, pomyślał Rumszyk, przewycięzając ból nerek.

- Musicie lepiej pilnować swoich ludzi - powiedział. Poskutkowało. Napastnik aż sapnął z wściekłości.

- Ty gnoju - warknął i uderzył prostopadle, wkładając w cios cały zamach ramienia.

Szajlok spiął wszystkie mięśnie. Skrzywił się z bólu i w ostatniej chwili przed uderzeniem przetoczył się przez prawe ramię. Pręt uderzył z brzękiem w podłogę, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżała głowa Szajloka i natychmiast odbił się od twardej posadzki. Zaskoczony napastnik usiłował się uchylić przed powracającym prętem. I wtedy Szajlok zamachnął się nogą, ciął tuż powyżej kostek bandyty. Pociemniało mu w oczach od bólu z obitych nerek. Napastnik stracił równowagę i runął na bok. Podcięte nogi poleciały w bok. Drąg trafił bandziora dokładnie w czoło. Szary kapelusz potoczył się po posadzce, odsłaniając lśniącą łysinę. Szajlok wyrwał napastnikowi pręt z ręki i na wpół oślepiony, jęcząc z bólu, podniósł się na nogi.

- Kogo nazywasz gnojem? - wychrypiał. Skierował pręt ostrym sztychem prosto w odsłoniętą krtań mafiosa. Bandzior usiłował się zasłonić. Szajlok włożył w cios cały ciężar ciała. Dodał sobie siły obłąkańczym krzykiem. Zamknął oczy. I wtedy, gdy już miał poczuć, jak ostry pręt zagłębia się w ciele napastnika, gdy już miał runąć na jego drgające w konwulsjach ciało, nic się nie stało. Poczuł stalowy ucisk na nadgarstku i wokół pasa.

- No, no, no, gagatku - usłyszał chrapliwy głos, tuż poniżej ucha. - Wyrzuć to żelastwo, bo się pokaleczysz.

Rumsztyk otworzył oczy. Wisiał pod kątem nad bandytą, który zerkał zza przedramienia. W prawej ręce ścisnął zaostriżony pręt. A na jego prawym przegubie zaciskała się potężna, owłosiona dłoń, gruba niczym bochen chleba.

- No już - ponaglił głos, a włochata łapa wykrzywiła bez większego wysiłku jego nadgarstek. Rumsztyk wrzasnął. Pręt brzęknął o podłogę. Kolana załamały się pod Szajlokiem. Żelazny uchwyt wokół pasa rozluźnił się i Szajlok padł na czworaka tuż obok mafiosa, który zbierał się pośpiesznie na nogi.

Ból wrócił ze zdwojoną siłą. Adrenalina wyzwolona atakiem odpuściła i zabrała ze sobą wszystkie z trudem zebrane siły. Rumsztyk poczuł, jak rozpływa się w pulsującym bólu. Kątem oka dostrzegł jeszcze nagie, owłosione nogi, grube niczym pnie drzewa. Pomyślał, że muszą być bardzo krótkie, bo widział kolana na wysokości nosa, a następnie zemdlał.

IX. ZAGADKA Z NOWOGRODZKIEJ

Ulice zaczynały się powoli zapełniać ludźmi pędzącymi w zapamiętałym, pełnym skupienia szale w kierunku swojego jutrzejszego celu. Warszawa to po części świat jutra. Jeśli ktoś nie wierzy w podróże w czasie, pomyślał Maurycy, to powinien przyjechać do Warszawy. Ale nie w jakimś konkretnym celu, w interesach, czy turystycznie. Powinien po prostu przyjechać, wysiąść na Dworcu Centralnym, oddać hołd Pałacowi Kultury, zadzierając wysoko głowę w podziwie zmieszanym z rozczarowaniem i oburzeniem, a następnie pójść w kierunku Ronda ONZ, skrócić w ulicę Jana Pawła, potem może w Grzybowską, w prawo w Marszałkowską.

Po drodze powinien obserwować, ale nie to, co ludzie zwykle obserwują, odwiedzając nowe miasta. W Warszawie podziwianie architektury wymaga bardzo często

zadzierania głowy do góry, ponad życie sunące u podstaw szklanych domów. A przecież nasz przykładowy turysta przyjechał tu, żeby przekonać się o technicznej możliwości podróży w czasie. Wieżowce i socrealistyczno-klasycystyczne perełki architektury może zostawić na kolejny wyjazd.

Życie, sunące arteriami nowosłowiańskiej metropolii europejskiej, to płaszczyzna, na której podróż w czasie jest możliwa. Ba, nie tylko możliwa, ale i stosowana w praktyce. Codziennie.

Obok Maurycego przecwalał młody japiszon w garniturze z telefonem przytkniętym efektownie lewą ręką do prawego ucha. Wywrzaskiwał do słuchawki sentencje, wobec których Maurycy miał duże podejrzenia, czy nie zakwalifikować ich jako tajemnice handlowe.

- Na *asap* ma być! - krzyczał japiszon. - Jutro mamy *deadline*! Co? Dziś masz urodziny matki? A co mnie to obchodzi? Zostajesz dzisiaj wieczorem, jutro mamy *deadline*, nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Jutro! - Wśród gniewnych sapnięć i chrząknięć, niczym zdenerwowany żubr, młody zdobywca świata, dokładnie tego, o który walczyli gdańscy stoczniowcy, zniknął za rogiem bloku z wielkiej płyty.

- Co kręcisz głową? - zapytała Anne. Mówiła po niemiecku, z gardłowym skandynawskim akcentem. Maurycy poczuł, że się uśmiecha.

- Śmieszne miasto, nie sądzisz?

Spojrzał w niebo. Zapowiadał się ładny dzień, jeden z tych wybuchających wiosennym szaleństwem o poranku. Jeden z tych dni, który przytłaczającą wesołością, nieznośną, nachalną radością z odrodzenia po długiej zimie, przygniata ludzi do ziemi już po kilku godzinach. W takie dni ludzie się cieszą. W takie dni kobiety żałują, że rano zdecydowały się jednak nie zakładać sukienki. Przecież jeszcze kwiecień, lepiej poczekać. Słońce świeci za oknem, ale trzeba uważać, nigdy nie wiadomo, co przyniesie kapryśna, mazowiecka wiosna. A tu trach, bach i dwadzieścia pięć stopni, a one czują, jak uda pocą się w grubych jeansach, wołając o powietrze i słoneczne promienie.

W takie dni ludzie skaczą pod pociągi metra, a z zakamarków miasta wyłazą, jak trupy spod ziemi, włóczędzy i bezdomni. Wariaci i niezrównoważeni psychicznie przedstawiciele gatunku ludzkiego krzyczą na siebie na ulicy i wrzeszczą na słońce, jakby to ono było winne ułomności ich umysłów.

Anne zerknęła spode łba. Zawsze tak patrzyła. Nie potrafiła spojrzeć na człowieka po prostu i uprzejmie, bez podejrzliwości, bez poszukiwania w rysach najmniejszego śladu nieszczerości. Z każdą minutą do Maurycego wracała przeszłość.

- A co w nim takiego śmiesznego? - zapytała.

Obok przepłynął kolejny japiszon z komórką przy uchu i biznesem na ustach. Ten nie miał na sobie garnituru. Różowa koszula, rozpięta pod szyją, ze świecącymi

spinkami na mankietach, opinała się na zaokrąglonym brzuszku. Modne mokasyny wystawały spod gładkich spodni uprasowanych w kancik.

- Przyszłość - odpowiedział Maurycy, oglądając się za japiszonym.

Anne spojrzała pytająco na Zmoraka. Oczy miał skryte za przyciemnianymi szybkami gogli i nie mogła nic wyczytać z jego przeciętej dwiema pionowymi bliznami twarzy. Uśmiechał się. Zmoraczka wzruszyła ramionami.

Przeszli przez Marszałkowską. Na skraju Ogrodu Saskiego stało trzech młodych mężczyzn. Ci nie mieli jednak białych ani różowych koszul. Nie nosili mokasynów ani garniturów, tylko czarne bluzy z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Przez pierś jednego z nich przestrzelał na skos napis: „1944 Chwała bohaterom”. Pod spodem pysznił się wykrzywiony artystycznie symbol Polski Walczącej. Drugi z młodzieńców miał na piersi wyszczerzony łeb wilka, kontrastujący z nalaną twarzą i łysą czaszką. Trzeci, najwyższy z grupki, prezentował na piersi wizerunek jakiegoś żołnierza w przedwojennym mundurze o wspaniałych pagonach.

- Ty, kurwa, patrz, jaki pajac! - zarechotał Wilczy Łeb.

Pe-Wu wycelował w Maurycyego obudową swojego telefonu. Błysnął flesz.

- Te, skąd masz takie spodnie, pedale? - zagadnął Mundurowy.

Maurycy nie odpowiedział. Przeszli z Anne obok drwiącej grupki i skręcili do Ogrodu Saskiego.

- I przeszłość - powiedział Maurycy po chwili. Gdzieś z tyłu zazgrzytał na szynach tramwaj, zagłuszając rechot łoży szyderców.

- Co? - zapytała Anne.

- Przeszłość i przyszłość - odparł Maurycy. - Zero albo jeden. Mam wrażenie, że ostatnio nikt w tym mieście nawet nie myśli o terażniejszości. Ludzie żyją w ogrodzonych osiedlach swoich prywatnych wehikułów czasu. Jedni pędzą zapatrzeni w przyszłość, jak psy za suką w ciecze. Drudzy wpychają łapy w mysią dziurę przeszłości. Każdy ma swój wehikuł. Jeden kierunek, a przeciwne zwroty. A w środku pustka, tylko napięta Równowaga rozciąga się coraz bardziej pomiędzy płotami.

- Mhm - mruknęła Anne w odpowiedzi.

Wbiła ręce w kieszenie kurtki. Wyszli na główną Oś Saską.

- Chodź w prawo. - Zmorak kiwnął dłonią w kierunku kamiennych figur i fontanny, widocznych w szerokiej przecince między drzewami. Szli przez chwilę w milczeniu. Buty szurały na wilgotnym szutrze.

- Jak saivowie - odezwała się Anne, gdy doszli do pierwszych figur. Obok na ławce leżał jakiś pijak.

- Co? Figury?

- Nie. Ci ludzie. W tych osiedlach, odgrodzieni od siebie w prywatnych płaszczyznach rzeczywistości - wyjaśniła. - Zupełnie jak saivowie w Edenie, no nie?

- Nie myślałem o tym w ten sposób - odparł Maurycy. - Ale coś w tym jest. Tu mam punkt kontaktowy z Krukami -

dodał po chwili, gdy doszli do figur. - Czekaj, sprawdzę, czy nic nie ma. - Podeszedł do najbliższej figury i najzwyczajniej w świecie wdrapał się na nią jak jakiś dzieciak.

Anne zaśmiała się cicho i podeszła bliżej. Posąg przedstawiał wpatrzoną w dal kobietę ze skrzydełkami na głowie. W prawej ręce trzymała zwój pergaminu, a lewym ramieniem obejmowała małego człowieczka, chyba też kobietę, przy piersi pokrytej wypukłymi krostami, które przypominały łuski pancernego żółwia.

- Non Aliunde - przeczytała napis ciągnący się w poprzek sukni figury.

- Ad Operam - odparł Maurycy, zeskakując na żwir obok niej. Spojrzała na niego. - Ha! Uśmiechnęłaś się! - ucieszył się Zmorak.

- Wcale nie! - zarzekła się Anne i odeszła od figury. - Tak po prostu sobie łazisz po zabytkowych figurach w parku?

- Łażę. - Kiwnął głową Maurycy.

- I co, nikt jeszcze nie przechwycił wiadomości? - zapytała.

Maurycy wzruszył ramionami.

- Przecież nie wolno łązić po zabytkowych figurach w parku - zaśmiał się.

- Śmieszne - burknęła. - A gdzie my właściwie idziemy, co?

- Do znajomej.

- Jakiej znajomej?

- Mojej.

- No, domyślam się, że raczej nie mojej...

- Niedługo będzie też twoją znajomą. - Maurycy podszedł do Anne i wskazał przed siebie. - Grób Nieznanego Żołnierza.

- Niesamowite. Jaki piękny! - westchnęła teatralnie.

Minęli pozostałości Pałacu Saskiego. Anne spojrzała na ogień płonący w szerokich zniczach. Zerknęła z ukosa na wartowników.

- Ale ci są żywi? - zapytała z cieniem uśmiechu na twarzy.

- Chyba tak - odparł Maurycy.

Po pustym placu potoczył się odgłos podkutych butów stukających o bruk.

- O, zmiana warty będzie - powiedział Zmorak. - Chcesz popatrzeć?

Anne zatrzymała się przed Maurycym i spojrzała na niego gniewnie. Była o głowę od niego niższa. Skrzyżowała ramiona na piersi. Podmuch wiatru szarpnął włosami. Odrzuciła je nerwowym ruchem głowy.

- Myślisz, że przyjechałam tu na zwiedzanie? - zapytała.

Stukot obcasów zbliżał się. Maurycy spojrzał na nadchodzących żołnierzy. Stali z Anne dokładnie na linii przemarszu.

- Zejdźmy na bok - powiedział.

- Będą musieli nas ominąć - odparła wciąż wpatrzona w Zmoraka. - Gadaj, gdzie idziemy i po co. Van Poe mówił, że mamy jechać do Edenu zbadać jakiś przeciek. Nie mam

pojęcia, po co ja jestem tam potrzebna. To wasze polskie sprawy, żaden mój interes. Powinnam być teraz w Kirunie, a nie ganiać za jakimiś przeciekami na wschodnich rubieżach - westchnęła. Wyraz jej twarzy nieco się rozluźnił. - Czemu nie przysłali kogoś z Wszechrusi, jak sobie nie radzisz?

- A kto powiedział, że sobie nie radzę?

Stukot był coraz bliżej.

- Turyści - mruknął pod nosem dowódca zmiany. Kolejni turyści nie widzą, że stoją na drodze. Nie mogą się kłócić kawałek dalej?

Usiłował dawać dyskretne znaki w kierunku dyskutującej pary. Chyba Niemcy, sądzą, że wszystko im wolno. Stuk, stuk, stuk. Żadne z nich nawet nie spojrzało w kierunku patrolu. Dowódca uderzył kolbą karabinu o kaburę na pasie.

- Zejdź z drogi - odezwał się Maurycy.

Wartownicy wyszli powolnym krokiem przed kolumny Grobu, gotowi na zmianę.

- Nigdzie nie zejdem - odparła hardo Anne. - Gdzie idziemy?

- Do znajomej.

- Po co?

- Muszę znaleźć jeszcze tego saivę, nie pamiętasz? Ona może mi pomóc. Wie to i owo.

- To i owo? - zapytała drwiąco Anne.

- Tak, to i owo - zdenerwował się Maurycy. Stuk, stuk, stuk. - Dobra, koniec tego cyrku. - Złapał kobietę za ramię i szarpnął w bok.

- Puszczaj! - zawołała, ale Maurycy był silniejszy i odciągnął ją dwa metry w bok. Zmiana warty przeszła za nim i zatrzymała się kawałek dalej. Stukot obcasów zwolnił. Dołączyły do niego kolejne stuki z okolic Grobu. Anne wyrwała mu się gwałtownie. - Co ty sobie myślisz? Nie dotykaj mnie!

- Nie dramatyzuj - odparł Maurycy. - Nie wydaje ci się to dziwne? Nie rozumiesz?

- Co? To, że nie umiesz się pogodzić z przeszłością? - Spojrzała na niego zalotnie. - Nas już nie ma.

- Nie - powiedział ponuro - nie ma. Ale nie o tym mówiłem. Nie wydaje ci się dziwne, że Kruki i Cicero nie radzą sobie z przeciekiem w Edenie? Po co nas wzywają?

- Ciebie pewnie dlatego, że to twoja zakichana działka. Twój teren. - Wzruszyła ramionami. - Ale mnie, nie wiem.

- I jeszcze te tunele - kontynuował Zmorak. - To nie było normalne przejście, jak do Edenu. Saiva też nim przeszedł. Jeśli go nie ma w Edenie, to znaczy, że pomiędzy Kopenhagą a Świętokrzyską nie weszliśmy do Azylu. Jeśli to byłby normalny skrót przez Eden, to ani on by z niego nie wyszedł, ani ja bym nie stał tu teraz w materialnej postaci.

- Potrząsnął mosiężną lampą na plecach. - Ani nie

przytargałbym ze sobą nośnika. Moje ciało razem z tym ustrojstwem leżałoby teraz gdzieś w podziemiach twierdzy w Danii, a Rusek wysłuchiwałby właśnie mowy powitalnej Cicero na Wodzie Działowej.

- A co mnie to ma obchodzić? - warknęła Anne.

Podkute obcasy huknęły o bruk. Dowódca odwrócił się i poprowadził zmianę warty z powrotem w kierunku Ordynariatu Polowego. Nowi wartownicy krokiem pełnym godności rozeszli się na miejsca przy zniczach.

- A może to, że twoja obecność tutaj rzeczywiście nie ma większego sensu, chyba... - Postukał się palcem w skroń. - Chyba że masz z tym wszystkim jakiś związek.

Anne nie odpowiedziała, ale wciąż patrzyła na niego gniewnym wzrokiem. Maurycy wiedział jednak, że po części się z nim zgadza. Za dobrze ją znał. Chowiała się jeszcze za maską zmarszczonych brwi i tego uroczo rozdętego noska. Ale w środku, delikatna Anne Olsson, mała dziewczynka z przedmieścia Malmö, powoli wyglądała nieśmiało zza tarczy.

- Proponuję zrobić tak - kontynuował Zmorak - chodźmy do Zuzanny, ona wie różne rzeczy o saivach tego miasta. A wydaje mi się, że nasz Aleksander nie był zwykłym saivą i może mieć jakieś znaczenie dla całej sprawy. Pogadamy z Zuzanną, wypijemy herbatkę, a potem w zależności od tego, czego się dowiemy, ja pójdę dokończyć zlecenie, a ty zrobisz, co będziesz chciała, albo pozwiedzasz sobie Warszawę, albo pojedziesz bezpośrednio

do Edenu i spotkamy się na miejscu. - Spojrzał na Anne, unosząc brwi. - Może być?

- A jak się dostanę do Edenu? - zapytała.

- Coś się wymyśli - odparł. - Możemy pojechać Sokołem, ale w tym celu będziesz musiała na mnie poczekać. A jak nie, narysuję ci mapkę do Bramy Kurhanów. Złapiesz sobie stopa. Albo taryfę. - Uśmiechnął się.

Z zadowoleniem zauważył, że kącik jej zaciśniętych ust, wbrew jej zamiarom, powędrował ku górze.

- Dobra, chodźmy. Chętnie napiję się herbaty - powiedziała - tylko nie z torebki!

- Pewnie że nie - zapewnił Maurycy. - Zuzanna zna się na herbacie.

Stali na końcu ulicy Rycerskiej. Obserwowali, jak kot, który pojawił się znikąd na środku ulicy, usadowił się na szczycie hełmu figury rycerza, ustawionej obok na trawie, pod pozostałościami średniowiecznych, miejskich murów, wciskał łapkę w półokrągłą szparę wizury. Po uniesionym napierśniku spływały pierwsze krople krwi, barwiąc nieregularnymi strużkami piastowskiego orła na tarczy wojownika, spoglądającego w kierunku ulicy Wąski Dunaj.

Kot uniósł łebek i spojrzał na nich. Był cały biały, z wyjątkiem czarnego pyszczka i nosa. Przyglądał im się przez chwilę, z jedną łapą wciąż wetkniętą we wnętrze figury rycerza. Anne odwzajemniała spojrzenie, zmarszczywszy gniewnie brwi. Nie lubiła kotów. Kiedyś

słyszała, że ludzie dzielą się na tych, którzy kochają koty i na tych pokrzywdzonych przez los. Nawet jeśli tak było, to Anne wolała być ostatnią ofiarą losu niż mieszkać z kotem pod jednym dachem. W ogóle co to za pomysł, żeby trzymać koty w domach? Przecież to nie są zwierzęta domowe. Żyją w swoim świecie i organizują po swojemu ten, który otacza uniwersum. Nie, Anne nie lubiła kotów. Szczęście, że Maurycy nie był kociarzem. Nigdy nie mówił, że nie lubi kotów, ale przynajmniej nie był ich zagorzałym zwolennikiem.

- Uroczy zwierzak - powiedział Zmorak.

Anne rzuciła mu ostre spojrzenie, ale zauważyła, że na jego ustach krąży drwiący uśmiech. Również się uśmiechnęła.

- Rzeczywiście, kochane stworzonko - przyznała gorzko.

- To kot Zuzanny - dodał Maurycy - Flip.

- Co? - zapytała. - Jaki Flip? To jakiś gatunek kota?

- Nie, to jego imię - wyjaśnił, a następnie przykucnął i wyciągnął przed siebie dłoń, jakby podawał w kierunku zwierzęcia jakiś smakołyk. - Flip! No chodź, Flip! - zachęcał.

Anne parsknęła i odwróciła wzrok. Kątem oka zauważyła, że ktoś nadchodzi od przeciwnego krańca ulicy.

- I co, może jest jeszcze Flap? - zapytała z przekąsem.

- Ano jest - odparł Maurycy.

Kot zdawał się go kompletnie ignorować. Zamknął tę część swojego małego, kociego świata, która była

skierowana w jego stronę i wciąż wbijał wzrok w Anne.

- Chyba dziwna trochę ta twoja Zuzanna - powiedziała Anne.

- Nie jest moja - odparł Maurycy.

Podniósł się i podszedł do Anne. Wyciągnął dłoń w jej kierunku, ale zatrzymał ją w pół drogi. Anne spoglądała przez chwilę na smukłą, żyłastą rękę Zmoraka, potem przeniosła wzrok na jego twarz.

Maurycy zobaczył, jak drgnął jej kącik ust. Uśmiechnął się do niej. Anne zmarszczyła nagle brwi i spojrzała na niego ostro. Łagodność spłynęła z jej twarzy, jak światło opływa saivów, żeby zbierać się w świetlne kałuże u ich stóp.

- Wiesz, że wyglądasz absurdalnie, kiedy się uśmiechasz? - zapytała. Zmorak westchnął. Już się bał, że coś się z nią stało, ale nie. Anne Olsson jest ciągle sobą, blond pięknoscią, skrytą za skórzaną kurtką i najeżoną kolcami agresji. - Poza tym, jak tak do mnie mówisz, to chce mi się rzygać. Jesteś miękki jak rozgotowane kluchy - warknęła i spojrzała z pogardą na jego dłoń - rączki jak u panienki.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę figury rycerza. Flip obserwował ją uważnie, stopniowo uginając łapy. Przypadł już niemal brzuchem do hełmu rycerza, gdy Anne sięgnęła gwałtownie za pas i wyszarpnęła pistolet. Kot zeskoczył z figury i zniknął w krzakah.

Zmoraczka trzymała pistolet w opuszczonej dłoni, po czym zaczęła się śmiać. Maurycy puścił rękojeść noża,

którą ścisnął odkąd podszedł do Anne. Zbyt długo ją znał, żeby po prostu zdać się na jej nagły przyływ czułości. Porywczosć i agresja, które jak nikt potrafiła skoncentrować i wyrzucić przed siebie, niczym kulę średniowiecznego Morgensterna, nie predestynowały jej raczej do roli żony i matki. Ale na pewno pomagały w starciach ze zmorami. Anne Olsson, pomimo dość młodego jeszcze wieku, zdążyła już zdobyć sławę wśród społeczności Zmoraków jako jedna z najbardziej skutecznych łowczyń. Skutecznych i jednocześnie najbardziej bezwzględnych. Resocjalizacja raczej nie znajdowała się na pierwszym miejscu listy celów podejmowanych przez nią działań przeciwko zmorom.

Nikt nie wątpił w skuteczność Anne w walce. Ale raczej wszyscy mieli też świadomość tego, że kobieta zupełnie nie nadaje się do działań porządkujących związanych z saivami. Przecież Zmoracy nie tylko polowali na zmory, na przestępców i zwyrodnialców świata umarłych. Raczej robili to w ostateczności. W większości przypadków dbanie o Równowagę pomiędzy światem saivów a światem żywych polegało na przenoszeniu saivów w inne miejsca, umieszczanie ich w Edenie, czy też skłanianie żywych do tego, aby nie naruszali w swojej bezmyślnej ekspansji niektórych terenów zamieszkałych przez saivów. Bardziej przypominało to pracę leśniczego niż samotnego myśliwego. Ale Maurycy wiedział, że Anne Olsson nie nadawała się do żadnego z tych rozwiązań. W przypadku jakichkolwiek komplikacji saiva, który miałby być

przedmiotem jej zlecenia, skończyłby dość marnie. Maurycy skrzywił się na samą myśl. Widział, jak jeszcze w trakcie szkolenia w Niemczech, gdzie razem uczyli się odróżniać poszczególne rodzaje powiązań saivów z rzeczywistością, młoda Olsson, jak mówili na nią Kruki, strzeliła jednej saivie prosto w pierś. To była młoda dziewczyna, chyba z dziewiętnastego wieku. Jej błąd polegał na tym, że zaczęła pyskować. A Anne nie lubiła, jak ktoś jej pyskował. Tamtego dnia Maurycy widział, jak rozpada się świadomość. Dziewczyna po prostu zapadła się w sobie. Nie, nie umarła. Przecież już nie żyła i to od dobrych stu kilkudziesięciu lat. Istniała dalej, ale bardziej jak warzywo. Straciła pamięć, straciła świadomość niemal wszystkich zmysłów. Dezintegracja na skutek implozji świadomości. Wywieźli ją chyba do Edenu. Maurycy pomyślał, że musi o nią zapytać Cicera, gdy już pojedzie za tym nowym zleceniem.

A właśnie, nowe zlecenie. Biorąc pod uwagę te wszystkie wady i zalety Anne Olsson, na cholere wysyłali ją do takiego zadania? Przecież tu najprawdopodobniej nie chodziło o rozwalenie kilkunastu agresywnych zmor. Robota wydawała się bardziej delikatna.

No, ale Konsylium Kruków wie lepiej, pomyślał gorzko Maurycy. Zawsze wie lepiej i nigdy nie raczy wytłumaczyć się ze swoich zamysłów małym, podległym im Zmorakom.

- Dobra, starczy tej zabawy - powiedział do Anne. - Chodź na herbatę - dodał, po czym odwrócił się i zniknął w bramie pobliskiej kamienicy.

Anne wyczuła perfumy od drzwi. Nachalny zapach goździków unosił się pomiędzy deskami boazerii wyściełającymi ciasny korytarz. Spojrzała na Maurycego. Z lekkim zadowoleniem zauważyła, że zmarszczył nos. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że nienawidził goździków.

- Zuza? - zawołał Zmorak. Podeszedł do owalnego lustra, umieszczonego w białej, drewnianej ramie, na ścianie naprzeciwko wejścia. Coś stuknęło w głębi korytarza. Anne chwyciła za pistolet. - Zuza? Jesteś tu? - Zza rogu wyszedł kot. W odróżnieniu od spotkanego na zewnątrz, ten kot był cały czarny. Tylko pyszczek pozostawał pokryty krótkim, białym futrem. Zwierzak zatrzymał się pomiędzy Anne a Zmorakiem i spojrzał na dziewczynę z uniesionym pionowo ogonem. Przechylił na bok łebek. Anne wyszczerzyła do niego zęby i zawarczała cicho.

- Co ty robisz? - zapytał Maurycy, odwracając się przez ramię.

- Zaprzyjaźniam się - odparła Anne, wpatrując się w kota. Zwierzak gapił się na nią, nieugięte i niespłoszony.

- Maurycy? - odezwało się lustro.

Po chwili Anne zobaczyła, że jej własne odbicie znikło z tafli. Wewnątrz drewnianej ramy pojawiły się meble. Anne widziała ciemny, drewniany stół i ustawione za nim dwa niskie fotele. Naprzeciwko, na wprost od Anne, stała staromodna meblościanka z ciemnoczerwonego drewna.

- Witaj, Zuzanno - odparł Maurycy i przekroczył krawędź lustra - przyprowadziłem gościa.

Anne bawiła się pistoletem, a Maurycy po przedstawieniu sobie kobiet i krótkim powitaniu opowiedział Zuzannie całą historię.

- Aleksander Bartenjew? - powiedziała, gdy skończył. - Czekał, coś mi świta. - Podeszła do meblościanki i przejechała palcem po grzbietach książek ustawionych na półce.

Maurycy oparł się o przeciwległą ścianę i obserwował jej smukłe plecy, spowite w obcisłą, czarną bluzkę z długimi rękawami. Widział pomalowane bordowym lakierem paznokcie, jak przesuwają się po kolejnych tytułach. Gdy przechylała na bok głowę, żeby odczytać napisane pionowo tytuły niektórych książek, jej długie, brązowo-rude włosy rzucały błyszczące iskry odbitego światła, które sączyło się leniwie ze staromodnego żyrandola.

Maurycy skierował wzrok niżej, wzdłuż idealnych zagłębień talii dziewczyny i wtedy rozległo się niemieckie przekleństwo. Anne Olsson podskakiwała komicznie na jednej nodze, tuż obok niego.

- Ugryzł mnie! - wrzasnęła - Normalnie mnie ugryzł, sierściuch jeden!

Obróciła się gwałtownie i sięgnęła dłonią do pasa. Maurycy był szybszy. Skoczył obok dziewczyny i jednym ruchem wykręcił jej nadgarstek, obracając ją plecami do siebie. Chwytał nadgarstek drugą ręką i przycisnął do siebie, żeby uniemożliwić zadanie ciosu.

- Puszczaj mnie, gnoju! - krzyczała wściekle.

Usiłowała wyrwać ręce z uścisku Zmoraka, ale tylko szarpała się bezsilnie. Maurycy trzymał mocno i nie zamierzał jej puścić. Nie ją, wiedział, z kim ma do czynienia i nie chciał dopuścić, żeby Anne zrobiła coś Zuzannie.

- Puszczę cię, jak się uspokoisz - powiedział, uśmiechając się.

Ścisnął mocniej nadgarstek, a wolną dłonią przesunął, niemal czule, wzdłuż jej talii, w kierunku biodra.

- Łapy przy sobie! - Anne szarpnęła się mocniej, ale zaraz syknęła z bólu. Maurycy trzymał dźwignię i nie zamierzał jej puścić.

- Nie szarp się, to nie będzie bolało - powiedział Zmorak, nachylając się do jej ucha.

Kobieta czuła jego oddech na szyi, co sprawiło, że szarpnęła się jeszcze mocniej, tylko po to, żeby jęknąć z nagłego bólu nadgarstka.

Maurycy przesunął dłonią w górę, potem kawałek w tył, zahaczając o pośladek Anne. Uśmiechnął się, a następnie błyskawicznym ruchem wyrwał pistolet z kabury i odskoczył w tył. Dziewczyna zrobiła krok w tył uwolniona z uścisku i zachwiała się. Maurycy wysunął magazynek z pistoletu i schował do kieszeni.

- Trzymaj - powiedział i rzucił pustą broń w kierunku Zmoraczki.

Olsson uniosła głowę. Na jej twarzy malowało się zdziwienie pomieszane z oburzeniem, gniewem i grymasem bólu. Złapała pistolet w locie lewą ręką i rozprostowała

powoli palce prawej dłoni. Spojrzała na Maurycego z nienawiścią.

- No, już się nie gniewaj - powiedział Zmorak. - Powiedz, chciałaś tu strzelać?

- Oddaj mi magazynek - odparła Anne, cedząc każde słowo.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł...

- Maurycy, oddaj jej magazynek - odezwała się Zuzanna, która do tego momentu stała z boku oparta o stół i przyglądała się całej sytuacji ze zdziwieniem. Para Zmoraków spojrzała na nią z jednakową konsternacją.

- Ale Zuza... - zaczął Maurycy.

- No, oddaj jej to, mówię - powtórzyła Zuzanna stanowczym głosem. - Jesteście u mnie w domu czy nie? - Wyprostowała się. Dopiero teraz Maurycy zobaczył, że dziewczyna trzyma w ręce niewielką, ciemnozieloną książkę. Na jej grzbiecie błyszcząły złote litery, układające się w tytuł: *Legendy Warszawskie*. - Naprawdę, jak dzieci - westchnęła Zuzanna, gdy Maurycy sięgnął do kieszeni.

Otworzyła książkę i zaczęła czytać, śliniąc co jakiś czas palec przed przerezczeniem kolejnej strony. Maurycy w tym czasie zmierzył wzrokiem Anne, która uśmiechnęła się do niego drapieźnie. Zmorak pokręcił głową i po kolei zaczął wyciągać z magazynku naboje. Anne uniosła najpierw brwi, zdziwiona, a następnie zmarszczyła gniewnie nos.

- O, mam! - zawołała nagle Zuzanna. - Słuchajcie, wiedziałam, że skądś kojarzę to nazwisko. Aleksander Bartenjew był kochankiem aktorki Marii Wisnowskiej. To

właśnie on ją zastrzelił w nocy z trzydziestego czerwca na pierwszego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku w kamienicy przy Nowogrodzkiej czternaście tu, w Warszawie. Bartenjew wynajmował tam na parterze niewielkie mieszkanie na schadzki. Był oficerem gwardii cesarskiej, stacjonował w Cytadeli Warszawskiej. Sprawa zabójstwa była bardzo głośna w tamtym czasie. Odbył się proces, po którym Bartenjewa skazano na osiem lat ciężkich robót na Syberii - czytała Zuzanna. Maurycy wyciągnął ostatni nabój i uśmiechnął się do Zmoraczki. Podeszedł do niej i podał dziewczynie po kolei: najpierw magazynek, a potem naboje, zawinięte w chusteczkę higieniczną. - Podobno ułaskawił go sam car - czytała dalej Zuzanna - po mieście chodziły pogłoski, że potem aż do lat dwudziestych widywano dziwnego włóczęgę, który przychodził na grób Marii Wisnowskiej na Powązki. Podobno przychodził z przytułku na Dzikiej, zwanego Cyrkiem. Potem pewnego dnia znaleźli go martwego. Miał przy sobie dokumenty wystawione na nazwisko Bartenjew. A w mieszkaniu na Nowogrodzkiej czternaście ponoć duch Marii Wisnowskiej straszy do dziś. - Zuzanna zatrzasnęła książkę i uniosła głowę, akurat żeby zobaczyć, jak Anne Olsson obraca się na pięcie i wychodzi z mieszkania.

- Co jest? - zapytała Zuzanna. Zza ramy lustra rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych. Flap wyjrzał ponad ramą, a potem zaczął spokojnie czyścić futerko. - O co jej chodzi?

- Anne jest... trochę niezwykła - odparł Maurycy, wpatrując się w drzwi. Otrząsnął się i odwrócił się do Zuzanny. Napotkał zdziwione spojrzenie jej dużych, zielonych oczu.

- No, to widzę - przyznała. - Czymś ją uraziłam? Przecież starałam się czytać po niemiecku...

- Nie o to chodzi, Zuza. Anne jest Zmorakiem - tłumaczył - ale nieco innym Zmorakiem niż ja. Powiedzmy, że jej szkolenie potoczyło się w pewnych momentach nieco inaczej, co pozostawiło trwałe ślady w jej psychice, szczególnie w zakresie zdolności do kontrolowania emocji. No i naturalnie ma dość wybuchowy charakter, co również nie pomaga. - Wzruszył ramionami. - Ale jako Zmorak jest skuteczna, piekielnie skuteczna, więc wszyscy przymykają oko na jej dziwactwa.

- Rozumiem.

- To dobrze. - Maurycy uśmiechnął się do niej. - Naprawdę nie powinnaś czuć się winna jej zachowania. Ona po prostu taka jest. Jeśli ktokolwiek może się czuć tutaj winny, to jest to Flap. - Kiwnął głową w stronę kota, który właśnie spokojnie czyścił sobie spodnią stronę łapki. - Ale on jest kotem, więc chyba się tym nie przejmie.

- Pewnie nie - zachichotała Zuzanna. - Szkoda, a chciałam zrobić herbatę. Mam taką nową z dobrej herbaciarni, ciekawa mieszanka rooibos...

- Ja się chętnie napiję - odparł Maurycy.

Zuzanna urwała z rozchyłonymi ustami. Na jej twarzy przez ułamek sekundy odmalowało się zaskoczenie, ale

zaraz uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Zaraz zrobię - powiedziała i skierowała się do ramy wejściowej.

- Pomogę ci - zaproponował Maurycy. Zuzanna uśmiechnęła się w odpowiedzi i wyszła przez ramę.

- Maria Wisnowska - powtórzył Maurycy, zalewając czajniczek wrzątkiem. W kuchni rozszedł się intensywny, ziołowy zapach z delikatną nutką suszonej śliwki. - Dlaczego nie kojarzę tego nazwiska? Mówisz, że była sławną aktorką? Jakoś nigdy o niej nie słyszałem.

- W drugiej połowie dziewiętnastego wieku nie było w Warszawie sławniejszej artystki - odparła Zuzanna - no, może poza Modrzejewską. Ale ona była daleko, po drugiej stronie oceanu i dużo starsza od Marii. A Wisnowska była młoda, piękna i miała w sobie to coś... Wiesz, że podobno szokowała widzów tym, że pokazywała na scenie nagie ramiona i łydki? Wtedy to były czasy, co? Jak aktorka pokazała łydkę, to wszyscy ciągnęli do teatru zobaczyć to cudo natury. A teraz? Nawet jak gwiazda pokaże nagi biust do zdjęcia, to co najwyżej przez chwilę będzie na czołówkach kilku internetowych portali. Widzisz, niektóre kobiety mają w sobie pewien magnes, który działa nie tylko na mężczyzn. - Spojrzała na Maurycego. - Myślisz, że na spektakle Wisnowskiej chodzili tylko młodzi mężczyźni? To był wtedy taki cichy sposób na emancypację, innego jeszcze

nie wynaleziono. Ciekawe, że teraz nawet gołe piersi idealnie zrobionej gwiazdy nie są w stanie przyciągnąć ludzi do kultury, a wtedy wystarczyła jedna łydka, prawda, że bardzo zgrabna i zapewne nieziemsko piękna, ale wciąż łydka - westchnęła Zuzanna i kontynuowała po chwili: - podobno Wisnowska zawsze powtarzała, że Modrzejewska była dla niej wzorem. Ponoć nawet chciała wyjechać do Stanów. Miała o tym powiedzieć Bartenjewowi, zanim ten ją zabił. Podobno chciała z nim zerwać i wtedy on ją zastrzelił - powiedziała.

Maurycy od niechcienia klepnął dłonią w belkę uwieszoną pomiędzy ścianami pomieszczenia. Zwisały z niej różne suszone zioła i trochę owoców, głównie winogrona. Zuzanna przełożyła czajniczek na tacę i obróciła się do Zmoraka.

- Przejdziemy do salonu? - zapytała.

- Daj. - Maurycy odebrał tacę i wyszedł z kuchni. - No, zmykaj Flip - powiedział do kota, który leniwie odsunął się ze środka korytarza, gdzie wylegiwał się aż do momentu, kiedy to stopa Zmoraka znalazła się na jego grzbiecie.

- Dzięki - odparła Zuzanna. - Naprawdę nie słyszałeś o Wisnowskiej?

- Jak tak teraz opowiadasz, to może gdzieś o niej czytałem - zastanowił się, przekraczając ramę lustra. - I co, myślisz, że to ten carski żołnierz, którego wykurzyłem z Daru Młodzieży? - Porcelana brzęknęła, gdy odstawił tacę na stół. - Ten nasz dżin z mosiężnej lampy?

- Nie wiem, czy to ten - odparła Zuzanna po chwili - ale nazywa się tak samo i również jest oficerem carskiego wojska sprzed pierwszej wojny, z tego co mówiłeś. A jeśli to rzeczywiście on, to zapewne umarł w Warszawie, jeśli wierzyć legendzie.

- A w takim wypadku powinien ciągle tu być - dokończył Maurycy, opadając na niski, szeroki fotel. Sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. - A na pewno nie powinien sobie żerować na żywych, albo raczej półżywych młodych żeglarzach, walczących z chorobą morską na polskim żaglowcu o sto lat od niego młodszym - westchnął Maurycy. - Ty wiesz, co to jest za udręka, taki rejs? Coś okropnego. Nic tylko człowiek ciągle się zastanawia, dlaczego jeszcze nie umarł. Całą siłę woli skupia na tym, żeby się nie wywrócić. Do tego jest zimno i pada. Nie polecam.

Zuzanna nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się pod nosem. Uniosła dzbanek i powoli napełniła dwie porcelanowe filiżanki. Para uniosła się z nich aksamitną spiralą. Zapach rooibosa zastąpił znienawidzone przez Maurycego goździki.

- Czyli mówisz, że on zabił Wisnowską? - zapytał Maurycy.

Zuzanna wzięła filiżankę i wciągnęła w nozdrza owocową woń herbaty.

- Tak - odparła po chwili. - Różnie o niej piszą, wiesz, w Warszawie, ba, w całej Polsce, a zapewne i w wielu miejscach w Rosyjskim Imperium mówiono wtedy tylko

o tym zabójstwie. W końcu Bartenjewa podobno ułaskawił sam car. – Odstawiła filiżankę na stół i usiadła w fotelu obok Zmoraka. – Musiała to być duża sprawa. Zakładam, że car Imperium Rosyjskiego nie zajmował się wszystkimi sprawami romansów podrzędnych oficerów z aktorkami w rozmaitych prowincjach Cesarstwa.

– Pewnie nie – mruknął Maurycy i pociągnął łyk herbaty. – Bardzo dobra. Jak zawsze.

– Dziękuję – odparła Zuzanna.

Maurycy uśmiechnął się do niej i zagłębił w drętym rozmyślanu. Siedzieli w milczeniu, popijając herbatę. Najpierw jeden, a potem drugi kot wkroczyły do pokoju i usadowiły się powoli i delikatnie na kolanach Zuzanny.

Skoro ten saiva, ruski oficer, zmarł w Warszawie, to musiał mieć jakiś interes w powrocie do miasta. A skoro Maurycy miał teraz to, co najprawdopodobniej było nośnikiem jego świadomości, to facet prawie na pewno przebywał teraz w mieście. Odpowiedź na pytanie, dlaczego nie wracał do nośnika, zostawił sobie na później. Ważniejsze, gdzie teraz znajdował się oficer.

– Mówisz, że widywano go w Warszawie później, po zabójstwie? – zapytał wpatrzony w okno, na którym widniał odcisk dłoni.

Za szybą na moment pojawiła się wykrzywiona bólem twarz, łypnęła na Maurycyego jednym okiem i znikła. Zmorak westchnął. Ciągle chcą się dostać do Zuzanny. Nie wiedział dlaczego, ale dziewczyna przyciągała do siebie saiwów jak magnes. Miała w sobie takie coś, że zmarli

chcieli przebywać obok niej. Czasem to się zdarzało. Opowiadali mu chyba na jakimś szkoleniu. Czasem ludzie z tego rodzaju zdolnościami zostawali Zmorakami, rekrutowani przez Konsylium Kruków. Zmoraków generalnie nie było zbyt wielu, a jak już rekrutowano, to małe dzieci. Dorośli czy młodzież byli już za starzy, żeby przejść całe szkolenie. Także najczęściej ludzie tacy jak Zuzanna po prostu przedwcześnie umierali. I nie chodziło wcale o to, że saivowie, którzy lgnęli do nich jak muchy do brzoskwiń, robili im jakąś krzywdę, nie... Najczęściej w ogóle nie byli zainteresowani nawet ich energią życiową, nic z tych rzeczy. Po prostu byli w pobliżu. Cały czas. Dzień i noc. Ciągle, kilka metrów od nich. Większość ludzi w końcu strzelała sobie w łeb, skakała z mostu albo rzucała się pod pociąg. Albo pod metro. Szczególnie że nagromadzenia saiwów najczęściej zdarzały się w dużych miastach. Zuzanna, choć sprawiała wrażenie delikatnej, wrażliwej dziewczyny, była twarda. Widział to. Inaczej już dawno skończyłaby pod kołami metra. Mieszkała w Warszawie. Miała tę możliwość. Metro daje wiele możliwości.

- Tak - odparła powoli Zuzanna. Również zauważyła zmarłego za szybą. - Ale dużo później, po wojnie. Po pierwszej wojnie. Podobno zmarł w latach dwudziestych.

- I gdzie go widywano? - zapytał.

- No, przy grobie Marii - odparła dziewczyna. - To znaczy w tamtym momencie ludzie nie wiedzieli, że to on. Do dzisiaj do końca tego nie wiadomo. Znaleźli te

dokumenty, ale nie udało się potwierdzić, że chodziło o tego samego Bartenjewa. Ot, jakiś włóczęga szlajał się po Powązkach, wtedy nie było to nic dziwnego. Szczególnie, że Cyrk był dość blisko.

- Jaki Cyrk?

- Taki przytułek - odparła. - Dziś to byłaby jakaś noclegownia dla bezdomnych. Na Dzikiej. Niedaleko Powązek.

- To skąd pomyśł, że to był Bartenjew?

- Jak zmarł, to znaleźli przy nim stare dokumenty wystawione na nazwisko Aleksander Bartenjew, mówiłam.

Maurycy pokiwał w zadumie głową.

- Dobra, chodźmy tam - powiedział.

- Ale gdzie?

- Na Powązki.

- Co?

- Chcesz iść ze mną? - Zmorak wypił kolejny łyk herbaty. - Dopijemy i pójdziemy, co?

- Chcę, znaczy nie wiem... - wahała się dziewczyna. - Ale tak w dzień? Polować na saivę? Na ducha? To nie trzeba w nocy?

- A kto ci takich głupot naopowiadał?

- No wiesz, na duchy z reguły poluje się, jak jest ciemno. Najlepiej przy pełni księżyca.

- To chyba na wilkołaki. - Zmorak wzruszył ramionami.

- Po pierwsze, to nie duch, tylko saiva. Człowiek, można powiedzieć. Tylko nieżywy. A odnośnie nocy, to myślisz, że saivowie w dzień śpią? - zapytał. - Sama dobrze wiesz, że

łazą po ulicach wtedy, kiedy chcą. Słońce ich raczej nie spali jak wampirów na filmach.

- Niby tak... Ale nie będę ci przeszkadzać? No wiesz, ja się na tym nie znam i...

Maurycy machnął ręką.

- Facet nie jest agresywny - odparł. - A z tego, co opowiadasz, to pewnie typ romantyka. Raczej nie będzie groźny. A przeszkadzać mi nie będziesz. Powiem ci, co masz robić. - Uniósł filiżankę. - To idziesz?

Dziewczyna otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zawahała się. Sięgnęła po dzbanek i dołała herbaty. Chwyciła filiżankę i zapatrzyła się w wonną parę unoszącą się z czerwonej cieczy. Upiła łyk gorącej herbaty.

- Pójdę - zdecydowała.

- Dzielna dziewczynka. - Uśmiechnął się Maurycy.

- A... A ta twoja koleżanka, jak ona się nazywała...

- Anne?

- Tak. - Zuzanna kiwnęła głową. Kosmyk włosów przesłonił jej jedno oko. - Co z nią? Zna Warszawę?

Maurycy zaśmiał się.

- Poradzi sobie - odparł. - Zresztą jesteśmy umówieni na zlecenie w Edenie, tam się spotkamy.

- Kolejne zlecenie?

- Ano kolejne. - Zmorak wzruszył ramionami. - Robota jak robota. - Zaciągnął się zapachem herbaty. Przynajmniej nie czuć tych pieprzonych goździków.

Anne Olsson wyszła na ulicę. Nawet szczególnie nie zdziwiło ją to, że wyszła w zupełnie innym miejscu, niż weszła. Nie znała zbyt dobrze Warszawy, właściwie to w ogóle jej nie znała, była tu wcześniej raptem dwa razy. Zdołała jednak zapamiętać otoczenie przed wejściem do kamienicy koleżanki Maurycego na tyle dobrze, że teraz nie poznawała ulicy, na której się znalazła. Nie było tu żadnego rycerza. Nie było też śladu kota, który próbowałby wydrapywać figurze oczy z ciemnej szczeliny w rzeźbionym hełmie. Nie było małego placu otoczonego przez czteropiętrowe kamienice w renesansowym stylu. A może barokowym? Anne nie rozpoznawała dobrze stylów architektonicznych. W Szwecji nie było tego rodzaju architektury, ale znała ją dobrze ze wschodnich części Niemiec, w których z racji na zawodową przynależność do Narodu Niemieckiego, germańskiej gałęzi Konsylium Kruków, siłą rzeczy musiała często bywać. Anne dobrze pamiętała pogardliwe odpowiedzi niemieckich kolegów, a nawet samych Kruków, na pytania o te budynki, oglądane na ulicach Drezna czy Lipska. Socrealizm, odpowiadali, krzywiąc usta. Lub dzioby. Bezkształtne bloki z betonu wyrosłe w miejscach obróconych w pył przez alianckie bomby.

Wszędzie ta wojna, myślała Anne. Czy nie ma miejsca na tym pieprzonym kontynencie, gdzie prężenie mięśni przez najsilniejsze penisy tego świata nie odcisnęło trwałego śladu, przynajmniej w psychice ludzi, a z reguły również w otoczeniu? Niemcy - wojna, poczucie winy,

ostrożność w wysławianiu się, ledwie przykrywająca wrodzoną dumę z wyższości nad innymi. Francja - poczucie wyższości pobite wielokrotnie i wdeptane w pył, ale ponownie wywyższone, tym razem jednak nie w fizycznej sile i stali, ale duchu i świadomości. Anglia - zwycięzcy przytłoczeni świadomością szczęścia i zbiegu okoliczności, które wyniosły ich na wyżyny zwycięstwa. Norwegia - pobici, ale nie do końca uczestniczący w całym procederze, nobilitujący się wśród pozostałych Skandynawów zajęciem własnego terytorium przez totalitarny reżim. Finlandia - aspirująca Skandynawia, która Skandynawią nie jest i na pozór nie chce być, dumna ze swojego racjonalizmu i heroicznego, absurdalnego bohaterstwa. Polska - pobici i stłamszeni, dumni zwycięstwem, które nie było ich udziałem, ale ich zasługą. Rosja - Wszechruś triumfująca i zwyciężona zarazem. Czechy - zduszony w zarodku pod butem racjonalizmu heroizm, który pali w pięty. Słowacja - mali, ale wielcy, przeszli góry dla zyskania chwały. Węgrzy - dumni zwyciężeni, wiecznie zwycięzcy.

Polska.

Warszawa.

Tak, to jest Polska, ponad wszelką wątpliwość, myślała Zmoraczka. To jest Polska, kraj wojną i krwią płynący, w którym spełniają się marzenia, a sny są urzeczywistnieniem najskrytszych dążeń wywlekanych na światło dzienne w przestrzeni należącej do bliźnich.

Anne rozejrzała się. Na kremowej płycie pobliskiego, czteropiętrowego bloku wisiała niebieska tabliczka

z czerwonym paskiem u dołu. Podeszła bliżej. Znała trochę polski, nie za dobrze, ale na tyle, żeby się porozumieć. Każdy Zmorak musiał znać w podstawowym zakresie główne języki funkcjonujące w Europie tak, aby mógł się porozumieć w każdym miejscu na starym kontynencie bez wzbudzania zbędnych podejrzeń.

Ulica Franciszkańska. A pod spodem numer: 7B. Nic jej to nie mówiło. Chodnikiem po drugiej stronie jezdni szedł jakiś mężczyzna. Nie spieszył się. Raczej powłóczył nogami, stopa za stopą. Miał na sobie niebieskie jeansy i flanelową koszulę. Pod pachą tulił jakąś teczkę. Wyglądał na studenta. Czarne włosy były ewidentnie przetłuszczzone, a grzebienia nie widziały zapewne od kilku dni. Mężczyzna nie należał do przystojnych. Był brzydki.

Anne pewnym krokiem przekroczyła jezdnię i podeszła do studenta. Mężczyzna nieco spłoszył się nagłym zainteresowaniem jego osobą ze strony obcej, ale za to bardzo atrakcyjnej blondynki. Spojrzał na nią przerażony, jakby zobaczył ducha.

- Ulica Nowogrodzka czternaście - powiedziała dziewczyna. - Gdzie to jest? - dodała z ostrym akcentem. Facet zamrugał i cofnął się o krok. - Ulica Nowogrodzka czternaście... - powtórzyła cierpliwie.

- Sły... Słyszałem - wydukał. - To nie tu - powiedział po chwili, gdy dodała mu odwagi jednym ze swoich promiennych, rozbijających w jej opinii, uśmiechów. - To w Śródmieściu - wyjaśnił już składniej. - Najlepiej, jak pani pójdzie tam - wskazał w dół ulicy. Płynnie przerzucił się na

angielski, najwyraźniej przypuszczając, że ma do czynienia z turystką. - Tam będą tramwaje, na ulicy Andersa. - Niemal przeliterował nazwę ulicy, jakby stanowiła niezwykle skomplikowane, słowiańskie słowo. - Wsiądzie pani w jakikolwiek, piętnastkę, trzydziestkę piątkę, osiemnastkę chyba też - dodał po chwili namysłu. - Wsiądzie pani na przystanku Centrum i tam będzie Nowogrodzka. - Znow to literowanie ulicy.

- Dziękuję - odparła Anne po polsku.

Student zająknął się, widząc, że anioł zamierza odejść, po czym dodał:

- Wie pani jak kupić bilet? - zapytał. Oczywiście po angielsku.

- Tak, poradzę sobie - odparła znow po polsku. - Dziękuję. - Odeszła bez słowa, pozostawiając biednego, przyszczatego studenta oniemiałego pośrodku chodnika.

Nowogrodzka czternaście, powtarzała w myślach, kiedy szła w kierunku Muranowa.

- Następny przystanek: Centrum - oznajmił głos w wagonie tramwaju. - *Next stop: Centrum, convenient change to suburban and longdistance trains*¹ - dodał drugi głos, wyraźnie młodszy.

Anne Olsson uśmiechnęła się pod nosem, chwytając za poręcz przy drzwiach. Rozejrzała się jeszcze raz po nowoczesnym wagonie. Rozwijają się chłopaki, pomyślała.

Odkąd była w Warszawie ostatni raz, wiele się zmieniło. Nawet tramwaje nauczyły się mówić po angielsku. I z wagonów nie trzeba zeskakiwać po schodkach na nierówny chodnik. Wcisnęła przycisk, który zmienił podświetlenie z czerwonego na zielony i wyszła na równiutką, dwukolorową nawierzchnię przystanku. Rozejrzała się naokoło. I szarpnęła się w bok, potrącona w ramię przez bezwzględną staruszkę, która mamrocząc pod nosem, zniknęła w tłumie na schodach do przejścia podziemnego.

No tak, niektóre rzeczy się nie zmieniają. Ale za to wszystko kiedyś umiera. Uśmiechnęła się pod nosem. Zeszła do przejścia podziemnego. Śwąd spalonych frytek, smażonego mięsa i niemytych ciał uderzył ją w nozdrza. Ludzie płynęli pośród tego smrodu przeciwbieżnymi strumieniami: eleganckie kobiety w drogich ubraniach zdawały się przemierzać korytarz w środowiskoodpornych, niewidzialnych bąblach powietrza, mężczyźni, którzy im towarzyszyli, lub oglądali się tęsknie za ich nogami i innymi częściami ciała, staruszki wpatrzone w chodnik pod stopami oraz studenci. Ci ostatni wyglądali podobnie niezależnie od płci. Naturalnie, nie w sensie organoleptyczno-płciowym. Raczej było w nich, w dziewczynach i chłopakach, w młodych kobietach i mężczyznach, coś takiego, co sprawiało, że człowiek wiedział, że te osoby są w jakiś sposób związane wspólnym losem. Patrzyli na świat z nadzieją i z wyrzutem. To oni go zmieniają. Już nie będzie taki sam, myśleli. Już nie.

W korytarzu byli też oczywiście inni ludzie. Przedstawiciele gatunków mieszanych, w stylu eleganckich studentek, które wyglądały, jakby poszukiwały sponsora. A może po prostu ładnie się ubierały? Anne nie była zbyt tolerancyjna w tych kwestiach. Sama preferowała skórzane kurtki i długie spodnie, chociaż dobrze sobie zdawała sprawę ze swojej atrakcyjności. Wiedziała, jak działa na mężczyzn: niewysoka, zgrabna blondynka o ślicznej twarzy szwedzkiej modelki. Może to dlatego tym bardziej nie tolerowała kobiet, które pozbawione naturalnego uroku albo obdarzone nim w sposób, w ich opinii, niedostateczny, musiały go sobie dodawać, obnażając skórę lub uwypuklając kształty bez kątów. Nie wiedziała tego i w tym momencie nie chciała się nad tym zastanawiać. W tym momencie miała coś do zrobienia.

Spłynęła ze schodów prosto w lepki, rozemocjonowany smród miasta. Rozpięła kurtkę na piersi.

- Nowogrodzka? - zaczęła jednego z płynących studentów. Obdarzyła go jednym z uśmiechów, który wiele obiecywał, ale nic nie dawał. Chłopak zatrzymał się i wgapił w jej biust. Odchrząknęła. - Nowogrodzka *street*²? - powtórzyła pytanie.

Student otrząsnął się i spojrzał jej w oczy.

- Eeee... - wydukał.

- *I am looking for*³... - zaczęła ponownie.

- *Yes, yes...* - zaskoczył student. - *You need to go there*

- odparł nienaganną angielszczyzną i machnął ręką w kierunku bocznego korytarza - *up to the end and up the*

stairs, on the other side of the street. Then go straight, having Marszałkowska street on your right hand and there you will find Nowogrodzka street on your left hand side⁴.

- *Thanks⁵* - uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- *I can show you the way...⁶* - spróbował chłopak.

- *No⁷* - odparła po prostu, po czym szybkim krokiem odeszła we wskazanym kierunku.

Stoi tam i gapi się na mój tyłek, myślała Anne. Zaraz zaskoczy i pomyśli, czy nie pobiec za mną. Przecież się nim zainteresowałam, a to się często nie zdarza, prawda? Żeby kobieta się nim sama z siebie zainteresowała. Anne знаła takich. I nawet ich lubiła.

Wbiegła po schodach i wypłynęła na powierzchnię, prosto w szum i zgrzyt Warszawy. Zmrużyła oczy od słońca. Marszałkowska po prawej, powtórzyła w myślach i ruszyła szybkim krokiem.

Nowogrodzka czternaście, przeczytała napis na tabliczce adresowej na odrapanej, brudnożółtej ścianie zapuszczonej kamienicy. Okna na parterze były częściowo wybite i zabite deskami. Dobre miejsce, pomyślała. Spojrzała na popękane drzwi. Złapała za klamkę, bez większej nadziei. Zamknięte. Oczywiście. Zrezygnowana kopnęła w drzwi. A te ustąpiły ze skrzypieniem na kilka centymetrów do środka. No bez jaj, pomyślała i pchnęła drzwi. Szpara się powiększyła. Jeszcze jedno pchnięcie i... rozejrzała się konspiracyjnie, a następnie wcisnęła do środka.

Wnętrze budynku nie różniło się zbyt od przeciętnego wnętrza starej, dziewiętnastowiecznej kamienicy. Anne Olsson dobrze znała ten rodzaj budownictwa. Saivowie lubili takie środowisko: mnóstwo staroci, wszędzie potencjalne nośniki i bardzo często cisza i spokój, nawet w środku miasta. Nurt współczesnego życia często opływał te zapomniane wyspy starości jak potok zmurszały kamień, który ktoś wrzucił w jego wody dawno, dawno temu.

Anne znała ten model z Niemiec, ale nie sądziła, że istnieje on również tutaj: miasta zburzone i odbudowane, a wśród nowej tkanki miejskiej, bądź to o wyglądzie bardziej współczesnym, czasem w szacie paskudnego socrealizmu, bądź odbudowane w dawnym stylu, jakby architekci projektowali odbudowę na podstawie starych zdjęć, wśród tej całej nowoczesności stały one – stare kamienice. Anne sądziła, że w Warszawie nie ma takich miejsc. Myślała podobnie jak wielu odwiedzających, że powiedzenie, że Warszawa to miasto, które zginęło i powstało znów, niczym feniks z popiołów, dotyczyło absolutnie całej zabudowy.

Pociągnęła nosem. Poczowała zgniły zapach kurzu i zmurszałego drewna. Gdzieś u góry skrzypnęła deska. Przed sobą, w przytłumionym świetle dnia, przepuszczanym przez zabite deskami okna, widziała schody o wyslizganych, drewnianych stopniach. Tak, ten budynek z pewnością stał tu przed wojną i po niej, i to zarówno tej pierwszej, jak i tej drugiej. A także, zapewne wszystkich, które mogły mieć

miejsce po drodze. Pamiętała ludzi ze wschodu i z zachodu. Pamiętała dawny świat, kumulowała wspomnienia pokoleń, które wsiąkały w te mury przez ponad wiek.

A także z pewnością nosiła w sobie cząstkę świadomości jakiejś osoby, niewykluczone, że takiej osoby, która zamieniła się po śmierci w saivę. W końcu czemuż by nie? Saivowie powstają w dużo bardziej absurdalnych okolicznościach.

Anne uśmiechnęła się na wspomnienie niemieckiego junkra z dawnych Prus, którego jakoś na początku swojej kariery miała ekstrahować z mazurskiej posiadłości, zajętej przez polskich kolonistów. Nie byłoby w tej historii absolutnie nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że saiva ów powstał po śmierci spowodowanej nagłym zatrzymaniem krążenia w wychodku, na tyłach posiadłości. Z jakiegoś kompletnie niezrozumiałego powodu, zwanego przez niektórych ironią losu, junkier przywiązał się do miejsca śmierci i wychodek, zwykły drewniany sracz, stał się nośnikiem jego świadomości.

Naturalnie gdy Anne wykonywała tamto zlecenie, wychodek już dawno nie istniał. Saiva jednak i owszem i dość nachalnie przeszkadzał w realizacji pomysłów inwestycyjnych nowych właścicieli posiadłości. Nijak nie dało się postawić domku gościnnego w miejscu dawnego wychodka. Coś zawsze szło nie tak, a to nagły pożar na budowie, a to ekipa robotników wzięła pieniądze i więcej się nie pojawiła, a to belka spadła komuś na głowę i na miejscu pojawił się prokurator... Same nieszczęścia.

Konsylium wezwało Anne, bo dostało zlecenie na ekstrakcję saivy zatwierdzone przez komitet do spraw zachowania Równowagi. Olsson niespecjalnie interesowało to, czy ekstrakcja ma sens w kontekście Równowagi. Znacznie bardziej interesował ją sam fakt ekstrakcji lub eliminacji, w przypadkach ekstremalnych, ale jednocześnie najbardziej przez Zmoraczkę lubianych. Wtedy jednak, na Mazurach, wykonywała zlecenie wspólnie z Maurycym. A Wielowieyski przywiązywał do Równowagi bardzo dużą wagę, pewnie przez to spaczenie spowodowane szkoleniem u tego starego dziwaka Radiana Pardne'a.

Nie podobało jej się to, ale nie mogła go jednocześnie kompletnie zignorować. Był jej potrzebny. I to nie tylko do wykonania zlecenia, które wymagało zarówno wiedzy i znajomości lokalnego języka, jak i dobrego rozeznania w germańskich dialektach i starym piśmie. W końcu należało jakoś się dowiedzieć, że w całej sprawie chodziło o cholerny sracz. A następnie spróbować prześledzić jego losy, żeby wywabić saivę. Zabawne, jak niewiele wiemy o pochodzeniu niektórych przedmiotów. Może się na przykład okazać, że nabyta za grube pieniądze w antykwariacie starodawna, drewniana rama do obrazu jest w istocie sklecona z nie aż tak starodawnych desek od farmerskiego, pruskiego kibla polowego.

Maurycy był jej jednak potrzebny wtedy, bo tworzyli parę.

Zmarszczyła brwi na to wspomnienie. A następnie charknęła głośno i całkiem nie po damsku oraz splunęła

prosto na próg drzwi po prawej stronie od wejścia, obok schodów prowadzących na piętro. Rozejrzała się ostrożnie. Nie wyczuwała żadnych saivów ani zmor. Ale nie była też żadnym pieprzonym łowcą potworów, żeby mogła ich jakoś szczególnie wyczuć. Chodziło raczej o ten specyficzny rodzaj przecucia, graniczący z szóstym zmysłem. Jak uczucie czyjś wzroku na karku. Niby nikogo nie widać ani nie słyhać, ale jednak wiesz, że ktoś tam jest.

Zmoracy nie mieli jakichś szczególnych umiejętności ani mocy. Ich zmysły były po prostu nieco bardziej wyczulone na odbieranie sygnałów wysyłanych przez saivów niż zmysły przeciętnych ludzi, czyli mniej więcej dziewięćdziesięciu dziewięciu procent populacji. Resztę robiło wyszkolenie i sprzęt.

Ten pozostały jeden procent populacji po prostu widział saivów i tyle. Większość z nich kończyła jednak w zakładach psychiatrycznych albo w przedwczesnym grobie. Widywanie zmarłych na ulicach nie jest specjalnie przyjemną rzeczą, jeśli nie wiadomo, jak sobie z tym poradzić. Wielu odbierało sobie życie. Byli naturalnie jeszcze szamani, były jarugi i inne czarownice, którzy zwyczajowo zajmowały się zmarłymi na wsiach i gdzieś na odległym i śmierdzącym końskim nawozem zadupiu. Ale to przeżytek. Prędzej czy później wymrą. Albo zastąpią ich profesjonalnie wyszkoleni Zmoracy z profesjonalnym sprzętem, albo zwyczajnie zabraknie nowych zmarłych do opieki, bo wszyscy wyjadą do miast.

Głupstwo. Anne zakończyła rozmyślenia i obejrzała się przez ramię. Za nią znajdowało się jeszcze dwoje drzwi. Wszystkie na pierwszy rzut oka dość solidnie zabite deskami lub obwiązane łańcuchem. Przecież nie będzie się siłować. Musiałyby znaleźć jakiś łom. A chciała tylko sprawdzić, może trochę się rozejrzeć. Miała jakieś przeczucie, że to, co gadała ta młoda foczka Maurycego, może mieć jakieś znaczenie w tej całej poronionej sprawie, w którą wplątały ją Kruki. Ale przecież jej zlecenie polegało na pogonieniu przebierańców z Edenu, więc nie zamierzała dla jakiegoś durnego przeczucia rozbijać się z łodem po obcym mieście i forsować drzwi do mieszkań w zabytkowych kamienicach.

Obróciła się na pięcie i już chciała wyjść, gdy rozległ się zgrzyt. Błyskawicznie wyciągnęła pistolet. Nie wiadomo z jakiego powodu, czy to przez przeciąg, który ciągnął od dziurawych okien, czy za inną przyczyną, ale drzwi, pod które wcześniej splunęła, uchyliły się nieco. Wąska strużka światła, zapewne wpadająca przez okna w mieszkaniu, przecięła podłogę pod stopami Zmoraczki.

- No i ciekawa sprawa - mruknęła Anne pod nosem i pchnęła drzwi, opierając pistolet na lewej dłoni.

Pokój był ciemny i duszny. Zatechły zapach starych mebli i spleśniałych dywanów wypełniał nieruchome powietrze. Drobinki kurzu tańczyły w promieniach słońca, które przeciskały się między deskami przybitymi na oknach.

Zmoraczka zrobiła pierwszy, ostrożny krok do wnętrza pomieszczenia. Klepka w podłodze zaskrzypiała ostrzegawczo. Anne odskoczyła miękko pod ścianę. Znieruchomiała na moment, nasłuchując. Nie rozległ się jednak żaden dźwięk, który mogłaby uznać za podejrzany. Zza zabitych okien dobiegał cichy pomruk pobliskiej ulicy. Czasem rozległ się głośniejszy szum, gdy jakiś samochód przejechał pod oknem. Gdzieś wyżej ćwierkały ptaki. W ścianie pomieszczenia ledwie dosłyszalnie baraszkowała mysz, chrupiąc i chrobocząc.

Anne opuściła broń i powoli, plecami do ściany, ruszyła dalej wąskim korytarzem. Gdzieniegdzie białe splachetki starej tapety zwisały smętnie, jakby zrezygnowane w czekaniu na zbawienne podklejenie. Przez któreś z rozbitych okien wpadł podmuch wiatru i zakołował drobkami kurzu, tworząc w jaskrawym świetle miniaturową trąbę powietrzną.

Po kilku metrach natknęła się na pierwsze pomieszczenie. Drzwi wisiały krzywo na zawiasach, zasłaniając wnętrze. Anne już chciała iść dalej, ale przyszło jej do głowy, że cokolwiek tu jest, nie powinna odcinać sobie drogi odwrotu do drzwi. Nie miała tylko do końca pewności, co to jest. Saiva, zmora, a może po prostu siła wspomnień nagromadzonych w ścianach. Anne nie wiedziała nawet, czy to jest to mieszkanie, w którym dokonano tego, absurdalnego jej zdaniem, miłosnego morderstwa.

Ludzie byli kiedyś bardziej uczuciowi, pomyślała wcześniej, idąc od ulicy Marszałkowskiej. Bardziej się ekscytowali drobnymi sprawami. Sama nie była wzorem opanowania, ale zawsze starała się kierować gniew w odpowiednią stronę i nigdy nie podejmowała decyzji, których mogłaby później żałować. Czasem przychodziła jej do głowy myśl, że nie żałuje swoich decyzji, dlatego że nie dopuszcza do głosu sumienia. Zaraz jednak stłamsiła tę podpowiedź i wepchnęła ją z powrotem do szafy, owijając drzwi grubym łańcuchem.

Długim krokiem, omijając podejrzane klepki na środku korytarza, Anne zbliżyła się do połamanych drzwi. Ostrożnie zajrzała do środka. Zobaczyła wąskie pomieszczenie. Pod ścianą stało łóżko. Z materaca wystawały sprężyny. Na suficie wisiał brudny żyrandol z abażurem, którego materiał wydawał się całkiem szary. Anne ledwo dostrzegła szczegóły pokoju. Okno było tutaj bardzo szczelnie zabite deskami i jedyne światło wpadało z korytarza. Kobieta rozejrzała się jeszcze raz po pokoju. Nie zauważyła niczego podejrzanego. Ani na podłodze, ani na ścianach nie dostrzegła śladu świadomości, srebrnej galaretki, czepiającej się wszystkich elementów, po których poruszał się saiva lub powstała z niego zmora. Anne wychowała się na ogólnie pojętym Zachodzie w czasie powszechnej popkultury. Pojęcie ektoplazmy nie było jej więc obce. Dobrze wiedziała jednak, że to określenie kompletnie nie ma związku z rzeczywistością. Ektoplazma, tak samo jak duchy czy zjawy, nie istnieją. Byli saivowie,

owszem, ale z zasady nie należą do istot nadprzyrodzonych ani pochodzących z innych światów czy wymiarów. To byli tacy sami ludzie jak wszyscy inni, tylko że martwi i z jakiegoś powodu żyjący dalej po śmierci swoich ciał w postaci czystej świadomości, która lepiła się do wszystkich znanych i tych mniej znanych przedmiotów na ich drodze jak ślimaczy śluz. Prawdopodobnie dlatego, jak twierdzili specjaliści z Konsylium Kruków, saivowie nie mieli zbyt dużej swobody w przemieszczeniu się. Ich świadomość była niejako rozsmarowywana po okolicy i sami nie mogli jej pozbierać, włożyć do plecaka i pójść na wycieczkę.

Anne ruszyła dalej. Kolejny pokój, odchodzący w bok od korytarza, nie miał w ogóle drzwi. Deski zasłaniające okno przytwierdzono na słowo honoru. Dzięki temu pomieszczenie było bardzo dobrze oświetlone i Anne mogła rozpoznać wszystkie szczegóły. Pod ścianą stał stary tapczan, ciężki od kurzu, a naprzeciwko ustawiono stare biurko z przewróconym krzesłem. Pośrodku leżały odłamki szkła z potłuczonego żyrandola, który zwisał krzywo z sufitu. Kobieta weszła do pokój bokiem, tak żeby kątem oka widzieć korytarz. Pistolet trzymała wysoko, przy ramieniu. Przyjrzała się dokładnie odłamkom szkła. Sprawdziła tapczan. Coś błysnęło srebrzyście z szarej narzuty. Podeszła ostrożnie do tapczanu. Szkło, pomyślała. Jakiś odłamek prysnął na kanapę. Trąciła srebrną drobinę lufą pistoletu. Ta jednak nie odtoczyła się dalej, tylko przykleiła się do lufy.

- No i fajnie - mruknęła, oglądając z bliska drobinę świadomości. - Ktoś tu jednak mieszkał. - Wyszła z powrotem na korytarz. - Albo dalej mieszka - dodała, spoglądając na krzywe klepki parkietu, prowadzące do pomieszczenia na końcu korytarza. Ledwie dostrzegalny ślad srebrzył się wąską strużką na wprost, skręcał w lewo i znikał za ścianą.

Anne uniosła pistolet gotowy do strzału, prześlizgnęła się na drugą stronę korytarza, zdjęła plecak i przykleiła się plecami do ściany. Odsunęła stopą swój niewielki bagaż i przesunęła się bezszelestnie w kierunku rogu na końcu korytarza, za którym zakrecał ślad.

Kim jesteś, kim jesteś, powtarzała w myślach. Pokaż się, kochanie. Poczwała, że się uśmiecha. Przyjemny dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach i zawibrował gdzieś na wysokości bioder. Tak, Anne Olsson była w swoim żywiole.

Gdzieś z niewidocznego pomieszczenia dobiegło ciche skrzypnięcie drewnianej posadzki. Może mysz przemknęła ukradkiem do swojej kryjówki, wyczuwając obcy zapach? A może czyjaś świadomość, odklejona od martwego od ponad stu lat jędrnego ciała, napierała ciśnieniem psionicznym na drewnianą materię podłogi?

Anne wypuściła powoli powietrze nosem, po czym jednym ruchem wychyliła się zza rogu, nie oddalając się przy tym zbyt od ściany. Z pistoletem wyciągniętym przed siebie błyskawicznie przeskanowała wzrokiem pomieszczenie, celowała lufą w kolejne punkty w przestrzeni. Wciągnęła powietrze i uspokoiła oddech.

Pokój był pusty, podobnie jak poprzednie. Zmoraczka nie opuściła broni i spojrzała na podłogę. Pobiegła wzrokiem za srebrną ścieżką, ledwie dostrzegalną w mroku rozświetlanym jedynie przytłumionym światłem ulicy. Mieniające się delikatnie ślady biegły cienką strużką prosto w stronę dużej, dwudrzwiowej szafy na końcu pomieszczenia. Mebel był szeroki i masywny, z okazałymi zdobieniami i głębokimi żłobieniami. Drewno, z którego był wykonany, w mroku wydawało się niemalże czarne, jakby wykonane z czarnego dębu, wydobytego z dna rzeki po setkach lat dojrzewania wśród mułu i wiecznego, jednostronnego prądu, który omywał jego niegdyś żywotne brązowe konary. Na niskich i szerokich drzwiach szafy umocowano dwie symetryczne klameczki z matowego metalu osadzone w srebrnej obudowie z wybujałym roślinnym motywem. Pod jedną klamką wystawał z dziurki klucz o szerokim sercu z powyginanego drutu.

- Serio? - zapytała w stronę szafy. - Taki banał? Zero kreatywności? - westchnęła, ze zrezygnowaniem kręcąc głową i sięgnęła po klucz. Znieruchomiała na moment przekonana, że usłyszała jakiś dźwięk za plecami. Nasłuchiwała, ale dźwięk się nie powtórzył. Ostrożnie obróciła głowę, ale zobaczyła tylko pusty pokój i drobinki kurzu tańczące w oparach światła. - No dobra - powiedziała, odwracając się do szafy. Ścisnęła klucz i ostrożnie przekręciła, aż napotkała opór. Następnie ugięła nogi, przygotowała się do uniku i błyskawicznie przekręciła klucz do kolejnego oporu. Zamek trzasnął metalicznie.

Anne skoczyła w tył, pociągając za sobą skrzydło drzwi. Coś huknęło i z wnętrza z dzikim wrzaskiem wyleciał nieregularny, czarny kształt. Anne przywarła plecami do ściany i próbowała wycelować pistolet.

Stwór przeleciał przez pokój i nagle w powietrzu spłaszczył się i wydłużył. Zmoraczka wzięła go na muszkę i zawahała się, widząc, jak stwór rozkłada szerokie skrzydła i hamuje nimi tuż przed zabitym deskami oknem. Machnął nimi raz, obrócił się w pionie i osiadł na podłodze, wywołując skrzypnięcie parkietu. Światło z okna obramowało kształt wielkiego, czarnego nietoperza. Anne pociągnęła za spust dwukrotnie, raz za razem. Tuż przed pierwszym strzałem stwór rozłożył skrzydła, zaciemnił na moment całe pomieszczenie i zaraz odskoczył, puszczając światło prosto w twarz Anne. Oba strzały chybiły, złamały tylko deski na oknie. Kolejne promienie światła wdarły się do pomieszczenia.

Zmoraczka odruchowo odskoczyła w prawo i pobiegła w kierunku korytarza. Przez moment nie mogła zlokalizować napastnika. Celowała pistoletem to w lewo, to w prawo. Nagle z wrzaskiem stwór spadł na nią prosto z góry, z mroku pod sufitem.

Huknęły trzy strzały. Ciężkie cielsko spadło z łoskotem na podłogę. Rozległ się urywany jęk. A potem w całym mieszkaniu zapadła cisza.

¹ *Next stop: Centrum, convenient change to suburban and longdistance trains* (ang.) - Następny przystanek: Centrum, możliwa przesiadka na pociągi podmiejskie i dalekobieżne.

2 *Nowogrodzka street?* (ang.) - Ulica Nowogrodzka?

3 *I am looking for...* (ang.) - Szukam...

4 *Yes, yes... You need to go there. Up to the end and up the stairs, on the other side of the street. Then go straight, having Marszałkowska street on your right hand and there you will find Nowogrodzka street on your left hand side* (ang.) - Tak, tak... Musisz iść tam, do końca schodów, na drugą stronę ulicy. Potem prosto, Marszałkowska będzie po prawej stronie, Nowogrodzka po lewej.

5 *Thanks* (ang.) - dzięki.

6 *I can show you the way...* (ang.) - Mogę pokazać ci drogę...

7 *No* (ang.) - nie.

CZEŚĆ DRUGA

*Czyż życie nie jest snem,
który się śni we śnie?*

Edgar Allan Poe

I. RENIFER ZNAD JEZIORA DUCHÓW

Delikatny, wschodni wiatr niósł drobinki arktycznego mrozu. Karłowate brzoźki obsiadły skaliste brzegi świętego jeziora Inari i przeglądały się, odziane w świeże, nieśmiało zielone pierwsze listki. Gdzieś tam, w załomach skalnych powyżej brzegu jeziora, zalegał jeszcze śnieg. Jakaś jego część zapewne nie zdoła stopnieć do kolejnej zimy i będzie czekać nad brzegami jeziora, żeby przywitać młodszych braci, przybywających z północy na początku października.

Lodowate święte jezioro Saamów marszczyło swoją niemal granatową powierzchnię na tych ostatnich, arktycznych podmuchach. Małe stadko reniferów zbliżyło się do wody, do kępki świeżej trawy, która przecisnęła się między wciąż zmrożonymi głazami, pozostawionymi na brzegu jeziora przez ostatni lodowiec.

Radien Pardne wyszedł przed szałas i spoglądał na reniferową rodzinę, raczącą się zielonymi pędami. Wiatr przeganiał po niebie nieprzerwaną kołdrę ciężkich, stalowych chmur. Mały, najmłodszy członek stada podbiegł radośnie do brzegu jeziora i przejrzał się w jego powierzchni, stając niezgrabnie na nogach, zbyt długich w stosunku do młodego ciała. Przekrzywił łebek w prawo, potem w lewo, a następnie zniżył się, niemal dotykając nosem lodowatej powierzchni wód. Radien obserwował zwierzę, podpierając się pod boki. Pomimo podeszłego wieku, co było widać po długich, siwych włosach wystających spod szamańskiej czapki i głębokich zmarszczkach na szerokiej twarzy o skośnych oczach, Radien Pardne stał wyprostowany niczym młodzieniec. Zadrżał lekko i poprawił niebiesko-czerwoną tunikę, która dopiero niedawno zastąpiła zimowe futro z renifera. Najwyraźniej za wcześnie, pomyślał i skulił się pod mroźnym powiewem ze wschodu. Zaraz jednak wyprostował się ponownie, już chciał wracać do chaty po cieplejsze futro, gdy zobaczył coś dziwnego.

Młody reniferek nie odchodził od jeziora, wciąż przeglądał się w jego powierzchni. W tym samym czasie jego stado zdążyło już oddalić się w kierunku kępki mchu i trawy odległej o kilkaset metrów. Jeden z reniferów, zapewne matka, stał jeszcze przez chwilę, czekając na młode. W końcu jednak również ona odeszła do stada. Maluch powinien się trzymać matki, takie były zwyczaje wśród reniferów. Stado go obroni, ale wtedy, kiedy będzie

się trzymał blisko ciepła rodzinnych ciał. W innym przypadku musi sobie radzić sam. Matka myślała tak samo. W końcu przede wszystkim była częścią stada.

Radien, mimo że nie zwykł wtrącać się w sprawy natury, ruszył powoli i ostrożnie w kierunku malucha. Był noaidem. Pilnował Równowagi pomiędzy siłami natury. Tutaj, na Północy, przede wszystkim zajmował się strzeżeniem granicy między żywymi a saivami, zwanymi również Podziemcami. Saamowie wierzyli, że to duchy przodków i noaide nie wyprowadzał ich z tego błędu. W końcu czym byliby bez tradycji w tym nowoczesnym, zwariowanym świecie, gdzie warkot benzynowych silników zakłóca nawet arktyczną ciszę Laponii? Tym samym, czym wszyscy inni, zapewne. I zapewne, myślał dalej Radien, nie najgorzej by na tym wyszli.

Europejczycy już dawno poszli tą drogą. Wzruszył ramionami. Nie jego rzecz. Nie jest księdzem czy jakimś kaznodzieją. Miał pilnować, żeby Równowaga trwała w dobrym stanie. Z reguły nie wymagało to interwencji w świat zwierząt i roślin. Tu, na Północy, fauna i flora, nienaruszone w dużej części przez człowieka, potrafiły o siebie zadbać same.

Ale ten mały renifer chyba nie potrafił. I nie chodziło tu tylko o to, że był małym, bezbronnym stworzonkiem i Radiena wzięło na współczucie. Nie, w tej kwestii natura również sobie radziła. Nierozsądny futrzak najpewniej zostałby zjedzony. I tak powinno być. Wtrącanie się w takim przypadku naruszyłoby Równowagę. Tyle że tu chodziło

o coś innego. Nie był to zwykły, nierozsądny gówniarz. Takie nie gapią się w swoje odbicie z wyraźnym zainteresowaniem. Renifery generalnie w ogóle tego nie robią. Nie wykazują zainteresowania własną istotą. Ich samoświadomość jest zbyt słabo rozwinięta.

Ale ten właśnie to robił. Był tak zainteresowany, że aż go zmroziło. I należało sprawdzić dlaczego.

Radien Pardne zeskoczył z kamienia i powoli podszedł do reniferka. Jego stadko zdążyło się oddalić poza pobliskie skały i maluch pozostał nad brzegiem jeziora całkiem sam. Noaide sięgnął za pas i powoli wyciągnął nóż. Długie, szerokie ostrze osadzone w rękojeści z brzoźowej kory błysnęło w kilku promieniach słońca, które przedarły się przez gęstą zasłonę chmur.

- Co tu robisz, malutki? - zapytał noaide po lapońsku, zachodząc renifera od boku.

Szedł powoli i ostrożnie, z nożem gotowym do zadania błyskawicznego ciosu. Mały renifer sięgał Radienowi kłębem do połowy uda. W dodatku był chudy jak patyk. Cztery niezgrabne nóżki odstawały od wątego tułowia, pokrytego gęstym, białym futerkiem, jak stalowe podpórki, podtrzymujące stojak z kociołkiem nad ogniskiem. Młody renifer z pewnością nie był istotą wzbudzającą poczucie zagrożenia. Zachowywał się jednak inaczej niż na małego renifera przystało. A w dodatku przeglądał się z zainteresowaniem w tafli świętego jeziora Inari. Radien Pardne zbyt długo był noaidem, żeby nie wziąć pod uwagę

tych niezbyt pomyślnych okoliczności i zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

- Tam jest twoja rodzina - powiedział, balansując na chybotałych kamieniach obmywanych przez wody jeziora.
- Tu jest tylko zimna woda i pustka. - Przyjrzał się uważniej zwierzęciu, ale nie zauważył nic niepokojącego. Żadnej aury psionicznej, jak Kruki, nowocześni noaide oraz Zmoracy nazywali egzaltację świadomości zmarłych. Żadnego refleksu białego szumu, który mógłby wskazywać na przejęcie przez saivę albo zmorę kontroli nad żywą istotą. Czasami się to zdarzało, ale raczej nie w Laponii, nie pod czujnym okiem Radiana Pardne'a.

Zimny wiatr zmarszczył gładką taflę jeziora. Chwilę potem niskie brzoźki na przeciwległym brzegu wykonały ukłon w kierunku kamienistego brzegu. Szaman zdążył tylko złapać czapkę, zanim uderzył w niego nagły szkwał. Pech chciał, że odruchowo złapał się tą samą ręką, w której trzymał nóż.

I pech chciał, że renifer właśnie w tym momencie odwrócił się w kierunku Radiana i wyszczerzył kły, których raczej nie powinien mieć. Nie w tym wieku, zdążył jeszcze pomyśleć Radian, nim potwór skoczył na niego z niesamowitą zwinnością. Noaide odskoczył w tył i lecąc na plecy, zdołał się przekręcić na bok. Huknął boleśnie łokciem o kamienie. Przetoczył się jednak przez prawe ramię, przepuszczając nad sobą atakującego renifera. Zobaczył, jak potwór wyszczerzył na niego zębatą paszczę. Błysnęły czerwone rubiny w miejscu rozbijających,

niewinnych z reguły oczu reniferowego dziecka. Potwór ryknął. Noaide usłyszał chrobot kamieni pod kopytkami, które usiłowały złapać równowagę na chybotliwym podłożu.

Radien uniósł głowę. Prawa przednia i lewa tylna noga renifera były ewidentnie złamane. Zwierzę usiłowało utrzymać ciało na dwóch zdrowych nóżkach, załamując co chwila połamane kończyny. Młode kości nie wytrzymały nadnaturalnego skoku. Stwór wydał z siebie kolejny, tym razem żałosny ryk.

- Kim jesteś? Czego chcesz na mojej ziemi? - zapytał noaide, spięty do kolejnego uniku albo zadania błyskawicznego ciosu.

- Chcę... - wycharczał stwór nienaturalnym, jakby zwielokrotnionym echem, głosem, dochodzącym z dna studni. - Do domu... Chcę... - Rubinowe oczy zamrugwały i na moment noaide ujrzał niewinne ślepie młodego zwierzęcia. Wyzierało z nich czyste przerażenie. Zaraz wróciła jednak upiorna czerwień i potwór wrzasnął, tym razem całkiem ludzkim głosem: - Nienawidzę! - Skoczył na Radiena. Połamane nogi odmówiły mu jednak ostatecznie posłuszeństwa i renifer runął na pyszczek, staczając się po kamieniach. Jego oczy zgasły i zniknęły pod powiekami. Lodowata woda jeziora obmyła drobne ciało.

- Zaczęło się - mruknął Radien pod nosem, po czym ostrożnie, nie odpuszczając ani na moment napięcia mięśni, podszedł do renifera. Zauważył, że jego podgardle poruszało się w równym, ale słabym rytmie. - Pierwsza ofiara - powiedział. Pochylił się nad białym futrem i położył

na nim dłoń. Następnie naciął delikatnie skórę, tuż poniżej żeber. Krew splamiła śnieżne futerko. Nóż szamana rozbłysnął na moment pomarańczową poświatą, ale zaraz zgasł. Radien wyciągnął go przed siebie i przyjrzał się uważnie rubinowej kropelce na czubku ostrza. - Zaczęło się - powtórzył. - Połączenie otwarte - dodał, po czym dźwignął drobne ciało pod ramię. Podtrzymał opadający łebek zwierzęcia i rozpoczął wspinaczkę z powrotem w kierunku spiczastego szałasu.

Radien Pardne wszedł do szałasu. Ogień tlił się jeszcze w palenisku. Mężczyzna położył delikatnie ciało młodego renifera na prostym, drewnianym stole, ustawionym naprzeciw wejścia. Sięgnął na zewnątrz i spuścił zasłonę wejścia. Światło wpadało do środka tylko przez otwór dymny na szczycie szałasu.

Noaide wrócił na środek i pochylił się nad paleniskiem. Sięgnął do kieszeni i rzucił w żar garść pyłu. Ogień błysnął delikatnie. Z paleniska strzeliło kilka fioletowych i pomarańczowych błyskawic i żar ponownie przygasł. Radien podłożył suchą ściółkę, dołożył drewna, skrzesał iskry i rozdmuchał płomień. Gdy tylko ogień zaczął konsumować brzozowe polana, noaide wstał i podszedł do stołu. Szałas wypełnił się cichym trzaskiem ognia. Cień szamana tańczył na skórach pokrywających ścianę szałasu. Siwy dym unosił się z paleniska, pędził cienką strużką

w stronę dymnika. Noaide zaczął nastawiać złamane kończyny renifera.

- Kto tam jest? - odezwał się zdziwiony, męski głos wśród dusznego mroku namiotu.

Radien Pardne odwrócił się od stołu. Dwie, chude nóżki renifera były już unieruchomione między drewnianymi deseczkami, przewiazanymi szarym sznurem. Noaide zmrużył oczy, spoglądając w blask ogniska.

- Kto tu? - powtórzył głos.

Mężczyzna przyglądał się przez chwilę trzaskającym wesoło płomieniom, aż w końcu dostrzegł odcinający się czarnym konturem zarys szerokiej piersi, ramion oraz podłużnej głowy, zwieńczonej wysokim cylindrem.

- Witaj w Laponii, sekretarzu van Poe - powiedział uprzejmie Radien Pardne. - Co słyhać w Konfederacji Anglosaskiej? Chińczyki trzymają się mocno?

- Pardne? - zapytał kontur wśród płomieni. - Naturalnie. Mogłem się tego spodziewać. Wciąż nie nauczyłeś się korzystać z tuneli komunikacyjnych. Chyba się już nie nauczysz, starość ma swoje prawa - dodał zgryźliwie.

- Pewnie ma - odparł Radien niezrażony przytykiem ze strony Kruka.

Znał Johna van Poego od początku jego kariery, odkąd szkolił się jako zwykły Zmorak. Sam uczył go prac

terenowych w trakcie szkolenia w Laponii. Każdy Zmorak musiał przejść ten etap praktyk, zanim zostawał dopuszczony do pełnienia funkcji myśliwego i leśniczego Równowagi. Wtedy, gdy van Poe przechodził szkolenie na dalekiej północy, poznając w praktyce modelowy sposób funkcjonowania Równowagi w kraju, w którym współistnienie saivów i żywych pozostawało niezakłócone w największym stopniu, Konsylium już istniało i rozpychało się dość poważnie, usiłując wyeliminować starą radę noaidów z procesu decydowania o Równowadze. Najpotężniejsze mocarstwa dziewiętnastego wieku postanowiły wtrącić się w procesy, które od wieków były kontrolowane przez lokalnych szamanów i czarownice. W każdej wsi, w każdym rosnącym gwałtownie mieście Europy byli szamani, spadkobiercy noaidów. Naturalnie że byli. Starali się utrzymać Równowagę pomiędzy światem żywych i umarłych. Wtedy wyglądało to inaczej, prościej. Bardziej naturalnie, pomyślał Pardne. Dopiero gwałtowny rozwój techniki i gospodarki spowodował niebezpieczne zachwianie Równowagi. Eksplozja demograficzna oraz niepoohamowany, żarłoczny rozwój ludzkości musiały spowodować konflikt ze światem saivów. Interakcji pomiędzy oboma światami zaczynało być coraz więcej. Wśród żywych szerzyły się choroby psychiczne, spowodowane zbyt częstymi kontaktami z pasożytniczą świadomością saivów. Wśród saivów powstawało coraz więcej zmor, którzy zaczerpnąwszy zbyt dużej dawki sił witalnych, zapragnęli powrócić do życia. Naturalnie nie byli

w stanie tego zrobić i zamieniali się w zmory, potwory i przestępców świata umarłych, żerujących na innych świadomościach, a czasem zagrażających również żywym.

Radien, jako członek rady noaidów, nie popierał sposobu działania młodej organizacji, która ze wsparciem swoich rządów przejmowała kontrolę nad Równowagą. Konsylium Kruków zostało ustanowione po wojnach napoleońskich. Spowodowały one powstanie niespotykanej wcześniej w historii liczby saivów, a skok technologiczny, demograficzny i rozwojowy doprowadziły Równowagę na skraj wytrzymałości. Starzy noaidowie byli za tym, żeby pozostawić sytuację w dotychczasowym kształcie, żeby nic nie zmieniać. Równowaga, jak twierdzili, sama o siebie zadba. My, noaidowie, jesteśmy tylko od kosmetyki, od dbania o Naturę. Utrzymanie świata w stanie Równowagi w tej nowej rzeczywistości i tak jest niemożliwe. Prędzej czy później Równowaga pęknie, a wtedy jej sprężyna poucina wszystkim głowy, cofając ludzkość o kilka pokoleń. Konsylium nie chciało do tego dopuścić. Przy wsparciu finansowym swych państw stworzyli azyl dla saivów i więzienie dla zmor: Eden, wielki nośnik świadomości, gdzie umieszczano saivów, którzy nie mogli dalej funkcjonować w swoich zwykłych miejscach, z uwagi chociażby na tak prozaiczny powód jak budowa linii kolejowej na terenach, gdzie zmarli. W Edenie każdy saiva otrzymywał swoją płaszczyznę rzeczywistości, ukształtowaną pod jego świadomość, pod jego wspomnienia

i podstawowe oczekiwania, w której mógł kontynuować swoje życie, nie wadząc nikomu.

Konsylium Kruków szybko przekonało się, że to zbyt duże zadanie na ich siły. Nie byli w stanie kontrolować swoich terytoriów i porządkować stosunków między oboma światami. Rządy dość szybko o Krukach zapomniały, zajęte ważniejszymi sprawami. Konsylium to szczególnie nie przeszkadzało. Utworzyli sobie do pomocy Zmoraków, specjalnie szkolonych ludzi, wybieranych z lokalnych społeczności, którzy wyróżniali się zdolnościami do zmysłowego odbierania i oddziaływania na saiwów. Poddawali ich rygorystycznemu szkoleniu, z reguły zaczynającemu się w wieku dziecięcym, żeby odpowiednio ukształtować umysł kandydata. Zmoracy, po ukończeniu szkolenia i obowiązkowych praktyk, otrzymywali swoje rewiry, na terytoriach zarządzanych przez poszczególne gałęzie Konsylium Kruków. Mieli na nich dbać o porządek Równowagi i odpowiednie relacje pomiędzy światami żywych i umarłych. Każde terytorium zostało podłączone do Edenu.

System wydawał się działać sprawnie. Argumenty Rady Noaide straciły na sile i starzy szamani musieli oddać pole neonoaidom, jak nazwano członków Konsylium Kruków. Radien Pardne widział wady pomysłów obu opcji. Postanowił jednak nie sprzeciwiać się zbyt gwałtownie. Wycofał się do Laponii i służył Konsylium swoją radą, której ci chętnie zasięgali. Szczególnie że niemal od początku jego istnienia przewodniczącym Konsylium Kruków był don

Crèole, stary znajomy Radiana, niegdyś główny noaide Italii, a teraz przewodniczący Konfederacji Italo-Iberyjskiej Konsylium. Obok niego od początku do Konsylium należały Porozumienie Narodu Niemieckiego, obecnie pod przewodnictwem chłodnej jak lód i ostrej jak brzytwa frau Mannelig, Wszechruś, obecnie pod przewodnictwem Fiodora Rodionowa, góry mięśni, pokrytej lasem odwagi i czarnych kłaków oraz Reprezentacja Frankońska. Ta ostatnia wydzieliła się dziesiątki lat temu, gdy Skarbnik Konsylium, Ezechiel, postanowił przywrócić dawny porządek. Po krótkiej wojnie zmuszono go do ustąpienia i został wygnany w przestrzeń zaświatów, a na jego miejsce do Konsylium przystąpili anglosasi, obecnie kontroluje ich John van Poe, ambitny chłopak, który jeszcze w trakcie szkolenia na Zmoraka posiadał umiejętność autoekstrakcji i wydzielił swoją świadomość od ciała, osiągając w ten sposób stan ponadbytowy.

Płomienie zafalowały pod nagłym podmuchem wiatru.

- Pardne, wybacz, ale nie mam wiele czasu, czy... - zaczął van Poe.

- Czy wiesz, drogi sekretarzu... - przerwał mu Radian Pardne spokojnym głosem. - Czy wiesz, co tu mam? - zapytał, odchodząc na bok, żeby odsłonić stół.

Van Poe sapnął przez płomienie zdenerwowany.

- Nie, nie wiem - odparł po chwili.

- Renifera - wyjaśnił Radian z uśmiechem. - A właściwie reniferka. Małego, z jednego z okolicznych stad, które przyszły na lato nad jezioro Inari.

Zapadła chwila ciszy. Płomienie trzaskały wesoło. Renifer, ułożony na boku, poruszył nerwowo jedną nóżką, usztywnioną drewnianymi deseczkami. Cień w ognisku poruszył się niespokojnie. Wzruszone płomienie otoczyły na moment świetlistą aureolą czarny kontur cylindra.

- Ciekawe - powiedział powoli van Poe. - Bardzo ciekawe...

- Nieprawdaż? - odparł noaide. - Też tak uważam. Mały renifer oderwany od swojej matki, z połamanymi nogami. Biedaczysko nie będzie już mogło wrócić do swojego stada. Nie przyjmą kaleki. A w czasie, kiedy jego małe nóżki będą się leczyć, przegapi ten kluczowy etap adaptacji, gdy każdy młody członek stada uczy się, jak postępować w życiu, żeby nie zakończyć go zbyt szybko na tej pięknej, ale brutalnej ziemi. Malec będzie musiał zostać ze mną i najprawdopodobniej nigdy nie wróci do natury. Będzie ode mnie uzależniony, lecz ja nie będę w stanie nauczyć go wszystkiego, co byłoby mu potrzebne do przeżycia. Nie jestem przecież reniferem.

- Nie? - zapytał cień.

- Nie.

- To doprawdy bardzo smutna historia, Pardne. Współczuję i łączę się w bólu, podobnie jak całe Konsylium Kruków, jak sądzę.

- Dziękuję bardzo, panie sekretarzu. To bardzo uprzejme z państwa strony. - Radien skłonił się lekko i ponownie uniósł swoją uśmiechniętą, pomarszczoną twarz

o skośnych oczach, spoglądając z zaciekawieniem na ognisko.

Trzasnęło suche polano.

- Nie ma sprawy - odparł cień. - A teraz, mógłby mnie pan zwolnić? Mam dużo spraw na głowie.

- Nie - odparł Radien z niezachwianym uśmiechem.

- Co, proszę? - Cylinder znów zafalował w płomieniach.

- Nie - powtórzył Radien.

- Co to ma znaczyć?

- Jest to forma przecząca odpowiedzi na pana pytania, albo jak pan woli, uprzejma, acz negatywna odpowiedź na pańską prośbę.

W namiocie znów zapadła przytulna cisza. Van Poe rozważał wszystkie dostępne w tej sytuacji możliwości. Noaide znowu chciał im pokazać, kto tu rządzi. Niby oddali pole Konsylium Kruków, ale wciąż usiłują się wtrącać. Trzeba się pozbyć wreszcie don Crèole'a. Wtedy będzie można skończyć z tym idiotycznym połączeniem, uzależnionym od woli noaidów, niemożliwym do przerwania przez kogoś innego, niż wzywający do rozmowy. Naturalnie połączenie po jakimś czasie samo ustanie. Radien nie ma na tyle energii w tym swoim ognisku, jeziorze, czy skądkolwiek ją czerpie, żeby trzymać go tu w nieskończoność. Ale to może trwać długo. Stanowczo za długo.

Dobra, pomyślał sekretarz, niech mu będzie. Tym razem. Jeszcze.

- Rozumiem - odezwał się wyćwiczonym, chłodnym tonem.

- Cieszę się - odparł Radian. - Chciałbym z panem porozmawiać.

Głowa w ognisku kiwnęła cylindrem na znak, by kontynuował.

- Ten renifer został owładnięty obcą świadomością - powiedział noaide. - Nogi połamał sobie w trakcie próby ataku na mnie, gdy podszedłem sprawdzić jego dziwne zachowanie.

Z ogniska wydobył się dziwny dźwięk, zbliżony do pogardliwego parsknięcia.

- Czyli miałem rację, mówiąc w Konsylium, że nie radzisz sobie już, Pardne, z utrzymaniem Równowagi na tym zadupiu świata, które nazywasz Laponią. Dobrze, że macie tam więcej reniferów niż ludzi, przynajmniej żaden saiva czy zmora nie przejmie człowieka. Wtedy to byłoby już bardzo niebezpieczne - dodał jadowicie.

- Nie, panie sekretarzu - odparł Radian spokojnie. - Już go tam nie ma. Już jest pusty. Jest za to przeciek. Ostrzegałem was.

- Przed czym nas ostrzegałeś, Pardne? - zapytał cień.

- Przed połączeniem Edenu z tunelami, z tym waszym nowym wynalazkiem.

- Tunele powstały same - odparł van Poe.

- W niektórych miejscach. Na przykład tam... - Noaide wskazał palcem na skórzaną zasłonę namiotu. - Pod Inari.

Na Syberii. W górach Ałtaju. Ale potem wy to rozbudowaliście.

- No, trudno było tego nie wykorzystać. Przydało się. Wciąż pracujemy nad tym projektem. Tunele nie są jeszcze powszechnie dostępne. Pracujemy nad usprawnieniem połączeń pomiędzy poszczególnymi domenami.

- Połączyliście je z Edenem.

- Owszem.

- Ostrzegałem was przed tym. Mieliście przypadki przecieków, z którymi do tej pory Eden radził sobie sam. Słyszałem, że ostatnio mieliście taki przypadek. Nie zaniepokoiło to was? Ostrzegałem przecież, że nie jesteśmy jedynym światem w tym wszechświecie, a ludzka świadomość, której esencję, nieobciążoną swoim śmiertelnym ciałem nazywamy saivą, Duchem Przodków, stanowi idealny klucz do otwarcia połączenia.

Skąd wiesz? - chciał zapytać van Poe, ale tego nie zrobił. Zbyt długo już użerał się z tym staruchem z dalekiej północy, żeby dać po sobie poznać niepewność.

- A stąd wiem - ciągnął, jak gdyby nigdy nic Radian Pardne - że moją rzeczą jest wiedzieć, co wy, Kruki, wyczyniacie. Dostaliście w zarząd Równowagę, ale to nie znaczy, że nikt wam nie patrzy na ręce. Taka była umowa. Moją rzeczą jest wiedzieć, co się dzieje w Edenie.

- Nie wiem, o czym mówisz, Pardne - odparł sekretarz wyniośle. - W Edenie panuje Równowaga i nic mi nie wiadomo o tym, żeby nawiedzali go przybysze z innych światów. W ogóle cóż to za pomysł? Ufoludki w Azylu?

Musiałyby chyba wpierw wylądować swoim latającym spodkiem na polu pod Zamościem. Albo przed Bramą Lodową w Norwegii. Chociaż przyznaję, nie czytam ostatnio gazet. Coś tam pisano o nowych kręgach w zbożu na podlubelskiej prowincji? W angielskich gazetach nic takiego nie widziałem, ale to w sumie nie musi oznaczać, że nie było, jak mówisz, Pardne. Kto by marnował czas, żeby pisać o tym, co się dzieje w tym zaścianku Europy? Polacy mieli już swoją szansę w historii i ją zmarnowali. Podobnie jak pieniądze, którymi Niemcy wciąż tak hojnie ich obsypują, kierowani chyba tylko tym swoim nowogermańskim przeświadczeniem o misji ratowania słabszych, doginającym ich dumne karki do bruku.

Cień w ogniu znów poruszył się niespokojnie. Jakies polano strzeliło chmurą iskier, zawirowały i zmieszały się z dymem, kierującym się leniwą spiralą w stronę dymnika, błyszczącego błękitem nieba.

- Wielowieyski nie rozwiąże tego problemu - odezwał się po chwili Radien Pardne. - Połączenie jest zaczepione na czymś, co jest na tym świecie i na tamtym. Po co wysyłacie go do Edenu? Nie będzie mógł się przedostać tamtą drogą. Zwykle oddzielenie świadomości od ciała, gdy przechodzi do Edenu, nie wystarczy. Byłby zbyt powiązany z tym światem, żeby dać się zaciągnąć temu innemu.

- Pardne, wydajesz się bardzo zorientowany w tej tematyce. Czy jest coś, co chciałbyś powiedzieć Konsylium Kruków? Coś, o czym nie wiemy? - zapytał van Poe. Ironia wylewała się z płomieni tak, że można odnieść wrażenie, że

zaraz zaleje ognisko i sekretarz Konsylium Kruków stanie w całej okazałości w jego dymiących pozostałościach.

Radien Pardne obrócił się i podszedł do renifera, ostentacyjnie ignorując uwagę Kruka. Pochylił się nad stołem i zaczął poprawiać opatrunek na kończynach zwierzęcia.

- Rozumiem - odezwał się po dłuższej chwili zirytowany sekretarz, starając się nadać głosowi ton obojętności. - Noaidowie zawsze mieli swoje interesy i za nic mają umowy pisane. Nie zamierzają przestrzegać przepisów o oddaniu Równowagi w zarząd Konsylium Kruków. A przynajmniej nie w takim zakresie, który może im się nie podobać. Prosiłbym o zwolnienie połączenia. Powiniennem powrócić do Konsylium. Jak sam zauważyłeś, ogólnie rzecz biorąc, mamy problem. Jesteśmy świadomi przecieku. Dobrze wiesz, że takie tunele otwierały się już wcześniej. Nasi specjaliści badają obecnie ich związek z naturalnymi tunelami międzyprzestrzennymi, które na samym początku, jak się utrzymuje, powstały samoistnie w oddalonych od siebie i odizolowanych od reszty świata miejscach. Mam swoje zdanie na temat tego, czy powstały naturalnie. Związek z terytoriami, będącymi tradycyjnie pod kontrolą noaidów, jest zbyt duży, żeby mógł to być przypadek. Ale to tylko moja opinia - dodał. - Żeby cię uspokoić, Pardne, tunele, które budujemy pomiędzy najważniejszymi miejscami Nowego i Starego Świata, są pod stałym nadzorem. Nie dopuszczamy do nich żadnych niepowołanych osób. Połączenie natomiast obecnie jest

otwarte jedynie w Edenie. Naszym zadaniem jest zabić lub przegonić intruzów, którzy znajdują się na płaszczyźnie rzeczywistości odciętej od reszty systemu przez fakta Cicero. Nie ma ryzyka przedostania się tych intruzów ani żadnych innych przybyszów do tuneli i w konsekwencji, czego się obawiasz, Pardne, przetransferowania ich w inne lokalizacje.

Van Poe skończył mówić i w namiocie zapadła cisza. Radien Pardne stał wciąż odwrócony plecami do ogniska, nieruchomy niczym posąg z niebieskiego lodu i ognia, którego odblaski tańczyły na turkusowym kaftanie. Cień sekretarza poruszył się niespokojnie.

Nagły podmuch wiatru wdarł się przez dymnik, rozwiewając na moment wirujące leniwie strużki dymu z ogniska. Płomień przygasł, jakby zdmuchnięty chłodnym wiatrem. Kontur van Poego wtopił się w mrok. Tylko wyniosły kształt cylindra z wąskim rondem wciąż był widoczny.

- Pardne...? - zaczął van Poe.

Rozległ się suchy trzask gałęzi. W dogasający żar ogniska spadła chmura błyszczącego proszku. Płomienie buchnęły dwa razy wyżej niż poprzednio. Van Poe zobaczył noaide, który siedział przed ogniskiem ze skrzyżowanymi nogami. Głowę, zwieńczoną spiczastą czapką, miał opuszczoną na piersi. Zza ramienia szamana wyjrzała zębata paszcza.

- Dziękuję, panie sekretarzu - powiedziała głowa renifera głosem Radiena Pardne'a. - Dziękuję za pana czas.

Może pan odejść - dodał jeszcze zwierzak. Van Poe zauważył, że renifer był uwiązany do pleców Radiana. Mężczyzna wydawał się nieprzytomny.

Nagle szaman wstał, bezwiednie posadził na ziemi zwierzątko, które wciąż miało skrępowane nogi, a sam wkroczył w ogień. Płomień zgasł z nagłym sykiem i w namiocie zapadła ciemność.

II. SPOTKANIE Z KLIENTEM W PIEKLE

Ogień buchał z podłogi pionowym płomieniem przez dziurę w owalnym, czarnym stole. Wokół niego ustawiono kilkanaście obitych skórą krzeseł. Trzy ściany pomieszczenia były śnieżnobiałe, podobnie jak marmurowa podłoga. Z kolei czwartą ścianę wykonano całą ze szkła. Z sufitu zwisały dwa rozłożyste żyrandole o masywnych, spiczastych kloszach. W każdym z nich płonął żywy ogień. Za stołem siedziały cztery postacie. Jedna z nich naprzeciwko pozostałych trzech.

- Ciekawe rozwiązanie. - Głos wydobywał się z cienia rzucanego na twarz postaci przez rondo wysokiego, czarnego cylindra. Kapelusznik uniósł ramię spowite w długi i szeroki czarny rękaw płaszcza. - Nie potrzeba świateł ani elektryczności, co? - Pomimo wyciągniętej w górę

ręki dłoń kapelusznika pozostawała skryta we wnętrzu rękawa.

- Energia geotermalna - odparł siedzący pośrodku mężczyzna. Był ubrany w elegancki garnitur. Krótkie, siwe włosy miał zaczesane równo na bok z przedziałkiem tuż nad uchem. Dłonie ułożył na stole przed sobą, na palcach błyszcząły dwa skromne, srebrne sygnety. - Piekło ma swoje zalety, panie... - Uniósł sugestywnie brwi, spoglądając na kapelusznika.

- Ezechiel, proszę, mówcie mi Ezechiel, szanowni panowie - odparł.

- Bardzo mi przyjemnie, panie Ezechielu. - Siwy skinął delikatnie głową. - Ja nazywam się Morbidius Mons i jestem dziekanem Piekielnej Palestry - wyjaśnił. - Natomiast to - wskazał na siedzącego po jego lewej stronie łysego mężczyznę o idealnie kwadratowej szczęce - to jest mecenas Alastair Cromley, koordynował pańską sprawę od samego początku. - Ezechiel skinął głową, muskając krańcem rękawa rondo cylindra. - A to... - Dziekan wskazał na prawo.

- Elliot Mess - powiedział blondyn siedzący po prawej ręce Monsa. Omiótł Ezechiela pewnym siebie spojrzeniem. Do jego ust kleił się nieprzyjemnie sztuczny, a jednocześnie zdaniem Ezechiela, w dziwny sposób naturalnie szczery uśmiech.

- Dziękuję, panie mecenasie - powiedział Morbidius Mons. - Panie Ezechielu, nie mieliśmy co prawda okazji wcześniej się spotkać, ale proszę wierzyć, zajęliśmy się

państwa sprawą. Nasze hmmm... - podrapał się w ogolony podbródek - nasze korzystne położenie i jakby to rzecz... odpowiednie środki i narzędzia pozwoliły nam nawiązać kontakt z równoległą płaszczyzną, w której przebywa wskazany przez państwa demon...

- Nie demon - wtrącił Ezechiel - Pani. Pani Równowagi. Demon to określenie... dość nieprecyzyjne, jeśli już o tym mówimy. Pani Równowagi jest kimś więcej, niż tylko demonem z równoległej rzeczywistości - wyjaśnił.

- Naturalnie - przyznał dziekan z uprzejmym uśmiechem. - Proszę mi wybaczyć ten techniczny termin. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że Pani Równowagi, pani Lilith, jest kimś więcej niż zwykłym demonem. Przebywa jednak obecnie w równoległej płaszczyźnie rzeczywistości, wobec czego, że się tak wyrażę, wydobyć jej wymaga zastosowania środków podobnych do tych wykorzystywanych przy demonach - wyjaśnił. Uniósł upierścienioną dłoń. - Jednak muszę wskazać, że musimy mieć pewność, że pani Lilith nie zostanie w naszym, powiedzmy, świecie na dłużej niż to konieczne do dokonania przez państwa odpowiedniego transferu.

- Transfer powinien nastąpić bez zbędnej zwłoki - odparł Ezechiel nieco bardziej oschłym tonem. - Rozumiem, że zorganizowaliście już panowie nośnik? Musimy wykorzystać połączenia tunelowe między światami. Nie jesteśmy do końca pewni, czy to połączenie się utrzyma. W przeszłości zrywało się dość szybko - tłumaczył kapelusznik. - No ale wtedy, ostatnim razem, to było za

Napoleona. Wtedy nie było jeszcze Edenu... - dodał, zniżając głos.

- Proszę? - zagadnął Morbidius.

- Edenu - odparł machinalnie Ezechiel. Po chwili jednak uniósł głowę, jakby przypomniał sobie o obecności prawników. - Na Ziemi utworzono azyl dla saivów... to znaczy, oczywiście, tutaj nie znacie zapewne tego pojęcia. - Mons tylko uniósł pytająco brwi. - Właśnie. To taki azyl dla dusz, dla świadomości pozostałych po śmierci ciała. W wyniku gwałtownego rozwoju ludzkości organizacja o nazwie Konsylium Kruków, trochę zresztą podobna do waszej Palesty, utworzyła Eden, sztuczny nośnik o powielanych płaszczyznach rzeczywistości. Dla unikania nadmiernego naginania Równowagi odpowiednie służby, Zmoracy, transportują tam niewygodnych saivów i zamykają szkodliwe zmary.

- To bardzo interesujące - powiedział dziekan. - Jak mniemam, tutaj w Połówkach podobną funkcję pełni nasze Piekło?

- Nie do końca... - zaczął Ezechiel, ale po chwili machnął ręką. - Nieważne. Nie będę panów zanudzał technicznymi szczegółami. Co istotne, prawdopodobnie nasz ziemski Eden sztucznie podtrzymuje połączenie pomiędzy światami - wyjaśnił. - Czyli utrzyma się dłużej. Ale proszę się nie martwić. Zgodnie z planem transfer powinien nastąpić natychmiast, gdy tylko nośnik z Panią Równowagi wypełni swoją historię z drugim obcym elementem, obcą świadomością, która przedostała się do

tego świata. Obecnie w tym świecie powinny znajdować się dwie świadomości przeniesione z tamtego świata. Jedną z nich, jak rozumiem, przygotowujecie panowie na nośnik dla pani. - Cromley skinął delikatnie kwadratową szczęką. - Druga prawdopodobnie przeszła w ślad za pierwszą. Mój współnik w Warszawie donosi jednak, że ta druga świadomość, saiva Aleksandra Bartenjewa, znajduje się już w Warszawie, mimo że wcześniej był tutaj. - Wskazał palcem na sufit. - W Radovii.

- Bartenjew? - zapytał Elliot Mess. - Porucznik Bartenjew?

Ezechiel skinął kapeluszem.

- Tak. Podobno przyjął w tym świecie rolę podobną do tej, którą pełnił za życia w swoim świecie - powiedział. - Ciekawe zjawisko. Otoczenie wydawało się wytworzyć dla niego niszę, w której mógł funkcjonować i to w całkiem materialnej formie, jak rozumiem.

- Czy on jest elementem niezbędnym do transferu? - zapytał Mess.

- Zapewne - przyznał Ezechiel. - Takie dostałem instrukcje od Pani. Maria Wisnowska musi wypełnić swoją historię, wtedy Pani wróci do naszego świata i zostanie uwolniona.

- Rozumiem - przyznał Mons.

- Czy ma pan jakieś alternatywne rozwiązanie? - zapytał Cromley.

- Co, proszę?

- Alternatywne rozwiązanie kwestii transferu - doprecyzował prawnik. - Jak pan sam powiedział, porucznika Bartenjewa już tam nie ma.

- Tego nie powiedziałem. Wiem, że Bartenjew jest w Warszawie, ale to nie wyklucza tego, że wciąż znajduje się również tutaj.

- Przyznaję, że się pogubiłem. - Cromley rozłożył ręce.

- Prawdopodobnie doszło do rozdwojenia tej świadomości w momencie wywożenia saivy z Warszawy... - Ezechiel urwał, gdy zobaczył, że Morbidius ponownie przywołuje na twarz wyraz uprzejmej dezorientacji. - Tak, tak, nieważne. Ważne, że jak tylko dokonamy iniekcji świadomości na nośniku, powinien nastąpić natychmiastowy transfer - dodał. - Naturalnie, naturalnie można również spróbować dokonać transportu za pomocą tuneli... Ale to dużo bardziej ryzykowne rozwiązanie. Jak rozumiem, mieliście panowie zorganizować jakiś plan, czy mapę, żeby zwiększyć precyzję i bezpieczeństwo transferu?

- Mapę? - zapytał Mess.

- Tak - potwierdził Ezechiel. - Mapę tuneli. Wiecie panowie coś w tej sprawie?

- Ekhem... - odchrząknął Elliot. Morbidius spojrział na niego tylko przez moment.

- Może przejdziemy do sfinalizowania transakcji - zaproponował. - Proszę się nie zajmować kwestią transferu. Wszystko jest pod kontrolą.

- Naturalnie - odparł Ezechiel.

- Mecenasiu Cromley, proszę - powiedział dziekan.

Krzesła zaszurały na marmurowej posadzce. Mężczyźni wstali od stołu. Ezechiel zauważył cieniutkie nitki dymu, które unosiły się zza krawędzi blatu po stronie, gdzie siedzieli przed chwilą prawnicy.

- Zapraszam do sąsiedniej sali - zaproponował uprzejmie Alastair Cromley.

Ezechiel wsunął za sobą krzesło i obejrzał się przez ramię.

- A to... - zagadnął, wskazując na przeszkloną ścianę.

- Kosmos - wyjaśnił Mons. - Jak pan zapewne wie, znajdujemy się pod powierzchnią ziemi, dość głęboko. Właściwie to dosłownie pod powierzchnią i całą skorupą Połówki. Jesteśmy w Piekło - dodał, wzruszając ramionami.

- A to, to pośrodku? - zakreślił w powietrzu rękawem owalny kształt.

- To, panie Ezechielu - odparł Morbidius - to jest druga Połówka.

- Ach, to są dwie?

- Naturalnie - powiedział Mons. - Na powierzchni ten koncept dopiero dociera do powszechnej świadomości, głównie za sprawą tego ekscentryka z Tornu, jak mu tam...

- Lebkuchen - odpowiedział Elliot Mess. - Mikołaj Lebkuchen, panie dziekanie.

- Właśnie - powiedział dziekan. - Wkrótce się zorientują, tam na górze, że młody Lebkuchen nie jest taki szalony, jak by się wydawało.

- Ale to dlaczego nazywacie to Połówką? - zapytał Ezechiel, wpatrzony w kosmiczną pustkę.

- Proszę?

Ezechiel odwrócił się i spojrzał na prawnika.

- Skoro ludzie na powierzchni nie wiedzą, że są dwie połówki świata, to skąd przyszło im do głowy, żeby nazwać grunt pod nogami Połówką? Przecież sama nazwa implikuje konieczność istnienia drugiej części.

- To nie jest takie proste - zaczął Mons. - Dokładne wytłumaczenie tego fenomenu wymagałoby wniknięcia w etnografię świata na powierzchni i zawiłości kulturowe różnych ludów. W skrócie można jednak powiedzieć, że Połówka to termin oderwany od swojego pierwotnego znaczenia. Prawdopodobnie ukuty w przeszłości, gdy ktoś, kto żył tu wcześniej, wiedział, że są dwie części świata. Przekazał tę wiedzę dalej i nazwa wniknęła do powszechnej świadomości. Uznano to po prostu za nazwę świata. Gdy coś wniknie w podświadomość społeczną, rozsądne wytłumaczenia przestają być istotne.

- Rozumiem.

- Ale tymczasem... Radziłbym panu nie zdradzać się z tą wiedzą na górze. - Dźgnął palcem sufit i uśmiechnął się znacząco.

- Nie zamierzam - zapewnił Ezechiel. - Proszę mi uwierzyć, że chciałbym jak najszybciej stąd się wydostać.

Mons wyprostował się i kiwnął głową.

- Zapraszam - powtórzył Cromley, wskazując uprzejmym gestem na sąsiednie drzwi.

- Naturalnie. - Ezechiel skierował się za nim i po chwili zniknął za drzwiami, razem z pozostałymi prawnikami.

Ogień w stole przygasł nieco, podobnie jak płomienie na żyrandolach, jakby ktoś przykręcił kurek z gazem.

Ezechiel i trzech prawnicy Piekielnej Palestry weszli do sąsiedniej sali. W odróżnieniu od poprzedniej, ta miała zaokrąglone ściany i wypukły sufit, wszystko przeszklone. Również podłoga, ku przerażeniu Ezechiela, okazała się być ze szkła. Dokoła i pod nogami widać kosmiczną pustkę. Z jednej strony, za ich plecami, znajdowała się poszarpana, skrzącą się nagłymi wybuchami płomieni, rozpalona skała Połówki. Ku zdziwieniu Ezechiela z ziemi nie wystawały korzenie drzew ani fundamenty budynków.

Musieli rzeczywiście przebywać bardzo głęboko, bo jedyne, co widzieli na odwrotnej stronie powierzchni, to rozpalona do czerwoności skała i dziwne, strzelające poziomo płomienie. W drugim kącie sali majaczyła podobna rozpalona płaszczyzna tylko dużo, dużo dalej od nich, ta sama, którą widzieli wcześniej z poprzedniej sali: Druga Połówka. Jednocześnie Ezechiel zauważył, że z prawej strony, wprost z gwiazdnej pustki, powoli wyłaniał się olbrzymi głaz. Kapelusznik przyjrzał się dokładniej. Głaz był dość dziwny, jeśli tak można określić coś trudne do porównania z czymkolwiek. Najbardziej przypominał płaski i wydłużony mózg olbrzymiego kosmicznego stwora, który z jakiegoś powodu płynął swobodnie w przestrzeni kosmicznej. Powierzchnia tego obiektu była cała pokryta przecinającymi się wąwozami i zapadliskami, które

wykręcały pod dziwnym kątem, czasem zawracając tylko po to, żeby po chwili, po zetknięciu z innym zawijaszem, wrócić na dawny tor.

Ezechiel stał zapatrzony w kosmiczny spektakl. Połówka za jego plecami przesłaniała cały widok z tyłu, natomiast ta po drugiej stronie wydawała się relatywnie niewielka, choć i tak zajmowała dobre dwie trzecie kosmicznej pustki. Kapelusznik spojrzął na wpływający pomiędzy dwie połówki kształt. W tym momencie z drugiego końca błysnęło światło.

Obrócił się. Najpierw był to nieśmiały, pojedynczy promyk, który wychynął nieśmiało zza potężnej ognisto-czarnej powierzchni bliższej Połówki. Po chwili jednak rozbłysnął wyraźniej i bardziej żywo po to, by za kilkadziesiąt sekund zamienić się w świecąca półkulę. To słońce, błękitna, gorąca kula, wokół której krążyły Połówki. Blask słonecznych promieni odbił się od powierzchni kształtu wpływającego pomiędzy Połówki. Dopiero wtedy Ezechiel dostrzegł, że błyszczący materiał wypełnia niektóre bruzdy na jego powierzchni.

Kapelusznik był tak zadziwiony i onieśmielony niesamowitym zjawiskiem, że mało brakowało, a przeoczyłby głównego bohatera całego przedstawienia.

- Do transpozycji pozostało dwanaście minut - oznajmił Morbidius Mons.

Skinął dłonią na Cromleya. Promień słońca wychodzącego zza Połówki błysnął na łysinie prawnika jak na zamarzniętych kałużach osobliwego księżyca w kształcie

mózgu. Alastair Cromley podszedł na środek sali, gdzie na pochylonym, obszernym fotelu siedziała kobieta. Najwyraźniej była nieprzytomna. Ezechiel widział gęste, czarne loki spływające pofalowanym strumieniem po bokach skórzanego oparcia. Zgrabne łydki, odziane w balowe trzewiki wystawały spod fałd na skraju białej, zwiewnej sukienki. Alabastrowa skóra ramion błyszczała gdzieniegdzie pomiędzy kosmykami kruczych włosów.

Twarz kobiety pozostawała skryta w cieniu. Ezechiel jednak wiedział, kim jest piękna nieznajoma. Sam ją tu sprowadził. A teraz wreszcie się zacznie. Wyjrzał przez szybę. Z zamyślenia wyrwał go głos prawnika:

- Pozwoli pan, panie Ezechielu, że oddalimy się na razie razem z mecenasem Messem - powiedział uprzejmym tonem Morbidius Mons. - Mecenas Cromley zajmie się sfinalizowaniem operacji transpozycji, a my tymczasem musimy zająć się sprawami innych klientów Palestry, rozumie pan. - Rozłożył ręce w geście bezradności.

- Naturalnie - odparł Ezechiel machinalnie, nie patrząc nawet na dziekana Palestry. Jego uwagę przykuwał kosmiczny spektakl, rozgrywający się za przeszklonymi ścianami pomieszczenia specjalnego. Pomarszczony Owoc, naturalny satelita Połówek, właśnie wpływał pomiędzy obie części Świata. Zamarznięte jeziora w zagłębieniach jego fałd błyszczały w promieniach słońca. Owoc obracał się powoli wokół własnej osi. Blask słońca padł na twarz Ezechiela i utonął w cieniu, który spływał w dół spod ronda jego cylindra.

- Mecenasi Cromley, pozostawiamy pana z klientem - powiedział Mons.

- Oczywiście, dziękuję. - Cromley kiwnął łysą głową. - Proszę, niech pan podejdzie bliżej - powiedział do Ezechiela, stając obok fotela.

Pozostali prawnicy Piekielnej Palestry wyszli po cichu z sali.

- Czyli mam rozumieć, że nie udało ci się odzyskać mapy? - zapytał chłodno Mons, gdy tylko zamknęli za sobą błyszczące, czarne drzwi.

- Cesarscy ją zabrali, zanim kurier Mafii zdążył ją nam przekazać - odparł Mess. - Wszystko zostało przeprowadzone zgodnie z planem i obowiązującymi procedurami - zapewnił.

- To dlaczego nie mamy teraz mapy?

Prawa skroń dziekana uniosła się przy tym w nienaturalny sposób. Elliot nie cierpiał tego wyrazu twarzy, podobnie zresztą jak chyba wszyscy młodszy prawnicy Palestry. Morbidius Mons przybierał go z reguły wtedy, gdy chciał któremuś z nich okazać swoją wyższość. Był przewodniczącym Piekielnej Palestry, ale organizacja kierowała się dość luźnymi zasadami hierarchii, szczególnie na poziomie certyfikowanych mecenasów. Dziekan w fotelu wart tyle, co mecenas w hotelu, tak mówiło nieoficjalne prawo Palestry. Morbidius Mons doskonale sobie zdawał z niego sprawę. Był jednak inny niż jego poprzednik - nie tak uległy i skłonny do kompromisu, jak stary Julius Kokola. Morbidius chciał rządzić, Julius wolał radzić.

Natomiast Elliot Mess wiedział, że w kwestii mapy dziekan nie miał bezpośredniego kierownictwa nad wykonaniem zlecenia. Podobnie jak w przypadku tej kobiety, Wisnowskiej, i przybysza z zaświatów. Skąd on właściwie się wziął, ten cały Ezechiel? Nieważne zresztą, klient jest klient, pomyślał Mess.

- Proszę się nie niepokoić - powiedział Elliot, przywołując na twarz wyraz uprzejmej wesołości, nieco nonszalanckiej, tak żeby klienta rozluźnić, ale niezbyt wesołej, żeby nie budzić podejrzeń o brak profesjonalizmu. Inaczej mówiąc, Elliot Mess potraktował dziekana jak natrętnego klienta, któremu należy z profesjonalnym spokojem wytłumaczyć, żeby nie wtrącał się w pracę prawnika i czekał potulnie na wynik sprawy. - Wszystko jest pod kontrolą. Osobiście zajmuję się sprawą i mogę pana zapewnić, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Brew dziekana opadła do pozycji wyjściowej.

- Chce mi pan powiedzieć, że przejęcie mapy przez cesarskich żołnierzy jest częścią pańskiego planu? - zapytał.

Elliot miał wrażenie, że chłód ziejący ze słów dziekana niemal przygasił żar u jego stóp. Stary się tak łatwo nie podda.

- Proszę się tym nie przejmować - powtórzył Elliot Mess, wciąż z tym samym, nieskazitelnym i nienagannie szczerym uśmiechem przyklejonym do twarzy. - Wszystko jest pod kontrolą.

Dziekan tym razem nie odpowiedział, tylko zmierzył młodego mecenasu chłodnym spojrzeniem. Zmarszczył brwi i zamachał ręką ze zniecierpliwieniem.

- Lepiej, żeby miał pan rację - powiedział w końcu. - Nie chcemy przecież niezręcznej sytuacji z klientem, prawda? - Tym razem dziekan uśmiechnął się uprzejmie. - Nie z tym klientem, zapewniam pana, panie mecenasie. Chce przyzwać przedwiecznego i zapewnia, że zaraz opuszczą nasz świat, jak tylko dopełni się przeznaczenie tej kobiety. Jeśli to się uda w miarę szybko, myślę, że mapa tuneli nie będzie potrzebna. Ale w innym przypadku, będą chcieli zastosować odpowiednie przejście, a do tego będzie potrzebna mapa... Szczególnie w kontekście tych wątpliwości, które zgłosili co do tego oficera. Nie do końca zrozumiałem, ale ufam, że pan i mecenas Cromley...

- Proszę się nie martwić - przerwał Elliot. Dziekan spojrzał na niego z oburzeniem. - A teraz, pan wybaczy, panie dziekanie, ale muszę się zająć zleceniem. Ufam, że mecenas Cromley dokończy ten etap sprawy - dodał, po czym bez słowa obrócił się na pięcie, wywiercając w posadzce niewielką dziurkę.

Mordbidius Mons patrzył na dymiący ślad po niesubordynowanym podwładnym. Bez silnego charakteru ta organizacja się rozleci, myślał. Jeśli nie przejąłby władzy, jeśli ten stary piernik Kokola dalej stałby na czele Palestry, to na pewno dobrze by się to nie skończyło. Pozostawiał mecenasom zbyt dużą swobodę. I teraz mamy takich... nierozsądnych gówniarzy. Dziekan patrzył jeszcze przez

chwilę na lśniącą, białą posadzkę głównego korytarza piętra spotkań. Dziura po obcasie Messa powoli przestała dymić, a zaraz potem zaczęła zmieniać kolor, rozjaśniając spaleniznę, aż w końcu ubytek zasklepił się.

Elliot Mess był jednym z najlepszych prawników Piekielnej Palestry i Morbidius Mons miał tego świadomość. Nie bez powodu to właśnie Mess dostał sprawę wydobycia Lilith. Cromley zajmował się kwestiami technicznymi, związanymi z transpozycją i incepcją świadomości, ale to Mess koordynował całą sprawę. Powinien sobie poradzić jak nikt inny, ale najwyraźniej nie było to do końca prawdą. Mapa - legendarny niemal artefakt, w którego istnienie nie wierzył nawet on sam. No ale zlecenie jest zlecenie, a zdobycie mapy było jego częścią. Z pomocą Mafii miało się to udać. Mafia miała swoje kontakty. Morbidius podejrzewał, że robili interesy z lokalnymi radovskimi kupcami, ale nie zgłębiał zbytnio tej kwestii. Nie była to sprawa Palestry. Interesy Mafii pozostawały pod nadzorem Tatuśka i Palestra się do nich nie wtrącała. Mess mówił, że zaproponował Tatuśkowi uczciwą cenę za zdobycie mapy tuneli, Morbidius nie wiedział, ile i co takiego mu zaproponował. Ważne, że nie przekroczył budżetu. A ten, z uwagi na wysokie honorarium przedstawione przez zaświatowych klientów, również był odpowiedniej wysokości.

Tunele... Nawet sam Cesarz finansował z własnej kieszeni wyprawy badawcze, które miały przygotować ich plany i zbadać niejasne połączenia i zmiany w nich

następujące. Tunele nigdy nie pozostawały w jednym kształcie zbyt długo. Zmieniały się, krzyżowały, a czasem wydawało się, że całkowicie znikają w jednym miejscu, tylko po to, żeby za kilka miesięcy pojawić się na drugim końcu świata i wypłuć to, co połknęły w poprzedniej lokalizacji. Nierzadko były to szczątki dzielnych członków cesarskich wypraw badawczych, chociaż co do ich odwagi Morbidius miał pewne wątpliwości. Jego zdaniem była to niezbyt rozsądna banda straceńców, którym coś w życiu nie wyszło i postanowili dokonać czegoś niemożliwego. W efekcie ginęli marnie i bez śladu w czeluściach Tuneli. Ale jakby się nad tym zastanowić, czy nie właśnie na tym polega dążenie do poznania nieznanego, cecha wszystkich odkrywców i jeden z tych ledwie uchwytnych elementów, które czynią z ludzi... ludzi? Głupota i brak rozsądku, jak się wydaje, są nieodłączną cechą ludzkości, składają się na fundamenty człowieczeństwa.

Morbidius Mons uśmiechnął się do swoich myśli. Sam, podobnie jak większość piekielników, nie był człowiekiem, i to w najszerszym rozumieniu tego słowa, stosowanym na Połowce. Nie był ani człowiekiem, ani laskowikiem, ani tunelowcem, ani ciennikiem, ani nawet krasnoludem, chociaż wielu ludzi zwykło myśleć o piekielnikach jako podgatunku krasnoludów. Stereotypowe myślenie. To, że ktoś przebywał przez większość czasu pod ogólnie pojętą powierzchnią ogólnie pojętej ziemi, musiało automatycznie oznaczać, że był krasnoludem? Przecież w dzisiejszych czasach mało który krasnolud żył pod ziemią. Po co miałby

to robić? Chyba tylko ci najbardziej przywiązani do tradycji albo zwyczajnie zmuszeni do tego przez warunki panujące na powierzchni, daleko na północy, skąd się wywodzili, mieszkali jeszcze w tradycyjnych ziemiankach i kopalniach.

Morbidius nie był hominidem. Był piekielnikiem, a to zupełnie inna kategoria. Za to Mess był bardziej ludzki. Tak. Oto, czego naprawdę potrzebuje Palestra. Potrzebuje ludzkości. Całe Piekło musi się stać bardziej ludzkie. Inaczej zginie w natłoku racjonalizmu.

Za drzwiami do pomieszczenia spacjalnego rozległ się charakterystyczny trzask. Cromley wypuszcza kapsułę, pomyślał dziekan. Dobrze. Uśmiechnął się i odszedł w kierunku głównego pomieszczenia, żeby zobaczyć, jak przebiega ostatni etap zlecenia: podłączenie do Owocu i zaciągnięcie demona. Nie, nie demona. Jak to mówił ten kapelusznik? A tak... Pani Równowagi. Pani Lilith.

Kapsuła błyszczała w promieniach słońca, które wdzierały się w mroczną przestrzeń między dwiema połówkami Świata. Szklana kula płynęła powoli i jednostajnie kursem przecinającym się z trajektorią lotu Owocu. Ciągnęła za sobą srebrzysty przewód uwięzi, łączącej ją z Piekłem.

Owoc orbitował wokół obu połówek Świata. Przepołowiony Świat albo Świat Połówek, czasem Półświatek, tak nazywali go w Palestrze. Naturalnie piekielnicy wiedzieli o istnieniu innych światów. Morbidius Mons doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego klient,

który w tym momencie żeglował przez kosmiczny przesmyk, zamknięty w szklanym bąblu pomieszczenia spacyjnego, nie pochodził ze Świata Połówek. Dziekan Piekielnej Palestry nieraz miał do czynienia z zaświatowcami. W końcu sama Palestra funkcjonowała niejako na granicy światów. I chodziło nie tylko o to, że Piekło, siedziba Palestry, było zlokalizowane pomiędzy dwiema połówkami Świata. Spojrzał na Drugą Połówkę, majaczącą niczym czarna dziura przeszywana podpowierzchniowymi wybuchami wulkanów, po drugiej stronie przesmyku. Pozostawała ona wciąż w dużej części niezagospodarowana przez piekielników. Uwaga Piekła skupiała się tam, gdzie cywilizacja rozwijała się szybciej. Tam było więcej zadań dla Piekła, chociaż z uwagi na rosnące zapotrzebowanie mieszkańców Drugiej Połówki w Piekło wydzielono ostatnio specjalny Departament do spraw Koordynacji Rozwoju, który obejmował swoją jurysdykcją kontrolę nad kierunkiem zdarzeń na Drugiej Połowce.

Morbidius poruszył nosem. To na razie nie jego sprawa. Piekielna Palestra nie uczestniczyła jeszcze w tym projekcie. Wykazywane przez von Denikena, dyrektora DKR-u, zapotrzebowanie na usługi piekielnych prawników było wciąż zbyt niskie, żeby angażować się w ten nowy projekt. Zresztą Palestra cierpiała ostatnio na poważne braki kadrowe. Niż demograficzny, który dotykał obecnie społeczność piekielników, miał dla Palestry bardzo dotkliwe skutki. Prawda, że mieszkańcy piekła żyli na tyle długo, że

w opinii Powierzchnowych, jak pod ziemią nazywano hominidów zamieszkujących Połówkę, obecnie głównie obywateli Cesarstwa, piekielnicy byli nieśmiertelni. Niemniej Natura tak już działa, że im dłużej żyjesz, tym trudniej się mnożyć. I ten prozaiczny problem sprawiał, że liczba Powierzchnowych, a wraz z nią, jeśli dołożyć do tego skokowy w ostatnich dziesięcioleciach postęp techniczny i społeczny, ogrom spraw, które wymagały uwagi Palestry, rosły w zastraszającym tempie. A w każdym razie dużo szybciej niż Palestra byłaby w stanie powiększać swoje szeregi. Pewne usprawnienia i nowinki techniczne, często zaczerpnięte z pomysłów tych tam na górze, pomagały radzić sobie z problemami, ale w żaden sposób nie były w stanie ich zażegnać.

Ot, taka kapsuła spacjalna, Morbidius westchnął, spoglądając za okno. Kiedy był młodym aplikantem, jakieś pięćset lat temu, mecenasi musieli wyprawiać się na Owoc w otwartej przestrzeni. Zakładali specjalne kombinezony, które miały ich chronić przede wszystkim przed szkodliwym, jak zdążono zauważyć po pierwszych, dość dramatycznych w skutkach próbach, działaniem promieniowania słonecznego. Kosmiczny mróz, jak się okazało, nie był specjalnie szkodliwy dla Piekielników. Ich organizmy potrafiły bardzo dobrze utrzymywać odpowiednią temperaturę ciała. Wyjątkiem były tylko zbyt wysokie temperatury. Morbidius aż się wzdrygnął na wspomnienie feralnej podróży na pustynię Karak-Dum, gdzie miał się zająć pewnym bardzo grzesznym

plemieniem, które w bardzo nieczysty sposób usiłowało rozprawić się ze swoimi pobratymcami z sąsiedniej części pustyni. Czyli tych mieszkających za niewidzialną, utrwaloną w tradycji (głównie ustnej, to znaczy krzyczanej) granicą.

Mons usiadł w skórzanym fotelu o czarnym, przeszywanym poszyciu i odchylił się na pojedynczej nóżce, opierając nogi o barierkę, oddzielającą go od przeszklonej ściany. Za szkłem widział, jak bańka na uwięzi zatrzymuje się, nie przebywszy nawet jednej czwartej odległości dzielącej podstawy obu Połówek. Owoc wpłynął przed nią majestatycznie, błyszcząc zamarzniętymi kraterami i bruzdami powierzchni. Nagle na jednej ze ścian kapsuły powstał delikatny rozbłysk światła, po czym w chmurze sprężonego powietrza wytrysnął z niego pojedynczy, srebrny, gruby przewód, zakończony podwójnym szpikulcem o zakrzywionych ostrzach. Szpikuliec poszybował prosto na spotkanie Owocu.

Powolny kosmiczny taniec trwał jeszcze przez dwie godziny i piętnaście minut. Dopiero wtedy biały piasek w palisandrowej klepsydrze, uwieszanej pod sufitem, przesywał się w całości i rozległ się dźwięk gongu. Teraz nastąpi transpozycja, pomyślał Morbidius, odprężając się nieco. Wiedział, że najtrudniejszy etap za nimi. Jakkolwiek mało spektakularny, lot na spotkanie Owocu w otwartej przestrzeni międzypołówkowej był ryzykownym przedsięwzięciem. Palestra, z pomocą piekielnych astrologów, dokonywała bieżących aktualizacji danych

dotyczących prędkości przelotowej, częstotliwości obrotów i aktualnej pozycji Owocu. Jako naturalne więzienie psioniczne, na którym momentalnie zamarzały wszystkie siły dowolnej świadomości, Owoc był bardzo ważnym elementem w polityce prowadzonej przez Piekło. Stanowił zarówno bardzo wygodne miejsce, żeby pozbyć się niechcianych świadomości ze świata, jak nadmiarowych grzeszników, czy zaświatowców, istot odwiedzających Świat Połówek, nie tak znowu rzadko. Jednocześnie Owoc nosił w sobie zmrożone kody psioniczne wielu innych istot, które prawdopodobnie nigdy nie postawiły na żadnej z Połówek stopy. Albo płetwy... Albo jakiegokolwiek ślimaczej macki, w którą mogłyby zostać wyposażone przez przewrotną naturę. Nie wiadomo do końca, skąd się tam wzięły. Zarówno Piekło, jak i sama Piekielna Palestra posiadały kilka teorii na ten temat. Morbidius osobiście najbardziej wierzył w tę, która mówiła, że Owoc jest w istocie pomostem, swoistym skrzyżowaniem tuneli międzywymiarowych, gdzie łączą się drogi do i z różnych równoległych światów. Stąd zapewne wzięła się na nim ta szefowa nowego klienta. Pewnie przybyła którymś z tuneli, trafiła przez przypadek na Owoc i momentalnie ją zmroziło.

Transpozycja wydawała się przebiegać bez przeszkód. Była to stosunkowo bezpieczna operacja. Najtrudniejszym elementem tego etapu było znalezienie właściwej świadomości wśród tysięcy zamrożonych jeziorek, które powstały na Owocu i więziły siły demonów. Do tego trzeba wykonać tę operację na odległość i w krótkim czasie. Nie

można zbyt blisko zbliżyć się do Owocu, ponieważ anomalie grawitacyjne, powstające gdy przepływał pomiędzy Połówkami, mogłyby zniszczyć kapsułę spacjalną albo wyciągnąć ją hen w otwartą przestrzeń poza przesmykiem. Z tego samego powodu nie było możliwe lądowanie na Owocu. Wielu piekielników zostało pociągniętych w kosmos, gdzie Owoc krążył zbyt wysoko ponad powierzchnią świata, żeby móc z niego bezpiecznie wrócić na dół. Żadna istota, nawet piekielnik z odpowiednim sprzętem, nie była w stanie przetrwać ekstremalnych zmian temperatur, które zachodziły na powierzchni Owocu w trakcie jego wędrówki wokół Połówek. Co prawda teoretycznie można by przyłgnąć do lodu, który nigdy nie topniał, nawet wystawiony na słońce, ale to i tak za mało. Powrót w przestrzeń międzypołówkową trwał zbyt długo, a piekielnicy, jak wszystkie istoty żywe, musiały uzupełniać swoje zapasy biologiczne.

Ze względu na te przeciwności opracowano technologię pozwalającą niejako zassać odpowiednią świadomość, bez jej rozmrażania, z odpowiedniej odległości od Owocu. Cała operacja musiała się odbyć sprawnie i szybko, zanim Owoc zacznie oddalać się w stronę przeciwnej krawędzi pustki międzypołówkowej. Ale z tym raczej nie było problemu. Poważniejsze komplikacje mogły wystąpić przy przetransponowaniu odpowiedniej świadomości, tej, której się szukało. Morbidius Mons nie znał wszystkich szczegółów. Tym zajmowali się specjaliści pokroju Alastaira Cromleya. Wiedział tyle, że należało mieć kilka

precyzyjnych danych na temat pobieranej świadomości. A najlepiej, żeby w trakcie ekstrakcji był ktoś, kto mógł niejako wskazać aurę psychostatyczną danej istoty, zauważonej w odbiciu na zamarznętej sadzawce. Alastair mówił, że w tym właśnie celu potrzebuje obecności Ezechiela w trakcie operacji. Sam mecenas nie znał świadomości, którą ma pobrać. Klient nie chciał również podać prawnikowi zbyt wielu szczegółów.

Morbidius, jako przełożony Piekielnej Palestry, nie był zachwycony tym pomysłem i początkowo dość ostro mu się sprzeciwiał. W końcu wysyłanie klienta osobiście w kosmos mogło sprawiać wrażenie wielkiego braku profesjonalizmu, nie mówiąc już o ryzyku dla klienta. Na szczęście Ezechiel nie zdawał się szczególnie oponować, a jednocześnie Alastair twardo stał na stanowisku, że w inny sposób nie jest w stanie zagwarantować pełnego sukcesu operacji. Mons ostatecznie ustąpił i nie upierał się więcej.

Patrzył przez szybę na przytłaczającą czerń drugiej Połówki, rozświetlaną nagłymi wybuchami lawy. Kapsuła i podłączony do niej cieniutką, srebrną nitką majestatyczny Owoc zrównały się ze sobą. Wydawało się, jakby zastygły w miejscu w tej pozycji, jakby zmroził je i unieruchomił nagły podmuch kosmicznego mrozu, jak parę kochanków, którzy patrzą na siebie po drugiej rozłące i żadne nie jest w stanie się ruszyć, zszokowane wyglądem drugiej twarzy, kochanej twarzy, niemal umarłej w świadomości partnera z powodu długiej nieobecności.

I nagle na końcówce nici, wgrzyzionej w powierzchnię Owocu jak jakiś kosmiczny tasiemiec, pojawił się pomarańczowy rozbłysk. Chwilę później cała nić rozjarzyła się fioletowo-pomarańczową poświatą i Mons widział, jak przewód wybrzusza się i jak to wybrzuszenie podąża w szybkim tempie w kierunku kapsuły niczym krowa przesuwana przez ogromnego węża wewnątrz przełyku. Przewód odpadł od kapsuły i w tym momencie cały spektakl ruszył w dalszą drogę. Owoc zaczął się dalej przesuwać na swojej kosmicznej drodze po skomplikowanej orbicie, a kapsuła ruszyła w drogę powrotną, w kierunku Piekła.

W pomieszczeniu błysnęła lampka ostrzegawcza. Chwilę potem rozległ się głos Cromleya:

- Transpozycja przebiegła pomyślnie. Nie zanotowałem większych zakłóceń. Zmrożona świadomość celu zaaplikowana w stanie uśpienia na nowym nośniku. Rozpaczynam procedurę cumowania. - Zakończył mówić, po czym w głośniku rozległo się kilka radiowych trzasków.

Mons uśmiechnął się zadowolony. Podreperuje troszkę budżet Palestry. Po chwili uśmiech spłynął z jego twarzy. Tylko żeby Mess nie nawalił.

Wstał z fotela i poszedł w kierunku przedziału cumowniczego. Trzeba jeszcze przygotować kilka formalności. A Mess nie nawali, pomyślał. Jeszcze Palestra wyjdzie na ludzi.

III. PRZESZŁOŚĆ TATARA, CZAROWNICA I STARE DRZEWO

Stali tak już kilka godzin. Koniowi zdawało się to nie przeszkadzać. Trawka na łące wyglądała na dużo bardziej soczystą, niż ta rosnąca na spalonym stepie. Wierzchowiec skubał co bardziej zielone źdźbła. Pozwalał sobie nawet na luksus skubania małymi kęsami i wybór kępek. Mały mongolski konik wędrował po łące usłanej kurhanami wniebowzięty i tylko momentami chłodny, porywisty wiatr zakłócał mu błogą konsumpcję, wdzierając się natarczywie pod długie futro. Ale zwierzę mogło to przeżyć. Nie narzekało. Jeśli to miałyby być jedyna cena za udostępnienie mu tego raj, tego istnego końskiego Eldorado, to proszę bardzo, wicher może wiać do woli. Jeśli chce, może nawet sypnąć jakimś deszczem, a co!

Ułan-Ude miał jednak inne zdanie.

- Długo jeszcze? - zapytał. Szósty raz w ciągu godziny.

Cicero stał na skraju lasu, na szczycie najwyższego z kurhanów, pomiędzy którymi pojawili się dziwaczni rozmówcy.

- Nie - odparł Strażnik. Uśmiechnął się uprzejmie i ponownie wpatrzył w skraj lasu. Szósty raz w ciągu ostatniej godziny. Tatar westchnął. Podszedł do wierzchowca i zmierzwił mu gęstą grzywę w kolorze słomy.

- A na co czekamy? - spróbował.

Tym razem Cicero nie odpowiedział. Stał wciąż, niemal nieruchomo, na szczycie pagórka wsparty na trójzębie. Jedną dłonią poprawił kapelusz. Technicznie rzecz biorąc, Ułan-Ude musiał stwierdzić, że Strażnik nie do końca wspierał się na trójzębie. Raczej trzymał go w dwóch spośród pięciu dłoni, lewitujących wokół jego żółwiorybiego ciała, bez żadnego widocznego połączenia. Należałoby wobec tego powiedzieć, że opierał na trójzębie dwie dłonie, a sam stał na kurhanie. Ale jakoś nijak pasowało to do pozy Strażnika. Ułan-Ude niemal był pewien, że Cicero opiera się na trójzębie, pomimo braku połączenia dłoni z tułowiem. Pokręcił głową i spojrzał na swojego wierzchowca.

- I co nam przyszło? - zapytał. Koń naturalnie nie odpowiedział. Wyrwał cztery najbardziej soczyste źdźbła trawy z pobliskiej kupki, po czym uniósł łeb i spojrzał na swojego pana wzrokiem pełnym zrozumienia i współczucia.

- No właśnie - westchnął Tatar. - Ja rozumiem, że umarliśmy, ty i ja. Było to dość oczywiste, jeśli wziąć pod

uwagę te wszystkie bełty wystające z twojego grzbietu. – Koń kiwnął głową ze smutkiem, po czym zagłębił pysk w sąsiedniej kępcie trawy. – Ach, no i racja, ten rusiński miecz w moich trzewiach też zapewne zrobił swoje. Ale powiedz mi, nie mogli nas tam zostawić? Skoro już nie umarliśmy tak całkowicie, że nie zniknęliśmy ani nie przeniosło nas w jakieś pieprzone zaświaty, to mogli nas przecież tam zostawić. Co by szkodziło? Pusty step, żadnej żywej duszy w promieniu co najmniej kilku mil. Racja, gdzieś tam było widać, że coś budują w oddali, ale to całkiem niedawno. A, no i wylali gościniec tym śmierdzącym, czarnym płynem, który zastygł na ziemi jak skrzep na ranie. Ale przecież nikomu nie przeszkadzaliśmy, prawda? – Opuścił wzrok, żeby spojrzeć na swojego wierzchowca, ale jego już nie było. Wiatr zaplątał się w futrzaną czapę Tatara, zsuwając mu część włosów prosto w oczy.

Mężczyzna rozejrzał się nerwowo. Obrócił się na pięcie i zobaczył, jak koń podchodzi do Cicera. Podetknął łeb pod jedną z jego dłoni. Strażnik uśmiechnął się kącikiem dziobu.

– Zdrajca – wycedził przez zęby Ułan-Ude.

Strażnik zmierzwił grzywę wierzchowca. Koń zarżał z zadowoleniem. I w tym momencie z lasu dobiegł donośny szelest. Zaraz potem trzasnęły łamane gałązki. Coś spadło z łoskotem na ziemię.

– Kurka wodna – rozległ się głos z wnętrza lasu.

Zawtórował mu kolejny szelest i trzask, tym razem, jak pomyślał Ułan-Ude, chyba gałęzi. Domysły potwierdziły trzask łamanego drewna i głuchy huk.

- No żeż, nikt nie dba o te lasy dzisiaj?! - powtórzył tajemniczy głos. Był niski i chrapliwy, głęboki i brzmiał jak przeziębiony jeleń na rykowisku.

Ułan-Ude zdjął łuk z ramienia i ostrożnie założył strzałę na cięciwę. Ugiął lekko kolana wpatrzony w gęste gałęzie pokryte świeżymi liśćmi, które odcinały od łąki wewnątrz lasu szczelną, zieloną kurtyną.

- To się nazywa rezerwat przyrody - odparł drugi głos, ewidentnie damski i nieprzyjemnie skrzeczący. - Susły tu żyją. Susły perełkowane. Nie należy im przeszkadzać, więc ludzie zostawiają rośliny, żeby rosły, jak chcą.

Liściasta kurtyna zatrzęsa się. Pękła kolejna gałąź. Ułan-Ude uniósł łuk, ale nie napinał cięciwy. Był dobrym strzelcem, wiedział, że czas napięcia cięciwy i celowania należy ograniczyć do minimum - silne szarpnięcie, z barku i zluzowanie palców, najlepiej w tym samym ruchu.

- O! Są już! - zaskrzeczała kobieta. - Pochwalony niech będzie pan, dzień dobry, panie Cicero!

- Ale ja wciąż nie rozumiem, dlaczego nie można poprzycinać tych chwastów? Tylko duszą większe drzewa - wtrącił jeszcze Zachrypnięty Jeleń.

Kurtyna drzew rozchyliła się najpierw na wysokości niewiele większej niż półtora metra. Na łąkę wyszła niska, krępa kupka różnokolorowych szmat, podpierając się drewnianym kosturem.

- Dzień dobry, Jarugo - powiedział Cicero i uchylił kapelusz w uprzejmym ukłonie.

- Ha! - zawołała kupka szmatek i uniosła się, odsłaniając przy tym pomarszczoną twarz. - Ale żeś urósł, syneczku! Zawsze byłeś duży, ale teraz to się wywyższasz jak partyjny kacap na wsi. O! Widzę, że załatwiłeś sobie konika! A jak niby na nim jeździsz, co? Jak baba, na oklep? - zapytała, a jej głos przeszedł w skrzekliwy, wesoły śmiech.

Ułan-Ude już chciał odwiesić łuk na ramię, nie będzie przecież strzelał do staruszki, gdy kurtyna lasu odsłoniła się ponownie. Tym razem z trzaskiem łamanych gałęzi kilka metrów ponad głową Cicera. Liście rozsunęły się na boki, ale z początku Tatar nie dostrzegł niczego niepokojącego. Dopiero po chwili zobaczył potężne rogi, niemal tak długie jak cała staruszka, stojąca u podstawy kurhanu. Poniżej rogów była głowa, pokryta brązową korą, podłużna jak kłoda. W dwóch dziwnie symetrycznych kręgach zalśniły żółte tęczówki oczu, a jeszcze niżej znajdowało się drzewo. Zwyczajny, szeroki pień dębu, rozwidlony poniżej głowy na dwa konary, zakończone pokrzywionymi szponami i dwie kłody u podstawy pnia. Wszystko pokryte delikatną warstwą liści, najgęstszą poniżej podstawy podłużnej głowy stwora i pomiędzy kłodami, które najwyraźniej pełniły funkcję jego nóg.

Ułan-Ude wypuścił trzy strzały z rzędu. Pierwsza wbiła się w potężną hubę na ramieniu stwora, druga tuż poniżej żółtawego oka, a trzecia huknęła głucho i znikła wśród liści pomiędzy nogami.

- Co jest, do jasnego próchna?! - przeklął Zachrypnięty Jeleń. - Dzięcioły jakieś, czy co? - Świsnęła czwarta strzała. Pocisk utkwiał pomiędzy dwiema gałązkami na końcu ramienia stwora, jak złapany w imadło. Potwór zbliżył dłoń do twarzy i przyjrzał się strzale. - Masz swoje świstaki, stara babo - powiedział.

Uchwycił strzałę w dwa palce i złamał ją niczym zapalkę.

- E, to nie świstak, mój ty drewniaczku - odparła staruszka.

Jej oczy zwęziły się i spoczęły na tatarskim wojowniku, który wypuściwszy cztery strzały w drewnianego potwora, właśnie zastanawiał się nad sensem swojego dalszego istnienia. Miał nawet jakiś plan, ale zważywszy na długość nóg drewnianego potwora, doraźnym środkiem zaradczym byłby wierzchowiec, jego wierny koń bojowy, z którym przeżył tyle przeciwności losu, który był z nim do śmierci i zginął w bitwie razem ze swoim panem. I który teraz najwyraźniej miał go głęboko gdzieś, podstawiając kudłaty łeb pod eteryczną dłoń żółwioryby stojącej na kurhanie.

- Coś ty tu przytargał żółwiku, hę? - zaskrzeczała starucha.

Ułan-Ude chciał sięgnąć po kolejną strzałę i błyskawicznym, wyćwiczonym ruchem posłać ją prosto między te dwie wąskie szpary, tuż ponad pokrytym krostami nosem staruszki. Ale nie mógł się ruszyć. Stwierdził to z początku jak zwyczajny fakt. Ot, jakby powiedział: o, będzie padać. Po chwili jednak świadomość zagrożenia

dopchała się do głosu i poczuł dreszcze na karku. Mroźne odnoża mrówek paniki dreptały równymi rzędami wzdłuż pleców miarowo, aż do czubków palców u stóp.

- To właśnie on - oświadczył Cicero.

- Ano widzę, że nie ona - odparła starucha. - Pamiętam takich gagatków, oj pamiętam. Małą dziewczynką byłam, jak się panoszyli po tych ziemiach. U mateczki się szkoliłam na jarugę. - Starucha wyprostowała się, przechyliła głowę, po czym poczłapała niezdarnie w kierunku Tatara. Drzewiasty potwór zaskrzypiał konarami i przyglądał się całej sytuacji, drapiąc się końcówką gałęzi w miejsce, z którego właśnie wyrwał sobie strzałę. - Dużo narozrabiali w okolicy chłoptasie - stwierdziła, zbliżając się do zmartwiałego Tatara. - Bardzo źli byli. Bardzo źli. Dużo zła uczynili. Dużo trwogi zasiali w tej żyznej glebie, a potem wyrosli z niej piękni, dorodni ludzie, silny lud, podlany terrorem. Z terrorem w żyłach. Ze śmiercią w żywej krwi krążącej jak tlen.

Zatrzymała się przed Ułanem-Udem i uniosła pomarszczoną dłoń. Tatar chciał krzyknąć, chciał uderzyć ją prosto w twarz. Ale odwrócił tylko wzrok. Ujęła go delikatnie pod brodę i zmusiła, żeby spojrzał jej głęboko w oczy. Tatar zamarł. Zobaczył przed sobą zmrużone, nieco skośne oczy staruszki osadzone głęboko w okrągłej, pomarszczonej twarzy. Były żółte, dopiero po chwili dotarło to do Ułana-Udego, ale zdał sobie z tego sprawę tylko na krótki moment, bo za chwilę wszystko znikło i zobaczył ogień.

Z początku miał wrażenie, że płomienie go pochłaniają, że płoną dokoła niego i zacieśniają krąg coraz bardziej. Dopiero po chwili zorientował się, że to było w dole, że po prostu patrzył na nie z dość bliska, ale unosił się tuż poza zasięgiem jaskrawych języków. Nie mógł się rozejrzeć na boki. Kątem oka dostrzegał, że poza łuną płomieni panowała noc.

A w dole płonęła wioska. Widział to teraz doskonale. Słomiane strzechy strzelały w powietrze snopami iskier. Drewniane belki stropów waliły się do środka z hukiem. Z chat wybiegali ludzie. Część z nich, małych, czarnych sylwetek, biegała i wołała żałośnie do niebios o ratunek i zmiłowanie. Wołali do zawieszzonego nad tą małą apokalipsą Tatar, zwiastuna piekieł.

Ułan-Ude spojrział w bok i zobaczył jak inne sylwetki, jeźdźcy, wpadają z dużą prędkością pomiędzy chaty, niosąc śmierć. Rozpoznawał ich bardzo dobrze. Pamiętał futrzane kołpaki, krótkie łuki uwieszone w kołczanach przy siodle, przysadziste sylwetki niewielkich, stepowych koników.

Znał to. Pamiętał. Tatarzy rozpoczęli rzeź. Wjeżdżali pomiędzy panikujących wieśniaków. Trysnęła pierwsza krew.

- Walczcie! - Chciał krzyknąć Ułan-Ude. - Nie dawajcie się! Zbijcie się w grupę! - Usiłował radzić, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

W dole kolejny Tatar przejechał przez środek kłębiących się wieśniaków. Złapał za włosy uciekającą kobietę. Drugi podjechał z boku i ciał prostopadle, powyżej

barków. Głowa kobiety została w dłoni pierwszego z wojowników, który zaśmiał się i wrzucił ją do płonącej chaty.

Ułan-Ude wrzeszczał bezgłośnie. Przywiązany pod niebiosami usiłował się szarpać, wyrywać, ale bez skutku.

Tatarzy wyrwali kolejnej kobiecie dziecko i przecięli je w pół. Dwóch wieśniaków złapało widły i usiłowało się bronić przyparciu do ściany płonącej stodoły. Tatarzy zsiadli z koni i wyciągnęli łuki, a następnie naszpikowali mężczyzn strzałami jak poduszeczki do igieł.

- Nie! - wrzeszczał Ułan-Ude. - Dość! Ja nie chciałem! Dość!

Czuł, że dłużej nie wytrzyma, że gniew rozsądzi go od środka, że zaraz umrze z samej grozy spowodowanej patrzeniem na to, co wyczyniali jego rodacy. Co sam kiedyś wyczyniał. W dole ludzie umierali. Płomienie huczały. Wszystko wracało w jednej chwili.

Ułan-Ude szarpał się i wyrywał, wtedy nagle płomienie zwinęły się i zawirowały. Wioska znikła. Tatarzy znikli. Rzeź znikła i po chwili również płomienie wygasły i Ułan-Ude zobaczył pod sobą miasto. Ciągnęło się hen daleko po horyzont wzdłuż szerokiej, granatowej rzeki. Na wschodzie widział czerwone słońce, a obok niego przeleciał płaski żółw.

I nagle znów zapłonęły płomienie tylko po to, żeby po chwili przemienić się w żółte oczy Jarugi, wpatrujące się w niego z zainteresowaniem.

- No, no, no - powiedziała staruszka. - Kolega pójdzie z nami. My się nim zajmiemy.

Ułan-Ude poczuł uderzenie w potylicę i świat zawirował mu przed oczami, a następnie zgasł.

Równy, delikatny wiatr przeczesywał długie źdźbła suchej trawy, porastającej step. Sierżant siedział na niedużym kamieniu i obserwował, jak żołnierze zataczają coraz szersze kręgi w trzech krańcach kamiennej konstrukcji. Nie miał żadnych wątpliwości, że uciekinier wbiegł tutaj. Jakies ślady muszą być, przecież uciekał na koniu, nie mógł rozmyć się w powietrzu. Nawet jeśli ten koń z jakiegoś niezrozumiałego powodu miał tylko jeden ogon, to na pewno musiał zostawiać ślady na popękany, suchym gruncie. Chociaż, pomyślał sierżant, w sumie nie musiał. Ostatnio wydarzyło się tyle rzeczy, które nie tylko nie musiały, ale wręcz nie powinny mieć miejsca, że w sumie głupi jednoogoniasty koń, który nie pozostawia śladów na ziemi, również nie byłby szczególnie zadziwiający. Rzeczy się po prostu dzieją, powtarzał sierżantowi ojciec, stary drwal z Mokocji, daleko na wschodzie Cesarstwa.

- Rzeczy się dzieją, synu, i nie należy się nad tym zbyt długo zastanawiać, bo może się ich zawsze dzieć więcej - tłumaczył młodemu podrostkowi.

No dobrze, niech będzie, że rzeczy po prostu się dzieją. Niech będzie, że zbyt dużo o nich myślał, o Powstańcach, o Puszczy, o zastępstwie Kropiewa, o złych przeczuciach

w kontekście patrolu i przez to sprawił, że wszystkie późniejsze... rzeczy się stały. Rozmnażał rzeczy? Czy jak to mogło działać? Potrząsnął głową. Nie, nie myśl już, bo będzie jeszcze gorzej. Gdy podoficer zaczynał zbyt dużo myśleć, z reguły nie kończyło się to zbyt dobrze dla podoficera. Stara żołnierska zasada.

Ale co teraz? O tym musiał pomyśleć. Ma rozbić obóz? Zapasy starczą na kilka dni. Wzięli namioty i podstawowe rzeczy na biwak. Tylko co dalej? Jakiś głos z tyłu głowy podpowiadał mu, że dalej jakoś to będzie, niech się nie przejmuję. Z niesmakiem stwierdził, że był to głos porucznika Kropiewa, tego samego oficera, za którego sierżant zgodził się wziąć dowództwo patrolu. Nie wiedział dokładnie, co się stało porucznikowi, ale z pewnością nie nadawał się na patrol. Spojrzał na szerokie plecy Wałowiewa, który właśnie padł na czworaka i niemal z nosem przy ziemi przemierzał kolejne okręgi wokół pobliskiego menhiru. Ten przynajmniej wiedział, którą stroną karabinu gnomy wyrzucają kule, pomyślał. Co prawda sierżant nie miał wątpliwości, że Wałowiew zdawał sobie z tego sprawę raczej instynktownie. Nawet jeśli ktoś mu wytłumaczył, w jaki sposób działa karabin wyrzutowy, i tak tego nie zapamiętał. Nie jest zbyt mądry, ale przydaje się na misjach. Strzela czasem, a i szablą potrafi nie zrobić sobie krzywdy. Ale najważniejsze, że niezbyt dużo myśli i się nie boi. Nie zna strachu. Wykorzystaj go dobrze, tylko ostrożnie, mój drogi. Sierżant skrzywił się i splunął pod nogi. Miał już szczerze dość porucznika, który z jakiegoś

powodu upatrzył go sobie na obiekt swoich czułości. Sam sierżant nie miał żadnych skłonności w stronę bliższych relacji intymnych z innymi mężczyznami. Wiedział, że w wojsku było to dość powszechne zjawisko, szczególnie na odciętych od świata placówkach, wysuniętych daleko na rubieże Imperium. Dlatego też sierżant nie miał za złe Kropiewowi jego skłonności. Miał jednak dość tego, że porucznik upatrzył sobie akurat jego spośród stu kilkunastu członków załogi Przyczółku Thorgalskiego, akurat biedny sierżant stał się obiektem westchnień spragnionego czułości porucznika. Przecież wszyscy wiedzieli, że w jednostce nie miałyby problemu ze znalezieniem partnera. Zaczynał nawet podejrzewać, że ta cała choroba to nie przypadek. Ustawienie całej sytuacji, w wyniku której sierżant wylądował, gdzie wylądował, to mogła być po prostu zemsta za dość obcesową odmowę spędzenia wieczoru z porucznikiem sam na sam. Hmm, może coś w tym jest? – Sierżant podrapał się w brodę.

– Panie sierżancie! Panie sierżancie! – zawołał Tropiew.
– Ślady, panie sierżancie! – Żołnierz stał pomiędzy dwoma pionowymi głazami o szerokości nie więcej niż metr każdy i machał ręką. Suworow i Wałuwiew zatrzymali się w swojej drodze wokół wyznaczonych im fragmentów kręgu i spoglądali na kolegę.

– Wałuwiew, Suworow! – zawołał sierżant, unosząc się ciężko z kamienia. – Kontynuować zadanie – rozkazał. – A wy – kiwnął głową na Tropiewa – pokażcie, co tam macie – rzucił i poszedł wolnym krokiem w stronę żołnierza.

Iwan Tropiew przewyższał go wzrostem o głowę. Spośród wszystkich trzech członków patrolu, ten, zdaniem sierżanta, najbardziej odpowiadał komuś, kogo można chociaż z grubsza uznać za żołnierza Armii Cesarzowskiej. Prosty chłop z Podleśnej wsi, syn rolnika i wiejskiej nauczycielki. Duży, barczysty chłop. Prawda, niezbyt inteligentny, ale jednocześnie nie tak tępy jak Wałuwiew. Tropiew, zdaniem sierżanta, wykazywał się mniej więcej takim poziomem inteligencji, jakiego wymaga się od szeregowego huzara: tyle, żeby nie zadawał zbyt dużo pytań i nie wylazł nieprzyjacielowi pod szablę w czasie bitwy. Żołnierz stał wyprostowany, z karabinem przy nodze. Gnom wychylił się z kolby i zaszalutował. Sierżant oddał salut i rozejrzał się po trawiastym podłożu. Nie zauważył niczego, co choć trochę mogłoby przypominać ślady końskich kopyt.

- No i...? - ponaglił Tropiewa.

- Panie sierżancie! - zawołał żołnierz przesadnie głośno, ale dokładnie tak, jak nakazywał regulamin. Sierżant nie lubił tego fragmentu regulaminu.

- Ciszej... - Skinął ręką. Czy stratedzy wojskowi ustalający regulamin przekazywania informacji w wojsku zakładali, że istnieje aż tak duże ryzyko, że wszyscy są głusi? A może po prostu te ciągłe wrzaski w końcu do tego doprowadzały, więc ostatecznie i tak stawały się niezbędne? No, bo przecież nie chodziło o to, że karabiny głośno huczą. W czasie bitwy raczej się z nich nie strzela, chyba że chodzi o rozgonienie jakiejś hołoty, której nie chce się zrobić

krzywdy, wtedy to co innego. Wtedy gromiący karabin, może czasem plujący z lufy ogniem, gdy gnom dołoży odpowiedniej mieszanki do piecyka w kolbie, może skutecznie ostudzić emocje tłumu. A dobrze wymierzony strzał mógł zadać dość poważne rany, a nawet, przy trafieniu w oko albo pomiędzy oczy, zabić.

- Ślady, panie sierzancie - wyjaśnił Tropiew, ewidentnie dumny ze swojego odkrycia.

- No i gdzie wy widzicie te ślady, chorąży - westchnął sierżant. - Przecież tu nic nie ma. Oprócz trawy oczywiście. Wracać do roboty i nie wołać mnie na próż... - Sierżant urwał. Coś błysnęło z kępki suchych krzaków. Ukucnął. - Co to jest? - mruknął pod nosem.

- To jest ślad, panie sierzancie - odparł Tropiew zadowolony. - Melduję posłusznie - dodał po chwili.

W tym czasie dowódca ostrożnie rozgarnął trawę ostrzem noża. Tuż przy ziemi, przewieszony przez suchą nitkę słomianej trawy, wisiał srebrny łańcuszek. Był relatywnie niewielki, bardziej wyglądał jak bransoleta niż naszyjnik. Sierżant dźgnął go nożem i wydobyl spod szeleszczącej warstwy stepowej ściółki.

- Bardzo dobrze - mruknął sierżant pod wąsem.

- Dziękuję, panie sierzancie! - powiedział Tropiew. - To istotny ślad w mojej opinii, melduję posłusznie, bo innych nie ma - dodał.

- Zamknij się - odparł dowódca.

- Tak jest, panie sierzancie!

Srebrna blaszka błysnęła w słońcu. Sierżant ułożył ją na dłoni i przyjrzał się dokładniej. Kątem oka dostrzegł, że wbrew wyraźnemu rozkazowi pozostali żołnierze zaprzestali dalszych poszukiwań, podeszli do Tropiewa i przyglądali się przez ramię chorążego. Do drobnego, srebrnego łańcuszka z delikatnych, filigranowych ogniów była przytwierdzona płaska, podłużna blaszka. Sierżant przyjrzał jej się bliżej. Wzrok już nie ten, pomyślał.

- Panie sierżancie! To jest jakiś herb! - zawołał Suworow.

- Widzę przecież!

Prawdę mówiąc, musiał się przed sobą przyznać, że nie wpadł na to od razu. Niemniej, problem pozostawał. Wzór wytłoczony na srebrnej blaszce nic mu nie mówił. Wstał, strzelając kolanami i obrócił się do żołnierzy.

- Rozpoznajecie, co to za herb? - zapytał.

Suworow wystąpił nieśmiało zza szerokich pleców kolegów i podszedł do sierżanta. Upewnił się jeszcze krótkim spojrzeniem na twarz dowódcy, po czym pochylił się nad jego dłonią, jakby chciał ją ucałować z szacunkiem. Odchrząknął i wyciągnął z kieszeni proste, druciane okulary. Nasunął je na spiczasty nos i spojrzał na łańcuszek.

Suworow znał się co nieco na heraldyce Imperium, bez tego ciężko byłoby mu sobie poradzić w roli księgowego, szczególnie w tak hierarchicznej instytucji, jaką była Armia Jego Cesarskiej Mości. Wielu, zarówno znaczniejszych, jak i tych mniej znacznych wojskowych, pieczętowało się swoimi rodowymi herbami, nieważne, czy mieli do tego

uprawnienia, czy bardzo chcieli je mieć. Podstawowa znajomość heraldyki pomagała przy odpowiedniej kwalifikacji dokumentów do konkretnych wystawców. Ale tego herbu Suworow nie rozpoznawał. Blaszka była cała srebrna, bez wyraźnych barw. Na tarczy widniała podłużna głowa osła, wyraźnie jaśniejsza od reszty herbu. Natomiast ponad tarczą widniał metalowy hełm z koroną, z której wystawał kozioł, stojący na zadnich łapach, skrytych za krawędzią korony.

Suworow wyprostował się i ściągnął okulary.

- Nie znam tego herbu, panie sierżancie - powiedział powoli, uważnie obserwując zmiany w mimice sierżanta.

Mimo że Suworow nie był, przynajmniej jak do tej pory, żołnierzem służącym w tak zwanym polu, to jednak instynkt żołnierza, nawet tego siedzącego za biurkiem w sztabie, kazał mu analizować każdą zmianę w wyrazie twarzy dowódcy. Wszyscy żołnierze wytwarzali w sobie tego rodzaju instynkt. Był bardzo pomocny. Suworow rzucił spojrzenie na swoich kolegów. Nie, Wałuwiew może nie ma takiego instynktu, ale ma inne zalety. Na przykład nieszkodliwość intelektualną.

- Dawaj to - warknął sierżant. - Któryś z was to zna, tłumoki? - Pomachał łańcuszkiem przed Tropiewem i Wałuwiewem. Żaden nie odpowiedział. - Dobrze. Jakies inne ślady? - Suworow i Wałuwiew pokręcili głowami. Sierżant westchnął z rezygnacją. Schował łańcuszek do kieszeni i rozejrzał się dokoła. Słońce błyszczało czerwono tuż nad horyzontem. Powiał chłodny wiatr. - Rozbijamy

obóz - zdecydował. - No już! - ponaglił żołnierzy, gdy ci nie ruszyli się nawet na krok. - Tam, pomiędzy tymi dwoma kamieniami, tak żeby osłaniały namioty od wiatru. Suworow bierze pierwszą wartę - dodał i odszedł w kierunku wierzchowców, pasących się nieopodal w świetle zachodzącego słońca.

Ułan-Ude powoli odzyskiwał przytomność. Docierały do niego przytłumione wspomnienia płomieni i okrucieństwa. Nie do końca potrafił stwierdzić, czy to wspomnienia czy tylko sny. Usiłował wyprzeć te niezatarte obrazy z pamięci, ale efektem była tylko wizja kobiety pozbawianej głowy przez dwóch Tatarów, dwóch wojowników, takich jak on sam.

Przecież to mogła być Helenka, pomyślał, moja Helenka Zborowska, moja ukochana, którą zostawiłem na stepie, w naszej zacisznej siedzibie, tam, gdzie nikt nie mógł nas odnaleźć. Znalazłem dla nas miejsce, takie jak chciała. Gdzie nie dosięgnie nas ni strzała, ni miecz, ni świat okrutny. Tak jak oboje chcieliśmy. Pośrodku stepu, obok małego strumienia. Kompletnie odsłonięci, ale jednocześnie całkiem anonimowi. Nie tak jak u niej, w tej laskiej twierdzy. Tam dobry Tatar to martwy Tatar. Co najwyżej nadawał się na pal, żeby go nabić i postawić ku przestrodze przed bramą wjazdową. Nikt nie śmiał z Tatarem rozmawiać, a spojrzeć na niego mogli wielcy panowie

szlachcice jak na coś bardzo przykrego, co pchało im się przed szlachetne oczęta.

Ułan-Ude ich rozumiał. Nie było chyba jednego wśród nich, który nie straciłby kogoś z rodziny albo bliskich znajomych w tatarskich najazdach. Pamiętał, jak sam prowadził swoich ludzi na rzeź niewinnych. On, Ułan-Ude, Ułan bej, dowódca czambułów. Zdrajca czambułów. Bej, który pozostawił na pewną śmierć swój czambuł, nie wydał rozkazu odwrotu do Budziaku. Ale on nie mógł inaczej.

W jednej placówce, hen na Dzikich Polach, zobaczył ją. Po prostu ją zobaczył, jasne włosy, jakby wyblakłe od buchających wkoło płomieni. Oczy jak lazurowe wody na plażach Krymu. Skóra delikatna jak tchnienie wiatru na stepie, spojrzenie ostre jak stepowe trawy.

Placówka była słaba, niemal niebroniona. Lachy wyszły na zwiad kilka dni wcześniej. Nawet jeśli widzieli łunę z daleka, nawet jeśli któryś sokolooki strażnik pogranicza Rzeczypospolitej dostrzegł złowieszczy blask na horyzoncie, to i tak nie zdążą wrócić, zanim Ułan bej i jego czambuł wezmą, co im należy. W ordzie budziackiej panował wtedy głód. Susza zabiła plony i zniszczyła pastwiska. Bydło padło na zarazę. Musieli iść na północ po jasyr. A on miał poprowadzić swoich ludzi i urządzić rzeź. Zadać niewyobrażalne cierpienia lachom po to, żeby jego poddani nie cierpieli jeszcze bardziej. I po to, żeby chan był zadowolony oczywiście. Bej musiał zawsze oscylować pomiędzy potrzebami swego ludu a zadowoleniem chana. Więc bej musiał dbać o potrzeby ludu, musiał napełniać

puste brzuchy i puste kieszenie. Czysta kalkulacja przychodów i kosztów powodowała, że udawał się w tym celu ze swoimi wojownikami na północ, na ziemię niczyje, na których lachy rozsiadły się jak krowy na pastwisku.

Dlatego Ułan-Ude nie dziwił się, że oni, jasnoskóre lachy go nienawidziły. Do domu, do Budziaku też nie mógł wracać. Nie z Helenką. Sam mógł, na spotkanie śmierci i słusznej zemsty ze strony ordy. U Lachów nie mogli zostać. Tu też czekała go śmierć.

A on pokochał Helenkę. Od pierwszego spojrzenia w jej mądre, błękitne oczy, odbijające płomienie z przerażeniem i dumą. Od pierwszego oddechu, który poczuł na swojej szyi, gdy przerzucał ją przez siodło. Od pierwszej nuty jej hardego głosu sprzeciwu, gdy trzymając ją przed sobą na siodle, uciekał w noc. Nie myślał wtedy, co robi. Wiedział jednak, że nic innego zrobić nie mógł. Wiedział, że Helenka jest jego przeznaczeniem, ponad całe to okrucieństwo i cierpienie huczące pod płonącym niebem stepu.

Ale nie to było najdziwniejsze. Helenka pokochała go. Owszem, porwał ją od swoich, owszem, wyrwał ją brutalnie z korzeniami od ludzi i środowiska, które znała. Ale wkrótce zrozumiała, że ocalił ją od niechybnej śmierci lub wieczności w roli nałożnicy co znaczniejszych ordyńców. Nie mógł do tego dopuścić. Przy okazji sam skazał się na zapomnienie.

Uciekali przez tydzień. Ułan-Ude zacierał ślady. Wiedział, że musi jak najszybciej dotrzeć do Dniepru, przeprowić się i podążyć w górę rzeki, choćby kawałek,

żeby zgubić pierwszy pościg. Następnie skierował się prosto na Don, na ziemie kontrolowane przez Moskwę. Przekraczali rzekę wielokrotnie i w końcu skierował się dalej, na północny wschód. Skryli się w dziczy, nad niewielkim jeziorkiem gdzieś pomiędzy Donem a Wołgą. Zbudowali mały dom z drewna z pobliskich drzew, obrzeżony falującą trawą na samej granicy stepu. Zielony dywan schodził wprost do jeziora, urywając się z jednej strony na skraju gęstego, niskiego lasu. Z drugiej strony, na wprost wejścia do chatki, przed którą urządzili niewielki ogródek z polnych warzyw i kwiatów, step ciągnął się niezakłóconą płaszczyzną aż po zakrzywioną linię horyzontu. Zimą jezioro zamarzało, a ze stepu nadlatywały tumany śniegu. Nieraz zdarzało się, że Ułan-Ude musiał o poranku odkopywać wejście, wydostając się przez otwór w dachu, specjalnie pozostawiony na taką okoliczność.

Helenka nie chciała wracać. zaproponował jej nawet, że jeśli chce, to odwiezie ją natychmiast na laską granicę. Helenka nie chciała. Woląca zostać z nim.

- Tu jest mój dom - mówiła. - Ta ziemia, to jezioro, ty. Nie, Ułanie, nie. Tu jest mój dom i tu umrę. Przy tobie.

Ułan-Ude nie wiedział, co się stało z jego czambułem. Mógł jedynie przypuszczać, że bez dowództwa rozsypali się i dali się zaskoczyć przez zaalarmowanych przez pożar Lachów. Zapewne zostali rozbici. Potem, dużo później, okazało się, że miał rację.

- O czym tak rozmyślasz, kochaneczku? - Głos rozlegał się gdzieś z daleka.

Świadomość powoli wracała. Najpierw przyszły dźwięki, one zawsze są pierwsze. Słyszał skrzeczący głos staruchy oraz czyjeś sapanie, a także coś, co brzmiało jak skrzywienie na porywistym wietrze ich starej drewnianej chatki nad brzegiem jeziora.

Chwilę później przyszło światło i oślepiło go przez zaciśnięte wciąż powieki. Poczował niemal ból przez promienie wwiercające się różową poświatą prosto w podstawę czaszki. I wtedy sobie przypomniał.

- Przecież ja nie żyję - powiedział słabym głosem.

- Oj tak, tak, kochaneczku - zaskrzeczała stara baba, gdzieś poniżej jego lewego ucha. - Nie żyjesz. Nie ma co do tego wątpliwości - zachichotała i zachłysnęła się. - Prawda, Grabinie? - Drewno trzasnęło tuż obok ucha Ułana-Udego, a potem odezwał się głos, dudniący i głuchy, jakby dobywał się z dna głębokiej studni.

- Prawda, prawda. Umarły jak nic. Typowy Podziemiec. Lepi się do mojej kory tymi swoimi mackami jak jakaś huba.

- Nie narzekaj - odparła starucha. - Teraz się mówi saiva, ewentualnie duch albo zjawa, jak nie wiesz, o co chodzi.

- Dla mnie to Podziemiec - zadudnił stwór.

Ułan-Ude spróbował otworzyć oczy. Słońce ponownie oślepiło go na moment i jednocześnie poczuł, jak jego ciało zmienia położenie, nogi powędrowały w dół, a głowa w górę, jakby siadał. Świetlista mgiełka rozviała się i Tatar krzyknął. Trzasnęło drewno.

- Nie wrzeszcz mi do ucha - zadudnił leśny stwór nazywany Grabinem.

Tatar z przerażeniem dostrzegł, że siedzi na lewym ramieniu chodzącego drzewa. Do ziemi miał jakieś pięć metrów. Poruszył się niespokojnie. Kawałek drewna wbił mu się w pośladki.

- Nie wierć się - dodał Grabin i przycisnął mocniej drewnianą łapę do uda mężczyzny.

Ułan-Ude spojrział w bok, pomiędzy pokrytymi młodymi liśćmi gałązkami, które wystawały z podłużnej głowy potwora tuż poniżej rogów, zobaczył swojego wierzchowca. Grabin niósł go pod lewą pachą jak płócienny worek. Koń natomiast wydawał się nie mieć nic przeciwko temu sposobowi podróżowania i rozglądał się zaciekawiony na boki, raz po raz poruszając kopytami, jakby płynął w powietrzu.

- No nie wierć się, nie wierć - odezwała się starucha.

Tatar spojrział w dół i zobaczył, jak kobieta, pokryta szczelnie warstwą różnokolorowych szmat, biegnie tuż obok potężnych stóp potwora. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Jaruga nie porusza nogami. Stała na drewnianej platformie, która unosiła się ponad poszyciem lasu. Przedzierali się przezeń z zadziwiającą zwinnością. Ułan-Ude schylił się pod gałęzią drzewa i wtedy zauważył, że w istocie Jaruga stała w czymś w rodzaju wąskich, podłużnych sani, od których z przodu odchodziły czarne rzemienie. Pobiegł wzrokiem za uprzężą i zobaczył przemykające się pomiędzy zaroślami duże, szare zające.

Śmigwały zwinnie. Rzemienie krzyżowały się ze sobą, gdy zwierzaki przebiegały przed sobą, czasem przeskakując nad grzbietem sąsiada. Nigdy się jednak nie zderzały, a rzemienie uprząży jakimś cudem nie plątały się i Jaruga poruszała się naprzód ze stałą prędkością, omijając przeszkody.

- Nie chcemy, żebyś spadł - dodała kobieta. - Nie żebyś sobie miał coś zrobić, przecież nie żyjesz - zarechotała chrapliwie. - Nie mamy za dużo czasu i nie chcemy cię zbierać z mchu - wyjaśniła.

Ze wszystkich stron otaczał ich gęsty las i Tatar w żaden sposób nie mógł wywnioskować, gdzie się znajdują ani w jakim kierunku zmierzają. Pomiedzy gałęziami drzew raz po raz przedzierały się jaskrawe promienie słońca. To jedyna wskazówka w sprawie określenia kierunku, w którym zmierzali. Na pewno nie była to północ, słońce świeciło prosto w oczy. Nic ponad to Ułan-Ude nie zdołał wywnioskować, więc odezwał się ostrożnie.

- Dokąd idziemy?

- Co tam mruczysz? - zawołała z dołu starucha.

- Pytał, dokąd idziemy - odezwał się Grabin.

- Na spotkanie - odparła Jaruga po chwili. - Strażnik Cicero oddał mi ciebie pod opiekę na czas kwarantanny, którą zarządziły Kruki. I bardzo dobrze zrobił. Z tego, co mi powiedział, widzę, że mamy tu do czynienia z czymś więcej niż zwykłą awarią tego ich kruczego systemu.

- Jakiego systemu? - zapytał Ułan-Ude.

- No tego Azylu - wyjaśniła. - Edenu, jak go górnolotnie nazywają krucze bogi.

- Awaria?

- No tak. Ktoś tam ci się wdarł do twojej płaszczyzny rzeczywistości, prawda? No właśnie - powiedziała, nie czekając na odpowiedź. - No, to Kruki będą to sprawdzać. Cicero mówił, że wysyłają Zmoraków, żeby się tym zajęli.

- Zmoraków? - Tatar miał wrażenie, że coś mu mówi ta nazwa.

- No, Zmoraków, Zmoraków. - Kiwała się staruszka. - Tych ichnich leśniczych i myśliwych świata saivów, sługów Równowagi - wyliczała. - Ciebie, o ile pamiętam, też jakiś Zmorak zgarnął, co? Chyba jakiś Rusek się tobą zajął, jak zapuściłeś się tu na zachód i zacząłeś za bardzo rozrabiać. Po co właściwie tu wtedy przyszedłeś? Nie mogłeś sobie siedzieć na tym swoim stepie, nikomu nie wadząc? Musiałeś wpadać do wsi i robić zawieruchę?

Ułan-Ude nie odpowiedział. Pamiętał to szczątkowo, jak przebłyski wspomnień. Rusińscy wojownicy złapali go, gdy był na dalekim polowaniu. Raz na jakiś czas musiał wyjeżdżać i opuszczać Helenkę, żeby zdobyć pożywienie. Okolica, w której się osiedlili, nie była zbyt bogata w zwierzynę. Złapali go i poznali od razu. Naturalnie nie wiedzieli, że dorwali beja, wtedy pewnie by go nie zabili. Poznali natomiast samotnego Tatara, mordercę ich przyjaciół i rodzin, gwałciciela ich kobiet i niszczyciela wsi. Zabili go od razu, nawet nie zdążył krzyknąć. Przez dłuższy czas nie zdawał sobie w ogóle sprawy z tego, że umarł.

Podniósł się z ziemi w nocy, nie zauważył swojego ciała leżącego obok. Wsiadł na wierzchowca, tego, który teraz machał leniwie kopytami pod pachą leśnego potwora, a potem popędził do domu, do Helenki. Wpadł do chaty, ale jej już tam nie było. Przeczesał cały teren, ale nie znalazł żadnych śladów. Od tamtego czasu błąkał się i szukał Helenki. Zmierzał powoli na zachód, wydawało mu się, że jeśli gdziekolwiek poszła, to zapewne do Lachów, Rusini byli wtedy w komitywie z Lachami, szczególnie jeśli chodzi o działania skierowane przeciwko Tatarom. Nie wiedział, ile czasu upłynęło od śmierci do momentu dotarcia do tej wsi, w której go złapali. Nie różniła się ona zbyt od innych tego typu osad. Może tylko ludzie wyglądali trochę inaczej, niż pamiętał, inaczej ubrani, jacyś bardziej zadbani. Słyszał, że wieśniacy mówią po polsku, więc zaczął przeszukiwać wieś dokładniej w nadziei, że Helenka mogła wrócić do swoich.

I wtedy ludzie zaczęli ginąć. Nie wiedział dlaczego. Wystarczyło, że do nich podchodził, a oni po chwili umierali.

- Narozrabiałeś - podsumowała starucha, jakby czytała mu w myślach. - Nie można, ot tak, sobie wpadać do wsi i napastować żywych. Nie jest to dla nich zbyt zdrowe. Masz szczęście, że trafiłeś na tego Zmoraka z Wszechrusi - powiedziała. - Jakbyś się napatoczył na tę Anne Olsson, która ma jechać do Edenu, to odstrzeliłaby cię na miejscu - dodała, a następnie zachichotała pod nosem, wykonując palcami gest strzelania z pistoletu. Zakrztusiła się,

odchrząknęła, splunęła przez ramię i dodała z niesmakiem:
- Typowy przykład rzeźnika, ta dziewczucha. Nie to co ten młody, ten Wielowieyski.

Tatara uderzyła nagła myśl i złapał się za pas. Gwałtownie zaczął obmacywać kieszenie i rękawy. Zaglądał pod kurtkę i futrzaną kamizelkę. Wychylił się gwałtownie, żeby zobaczyć na wierzchowca.

- Nie ma, nie ma... - powtarzał nerwowo.

- Nie wierć się! - zagrzmiął Grabin i podrzucił Tatara na ramieniu.

- Nie ma, nie ma...

- A ten co? - zapytała Jaruga.

Po chwili szamotaniny Ułan-Ude usiadł zrezygnowany.

- Nie ma. Musiało mi wypaść, gdy uciekałem przed jeźdźcami - powiedział.

- Ale co? Rozum? - zapytała Jaruga i zachichotała, zadowolona z własnego dowcipu.

- Bransoleta od mojej Helenki - odparł. - Bransoleta od Helenki. Od Helenki Zborowskiej, mojej Helenki. To jej ciągle szukam...

- Twoja Helenka nie żyje - wytłumaczyła beznamiętnie.

- Wątpię, żeby została saivą. A ty zostałeś nim pewnie dzięki tej bransolecie. Tak to działa, koleżko. Ciekawe, ciekawe... - zamyśliła się.

Szli przez moment w milczeniu. Trzeszczały konary Grabina, szeleściło poszycie przeszywane smukłymi ciałami pociągowych zajęcy. Jaruga ponownie odchrząknęła i splunęła, wychylając się za burtę sani.

- No, już niedaleko - powiedziała i krzyknęła na zające.

Delikatny, wiosenny wiatr sunął ponad lasem. Wytrząsał niechętnie cichy szum spomiędzy zielonych liści, zakręcał między pniami pokrytymi ciemnozielonymi porostami i wirował delikatnie tuż ponad brunatną taflą Wieprza.

Zaniepokojony koziołek uniósł łeb najeżony rozwidlonymi różkami. Poruszył chrapami i zastrzygł uszami. Nasłuchiwał przez chwilę, lecz najwyraźniej nie wyczuł niebezpieczeństwa i ponownie pochylił łeb nad rzeką, żeby zaspokoić pragnienie.

Nagły huk wystrzału odbił się echem od koron drzew. Koziołek, nie oglądając się, jednym susem przeskoczył rzekę i zniknął w gąszczu na drugim brzegu. Po chwili przy akompaniamencie sapnięć przerywanych przekleństwami na niewielką polankę nad rzeką wypadł niski człowiek w zielonym, maskującym stroju. Na głowie miał ciemnozieloną czapkę z daszkiem, spod którego wystawały gęste, czarne wąsy. Wsparł się na kolbie strzelby i zaczął przepatrywać trawę na brzegu rzeki.

- Choroba - mruknął pod nosem i zakręcił wąsa wolną ręką.

Myśliwy podszedł bliżej rzeki i rozchylił kolbą krzaki. Najwyraźniej jednak nie znalazł tego, czego szukał, bo wyprostował się i ściągnąwszy czapkę z łysawej czaszki, przetarł czoło rękawem kurtki.

- Pudło - warknął zirytowany.

Wcisnął z powrotem czapkę i unosząc barki, sięgnął do kieszeni spodni pod wydatnym brzuchem podtrzymywanym przez brązowy, skórzany pas. Coś zagrzechotało metalicznie i myśliwy wyszarpnął z kieszeni dwa naboje. Z trzaskiem złamał strzelbę i wepchnął jeden z naboji w wolną komorę dubeltówki. Drugi schował do kieszeni kurtki. Zawiesił strzelbę na ramieniu i spojrzał na drugi brzeg rzeki.

- Jeszcze cię dorwę! - krzyknął w las, grożąc pięścią krzakom po drugiej stronie Wieprza. Spojrzał w prawo, potem w lewo na meandrującą w lesie rzekę. Nurt był w tym miejscu dość wartki. Myśliwy musi odejść kilometr w dół rzeki, do najbliższego brodu. Chyba że wcześniej znajdzie jakieś zwalone drzewo, po którym uda mu się przejść na drugą stronę.

Alojzy Wróbel to doświadczony myśliwy. Miał sześćdziesiąt pięć lat, ale wciąż był w pełni sił. Znał te lasy jak własną kieszeń i niejeden koziołek próbował go już wykiwać. Ale Alojzy Wróbel nie przepuścił żadnemu. I temu też nie przepuści, to wiedział na pewno. Znajdzie tego bezczelnego zwierzaka, który ośmielił się uciec spod jego kuli, choćby miał tydzień włóczyć się po lesie. Trudno, żona poczeka. Zawsze czekała. W końcu taka jej rola, czekać, aż mąż wróci z polowania, aż zaspokoi swoje ambicje i zrealizuje zamierzone cele jak prawdziwy mężczyzna. Skrzywił się nieco na wspomnienie ostatniej rozmowy przed wyjazdem. Pani Wróblowa powiedziała, że to jest ostatni raz. Że jeśli tym razem nie wróci na noc, zostanie pusty dom. Że ona się wyprowadzi, rozwiedzie z nim i go zostawi.

Wróbel zastrzygł wąsem, ale zaraz uśmiechnął się. Nie zrobi tego. Kiedyś też tak mówiła i owszem, wyszła z domu, ale zaraz wróciła. Kobieta musi mieć dom i musi mieć męża. Bez tych dwóch aspektów swojej kobiecości jest niczym. A mąż musi być silny. Inaczej nie zasługuje na szacunek, nie będzie w stanie bronić honoru rodziny. A Jadzia? Nie, nie zostawi go. A on już jej przypomni, co znaczy autorytet męża. Tak na wszelki wypadek, żeby wybić jej z głowy te durne pomysły, które wypisują w gazetach, co to jej podsuwa nowa fryzjerka z miasteczka. Ponoć przyjechała z Lublina, światowa dziewczyna. Wszystkie kobiety są takie same, pomyślał Wróbel. Muszą mieć dom i męża, a jak nie mają i jeszcze do tego, o zgrozo, próbują myśleć abstrakcyjnie, to im się w głowie nie po kolei ustawia. Działają destrukcyjnie. Chcą tymi swoimi wolnościowymi pomysłami zrujnować tradycję i uświęcony porządek. Nie wiedzą głupie, że niszczą w ten sposób swoją kobiecość. Który chłop zechce taką babę, co to tylko będzie kombinować, jak to wszystko zmieniać? Mężczyzna potrzebuje stałości, a kobieta potrzebuje domu i męża i koniec kropka. Tak już ten świat jest urządzony. Myśliwy odchrząknął. Tak samo jest to urządzone, że człowiek ma władzę nad zwierzętami, nadaną jeszcze Adamowi przez Boga. Alojzy przeżegnał się na samą myśl. Był bogobojnym, dobrym człowiekiem. Mężem i ojcem. Katolikiem. Polakiem.

Poprawił strzelbę i zrobił ostrożny krok w zarośla, kierując się wzdłuż rzeki do najbliższego zakola. I wtedy za jego plecami trzasnęła gałąź. Chwilę później zaszeleściły

liście i znowu coś trzasnęło. Alojzy, wiedziony instynktem myśliwego, jednym płynnym, niezbyt szybkim ruchem zdjął strzelbę i obrócił się, przykląkł na kolano i uniósł kolbę do ramienia. Zwierzęta lubiły ten wodopój, a on stał pod wiatr.

Spojrzał wzdłuż podwójnej lufy i zobaczył, jak na łąkę wytacza się z lasu kupa kolorowych szmat. Leżała, a może raczej stała w czymś w rodzaju drewnianych sani. Zarośla przed nią poruszały się niespokojnie, jakby buszowało w nich stado młodych dzików.

Alojzy wstał i opuścił broń.

- A cóż to tu robicie babciu? - zapytał gromkim głosem.
- Nie trzeba wam czego?

Kupa szmat poruszyła się i Alojzy aż się cofnął, gdy spod czerwonej chusty łypnęły na niego wąskie oczy, osadzone głęboko w okrągłej, pomarszczonej twarzy. Żółte oczy.

- Co jest?

Usłyszał kolejny trzask drewna, tym razem z prawej strony.

- O, pan myśliwy - gruchnął basowy głos.

Alojzy obejrzał się gwałtownie.

- Co jest, kur... - zaczął, ale nie dokończył.

Potężny cios sękatej gałęzi zwałił go na ziemię między zarośla.

- I po coś go tak zdzielił? - zapytała Jaruga, zeskakując zwinnie z drewnianych sani. Zające buszowały nerwowo w zaroślach, wciąż w zaprzęgu, nie mogąc pozbyć się adrenaliny, która buzowała w ich cienkich żyłkach.

- No jak to po co? - oburzył się Grabin. - Strzelał do koziołka. Do niewinnej sarny. I to tutaj, na Roztoczu. Przecież tu jest Park Narodowy. Nawet nasz przyjaciel to widział - dodał drzewiec, wskazując sękatą łapą na Ułana-Udego, który stał obok przy swoim wierzchowcu. Tatar rozejrzał się niepewnie i kiwnął powoli głową. - No właśnie - dodał Grabin.

Sześciometrowa sylwetka drzewca, zwieńczona zakręconymi rogami i koroną z gałązek, na których drgały na wietrze świeże zielone listki, górowała ponad nadrzeczną łąką.

- Ech... - westchnęła Jaruga, szturchając nogą nieprzytomnego myśliwego.

Schyliła się i przyjrzała uważnie jego twarzy. Po chwili chwyciła strzelbę i wyprostowała się z jęknięciem. Lewą ręką podparła się pod plecy.

- Oj, już nie te lata. - Rozmasowała sobie krzyż. - Żyje, krwi też nie widać.

- Pewno, że nie widać. Przecież wiem, jak należy zdzielić myśliwego - powiedział Grabin z dumą. - Zwiążmy go. Jak się obudzi, to czeka go mała niespodzianka - dodał i gruchnął głębokim, basowym śmiechem, który brzmiał jak zrzucane na ziemię polana. - I potem dwa razy się zastanowi, czy strzelać do zwierząt. Będę go miał na oku.

To w końcu mój las! Jestem jego strażnikiem i nie pozwolę, żeby...

- No już, już nie nadymaj się tak, bo ci korka popęka - przerwała mu starucha. - Zresztą na razie mamy ważniejsze sprawy na głowie - dodała, łypiąc żółtym okiem na Tatara, który właśnie czesał swojego wierzchowca. Koń, wyraźnie zadowolony z zaistniałej sytuacji, pałaszował soczyste, zielone źdźbła trawy, zaścielające łąkę gęsto jak włókna dywanu. - Musimy się zająć naszym nowym przyjacielem - dodała.

Już chciała podejść do Ułan-Udego, który stał z ręką wstrzymaną w pół ruchu na grzbiecie konia, gdy obróciła się nerwowym ruchem.

- No już, już - mruknęła pod nosem i odeszła w kierunku drgających źdźbeł traw przed saniami. - Na dzisiaj starczy - powiedziała i schyliła się ponad uprzężą.

Majstrowała przez chwilę przy rzemieniach, stękając i sapiąc ciężko. W końcu rozległ się donośny trzask i trawy zatrzęsły się w wielu miejscach naraz, a następnie ślady kłaniających się źdźbeł oddaliły się od sani we wszystkich kierunkach. Jedna z linii biegła wprost na Ułana-Udego, omijając konary nóg Grabina. Tatar zabrał rękę z końskiego grzbieta i sięgnął po łuk. W tym samym momencie z zarośli wypadły dwa szare zające i popędziły wprost na wojownika. Ułan-Ude odskoczył w bok. Zające dostrzegły go i ominęły z dwóch stron jak fala opływająca skałę, a następnie zniknęły w lesie za jego plecami.

- No dobra, panie Tatar - zaczęła Jaruga, kierując się ponownie w stronę wojownika. Koń zarżał jakby w odpowiedzi na zapytanie. - Tak, tak, spokojnie - odparła na to staruszka. - Nic mu nie zrobię. - Koń opuścił łeb i wstrząsnął grzywą.

- Mamy przeciek, kochanienki - powiedziała Jaruga.

- Jaki przeciek? - zapytał Ułan-Ude.

- Prawdopodobnie międzyświatowy.

- Co?

- Co, co? - zirytowała się Jaruga. - Głuchy jesteś? Przeciek międzyświatowy. Połączenie pomiędzy dwoma światami się otworzyło.

- Jak to?

- Tak to - przedrzeźniała staruszka. - Głupie pytania. Nie wiedziałeś o tym? Oczywiście, że nie, skąd mógłbyś wiedzieć. Czasem otwiera się tunel, umożliwiający transfer świadomości do innego świata i na odwrót, z tamtego świata do naszego. Nawet dość często się to zdarza. Tak raz na sto lat spokojnie - dodała. - Ale nigdy jeszcze nie trwało to tak długo jak teraz. Mamy z Radieniem pewne podejrzenia, że Kruki i ich Azyłowy wynalazek mają z tym coś wspólnego. A, no i te ich tunele, utrzymywane sztucznie tunele w czasoprzestrzeni. Kruki ponoć rozbudowują ich sieć. Chyba chcą ją wykorzystać do jakichś swoich celów. Mówiliśmy im, że to nie jest bezpieczne. Ostrzegaliśmy, ale nie, oni nie będą słuchać nas, staruchów.

- Połączenie pomiędzy światami? - zapytał Ułan-Ude zdezorientowany. - Czyli co dokładnie?

Jaruga przyjrzała mu się spode łba, westchnęła zrezygnowana.

- Zapomniałam, że z wami ze wschodu to trzeba prosto - powiedziała, po czym rozgarnęła nogą kępkę trawy, odsłaniając niewielki kawałek piasku. - O tu - zakreśliła koło czubkiem stopy - jest nasz świat, nasza planeta. W sensie ten kawałek kosmicznego pyłu, po którym chodzimy absurdalnie, ciągle głową w dół.

- Eee... - zaczął Tatar.

- Dobra, nieważne. - Jaruga machnęła ręką. - To koło to jest to, co masz pod nogami, kapujesz? - Spojrzała na Ułana-Udego.

Wojownik patrzył przez chwilę niepewnie na nieregularny okrąg wykreślony na piasku, po czym kiwnął powoli głową.

- Bardzo dobrze - ucieszyła się Jaruga. - To teraz popatrz tutaj. - Kiwnęła głową.

Ułan-Ude patrzył uważnie, jak staruszka zakreśliła drugi okrąg obok pierwszego. Był on niemal identyczny, może trochę mniej regularny. Tatar poczuł pod dłonią szorstką sierść. Zerknął w bok i zobaczył koński łeb, spoglądający z zaciekawieniem na piaskowe kalambury.

Jaruga domknęła okrąg i spojrzała na widzów.

- A to jest inny świat - oświadczyła.

- Jak to? - zapytał Tatar, spoglądając to na jeden okrąg, to na drugi.

Zanim Jaruga zdążyła odpowiedzieć, rozległy się głucho, dudniące kroki, po czym odezwał się Grabin:

- Też nie do końca to rozumiem - powiedział. - My, drzewa, jesteśmy istotami duchowymi, bardziej niż wy, ludzie. Żadne drzewo nie ma świadomości, tak samo jak nie ma ciała. Każde z nas jest świadomością samą w sobie. Drzewo zawsze będzie drzewem, a człowiek nigdy do końca nie jest człowiekiem. Tak to już działa. Zresztą przecież sami czasem mówicie jeden o drugim, jesteś nieludzki albo brak ci człowieczeństwa, albo znowu, ten to już jest warzywem, nie ma już w nim człowieka. - Potrząsnął ramionami, strzepując kilka roztargnionych żuków, po czym kontynuował: - chociaż to z tym warzywem, to trochę nie w porządku jest. Znam osobiście wiele warzyw i nie powiedziałbym nigdy o nich, że są ludźmi. Wręcz przeciwnie, to bardzo przyzwoite istoty, elementy wyższej świadomości. Tak jak drzewa... - zastanowił się przez moment - tylko troszkę mniej indywidualistycznie nastawione do życia. - Podrapał się pod sękatą brodą, po czym spojrzał na zgromadzonych wokół kalamburów wyrysowanych na piasku. - Rozumiecie, o co mi chodzi? - zapytał z nadzieją w głosie.

Koń spojrzał na Tatarą, a Tatar na konia i żaden nie wiedział, co odpowiedzieć wielkiemu, drewnianemu potworowi.

- Oczywiście, że nie rozumieją, drewniak - rzuciła Jaruga. - Ten z czterema nogami to jeszcze może trochę kapuje, ale ten dwunóg w cudzym futrze na plecach to nic a nic.

- Ale ja chciałem...

- Wiem, wiem, co chciałeś - przerwała mu łagodnie Jaruga. - Wiem, że chciałbyś, żeby ktoś cię zrozumiał. Drzewa nie interesują się takimi sprawami jak istota ich własnej świadomości, nie mówiąc już o warzywach. Bardziej interesuje je wsłuchiwanie się w rytm soków tłoczonych w pniach i tkankach oraz bicie podziemnych wód, wieloletnia walka o jak najlepszy dostęp do słonecznych promieni i ustawianie liści pod odpowiednim kątem w trakcie wichury. Wsłuchiwanie się w rozmowy ptaków, w kwilenie piskląt i bojowy skrzek rodziców broniących swojego gniazda. I tak dalej i tak dalej. Ty, Grabinie, jesteś drzewem wyjątkowym i na tym polega twój problem.

- Ale przecież muszą być gdzieś inni, tacy jak ja. Podobni do mnie.

- Są, mówiłam ci już. Są - uspokajała go Jaruga. - Tylko że daleko stąd. Daleko. Ludzie wycięli lasy dokoła parków narodowych i teraz już nie możesz do nich przejść, nie wychodząc spomiędzy konarów.

- A te, te... Tunele?

Jaruga spojrzała na drzewca z uznaniem. Zawsze go podziwiała. Jeden z ostatnich przedstawicieli swojego rodzaju, drzew o indywidualistycznym profilu elementu nadświadomości. Podziwiała go za to, że nie pozbył się swojego indywidualizmu, choć mógł z całkowitym spokojem zapuścić korzenie i osiąść w jednym miejscu, zespalając się z wolą lasu. Zamiast tego Grabin wolał przemierzać roztoczańskie bory, czując jedność z lasem, ale

jednocześnie wiedział, że jest inny, niczym biały gołąb w niebiesko-szarym, bezbarwnym stadzie miejskiego ptactwa. Wznosił się ponad wszystkich, ale był niedrzewnie samotny.

- Tak, tunele mogą być pewnym rozwiązaniem - powiedziała staruszka. - Trzeba będzie porozmawiać o tym z Krukami. Ale wracając do naszej dyskusji, ten drugi świat istnieje, wiemy to od dawna. Zapewne jest ich wiele, nie wiemy w sumie, z iloma mamy kontakt. Jedno jest pewne, istnieje połączenie pomiędzy tymi dwoma światami. Przez większość czasu pozostaje zamknięte, ale raz na jakieś sto, może sto pięćdziesiąt lat, jak zaobserwowaliśmy do tej pory, otwiera się. Z reguły na krótko i zawsze w dość niedostępnych miejscach, więc nie było z tym większego problemu. Lokalni noaidowie zaradzali tym nagłym przeciekom. Teraz jednak jest inaczej. Połączenie najprawdopodobniej trwa już dobre kilka lat z przerwami. Staramy się to na bieżąco sprawdzać i do tej pory nie było jeszcze przypadków, żeby ktoś z tamtej strony przeszedł do naszego świata. Teraz jednak mamy przeciek do Edenu, jak słyszę. Wcześniej mieliśmy transfer w drugą stronę, z Warszawy zniknął jeden młody mężczyzna razem z pewną saivą, podejrzewamy, że również za sprawą połączenia między światami. Naturalnie facet umarł w tym świecie, został już dawno pochowany i pewnie po części zapomniany. Jego świadomość przeniosła się jednak tam - zakręciła w powietrzu wykrzywionym palcem - gdziekolwiek to jest.

- No i co? - zapytał Ułan-Ude, który zdążył się już dość poważnie pogubić w tej całej sytuacji.

- Jezioro Inari dołączyło do przecieku - odezwał się szorstki głos dobiegający od strony rzeki. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. - Mamy pierwszy transfer do nas.

- O, Radien, nareszcie. Troszkę się spóźniłeś, kochaniutki - powiedziała Jaruga.

Ułan-Ude myślał, że po gadającym, chodzącym drzewie, które bije myśliwych, i staruszce o żółtych oczach, poruszającej się po lesie w zaprzęgu zajęcy, nic go już nie zaskoczy. Najwyraźniej nie docenił jednak potęgi absurdu tego, w co został wplątany. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że od kilkuset lat był martwy. Stał właśnie na śródleśnej polanie i patrzył, jak myśliwy wstał sztywno z trawy, wyprostował się, z głową przechyloną na bok i podrygując jak szmaciana lalka, nagle spiął się przy rozbłysku pomarańczowego światła i opadł z powrotem pomiędzy trawy. Na jego miejscu stał wysoki, chudy mężczyzna w kolorowym kaftanie i o pomarszczonej twarzy oraz skośnych oczach. Uśmiechał się uprzejmie. Przez ramię miał przewieszony dziwny, skórzany przedmiot, jakby szeroki, płaski bęben, a na nogach nosił obszerne, futrzane buty z zadartymi noskami. Na jego głowie sterczała spiczasta czapka, obszyta szarawym futrem.

- Widzę, Pardne, że jednak przekonałeś się do translokacji międzyświadomościowej? - zapytała wesoło Jaruga.

- Nie, niezbyt - odparł mężczyzna niechętnie, spoglądając na nieprzytomnego myśliwego. - Babranie się w cudzej świadomości nie jest zbyt przyjemnie, nawet jeśli wchodzi się na chwilę. Ale nie mogę zaprzeczyć, że jest to najszybszy sposób przemieszczania się, pomijając oczywiście te krucze tunele - dodał. - Rozmawiałem z van Poem. Kruki nie panują nad sytuacją. Połączenie sięgnęło jeziora Inari, jakaś dusza z innego świata nawiedziła jednego renifera z lokalnego stada. I nie, nie był to saiva ani zmora.

- Przecież nie twierdzę, że był - odparła Jaruga. - I co robimy?

- Dzień dobry, Grabinie - powiedział Radien i skłonił się w pas. - Wciąż w dobrej formie, jak widzę.

- Witaj, Pardne - odparł drzewiec, chrupiąc konarami w ukłonie. - Staram się trzymać w pionie.

- Witaj wojowniku. - Przybysz zwrócił się do Ułana-Udego. Tatar kiwnął głową. - To ty jesteś tym odważnym ochotnikiem, który przetransportuje się na drugą stronę?

- Ochotnikiem? - zapytał Tatar niepewnie.

- Nie zdążyliśmy jeszcze wszystkiego sobie wyjaśnić - wtrąciła Jaruga.

- Nie szkodzi - uspokoił ją Radien Pardne, a następnie zwrócił się do Tatara: - Pan zostanie przeniesiony do drugiego świata - oświadczył.

- Że co?!

- Spokojnie - odparł Radien Pardne. - Pomożemy panu, ale musi pan zabrać ze sobą część naszej świadomości.

- Że co? - powtórzył Ułan-Ude.
- Naszych, to znaczy Jarugi i mojej - wyjaśnił noaide.
- Że...? - zaczął. - Dlaczego?
- Pan pozwoli - powiedział spokojnie Radien Pardne, zbliżając się z uśmiechem do wojownika.

Jaruga spojrzała na szamana z początku niepewnie, ale zaraz do niego dołączyła. Ułan-Ude sięgnął po łuk. Usiłował się cofnąć, ale napotkał na wierzchowca, który odciął mu drogę ucieczki. Grabin stał z boku i przypatrywał się spokojnie całej sytuacji. Szaman zbliżał się z niewzruszonym uśmiechem.

- Spokojnie - powiedział, po czym usiadł przed Tatarem i położył przed sobą na kolanach bębenek. Jaruga usiadła po jego lewej ręce. - Zaśpiewam panu o pewnej dziewczynie, która pokochała pomiot piekieł i skazała siebie na wieczne potępienie. - Zaczął rytmicznie uderzać w bęben. - Zaśpiewam panu o Helenie Zborowskiej.

IV. NA POWĄZKACH

Maurycy wszedł na Cmentarz Powązkowski przez Bramę Św. Honoraty. Mosiężna lampa zwisała mu z ramienia. Nie krył się szczególnie. Wszedł jak zwyczajny, odwiedzający cmentarz turysta. Zuzanna szła obok niego, momentami wręcz przywierając do jego boku, na co Maurycy uśmiechał się pod nosem. Było późne popołudnie w środku tygodnia i na cmentarzu zaczynało przybywać coraz więcej ludzi. Część stała przy grobach lub przeprowadzała różne zabiegi pielęgnacyjne: przycinała świeże kwiaty, usuwała te już uschnięte, grabiła ziemię wokół nagrobków. Niektórzy, głównie starsze kobiety, polerowali płyty nagrobne, jakby były maską jakiegoś zabytkowego, drogocennego auta.

Zatrzymali się na środku głównej alei i Maurycy rozejrzał się zupełnie niekonspiracyjnie i bez żadnego skrupowania. Swobodne zachowanie Zmoraka przyprawiało Zuzannę o coraz większe zakłopotanie. W końcu przyjechali tu na polowanie, prawda? Nie powinni się chociaż trochę

ukryć? Jakoś bardziej dyskretnie podejść do sprawy? Jak on chce złapać saivę w biały dzień na cmentarzu pełnym ludzi? W sumie, myślała dalej Zuzanna, to z klasycznej sceny polowania na duchy tylko miejsce się zgadzało. Zmurszałe nagrobki Starych Powązek robiły swoje w kwestii scenerii.

- No to gdzie ona jest? - zapytał Zmorak.

- Co? Kto? - odparła Zuzanna, zaskoczona zwyczajnością tego pytania.

- No Wisnowska - wyjaśnił. - Maria Wisnowska. Gdzie jest jej grób?

- A nie wiem. - Zuzanna dopiero po chwili zrozumiała, o co chodzi.

- Kurde, to mamy łązić po całych Powązkach i zaglądać na nagrobki? - Załamał ręce. - A wiesz może, jak wygląda ten grób? - zapytał.

Ludzie mijali ich, przyglądając się podejrzliwie. Należało Maurycemu oddać, że potrafił zwrócić na siebie uwagę. Nawet nieświadomie. Biało-brązowe, wełniane ponczo, długie, potargane blond włosy i skórzane gogle na czole sprawiały, że wyglądał bardziej jak jakiś steampunkowy przebieraniec, niż przedstawiciel współczesnego mieszczaństwa. No i jeszcze te kolorowe spodnie. Skąd on je w ogóle wytrzasnął? Przynajmniej dobrze, że założył soczewki kontaktowe. Widok żółtych tęczówek o poziomych, prostokątnych źrenicach jak u kozy mógłby doprowadzić do jakichś niechcianych... komplikacji. Ludzie mają ograniczoną zdolność akceptowania indywidualizmu i odstępstw od reguły. Ponczo i kolorowe

spodnie? Okej, zdarza się. Dużo dziwaków chodzi w dzisiejszych czasach po miastach, szczególnie w Warszawie. Ale żółte oczy? No na to chyba nawet zasób tolerancji zgromadzony w knajpach na Placu Zbawiciela by nie wystarczył.

- Taki biały. Z obeliskiem. Pośrodku chyba było jej popiersie - odparła dziewczyna niepewnie, usiłując sobie przypomnieć zdjęcie z *Legend Warszawskich*. - Ale czekaj! - zawołała nagle, widząc, że Maurycy oddała się w losowo wybranym kierunku. Przechodząca obok starsza pani z torbą na dwóch kółkach spojrzała na nią karcącym wzrokiem.

- Nie wrzeszcz tak - syknął Maurycy, gdy do niego podbiegła. - I nie biegaj. Jesteśmy na polowaniu. Zapomniałaś?

- Przepraszam - odparła szeptem. - Ale słuchaj. - Złapała go za rękę, gdy próbował znów oddalić się w upatrzoną ścieżkę pomiędzy nowszymi grobami. - Przy wejściu jest tablica z rozpiską grobów sławnych ludzi. Myślę, że tam będzie napisane, gdzie leży Maria Wisnowska. - Maurycy kiwnął głową i zapatrzył się w bok, w kierunku Katakumb. Zuzanna ruszyła w drogę powrotną, w kierunku bramy, ale zaraz zawróciła, widząc, że Maurycy nie idzie za nią, tylko wciąż gapi się na Katakumby. - Ej, chodź - powiedziała, pociągając go lekko za rękaw. - Tablica jest przy wyjściu. Tam będzie napisane, gdzie leży Maria... - Nie zdążyła dokończyć. Zmorak zasłonił jej nagłym ruchem usta.

- Ciii... - szepnął. - Patrz. - Kiwnął głową w kierunku Katakumb.

- Ale co... - Zuzanna pobiegła wzrokiem za jego wskazaniem. - Nif nie fidze - wysepleniła.

- Tam jest - mruknął Maurycy, tym razem chyba bardziej do siebie niż do dziewczyny. - Zostań tu - powiedział, zabierając rękę sprzed jej ust.

- Ale co... - powtórzyła jeszcze, ale Zmorak już zniknął pomiędzy grobami. Miała wrażenie, że po prostu rozwiął się w powietrzu.

Po chwili zauważyła, jak jego ponczo przesuwa się pomiędzy nagrobkami tylko po to, żeby znów zniknąć. I wtedy zobaczyła ducha. Pomiędzy ciemnymi, zmurszałymi pomnikami bielił się fragment obelisku. Pod nim, widoczny pomiędzy dwiema ciemnymi płytami nagrobków, klęczał mężczyzna, a raczej leżał na płycie przed obeliskiem z kolanami na ziemi. Było to dość dziwne zachowanie, ale samo w sobie nie świadczyło jeszcze o tym, że dziwak jest saivą. W końcu nie każdy dziwak musi być od razu martwy. Niemniej ten dziwak nosił wojskowy mundur i wysoką, futrzaną czapkę, która teraz spoczywała krzywo na jego głowie. Zuzanna nie znała się zbyt dobrze na historii wojskowości, ale była pewna, że ten mundur nie pochodził z obecnej epoki. No, może nie była pewna. Ale powiedzmy, że była bardzo silnie o tym przekonana. Nagle zobaczyła brunatny cień, który przesunął się pomiędzy nagrobkami na tle świeżych, zielonych liści cmentarnych drzew. Kątem oka dostrzegła rozmazaną plamę kolorowych spodni.

Zuzanna stała jak wryta. Nigdy wcześniej nie widziała Maurycego przy pracy. Była pewna, choć znów, nie była pewna, ale bardzo, ale to bardzo silnie przekonana o tym, że Zmoracy raczej nie posiadali żadnych zdolności, które mogłyby zostać uznane za magiczne. A przynajmniej nie powinny zostać za takie uznane przez przeciętnie świadomego człowieka, ukształtowanego przez dwudziestowieczny postęp techniczny. Oczywiście wiadomo, że nie należy pokładać zbyt dużej ufności w zdolności do przyswajania wiedzy przez niektórych członków ludzkiej rasy i to nawet tej wiedzy, nie wymaganej w szkole na sprawdzianach, ale takiej posiadanej w wyniku praktycznego wykorzystywania poszczególnych zdobyczy ogólnie pojętej techniki. Dla przykładu, nikt raczej nie uważa, że smartfon wyświetla zdjęcia na ekranie o superwysokiej rozdzielczości z powodu jakichś szatańskich mocy zaklinania duszy w przedmiocie, czy coś w tym rodzaju, pomimo że raczej niewiele osób wie, dlaczego właściwie tak się dzieje. Zuzanna zastanowiła się przez chwilę, po czym pomyślała o tej śmiesznej, mosiężnej lampie, którą Maurycy zwinął z Daru Młodzieży. Okej, to nie był najlepszy przykład, zachichotała pod nosem. Jakaś kobieta przeszła obok niej z naręczem zwiędłych kwiatów. Obrzuciła dziewczynę takim spojrzeniem, jakby miała zamiar jak najszybciej wyrzucić zielsko do śmietnika, a następnie, otrzepując pieczołowicie dłonie, wrócić do niespełna rozumu młodej idiotki, złapać ją za włosy i wyrzucić bezczelną wywłokę. Jak ona śmie włączyć ze

swoim szaleństwem na teren zarezerwowany dla świętej, ludzkiej żałoby?!

Na szczęście żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Kobieta nie zdążyła dojść do śmietnika, gdy zza jej pleców rozległ się dziki wrzask. Odwróciła się, upuszczając zielsko i cofnęła odruchowo, dostrzegła pędzącego prosto na nią diabła. Wpadła na Zuzannę, która w międzyczasie przestała się śmiać i patrzyła, jak rosyjski oficer odbija się od obelisku na grobie Marii Wisnowskiej i leci w powietrzu w jej stronę, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Dopiero po chwili dostrzegła cieniutkie ogniwa sieci, oplatające ciało saivy i rzucające na boki pomarańczowe i fioletowe błyskawice. Bartenjew wcale nie poruszał się w zwolnionym tempie. Wręcz przeciwnie, szamotał się jak oszalały, usiłując zerwać z siebie sieć. Jednocześnie w jakiś przedziwny sposób wcale nie opadał na ziemię ale szybował na wietrze jak nasiona dmuchawca. Albo balon z helem.

Zuzanna odsunęła na bok przerażoną kobietę i sama odskoczyła, żeby zejść z drogi pędzącemu jak byk Maurycemu.

- Sieć nie zdążyła się zacisnąć - zawołał do niej w biegu.

- Co?

- Coś się zerwało, nie wiem. Saiva się kondensuje. Kondensacja psychostatyczna - rzucił, zatrzymując się obok nich i zadzierając głowę.

- Co tu się dzieje? - wykrztusiła przerażona kobieta.

- Proszę pani, czy wszystko w porządku? - zapytał młody chłopak przechodzący obok. Miał sylwetkę boksera wagi ciężkiej o brakach w treningu i nosił bluzę z symbolem Polski Walczącej. - Czy ten dziwak coś pani zrobił? - Łypnął złowrogo na Maurycego.

- Nie, wszystko w porządku... - zaczęła Zuzanna. - Ja tylko... - Nie zdążyła dokończyć, bo w tym momencie Maurycy odepchnął dryblas bezceremonialnie i pobiegł pomiędzy grobami.

- Ej, kur... - zaklął sflaczały bokser. Usiłował złapać dziwaka za ramię, ale ten mu się wywinął i dryblas złapał powietrze, w którym z coraz mniejszą skutecznością szukał równowagi. Zrobił dwa chwiejne kroki i zamachał rękami. Zuzanna tymczasem odsunęła delikatnie wciąż oniemiałą kobietę i pobiegła za Zmorakiem.

- Maurycy! - zawołała.

Zmorak przemykał zwinnie pomiędzy grobami. Potrącił dwie starsze kobiety, które upadły bezwładnie na ścieżkę, szczęśliwie nie uderzając głową o żaden nagrobek.

- Przepraszam - rzuciła w biegu Zuzanna.

Zatrzymała się jednak dwa metry dalej, widząc, że Maurycy zaczyna wspinać się na pobliskie drzewo. Wróciła do staruszek i pomogła im wstać na nogi.

- Oj, Boże, Boże... - jęczała jedna, chwytając się za ramię. - Potłukł mnie, no, potłukł mnie okrutnie.

- Olaboga! - zawołała druga, gdy Zuzanna uniosła ją do pionu. Starsza pani była tak wychudzona, że nawet Zuzanna nie miała problemów z dźwignięciem jej z ziemi.

- Co się dzieje? - zapytała dziewczyna z troską. - Czy coś panią boli?

- Pewnie, że boli! - odparła ze złością staruszka. - Przecież mnie poturbował, przebieraniec, to boli, nie? O tu, tu mnie boli. - Machnęła ręką.

- Gdzie dokładnie?

- Wszędzie! - odparła staruszka. - Głupia dziewczucha! Jak będziesz stara, to zobaczysz, jak to jest. Wtedy wszystko boli, oj wszystko.

Zuzanna zmarszczyła brwi. Odeszła od lamentujących staruszek i spojrzała za Maurycym. Nic już im nie pomoże, poza wysłuchaniem ich narzekań, a ponadto kątem oka zauważyła, że pomiędzy grobami w ich stronę przesuwiają się żwawo niebieskie, policyjne czapki.

Zmorak wdrapał się na drzewo. Gałęzie schylały się nad dwa dziewiętnastowieczne grobowce z ciemnego kamienia, obficie pokryte mchem, okolone zardzewiałą, żeliwną barierką. Kamienny anioł w groteskowy sposób wskazywał złamanym krzyżem na saivę Aleksandra Bartenjewa, który wisiał w powietrzu, zaczepiony o gałąź drzewa. Nie przestawał się przy tym szarpać, przez co zrzucał na ziemię lawiny liści.

Zuzanna zauważyła, że Rosjanin puchnie. Wyglądał jak nadmuchiwana żaba. Właśnie z tym skojarzył się teraz Zuzannie jego widok - z makabrycznymi doświadczeniami, przeprowadzanymi przez jej kolegów z podwórka, gdy wszyscy byli rozwydrzonymi bachorami. Teraz koledzy są szanowanymi ludźmi. Chociaż nie, jeden chyba się zapił, ale

Zuzanna nieszczęśliwie się tym interesowała. Gdy oni wyrwali się z podwórka, szli do szkół, na studia, ona opłakiwała śmierć matki. Była ona co prawda niespełna rozumu. W daleko posuniętej schizofrenii doprowadzała Zuzannę i jej ojca do szału. Dziewczyna pamięta dobrze te myśli, że chciałyby, żeby matka już zmarła, żeby nie męczyła dłużej jej i ojca. Szczególnie szkoda ojca. To dobry człowiek i zasłużył na stanowczo lepszy los niż ten, który zgotowała mu matka, nieważne, specjalnie czy przez przypadek.

- Stać, policja! - Rozległ się okrzyk zza pleców Zuzanny. Rozdęty saiva szamotał się jak oszalały.

- Maurycy! - zawołała Zuzanna. - Szybciej!

Zmorak chwycił nóż w jedną rękę. Usiłował nią dosięgnąć Bartenjewa, ale gałąź, na której siedział okrakiem, zatrzeszczała ostrzegawczo.

- A chuj tam - powiedział Maurycy.

I skoczył. Odbił się niezgrabnie od gałęzi i złapał Bartenjewa w powietrzu. Zuzanna krzyknęła. Policjant wybiegający z nagrobka zaklął szpetnie. Staruszki wciągnęły z sykiem powietrze. Zuzanna wiedziała, co zobaczyli. Zapewne to samo, co każdy normalny człowiek, którego mózg nie jest w stanie odbierać zmysłowych sygnałów wysyłanych przez saivów. Policjant zobaczył faceta w skórzanych goglach, biało-brązowym kocu i kolorowych spodniach, wiszącego z szerokim, długim nożem w ręku w powietrzu, trzymającego się wzmiankowanego powietrza, a następnie, tnąc je,

przesuwającego i podskakującego. Zobaczył rozbłysk, jeśli należał do tych bardziej wyczulonych na świat zewnętrzny. A jeśli nie, po prostu zobaczył jak zabytkowa, mosiężna lampa naftowa uniosła się samoczynnie do góry, zakręciła w powietrzu, a następnie zwiśla bezwładnie z pleców dziwaka w kocu.

Później wszyscy, włącznie z Zuzanną, która dobrze widziała, jak Bartenjew został wessany do lampy, zobaczyli, jak cudak w kocu runął na ziemię. Tylko efekt zaskoczenia spowodował, że policjanci nie rzucili się natychmiast na Zmoraka. Maurycy wykorzystał to doskonale i natychmiast puścił się biegiem w stronę bramy, z początku lekko kuśtykając. Policjanci, otrząsnąwszy się z wrażenia, pobiegli za nim. Zuzanna została sama na cmentarzu.

Maurycy wyszedł po trzech godzinach. Wyjrzał najpierw na ulicę przez szparę w połamanych, drewnianych drzwiach szopy, na tyłach zakładu pogrzebowego. Gdy upewnił się, że nikt na ulicy nie sprawia szczególnego wrażenia, jakby kogoś usilnie poszukiwał, wyszedł przez skrzypiące drzwi i ruszył w kierunku Nowego Miasta. Chciał odebrać Sokoła, którego zaparkował w schowku przy kamienicy Zuzanny, a potem pojedzie do Zamościa, do Bramy Kurhanów. Taki był plan. Szkoda trochę Zuzanny, ale nie zamierzał wcześniej do niej wracać. Lubił dziewczynę, była miła i przyjazna i dobrze mu się z nią rozmawiało. Poza tym mieszkał u niej zawsze, gdy przebywał w Warszawie, ale ich

relacje nie przekraczały cienkiej linii wyznaczającej granicę przyjaznych stosunków współlokatorskich.

Wyrzucał sobie trochę, że wziął ją na operację. Niepotrzebnie ją naraził. Z drugiej strony, skąd mógł wiedzieć, że Bartenjew będzie taki szybki? W całej swojej karierze nie spotkał jeszcze saivy, który z taką zwinnością uciekłby przed siecią psychostatyczną. Szczególnie z pozycji leżącej Jezusem na nagrobnej płycie, zaśmiał się pod nosem na samo wspomnienie. Dobrze, że nie implodował nad tym cmentarzem. Zaczął się kondensować i naprawdę niewiele brakowało do implozji. Byłoby niezłe zamieszanie i potem musiałyby się Krukowi tłumaczyć z zakażenia świadomości przechodniów odłamkami rozsadzonych myśli i wspomnień zmarłego carskiego oficera. Pewnie nic by się im nie stało. Częstki pozostałe po implozji byłyby na tyle małe, że co najwyżej zaczęłyby ich nawiedzać dziwne sny, jak to trenują rekrutów w warszawskiej cytadeli albo kochają się z Marią Wisnowską. Albo strzelają jej w pierś. W sumie mogło być nawet śmiesznie, pomyślał. Ale Krukowi by się nie spodobało. Naruszyłyby podstawową zasadę dyskrecji w działaniu każdego noaide. Nikt z żywych nie mógł mieć nawet cienia podejrzenia co do zadań, które wykonywali pasterze umarłych, Zmoracy, noaide nowoczesnego świata. W sumie Maurycy osobiście nie widział w tym niczego złego, ale co on mógł. Był tylko zwykłym Zmorakiem.

Wcześniej zdjął ponczo i zawinął w nie nośnik ze schwytanym saivą. Zawiniątko przewiązał paskiem

i przewiesił przez ramię, przez co wyglądało jak hipsterska torba. Podciągnął również spodnie i zawinął nogawki oraz rozpuścił długie, blond włosy. W trakcie operacji miał związane, żeby nie przeszkadzały mu w pracy. Teraz starał się przeobrazić na tyle, na ile mógł, żeby żaden nadgorliwy policjant nie nabrał podejrzeń. Z pewnością mieli już jego zdjęcia z cmentarnego monitoringu. Założył nawet czapkę z daszkiem.

Nacisnął mocniej czapkę i ruszył szybszym krokiem. Zaczynał czuć cząstkę Bartenjewa, świdrującą powoli jego umysł. Koleś wyraźnie nie mieścił się w tym nośniku, myślał Zmorak. Wyciekał z niego jak woda z przepełnionej butelki, przyciśnięta korkiem. Byle do Sokoła. W sakwie ma zapasową sieć. Będzie mógł gościa wypuścić z lampy dzina *made in Germany* i skrępować w sieci. Jak zawsze przy transporcie saivów przejmie na siebie część jego świadomości, ale przynajmniej nie będzie mu się tak bezczelnie wlewać w szare komórki jak teraz.

V. POWRÓT NA STEP I DALEJ W DROGĘ ZA KOŃSKIM ZADEM

Słońce dopiero co zdążyło wychynąć ponad niezakłóconą linię horyzontu chłodnego, porannego stepu. Niskie, ciągnące się nieprzerwanie trawy trwały w bezruchu. Pozbawiona wiatru płaska powierzchnia rozbrzmiewała tętentem kopyt. Czterech jeźdźców w mundurach i futrzanych czapkach cwałowało w stronę wschodzącego słońca. Czerwone płomienie błyskały w wypolerowanych głowniach szabli oraz brzęczących sprzączkach i uprzężach. Trójgoniaste tarpany parskały ochoczo, nadstawiając krótkie różki naprzeciw naporowi powietrza.

Sierżant unosił się w siodle w rytm wyciągniętych końskich kroków. Pochylał się nad szyją wierzchowca, w jednej ręce ściskając lejce, a w drugiej znaleziony naszyjnik z nieznanym herbem. Huzarzy cwałowali po jego

bokach. Patrol tworzył formację klina, ale z tępym czubkiem, z sierżantem i Wałuwiewem na czele.

- Panie sierżancie! - zawołał Suworow zza potężnych pleców Wałuwiewa. - Panie Sierżancie!

- Czego?!

- Panie sierżancie!

- Czego?! - powtórzył głośniejszym głosem dowódca.

- Czy mogę zapytać, panie sierżancie - krzyknął Suworow - dokąd jedziemy?

- Nie! - odkrzyknął sierżant i smagnął wierzchowca nahajem.

Cwałowali dalej w milczeniu, wsłuchując się w tętent kopyt na wysuszonym, trawiastym stepie. Sierżant ponownie przyjrzał się naszyjnikowi, po czym wcisnął go do kieszeni na piersi. Ależ był głupi. Dopiero ta błyskotka przypomniała mu, gdzie jest jego miejsce. I na pewno nie znajdowało się ono w pościgu po stepie za jakimś dzikusem. Jego miejsce było w jednostce, w służbie Cesarza. Powinien ścigać Powstańców, a nie futrzanych bałwanów. Z początku, gdy zobaczyli tego jeźdźca, sierżant miał pewność, że to jeden z rebeliantów. Pościg go porwał i przesłonił poczucie rozsądku. Istniała tylko chęć ścigania uciekiniera, właśnie dlatego, że ten uciekał. Zachował się jak pies na polowaniu na zające. Ale przecież tym właśnie był, czyż nie? Był cesarskim psem, stworzonym i wyszkolonym do pościgów za tym, kogo Cesarz uzna za zwierzynę. Jak ten ogar, któremu myśliwy jednego dnia wskaże zająca, a zaraz potem kuropatwę albo dzika. Pies nie lubi ani nie

nienawidzi tych zwierząt. Po prostu je ściga, bo jest psem. I tak samo postąpił sierżant. A teraz jeździec uciekł, a oni są Bachus wie gdzie i jedyne, co zyskali z tego pieprzonego pościgu, to błyskotka z nieznanym nikomu herbem. Nic to, pomyślał sierżant, strzygąc wąsem na wietrze, trzeba wracać. Wiedział, że gdy ścigali tego chłystka, miał przed sobą zachodzące słońce. Logiczne wydaje się więc, żeby wracać o poranku.

Ale do czego mieliby wracać? Zagadnął o to żołnierzy, ale niezbyt szczegółowo, żeby nie wzbudzać w drużynie podejrzeń o brak pomysłu na dalsze działania. Teraz najgorsze, co mogło go spotkać, to próba kwestionowania jego autorytetu przez takiego na przykład Suworowa. Sierżant miał doświadczenie w radzeniu sobie z takimi problematycznymi zesłańcami ze Sztabu. Wiedział co...

- Panie sierżancie! Tam! - przerwał mu rozmyślenia okrzyk Tropiewa.

Dowódca odruchowo spojrział przez lewe ramię. Huzar Tropiew cwałował uniesiony w siodle z wyciągniętą przed siebie ręką. Sierżant pobiegł za nią wzrokiem i również to zobaczył.

- Szable w dłoń! Do szarży, na mój sygnał! - zawołał, wyszarpując broń z pochwy.

Z obu stron kawaleryjskiej formacji zgrzytnęła stal.

Cicero obserwował rosnącą na horyzoncie chmurę pyłu. Raz po raz coś błyszczało w słońcu. Zerwał się wiatr.

Jeszcze przez moment zagłuszał wszelkie dźwięki, ale już po chwili rosnący tętent kopyt doleciał do uszu Strażnika Edenu.

Nasunął kapelusz głębiej na pokryte łuskami czoło i zerknął przez ramię. Krawędź płaszczyzny rzeczywistości Ułana-Udego była odsłonięta. Z reguły system maskował granicę płaszczyzny tak, żeby saivie, który zagalopował się za daleko, wydawało się, że wciąż jest w swoim świecie, tylko w jakiś sposób wrócił do miejsca startowego. Najczęściej do domu lub innego rodzaju schronienia. Po przekroczeniu granicy przestrzeń ulegała zapętleniu i rezydent danej płaszczyzny automatycznie wracał do punktu startowego.

Teraz jednak Cicero zdjął wszelkie maskowanie. Poszarpana krawędź stepu ziała za jego plecami czarną pustką. Naturalnie jemu nic nie groziło. Gdyby skoczył za siebie, znalazłby się po prostu na Warstwie Wspólnej systemu, skąd mógłby się przedostać do dowolnej płaszczyzny. Warstwa Wspólna nie była jednak dostępna dla saivów. Podobnie jak mechanizm zapętlenia po przekroczeniu krawędzi płaszczyzny nie powinien działać na nikogo niezwiązanego z daną płaszczyzną, czyli inaczej mówiąc, nie był jej gospodarzem. System zaprojektowano w ten sposób, żeby każdy saiva w sytuacji awaryjnej wracał do swojego miejsca startowego. Jeśli, dla przykładu, Ułana-Udego odwiedziłby jakiś znajomy z innej płaszczyzny, musiałby to zrobić przy wykorzystaniu którejś z bram rzeczywistości i tylko za przyzwoleniem gospodarza. Gdyby

ten hipotetyczny gość spadł za krawędź, wróciłby natychmiast na swoją płaszczyznę, do swojego MS.

Tylko to wszystko dotyczyło saivów. Ale jak zachowają się ci jeźdźcy? Kim są? Na pewno nie saivami. A przynajmniej nie tymi pochodzącymi z którejkolwiek z jurysdykcji pod zarządem Konsylium Kruków.

Cztery dłonie Strażnika lewitowały swobodnie wokół jego ciała. Pięta ścisnęła trójzab. Nagle Cicero usłyszał świst za plecami, a następnie opór na dłoni. Spojrzał w bok i zobaczył dużego, białego sokoła na trójzębnie. Wiatr przeczesywał mu pióra. Ptak balansował pomiędzy dwoma ostrzami trójzębnie.

- Jada - powiedział Cicero. Ptak skrzeknął w odpowiedzi i łypnął jednym okiem na jeźdźców. Byli coraz bliżej i Cicero mógł już odróżnić poszczególne sylwetki. Czterech. Nadjeżdżali w formacji klina. Obnażone szable błyszcząły w słońcu.

Ptak skrzeknął ponownie, po czym wzbił się w powietrze. Na moment zawisł obok głowy Strażnika.

- Tak, mają bransoletę - powiedział Cicero.

Sokół wzbił się w powietrze i zniknął. Radien wie, co robi, pomyślał jeszcze Strażnik, po czym powoli nastawił trójzab w kierunku atakujących jeźdźców.

- Helenka? - chciał zapytać Ułan-Ude, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Widział przed sobą galopujących jeźdźców, tych samych, przed którymi wcześniej uciekał. Unosił się ponad stepem i sunął za nimi jak latawiec na niewidzialnej uwięzi. W chmurze kurzu dostrzegł wyraźnie cztery wierzchowce o podwójnych ogonach i plecy czterech jeźdźców. Jednak na jednym z wierzchowców, za jeźdźcem galopującym na szczycie klina, obok olbrzymiego żołnierza, siedział ktoś jeszcze.

Sylwetka to znikwała, to pojawiała się znowu. Kobieta. Wiatr rozwiewał jej długie, proste, blond włosy i opinał niebieską suknię na smukłej talii.

- Helenka! - zawołał, ale znów nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Nie słyszał ani świstu wiatru, ani tętentu kopyt pędzących jeźdźców. W uszach miał tylko wibrujący, zawodzący śpiew starej czarownicy i wtórujący jej jęk tajemniczego przybysza, który dodatkowo uderzał miarowo w skórzany bębenek.

Nagle, wciąż bez dźwięku, jeźdźcy wyciągnęli przed siebie szable i przyspieszyli, pochylając się do szarży.

Kobieta za plecami dowódcy obróciła się przez ramię. Spojrzała na Ułana-Udego pustymi oczodołami. Tatar poczuł falę gorąca przebiegającą przez jego ciało. Jednocześnie coś nim szarpnęło i nagle przyspieszył w kierunku jeźdźców. Już chciał objąć kobietę ramionami, gdy nagle jeździec z jego ukochaną wraz z pozostałymi żołnierzami zapadli się w ziemię. Ułan-Ude wyciągnął jeszcze dłoń i złapał bransoletę na ramieniu kobiety. Drugą dłonią chwycił koński ogon, znikający w ciemności. Spojrzał

w górę. Na moment zobaczył sylwetkę Cicera na tle błękitnego nieba. Cztery dłonie unosiły w górę kciuki, a on uśmiechał się, jakby chciał powiedzieć: bardzo dobrze. Odwagi!

Powróciły dźwięki. W uszy uderzył huk, wrzask i kwik koni, a potem wszystko znikło. Nastąpił jeszcze krótki, metaliczny brzęk i Ułan-Ude utonął w ciemnościach.

VI. HERBATKA NA POLANIE

- Dzień dobry, panie Szajloku - odezwał się spokojny, ale zarazem zdecydowany, męski głos. - Jak się pan czuje? - Rumszyk Szajlok najpierw usłyszał ten głos, a potem dotarł do niego pulsujący ból, rozchodzący się gdzieś z okolic skroni. Nie otwierając oczu, skrzywił się i jęknął. - Tak, wiem - kontynuował ten sam głos z nutką troski - cios był silny, ale proszę się nie martwić. Czaszka jest cała. Nie ma pan żadnych poważnych urazów. Będzie pan miał guza, porządnego guza, ale poza tym raczej będzie dobrze.

- Gdzie ja... Co...? - pytał Rumszyk. Obmacał dłońmi głowę i syknął, natrafiwszy na bolące miejsce po ciosie.

- Spokojnie - powtórzył mężczyzna. - Kolega krasnolud obszedł się z panem nieco zbyt... nadgorliwie, powiedzmy. Nie powinien jednak wraz ze swoim towarzyszem sprawiać panu kłopotów. - Odchrząknął, po czym kontynuował: - Miał pan szczęście, że pana znalazłem. Niestety pańskie mieszkanie zapewne zostało już doszczętnie przeszukane

przez Mafię, ale proszę się tym nie martwić. Myślę, że się dogadamy, a wtedy pokryjemy panu wszelkie straty, naturalnie z należytą nawiązką.

Rumsztyk otworzył oczy. Blask słońca oślepił go. Jednocześnie poczuł dziwny zapach, coś jakby swąd palonego siana. Dolatywał gdzieś z przodu, z kierunku, z którego rozlegał się uspokajający głos. Oczy przyzwyczały się do blasku i Rumsztyk zobaczył nad głową falujące, jasnozielone sklepienie liściastego lasu. Między gałęziami ćwierkały ptaki.

- Gdzie ja... - zaczął, zniżając wzrok.

- Spokojnie - powtórzył ponownie tajemniczy rozmówca.

Rumsztyk spojrział przed siebie i zobaczył eleganckiego mężczyznę o przystojnej twarzy. Miał nienagannie zaczesane, krótkie, blond włosy i oblicze, na którym, tuż pod lekko zadartym nosem, błąkał się zagadkowy uśmiech. Siedział naprzeciwko Rumsztyka, a pomiędzy nimi stał niewielki, szklany stolik. Na blacie spoczywał porcelanowy imbryk oraz dwie filiżanki z parującą ciecżą.

- Pozwoliłem sobie nalać panu herbaty - oświadczył nieznajomy. - Proszę się częstować, tylko uwaga, gorąca - dodał z uśmiechem.

Szajlok rozejrzał się zdezorientowany. Szarpnął głową nieco zbyt gwałtownie, bo znów odezwał się ból z tyłu głowy.

- Gdzie my jesteśmy? - zdołał wreszcie zapytać. Chociaż, pomyślał chwilę później, odpowiedź na akurat to

pytanie wydawała mu się oczywista.

- Na leśnej polanie - potwierdził jego przypuszczenia nieznajomy. - Zaraz za rogatkami Radovii - dodał. - Jak się pan czuje? - zapytał, a w jego głosie zabrzmiała, Rumsztyk mógłby to wręcz przysiąc, nutka szczerzej troski.

- Nie najgorzej - odparł ostrożnie, spoglądając podejrzliwie na rozmówcę. Poruszył się niespokojnie na krześle, ale ze zdziwieniem zauważył, że nie jest związany. Rozejrzał się ukradkiem.

- Proszę się nie martwić, jesteśmy tu sami - zapewnił nieznajomy. Upił łyk herbaty i odchylił się swobodnie na krześle. - I nie, nie jestem z Mafii, że pozwolę sobie uprzedzić pańskie następne pytanie. Proszę, niech pan się napije. Bardzo dobra herbata, prosto od pani Davis z ulicy Rybackiej, świeża dostawa z Albionu.

Rumsztyk spojrział na parującą filiżankę, jakby dopiero teraz ją zauważył. Spokojnie, myślał. Musisz być spokojny. Chwycił filiżankę i delikatnie zdmuchnął parę, która uzbierała się na powierzchni. Przecież nikogo tu nie ma. I daje ci herbaty, czego się denerwujesz? Tamten się nie cackał. Był z Mafii, to pewne, tamten, co napadł go w jego własnym mieszkaniu. I ten drugi pewnie też. Najprawdopodobniej to on przyłożył mu w głowę. Ale skoro ten tu przystojniaczek nie był od Tatuśka, a tak twierdził, to Mafia raczej nie będzie zadowolona, że sobie teraz tutaj siedzą i piją herbatkę. Dodatkowo stwierdził, spoglądając ukradkiem na nieznajomego, że chyba jest nieuzbrojony i nie wygląda agresywnie.

Upił łyk herbaty. Gorąca ciecz przyjemnie rozlała się po ściśniętych wnętrznościach, ostatecznie skłaniając Rumsztyka do stwierdzenia, że mogło być gorzej.

- Bardzo dobrze - powiedział przystojniak. - Cieszę się, że pan się troszkę rozluźnił - dodał. - Ach! - zakrzyknął nagle, aż Rumsztyk podskoczył na swoim krześle, rozlewając nieco herbaty na porcelanowy spodeczek z kwietnym motywem. - Ale gdzie moje maniery? Nazywam się Elliot Mess i chciałbym porozmawiać na pewien, jak sądzę, interesujący nas obu temat.

- Rumsztyk Szajlok - odparł młody ekonom i skinął machinalnie głową w odpowiedzi na uprzejmość ze strony rozmówcy.

- Bardzo mi miło, nie muszę chyba tego powtarzać? - Skinął urękawiczoną dłonią Mess.

Ptaki ćwierkały wesoło w gałęziach nad ich głowami. Gdzieś zastukał dzięcioł. Zgrzytnęła gałąź, którą wiatr rzucił na sąsiednie drzewa. Słońce grzało przyjemnie, przeciskając się pomiędzy świeżymi liśćmi. Rozmówca Szajloka rozparł się na krześle i założył nogę na nogę, nie tracąc jednak przy tym ani trochę z naturalnej godności. Jedyne cienka strużka dymu, unosząca się z podeszwy błyszczącego lakierka, nie pasowała do eleganckiego, tchnącego rozprężeniem wyglądu Elliota Messa.

- Czy pan wie, czym jest świat, panie Szajloku? - zapytał, zapatrzony gdzieś w korony drzew. - Czy pan zdaje sobie sprawę, gdzie żyje? Czym jest? Czy pan myśli czasem, że jest wyjątkowy? Że nie ma na świecie, ba, w całej

przestrzeni niezmierzonej kosmicznej pustki, drugiej istoty takiej, jak pan? A może w ogóle nie ma tam żadnych istot? Może jest pan sam? Może wszystko, co pana otacza – w tym miejscu Mess zawiesił tajemniczo głos, pozwalając, by zadane w przestrzeń pytania wybrzmiały w umyśle Rumsztyka, po czym kontynuował, spoglądając przez zmrużone powieki: – to jest pan i tylko pan? Pan wszelkiego stworzenia – zaśmiał się, po czym przetarł usta chusteczką wyciągniętą z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Rumsztyk patrzył na niego i chłonał pytania wypowiedane tym spokojnym, pewnym siebie, matowym głosem. Nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że coś rozumie, coś wie, coś łapie z tej dziwacznej wypowiedzi. Nie miał tylko pojęcia co, ale wiedział, że jego mózg pędzi na pełnych obrotach, usiłując nadążyć za myślą, która krążyła po zakamarkach umysłu, próbującą wniknąć w jakiś ciemny zaułek.

– Co, proszę? – zapytał w końcu i momentalnie poczuł, jak gorąco uderza do twarzy. Tylko tyle wymyślił? Tylko na tyle było go stać? Wyrzucał sobie w duchu, podczas gdy nieuchwytna myśl czmychnęła i skryła się w bramie świadomości.

Elliot Mess ani przez moment nie dał mu jednak odczuć, żeby zadawał sobie takie same pytania, żeby był zawiedziony brakami w zdolnościach pojmowania swojego współrozmówcy. Wręcz przeciwnie, wciąż uśmiechał się kącikiem ust, delikatnie, a jego spojrzenie zdawało się dodawać otuchy i zachęcać do dalszego wysiłku,

jednocześnie chwając odwagę i determinację. Ale przecież Rumszyk nie zasłużył na żadne pochwały, na nic nie zasłużył...

- Czy pan dopuszcza do świadomości, że może być stwórcą? - zapytał Mess, a spojrzenie jego oczu o nieokreślonym kolorze wyrażało teraz czyste zainteresowanie. - Czy pan, panie Szajloku, jest w stanie zaakceptować fakt, że to od pana pochodzi wszelkie stworzenie, wszelka zmysłowość i wszechświat w takiej postaci, w jakiej pan go widzi? - Rumszyk nie odpowiedział. - Cały świat jest zmysłowością, panie Szajloku - westchnął Elliot, jakby nieco zawiedziony postawą rozmówcy. - A pan jest w tej zmysłowości formą, która kształtuje wszechświat.

Iskierka rozbłysła w ciemnym kącie świadomości Szajloka.

- A pan? - zapytał, wkładając w to jedno pytanie całą pewność siebie, na jaką było go stać.

Mess roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Śmiał się, ale się nie wyśmiewał. Trząsał się wręcz ze śmiechu. Zachowywał przy tym jednak elementarny pierwiastek elegancji i dobrego stylu, który sprawiał, że Szajlok, z początku speszony reakcją rozmówcy, po chwili również się uśmiechnął. Z jego gardła wydobyły się pierwsze ochryple, wesołe dźwięki śmiechu. I wtedy nagle Mess zamilkł. Powoli i nienaturalnie przechylił się do przodu, a jego oczy na moment rozbłysły na czerwono. Zdjął nogę

z kolana i Rumszyk usłyszał cichy syk, gdy podeszwa zetknęła się z trawą.

- Nie - powiedział zmienionym głosem, chrapliwym i głębokim. - Ja nie - powtórzył, po czym na jego twarz wrócił poprzedni uprzejmy uśmiech pełen gracji i elegancji.
- Ja nie mogę, proszę pana. Jestem zmysłowością samą w sobie, jak zresztą każdy piekielny potomek odpadków ludzkiej świadomości.

- Aha... - mruknął Szajlok przerażony nagłą zmianą rozmówcy. Teraz przynajmniej wiedział, z kim ma do czynienia. I zaczynał żałować, że ten ktoś wybawił go spod pałki mafijnego siepacza.

- Właśnie. Cieszę się, że się rozumiemy. - Skinął głową piekielnik. - To ułatwi nam dalszą rozmowę. - Zawiesił na chwilę głos, po czym kontynuował: - Panie Szajloku, słyszałem, że firma starego pana Wincla ma kłopoty. Jakiś problem z potencjalnymi spadkobiercami, czyż nie? Synowie marnotrawni przejęli część zagranicznych filii firmy Ludwig Wincel i Synowie, dobrze rozumiem?

Szajlok ostrożnie skinął głową. Sytuacja w firmie nie była tajemnicą. Od jakiegoś czasu to temat numer jeden na wszystkich salonach Radovii.

- Właściwie to wszystkie - powiedział.

- Słucham?

- Synowie pana Wincla przejęli wszystkie zagraniczne filie, wszystkie oddziały w poszczególnych prowincjach Imperium. Do spółki z konkurencją, zresztą, wykorzystali, że tak powiem, niedyspozycję pana Wincla.

- Rozumiem. - Pokiwał głową Mess. - Tak, słyszałem, że sytuacja jest ciężka. I chyba nie najlepiej rokująca na przyszłość, prawda? - zapytał. Rumsztyk nie odpowiedział. - Nie ma co się oszukiwać, Ludwig Wincel jest u skraju swojego długiego i owocnego życia. - Znów odpowiedziało mu milczenie. Mess jednak ciągnął niezrażony brakiem reakcji rozmówcy: - Można by rzec, cała nadzieja w pani Winclowej, spadkobierczyni mężowskiego interesu. Ale czy ona sobie poradzi sama z prowadzeniem firmy, obciążonej takimi nieszczęściami, tak okrojonej przez...

Rumsztyk zrozumiał.

- Czego pan chce? - zapytał.

- Ja? - zapytał niewinnie Mess. - Ja chcę tylko pomóc, panie Szajloku. Jako członek Piekielnej Palestry, stworzonej po to, żeby służyć obywatelom w każdej potrzebie, pragnę wspomóc znakomitą firmę z tradycjami, która stanowi esencję i podstawę wymiany handlowej Królewskiego Miasta Radovii - dodał, rozkładając ramiona. - A przy okazji, jeśli można, chętnie wspomogę również w potrzebie tych, którzy tej pomocy potrzebują - spojrzał znacząco na Rumsztyka. - Szczególnie, jeśli mają w krótkim czasie przejąć schedę po naszym nieodżałowanym mistrzu handlowego rzemiosła.

- A czy to przypadkiem nie prawnicy Palestry wspierali synów pana Wincla w sporach o majątek?

Mess spojrzał na niego z nieskrywanym zdziwieniem.

- Nic mi o tym nie wiadomo, zapewniam pana. - Uśmiechnął się.

Szajlok popatrzył hardo w bezbarwne oczy prawnika.

- A dokładnie o co chodzi?

Mecenas skinął głową z uznaniem.

- Proces rewindykacji zagranicznych filii - powiedział zwięźle. - A przy okazji zalegalizowanie testamentu Ludwiga Wincla pozbawiającego marnotrawnych synów wszelkich praw spadkowych i przenoszącego cały majątek na panią Winclową - doprecyzował.

Rumszyk spoglądał na niego podejrzliwie. Po chwili sam odchylił się na krześle i rozłożył ręce. Niestety zbyt gwałtowny ruch spowodował powrót pulsującego bólu głowy i wywołał niepożądany grymas na jego twarzy.

- Nie stać mnie na tak fachową pomoc prawną, panie mecenasie - odparł, wytrzymując gasnący ból.

- Myślę, że dojdziemy do porozumienia w tej kwestii. - Uśmiechnął się Mess. - Przysługa za przysługę, panie Szajloku. Zyska pan, dodam, nie tylko uregulowanie spraw biznesowych, ale także dozgonną wdzięczność Palestry.

- Brzmi naprawdę zachęcająco - odparł Rumszyk, czując, że wpada w jakąś pułapkę, którą dopiero teraz zauważył - ale ja naprawdę nie wiem, co mógłbym zrobić dla pana w zamian. Jestem tylko skromnym ekonomem...

- Już tłumaczę - powiedział Elliot Mess i upił łyk herbaty.

- Co wy robicie, Bolski!? - wrzasnął kapitan Martell, przekrzykując szum pędzących kretociągów.

Żołnierz aż podskoczył, omal nie spadając z metalowej platformy. Jechali już dobrych kilkanaście godzin, wciąż tylko zakręty, zaduch i ciemne tunele błyskające światłami pochodni zawieszonych na wagonikach.

- Ja, ja... - wydukał żołnierz.

Był o około metr wyższy od swojego przełożonego, ale to nie sprawiało, że czuł się choćby odrobinę pewniej w obecności Martella. Kapitan roztaczał wokół siebie atmosferę napięcia i niepewności, przez co w oczach zwykłych żołnierzy miał autorytet daleko wyższy, niż wskazywałyby na to jego stopień. Między innymi właśnie ta cecha sprawiała, że najczęściej to właśnie Leonardo Martell był wybierany do przewodzenia w najbardziej ryzykownych akcjach. Główne dowództwo Armii Powstańczej bardzo chętnie widziało go również na czele oddziałów złożonych ze świeżych rekrutów. Pod czujnym okiem kapitana żółtodzioby szybko nabywały niezbędnych wojskowych szlifów na charakterze oraz odpowiedniego poziomu szacunku do wyższych rangą.

Wszyscy w Armii Powstańczej walczyli o wspólną sprawę: wyzwolenie Królestwa Graalii spod ciężkiego buta cesarskiej opresji ze wschodu. Niestety niezwykle korzystna sytuacja gospodarcza oraz niespotykany do tej pory wzrost zamożności zwykłych obywateli zachodniej prowincji Imperium powodowały, że rekrutów, gotowych oddać życie za wolną Graalię, było coraz mniej, a często

zdarzało się również, że nawet ci, którzy się zgłaszali, robili to z pobudek nie do końca patriotycznych. Grabieże i rozboje dokonywane przez Armię Powstańczą były coraz częstsze i w dodatku w rosnącej liczbie popełniane na zwykłych obywatelach, którzy niekoniecznie wspierali jakoś szczególnie Imperium albo pracowali dla cesarskiego aparatu represji. Coraz częściej ofiarami powstańców padali ludzie, którzy po prostu usiłowali jakoś żyć w rzeczywistości, może i dławiącej niepodległość Graali, ale robiła to już od ponad stu lat. I nie opróżniała nadmiernie ich spizarni. Niewielu pamiętało wolną Graalię. Tacy, jak pułkownik Josef Stirling, byli wyjątkiem w szerokich masach społecznych. I to nie tylko ze względu na unikatową formę cielesną dyktatora Powstańczej Armii Podziemnej, ale także z uwagi na niewielkie zainteresowanie ludności cywilnej ideą wolnej Graalii. Powstańców coraz częściej postrzegano jako zwyczajnych bandytów. Naturalnie propaganda Imperium działała bardzo pręźnie, żeby przypiąć łatkę zwyrodnialców i bandytów Armii, która wciąż przeszkadzała Cesarzowi przez tyle lat spokojnie sprawować kontrolę nad perełką w koronie Imperium. Niemniej sama Armia Powstańcza swoimi rozbojami i rabunkami również przyczyniała się do takiego, a nie innego społecznego odbioru jej działań.

I dlatego właśnie tacy ludzie, jak Martell, byli Armii Podziemnej niezbędni. Powstańcy potrzebowali patriotów, a kapitan był patriotą zaprogramowanym genetycznie. Pochodził ze starej, szlacheckiej rodziny krasnoludów,

w której każdy męski członek rodu, a często i wiele kobiet, walczyło z Imperium. Nawet w tych zamierzchłych czasach, gdy granica Królestwa Graalii sięgała hen na wschód, daleko za bagna Marschanda i puszcę Thorgalską oraz aż do suchych stepów, ciągnących się niemal od Morza Północnego aż do Wielkiego Słonego Jeziora na południu.

- Zostaw go! - wrzasnął kapitan na spłoszonego szeregowca o okrągłym, kartoflanym obliczu chłopca z Nizin. Chłopak drgnął ponownie i musiał złapać się krawędzi wagonika, żeby nie wypaść z pędzącego kretociągu.

- Ttt... Tak jest! - odparł, spoglądając z przerażeniem na ściany tunelu uciekające pod wagonikiem.

Gdyby teraz wypadł, pędzący kretociąg rozjechałby go na miazgę, a to, co by z niego zostało, tunele zeżarłyby i wchłonęły w swoje bebechy, a następnie wypluły jego wybielone kości w wielu miejscach na całym świecie. Szeregowy Bolski wiedział, jak to działa. Ojciec straszył go w ten sposób przed Czeluścią, która otwierała się raz po raz nieopodal ich wioski.

- To gęba Tuneli - opowiadał przerażonemu malcowi. - Nigdy tam nie chodź, bo cię wciągnie, schrupie i przetrawi, a twoje kości będziemy musieli z matką zbierać po całym bożym świecie.

Bolski nie miał wtedy powodów, żeby wątpić w ostrzeżenia ojca. Wszyscy wiedzieli, że do Czeluści nie należy się zbliżać. Nawet nastoletni chłopcy, którzy chcieli się popisać odwagą przed dziewczynami lub przed sobą

nawzajem, podchodzili na pięć metrów do krawędzi, nie bliżej. Nic nie cieszyło się takim szacunkiem chłopów jak ta bezimienna, bezduszna Czeluść.

Teraz jednak szeregowy Bolski sam przemierzał Tunele, przed którymi ostrzegał go ojciec, a jego wioska nie istniała. Została spalona przez cesarskich huzarów w odwecie za atak Powstańców na strażnicę imperialną. Ponoć w ataku zginęło trzech cesarskich, w tym jeden porucznik. W odpowiedzi Armia Imperialna spaliła całą wieś i okoliczne pola, a ludność wycięła w pień. Bolski był wtedy z kilkoma innymi chłopakami w lesie, na polowaniu na zające. I to go uratowało. Gdy wrócił, na miejscu zastali zgliszcza oraz oddział Powstańców. Nie wiadomo, czy był on dość silny, żeby przegonić cesarskich huzarów, ale z pewnością przybył zbyt późno. I w ten sposób Bolski razem z ocalałymi kolegami wstąpili do Podziemnej Armii Powstańczej Królestwa Graalii, pomimo że nawet sama nazwa była im obca, tak samo jak nazwisko obecnego Cesarza. Jak powtarzał ojciec, oni byli tutejsi. A może raczej tamtejsi? Nie czuli się obywatelami jakiegokolwiek państwa, jeśli w ogóle wiedzieli, co oznacza to pojęcie. Natomiast jedynym władcą, jakiego uznawali, był lokalny dziedzic, stary, schorowany szlachcic, który mieszkał w dworku na wzgórzu. Jego synowie zginęli na jakiejś wojnie, gdzieś na rubieżach Cesarstwa, rodziny nie posiadał, więc w spokoju dożywał swoich dni, nie wtrącając się w życie poddanych mu boskim prawem wieśniaków. Oni natomiast nie mieli szczególnych obiekcji do takiego stanu

rzeczy, a nawet dobrowolnie dbali o swojego pana, ale oczywiście bez przesady. Dożywiali go i pomagali mu w codziennych sprawach tak, że starzec mógł sobie żyć w spokoju.

Ale teraz już tego nie było. Bolski stracił dom i rodzinę i walczył teraz w sprawie, której nie rozumiał ani nie cenił. Ale przynajmniej walczył, a nie leżał spalony, zespalając się z ziemią, jak spróchniałe drewno.

- Odmaszerować! - rozkazał kapitan.

Szeregowiec wyprężył się jak struna, po czym odszedł w kierunku wagonika ze swoją drużyną, balansując na chwiejącym się podeście.

- A wy, panie ciennik - zwrócił się kapitan w kierunku mrocznego wnętrza żelaznego wagonika - nie próbujcie mi buntować żołnierzy! Sam was tu popilnuję, aż nie dotrzemy do celu.

- Mmmmm! - rozległ się stłumiony jęk z ciemnego wnętrza.

- Co tam mruczysz? - Kapitan pochylił się nad wagonem.

- Mmmmmmm!! Mhm! - powtórzył więzień.

- Co? Pić chcesz?

- Mmm! Mmm!

- Dobra, poczekaj - odparł kapitan. - Wy! Szeregowy! - zawołał na żołnierza stojącego na sąsiednim wagoniku. - Tak, wy! Przynieście mi tu natychmiast miskę z wodą! - rozkazał. - Ale już!

Żołnierz zasalutował energicznie i odszedł chwiejnym krokiem w kierunku tylnych wagonów.

- No, poczekaj. - Sięgnął do wnętrza wagonika. - Tylko nie drzyj się - ostrzegł więźnia.

- Nie zamierzam - odparł del Rey zachrypniętym głosem. - A więc to jest ten sekret nieuchwytności Armii Powstańczej, hmm? - zagadnął kapitana. - Podejrzywałem, że musi to mieć jakiś związek z Tunelami - dodał. - A jak się wam udaje kontrolować kierunek podróży, jeśli wolno zapytać?

- Nie wolno - odparł szorstko Martell. - I nie gadaj tyle, bo cię znów zaknebluję. Odsłoniłem ci gębę, żebyś mógł się napić i tylko dlatego, że uratowałeś mi życie, a Martell swój honor ma. Ale jak będziesz kłapać jadaczką, to wepchnę ci ten knebel z powrotem w japę.

- A co pan taki drażliwy, panie kapitanie? - zapytał del Rey. - Jedzie sobie pan z ziomkami ciepłymi, bezpiecznymi tunelami, wśród swojskiego duma kretociągów. Nie ma pan skrępowanych rąk. Nie musi pan leżeć w niewygodnej pozycji na dnie zimnego, żelaznego wagonika, nie...

- Cisza! - przerwał mu Martell i nachylił się do wnętrza wagonika. - Ostrzegałem cię. - Szarpał się nad wagonikiem. Kretociąg szumiał, pędząc w tunelu. Del Rey wrzasnął.

- Kapitanie Martell! - odezwał się władczy głos zza pleców Leonarda.

Krasnolud natychmiast wyprostował się i obrócił na pięcie. Na stalowej platformie na krawędzi wagonika stał

pułkownik Stirling. Drewniana skrzynia balansowała na metalowych, patykowatych odnóżach, łypiąc na kapitana ogromną dziurką od klucza.

- Co się tu dzieje? - zapytała.

- Panie pułkowniku! - Zasalutował kapitan, usiłując złapać równowagę. Kretociąg szarpnął na zakręcie i Martell musiał chwycić za krawędź stalowej miski. - Melduję, że więzień zgłosił potrzebę uzupełnienia płynów, wobec czego wysłałem żołnierza po wodę, natomiast więźnia rozkneblowałem. Teraz jednak więzień zaczął...

- A kto wam kazał go zakneblować w pierwszej kolejności? - zapytał pułkownik.

- Ja... Nikt, panie pułkowniku, ale rozkazano mi go wrzucić na wagon, więc pomyślałem...

- Dobrze pomyśleliście, kapitanie - przerwał pułkownik.

- Ale nie kneblujcie go już ponownie. Zaraz dojeżdżamy na miejsce, a będziemy musieli sobie poważnie porozmawiać.

- Tak jest! - zameldował Martell.

- Proszę przygotować swoich ludzi do rozładunku. Odmaszerować!

- I tylko tyle? - zapytał Rumszyk, unosząc brew z niedowierzaniem.

Był młodym ekonomem, ale zanim stary Wincel zachorował, często uczestniczył w negocjacjach prowadzonych przez szefa z kontrahentami. Były to ostre

spory i targi, w trakcie których nieraz zdarzało się, że rozmaite napoje lądowały na podłodze w towarzystwie kartek papieru z wyliczeniami i schematami biznesowych strategii. Kontrahenci straszili wyjściem z sali, demonstracyjnie wstawali od stolika, a czasem nawet rozklejali się emocjonalnie przed Winclem i nie raz wpadali w szloch i lament nad swoim losem. Ludwig Wincel pozostawał jednak zawsze niewzruszony i chłodny, pozwalając sobie w ramach reakcji na zachowania kontrahentów jedynie na jeden i zawsze ten sam uśmiech, a raczej nieznaczne uniesienie kącika ust zwieńczonego okazałym, zakręconym ku górze wąsem. Był to uśmiech, na widok którego każdy szanujący się radovski kupiec odczuwał zimny dreszcz na plecach, a co najmniej niekomfortowe mrowienie w okolicach karku. Rumsztyk pamiętał dobrze, jak opowiadali mu o tym znajomi z Akademii Handlowej, koledzy, którzy terminowali u innych kupców lub zgrywali ekspertów w renomowanych firmach doradczych.

- To dla nas bardzo dużo - odparł Elliot Mess, uśmiechając się do Rumsztyka uprzejmie.

Szajlok natychmiast zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo. Powinien trzymać język za zębami, a nie pytać, czy to wszystko. Nawet jeśli nie mógł uwierzyć, że w zamian za pomoc najpotężniejszej organizacji prawniczej w przejęciu i odbudowaniu firmy Wincla jego rozmówca żąda tak niskiej ceny, to nie powinien się z tym ujawniać. Teraz prawnik miał go na widelcu. Stary Wincel nie dałby się tak łatwo

podejść. Przecież Mess nie wyglądał na pierwszego lepszego aplikanta. To twardy zawodnik. Wyrobiony w bojach sądowych i kularowych negocjacjach piekielnik. Rumsztyk nie miał z nim szans w bezpośredniej konfrontacji.

Rozejrzał się po polanie. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, poza tym, że w lesie i że w jakiś tajemniczy sposób piekielnik wyciągnął go spod pałki mafijnych siepaczy. Jak się nad tym zastanowić, to czy jego pozycja negocjacyjna w ogóle mogła ulec pogorszeniu? Pewnie tak, pomyślał, ale na pewno nie przez to durne stwierdzenie.

Spojrzał na prawnika. Nieskazitelny frak i idealnie zaczesana fryzura dopełniały dopracowany w najmniejszych szczegółach uśmiech i wyraz twarzy mecenasa. Wrażenie profesjonalizmu i szczerości wręcz promieniowało z jego postaci. Skinął głową Messowi i westchnął. Dziękiłom załomotał pospiesznie o drzewo, gdzieś w górze.

Prawnik uniósł filiżankę i upił łyk herbaty.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia - powiedział. - Ma pan ochotę na jeszcze jedną filiżankę? - zapytał, unosząc dzbanek.

- Poproszę.

- Obawiam się, że to już końcówka - zmartwił się prawnik. Napełnił filiżankę Szajloka i odstawił dzbanek. - Także proponuję dokończyć i od razu przystąpić do dzieła. Zresztą - skinął głową w kierunku zielonego sklepienia, falującego ponad ich głowami - ściemnia się.

Rumszyk wychylił filiżankę jednym haustem jak kieliszek wódki. Herbata zdążyła już przestygnąć. Mess skinął mu głową, po czym wstał i wygładził frak.

- Proszę za mną - powiedział i poszedł w kierunku gęstego, brzoźowego młodnika, który otaczał polanę z lewej strony Szajloka.

- A nie zabieramy... - zaczął Rumszyk, wskazując na stół i krzesła, ale zaraz ugryzł się w język.

- Nie trzeba - odparł Mess. - Mamy od tego... hmm... no niech będzie, że ludzi - dodał i zaśmiał się pod nosem, znikając między białymi gałęziami młodych brzoźek.

Kretociągi wyhamowały bardzo łagodnie. Od godziny stopniowo zwiększały kąt wspinaczki tunelem tak, że żołnierze musieli się trzymać krawędzi wagoników, żeby nie powypadać, pod odnóżopłyzy postępujących za nimi pojazdów.

Michelangelo, chorąży drugiej brygady rekonesansu podziemnego, członek ekipy ratunkowej, wysłanej przez dowództwo Podziemia w celu odbicia pułkownika z rąk cesarskich żołdaków, opierał się plecami o zimną blachę wagonu amunicyjnego. Podobnie jak niemal każdy żołnierz, z którym rozmawiał, Michelangelo nie spodziewał się tak nagłej ewakuacji. Powstańcza Armia Podziemna jako kwaterę główną zajmowała bezpieczną grootę zlokalizowaną bezpośrednio pod Radovią, jedną z tych rzadkich, niezmiennych jaskiń, stałych elementów w ciągłym chaosie

Tuneli. W powszechnym, żołnierskim mniemaniu, nie było szans, żeby jakikolwiek cesarski przedarł się przez sieć zdradzieckich, nieprzewidywalnych Tuneli i odkrył ich siedzibę. W całej Armii było przecież jedynie kilku przewodników, tunelowców urodzonych w żywych korytarzach, przecinających podziemne czeluści świata. Żaden żołnierz, nawet oficerowie podziemnego wywiadu, nie ośmielali się zapuszczać w tunele bez ich pomocy. A ci, co próbowali, nonszalancko, czy też zmuszeni pościgiem, czy inną nagłą sytuacją, ginęli. Chociaż nie wszyscy, pomyślał. Martellowi się udało, ale w tym przypadku większość drogi pokonali specjalnym tunelem wykopanym przez saperów, który kończył się tuż przed jaskinią. Musieli tylko odpowiednio skręcić na tamtym skrzyżowaniu.

Dowództwo Armii naturalnie wiedziało, że cesarski wywiad inwigiluje Tunele i nie szczędzi środków, również życia hominidów, na znalezienie sposobu nawigowania w żywych tunelach. Ich poczynania były starannie monitorowane, jednak nigdy jeszcze nie podeszli na tyle blisko kwater dowodzenia, żeby mieć choćby podejrzenia, że opanowali nawigację. A nawet jakby jakimś cudem uniknęli pożarcia przez Tunele i przedarli się do podziemnych grot, na pewno by z nich nie wyszli.

Prawda, ostatnio Armia Podziemna przegrywała niemal wszystkie bitwy. Wydawało się nawet, że bez pułkownika Powstanie upadnie. Nastroje nie były pozytywne. Morale upadało, a chaotyczne działania Rady nie pomagały w jego utrzymaniu. Wydawało się, że straceńcza decyzja o ataku

na Cytadelę to ostatni zryw. Przed szturmem snuto domysły, co to będzie, jak wyjść z Podziemia po upadku Powstania. Część żołnierzy chciała kontynuować walkę na powierzchni, podzielić się na mniejsze grupki i prowadzić dalej akcje dywersyjne, niezależnie jedna od drugiej. Podobno niektórzy oficerowie z Rady popierali takie postępowanie. Inni stanowczo się sprzeciwiali i zalecali walkę do końca, do ostatniego człowieka. A jeszcze inni, w tym oficerowie wywiadu, proponowali stopniowe wyjście z konspiracji i zakończenie walki zbrojnej jako z góry skazanej na porażkę w konfrontacji ze święcącym triumfy Imperium.

Michelangelo część rozmów podsłuchał sam, o części dowiedział się od znajomych adiutantów poszczególnych oficerów. Wiedział też, co się mówi na dole, przy ogniskach, wśród zwykłych żołnierzy. Nastroje nie były zbyt dobre. Chorąży wiedział, że Powstanie upadnie. Pytanie brzmiało – kiedy i jak głośny będzie huk.

Nie miał szczególnych nadziei na odbicie pułkownika Stirlinga. Mimo to zgłosił się do drużyny dywersji podziemnej, jednej z czterech, które pod osłoną szaleńczego szturm na cytadelę, miały wykonać podkopy pod więzienie, podłożyć dynamity i wydostać pułkownika. Nie wiązał z tą akcją szczególnych nadziei. Nie było też jego obowiązkiem uczestniczyć w akcji podziemnej, dowództwo postanowiło wysłać ochotników. Michelangelo pomyślał jednak, że jeśli to ma być koniec Powstania, to nie można sobie go lepiej wyobrazić, niż służąc na froncie pod kapitanem Leonardem Martellem. Nie było drugiego

takiego oficera w całej Armii. No, może za wyjątkiem pułkownika Stirlinga, ale jego nie powinno się porównywać ze zwykłymi żołnierzami. Pułkownik był nie tylko genialnym dyktatorem Powstania o niekwestionowanym autorytecie. Był kimś więcej, ponadczasową personifikacją oporu i silnej woli, zaklętej w myśłoskrzyni, ponoć przygotowanej dla niego przez samą Piekielną Palestę w tajnych laboratoriach Piekła. Michelangelo nie do końca wiedział, co sądzić o takich plotkach. W życiu starał się kierować zasadą racjonalizmu, którą definiował jako myślenie o rzeczach, zdarzeniach i ludziach tego, co jest rozsądne. Jako rozsądne najczęściej rozumiał to, co da się sprawdzić i nie powoduje emocji. W sytuacjach kryzysowych uruchamiał po prostu swój, jak to nazywał, chłopski rozum i stosował go bezwzględnie, nieważne, czy chodziło o przeprowadzenie operacji dywersyjnej, wyrobienie sobie zdania o istocie człowieczeństwa myśłoskrzyń czy też o to, czy jego żona go zdradza, gdy on przebywa pod ziemią.

To samo kryterium rozumowania nakazało mu stwierdzić, że powrót pułkownika tchnie nową nadzieję w Powstańców. I rzeczywiście nie pomylił się. W Armię wstąpiła euforia. Połączone dowództwo natychmiast ustąpiło pola staremu przywódcy i momentalnie zapomniało o planach dotyczących przyszłości Powstania. Zwykli żołnierze wznosili okrzyki triumfu, jakby właśnie pokonali samego Cesarza w jego własnym pałacu na Wzgórzu Krugerranda w Sidrze.

Wydawało się, że wszystko będzie dobrze. Że przeczekają jakiś czas, zbiorą siły i ruszą do ostatecznego, tym razem zwycięskiego ataku, pod wodzą jedyne go wodza. Tymczasem jedyny wódz, zaraz gdy okrzyki triumfu zaczęły przycichać, najpierw podziękował żołnierzom za oddanie, a następnie, zaraz w drugim zdaniu przemówienia, zarządził natychmiastową ewakuację.

Powszechne zaskoczenie było niemal równie wielkie co niedawny entuzjazm, jednak rozkaz to rozkaz, a jeśli pochodził bezpośrednio z metalowych ust pułkownika Stirlinga, brzmiał jak boskie przykazanie.

Tunel nagle bardzo szybko się rozjaśniał. Michelangelo zdążył jedynie zmrużyć oczy, zanim kretociąg wyskoczył wśród zgrzytu i metalicznego huku na śródleśną polanę. Słońce wyraźnie zaczynało już zachodzić. Polana była tylko niewiele bardziej rozświetlona niż podziemna kwatera Armii Powstańczej. Dogasające, czerwone promienie przebijały się przez gęste, ciemnozielone sklepienie pradawnej puszczy.

Kolejne kretociągi wyskakiwały z łoskotem z Czułości i powoli, niczym olbrzymie, metalowe gąsienice, zakręcały i ustawiały się w równych rzędach pod wapiennymi skałami, które wyznaczały jedną z granic polany. Potężne, grube na kilka metrów pnie drzew, podtrzymujące sklepienie puszczy, wzrastały nieruchomą, pomarszczoną ścianą na lewo i prawo od wapiennych ostańców, rozchodząc się półkolem i otaczając polanę drewnianym

murem. Zza potężnych konarów wyzierał chłodny mrok przedwiecznego lasu.

- Chorąży za mną! - rozległ się gniewny okrzyk kapitana Martella.

- Tak jest! - odkrzyknął natychmiast Michelangelo, zeskakując z wagonika kretociągu i podążył za kapitanem.

Przez jego umysł przebiegła nagła myśl, że gromadzenie wszystkich kretociągów na powierzchni nie wróży zbyt dobrze. Minął dwa ostatnie wagoniki kretociągu transportowego i tego zawierającego nieco przestraszonych żołnierzy pułków szturmowych, po ostatniej akcji pod cytadelą poważnie przerzedzonych. Zatrzymał się pod ostatnim wagonikiem w rzędzie. Donatello już tam był. Podał mu rękę i chorąży podciągnął się na metalową platformę. Kątem oka spostrzegł jeszcze rozgrzane do czerwoności podwozie pojazdu i po chwili stanął wyprostowany na baczność przed kapitanem.

I wtedy zobaczył pułkownika Stirlinga.

- Wydobyć więźnia! - rozkazał Martell.

Chorąży spojrział na Donatella, ten jednak tylko wzruszył ramionami i uniósł pytająco brwi.

- Z wagonika! - dodał kapitan, wskazując gniewnie na żelazną miskę wagonika.

Żołnierze natychmiast podeszli i schylili się do wnętrza. Po chwili, stękając z cicha, wyciągnęli skurczonego, spowitego w wełniany płaszcz więźnia. Skórzaste rondo cylindra, stanowiącego jedność z jego głową, było nieco wygniecione i sine jak odgnieciona skóra.

- No nareszcie - powiedział del Rey.

Usiłował przeciągnąć skrępowane za plecami ramiona, ale gdy tylko wykonał pierwszy ruch, silne ramiona krasnoludów ścisnęły go z boków jak żelazne kleszcze.

- No co, co? Przecież wam nie ucieknę! - powiedział i szarpnął jeszcze demonstracyjnie barkiem, ale przewaga siły fizycznej krasnoludów nie pozostawiała mu wielkiego pola do manewru.

- Rozwiązać - odezwał się spokojnym głosem pułkownik.

Martell zeszywniał i spojrzał na skrzynię ustawioną na skraju metalowej platformy.

- Panie pułkowniku... - zaczął.

- Wykonać! - powiedziała dobitnie skrzynia.

- Tak jest! - odparł Martell. - Rozwiązać więźnia - warknął w kierunku Donatella i Michelangela.

Chorąży wyciągnął nóż i przeciął więzy za plecami ciennika.

- Dziękuję wam, dobre krasnoludy - powiedział del Rey.

Pocierał nadgarstki i usiłował rozprostować ramiona. W tym momencie jednak żołnierze powrócili do poprzedniego rozkazu i chwycili go ponownie w żelazny uścisk.

- Dziękuję, panie kapitanie - powiedział pułkownik. - Proszę pomóc ze swoimi ludźmi w zakładaniu obozu warownego. Kwatermistrzowie zostali już odpowiednio poinstruowani co do szczegółów i wyznaczą wam odpowiednie zadania - dodał. Martell zasalutował

sprężyćcie, co zaraz po nim uczynili pozostali krasnoludowie. – Obozem dowodzi major Brzdyk – dodał, a zaraz potem wysunął stalowe odnóża i zszedł z platformy. – A pan – wskazał szpikulcem przedniego odnóża na ciennika – pan pójdzie za mną. Tylko proszę nie próbować żadnych sztuczek. Moi ludzie zastrzelą pana w dwie sekundy.

– Taa... – mruknął ciennik i zeszywniały niezgrabnie zeskoczył z wagonika na miękką ściółkę. Wilgotny mech uginał się pod ciężkimi, podkutymi buciorami.

Martell stał wciąż na platformie ze swoimi żołnierzami. Pułkownik Stirling najwyraźniej wyczuł jego niepewność. Znał kapitana. Był jednym z jego lepszych oficerów, ale wymagał... bezpośredniego i indywidualnego podejścia, które pułkownik zdecydował natychmiast zastosować w zaistniałej sytuacji.

– Odmaszerować! – oświadczył, wkładając w swój syntezator mowy tyle gniewu i zniecierpliwienia, ile mógł z siebie wykrzesać.

– Tak jest! – odblokował się Martell.

Bez słowa zeskoczył z platformy i szybkim krokiem oddalił się w kierunku kwatermistrza wrzeszczącego właśnie na szeregowych, którzy upuścili pakunek z amunicją. Jego dwaj żołnierze podreptali za nim, dopiero teraz pozwolili sobie na rzut oka na otaczającą ich puszcę.

– Do roboty! – przerwał chwilę zadumy krasnoludów kapitan.

Spojrzeni na niego zdeorientowani, ale dowódca szybko rozwiązał ich wątpliwości, wskazując gruzłową dłoń na kiwające się na tle mrocznych konarów stelaże namiotów.

VII. STĘSKNIONY OFICER, STARY MOTOCYKL I GŁODNY KOT

- Dobra, wyłąć - powiedział Maurycy w kierunku mosiężnej lampy, która leżała na tylnym siodełku Sokoła, luźno zawinięta w zapasową sieć psychostatyczną. Zmorak stał z boku i bawił się nożem. - No wyłąć, do cholery - rzucił w końcu zniecierpliwiony. - Nie mamy całego dnia, musimy jechać. - Odczekał jeszcze chwilę, po czym z irytacją wbił nóż w szparę, tuż poniżej szybki lampy. Gęste, pomarańczowe światło rozlało się po całej tylnej części motocykla. - No - powiedział Maurycy z zadowoleniem i schował nóż do skórzanej pochwy.

Lśniąca, bezkształtna masa zaczęła się przesuwać i pulsować pod siecią. Stopniowo rosła i wydłużała się ku górze. Z wolna wykształciła ręce, spowite w rękawy

munduru. Na szczycie pomarańczowej masy wyskoczyła głowa, niczym mysz z dziury. A z głowy wydobył się wrzask.

Maurycy podszedł spokojnie do motocykla. Ściągnął rzemienie, którymi umocował wcześniej sieć do błotników maszyny.

- Zamknij się - powiedział do głowy Bartenjewa. - Nikt cię nie usłyszy. Tylko mi będziesz przeszkadzał, ale jak chcesz, to mogę sobie wsadzić korki do uszu - dodał z uśmiechem i zaprezentował saivie dwie pomarańczowe zatyczki, wyciągnięte z kieszeni. - No nie drzyj się. Może sobie pogadamy, a jak się będziesz wydzierać, to się zamknę w sobie i nawet nie usłyszę, jak będziesz chciał się odlać. Co, myślisz, że nie musisz lać, bo nie żyjesz? Tak ci się tylko wydaje, kolego. Podróż na tylnym siedzeniu Sokoła wywołuje wspomnienia moczopędne jak w niewygodnym dyliżansie. Niejeden już tu jeździł. - Poklepał czule siodełko motocykla i uśmiechnął się.

Bartenjew zamilkł na moment. Nie do końca jeszcze kształtne nogi, okryte czarnymi bryczesami, wystawały z pulsującej masy po obu stronach motocykla.

- No, i od razu lepiej - stwierdził Maurycy. - Okej, to jedziemy, co? Kawałek drogi przed nami - dodał, wsiadając na maszynę. Odpalił kopniakiem silnik. - Troszkę się zdeformowałeś przez tę implozję, chłopie - rzucił przez ramię, przekrzykując głuchy gulgot widlastego silnika. Nasunął na nos skórzane gogle o przyciemnianych szybkach i rzucił Aleksandrowi przez ramię promienny uśmiech. - Jeździłeś kiedyś na motocyklu? - zapytał. Saiva

nie odpowiedział. Rozglądał się zdumionym wzrokiem. Szarpnął się lekko, ale sieć zwężyła oczka wokół jego ramienia i skurczyła się. – No, no – powiedział Maurycy. – Nie szarp się, nie uwolnisz się. Sieć się tylko mocniej zaciśnie i będzie ci mniej wygodnie. I będzie ci się bardziej chciało łać – dodał, odwracając się. Położył delikatnie prawą dłoń na manetce, lewą zacisnął na sprzęgle. Motocykl poruszył się nieznacznie.

– Gdzie jedziem? – zapytał Bartenjew łamaną polszczyzną ze wschodnim zaśpiewem.

– Mówi się dokąd jedziemy – poprawił Maurycy. – A jedziemy do Edenu – dodał po chwili i odkręcił manetkę.

Warkot uspiętej bestii odbił się echem od staro-nowych ścian kamienic wzdłuż ulicy Rycerskiej na warszawskim Starym Mieście. Kilku przechodniów obejrzało się za przedwojennym motocyklem, który majestatycznie wytoczył się na Podwale. Dziwny kierowca, ubrany w biało-brązowy koc i kolorowe spodnie na moment przykuł uwagę śpieszących za swoim losem ludzi. Nie trwało to jednak dłużej niż minutę, potem odwracali się i wracali na swoją życiową trajektorię. Nie zaniepokoiła ich nawet bardziej niż dziwna, błyskająca pomarańczowo-fioletowym światłem sieć, rozpięta w nienaturalny sposób na tylnym siedzeniu. Pewnie jakaś kolejna manifestacja nie wiadomo czego, myśleli jedni. Ludzie mają za dużo wolnego czasu, myśleli inni i odchodzili w swoją stronę, wyrzucając nienaturalny widok przez bramy swojej pamięci.

Tylko jedna osoba wyszła na środek ulicy i patrzyła za podskakującym na kocich łbach motocyklem.

- Uważaj na siebie - powiedziała cicho Zuzanna. Biały kot z czarnym pyszczkiem otarł się o jej lewą nogę. - Chodź, Flap - powiedziała, biorąc zwierzę na rękę. - Idziemy do domu. - Zwierzę poparło pomysł stłumionym mruzeniem i wtuliło się w pierś Zuzanny.

- Tak, chodźmy - odparł kot. - Jestem głodny.

- Panie Zmorak, *pażałsta*¹ - odezwał się Bartenjew zza pleców Maurycego.

Przysadzisty motocykl toczył się niespiesznie ulicą Marszałkowską na południe. Nowoczesne samochody mijaly go w ślepym pośpiechu. Kierowcy byli zapatrzeni w cel za przednią szybą lub ci bardziej nierozsądni uczestnicy miejskiego wyścigu do sławy i pieniędzy w ekrany smartfonów.

- No, co tam?

- Czy ja dobrze rozumie - pytał carski oficer - że ja tu już nie wróci, tu nie wróci, do Warszawy?

- Bardzo dobrze. - Skinął głową Maurycy.

Zatrzymał motocykl przed skrzyżowaniem w lewo w Aleje Jerozolimskie. Motocyklista na nowoczesnym japońskim ścigaczu zatrzymał się gwałtownie przed światłami. Obrócił głowę i spojrzał na Maurycego przez czarną szybą białoczerwonego kasku. Otaksował wzrokiem Sokoła, zrzucił

bieg i skinął Zmorakowi w geście pozdrowienia. Zmorak kiwnął niedbale ręką.

- Czy ja może o co prosić? - zapytał Bartenjew. - O ostatnią rzecz przed pójściem do raja. Chyba ma prawo?

- No, co tam? - powtórzył Zmorak.

- Ja chciałby zoczyć ostatni raz mieszkanie Mani.

- Co takiego?

- Nasze mieszkanie, to w którym się spotykaliśmy, które wynajął ja na spotkania, za ostatnie *diengi*² ojca, które przesyłał mi na uzupełnienie żołądka - wyjaśnił, kładąc Maurycemu dłoń na ramieniu.

Zmorak, pomimo sieci psychostatycznej, odgradzającej go od saivy, poczuł ukłucie chłodu, które przedarło się przez wełniane ponczo niczym mroźny wiatr.

- Warszawa jest inna. Inna niż pamiętam, ale widzę tabliczki ulic. Nie w cyrylicy, ale ja zna łaciński. To niedaleko, to mieszkanie, niedaleko. Nowogrodzka czternaście. Na parterze - dodał. - Proszę - szepnął Zmorakowi do ucha.

Maurycy aż się wzdrygnął.

- Nie chuchaj mi do ucha, człowieku. Nie masz pojęcia, jakie to paskudne uczucie, kiedy zmarły dmucha ci w ucho - odparł.

Motocyklista stojący obok uchylił czarną szybkę kasku.

- Co chciałeś? - zapytał.

- Nie, nic - odparł Zmorak. - Fajna maszyna. Tysiąc? - zapytał motocyklistę konwersacyjnym tonem.

- Nie, sześćsetka.

- A wygląda jak tyśiac.

Motocyklista wzruszył ramionami i zatrzasnął szybkę kasku.

- Błagam - odezwał się Bartenjew, słabym głosem. - To ostatnie, co mi zostało. Marii nie ma, a ja jestem. Pozwólcie mi się z nią pożegnać. Ja wierzę, że ona tam jest.

- Nie sądzę.

- Co?

- Nie sądzę, żeby ona tam była, ale okej, niech ci będzie. Ale tylko na chwilę. Musimy zaraz jechać dalej. Do Zamościa kawał drogi, a nie chcę jechać po nocy. Będziesz mi świecił za plecami, jak jakiś baner reklamowy, a niepotrzebna mi kontrola policji - powiedział Maurycy. - Rozumiesz, nie mam badań technicznych na Sokoła.

- Czego?

- Nieważne - odparł i zaraz dodał: -A, nie zdejmę ci sieci. No, i jak mieszkanie będzie zamknięte to jedziemy, nie będziemy forsować drzwi. Pięć minut ci wystarczy?

- Tak, *spasiba*³ - odparł Bartenjew.

- E tam... - Zmorak machnął ręką.

Motocyklista na ścigaczu pokręcił głową i wykonał nad czołem zakręcony gest palcami. Maurycy zasalutował mu z uśmiechem. Światła zmieniły się na zielone. Ścigacz ruszył z wizgiem godnym wysokoobrotowej piły tarczowej.

W ciemnym, dusznym korytarzu skrzypnęły drzwi.

- To tutaj - szepnął nerwowo Bartenjew. - To tutaj.

- Słyszę - odparł Maurycy, nie siląc się na zniesienie głosu.

Stali przed odrapanymi drzwiami do mieszkania na parterze nie mniej odrapanej kamienicy przy ulicy Nowogrodzkiej. Maurycy wyciągnął nóż i odepchnął Bartenjewa za siebie.

- Ale co...?

- Zamknij się - syknął Zmorak. Wyciągnął dłoń i pchnął uchylone drzwi do mieszkania.

- Mania?! - zawołał nagle Bartenjew. Wyrwał się Maurycemu i spróbował pobiec w głąb korytarza, ale potknął się skrępowany siecią psychostatyczną i padł jak długi na podłogę.

- Co jest? - syknął Maurycy.

Doskoczył do saivy. Sieć strzelała pomarańczowymi i fioletowymi błyskawicami z elektrycznym trzaskiem. Zmorak złapał Bartenjewa za sieć i już chciał pociągnąć go na nogi, gdy w głębi korytarza w psychodelicznym blasku dostrzegł masywny, czarny kształt.

- Pomooocy! - jęknął stłumiony głos, dochodzący z głębi korytarza. Był to, ku nagłej radości Bartenjewa, ewidentnie głos kobiety.

- Mania! Mania potrzebuje pomocy! - wołał, szarpiąc się w sieci, co tylko spotęgowało stroboskopowe szaleństwo, wypełniające korytarz mieszkania.

- Zamknij się, kretynie - warknął Maurycy. Cofnął się, zamknął drzwi wejściowe, po czym ostrożnie ruszył w głąb korytarza, w kierunku tajemniczego, jęczącego kształtu. - A ty leż tutaj i nie przeszkadzaj - rzucił, przechodząc obok Aleksandra i powiedział to takim tonem, że oficer natychmiast zamilkł i znieruchomiał.

Wielowieyski po chwili jednak poznał prawdziwą przyczynę nagłej zmiany zachowania saivy. W gasnących rozbłyskach złowił kątem oka ruch, a zaraz potem zobaczył, jak czarny kształt, leżący do tej pory na podłodze, uniósł się, przesłaniając niemal cały prześwit korytarza. U jego stóp leżał jakiś mniejszy, podłużny kształt, który ponownie jęknął.

- Uważaj - powiedziała słabo kobieta. - Szybki jest.

Maurycy zawahał się tylko na moment, ale to wystarczyło. Czarny kształt rzucił się w jego stronę z przeraźliwym, świdrującym uszy wrzaskiem.

Był szybki. Zmorak zdołał jedynie obrócić się przez ramię. Przywarł plecami do ściany i przepuścił olbrzymie, futrzane cielsko przed sobą. Potwór gruchnął o drzwi. Maurycy odskoczył od ściany i ustawił się za nim, gotów do zadania ciosu. Wiedział, że ma mało miejsca po bokach. W razie ataku będzie musiał się cofać. Ale nie zamierzał się cofać. Potwór nie chciał ponownie atakować. Zatrzymał się przed drzwiami. Bartenjew poruszył się. Leżał dokładnie pomiędzy potworem a Maurycym. Błysnęły pomarańczowe błyskawice i bestia ukazała się w pełnej okazałości, pokryta czarno-rudym futrem. Rozdziawiła paszczę, spojrzała na

Bartenjewa i wrzasnęła ponownie. Zmorak odruchowo zakrył uszy. Bartenjew zwinął się w kulkę, chroniąc głowę skrępowanymi siecią ramionami. Maurycy zaraz się otrząsnął i już miał skoczyć do ataku, gdy nagle stwór wyciągnął przed siebie olbrzymią płachtę czarnej skóry. Pomarańczowe światło przebijało się przez błoniastą powłokę, poprzecinaną siecią żył. Płachta momentalnie zakryła Bartenjewa i przyciągnęła go do potwora. Saiva krzyknął. Maurycy skoczył przed siebie. Stwór był jednak szybszy. Wyważył drzwi i wypadł na korytarz.

W ciemności huknął jeszcze strzał. Coś krzyknęło albo ktoś krzyknął żałośnie. Zmorak stanął w progu i skoczył ponownie. Stwór naparł na drzwi wyjściowe, zarzucając sobie Bartenjewa na plecy i zniknął na zewnątrz. Maurycy wyskoczył za nim i zobaczył, jak ponad kamienice wzdłuż ulicy Nowogrodzkiej wznosi się w powietrze olbrzymi, czarny nietoperz. Machał niezgrabnie skrzydłami, usiłując podtrzymać na plecach Bartenjewa. Saiva ewidentnie ciążył mu na grzbiecie. Maurycy chciał ruszyć za nim, ale poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

- Zostaw - powiedziała Anne Olsson słabym głosem.

Maurycy rzucił jej spojrzenie przez ramię. Zobaczył zmęczoną, posiniaczoną twarz. Zaraz jednak obrócił się w kierunku, w którym odleciał stwór.

- Musimy go gonić! - zawołał, lecz w tym czasie nietoperz zdążył już zniknąć ponad dachami budynków.

- Nie musimy - odparła Anne.

- Jak to nie musimy? - oburzył się Maurycy. - Zabrał Bartenjewa! Co to w ogóle było? Chyba nie ta jego ukochana, co?

- Chyba nie - odparła Anne. Mężczyzna ze zdziwieniem zauważył, że Zmoraczka uśmiecha się do niego kącikiem zakrwawionych ust. Anne rzadko się do niego uśmiechała, nawet wtedy... - Dobrze cię widzieć, Maurycy. A w ogóle to myślę, że to był nietoperz - dodała, przyjmując mentorski ton.

- No serio?! Skąd taki wniosek? Chyba nie stąd, że wyglądał jak nietoperz? - Napięcie puściło. Maurycy w oburzeniu nawet nie zauważył, że płynnie przeszedł z powrotem na polski.

- Nietoperz - powtórzyła dziewczyna po niemiecku. - Znajdziemy go. I uspokój się. Musimy pogadać. Są tu jacyś widzący? - zapytała, chowając pistolet do kabury.

- Widzący?

- No, widzący - powtórzyła Anne. Uśmiech spłynął z jej twarzy, jak zawsze wtedy, kiedy ktoś, choćby tylko w jej mniemaniu, usiłował kwestionować jej zdanie. - Muszą być w tym mieście jacyś widzący.

- Zuzanna jest widzącą - powiedział Maurycy.

- Ale tacy prawdziwi - odparła Anne. - Ta twoja koleżanka nie ma przecież pojęcia, o co chodzi. Mam na myśli prawdziwych widzących, którzy nie tylko widzą, ale i rozumieją.

Maurycy spojrział na nią już spokojniej. Olsson miała potargane i brudne od kurzu włosy. Garbiła się i unikała opierania ciężaru na lewej nodze.

- Tak, znam jednego - powiedział po chwili. - Mieszka niedaleko stąd. A z tobą wszystko w porządku? Nie wyglądasz najlepiej.

- Nic mi nie będzie. - Machnęła nonszalancko ręką, ale skrzywiła się przy tym geście i syknęła z bólu. - Odwal się - dodała, odpychając jego ramię, gdy próbował ją objąć. - Jedźmy do tego widzącego. Znajdziemy tego futrzaka. A, i sprawa zaczyna się robić całkiem ciekawa - dodała, wsiadając ciężko na motocykl zaparkowany przed wejściem do kamienicy. - Opowiem ci po drodze. Chodź, jedziemy. Ja chyba nie dam rady prowadzić. - Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

Maurycy patrzył na nią przez chwilę. Nie przestawała się uśmiechać. Po chwili podszedł do niej, wsiadł na Sokoła i kilkoma kopniakami odpalił silnik. Anne objęła go w pasie i ruszyli ulicą Nowogrodzką w stronę Wisły. Zaczął padać deszcz.

¹ *Pażalsta* (ros.) - proszę.

² *Diengi* (ros.) - pieniądze.

³ *Spasiba* (ros.) - dziękuję.

VIII. KONTAKT NA STRYCHU

W puszczy noc zapada w mgnieniu oka. Alfonso del Rey siedział przywiązany do drzewa na skraju polany i usiłował przebić wzrokiem gęstniejący mrok. Mógł oczywiście użyć echolokacji albo orientacji psychicznej, wychwytyjąc fale mózgowe wytwarzane przez istoty żywe w okolicy, był w końcu ciennikiem. Wiedział jednak, że w ten sposób od razu zwróciłby na siebie uwagę strażników.

Wszyscy spali. Żołnierze byli wyczerpani po gwałtownej i długiej podróży Tunelami. Zaraz po rozbiciu obozu i zabezpieczeniu sprzętu padali po kolei w namiotach albo tam, gdzie stali. Potem dowódcy ich dobudzali, sami ledwo trzymając się na nogach, i przeganiali do namiotów. Wystawiono strażę. Wywiad zapewne wysłał szpiegów do lasu, ale z tego, co mówił mu pułkownik, Armia Podziemna nie miała w najbliższym czasie czego się obawiać. Najbliższa jednostka Cesarskich stacjonowała na wschodnim skraju puszczy, dobre pięćdziesiąt mil stąd.

Pułkownik chciał dać odpocząć Armii i zarządził wystawienie minimalnej liczby strażników.

Del Rey słyszał, jak jeden z nich pociąga nosem, gdzieś za jego plecami. Zastanawiał się, czy to już czas. Musiał poczekać, aż czujność strażnika zmaleje do granic utrzymania przytomności. Po raz kolejny przywołał sobie w pamięci schemat obozu i najkrótszą drogę do Czeluści, jeszcze przez kilka godzin powinna pozostać otwarta. Miał do przebycia niecałe trzysta metrów w kompletnej ciemności, bez możliwości wspomagania się dodatkowymi zmysłami, unikając strażników i żołnierzy. Wystarczył jeden, któremu dla przykładu zachce się opróżnić pęcherz w środku nocy, i cały plan weźmie w łeb.

Pułkownik nakazał trzymanie go jako więźnia. Twierdził przed swoimi oficerami, że ktoś, kto nie może już wrócić w szeregi Mafii, jest potencjalnym szpiegiem Cesarstwa. A del Rey do Mafii wrócić nie mógł. Wiedział o tym doskonale. Nie miałby nawet szans spotkać się Tatuśkiem i próbować się wytłumaczyć, że padł ofiarą spisku, że nie mógł wiedzieć, że cesarscy inwigilowali tę transakcję. Siepacze Mafii dopadliby go natychmiast, gdyby tylko się ujawnił. Nie musiał nawet przekraczać rogatek Radovii. Znaleźliby go wszędzie.

Dlatego musiał uciec. Nie rozumiał tylko, jaki interes miał pułkownik w ułatwieniu mu tego zadania. Ale nie będzie się teraz nad tym zastanawiać. Zapadł w odrętwienie, zbierając siły do ataku. Czekał tak jeszcze

dwie godziny, wsłuchiwał się w dźwięki dochodzące z obozu. Zmiana warty powinna być za jakieś pół godziny.

Strażnik odchrząknął i splunął doniośle. Teraz.

- Psst... - syknął ciennik. - Ej, kolego - szepnął, obracając się przez ramię. Przez chwilę odpowiadała mu tylko cisza, przerywana raz po raz nocnymi odgłosami puszczańskiej fauny. - Lać mi się chcę - odezwał się ponownie, usiłując nadać swojemu głosowi wystarczająco dramatyczne brzmienie.

- Lej pod siebie - odparł strażnik, wstrzymując ziewnięcie. Del Rey jednak z zadowoleniem usłyszał chrzęszczące na ściółce kroki strażnika. - Chętnie popatrzę, trochę rozrywki też mi się należy.

Na ziemi przed ciennikiem prześliznęła się plama żółtego światła z latarni.

- Może byś mi jednak pomógł, zacny żołnierzu? - zaproponował ciennik. - Nie godzi się tak traktować więźnia...

- Ja ci dam traktowanie więźnia - rzucił strażnik. - Już ja dobrze pamiętam, jak potraktowaliście mojego brata, cesarskie ścierwa - dodał.

Del Rey zobaczył, jak cień strażnika poruszył się energicznie i zanim żołnierz zadał cios, ciennik zaatakował.

Uniósł gwałtownie głowę. Spojrzał na strażnika. Skupił się na jego oczach z całą mocą. Poczuł, jak czubek głowy zaczyna mu pulsować. Ból zdawał się kumulować w kapeluszu. Żołnierz stał przez chwilę z szeroko otwartymi oczami. Nie mógł oderwać wzroku od oczu ciennika. Del

Rey złapał go w hipnotyczną pułapkę. Żołnierz opierał się nieco. Silny psychicznie, spodziewający się ataku człowiek mógłby się obronić bez problemu, szczególnie biorąc pod uwagę zmęczenie del Reya. Ale ten powstaniec był jeszcze bardziej zmęczony niż ciennik. I nie miał zbyt silnej psychiki.

Alfonso skoncentrował się jeszcze bardziej i jednym potężnym skurczem kapelusza wypchnął z siebie strumień świadomości. Zamroczyło go na moment, lecz po chwili wniknął w świadomość żołnierza. Zobaczył mglisty obraz. Przed nim siedziała czarna sylwetka z wysokim kapeluszopodobnym zakończeniem głowy. Obraz wciąż falował, jak widziany przez zasłonę z wody. Postać była przywiązana do drzewa.

- Nóż - ktoś szepnął na skraju słyszalności. - Więzy.

Del Rey-żołnierz sięgnął posłusznie do pasa i wyciągnął nóż. Obszedł chwiejnie drzewo i postawił latarnię na ziemi. Spojrzał na ręce więźnia skrepowane grubym sznurem. Zawahał się na moment, widząc jak sznur mnoży się i faluje w rozchwianym spojrzeniu. Nabrał głęboko powietrza i wstrzymał oddech. Wzrok uspokoił się na moment. Żołnierz ciął. Del Rey wyskoczył z niego i wrócił do swojego ciała. Usłyszał, jak ktoś upadł ciężko. Coś się rozbiło.

Ciennik trwał w bezruchu, usiłował zebrać siły. Oddychał ciężko. Nie otwierał oczu. Trwało to jeszcze dobrą chwilę. W tym czasie nie rozległ się żaden dźwięk, który mógłby świadczyć o tym, że ktoś zaniepokoił się nagłym hałasem. Wszyscy spali, a najbliżsi strażnicy

powinni być na drugim końcu obozu. Poruszył rękami. Szarpnął raz, potem drugi i więzy puściły. Obejrzał swoje dłonie, rozmasowując zdrętwiałe nadgarstki. Jakimś cudem nie poucinał sobie palców. Wstał, zachwiał się i na moment oparł o drzewo. Niby krótka akcja, ale miał wrażenie, jakby zabrała mu resztę sił. Potrząsnął głową. Ból pulsował w czaszce. Potarł oczy i spojrzął w ciemność obozu.

Prosto pięćdziesiąt kroków, potem w prawo i zaraz w lewo, przypomniał sobie pierwszy fragment drogi i ruszył ostrożnie naprzód. Widział przed sobą absolutną, ciężką ciemność, usianą gdzieniegdzie kleksami przytłumionych latarni strażników. Del Rey nie widział drogi pod swoimi stopami. Po trzech krokach zdradziecki chrzęst suchej ściółki ucichł i został zastąpiony przez miękki zgrzyt podsuszonego mchu. Utwierdziło to go w przekonaniu, że idzie w dobrym kierunku, przynajmniej oddalał się od lasu.

Czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, liczył w myślach. Przed postawieniem pięćdziesiątego kroku zatrzymał się i nasłuchiwał. Z prawej strony dudniło ciężkie chrapanie jakiegoś utrudzonego powstańca. Po chwili rozległo się ciche przekleństwo, a zaraz po nim nastąpiło głucho uderzenie. Chrapanie ustało i ktoś odetchnął z ulgą. Del Rey uśmiechnął się pod nosem. Teraz tylko krok do przodu, skręt w prawo o dziewięćdziesiąt stopni i jeden krok, dwa, trzy kroki przed siebie. Dobrze. Obrót o dziewięćdziesiąt stopni w lewo i raz, dwa, trzy, cztery, liczył pod nosem, usiłując stawiać kroki w miarę równej długości. Pięć, sześć, jeszcze siedem

i minie namiot aprowizacyjny. Siedem, osiem. Noga zmierzająca do dziewiątego kroku natrafiła na coś twardego. Rozległ się metaliczny brzęk. Del Rey momentalnie przysiadł i zacisnął zęby. Nie wiedział, na co nadepnął, może wiadro albo jakiś garnek pozostawiony przez roztargnionego żołnierza? Zdradziecki hałas wibrował w uszach del Reya, który miał wrażenie, że zaraz cały obóz poderwie się na równe nogi. Na szczęście wiadrogarnek brzęknął jeszcze kilka razy, kończąc swój nocny koncert donośnym uderzeniem. Krew huczała ciennikowi w żyłach. Głowa pulsowała boleśnie. Wstrzymał oddech, po czym wypuścił powoli powietrze gotów na najgorsze, ale nic się nie wydarzyło. Odczekał jeszcze chwilę, skurczony w miejscu, gdzie powinien być środek puszczańskiej polany, ale jedyne, co usłyszał, to ponowna próba chrapania ze strony wyczerpanego żołnierza. Po nim nastąpiło kolejne przekleństwo. Zaraz potem ktoś zażądał ciszy. Coś huknęło głucho, po czym nieszczęsny chrapiący żołnierz ucichł. Gdzieś w koronach drzew krzyknął nocny ptak. Ciennik uniósł się ostrożnie, postawił krok i mruknął:

- Dziewięć. - Stopa zapadła się nieco z cichym młaśnięciem, zapewne w jakiejś błotnej kałuży.

Teraz tylko kolejny obrót w prawo o dziewięćdziesiąt stopni i równe pięćdziesiąt siedem kroków do Czeluści. Upewniony, że szczęście mu sprzyja, ruszył zwawo przed siebie, szybciej niż poprzednio. Szedł po piaszczystym podłożu i doliczył już czterdzieści kroków, gdy stanął w miejscu jak zmrożony. Właśnie uświadomił sobie, że miał

się zatrzymać po trzydziestym drugim kroku i poczekać, aż strażnik patrolujący wejście do Czeluści przetnie mu drogę. Cofnąć się? Jeśli strażnik wyjdzie teraz, bez problemu zobaczy go w świetle latarni. Del Rey nie zastanawiał się długo. Kątem oka dostrzegł poświatę wyłaniającą się zza zaparkowanego z boku kretociąga i natychmiast ruszył przed siebie. Kroków już nie liczył, chciał jak najszybciej zniknąć w Czeluści, która powinna być na wprost przed nim. Nagle uderzył mocno prawym ramieniem w skałę i stracił równowagę. Upadł na kamienne podłoże i usiłując schować głowę pod lewym ramieniem, stoczył się w dół. Zatrzymał się na skalnej ścianie i jęknął przeciągle. Nasłuchiwał kroków, zaciskając zęby.

- Cieszę się, że się panu udało, panie del Rey - odezwał się głos z ciemności. Dopiero teraz ciennik zdał sobie sprawę, że wcale nie opiera się o skałę, ale o jakąś drewnianą powierzchnię. - Mam nadzieję, że nie poturbował pan zbyt wiele moich żołnierzy? - zapytał pułkownik Stirling.

- Nie bardziej niż samego siebie - zapewnił del Rey, po czym spróbował wstać.

Chodnik pod jego stopami był pochylony i gdyby nie oparł się o tę drewnianą ścianę, pewnie potoczyłby się na sam dół tuneli. Zaraz, drewnianą ścianę? Jego umysł znów wskoczył na najwyższe obroty. Obmacał przestrzeń za sobą. Wyczuwał wyraźnie chłodne, metalowe okucia. Opierał się o skrzynię.

- Przyszedł się pan ze mną pożegnać?

- Niezupełnie, panie del Rey - odparł pułkownik zagadkowym tonem. - Niezupełnie.

Wokół panowała zupełna ciemność. Ciennik usiłował skupić się na echolokacji, ale pierwsze fale wysłane z ronda kapelusza wróciły do niego natychmiast, jakby ktoś chlusnął mu w twarz wiadrem wody.

- Co do... - zaczął, ale w tym momencie potężne ramiona uniosły go w powietrze i usadziły na jakiejś poziomej powierzchni.

- Spokojnie - powiedział pułkownik. - Jest tu ze mną kilku przyjaciół. Nic panu nie grozi. Poza tym mamy ekrany. Dla własnego dobra proszę nie próbować tych swoich sztuczek.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytał, czując jak te same dłonie, które przed chwilą uniosły go na platformę, krępują mu ramiona za plecami. - Znowu? Po to daliście mi uciec, żeby mnie znowu związać? Po co te cyrki?

- Przecież nie chcemy robić przedstawienia na cały obóz, prawda? Armia Powstańcza musi odpocząć, a do rana powinniśmy być z powrotem. Poza tym nie chcemy, żeby pan sobie zrobił jakąś krzywdę - odparł pułkownik, po czym jego stalowe odnóża zastukały w platformę - przynajmniej na razie - szepnął tuż przy uchu del Reya. - A teraz przejedziemy się kawałeczek - dodał głośniejszym głosem. - I proszę za dużo nie mówić - przekrzykiwał świst pędzącego kretociągu. - Muszę się skupić.

Zapadał zmierzch. Gazowe latarnie syczały cicho. Na ulicy panował wieczorny gwar i chaotyczny ruch, pomieszanie spieszących się do domu zapracowanych radovian z tymi, którzy wyruszali właśnie ze swoich mieszkań na wieczorny podbój miasta.

Okazała dorożka, zaprzęgnięta w dwa strusie, zatrzymała się przed pierwszą kamienicą przy skrzyżowaniu Królewskiego Deptaku oraz ulicy W Dół Po Skarpie. Drzwiczki powozu otworzyły się z cichym trzaskiem i na ulicę wysiadł młody, nieco zgarbiony mężczyzna o bujnych, kręconych włosach. Był ubrany w nieco poszarpany, choć wciąż elegancki płaszcz i koszulę z kołnierzem zapiętym wysoko pod szyją. Wysokie, skórzane buty nosiły ślady błota.

- Proszę bardzo - powiedział woźnica, przechylając się z kozła. - Firma Wincla, ale nie sądzę panowie, że kogoś tam zastaniecie. Stary kupczyna ponoć chory, a w firmie kłopoty - dodał.

Chwycił lejce strusia w jedną rękę, a drugą wyciągnął sugestywnie w stronę młodzieńca. Jego twarz, kanciastym kawałkiem węgla, wykrzywiła się w brzydkim uśmiechu. Spod gęstego wąsa wyrzały popsute zęby.

- Dziękujemy - odparł drugi mężczyzna, wychodząc za młodzieńcem z dorożki. Podał woźnicy brzęczącą sakiewkę, poczekał, aż dorożkarz odjedzie zadowolony, po czym powiedział do młodzieńca: - Prowadź do tylnego wyjścia.

- Ale po co? - zdziwił się Rumszyk. - Od frontu nikogo nie ma...

- Prowadź - powtórzył piekielnik.

Chłopak spojrzał na niego przestraszony tą nagłą zmianą w tonie głosu. Mess uśmiechał się do niego uprzejmie, jak wcześniej, ale Rumszyk wolał nie sprawdzać, czy się przypadkiem nie przesłyszał. Ruszył szybkim krokiem, przeciskając się przez strumień ludzi płynących wzdłuż Deptaku.

Skręcił w prawo, ominął główne wejście do sklepu, po czym zaraz odbił w lewo i postawił kilka ostrożnych kroków na opadającym, nierównym bruku ulicy W Dół Po Skarpie. Obejrzał się konspiracyjnie przez ramię i gwałtownym ruchem zniknął w ciemnym przejściu pomiędzy dwiema ścianami sąsiednich budynków.

Obrócił się, chcąc machnąć na piekielnika i omal nie krzyknął, gdy ujrzał czarny płaszcz adwokata tuż za sobą.

- Idziemy? - zapytał Mess. - Czas nagli.

Rumszyk pośpiesznie pokiwał głową i ruszył dalej wąskim korytarzem. Czuł niepokojący zapach spalenizny i natychmiast pomyślał o rozmaitych drewnianych i papierowych oraz innych, ogólnie rzecz biorąc łatwopalnych, odpadkach zgromadzonych na tyłach sklepu, które mogą nie najlepiej znieść spotkanie ze stopami piekielnika. Przekroczył połowę beczki wciśniętą pomiędzy dwie wilgotne ściany i odliczył jeszcze trzy kroki. Następnie sięgnął w lewo i szarpnął za deskę przytwierdzoną do obślizgłej ściany. Odłożył ją na bok, a potem szarpnął za kolejną deskę i w końcu odsłonił dwa strome stopnie z pokruszonego kamienia. Z otworu, który miał nie więcej

niż dwa metry wysokości i metr szerokości, wionęło wilgotnym chłodem i stęchlizną.

- Zapraszam - powiedział Rumszyk i przepuścił adwokata przodem.

- Dziękuję uprzejmie - odparł Mess i zniknął w otworze.

- Proszę uważać na niski strop - rzucił jeszcze chłopak, ale Mess już wspinał się po schodach. Rumszyk ruszył pośpiesznie za nim. Po dwóch krokach zawadził boleśnie głową o niski strop. Zdusił w sobie jęk bólu i przyspieszył.

- Czy pański przełożony wiedział o tym miejscu? - zapytał Elliot Mess, gdy dotarli do niskich, drewnianych drzwi na końcu schodów.

- Sam przekazał mi nad nim pieczę jeszcze zanim...

- Zanim zamienił się w warzywo? - zapytał Mess. - Czy zanim umarł?

- Co pan?! - oburzył się Rumszyk. - Pan Wincel jeszcze żyje! Jak pan może...

- I tu jest ból, prawda? - zapytał. - Że stary jeszcze dycha? Do niczego się nie nadaje, ale młody, ambitny ekonom nie jest w stanie w pełni przejąć firmy. Przecież on już, technicznie rzecz biorąc, nie żyje, prawda? Myślisz sobie, ile jeszcze mam się mizdrzyć do tej starej Winclowej, żeby móc ją legalnie poślubić i przejąć interes.

Elliot Mess zawiesił głos. Stał na szczycie wąskich schodów, górując nad Rumsztykiem, który z każdym słowem zdawał się kurczyć coraz bardziej, jak dzieciak przyłapany na gorącym uczynku z ręką w słoiku z ciasteczkami.

- Ale proszę się nie martwić - odezwał się w końcu Mess pojednawczym tonem. - Mamy umowę prawda? Wystarczy, że otworzy pan te drzwi, a następnie włączy generator fal i odbiornik. Resztą już się zajmę. A pan może naturalnie liczyć na pełne wsparcie Piekielnej Palestry w pana sprawie.

Rumszyk przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się nad tą propozycją. Następnie zrobił dwa ostatnie kroki w kierunku drzwi i stanął tuż obok piekielnika. Śwąd nadpalanej posadzki w dusznym korytarzu był trudny do wytrzymania. Rumszyk miał już raz albo dwa razy do czynienia z piekielnikami, ale głównie na sali sądowej i raczej pośrednio. Występował jako świadek w różnych sprawach spornych, które Ludwig Wincel, jak każdy szanujący się kupiec, prowadził ze swoimi kontrahentami. Rumszyk słyszał co prawda o tych dziwacznych właściwościach grzewczych stóp przedstawicieli Piekielnej Palestry, ale zawsze myślał, że to bajki, tym bardziej, że na sali sądowej raczej tego nie widział. Prawdopodobnie zresztą, tłumaczył sobie wtedy Rumszyk-student, były to bajki wymyślane przez samych adwokatów, żeby zwiększyć swój prestiż jako tajemniczej organizacji z Piekła i jednocześnie reprezentującej grzeszników przed sądami w całym Imperium, a zapewne również i w innych częściach Połówki. Tak czy inaczej, teraz okazało się to prawdą, a wysane z palca domysły o rzekomym spisku w rzeczywistości dodawały prestiżu piekielnikom. Chociaż może lepiej powiedzieć - adwokatom. W końcu nie każdy

piekielnik był adwokatem. Przecież nawet sama Piekielna Palestra musiała zatrudniać sprzątaczy albo sekretarzy czy sekretarki. Wszak to ogólna stała wszechświata, że każdy ekspert potrzebuje asystenta, bez którego stałby się tylko zwyczajnym mądrałą.

Szajlok sięgnął do klamki.

- Przepraszam - mruknął, przeciskając się obok Messa. Pogrzebał w kieszeni, znalazł stary, żeliwny klucz i przekręcił go w zamku. Rozległ się donośny, metaliczny trzask, a następnie Rumsztyk pchnął drzwi. - Czy mogę zapytać, skąd pan wiedział o tym, że posiadamy generator i odbiornik fal? Zresztą - machnął w kierunku ciemnego wnętrza pomieszczenia, z którego wionął zbawienny, chłodny wiatr - to jest jedno urządzenie.

- Doprawdy? - zapytał Elliot z całkiem autentycznym zainteresowaniem. - To z takim urządzeniem się jeszcze nie spotkałem.

- Jest jeszcze niedopracowane - powiedział Rumsztyk i zaprosił prawnika do wnętrza. - Z tego, co pan Ludwig zdążył mi przekazać, pracowali nad tym z pewnym inżynierem z południa. Nazywał się bodajże Martonni. Andres Martonni. Podobno wyrzucili go z politechniki w Sidrze za niesubordynację i teraz usiłował realizować swoje pomysły przy wsparciu pana Ludwiga. Gdzieś tu miałem ogień... - mruknął, grzebiąc po kieszeniach.

- Nie trzeba - odezwał się piekielnik.

Podszedł do lampy i pstryknął palcami. W jego dłoni pojawił się niewielki pionowy płomyk. W powietrzu rozszedł

się zapach siarki. Adwokat uchylił szklane drzwiczki lampy i ostrożnie umieścił w środku płomyczek, który natychmiast przeskoczył na wilgotny od nafty knot. Następnie Mess pstryknął jeszcze dwa razy i przez uchylone drzwiczki wyskoczyły dwa nowe płomyki. Mess spojrzał pytająco na Rumsztyka, a ten wskazał niepewnie dwa przeciwległe końce sali. Adwokat wykonał ruch dłonią i płomyki pomknęły we wskazane kierunki. Zderzyły się z zamkniętymi szybkami, okrążyły lampy, szukając wejścia jak głodne koty przed mysią norą. W końcu wzleciały do góry i wniknęły do środka którymś z otworów w obudowie lampy. Rozsiadły się wygodnie na knotach i ciepłe światło rozlało się po pomieszczeniu.

Piekielnik rozejrzał się. Na wprost od drzwi wyrastał z drewnianej podłogi solidny słup z grubej belki wspierający skośne sklepienie. Sufit składał się z krzywych desek wypchanych pakułami i różnymi skrawkami materiału. Po prawej stronie w sklepieniu ziała sporych rozmiarów wyrwa, przez którą wpadało do środka chłodne, nocne powietrze. Dobiegało z niej przytłumione, miarowe gruchanie. Mess spojrzał pytająco na chłopaka.

- Gołębie - wyjaśnił. - Gnieźdzą się na strychu.

- Och, doprawdy? - zadziwił się piekielnik.

Rumsztyk przebiegł wzrokiem po jego twarzy i dopiero po chwili podchwycił sarkazm jego wypowiedzi. Piekielnik był tak dobry w swojej pracy, że nawet pozornie absurdalne zdziwienie prostym faktem wydawało się tak szczere, że

z początku nie wzbudzało żadnych podejrzeń. Adwokat uniósł brwi.

- Ach, tak, tak - zmitygował się Rumsztyk. - Naturalnie. Przecież nie przyszliśmy tu dla gołębi.

Mess uśmiechnął się i skinął lekko głową w odpowiedzi. Rumsztyk zawahał się i spojrzał na dymiące buty piekielnika.

- Przepraszam, może nie powinienem, ale... - zaczął, nie wiedząc jak ubrać w słowa to, co chciał powiedzieć.

- Czy nie podpalę podłogi? - dokończył za niego piekielnik. Pokręcił głową. - Proszę się nie martwić. Jako członkowie Piekielnej Palestry jesteśmy odpowiednio wyposażeni, żeby nasza... hmm... powierzchowność nie oddziaływała niekorzystnie na środowisko, w którym się znajdujemy.

Rumsztyk uniósł na niego pytające spojrzenie. Mess uśmiechnął się i wskazał palcem w kierunku podłogi.

- Buty - powiedział. - Sekretem są buty, panie Szajloku - wyjaśnił i zaraz dodał konspiracyjnym szeptem: - tylko niech pan nikomu nie mówi. To taka nasza zawodowa tajemnica.

- Dobrze. - Rumsztyk pokiwał gorączkowo głową. Zaraz otrząsnął się i ruszył w głąb ciasnego strychu. - Proszę za mną - powiedział i zdjął ze ściany jedną z latarni.

Mijali ciasno upakowane skrzynie i parciane worki z niewiadomą zawartością. Z niektórych dobiegało podejrzanie brzmiące chrobotanie. Inne popiskiwały z cicha. Szli niemal zgięci wpool, unikając zwisających,

połamanych desek i uwieszonych pod sklepieniem zatęchłych skór i futer. Ich cienie odprawiały dziki plemienny taniec na drewnianej podłodze i pochyłych ścianach.

Rumsztyk szedł w napięciu. Nie śmiał nawet powtórzyć swojego pytania o źródło wiedzy prawnika na temat urządzenia skrywanego przez Wincla na strychu sklepu.

- Pytał pan, skąd wiem, że skrywacie tu nadajnik i odbiornik fal, który, jak się okazuje, jest jednym i tym samym urządzeniem - odezwał się w pewnym momencie piekielnik. Było to bardziej stwierdzenie faktu niż zapytanie. Mimo to Rumsztyk kiwnął niepewnie głową. - Odpowiadając panu, że Piekielna Palestra musi wiedzieć takie rzeczy, wykazałbym się niemałą impertynencją i brakiem elementarnego poczucia szacunku wobec swojego rozmówcy.

Rumsztyk ponownie kiwnął głową i zaraz skarcił się za to w duchu. Ostatnio coraz częściej zdarzało mu się coś zrobić i zaraz potem wyrzucać to sobie, jakby nie mógł pomyśleć kilka sekund wcześniej, że nie powinien tego robić.

- Ależ proszę się nie martwić - kontynuował Mess.

Chłopak przez moment miał wrażenie, że piekielnik mówi o jego poczuciu niepewności, jakby czytał w jego myślach.

- Proszę się nie martwić. Nie śledzimy każdego pańskiego kroku. Co innego, jeśli chodzi o pana Wincla, ale

to inna historia. Czy nie zastanawiał się pan kiedyś, skąd stary Wincel dostał to urządzenie?

- Stworzył je inżynier Martonni - odpowiedział Rumsztyk.

- A nie zastanawiało pana nigdy, w jaki sposób pański przełożony był w stanie kontrolować tak rozległe imperium handlowe praktycznie jednoosobowo? Skąd uzyskiwał informacje na temat cen zboża w Astanie i kursu miedzi na giełdzie w Don Carla? Przecież musiał je znać wcześniej, skoro był w stanie podejmować tak zyskowe transakcje, prawda?

Rumsztyk pokręcił głową.

- Plotki - powiedział. - Zazdrość cudzego sukcesu prowokuje ludzi do rozprowadzania różnych głupstw. Słyszałem nawet, że mistrz Ludwig podpisał pakt z diabłem i dlatego zawierał tylko korzystne transakcje. A to nieprawda. Przecież również tracił na niektórych, ale przy tym potrafił każdą stratę wykorzystać do osiągnięcia jeszcze większego zysku w przyszłości.

Piekielnik uśmiechał się w czasie wypowiedzi chłopaka, a gdy ten skończył, pokiwał z politowaniem głową i powiedział:

- Oczywiście. Zazdrość jest niezwykłym impulsem dla ludzkiej kreatywności, tyle że z reguły tej jej niezbyt produktywnej odmiany.

- Mhm... A to - dodał Rumsztyk, kiwnąwszy dłonią w kierunku plandeki - nawet nie wiedziałem, że to w ogóle działa. Mistrz Ludwig pokazał mi urządzenie i powiedział,

że to odbiornik i nadajnik niewidzialnych fal komunikacyjnych. Szczerze mówiąc, wtedy wziąłem to za kolejne dziwactwo rozpadającego się umysłu pana Wincla.

- Widzę, że będziemy musieli jeszcze na ten temat porozmawiać - powiedział piekielnik. Rumszyk nie za bardzo zrozumiał, o co chodziło.

Znów czuł się jak uczeń towarzyszący Wincłowi w trakcie pertraktacji handlowych. Stał z boku i robił mądrą minę, a bieg wydarzeń i ciąg przyczynowo-skutkowy spotkania omijały go. Z czasem rozumiał coraz więcej i początkowa złość na szefa, który wystawiał go, w jego opinii, na pośmiewisko oraz rozgoryczenie swoim brakiem wiedzy i doświadczenia ustępowały.

A teraz znów się denerwował. Spoglądał na adwokata z rosnącą niechęcią. Piekielnik nawiązywał do czegoś, co niewątpliwie miało miejsce w interesach Wincla. Zresztą kiedy Rumszyk przeglądał księgi handlowe firmy, wtedy nie raz natykał się na podejrzane pozycje, które prowadziły do spółek związanych z Palestrą. Wtedy myślał, że to zwyczajne wydatki związane z reprezentacją firmy w sądzie albo przed kontrahentami, gdy Wincel nie mógł negocjować osobiście, ale teraz, po tym co się stało i co słyszał z ust piekielnika, zaczynało to wyglądać nieco inaczej.

Adwokat obszedł dokoła urządzenie, przesunął dłonią po wystających fragmentach, chwycił za koniec plandeki. Nie ściągnął jej jednak od razu. Obejrzał się na Rumszyka.

- Biorąc pod uwagę naszą umowę, myślę, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać na istotne dla nas i dla

firmy tematy. - Uniósł brwi i kiwnął delikatnie głową w kierunku urządzenia. - Można?

- Naturalnie - odparł Rumszyk, usiłując wejść w konspiracyjną konwencję narzuconą przez piekielnika. - Po to tu jesteście, prawda?

- Istotnie - odparł Mess i jednym energicznym szarpnięciem ściągnął plandekę z urządzenia. - No, no, no... - mruknął pod nosem, odrzucając materiał w kąt. - Widzę, że Andres nie próżnował.

Rumszyk usiłował powstrzymać kichnięcie, podrażniony kurzem wzbitym z plandeki. Nie wytrzymał jednak i smarknął, odwracając się w ostatniej chwili.

- Na zdrowie - powiedział piekielnik.

- Dziękuję - odparł Rumszyk machinalnie.

Gdy przetarł oczy, zobaczył, że piekielnik pochyła się nad urządzeniem. Składało się ono z mosiężnej tuby, opierającej się na stojaku pod kątem około trzydziestu stopni, długiej na około dwa i pół metra. Jej wyższy koniec był wycelowany w jedną z gruchających dziur w dachu i składał się z dwóch części. U góry tuba rozszerzała się i rozczapierała na końcówkach w drutowate, pogmatwane odgałęzienia. Natomiast dolna część składała się z rozłożystego, blaszanego półtalerza. Ogólnie rzecz biorąc, zwieńczenie aparatu wyglądało jak głowa wojownika jednego z plemion mieszkających daleko na południu, za Mare Internum. Rumszyk pamiętał rysunek jednego z takich ludzi z reportaży Armanda Trudeau, sławnego podróżnika z Nadmorza, które ukazywały się w radovskiej

gazecie. Mężczyźni z opisywanego plemienia najwyraźniej nie obawiali się obfitych deszczy i wypychali swoje dolne wargi krążkami z metalu, odsłaniając zadziwiająco białe zęby. Artysta rysownik, ilustrujący reportaże Trudeau, nadawał tym zębom spiczasty kształt kłów dzikich zwierząt. Natomiast na głowie wojowników umieszczał dziwaczne niby-kapelusze z poskręcanych, wysuszonych pnączy jakichś roślin. Sam Trudeau zapewniał, że rysunki są autentyczne, oparte na jego własnych szkicach tubylców, ale Rumszyk nie bardzo w to wierzył. I nawet nie chodziło o wypchane wargi, dzikie kły, czy wronie gniazda na głowach. Ludzie miewali czasem różne pomysły. Ale czarna skóra? Nie, to jest raczej niemożliwe. Przecież żaden z hominidów ani człowiek, ani krasnolud, ani laskowik, czy nawet ciennik, nie miał czarnej skóry. Owszem, niektórzy mieli cerę bardziej śniadą, a inni przypominali po wakacjach zadowolone świnki, ale Rumszyk nigdy nie widział, żeby ktokolwiek w Radovii, światowym mieście, był czarny. Ale czego to ludzie nie wymyślą, żeby wywołać trochę sensacji. Rumszyk twierdził twardo, że prasa istnieje głównie po to, żeby wzbudzać sensację i zarabiać w ten sposób pieniądze. Przecież każde przedsięwzięcie hominidów sprowadzało się do zarabiania pieniędzy w ten czy inny sposób. Nawet organizacje dobroczynne planetników, którzy przecież nie słynęli ze zbytniego zmysłu przedsiębiorczości, sprzedawały w swoich sanktuariach pamiątki i wystawiały przed świątyniami Perkuna śmieszne

ludziki ze skrzydełkami, kiwające idiotycznie głową, gdy wrzuciło im się monetę do otworu na piersi.

Z rozmyślań wyrwał Rumszyka gwałtowny zgrzyt, dźwięk z kategorii drapania paznokciem po tablicy. Dreszcz przeszedł mu po plecach jak stado mrówek. Elliot Mess właśnie obracał aparat Wincla, jak Rumszyk roboczo nazywał to dziwne urządzenie.

- No dobrze - mruknął pod nosem prawnik. - To powinien być dobry kierunek. - Spojrzał jeszcze na niewielki okrągły przedmiot, coś jakby podręczny zegarek, manewrując nim ponad aparatem, a następnie schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Rumszyk przyglądał się z zainteresowaniem, jak prawnik okrąży urządzenie i staje przy niższym końcu. Znajdowały się tam dwie mosiężne tuby, niewielkie lejki na długich, giętkich wysięgnikach. Prawniki manipulował nimi przez chwilę, po czym ustawił jeden na poziomie ucha, a drugi na wprost ust.

- Raz, raz, dwa - powiedział.

Następnie chwycił za korbę wystającą na samym końcu tuby i już miał nią zakręcić, gdy spojrzał wzdłuż aparatu, prosto w drewniane sklepienie. Piekielnik zmarszczył brwi.

- Wybaczy pan, miałem pana nie angażować, ale jakby pan mógł to przytrzymać w tej pozycji. - Wskazał na dźwignię korby.

- Oczywiście - odparł Rumszyk i podszedł do aparatu.

Patrzył, jak Mess obchodzi urządzenie i staje na wprost desek sklepienia. Uniósł dłoń i zakreślił palcem okrąg,

a następnie zadowolony powrócił do Rumsztyka.

- Dziękuję - powiedział i odebrał od chłopaka korbę.

- Ale... - zaczął Rumsztyk.

Zanim jednak zdołał wygłosić swoje wątpliwości, ściana na wprost instrumentu rozbłysła ognistym okręgiem. Ogień tlił się przez moment, jakby miał zaraz zgasnąć, po czym nastąpił huk i do środka wpadł kopcący się, idealnie okrągły kawałek deski.

Rumsztyk stał z otwartymi ustami. Gruchanie ucichło. Zastąpiło je krótkie, chaotyczne trzepotanie i do środka, przez otwór w dachu, ten stary, mniej regularny, wleciały szare pióra, powoli i spokojnie opadając na podłogę strychu.

- Bardzo dobrze - powiedział Elliot Mess.

Poprawił miedziane lejki przy uchu i na wprost ust, a następnie zakręcił korbą. Wypowiedział do lejka kilka słów, których Rumsztyk nie był w stanie zrozumieć. Potem przez moment nasłuchiwał. Powtórzył kilka wyrazów, wciąż kręcąc miarowo korbą. Pióra przepłoszonego gołębia ledwo zdążyły opaść na podłogę, gdy Mess wstał od urządzenia. Obrócił się na pięcie i pośpiesznym krokiem skierował się do wyjścia ze strychu.

- Ktoś się z panem niebawem skontaktuje w sprawie szczegółów umowy - rzucił mimochodem, mijając Rumsztyka, po czym zniknął w ciemnej klatce schodowej.

Chłopak stał jeszcze przez dłuższą chwilę, usiłował zebrać myśli i po kolei poustawiać je na dawne tory logicznego rozumowania. Przenosił wzrok z korby aparatu

na miedziane lejki, następnie z miedzianej tuby na egzotyczne zakończenie aparatu, potem z dymiącego, idealnie okrągłego otworu w sklepieniu na drewniany krążek. Małe szare piórko przesunęło się po deskach podłogi na wietrze i osiadło delikatnie na drewnienku.

Rumsztyk podszedł do aparatu Wincla. Oglądał go przez chwilę, jakby nie był pewny, czy ten się nagle na niego nie rzuci i nie wbije drucianej korony w gardło. Następnie podszedł ostrożnie do jednego z miedzianych lejków. Przytknął go do ucha, a drugi nakierował na usta. Potem złapał za korbę. Zawahał się przez moment i zakręcił ją z całej siły. W lejku rozległy się potworne trzaski i piski, jakby ktoś smagał batem stado szczurów. Rumsztyk odskoczył od urządzenia i spojrzał na nie z wyrzutem. Uspokoił oddech, po czym zszedł ze strychu, gasząc po drodze lampy.

Mały, osobowy kretociąg z Alfonsem, pułkownikiem Stirlingiem oraz dwoma jego towarzyszami, których ciennik wcześniej nie widział, wjechał do wysokiej, wąskiej jaskini. Del Rey siedział na drewnianej ławeczce ustawionej za siedzeniem pilota. Natomiast w miejscu, gdzie powinno się znajdować siedzenie pasażera, stał Stirling, czyli drewniana skrzynia, aktualnie nieruchoma i milcząca. Ciennik wiedział jednak, że zaraz ulegnie to zmianie. Miał niejasne przeczucie, że ostatnio jego życie toczyło się obok niego, od czasu do czasu potrącając go i wrzucając do kolejnego

miejsca, gdzie tradycyjnie już zostanie związany. Jeśli będzie miał szczęście, nikt nie wepchnie mu przy tym knebla do ust.

Zastanawiał się, czy idiotyczne i oczywiście nieprawdziwe przyznanie się do znajomości z jakimiś mitycznymi znawcami Mapy Tuneli miało jakiś wymierny wpływ na położenie, w jakim aktualnie się znajdował. Zaraz jednak porzucił ten trop, zdając się na wcześniejsze doświadczenia, które w żadnej mierze nie wskazywały na to, żeby jego zachowanie w ten lub inny sposób mogło mieć wpływ na sytuację. Do tej pory różniły się one między sobą jedynie dwiema kwestiami, po pierwsze, sposobem skrępowania rąk: za krzesłem, za plecami, z przodu, do drzewa, a po drugie, tym, kto go wiązał: Imperium, Powstańcy, a jeśli ci ostatni go w końcu rozwiążą, zapewne następna w kolejce czeka ukochana Mafia. Chociaż del Rey miał jednak wątpliwości. Mafiosi, którzy popadli w niełaskę Tatuśka, rzadko byli zaszczytani uwagą, która mogłaby wystarczyć na porwanie, związanie sznurem, na zakneblowanie. Zazwyczaj sprawa sprowadzała się do krótkiego ciosu nożem, ewentualnie innym ostrym narzędziem. Del Rey, po porażce w wykonaniu rozkazu i oddaniu się, nawet niedobrowolnemu, w ręce potencjalnego wroga, niewątpliwie zaliczał się do tej pechowej grupy. Ale tym będzie się martwił później.

Del Rey spojrzał na smukłą, skórzaną tubę przytroczoną do boku skrzyni-pułkownika. Ciennik myślał do tej pory, że wszystkie te legendy o tajemniczym planie, który pokazywał

na bieżąco ułożenie sieci Tuneli na Połówce, to bujda, miejska legenda, jak mawiał jego przyjaciel ze szkoły, Rumszyk Szajlok. Del Rey czytał o Mapie, gdy przesiadywał kiedyś w bibliotece, zanim jeszcze wstąpił do Mafii. Planował napisać książkę o tajemnicach skrywanych przed ludzkością, takich jak równoległe światy, przyczyna unoszenia się żółwi w powietrzu, czy istnienie inżynierów odpowiedzialnych za mechanikę Tuneli. Wtedy uważał, że to wszystko jest ze sobą połączone. Rzeczywistość rozczarowała go jednak dość szybko. Właściwie nigdy nie zagłębił się w istotę światów równoległych czy inżynierii tunelowej. Jego teoria runęła dużo wcześniej. Zaraz na początku studiów wpadła mu w ręce książka *Fauna i Flora Imperium*, z odręcznymi ilustracjami autorstwa Bilgrima Bilgrimssona, biologa z Uniwersytetu Cesarskiego w Sidrze. Alfonso szybko przekartkował opasły tom, znalazł podrozdział o gadach.

- Żółw Lewitator Czarnoszyi, gatunek endemiczny dla Randalii, południowej prowincji Imperium - czytał del Rey.
- Obecnie w stanie dzikim występuje dość rzadko, a większość przedstawicieli gatunku można spotkać w pobliżu dużych skupisk ludności, w tym przede wszystkim w miastach. Zwierzęta przenosiły się tam w poszukiwaniu łatwo dostępnego pożywienia i w efekcie były rzadkością na rozległych stepach południowej Randalii, gdzie traktowano je jako szkodniki.

Del Rey nie dziwił się tej dość jednak osobliwej przyczynie migracji i zmiany środowiska przez cały

gatunek. Wielu naukowców łamało sobie nad tym głowę i zachęcało coraz głośniejszo do niekarmienia dzikich zwierząt. Organizowało również zbiórki wśród ludności miast, oczywiście tej zamożnej i wrażliwej, na zorganizowanie masowego wyłapywania Żółwi Lewitatorów w rozrastających się metropoliach po to, żeby przetransportować je do ich naturalnego środowiska. To my jesteśmy temu winni. To my, hominidy, istoty myślące, stworzyliśmy zwierzętom takie warunki życia, które powodują, że migrują do najbardziej odległych miejsc w poszukiwaniu łatwiejszego i bezpieczniejszego bytu. Del Rey nie do końca wiedział, co w tym złego. Skoro żółwiom było w miastach łatwiej zdobywać pożywienie i groziło im mniejsze zagrożenie życia, to dlaczego je stąd usuwać? Szybko wyrobił sobie jednak na ten temat własne zdanie. Sama istota tego zjawiska była zapewne elementem tego wielkiego planu, w który wpisywały się również Tunele i równoległe światy. Być może ktoś planował za pomocą tych żółwi zniszczyć kiedyś ludzkość? Nie, raczej nad nią zawładnąć. No, ale przecież już teraz ten ktoś nią władał. Ale kto właściwie? Na pewno ktoś z równoległego świata. A może krasnolud?

Ciennik rozwijał coraz śmielsze teorie, których istotny element stanowiły niezrozumiałe właściwości żółwi. W końcu jak wytłumaczyć, że zwierzę, ważące od pięciu do dziesięciu kilogramów, poruszające się bardzo powoli i do tego jeszcze taszczące na plecach skorupę, potrafi latać? Ptaki potrafiły latać, ale to co innego. One były po prostu w stanie odpowiednio szybko machać skrzydłami. Żółwie

natomiast płynęły w powietrzu, wachlując leniwie rozłożystymi, przednimi łapami. To nielogiczne. Tak bardzo nielogiczne, jak tylko potrafią być równoległe światy i inżynieria podziemnych żywych tuneli. Związek był dla del Reya oczywisty.

I wtedy dotarł na stronę czterysta trzydziestą siódmą wielkiego dzieła profesora Bilgrimssona. Pamięta ten numer do dziś. Tam rzuciły się na niego słowa. Przeżarły się przez zdeformowane gałki oczne, które służyły właściwie tylko do patrzenia (do widzenia służył ciennikom kapelusz) i rozsiadły się bezczelnie w kącie podświadomości, wymiatając wszelkie myśli o mitycznych związkach pozornie nielogicznych rzeczy. Ostatnie badania wskazują, że przyczyną unoszenia się Żółwi Lewitatorów Czarnoszyich w przestrzeni powietrznej są rozległe, wielokomorowe pęcherze helowe, zlokalizowane bezpośrednio pod skorupą. Spekuluje się, że zwierzęta wykształciły je w drodze ewolucji jako sposób na ucieczkę przed drapieżnikami, przede wszystkim przed szakalami szablozębnymi.

Wtedy del Rey stracił wiarę i popadł w odrętwienie psychiczne, które najpierw popchnęło go do drobnych rozbojów i kradzieży, z wykorzystaniem swoich zdolności psychicznych. Następnie do zabójstw i mieszania zmysłów przeciwników i losowych osób, nieszczęśliwie znajdujących się na drodze ambitnego ciennika. Alfonso stracił wiarę w porządek świata i swoje zdolności do organizacji

rzeczywistości. To straszne, gdy człowiek staje się poddanym rzeczywistości, a nie jej organizatorem.

Mafia była tylko naturalną konsekwencją ciągu wydarzeń, który porwał del Reya po to, żeby wypłuć go w pewnym momencie przed przyjacielem ze szkoły, Rumsztykiem Szajlokiem, młodym, ambitnym ekonomem, pracującym u jednego kupca w Radovii, del Rey nie pamiętał u kogo, ale pamiętał, że Szajlok twierdził, że to ktoś ważny. Alfonso nie miał powodów, żeby mu nie wierzyć. Tym bardziej że stary przyjaciel to ktoś, kto może mu pomóc w nowym zleceniu.

Sam Tatusiek osobiście polecił mu zdobycie mitycznej Mapy Tuneli. Umysł del Reya, wyprany z wiary przez nieszczęsną sprawę pęcherzy helowych żółwi, z początku nie akceptował tego pomysłu. Mapa Tuneli nie istnieje, podobnie jak inżynierowie, którzy według legendy mieli ją stworzyć przed wiekami, przed tysiącletkami. Albo jeszcze dawniej?

Tunele przez lata postrzegano jako naturalny fenomen. Jedni z nich korzystali, inni się ich bali, a jeszcze inni, zdecydowana większość, miała je w głębokim poważaniu. Nikt nie wiedział, po co inżynierowie powołali do życia Tunele. Del Rey miał oczywiście na ten temat swoją teorię, ale pozostawała ona przykryta przez nieszczęsne pęcherze helowe. Ostatnio jednak zaczynała wychodzić na powierzchnię. Powoli, powoli i może, jeśli uniknie mafijnego sztyletu, del Rey kiedyś napisze w końcu swoją książkę, w której rozwieje wątpliwości wszystkich hominidów,

ciekawych sensu istnienia wszechświata? Może. Z pewnością Mapa Tuneli mogłaby mu w tym pomóc, dałaby pewną garść argumentów. Skąd w ogóle Szajlok ją wytrzasnął?

Gdy del Rey dostał zlecenie, po dłuższym czasie beznadziejnej niewiedzy i bezsilności, postanowił porozmawiać ze swoim przyjacielem. Powiedział mu, w czym rzecz i że mógłby na tej rzeczy dużo zarobić. Ten ostatni argument wydawał się go przekonać, bo powiedział, w swoim stylu zwięźle i konkretnie: zajmę się tym. A potem odszedł i po dwóch miesiącach pojawił się z Mapą. Tak po prostu. Del Reyowi pozostało tylko przekazać przesyłkę Piekielnej Palestrze i wtedy napatoczyli się cesarscy... Szczerze mówiąc, ciennik miał spore podejrzenia co do autentyczności mapy. Sądził, że Szajlok, wiedziony chęcią zysku, po prostu znalazł albo wykonał jakąś mapę i wsadził do skórzanej tuby. Samo zadanie od początku było podejrzane. Nikt nie powiedział ciennikowi, jak ma zweryfikować, że ma do czynienia z tą właściwą mapą. Nikt również nie sprawdzał, czy zdobył to, co trzeba. Miał po prostu ją znaleźć i przekazać Palestrze oraz odebrać zapłatę. Reszta nikogo nie interesowała. Dziwne, ale ostatecznie Alfonso uważał, że to nie jego rzecz. Jak piekielnicy to kupią, to dobrze dla niego i koniec pieśni. Niestety do transakcji nie doszło, a del Rey skończył jako więzień wszystkich po kolei. Na domiar złego drewniany przywódca Powstańców wydawał się co najmniej zainteresowany mapą.

Ciennik siedział cierpliwie za pułkownikiem, podczas gdy jego dwaj zamaskowani towarzysze zeskoczyli z pojazdu i zaczęli z zapalem skręcać jakieś metalowe rurki, wyciągnięte z sakw kretociągu. Gdy skończyli, podnieśli po kolei długie na kilka metrów gibkie pręty powstałe z rurek i przewiązali je w kilku miejscach szarym sznurkiem, tworząc coś w rodzaju metalowego stożka. Wyglądało to trochę tak, jakby mieli zamiar narzucić na przygotowaną konstrukcję jakąś płachtę. Powstałby z tego całkiem przyzwoity namiot.

- To jedna z jaskiń, tak zwanych stałych - odezwał się pułkownik. - Są rozsiane po całym kontynencie. Wydaje nam się, że to pozostałość po pierwszych grotach przygotowanych przez inżynierów.

Ciennik poczuł nagły dreszcz na karku.

- Inżynierów? - zapytał.

- Tak, tak, panie del Rey - potwierdził Stirling. - Tych samych, którzy przygotowali Mapę Tuneli.

Metalowe odnóża zastukały w blaszaną platformę i Stirling zszedł na skaliste podłoże jaskini. Podeszedł do stalowego szkieletu, ustawionego na środku jaskini. Zamaskowani żołnierze wyprostowali się przed nim. Pułkownik powiedział do nich coś, czego ciennik nie dosłyszał, po czym obaj ruszyli w stronę kretociągu. Del Rey nie wytrzymał.

- O co w tym wszystkim chodzi?! - zawołał. - Puszczaj mnie pan wolno czy nie? Zdecydujcie się w końcu!

Pułkownik zignorował jego krzyki. Osiadł na skale i wyciągnął przed siebie cztery odnóża. Dotknął metalowej konstrukcji i zastygł w bezruchu. Del Rey zobaczył, jak końcówka metalowego stożka, sięgająca niemal do szczytu jaskini, rozdzieliła się, a następnie potroiła i ponownie powieliła. Po chwili na czubku konstrukcji powstało coś na kształt ażurowego, odwróconego stożka, a następnie ruszyło w górę na metalowym wysięgniku. Po kilku sekundach stożek zniknął w niewielkim otworze na szczycie jaskini i konstrukcja znieruchomiła z przeciągłym zgrzytem.

W tym czasie dwaj strażnicy wskoczyli na platformę kretociągu i złapali del Reya pod ramiona. Ciennik szarpnął się, ale tylko raz.

- Puśćcie mnie! Sam zejść! - krzyczał bezsilnie. - Czego wy ode mnie chcecie?! - wołał, gdy strażnicy prowadzili go powoli, ale zdecydowanie w stronę stalowej konstrukcji.

Szli przez jaskinię, aż stanęli za skrzynią pułkownika. Ciennik słyszał jedynie echo ich kroków i cichnące sapanie kretociągu. Nie odzywał się więcej, zrezygnowany. Gdy stanęli przed metalową konstrukcją obok pułkownika, który wciąż trwał w bezruchu, ciennik nagle poczuł ból. Pulsował pod skronią kapelusza i narastał coraz bardziej. Ciennik jęknął i byłby osunął się na kolana, gdyby strażnicy nie podtrzymywali go za ramiona. Przestał widzieć, przestał słyszeć. Zapadał się w bólu. Miał wrażenie, że jego głowa zaraz pęknie, rozsadzana podczaszkowym ciśnieniem. Zaczął się trząść. Ślina pociekła mu po policzku i skapywała

z opuszczonej na piersi głowy. I wtedy ból ustąpił, równie nagle, co się pojawił.

Del Rey dyszał ciężko. Nie otwierał oczu. Poczuł, jak ktoś szarpnął jego głowę i wbił coś twardego w plecy, zmuszając go żeby się wyprostował. Otworzył oczy. Ból ustał, ale ciennik wciąż miał wrażenie, że jego czaszka może pęknąć w dowolnym momencie, nadwyrężona przez potworne ciśnienie.

Pułkownik stał przed nim, wytrzeszczając dziurkę od klucza.

- Fale przesyłowe panu nie służą? - zapytał. Del Rey nie odpowiedział. - Zapewne. Proszę się pozbierać. Mecenas Mess powinien przybyć w ciągu godziny, musimy się przygotować.

- Kto? - zapytał ciennik. - Przygotować? Do czego?

- Do otwarcia Tuneli, to chyba oczywiste - odparł pułkownik. - A odpowiadając na pana pierwsze pytanie, za pomocą tego urządzenia, widzi je pan za mną, nadałem sygnał, który naprowadzi mecenasa Elliota Messa z Piekielnej Palestry na naszą jaskinię. To eksperymentalny instrument. Dostaliśmy jego plany od Palestry. Podobno potrafi nadawać informację i wysyłać ją na duże odległości. Niestety jest jednorazowego zastosowania. Te rurki nie nadają się do dwukrotnego wysyłania fal, a poza tym wiele z nich rozchodzi się naokoło, czego pan sam, dość boleśnie, doświadczył. Jeśli chodzi o jaskinię, jak pan wie, takich jaskiń w Imperium jest kilka. Jedna tutaj. Inną mógł pan zaobserwować w trakcie rozpoczęcia naszej wspólnej

podróży, mieściła się w niej dotychczasowa kwatera Armii Powstańczej. Taka jaskinia to idealne miejsce do rozpoczęcia podróży po Tunelach. Nie podlega ona anomaliiom korytarzy, ale jednocześnie może się łączyć z istniejącymi oraz nowopowstałymi tunelami.

- Piekielna Palestra? - zapytał, powoli odzyskując siły. - Po co?

- Pan Mess chce Mapę Tuneli, to oczywiste.

- I chcecie mu ją oddać? - zdziwił się ciennik. - Oddać w ręce Palesty coś, co pozwoliłoby wam w kilka chwil wygrać walkę? Zakończyć Powstanie? Przecież przy wykorzystaniu Mapy moglibyście się przedostać w dowolne miejsce na Połowce. Moglibyście przeprowadzić serię precyzyjnych uderzeń, likwidując potęgę Cesarstwa i odzyskując niepodległą Graalię!

- Panie del Rey - westchnął Stirling. - Czasem mam wrażenie, że jest pan naiwny. Przecież Powstania nie są po to, żeby je wygrywać.

- Jak to?

- Powstania są po to, żeby trwać - odparł. - Celem nie jest wcale odzyskanie niepodległości. Słyszał pan kiedyś, żeby jakiegokolwiek powstanie doprowadziło do odzyskania niepodległości? To tylko hasło, które porywa ludzi i podtrzymuje w nich ducha walki. Nawet przez sto czternaście lat, jak widać na naszym przykładzie. Przecież przy pomocy powstania można osiągnąć tyle różnych celów... Po co je kończyć? - zapytał. - Poza tym, mecenas Mess od początku miał od nas uzyskać mapę.

- Od was? - zdziwił się del Rey, który już całkiem otrzeźwiał. - Chyba raczej od Mafii.

- Aha - odparł Stirling. - A nie zastanawiał się pan, skąd cesarscy dostali dokładne namiary na miejsce, w którym miał pan przekazać Mapę Palestrze? Albo skąd pański przyjaciel, Rumsztyk Szajlok, w ogóle zdobył tę mapę?

- Nie... Nie wiem... - jąkał się ciennik. - Szajlok? Skąd wiecie, że...

- No właśnie.

Alfonso wpatrywał się przez jakiś czas w milczeniu w skrzynię pułkownika, po czym podjął:

- No dobrze, macie Mapę. Róbcie z nią, co chcecie. Coś uknuliście, udało wam się, przejęliście Mapę, dokonacie jakiejś podejrzananej transakcji... Róbcie sobie, co chcecie, mnie to nie interesuje. Ja i tak nie wrócę do Mafii, żeby powiedzieć Tatuśkowi, jak go wykorzystaliście. Nie rozumiem, po co mnie tu trzymacie. Puśćcie mnie. Macie, czego chcieliście.

- Spokojnie - odparł pułkownik. - Będzie pan wolny. Wcześniej jednak będziemy potrzebowali pana pomocy przy odpowiednim odczytaniu Mapy.

- Mojej pomocy? Nie możecie tego zrobić sami? - zaprotestował ciennik. - Co ja się na tym znam? Mało macie ludzi?

- Mało - przyznał Stirling. - Pan jednak zdaje się nie wiedzieć, że nie każdy może odczytać Mapę. Potrzeba do tego pewnych... zdolności - powiedział. - Akurat takich,

które pan, jako ciennik, posiada. Mapa, widzi pan, działa na płaszczyźnie percepcji psychofizycznej. Do jej odczytania, co więcej, do odpowiedniego ustawienia Tuneli przy jej wykorzystaniu, trzeba inaczej patrzeć, operować na innym poziomie postrzegania świata rzeczywistego, niż robi to większość hominidów.

- Nie macie cienników w Armii?

- Kilku mamy - przyznał pułkownik. - Ale są zbyt cenni. Nie wiemy przecież, jak użycie Mapy zadziała na waszą kruchą psychikę - dodał chłodno. - A poza tym, jak pan zapewne wie, Mapa jest jednorazowa. Ulegnie zniszczeniu zaraz po użyciu. Otrzyma pan więc odpowiednie wspomaganie na czas odczytywania i przekazywania naszych instrukcji do Sieci. No, zaraz zaczynamy.

IX. WIZYTA U KACZKI

Samochody sunęły po starożytnej skarpie wiślanej, szumiąc oponami na mokrym asfalcie. Ciężki, stary motocykl zjeżdżał w dół ulicą Tamka, dudniąc potężnym, widlastym silnikiem o ściany kamienic.

- Powiesz mi, gdzie jedziemy? - zapytała Anne, pochylając się nad ramieniem Maurycego. Czuła miękki dotyk jego ciała. Pomimo grubej warstwy wełnianego ponczo, przeszedł ją dreszcz. Budziły się wspomnienia.

- Niedaleko - odparł. - O, właściwie to już tutaj - dodał i zredukował biegi ręczną dźwigienką.

Przepuścił jeszcze rowerzystę mknącego prawą stroną ulicy w stronę Wisły, po czym zjechał na niewielki plac, pod wąską betonową kładką, łączącą dwa brzegi wąwozu wyciętego w skarpie przez przedwiecznych warszawiaków. Zatrzymali się na brzegu chodnika. Anne podziwiała kolorowy mural namalowany na ścianie kamienicy po przeciwnej stronie placu. Przedstawiał chyba Chopina

i jakieś samochody. Stwierdziła, że był bardzo ładny. U podnóża kamienicy znajdowała się niewielka, okrągła fontanna ze złotą figurką pośrodku.

Maurycy zgasił silnik. Krople deszczu parowały z rozgrzanych cylindrów i chromowanego wydechu motocykla. Anne spróbowała sięgnąć za głowę, żeby spleść włosy, przemoczone w trakcie drogi. Skrzywiła się jednak tylko z bólu.

- Cholera, ale mnie walnął - powiedziała z goryczą.

- Wszystko w porządku? - zapytał Maurycy, oglądając się przez ramię. Krople deszczu spływały po jego twarzy.

- W porządku, w porządku - odparła. - Trochę mnie tylko coś w plecach rwie.

- Może powinniśmy pójść do lekarza? - zapytał Maurycy. - Znam jednego dobrego chirurga.

Anne spojrzała mu w oczy. Nosił soczewki. Nic dziwnego, byli przecież w mieście. Sama też je nosiła. Z reguły. Już miała uśmiechnąć się do Zmoraka, lecz zobaczyła w jego oczach troskę. Zmarszczyła brwi i zeskoczyła z motocykla. Przy upadku ugięła zbyt mocno kolana i przyklęknęła na mokrym chodniku.

- Hej! - Maurycy podstawiał nóżkę i zsiadł z motocykla. - Ostrożnie, panno Olsson!

- Zostaw mnie! - Odtrąciła jego ramię.

Maurycy cofnął się zdziwiony. Obserwował, jak Anne podnosi się z tłumionym stęknieniem na nogi i rozgląda się na boki. Uśmiechnął się. Do siebie. Do przeszłości.

- No i gdzie ten twój widzący, co? Chyba nie będziemy tu tak moknąć? - zawołała złym głosem, nie patrząc na Maurycego.

- Taka twarda dziewczynka, a deszcz ci przeszkadza? - zapytał.

Anne utkwiała w nim wściekłe spojrzenie. Była teraz słaba. Chociaż nie, pomyślał Wielowieyski. Nie była słaba. Wciąż mogła pokonać większość zmor i schwytać kilku saivów, nawet ze zwichniętym barkiem, nogą, czy co jej tam jeszcze dolegało. Była po prostu słabsza niż zwykle. Nie panowała w pełni nad swoim ciałem. Część Anne Olsson odmówiła posłuszeństwa. A tego Zmoraczka nienawidziła najbardziej na świecie. Nienawidziła słabości.

- Prowadź do widzącego - powiedziała. Jej włosy rozsypały się na boki, gdy wstawiała i teraz oklejały jej twarz. - Bo fryzura mi się popsuje - dodała z krzywym uśmiechem.

Maurycy wskazał palcem budynek za jej plecami. Obróciła się.

- Pałac Ostrogskich - powiedział.

Ceglana fasada budynku wznosiła się nieco pod kątem ku górze, w kierunku krawędzi skarpianego wąwozu.

Wyglądała bardziej jak fragment muru obronnego, niż ściana pałacu.

- Pałac? - zapytała. - Chyba raczej jakaś piwnica.

Maurycy uśmiechnął się i podszedł do niej.

- Pałac jest na górze - wyjaśnił. - A to - wskazał na podwójne drzwi w murze - jest wejście do piwnic pod pałacem.

- Aha... - Anne spojrzała na niego z krzywym uśmiechem. - No pewnie. Nie wiem, dlaczego przez moment miałam nadzieję, że spotkamy jakiegoś widzącego arystokratę ze starodawnego rodu, który mieszka we wspnianym, barokowym pałacu.

- Barokowy to on jest - odparł Maurycy. Olsson popatrzyła na niego, unosząc brew. - Tylko z tej strony tego nie widać. - Uśmiechnął się. - Tutaj jest wejście do piwnicy. I tam właśnie idziemy.

Anne patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym otrząsnęła się, wyciągnęła pistolet i sprawdziła magazynek.

- Tylko zachowuj się - ostrzegł Maurycy. - Nie musisz od razu być damą, ale wystarczy, że nie będziesz zbirem.

- Zbirem? - zaśmiała się Anne. - Co to za słowo? Zbiry to są w kreskówkach. - Schowała broń. Zadarła głowę. Maurycy patrzył na nią, zmarszczywszy czoło. - No co? Nie będę strzelać, nie bój się.

Zmorak kiwnął głową, ale wciąż patrzył na nią podejrzliwie. W końcu podszedł do dwuskrzydłowych drzwi, pomachał do kamery, wygrzebał z kieszeni klucz. Szczęknął zamek i Zmorak uchylił drzwi.

- Przynajmniej nie do widzącego - powiedziała Anne, zatraskując za sobą drzwi.

Znaleźli się w ciemnym, dusznym korytarzu. Kobieta czuła przed sobą zapach mokrej wełny na plecach Maurycego. Odgarnęła włosy z twarzy. Odległe światło, zapalone gdzieś u wylotu korytarza, dochodziło do drzwi mocno przytłumione.

- Tutaj - odezwał się Maurycy.

- Gdzie?

- Tu - powtórzył i przywarł całym ciałem do ceglanej ściany, rozkładając ręce i nogi na boki.

- Co ty robisz, do cholery?

- Wchodzę do tunelu - wyjaśnił spokojnie Zmorak. Spoglądał na nią wesoło, z policzkiem przyciśniętym do ściany.

- Nie mamy tyle czasu - odparła Anne. - Zanim ta ściana cię wchłonie, mogą minąć tysiące lat, wiesz o tym?

- Wiem, wiem - westchnął Zmorak. - Anne, chciałbym cię o coś zapytać - powiedział, przybierając nagle bardzo poważny ton głosu. - To bardzo ważna sprawa. Czy mogłabyś mi odpowiedzieć szczerze, z głębi serca, tak jak czujesz? - Uniósł brwi.

Anne spojrzała na niego podejrzliwie. Po chwili jej spojrzenie zmiękło. Poczowała, że drży jej podbródek. Potarła się dłonią po policzku, żeby Zmorak nic nie zauważył.

- Jeśli musisz - odpowiedziała. Cicho, bardzo cicho. Jakby bała się zbudzić sny drzemiące w tych starych ceglach, które otaczały ich ze wszystkich stron.

- Anne, czy zechciałabyś... - zaczął. - Towarzyszyć mi, aż rozłożę się i wniknę w tę ceglana ścianę?

Na twarzy Zmoraczki odmalowało się najpierw zdziwienie. Zupełnie niegroźne zaskoczenie, które jednak bardzo szybko przeszło w gniew i zmaterializowało się w zaciśniętej pięści. Maurycy zdołał jedynie unieść brwi, zaskoczony jej reakcją, i obrócić twarz, nim otrzymał dość mocny cios w potylicę.

- Ej! No co ty?! - zawołał, odrywając się od ściany. Cegły, na których przed chwilą opierał swoje dłonie i stopy, chrupnęły, wracając na swoje miejsce.

Anne syczała z bólu i potrząsała pięścią.

- Żartowałem przecież - powiedział Maurycy. Roztarł tył głowy. - Ale przyznaję, cios masz wciąż niezły. - Zaśmiał się.

Anne spojrzała na niego z nienawiścią. Zaraz jednak również zaczęła się śmiać.

- Hej! Kto tam jest?! - zawołał jakiś głos z głębi korytarza, od strony światła. - Tam nie wolno wchodzić! Muzeum jest na górze!

- Kurza mord! - przeklął Maurycy. - Szybko.

Anne przestała się śmiać i zerknęła mu przez ramię w kierunku światła na końcu korytarza. Zbliżała się do nich jakaś sylwetka.

Maurycy błyskawicznie przybrał poprzednią pozycję przy ścianie.

- No przestań się wy... - zaczęła Anne.

- Szybko - przerwał Zmorak. - Musisz przytulić się do moich pleców. Mocno. Obejmij mnie z całych sił.

- Co ty...

- Już!

Anne nie dyskutowała więcej. Objęła go w pasie i przywarła całym ciałem do mokrego ponczo. Skrzywiła się lekko i już chciała się odsunąć, ale wtedy cegły chrupnęły i korytarz zniknął. Otoczyła ich ciemność.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała po chwili.

- Możesz już mnie puścić - powiedział Maurycy ze śmiechem. Zmoraczka oderwała się od jego pleców gwałtownym ruchem. - Dzięki. Mówiłem ci już. Jesteśmy w piwnicy pod pałacem Ostrogskich - wyjaśnił. - Na górze jest muzeum. A piwnica jest w zarządzie Konsylium - dodał.

- Ten człowiek, który krzyczał w korytarzu, wydawał się o tym nie wiedzieć...

- Tak to wyglądało - przyznał Maurycy.

Anne usłyszała trzykrotny trzask zapalniczki. Twarz Maurycego zalśniła w pojedynczych rozbłyskach. W końcu za czwartym razem ukazał się płomień.

- Romantycznie, prawda? - zapytał Zmorak.

Anne prychnęła. Maurycy odwrócił się, przesłaniając płomień dłonią. Po chwili korytarz rozblęsnął ciepłym światłem. Zmorak trzymał w dłoni syczącą pochodnię.

- No, no - przyznała Anne. - Albo Konsylium ma gust w stylu retro, albo nie ma kasy na prąd, co?

- Nie... - odparł Maurycy i ruszył w głąb korytarza. Był to tunel o łukowatym sklepieniu, zamykającym się na tyle nisko, że Maurycy musiał iść lekko pochylony, trzymając pochodnię przed sobą. - Widzący... Ma nieco staroświeckie gusta - powiedział. - Nie trawi elektryczności. Dosłownie.

- Mhm.

Szli dalej w milczeniu. Anne spoglądała raz po raz na plecy Maurycyego, przesłaniające niemal cały korytarz. Były rozświetlone ciepłą aurą pochodni. Mokra wełna parowała.

Byli razem, prawda. Ale to było dawno. Po co do tego wracać? Przecież nie wraca, kłóciła się sama ze sobą. Przecież zapomniała już o tym i nie wraca. Czyżby?

- Może mi powiesz łaskawie, po co ci widzący? - zapytał Maurycy. - Przecież nie wywróży nam, gdzie się podział nasz zbiegły porucznik, prawda?

- Może powiem - odpowiedziała Anne. - A może nie powiem.

Maurycy zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do towarzyszki. Anne musiała się uchylić. Odruchowo zasłoniła twarz przed pochodnią.

- Uważaj!

- Anne, pytam poważnie - powiedział Maurycy - możemy sobie udawać, że wszystko jest w porządku, że

wędrujemy sobie jak starzy znajomi po zatęchłych korytarzach pod warszawskimi pałacami. Możemy sobie razem na spokojnie wykonywać zlecenie i niczym się nie przejmować, jakby nic nadzwyczajnego się nie działo. Wiem, że to dość bezczelne z mojej strony, ale myślę, że nawet moglibyśmy czerpać przyjemność nawzajem ze swojego towarzystwa... - urwał w tym momencie wypowiedź i spojrzał na Anne. Blask pochodni odbijał się w jej błękitnych oczach, jak światło księżyca w tafli jeziora. Ku zaskoczeniu Zmoraka, Anne nie wybuchła gniewem, nie rzuciła w niego stekiem wyzwisk, nie wymierzyła w niego ciosu. Ba, nawet nie warknęła. Jedynie jej brwi pozostawały ściągnięte we wrogim wyrazie, ale Maurycy już wiedział, że to tylko pozory, że Anne usiłuje po prostu zachować maskę niedostępnej twardzielki, którą poniekąd była.

- Widziałś tego stwora - podjął po chwili.

- No... Nawet z dużo mniejszej odległości, niż bym chciała.

- Widziałś, że zabrał Bartenjewa - kontynuował. - Po co to zrobił? Chciał wziąć zakładnika? Przecież nawet nie wiemy, kto to był. Albo co...

- Może to zmora? - zapytała niepewnie. Maurycy spojrzał na nią, unosząc brwi. - Może jednak nie - odpowiedziała sobie sama Anne. - Oczywiście, że to nie zmora. Nie był to też żaden saiva. Wiem, czuję to. Ale jeśli nie, co to, do cholery, było?

- Jak sama powiedziałaś wcześniej, na Nowogrodzkiej, był to nietoperz - odparł Maurycy z uśmiechem.

- Ta... Może wampir? Wampir nekrofil - zaśmiała się wymuszenie.

- I jeszcze do tego gej - dodał Maurycy i również się zaśmiał.

- A skąd wiesz, że to był samiec, co? - Anne spojrzała na niego bystrym wzrokiem. - Zajrzałeś mu pod ogon, jak odlatywał?

- Nie, był za daleko. A ty nie miałaś ku temu okazji?

Spoglądali na siebie jeszcze przez jakiś czas, uśmiechając się pod nosem. Nagle Anne spoważniała.

- Też czuję, że coś jest nie tak - powiedziała. - Tam, w tamtym mieszkaniu, coś było. Czulałam czyjąś obecność. Coś na wzór rozsmarowanej świadomości saivy. Ale tam nie przebywał żaden saiva. Tylko ten... stwór.

- Skąd on się w ogóle tam wziął?

- A skąd mam wiedzieć? - Anne wzruszyła ramionami. Skrzywiła się z bólu. - Cholera, nie wiem. Była tam taka szafa. Zwyczajna, wielka szafa, chyba bardzo stara. Podchodzę do niej i patrzę, a tam w zamku uśmiecha się do mnie śliczny, wypolerowany klucz. Myślę sobie, bez jaj, ale wyciągam rękę...

- I przekręcasz klucz - dokończył za nią Maurycy. - Tak po prostu. Bez dokładnego sprawdzenia szafy, bez zabezpieczenia terenu, upewnienia się, że szafa jest pusta. A gdyby tam coś było?

- No i było. Ten skurczybyk tam siedział.

- No właśnie. - Maurycy pokręcił głową. - Pani Olsson, taka doświadczona Zmoraczka, a takie głupoty czasem robi.

Anne zmarszczyła brwi.

- Znalazł się rozsądny - odparła. - A kto przyprowadził saivę do nieznanego mieszkania, zamiast jechać z nim prosto do Edenu?

- Bardzo prosił - odpowiedział Maurycy. - Był związany z tym miejscem. W końcu zabił tam swoją ukochaną, coś go tam ciągnie...

Zmorak urwał w pół zdania. Jego oczy rozszerzyły się. Błysnęły w blasku pochodni.

- Co jest? - zapytała Anne z lekkim niepokojem. Wyjrzała w głąb korytarza przez ramię Zmoraka, jakby chciała upewnić się, że nikt nie wbił mu w plecy noża. - Wszystko okej? - Pomachała mu ręką przed jego twarzą.

- Choroba! - przeklął Maurycy, wciąż wpatrując się w pustkę szeroko rozwartymi oczami. - To było mieszkanie Wisnowskiej...

- O, żyjesz! - powiedziała Anne. - No nie do końca jej. Z tego, co mówiła twoja koleżanka, zrozumiałam, że to ten Rosjanin je wynajmował.

Maurycy ocknął się z odrętwienia i spojrzał na Anne ze zdziwieniem.

- Co?

- No wynajmował to mieszkanie - tłumaczyła cierpliwie. - Nie kupił go.

- A jakie to ma znaczenie? - zdziwił się. - Nie rozumiesz?

- O co ci chodzi?

- Bartenjew - powiedział Maurycy. - Wisnowska. Ten stwór, który chował się w miejscu, gdzie powinna być Wisnowska i porwał Bartenjewa, gdy tylko ten pojawił się na miejscu. Nie wydaje ci się to dziwnie zbieżne ze sobą?

- Może i tak - przyznała Anne. - Ale gdzie jest Wisnowska? Zginęła w tym mieszkaniu, to raz. - Odginała kolejne palce prawej dłoni. - Bartenjew ją zabił, to dwa. Bartenjew został saivą, to trzy. Mieszkanie przy Nowogrodzkiej było najprawdopodobniej nośnikiem czyjejś świadomości. Bartenjew miał jakiś imperatyw, który ciągnął go do tego mieszkania. Jakbyś go tam nie zawiózł, to prawdopodobnie zaczęłyby ci robić duże problemy po drodze - przyznała.

- A na cmentarzu omal nie implodował - dodał Maurycy.

- Co? Gdzie?

- Na cmentarzu - wyjaśnił. - Złapałem go ostatecznie na Powązkach, siedział właśnie przy grobie Wisnowskiej. Nie udało mi się go złapać za pierwszym razem, wysliznął się częściowo z sieci. Niestety koleś uniósł się w powietrze i omal nie implodował nad cmentarzem.

- Jak to implodował? - Anne patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie wiesz, co to znaczy? - zdziwił się Maurycy. - Nie chodziłaś na wykłady do Kovacsa? Facet omal nie implodował, czyli nie zapadł się w siebie. Jego świadomość prawie rozpadła się pod własnym ciężarem, Bartenjew zaczął się kondensować.

- Wiem, co to znaczy implozja świadomości - odpowiedziała Anne. - Uczęszczałam na wykłady. Częściej niż ty, jakbyś zapomniał - dodała. - I dlatego nie rozumiem, jak mogło dojść do implozji.

- A dlaczego miało by do niej nie dojść? Trzymałem na plecach jego nośnik, tę lampę. - Wskazał na owalny przedmiot, który miał uwiązany pod ponczo - Siedział w nim na statku, na Darze Młodzieży, tam, skąd miałem go ekstrahować.

- O ile nie znajdowałeś się co najmniej pięć kilometrów od niego, o tyle nie powinno dojść do implozji z powodu oddzielenia od nośnika, wiesz o tym.

Maurycy spojrział na nią z początku zdziwiony, ale zaraz przybrał pewny siebie wyraz twarzy i kiwnął głową.

- Oczywiście, że wiem - powiedział.

- Ale wiesz, że do implozji dochodzi przy zbyt dużym rozdzieleniu świadomości, prawda?

- Oczywiście - przyznał natychmiast. - Czyli co z tego wynika? - zapytał, usiłując przybrać ton głosu nauczyciela sprawdzającego najlepszą uczennicę w klasie.

Anne Olsson zawsze kwalifikowała się do tej grupy. Wiedziała wszystko na każdy temat. Maurycy zawsze podchodził do nauki w nieco bardziej praktyczny sposób, a przynajmniej on lubił tak o tym myśleć, o celowym olewaniu przedmiotów, które uznał za nieprzydatne w przyszłej karierze. Anne nie miała takiego podejścia. Uczyła się wszystkiego i w każdym dostępnym momencie, naturalnie w przerwach od ćwiczeń na strzelnicy i zajęć

z krav magi oraz jiu jitsu. Maurycy przez cały okres szkolenia starał się wpasować w te krótkie okresy, w których Anne mogła poświęcić mu chwilę. Nie było to łatwe. Nawet w czasie przerw w praktykach wyjeżdżał do Niemiec albo do Szwecji, tam, gdzie akurat przebywała Anne. Ona pojechała do niego tylko raz, do Laponii. Maurycy realizował rozszerzony program Zarządzania Równowagą, jak nazywano ten przedmiot w Konsylium. Sprowadzał się on do towarzyszenia lokalnym noaidom w ich pracy dłużej, niż przewidziano w podstawowym zakresie szkolenia. Oczywiście każdy kandydat na Zmoraka, w tym również Anne, musiał brać udział w praktykach u jakiegoś noaide, który pokazywał na żywym organizmie, jak powinna funkcjonować Równowaga we wzorowym układzie.

Maurycy szkolił się u Radiana Pardne'a przez niemal dwa lata. Anne odwiedziła go raz. Przyleciała do Rovaniemi ze Sztokholmu. Wielowieyski nie wspominał dobrze tej wizyty. Właściwie to był początek końca ich związku. Staczali się po równi pochyłej, prosto ku upadkowi. Anne wytrzymała dwa dni bez narzekania na warunki, w których przyszło jej przebywać i bez robienia Maurycemu wyrzutów, że to nie on przyjechał do niej, do Sztokholmu. Przecież tam było lepiej. Po co kazał jej się tłuc na to zadupie?

- To nam z tego wynika, bystrzaku - zaczęła Zmoraczka - że nie uważałeś na wykładach. Zresztą to nic nowego. Wiedziałam, z kim się spotykam. - Uśmiechnęła się. Dziwnie. Z wyższością do pewnego stopnia, ale

jednocześnie uprzejmie i bardzo ładnie, co Maurycy stwierdził z lekkim ukłuciem dawno zapomnianego uczucia, kryjącego się gdzieś na dnie jego świadomości.

- Dobra, powiedz już może, co?

Uśmiechnęła się.

- Implozja następuje w przypadku zbyt dużego podzielenia świadomości, a następnie gwałtownego jej połączenia. Jak wiesz, saivowie mogą przebywać częściowo na wielu nośnikach.

- Czyli...

- Czyli nie miało to prawdopodobnie dużego związku z twoim polowaniem. Z jakiegoś powodu, tam na Powązkach, nagle doszło do połączenia dwóch części świadomości Bartenjewa, do tej pory od siebie oddzielonych. Może część cały czas była na cmentarzu i gdy przybyła ta druga część, ta z okrętu, to doszło do implozji? Możliwości jest wiele, proponuję później się tym zająć. W każdym razie dobrze, że masz tę lampę. - Uśmiechnęła się do niego. - Nasz futrzasty kolega mocno się zdziwi, jak mu się saiva nadmie.

- Racja - przyznał Maurycy. - Wciąż jednak pozostaje kwestia tego, co to za stwór? Wiemy, że Maria zniknęła oraz że stwór czekał prawdopodobnie na Bartenjewa w miejscu, gdzie był jej nośnik. Mówiłaś, że znalazłaś ślady jej świadomości w tym mieszkaniu, tak?

- Mhm. Chyba jej ślady.

- A do tego wiemy, że koleś jest jeszcze na jakimś innym nośniku i to gdzieś bardzo daleko, tak? Znaczy był. A potem

się gwałtownie połączył.

- Mhm.

- Ale czekaj - zastanowił się Maurycy - dlaczego ten koleś nie implodował wcześniej? Tam na statku, co?

- Oj, Wielo, Wielo... - Pokiwała głową ze współczuciem. Maurycy nie pamiętał, kiedy ostatnio użyła tego przezwiska. Ach, nie, pamiętał przecież. W Sztokholmie. W ich ostatnią wspólną noc. Wtedy, kiedy z nim zerwała. - Przecież dobrze wiesz, przynajmniej mam taką nadzieję, jeśli saiva siedzi na jednym nośniku, to nie imploduje. Może to nastąpić dopiero wtedy, gdy z niego wyjdzie i napotka drugą część. Na statku przez większość czasu był w lampie. A więc bezpieczny. Pytanie, co się stało z drugą częścią i gdzie ona była?

- Może sierściuch ją miał? - zaproponował Maurycy.

- Nie sądzę. Gdyby miał ją przy sobie, nie ryzykowałby implozji w trakcie transportu. Przecież on nawet nie miał sieci psychostatycznej ani niczego takiego. Po prostu go zabrał. Zresztą do implozji doszło na cmentarzu.

- No, zabrał - przyznał Maurycy. - A po co właściwie idziemy do widzącego, co? Co on nam w tym pomoże? Moim zdaniem powinniśmy raczej pogadać z Krukami.

- Naprawdę? Ty chcesz z nimi gadać?

- Nie mówię, że chcę, tylko, że oni mogą nam pomóc w tej sytuacji, a nie widzący. Co on nam powie? Że widział nietoperza nad Warszawą?

- Możliwe. - Anne uśmiechnęła się zagadkowo. Następnie poklepała pieszczotliwie kaburę pistoletu. -

Trafiłam go wtedy.

- Kogo? Futrzaka?

Anne pokręciła głową z uśmiechem.

- Ruska?

- Mhm.

- Skąd wiesz?

Anne wyciągnęła pistolet i pokazała Maurycemu małe wypukłe światełko, mrugające pomarańczowym światłem na szczycie kolby.

- Pociski psioniczne - wyjaśniła. - Coś jak twój nóż, tylko troszkę bardziej nowoczesne. Nie włączyłam ekstrakcji, bo wtedy nie byłam pewna, że dostał.

- Ale teraz jest zapewne za daleko - powiedział Maurycy gorzko - chyba, że ta twoja pukawka ściąga saivów na kilometry?

Anne pokręciła przecząco głową.

- Nie, działa na kilkadziesiąt metrów, maksymalnie - odparła. - I właśnie po to nam widzący.

Maurycy uniósł brwi. Zaraz jednak na jego twarzy odmalował się wyraz zrozumienia.

- Chcesz wzmocnić sygnał przez widzącego?

Anne kiwnęła głową z zadowoleniem.

- To może się udać - zastanowił się Maurycy. - Możemy spróbować. Jak nie wyjdzie, to pójdziemy do Kruków - dodał. - Musisz tylko wiedzieć, że ten widzący... On jest troszkę... Hmmm... Specyficzny.

- Co to znaczy?

Maurycy odwrócił się i zaczął się oddalać korytarzem. Anne pobiegła za nim.

- Zobaczysz.

Podrygujący wesoło płomień pochodni muskał ciemne deski ciężkich, drewnianych drzwi. Tunel zwężał się od jakiegoś czasu coraz bardziej. Robiło się coraz bardziej duszno. Anne czuła narastający, pulsujący ból głowy. Nie skarżyła się jednak i szła dzielnie za Zmorakiem.

- No i co teraz? - zapytała.

- Muszę znaleźć klucz - odparł Maurycy i zaczął grzebać w kieszeni spodni.

- Serio? - parsknęła Anne. - Kim ty jesteś, jakimś klucznikiem? Może woźnym?

- Oczywiście - odparł Maurycy. Metaliczny klekot kluczy świdrował uszy w ciasnym korytarzu. - Dostałem licencję na Warszawę, z możliwym rozszerzeniem na resztę Polski dla konkretnych zleceń. Muszę mieć klucze do odosobnień, w których trzymamy saivów.

- To jest saiva? Ten widzący to saiva?

- W dużej części tak - odpowiedział. - O! Mam.

Anne słyszała, jak klucz brzęknął o drewno.

- Choroba - zaklął Wielowieyski i przekręcił się jeszcze trochę, żeby lepiej sięgnąć lewą ręką do zamka.

- Daj może tę pochodnię - zaproponowała Anne, ale w tym momencie rozległ się trzask zamka.

- No - Pchnął drzwi raz i drugi. Metalowe okucia zazgrzytały o cegły korytarza. W końcu pomógł sobie nogą i z przeraźliwym skrzypieniem drzwi ustąpiły. - Chodź - powiedział Maurycy. - Tylko powoli. Idź za mną.

- Tak jest, panie dowódco - odparła Anne.

Maurycy tylko spojrzął na nią z dezaprobatą i ruszył w głąb ciemnego pomieszczenia.

- Ej no, czekaj! - zawołała i pobiegła za Maurycym, wyciągnęła pistolet z kabury. Delikatnie odciągnęła kurek. Maurycy zatrzymał się gwałtownie.

- Co ty robisz, do cholery?

- Nic - odparła, spoglądając na niego z niewinnym uśmiechem.

- Schowaj to natychmiast!

- Czemu jesteś taki spięty, co? - zapytała. - Może jednak powinnam wyciągnąć broń, he?

- Nie - rzucił przez ramię. - Nasz widzący jest dość... - zastanowił się przez moment - nerwowy. Rozchwiany emocjonalnie. I posiada dość niekonwencjonalne zdolności.

- Widzenie?

- Tak - przyznał Maurycy. - Ale również polimorfizm no i tę irytującą skłonność do akumulowania i przekierowywania ładunków elektrycznych.

- Co?

- Ciska piorunami, gdy się wkurzy.

- Jak to?

- Normalnie. Jak Zeus. Zbiera w sobie ładunki elektryczne z okolicy, a potem rzuca nimi w losowe strony.

- To dlatego musimy iść z tą idiotyczną pochodnią, jak jacyś bohaterowie fantasy, zamiast po prostu zapalić latarkę?

- Mhm - mruknął Maurycy w odpowiedzi.

- Przynajmniej zaoszczędzicie na prądzie - powiedziała jeszcze, po czym już bez słowa ruszyli w mrok.

Maurycy kilkakrotnie zmieniał kierunek. Po bokach nie widać żadnych ścian. Nad głową, przynajmniej na wyciągnięcie ręki, Anne nie napotkała również sufitu. Wszechogarniająca, gęsta ciemność oraz tchnący wilgocią, chłodny powiew wiatru sprawiały, że Anne czuła się, jakby znajdowali się w jaskini.

Nagle Zmorak się zatrzymał. Olsson oparła się o jego plecy i natychmiast odskoczyła jak oparzona, sięgając dłonią do kabury. Zobaczyła maleńki, złoty punkcik, majaczący w czarnej przestrzeni. Spojrzała pytająco na Maurycego. Kiwnął głową potakująco. Nakazał jej gestem milczenie, po czym ruszył. Stawiał kroki powoli i ostrożnie, jakby nie chciał zbudzić śpiącej w ciemnościach bestii.

Złoty punkcik, do którego zmierzali, z początku maleńki i nieruchomy, teraz zaczął rosnąć w oczach. Anne mogła już odróżnić podłużny, nieco beczkowaty kształt, zakończony wąską szyją i głową z... dziobem na końcu.

- Przecież to... - zaczęła szeptem.

- Znowu? - jęknął ptak. - Znowu jakieś intruzy-nachalniuzy? Niepokoić będą bidnuszkę-kaczuszkę, złotą dupuszkę - marudziło ptaszysko. Poderwało łeb i spojrzało na Anne, która cofnęła się o krok zaskoczona - Chcesz

kasiorki, ślicznoko? Chcesz sobie wziąć jakieś świecidełko, by rozświetlić niedoświetloną urodę swą? Może bransoletkę ze szmaragdami? Albo... O, wiem! Może obrączkę, co? Dla mężusia, kochaniusia, co by ci nie dał dyla w jakieś obcusie cycusie, hę? - zapytała, skinąwszy płetwą na Maurycego, a następnie rozkwakała się ponownie.

Anne spojrzała na Zmoraka. Maurycy rozłożył bezradnie ręce.

- Nie przyszedliśmy po twoje kosztowności - powiedziała powoli. Jej dłoń spoczęła na kolbie pistoletu. Kaczka kwaknęła ze zdziwieniem.

- Och, och! - zakrzyknęła, unosząc się na skarbach. - To mówi, a co powie to jeszcze, proszę niech mówi, na jasne kleszcze, co tam jeszcze?

Anne starała się zachować spokój. Czuła jednak, że fala irytacji wzbiera gdzieś w okolicach żołądka. Wzięła kilka głębokich wdechów. Zamknęła oczy, a następnie powoli je otworzyła. Spojrzała prosto w rubinowe ślepieia złotej kaczki. Widok złoconego ptaka, siedzącego na skrzyni z biżuterią w ogromnej piwnicy pod barokowym pałacem w środku europejskiego miasta szczególnie jej nie zdziwił. Widzących można określić jako specyficznych. Saivowie, żywi, czy inne stworzenia o poszerzonych zdolnościach psychicznych zawsze byli troszkę rąbnięci. Ich specjalne zdolności polegały przede wszystkim na tym, że działały jak magnes na to, co pozazmysłowe. Przyciągały do siebie części świata pozostające poza barierą zmysłów zwykłych istot, a przy treningu czasem potrafiły również kontrolować swoje

zdolności na tyle, żeby odpowiednio pokierować tym przyciąganiem, mogły same zdecydować, kogo chcą przyciągnąć, którego saivę na przykład. Tego rodzaju zdolności okazują się więc ostatecznie dość niebezpieczne dla Równowagi. Owszem, byli częścią systemu, ale mogli również zaburzyć wokół siebie istniejący porządek rzeczy, stosunków między żywymi i umarłymi. Dlatego też Zmoracy kontrolowali widzających. Z tego powodu ta dziewczyna, Zuzanna, była w tak bliskich relacjach z Maurycem. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyła Anne, chociaż dobrze widziała jej spojrzenie, słyszała jej ton głosu, gdy mówiła do Wielo. Ale to głupstwo, myślała. Głupstwo. Było, minęło.

Spojrzała na kaczkę. Polimorfizm? Rzeczywiście, ta postać wydaje się dość niecodzienna, ale Anne widziała już w swojej karierze większe dziwactwa. Tylko jak Wielowieyski mówił? Spojrzała na Maurycego. To nie jest do końca saiva? Czyli co to jest? Ubożę? Nieważne. Pewnie jakiś nagranicznik.

- Przyszliśmy prosić cię o pomoc - powiedziała Anne.

- O pomoc, pomoc - przedrzeźniała ją kaczka, kiwając łebkiem. - A przemoc, czy niemoc? Seksualną, moralną, psychiczną, magiczną... - wyliczał ptak.

- Słuchaj no, kaczkko! - Nie wytrzymała Anne. Maurycy wciągnął głośno powietrze. Dziewczyna zobaczyła kątem oka, jak Zmorak sięga jedną ręką pod ponczo. Żłota kaczka usiadła z powrotem na skarbach i łypnęła na Anne jednym okiem. - Potrzebujemy twojej pomocy i nie mamy czasu na

rymowanki i inne przedszkolne zabawy. Sprawa wygląda tak - polowaliśmy na jednego saivę. Ten tu, Zmorak, zlokalizował go i schwytał. Po drodze zajechał z nim do mieszkania jego dawnej ukochanej, żeby mógł sobie chłopak zerknąć, zanim pojedzie do raj. W tym mieszkaniu czekał na niego ogromny, czarny nietoperz, który zresztą mnie wcześniej pokieroszował, gdy sprawdzałam to mieszkanie. Nie był to ani saiva, ani zmora, ale nieważne. - Nabrała powietrza przed kolejną wypowiedzią. Płomień pochodni tańczył na złotych piórach kaczki. Ptak siedział wciąż nieruchomo, wpatrzony w Zmoraczkę, bez słowa. - Ten stwór zabrał saivę. Porwał go i odleciał. Potrzebujemy twojej pomocy, kaczko, żeby go odnaleźć. - Maurycy poruszył się niespokojnie. Gdzieś w ciemności zaczęła kapać woda, powodując przy tym dość donośne echo. Anne kontynuowała: - Wiem, że jesteś widzącym - powiedziała. Zawiesiła głos, jakby zastanawiała się nad tym, co powiedzieć dalej. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, gwałtownym ruchem wyciągnęła pistolet z kabury.

- Hej, spokojnie! - syknął Maurycy, doskakując do Zmoraczki. Kaczka siedziała wciąż nieruchomo.

- Przecież nic nie robię - powiedziała Olsson, unosząc rękę. Jednocześnie wcisnęła przycisk na kolbie pistoletu i magazynek wysunął się do drugiej dłoni. Maurycy stał tuż obok niej z obnażonym nożem. - I co, chcesz mnie dźgnąć? - zapytała z ironicznym uśmiechem.

Kaczka poruszyła się i łypnęła na niego jednym okiem. Maurycy rozluźnił się i Anne chciała kontynuować. Nagle

błysnęło złote światło i kaczka zniknęła. Zanim Zmoracy zdążyli zareagować, na jej miejscu siedział olbrzymi, czarny pajak. Wbił w Anne spojrzenie swoich rozmnożonych oczu i przestąpił z nogi na nogę. Zmoraczka cofnęła się o krok i spróbowała załadować magazynek. Dłonie drżały jej i co chwilę spoglądała na potwora. Pajak poruszył się i pękł w chmurze pyłu. Po chwili w jego miejscu siedział duży pies w typie owczarka niemieckiego, który zaszczekał wesoło. Maurycy drgnął. Pies zamerdał ogonem i bez ostrzeżenia wyszczerzył kły. Zaraz również i on rozmazał się w powietrzu, a na jego miejscu pojawiła się kobieta. Była całkowicie naga i siedziała w pozie modelki na skrzyni ze skarbami. Szczupłe ciało o alabastrowej skórze i dużych, pełnych piersiach wyginało się jak do zdjęcia. Dziewczyna miała brązowe włosy, uniosła zielone oczy na Anne. Zmoraczka od razu ją poznała.

Zuzanna przeniosła wzrok na Maurycego i uśmiechnęła się, niemal lubieżnie. Anne zerknęła na Zmoraka. Stał jak urzeczony. Ręka z nożem zwisała rozluźniona. Dziewczyna wyciągnęła dłoń i zachęciła go gestem. Zmorak otworzył usta i ruszył w jej stronę. Zuzanna przeciągnęła się, prezentując swoje wdzięki. Maurycy zrobił jeden krok, potem drugi. Anne nie wytrzymała. Z całej siły wcisnęła magazynek do pistoletu i demonstracyjnie przeładowała broń. Zuzanna łypnęła na nią wrogo, błyskawicznie wstała ze skrzyni i doskoczyła do Maurycego. Zmorak chwycił ją w ramiona.

- Wielo, nie ruszaj się - zawołała Anne. - Mam sukę na musz... - Nie dokończyła zdania. Z nagich pleców Zuzanny wystrzeliły dwa wyładowania elektryczne i przemknęły tuż obok Zmoraczki i uderzyły z hukiem w skałę za jej plecami. Anne upadła na ziemię. Podniosła się błyskawicznie gotowa do strzału. Syknęła z bólu. Poszukała wzrokiem dziewczyny. - Co jest...? - powiedziała i opuściła pistolet.

Przed nią stało dwóch Maurycych Wielowiejskich. Spoglądali na siebie ze zdziwieniem. Obaj trzymali pochodnie oraz długie noże o szerokim ostrzu.

- Strzelaj! - zawołał jeden.

- Nie, nie strzelaj! - krzyknął drugi.

Anne wodziła pistoletem od jednego Zmoraka do drugiego, usiłując wyłapać jakikolwiek szczegół, który ich od siebie odróżniał. Byli identyczni.

- Nie chcemy walczyć - powiedziała w końcu.

- Właśnie, nie chcemy z tobą walczyć - powtórzył jeden ze Zmoraków.

- To z tobą nie chcemy walczyć! - zaprotestował drugi.

- Anne, nie słuchaj go, to polimorf.

- To ty jesteś polimorfem! To on jest kaczką! - krzyknął drugi.

Obaj mężczyźni unieśli broń i wymierzili w siebie pochodniami. Zapadło pełne napięcia milczenie. Anne celowała to w jednego, to w drugiego.

- A do cholery z tym! - wrzasnęła po szwedzku.

Huknął strzał. Mężczyźni odskoczyli od siebie. Jeden rozprysnął się na kawałki, jak kryształowy kieliszek.

Okruszki zebrały się błyskawicznie, jakby przyciągane jakimś podziemnym magnesem. Anne ruszyła w ich stronę. Kawaleczki niedawnego Maurycego formowały się w srebrną figurkę. Zmoraczka nie zatrzymała się jednak i wymierzyła broń prosto w nieruchomą głowę posągu.

- Koniec tych zabaw - powiedziała.

Srebrne oczodoły poruszyły się i zamrugwały. Na Anne łypnęły rubinowe oczy.

- No dobrze, już dobrze - odezwała się kaczka. - Widzisz, do czego doprowadziłaś? Całe złoto ze mnie zeszło. Pomogę wam, pomogę. Posadź mnie, proszę, na mojej skrzyni. - Anne zawahała się. - No, nie bój się, przecież cię nie zjem.

Zmoraczka wsunęła pod kaczkę jedną dłoń. Drugą, z pistoletem, trzymała w pogotowiu. Posadziła ptaka na otwartej skrzyni i cofnęła się o dwa kroki.

- Aleś ty bojaźliwa - powiedziała kaczka. - Boisz się małej kaczuszki?

- Nauczyłaś się normalnie mówić? - odparła Anne.

- Przepraszam za koleżankę - wtrącił się Maurycy. - Trochę jest nerwowa.

- Ty przepraszasz? - obruszyła się Anne.

- Nie ma sprawy. - Kaczka machnęła srebrnym skrzydłem. - Też się trochę uniosłam. Niepotrzebnie, nie poznałam, że to ty, Zmoraku. Myślałam, że znowu jakiś frajer naczytał się miejskich legend i postanowił poznać osobiście złotą kaczkę.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy.

- Wielo! - krzyknęła Anne. - Co ty robisz? Ten nagraicznik sobie z nami pogrywa, a ty mu się podlizujesz?

- Nie, czekaj...

- Nie będę na nic czekać - warknęła. - A ty słuchaj mnie uważnie. - Wycelowała pistolet w kaczkę. Ptak powoli, od zadu, nabierał znów złotego koloru. - Trafiłam saivę pociskiem psychostatycznym. Z tego pistoletu. - Potrząsnęła bronią. Kaczka kwaknęła cicho. - Ta spluwa to absorber. Wzmocnij jego sygnał, żebyśmy mogli ściągnąć saivę z powrotem do nośnika. Zmorak ma go ze sobą.

- A kim ty jesteś, kochanieńka, żeby mi rozkazywać, co?
- zapytała kaczka.

- Wielo, trzymaj mnie, bo jej przywalę i polecą pióra.

- Spokojnie - powiedział Maurycy po raz wtóry. - Księżniczko - powiedział i zdziwił się, gdy zarówno kaczka, jak i Olsson spojrzały na niego - tak, ty, księżniczko - doprecyzował, skinąwszy brodą w kierunku ptaka - czy zechciałabyś nam pomóc?

Kaczka przechyliła łebek.

- Magiczne słowo? - zapytała i kwaknęła z zadowoleniem.

- Abrakadabra, zaraz rozwalę ci łeb - rzuciła Anne.

Maurycy zignorował Zmoraczkę i kiwnął głową.

- Prosimy - powiedział.

Kaczka wyraźnie napawała się chwilą napięcia, które nastąpiło po słowach Zmoraka.

- Dobrze - powiedziała w końcu. Anne warknęła. Maurycy uśmiechnął się. - Ale mam dwa warunki - zastrzegła, unosząc skrzydło, do połowy znów ozłoczone.

- Co?! - oburzyła się Anne. - Jeszcze będziesz nam warunki stawiać?!

Maurycy położył jej dłoń na ramieniu. Zmoraczka jednak nie zamierzała się uspokajać. Strząsnęła z siebie rękę i spojrzała na niego spod byka. Fuknęła jeszcze jak rozsierdzony kot, ale nie powiedziała nic więcej.

- Trzy warunki - poprawiła się kaczka.

- Miały być dwa - zaprotestował Maurycy.

- Ale są trzy - odparł nagrajnik. - Trzeci jest taki, że twoja kochanica ma się już nie odzywać, dopóki stąd nie wyjdziecie.

Anne nabrała powietrza ze świstem, ale Maurycy uniósł dłoń.

- Niech będzie - powiedział. Olsson wypuściła powietrze i zmeła jakieś szwedzkie przekleństwo. - A pozostałe dwa warunki?

- Jeden jest prosty, a drugi trudny - powiedziała kaczka - który chcesz najpierw?

- Nie przeciągaj struny - ostrzegł Zmorak.

- Dobra. Najpierw prosty w takim razie - odparła. - Chcę raz w miesiącu móc wyjść na miasto.

- To niemożliwe.

- No, to sami sobie szukajcie swojego Ruska.

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci tego obie... - Maurycy urwał i przypatrzył się kaczce ze zwiększoną uwagą. -

A skąd ty wiesz, że to Rosjanin? Nie mówiłem tego. Ty chyba też, Anne, prawda? – Spojrzał na Zmoraczkę, która pokręciła przecząco głową. – Mów, skąd to wiesz! – Głos Maurycyego przybrał groźny ton.

– To będzie kosztowało dodatkowy warunek. – Spróbowała kaczka, choć bez niedawnej buty.

– Nie – odparł Maurycy.

Nagły chłód wiejący z jego słów zaskoczył nawet Anne. Spojrzała na Zmoraka ze zdziwieniem, które powoli przemieniało się w coś w rodzaju podziwu pomieszanego z dumą. Zaraz skarciła się w duchu za takie odczucia, ale nic to nie dało. Coś w niej jednak pękło. Nie mogła oderwać wzroku od Zmoraka. Do gardła podpełzło z głębi wnętrza coś dawno zapomnianego. Coś, czego nie czuła właściwie, odkąd widzieli się ostatni raz, wtedy w Sztokholmie.

– Albo nam powiesz natychmiast wszystko, co wiesz na temat tego saivy, albo możesz się pożegnać z wychodzeniem na zewnątrz.

– Mówiłeś, że i tak nie da się tego załatwić.

– Ale mogłem się mylić. – Maurycy wzruszył ramionami.

– Mogłem też się nie mylić, ale ostatecznie to ty stracisz swoją szansę, księżniczko, a nie ja. Ja mogę znaleźć innego widzącego.

– Wiesz, że nie znajdziesz nikogo lepszego w tej kwestii... – powiedziała kaczka.

– Wiem – przyznał Maurycy.

Mierzyli się wzrokiem dłuższą chwilę.

- Dobra - odezwała się w końcu złota kaczką, zrezygnowana. - Niech ci będzie.

Maurycy rozluźnił się.

- Ale! - powiedziała kaczką. - Pozostaje jeszcze drugi warunek!

Zmorak schował nóż pod ponczo.

- Dawaj - powiedział.

- Musisz odpowiedzieć na moje pytanie.

- No dobrze - westchnął Zmorak. - Co to za pytanie?

Ptaszysko obróciło łebek i łypnęło jednym okiem na Anne, która wciąż stała wpatrzona w Maurycyego z pistoletem wyciągniętym w zgiętej ręce. W końcu otrząsnęła się i usiłowała przybrać na powrót srogi wyraz twarzy, bez większych sukcesów. Roztargnienie i pewien rodzaj wilgoci wciąż krążyło po jej obliczu. Czaiło się w rozbieganym spojrzeniu.

- Dlaczego bardziej się kochasz w tej brunetce niż w obecnej tu koleżance? - zapytała kaczką, cedząc powoli każde słowo z okrutną satysfakcją, jakby wbijała szpilki w laleczkę voodoo. - Myślałam, że to, co was łączyło w przeszłości, nie umarło do końca?

Anne wzdrygnęła się. Maurycy zmrużył oczy i spojrzał groźnie na ptaka.

- Nie rozumiem pytania - powiedział chłodno.

- Nie? - zdziwiła się kaczką. - To już tłumaczę. Zastosowałem klasyczną sztuczkę polimorficzną. Najpierw odzwierciedliłem po kolei ukryte lęki każdego z was. Koleżanka tutaj boi się pajaków, jak najbardziej zdrowe

zachowanie. Ty, jak widać, boisz się wesołych psów. Trochę dziwne, ale niech będzie. - Kaczka poruszyła się na skarbach. Zachrzęściły złote monety i ozdobne łańcuchy skryte w skrzyni. - Chyba już łapiecie, co? Potem zapytałem wasze umysły z kim...

- Dość - odezwała się Anne. Jej głos trząśł się z emocji. Zbliżyła się do kaczki, trzymając pistolet w wyciągniętej przed siebie dłoni. - Masz natychmiast wzmocnić odbiór absorbera. Już! - wykrzyzczała ostatnie słowo, przystawiając pistolet do głowy kaczki. Ptak kwaknął urywanie zaskoczony obrotem spraw.

- Tak nie można - jęknął. - Umowa była...

- W dupie mam umowę - warknęła Anne. - W tym momencie masz wzmocnić absorber albo odstrzelę ci ten ptasi łeb. Potem zrzucę resztę twojego żalostnego ciała i zادةpczę na miazgę. Całość zbiorę do foliowej torebki i zrzucę do Wisły - Zmoraczka cedziła słowa. - Jakies wątpliwości? - Uniosła brwi i spojrzała na kaczkę z okrutnym uśmiechem.

Kaczka kwaknęła ze zgrozą.

- Powiedz jej coś - jęknęła. - Tak nie można, Zmoraku...

Maurycy uśmiechnął się kątem ust. Blizna przedzielająca pionowo jego twarz wykrzywiła połowę oblicza w paskudnym grymasie.

- Przykro mi, ale nie mam wpływu na decyzje mojej współpracownicy - powiedział obojętnym głosem. - Mogę ci jednak poradzić po starej znajomości, że nie należy jej za bardzo drażnić. Uwierz mi, trochę się już znamy.

Anne, jakby na potwierdzenie tego, co powiedział Zmorak, przycisnęła mocniej lufę pistoletu do ptasiego łebka. Kaczka kwaknęła jeszcze raz bezsilnie, po czym widząc, że tym razem nie uzyska wsparcia ze strony Wielowieyskiego, kwaknęła ponownie i oświadczyła:

- Dobra, niech wam będzie. - Anne nie odsunęła lufy od jej głowy. - Ale jeden raz w miesiącu będę mogła wyjść z tego pierdla? - zapytała jeszcze z nadzieją, spoglądając na Maurycego.

Zmorak spojrział na Anne, ale ta nie zwracała na niego uwagi skupiona na utrzymaniu wściekłości na wodzy i ciągłym powstrzymywaniu wskazującego palca, spoczywającego na spuście.

- Niech będzie - przyznał Maurycy. - Jakoś to załatwię z Krukami.

- Nie musisz, mogę wychodzić z tobą - wtrąciła szybko kaczka.

Maurycy spojrział na nią bystrym wzrokiem.

- Co ty knujesz? - zapytał.

- Nic. Nic nie knuję. Chcę po prostu stąd wyjść od czasu do czasu - odpowiedziała. - Czy to takie dziwne? Do cholery jasnej! - wykrzyknęła nagle. - Nie możesz powiedzieć swojej koleżance, żeby łaskawie zabrała mi tę spluwę z głowy? Przecież powiedziałam, że wam pomogę, ale ciężko to będzie zrobić w ten sposób.

- Anne... - powiedział Maurycy, delikatnie, jakby mówił do samobójcy stojącego na krawędzi wieżowca. - Proszę... - Wyciągnął do niej dłoń.

Zmoraczka nie zareagowała, jakby była w transie powstrzymywania się przed dokonaniem morderstwa, jakby balansowała na krawędzi równowagi psychicznej i za wszelką cenę usiłowała się cofnąć o krok, angażując w to wszystkie siły. W końcu zamrugła i spojrzała na Maurycego. Jej wzrok wyrażał coś, czego Zmorak nie widział od bardzo, bardzo dawna. Pamiętał to spojrzenie z innego czasu, z innego miejsca. Obdarzała go nim gdzieś w innym świecie, na innej planecie, na której mieszkali, żyli razem, na której nikt ich nie mógł rozdzielić.

A przynajmniej tak im się wydawało. A może tylko jemu?

W oczach Anne była wdzięczność. Czysta, nieskryta pod poczuciem winy czy nutką ironii, wdzięczność za to, czego dokonał, kim dla niej był, ile dla niej znaczył. Wdzięczność za to, że wyciągnął ją z cienia wściekłości.

- Podaj mi, proszę, pistolet - dodał, uśmiechając się łagodnie.

Anne spojrzała na swoją dłoń, wciąż ściskającą broń wymierzoną w ptasią głowę, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Potem uniosła wzrok i podała pistolet Maurycemu. Zmorak natychmiast wyjął magazynek i położył broń na skrzyni przed kaczką. Następnie odwiązał od paska mosiężną lampę zabraną z Daru Młodzieży i położył obok pistoletu.

- To jest nośnik - wyjaśnił.

- Dobra - powiedziała kaczka i uniosła się niezgrabnie na łapy. Poczłapała do pistoletu i usiadła na nim, moszcząc

się jak do wysiadywania jajek. Złota biżuteria zachrzęściła w skrzyni.

Maurycy zauważył, że Anne cofnęła się kilka kroków, stając na granicy światła pochodni. Stała ze spuszczoną głową jak nie ona, cicha i jakby przybita. Maurycy umieścił pochodnię w pobliskiej skale i podszedł do niej, gdy kaczka mocowała się z uchwytem lampy, usiłując wepchnąć go sobie dziobem pod kuper.

- Anne.

- Ja nie... - zaczęła. - Ja nie wiem, co... Czemu ona... Ta wścikłość, to jest trudne... - mówiła łamiącym się głosem.

Maurycy poczuł bliskość dawnego, obcego już świata. Widział bezpieczny port gwiazdny, cichą zatoczkę pośród mroku i mrozu kosmosu. Wyciągnął dłoń i dotknął ciepłej kei. Nie cofnęła się.

- Już dobrze - powiedział.

Poczuł, jak rzucone na nabrzeże cumy same owijają się posłusznie wokół polerów.

- Tak - odezwała się kobieta.

- Tak - przyznał mężczyzna łagodnie, a następnie zaciągnął cumy.

Wiatr ustał. Było cicho. Gdzieś kapała woda.

- Dobra kochasie - odezwała się kaczka, burząc spokój. Cumy utrzymały. - Jedziemy z tematem - oświadczyła.

Maurycy ścisnął dłoń. Anne oddała uścisk. Ciepły i serdeczny, z nutką figlarniej agresji pełzającej gdzieś na końcówkach palców. Kaczka podskoczyła na skarbach jak wystraszona kwoka na grzędzie, wydając przy tym radosne

kwaknięcie. Najpierw rozbłysły fioletowym światłem szafiry naszyjników, zwisające z krawędzi skrzyni. Następnie pomarańczowe błyskawice, z początku jedna, potem kolejno druga, trzecia, czwarta, a następnie już cały ich snop strzelał z piórek na skrzydłach kaczki. Rubiny oczu rozbłysły. Kaczka poderwała łebek i z otwartym szeroko dziobem wbiła wzrok w jakiś punkt na tonącym w mroku sklepieniu piwnicy. Zaczął narastać świdrujący, metaliczny dźwięk, jakby w drogocennych wnętrznościach skrzyni grzechotały pomiędzy klejnotami stalowe kulki przyciągane to na jedną, to na drugą stronę silnym magnesem.

Anne puściła dłoń. Maurycy spojrział na nią. Wpatrywała się w kaczkę. Jej ręka odruchowo powędrowała do kabury pistoletu. Zacisnęła się w powietrzu, napotykając pustą przestrzeń. Szarpnęła głową. Lekko kręcone, ciemnozłote włosy błysnęły w świetle pochodni, przesłaniając jej twarz. Zmorak dostrzegął tylko niewielki fragment wyraźnie zarysowanego podbródka. Widział, jak poruszył się lekko.

Grzechotanie ustało. Światła zgasły. Tylko ciepły płomień pochodni tańczył wesoło na metalicznej powłoce złotej kaczki. Gdy Maurycy już chciał podejść do ptaszyska, sięgając do rękojeści noża zaniepokojony wśród wiru pomarańczowych błyskawic, które rozbłysły nagle ponad lampą, obok kaczki pojawiła się ciemna postać. Wyglądała jak cień człowieka, ale cień trójwymiarowy, o naturalnej bryle i co ciekawe, wysokiej, futrzanej czapie na głowie.

- Co się dzieje? - zapytał cień, głosem o metalowym pogłosie, jakby dochodzącym z blaszanej rynny. - Gdzie ja jestem? Gdzie jest Mania? - zapytał jeszcze, szarpiąc głową na boki, przez co rozmywał się w pomarańczowym wirze, jak smugi rzęsy na powierzchni jeziora.

- O co mu chodzi? - szepnęła Anne.

- Szuka Marii - odparła Maurycy. - On wciąż szuka swojej Marii.

- Jakiej Marii? - zapytała Zmoraczka, ale nim Maurycy zdążył się odezwać, mruknęła ze zrozumieniem: - Aha, no tak...

W tym samym czasie cień porucznika Bartenjewa również zamilkł. Wir zwęził się, pochłonął całe ciało saivy, pozostawiając na szczycie jedynie lewitującą głowę, która teraz nabrała kolorów i rysów twarzy oficera. Głowa potoczyła tęsknym wzrokiem po jaskini, jakby miała nadzieję gdzieś w świetle latarni ujrzeć ukochaną, wytęsknioną sylwetkę. Zatrzymała spojrzenie na Anne. Usta porucznika wygięły się w delikatnym uśmiechu, który zaraz zgasł, gdy Bartenjew przeniósł wzrok na Maurycyego. Zmorak uśmiechnął się i zasalutował porucznikowi teatralnie, po czym rozległ się elektryczny trzask i wir z przeciągłym świstem zwęził się jeszcze bardziej i zniknął.

Rozległo się zmęczone kwaknięcie. Żłota kaczka uniosła na Zmoraka spojrzenie zmęczonych ślepi. Maurycy zauważył, że pełznąca powoli w górę jej piór złota poświata cofnęła się i kaczka znów wyglądała jak wypolerowany posąg z aluminium.

- Idźcie już - powiedziała słabym głosem, wyzbytym z niedawnej ironii i buty. - Bierzcie go i idźcie - dodała, wstając ze swoich skarbów.

Odłoniła pistolet. Cofnęła się z powrotem na dalszą krawędź skrzyni, opadła z chrzęstem złotych przęseł łańcuchów i schowała dziób w stalowych piórkach.

Maurycy podszedł do skrzyni, wziął pistolet i mosiężną lampę. Nośnik z uwięzioną świadomością Bartejewa prysnął jeszcze snopem pomarańczowych iskier. Wrócił do Anne.

- Daj sieć - powiedział. - Owiniemy go, żeby znów nam nie zwiął.

Zmoraczka rozpięła kurtkę i wyciągnęła niewielkie zawiniątko. Maurycy dostrzegł zaokrąglenie jej piersi, widoczne z dekoltu bluzki na ramiączkach. Podała mu sieć, rozkładając ją, dostrzegła jego wzrok. Nie fuknęła jednak z irytacją. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Maurycy, uniósłszy spojrzenie, dostrzegł w jej oczach nutkę czułości, nieumiejętnie przykrytej śliską płachtą zalotności.

Owinęli wspólnie mosiężną lampę z Daru Młodzieży siecią psychostatyczną. Zmorak ponownie przytroczył ją sobie do paska, pod ponczo. Spojrzał na pistolet. Obrócił go w powietrzu, włożył magazynek i podał Anne kolbę naprzód.

- Jedziemy? - zapytał.

Odpowiedziało mu ciężkie, wymęczone westchnienie kaczki.

- Dużo ją to kosztowało - powiedziała Anne.

- Tak. Chyba tak - przyznał Maurycy. Podeszedł do skrzyni ze skarbami. Wyciągnął pochodnię i powiedział: - Dziękujemy za pomoc. - Ptak poruszył skrzydłem, zasłaniając szczelniej dziób. - Przyjdę w przyszłym tygodniu. Spróbujemy wyjść razem na miasto. - Odpowiedziało mu ponowne westchnienie zakończone przeciągłym kwaknięciem.

Maurycy obrócił się na pięcie. Anne spojrzała na niego spod grzywki, opadającej na twarz. Zmorak poczuł, jak dreszcze wspinają się wzdłuż pleców.

- Chodź, Wielo - powiedziała, nieco zachrypniętym głosem. - Mamy to, po co przyszliśmy. Jedźmy do Zamościa.

Zmorak odchrząknął i kiwnął głową. Odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przyszli, pozostawiając wyczerpaną złotą kaczkę o srebrnym ciele na jej skrzyni ze skarbami.

XI. KOLACJA NA MARKOTNEJ

- Zdaje się, że miała pani umówione spotkanie na dziś wieczór - powiedział piekielnik, podając Marii ramię.

Wisnowska potrząsnęła głową, zacisnęła z całej siły powieki, a następnie ostrożnie je otworzyła, jakby obawiała się, że skryty gdzieś tuż za granicą postrzegania świat znów wedrze się w jej świadomość jak żarłoczny pasożyt.

Rozejrzała się na boki. Słońce zachodziło nad odrapanymi ścianami kamienic. Ponad ulicą przeleciał żółw lewitator i przysiadł na gazowej latarni. Radovia powoli kończyła dzień pracy. Ludzie przemierzali ulice, stukając obcasami o bruk. Delikatny szmer kroków, zmieszanych z dogasającymi łomotami rzemieślniczej pracy oraz turkotem zaprzęgniętych w strusie wozów, sunących z wolna w kierunku przedmieść, wirowały w powietrzu i splatały się razem na lekkich podmuchach wieczornej bryzy.

Wisnowska nie mogła się pozbyć dziwnego wrażenia *dejà vu*, które towarzyszyło jej, odkąd wyszła z bramy kamienicy. W ciemnym zaułku cuchnęło moczem i czymś, co dopiero po wyjściu na ulicę zidentyfikowała jako zapach siarki i spalenizny. Obejrzała się wtedy za siebie, ale w miejscu kamienicy była pusta parcela, wciśnięta pomiędzy dwa czteropiętrowe budynki o ścianach skleconych niedbale z odrapanych desek. Budynek gdzieś zniknął.

Dzielnica Zawilców nie należała do czołowych miejsc w mieście, jeśli chodzi o prestiż i blichtr. Maria Wisnowska była tu kiedyś, nawet nie pamiętała z kim. Okoliczności spotkania też niezbyt pamiętała, najwyraźniej nie były tego warte. Spotykała się z wieloma ludźmi, którzy nie byli warci zapamiętania. Rano już zapominani, wyrzucani z pamięci jak stare wycinki z gazet. Od tamtej pory omijała to miejsce, właściwie nie mając żadnego interesu w nawiedzaniu Dzielnicy Zgnilców, jak nazywali ten zakątek miasta rodowici Radovianie.

Spojrzała na mężczyznę, z którym szła pod rękę brudną ulicą. Pamiętała bal. Była w stanie nawet przypomnieć sobie moment wyjścia z przyjęcia u hrabiego de Volaille'a. Wychodziła z tym samym mężczyzną, z którym przetańczyła pół wieczoru. Nie pamiętała jego nazwiska, Maria z reguły nie zaprzętała sobie głowy takimi drobnostkami. Mętnie przypominała sobie, że był członkiem Piekielnej Palestry, co by się zgadzało, pomyślała, zerkając ukradkiem na idealnie wypielegnowane lakierki swojego towarzysza, spod których

wydobywały się cieniutkie strużki dymu. Mężczyzna nosił czarny smoking z muszką. Na głowie miał czarny cylinder, a w lewej dłoni ścisnął gałkę eleganckiej laseczki, którą stukał miarowo o nierówny chodnik.

- Przepraszam, co pan mówił? - zapytała.

Profil mężczyzny wyglądał znajomo. Był od niej o głowę wyższy. Miał idealne rysy twarzy i mocno zarysowaną szczękę, niczym posąg jakiegoś antycznego wojownika. Spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się kącikami ust. Jego oczy nie poruszyły się przy tym i pozostawały spięte w wyrazie chłodnego skupienia. Maria speszyła się na moment, ale zaraz dodała, jakby usprawiedliwiając się pod wpływem tego spojrzenia:

- Zamyśliłam się.

Mężczyzna skinął głową.

- Oczywiście - powiedział. - Mówiła mi pani wczorajszego wieczoru, że była na dziś umówiona z osobnikiem o wdzięcznie brzmiącym pseudonimie Tatusiek. Poprosiła pani, żebym natychmiast po pani przebudzeniu odprowadził ją do jej mieszkania, gdzie będzie na panią czekał rzeczony człowiek.

- Tak mówiłam? - zapytała Maria i wzruszyła ramionami. - A kiedy tak mówiłam, jeśli wolno zapytać? - spojrzała ze skupieniem na piekielnika.

- Wczoraj w nocy, pani Mario - odparł prawnik z uśmiechem. - Tuż przed tym, jak zasnęła pani niczym zabita w moim apartamencie. Musiała być pani bardzo zmęczona.

Maria poruszyła się niespokojnie i zniżyła wzrok na swoje ubranie. Miała na sobie tę samą białą suknię, którą, dobrze to pamiętała, wybrała specjalnie na wczorajszy bal. Skromny krój doskonale, jej zdaniem, podkreślał rysy twarzy i kontrastował z kruczoczarnymi puklami włosów. Jednocześnie pozbawiona stelaży i innych klasycznych urozmaiceń suknia idealnie opinała jej kobiecą sylwetkę. Maria wiedziała, że wzbudzi niemałą sensację na konserwatywnym balu, który był tak pełny arystokracji jak cmentarz na Zawodziu. Z niemałym zadowoleniem ujrzała podziw pomieszany ze zdziwieniem i niekrytym zaskoczeniem w oczach Aleksandra. Przyszła na bal na jego zaproszenie, ale nie zamierzała mu się podporządkowywać, nawet jako narzeczona. Była wolną, niezależną kobietą, a on, jeśli jej chciał, powinien to uszanować. Nie zamierzała mu ułatwiać zadania. Nie wiedziała nawet do końca, czy zamierzała wychodzić za niego za męża. Jego rodzice prawdopodobnie i tak się nie zgodzą. W końcu jak by to mogło być? Szlachecki syn, cesarski oficer, miałby pojąć za żoną aktorkę? I to jeszcze urodzoną Graalkę, przedstawicielkę ludu zniewolonego przez Najjaśniejszego Cesarza? Nie... To nie miało szans powodzenia. Ale na razie przystała na jego propozycję, dając pożywkę miejskiej sensacji i potrzebie skandalu.

A propos skandalu, pomyślała, spoglądając znów na prawnika.

- Czy pan powiadomił mojego narzeczonego o tym, gdzie mnie zabiera? - zapytała.

Prawnik nagle zatrzymał się w miejscu i podszedł do skraju ulicy. Zamachał laseczką i po chwili przed Marią zatrzymała się dwuosobowa dorożka. Struś łypnął na nią okiem, po czym zaczął skubać źdźbła suchej trawy wystające z rynsztoka. Woźnica, przysadzisty krasnolud w brązowej, skórzanej kurtce, przechylił się, spoglądając na potencjalnych klientów.

Prawnik otworzył drzwi dorożki. Wyciągnął usłużnie rękę do Marii i powiedział:

- Próbowałem. Nie mogłem go jednak zlokalizować. Podejrzewamy, że opuścił miasto - dodał. - Ale proszę się nie martwić. Nie musi się pani niczego obawiać. Przez cały czas była pani bezpieczna i nie niepokojona.

Maria spojrzała mu w oczy, ale nie dostrzegła w nich nic oprócz zwyczajnego, skondensowanego chłodu. Piekielnik przestąpił delikatnie z nogi na nogę. Rozniósł się delikatny zapach spalenizny.

- Dziękuję - powiedziała w końcu i wspierając się na ramieniu prawnika, weszła po schodkach dorożki. Woźnica odchrząknął ze zniecierpliwieniem.

- Złota cztery poproszę - powiedział prawnik, wręczając krasnoludowi kilka monet. Woźnica bez słowa dotknął palcem kaszkietu i schował pieniądze.

- Skoro pan zna mój adres - powiedziała Maria, wychylając się przez okno - może ja mogłabym chociaż poznać godność mojego wyzwoliciela? - Spojrzała zalotnie na piekielnika.

Prawnik uniósł cylinder, ukazując łysą czaszkę.

- Alastair Cromley, do usług najjaśniejszej pani - powiedział i skłonił się lekko.

Trzasnął bat. Struś skrzeknął z dezaprobatą i dorożka zaturkotała na bruku. Maria opadła na wysiedziane poduszki i westchnęła. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - powiedział Jay, pochylony nad biurkiem.

- Padre, jakieś zamieszanie na ulicy - oświadczył od progu Baruelo, przytrzymując drzwi za klamkę.

- Co się dzieje? - Jay uniósł wzrok i dostrzegł zaniepokojenie na twarzy krasnoluda. Nie był to dobry znak u wiecznie opanowanego asystenta. Przywódca Mafii wstał i sięgnął do szuflady po pistolet. - Mamy problem? - zapytał krótko.

- Jeszcze nie wiem - odparł Baruelo. - Ale niech pan sam zobaczy.

- Zaraz mieliśmy jechać do tej aktorki - zaczął Jay, wtykając pistolet za pasek.

- Naturalnie - przyznał sekretarz. - Nie wiem jednak, czy to jest dobry moment - Baruelo dokończył zdanie, zbiegając za przełożonym po schodach rezydencji. Machnął w biegu ręką dwóm ochroniarzom stojącym przy potężnych, dębowych drzwiach wejściowych. Mężczyźni w identycznych kapeluszach i szarych płaszczach do kostek

otworzyli ciężkie skrzydła i wyszli z budynku zaraz za szefem, sięgając znacząco pod poły płaszców.

Na ulicy panował chaos. Kwik koni i krzyki ludzi mieszały się z trzaskami drewnianych desek przydrożnych straganów, druzgotanych przez końskie kopyta.

- Co tu się... - zaczął Jay i położył dłoń na kolbie pistoletu.

Baruelo kątem oka dostrzegł, że szef odciąga kurek broni i stanął obok niego. Obaj ochroniarze stanęli po bokach i bacznie obserwowali ulicę. Na bruku leżało dwóch cesarskich huzarów. Poruszali się niemrawo. Obok, pomiędzy straganami handlarzy ulicznymi przekąskami, szalały cesarskie wierzchowce, wciąż uzbrojone w siodła i rzędy cesarskiej kawalerii obwieszane bronią i wojskowymi bagażami. Grupa żandarmów w wysokich czapkach i niebieskich płaszcach usiłowała schwytać spanikowane konie. Sprowadzało się to jednak do wykonywania chaotycznych podskoków z policyjnymi pałkami w dłoniach. Baruelo uznał, że wygląda to bardzo komicznie, biorąc pod uwagę poważne miny wąsatych stróżów prawa i ich mundury, które swoją konstrukcją wymuszały utrzymywanie nienaturalnie wyprostowanej postawy.

Kawałek dalej, zaraz przy skrzyżowaniu z Arterią, dwaj kolejni huzarzy z szablami w dłoniach właśnie opanowywali swoje wierzchowce. W jednym z nich Jay natychmiast rozpoznał sierżanta. Patrol huzarów w środku miasta? Szukali powstańców? Szef Mafii nie zamierzał sam sobie

odpowiadać na jakiegokolwiek pytania dotyczące zamieszania na jego ulicy. Ruszył w stronę dowódcy. Baruelo usiłował go powstrzymać, ale Jay wyrwał rękę. W tym czasie sierżant zeskoczył z wierzchowca i rzucił lejce chłopakowi stojącemu obok. Powiedział coś szybko do drugiego huzara, potężnego żołnierza o kwadratowej twarzy, który wzrostem przewyższał własnego wierzchowca. Olbrzym przeciągnął potężne barki i ruszył w stronę żandarmów, urządzających pod straganami policyjne zawody akrobatyczne.

- Co tu się dzieje, sierżancie? - zapytał Jay, podchodząc do dowódcy pewnym krokiem.

- A jak pan myśli? - warknął dowódca, nie oglądając się za siebie. - Konie się spłoszyły - dodał i odwrócił się do wierzchowca.

W tym czasie olbrzym wystąpił przed spanikowaną grupkę policjantów i powoli zbliżał się do rozszalałych koni. Wyciągnął przed siebie dłonie, wnętrzem do góry. Oba wierzchowce cofnęły się nieco i poruszały nerwowo chrapami. Zaczęły się jednak uspokajać. Jeden parsknął niepewnie, ale już nie wierzgał. Olbrzym zbliżał się do nich powoli, ale nie przystając ani na moment.

- Czy mogę wiedzieć, co robi patrol huzarów na mojej ulicy? - ciągnął mafioso.

Baruelo pomyślał, że jego głos jest stanowczo zbyt konfrontacyjny jak na kontakt z cesarskim sierżantem, który ma problem.

- Z tego, co wiem, Rada Miasta wydała oficjalny zakaz jakiegokolwiek obecności cesarskich żołnierzy pod bronią na

ulicach Radovii, poza cytadelą i innymi jednostkami...

- A pan co? - warknął sierżant i odwrócił się gwałtownie. - Z żandarmerii, czy... - Spojrzał na Jaya i urwał. Zawiesił na moment wzrok na ponurych mężczyznach w płaszczach oraz na bezbrodym krasnoludzie, który bardzo się starał przybrać równie zdecydowany wyraz twarzy, co jego szef. Następnie przeniósł wzrok na Wałuwiewa.

- Proszę się nie niepokoić - powiedział w końcu, siląc się na łagodny ton głosu. - Sytuacja za moment będzie opanowana i już nas nie ma. - Wskazał dłonią w bok.

Jay pobiegł wzrokiem za wskazaniem sierżanta i zobaczył, jak olbrzymi huzar zdecydowanym ruchem łapie najpierw jedną, a potem drugą uzdę spanikowanych wierzchowców. Z grupki policjantów rozległy się triumfalne okrzyki i brawa. Konie szarpnęły się jeszcze niespokojnie, ale olbrzym bez problemu utrzymał je w miejscu, po czym się uspokoiły, jakby całe to niedawne szaleństwo nigdy nie miało miejsca.

- A teraz przepraszam, muszę zająć się moim ludźmi. - Odebrał lejce swojego wierzchowca od chłopaka stojącego z dumną miną i wypiętą w przód piersią. Dzieciak zasalutował sprężystością. Sierżant odpowiedział skinieniem dłoni i wskoczył na konia. Podjechał do Wałuwiewa, a następnie wrócił do pozostałych huzarów, którzy w międzyczasie zdążyli już wstać.

- Macie coś połamane? - Baruelo usłyszał, jak sierżant pyta żołnierzy. Odpowiedzi już nie usłyszał, tylko ciche

nieartykułowane jęki. Sierżanta jednak to specjalnie nie zmartwiło. – Na konie! – rozkazał i machnął w kierunku Wałuwiewa.

Obaj żołnierze ruszyli niechętnie, po czym z trudem dosiedli swoich tarpanów. Olbrzym również wskoczył na siodło i po chwili wszyscy czterej odjechali w kierunku Arterii. Tłum gapiów rozstępował się przed nimi. Część ludzi ruszyła za żołnierzami, jakby witali zwycięzców powracających z jakiejś kampanii toczonej w odległych zakątkach Cesarstwa. Policjanci zaczęli stopniowo rozganiać pozostały tłum i uspokajać właścicieli zniszczonych straganów, którzy gdy tylko zauważyli, że bezpośrednie zagrożenie zdrowia i życia minęło, zaczęli bardzo głośno domagać się sprawiedliwości.

– Wyjaśnij, co tu się stało – rzucił Jay do Baruela.

– Naturalnie – odparł sekretarz. – Zajmę się tym natychmiast. Chciałem jedynie przypomnieć, że...

– Tak wiem, wiem. – Jay uniósł dłoń. – Pojadę sam – dodał, spoglądając wymownie na ochroniarzy.

– Ale, Padre, czy... – zaczął Baruelo.

– Nie.

– Naturalnie. – Sekretarz skinął głową. – Dorożka już czeka na dziedzińcu.

– Doskonale. – Jay strzelił kośćmi palców i już miał odwrócić się i odejść w kierunku bramy pałacyku, gdy coś przykuło jego uwagę.

Wydawało mu się, że zobaczył... gdy podszedł bliżej, coś ponownie błysnęło z brudnej wody w rynsztoku.

Podszedł szybkim krokiem i bez wahania sięgnął w ściek. Wyprostował się i spojrzał na dłoń ociekającą brudnym szlamem. Spoczywała na niej dość duża, srebrna bransoleta z wygrawerowanym herbem. Jay przyjrzał się dokładniej i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdzieś już kiedyś widział tego rodzaju herby. W jakimś muzeum? Albo na jakimś filmie? Niemożliwe, to by oznaczało, że kojarzy je jeszcze z tamtego życia. Nie, coś mu się przywidziało.

- Wyczyść to i wysusz - rozkazał, podając bransoletę jednemu z ochroniarzy. - Natychmiast. Za dziesięć minut ruszam i chcę to zabrać ze sobą.

- Tak, Padre - potwierdził ochroniarz, po czym zniknął w bramie pałacyku.

Jay napotkał pytający wzrok Baruela.

- Aktorki lubią błyskotki - wyjaśnił, po czym roześmiał się i wszyscy trzej ruszyli w stronę pałacyku.

Ułan-Ude nie widział absolutnie nic. Nic również nie słyszał. Jeźdźcy gdzieś zniknęli, a wraz z nimi Helenka. Nie do końca pojmował, co się stało. Dotknął jej ręki, gdy spadali w ciemność, a potem mrok i cisza wciągnęły go i zamknęły w ciasnej pułapce. Ucichł nawet zawodzący śpiew dziwaczkich starców i dudniący rytm, wybijany na bębnie przez szamana. Ułan-Ude znalazł się w samym środku nicości.

Czy tak wygląda śmierć? - pomyślał, ale zaraz skarcił się w duchu. Przecież on już dawno nie żyje. Ale czy na

pewno? Może był jeszcze drugi poziom śmierci? Poziom nieistnienia.

Tak jak pierwsza śmierć usunęła jego świadomość z ciała tatarskiego wojownika, tak teraz może został po prostu wyłączony? Wyjęty ze świata? Może go nie ma, ale jest? Nie czuje, nie słyszy, nie widzi, ale myśli. Tylko w takim wypadku powinien chyba jednak żyć, skoro myśli? Przecież ślepcy i głusi również nie są umarli.

- No i co teraz? - rozległ się głos w próżni otaczającej świadomość Ułana-Udego.

Wydawało mu się, jakby dochodził ze wszystkich stron jednocześnie, jakby odbijał się od ścian jaskini, które go otaczały.

- Czekamy - odparł drugi głos.

- Jak to czekamy? Przenieśliśmy się czy nie? - gorączkował się pierwszy głos.

Wydawał się Tatarowi znajomy.

- Cierpliwości, Jarugo - powiedział Radien Pardne. - Równowaga to między innymi cierpliwość, a czekanie to sens istoty, na którą czekasz...

- Ale pieprzysz, jak stary dziad, za przeproszeniem - zaskrzeczała starucha. Na moment zapadła cisza, po czym odezwała się ponownie: - Wojowniku, jesteś tam?

- Oczywiście, że jest, przecież jesteśmy w nim - odparł Radien.

- Cicho bądź - warknęła Jaruga. - Wracaj do swojego czekania, ale mi nie przeszkadzaj z łaski swojej.

- Proszę, weź tylko pod uwagę, że ciało zostawiłem w Laponii i teraz jestem na drugim poziomie transpozycji świadomości. Owszem, mam w tym doświadczenie, ale trochę skupienia potrzebuję, żeby utrzymać się tu, gdzie jestem.

- A gdzie dokładnie jestem? - odezwał się Ułan-Ude, zaskoczony tym, jak wyraźnie brzmiał jego głos w tej pustce.

- W bransolecie - odparła po chwili Jaruga. - W tej samej, którą miałeś ze sobą w Edenie.

- W bransolecie Helenki?

- Tak.

- Czyli jestem znów w Edenie? - upewnił się. - Na moim stepie?

Głos szamana odchrząknął wymijająco.

- No, tłumacz się, tłumacz - zadrwiła Jaruga. - To był twój pomysł, ja mówiłam żeby poczekać. Przecież oni mogli siedzieć na tej płaszczyźnie rzeczywistości, ile byśmy chcieli. Cicero odgrodziłby krawędzie bez problemu. Poczekałibyśmy na Zmoraków i oni by to załatwili, a tak? Nie dość, że nie wiemy, gdzie jesteśmy, to jeszcze Kruki od razu zaczną węszyć. Ech, stary, stary. Taki stary, a taki głupi - westchnęła.

- Jesteśmy w równoległym świecie - powiedział spokojnie Radien, nie zważając na uwagi Jarugi.

- Tak? A skąd to wiesz? - zapytała staruszka, uprzedzając Tatara.

- A stąd, że się poruszamy - odparł Radien.

Na chwilę zapadła cisza. Ułan-Ude skupił się i rzeczywiście wydało mu się, że słyszy jakieś ciche stuknięcia dobiegające z oddali, niby zza ściany jaskini. Ponadto, gdy się skupił, wyczuwał delikatny ruch, lekkie zachwianie równowagi przestrzeni, w której się znajdował. Przypominało to uczucie, jakby unosił się w wannie pełnej wody, którą ktoś poruszał to w lewo, to w prawo, a on nie dotykał brzegów, tylko przesuwiał się nieznacznie w wodzie.

- Czuję - powiedział Ułan-Ude.

- Co czujesz? - zapytała Jaruga. - Ja nic nie czuję. Oj, wydaje mi się Radienie, że troszkę przekombinowałaś.

- Jeśli już, to przekombinowaliśmy - odparł Pardne. - Sama też tego chciałaś, pamiętasz? Posłuchaj, Jarugo, i ty też, wojowniku. Jesteśmy w równoległym świecie. Nie wiem, który to jest, a jest ich wiele. Musi być. Nie wiem też, czy ten świat istnieje gdzieś w przestrzeni, krąży obok innej gwiazdy niż Słońce, czy też istnieje po prostu w innym wymiarze. Takie też się zdarzają.

- Przecież oboje to wiemy - wtrąciła Jaruga.

- Ale nasz nowy przyjaciel niekoniecznie - odparł Radien.

- A po co mu ta wiedza? Co miał zrobić, to zrobił.

- Zaraz, zaraz! - odezwał się w końcu Ułan-Ude, do tej pory biernie śledzący przebieg rozmowy. Teraz jednak, gdy w końcu wtrącił się w ten dziwny dialog, toczący się najwyraźniej w jego umyśle, zamilkł nagle, nie wiedząc, o co spytać najpierw.

- Tak? - zachęcił go Radien.

- Czyli że co? - zaczął Ułan-Ude. - Ja rozumiem ten Eden. Zdążyłem się do niego przyzwyczaić. Rozmawiałem z żółwiogłowym strażnikiem Cicerem. To, co opowiadał o mojej śmierci, o mojej zabłąkanej duszy...

- Technicznie rzecz biorąc, to nie jest żadna dusza, tylko po prostu emanacja świadomości lub jak kto woli - istota człowieczeństwa. Jego rozum, który przetrwał po śmierci ciała - sprostowała Jaruga. - Pojęcie duszy zakładałoby, że byłbyś jakąś częścią dawnego człowieka. A tak nie jest. Jesteś człowiekiem, tylko trochę innego rodzaju...

- Dobrze - przyznał Tatar. - Niech i tak będzie. Chociaż tego nie pojmuję. Helenka zawsze mi powtarzała, że człowiek składa się z duszy i z ciała. Tak samo mówili uczeni w piśmie na Krymie. A wy mi mówicie, że duszy nie ma? Że umarłem, ale wciąż żyję, a mimo to nie mam duszy, nie jestem duszą? To czym jestem? Mięsem, które gnije gdzieś na stepie?

- Raczej już dawno zgniło - odparła Jaruga. - Radienie, czy my musimy mu to wszystko tłumaczyć? Chciałeś zobaczyć... właśnie, co ty chciałeś zobaczyć, przenosząc nas razem z nim do tego świata?

Radien milczał. Ułan-Ude słyszał coraz wyraźniej odgłosy dochodzące zza ściany odgradzającej go od świata. Gdy się skupił, wydawało mu się nawet, że słyszy jakieś głosy, stukot butów o posadzkę.

- Pan Ułan-Ude pomoże nam zerknąć do innego świata - zaczął Radien. - Dobrze wiesz, Jarugo, że połączenie trwa

już bardzo długo.

- Tak, ale...

- Poczekaj - przerwał jej. - Podejrzewam, że to nie jest naturalne zachowanie połączeń pomiędzy światami.

- No pewnie, przecież to przez te tunele, które rozbudowują Kruki. Każdy noaide wie, że połączenia pomiędzy światami otwierają się na płaszczyźnie świadomości. Zwykli ludzie, ci, co nie widzą na co dzień pełnego spektrum rzeczywistości, czasem odbywają te podróże w snach, ale tylko jako bierni obserwatorzy. Wchodzą i wychodzą, jakby ktoś na moment zamknął ich w pokoju, w którym przez dziurę w ścianie mogli obserwować, co się dzieje w sąsiednim mieszkaniu. Ale tu nie o tym mówimy - powiedziała Jaruga.

- Oczywiście - przyznał Radien. - W tym przypadku mamy do czynienia z połączeniem, które pozwala na transfer świadomości z naszego świata do innego. I jak widać na przykładzie naszego przyjaciela i kilku innych przypadków, z których ostatni miałem całkiem niedawno nad Inari, transfer jest możliwy w drugą stronę, ale nie jestem pewien, co do jego trwałości - dodał.

Nikt się nie odezwał. Ułan-Ude wsłuchał się w gwar głosów za ścianą mroku. Przez moment wydawało mu się, że wychwytuje z niego kobiece tony. Ale gdy tylko bardziej się na tym skupiał, dźwięki rozplýwały się w rosnącym harmidrze.

- Podejrzewam, że obecne połączenie nie jest przypadkowe - powiedział w końcu Radien.

- No, nie jest, bo Kruki grzebią przy tunelach - odparła Jaruga. - Słyszałeś, że ostatnio udało im się przenosić nie tylko świadomość, ale i ciało? Ponoć twój podopieczny, ten Wielowieyski, przeskoczył z Kopenhagi aż prościuteńko do Warszawy.

- Moim zdaniem - podjął Radien, nie zważając na uwagi Jarugi - połączenie jest podtrzymywane w jakimś celu, ale nie przez Konsylium. Oni nic o tym nie wiedzą. Już sam fakt, że wysyłają do Edenu Maurycego i Anne Olsson o tym świadczy. Myślą, że mają jakiś defekt Edenu. Oczywiście wiedzą o przeciekach pomiędzy światami, ale traktują je jako zwykłą usterkę, jako coś, co trzeba załatać i iść dalej. A moim zdaniem za tym wszystkim stoi coś więcej - powiedział, ścisząc głos, jakby ktoś ich podsłuchiwał. - Albo ktoś - dodał.

- Niby kto? - zapytała Jaruga. - Ty to zawsze jakieś teorie spiskowe uskuteczniaasz... Nawet to w tobie lubię, wiesz?

Ułan-Ude czuł się coraz bardziej zażenowany tą rozmową i ucieszył się, gdy Radien Pardne powiedział:

- Słyszysz pan głosy, panie wojowniku?

- Tak. Słyszę. Gwar, jakby w karczmie - odparł Tatar.

- Dobrze. To teraz skup się, wojowniku. Przypomnij sobie twarz Heleny Zborowskiej - powiedział Pardne. - Ona tam jest - zniżył głos do chrapliwego szeptu.

- Jest? - zapytał jeszcze Ułan-Ude i poczuł nagły przypływ nadziei. Przecież ją widział, prawda? Siedziała na trójgoniastym koniu dowódcy patrolu. Dostrzegła go, był

pewien, że go dostrzegła. Serce wyrywało mu się z umarłej piersi bez formy i ciała. Czy to możliwe? Czy to może być, że ta, za którą przejechał pół świata, dla której dał się posiekać ruskim bojarom, byle tylko nie odkryli ich kryjówek, ta, dla której zdradził swój czambuł, pozostawiając go bez dowodzenia na pastwę żądnych zemsty Lachów, ta Polka o włosach jasnych i delikatnych jak pajęcza nić unoszona na wietrze, ona jest tutaj? Czy to możliwe, że po drugiej stronie tajemniczej, czarnej ściany, która zamknęła się wokół niego niczym mroczna otchłań śmierci, rozbrzmiewa jej głos?

- Skąd wiesz? Skąd o niej wiesz? - pytał Ułan-Ude.

Głos łamał mu się i drżał od emocji, które wypełniały cały świat, całą mroczną pustkę. Sądził, że słyszy odpowiedź, wypowiedzaną głębokim, chrapliwym głosem starca o skośnych, żółtych oczach. Miał wrażenie, że szaman zapewniał go, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, żeby się nie martwił, że ona tam jest i czeka na niego. Chciał to usłyszeć, naprawdę chciał usłyszeć słowa otuchy, wypierające z jego głowy wątpliwości, wypływające na powierzchnię świadomości niczym bąble powietrza wznoszące się z morskich głębin.

Chciał tego, ale usłyszał tylko nikły szept gdzieś z oddali, a potem zalał go strumień światła. Gwar głosów i szczęk naczyń otoczyły go, jakby chciały wypełnić przestrzeń po rozerwanych czarnych ścianach niedawnego więzienia. Otworzył powieki, zaciśnięte gwałtownie pod wpływem światła.

I wtedy ją zobaczył. Długie, proste, jasne włosy okalały anielską, nieco podłużną twarz, zakończoną wąskim, zgrabnym podbródkiem. Aksamitna skóra koloru stepowej skały, odsłoniętej przez wiatr, opięta na wydatnych kościach policzkowych, rozświetlała jej twarz o wiecznie skupionym, poważnym wyrazie. Ułan-Ude nie pamiętał, żeby Helena kiedykolwiek się uśmiechała. Owszem, śmiała się, ale nigdy głośno. Raczej delikatnie, niby szum górskiego strumyka zza zasłony iglastych gałęzi kosodrzewiny. Jej uśmiech ograniczał się do uniesienia kącików wąskich ust. Jej oblicze nigdy nie traciło wyrazu skupienia i czujności. Ułan-Ude nauczył się w końcu rozpoznawać jej uczucia, choć zajęło mu to trochę czasu. Emocje Heleny wyrażały jej oczy. To one śmiały się, gdy usta pozostawały zacięte, rzucały błyskawice gniewu, gdy jej alabastrowe dłonie dotykały delikatnie jego twarzy. To w nich wojownik widział troskę i niepokój, gdy jej twarz pozostawała spokojna i poważna, a ręką machała mu na pożegnanie za każdym razem, kiedy wyruszał na polowanie.

Te oczy, zielone sadzawki życiodajnej wody w morzu słonego stepu, spoglądały teraz na niego wesoło.

- Helena...

- No, no, no... - Jaruga pokiwała głową z uznaniem. - Ładnie to załatwiłeś, bardzo zgrabnie, muszę przyznać. Zawsze uważałam, że elegancja to podstawa dobrej

transpozycji. Ludzie to istoty uczuciowe. Nie ma bardziej eleganckiej formy transpozycji niż oparta na głębokich uczuciach. Nie to, co te prostackie działania Kruków. Wysłać Zmoraka i po krzyku, najlepiej od razu jakąś psychopatkę, jak ta Olsson. A uczuciami to nikt się nie przejmuje. Wsadzić saivę do sztucznej rzeczywistości i niech sobie radzi. Ech, tak, tak... - westchnęła. - Prawdziwych noaidów to już prawie nie ma, prawda Grabinie?

Jaruga siedziała ze skrzyżowanymi nogami na nadrzecznej polanie. Radien Pardne siedział naprzeciwko niej. W dłoniach wciąż trzymał bęben, ale już nie wybijał rytmu ani nie śpiewał. Na polanie było słychać tylko urywany, wesoły śpiew leśnego ptactwa i cichy szmer rzeki. Radien siedział jakby zmrożony, zastygły w bezruchu.

- Grabinie? - powtórzyła Jaruga, rozglądając się dokoła.

Polana była pusta. Nagle rozległ się trzask jakiejś gałęzi i tuż nad jej głową gruchnął bas drzewca.

- Słucham.

- Gdzie się podziewasz?

- Myślałem, że już nie jestem potrzebny - zaczął niepewnie Grabin. - Byliście zajęci, więc postanowiłem zająć się myśliwym.

Jaruga wstała ciężko, wspierając się o kolana. Spojrzała w kierunku nadrzecznych chaszczy. Niewielki fragment obok sani, które stały tam, gdzie je zostawiła, był wygnieciony w podłużny kształt. Wokół niego były kolejne wgniecenia trawy, okrągłe ślady, które następnie oddalały

się w kierunku lasu, zanikając na granicy nadrzecznych trzcin.

- Co z nim zrobiłeś? - zapytała staruszka, spoglądając za śladem.

- Zająłem się nim - odparł niepewnie Grabin. - Przecież nie mogłem go tu zostawić. Jeszcze by się obudził i zrobił komuś krzywdę.

- Najpewniej sobie - odparła Jaruga.

- Teraz już nikomu nie zrobi krzywdy - wyjaśnił drzewiec, zaplatając konary ramion na liściastej piersi. Jaruga obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem, aż drzewiec poruszył się niespokojnie. - Żyje - powiedział w końcu i rozluźnił ramiona.

- Szkoda - mruknęła staruszka.

Podeszła do Radiana, który wciąż siedział nieruchomo na środku polany.

- Nie mogłem... - zaczął, ale urwał, spoglądając na noaide. - A co mu się stało?

- Nic - odparła Jaruga. - Podłączył się do naszego przyjaciela Tatar. Widzi jego oczami, słyszy jego uszami. Przerzucił na niego część swojej świadomości i wysłał do innego świata.

- A wojownik?

Jaruga spojrzała się na niego i obrzuciła karcącym spojrzeniem.

- A jak myślisz, bystrzaku?

- Też jest w innym świecie? - zapytał niepewnie drzewiec.

- No, brawo - prychnęła staruszka. - Dwieście pięćdziesiąt dwa lata, a zdolności kojarzenia na poziomie pięćdziesięcioletniej sosny. Albo siedmioletniego dziecka - dodała.

- Nie wiedziałem, nie rozumiem tych mechanizmów... - zaczął Grabin.

- Dobra, dobra. - Jaruga machnęła ręką. - Chodź mi tu lepiej pomóż.

Grabin podszedł i stanął nad Radieniem.

- Co mam zrobić? - zapytał.

- Weź go na ręce i usadź sobie jakoś wygodnie na ramieniu - powiedziała. - Będzie potrzebował dużo energii na bieżące utrzymanie świadomości. Prawda, że to Radien Pardne, ale jednak jego ciało pozostaje wciąż w Laponii, a świadomość jest po części tu, a po części w innym świecie.

- Ale jak...? - zapytał Grabin, unosząc ostrożnie znieruchomiałego szamana.

- Mnie nie pytaj. - Jaruga rozłożyła ręce. - Ja tak nie umiem. Wszczepienie się na cudzą świadomość da radę. Przeniesienie się do innego świata, jak widać, też da radę, choć raczej na chwilę. Zaraz mnie cofnęło. Ale transpozycja w przestrzeni i przerwucenie do innego świata? To już nie takie proste. No, ale ktoś taki, jak nasz Radien, to wszystkiemu da radę.

Grabin rozchylił gałęzie na lewym ramieniu i powykręcał je niezgrabnie zgrabiałą dłonią, formując z nich coś na kształt krzywego, liściastego fotela. Następnie

posadził w nim szamana i przygiął jeszcze gałęzie tak, żeby ściśle obejmowały jego ciało.

- I co teraz? - zapytał drzewiec.

- Nic - odparła Jaruga. - Podnieś mnie do niego i usadow się gdzieś wygodnie na słoneczku. Radien sam weźmie, co będzie potrzebował.

Grabin posłusznie uniósł staruszkę, a następnie odszedł na brzeg rzeki i opadł ciężko na skarpie. Zanurzył nogi w bystrym nurcie i westchnął:

- Ale dobrze...

Jaruga tymczasem, gdy tylko drzewiec znieruchomiał, przesunęła się ostrożnie na jego kark i położyła rękę na ramieniu Radiena. Niemal natychmiast usłyszała w myślach jego głos:

- Dzięki - powiedział. - Myślę, że będę potrzebował trochę energii.

- Jestem pełna podziwu - odparła Jaruga.

- No już, już - przerwał Radien. - Gdyby nie to święte miejsce, nigdy by nam się nie udało nawiązać połączenia - dodał.

- Jakie tam święte... - mruknęła staruszka. - Od pięciuset lat nikt się tu nie modlił.

- Wiesz, co mam na myśli. To tutaj otwierają się połączenia - wyjaśnił. - Jak nad Inari.

- Tak - przyznała. - Dobra, powiedz lepiej, co tam ciekawego widzisz.

- Nie uwierzysz - odparł noaide. - Lepiej sama zobacz - dodał, po czym Jaruga poczuła nagły dreszcz, który

przeszedł wzdłuż karku.

- To boli! - poskarżyła się Jaruga, gdy Radien Pardne wdarł się w jej świadomość. - Mógłbyś uprzedzić chociaż.

- Nie marudź - odparł noaide.

Świat wokół Jarugi zamigotał i zniknął. Otoczyła ją głucha ciemność. Miała tylko nadzieję, że jej ciało nie uderzyło zbyt mocno o ziemię, gdy je opuściła. W końcu miała już swoje lata i kości nie zrastały się już tak chętnie jak kiedyś.

- No i co? - mruknęła niezadowolona. Ledwie słyszała swój własny głos.

- Czekaj - odparł Radien. Jego głos brzmiał z kolei jak grom. Odbijał się echem wkoło Jarugi, jakby noaide krzychał przez stalową tubę prosto do ciasnej, głębokiej studni.

- Nie krzycz tak!

- Przepraszam - szepnął gromem Radien. - Nie chciałem. Jeszcze moment.

Jaruga trwała w bezruchu. Czuła się lekko i wesoło, jakby nagle znów miała piętnaście lat i zbierała z babką zioła na łące nad Bugiem. Nic dziwnego, jej stare ciało było dość sporym obciążeniem. Ostatecznie nawet istoty, które potrafią oddzielić świadomość od ciała, nawet noaidowie, musieli przecież coś jeść i pić, prawda? Przynajmniej ona musiała. Co do Radiana nie była tego taka pewna. Kruki

również czasem są podejrzane, ale jak sobie przypominała neonoaide Wszechrusi, tego Fiodora Rodionowa, to jej wątpliwości nieco malały. Olbrzymi, kudłaty chłop miał chyba co najmniej dwa i pół metra wzrostu, przynajmniej kiedy ostatnio go widziała. Ile ważył, trudno stwierdzić, ale z pewnością nie była to liczba dwucyfrowa. I co? Taka ogromna kupa mięśni miałyby nic nie jeść i nie pić? Sama kiedyś widziała, jak Rodionow doił samogon prosto z gąsiorka. Nie... Inni noaidowie też mieli ciała. Byli co najwyżej nieco młodszy od niej i dlatego nie mieli jeszcze takich problemów ze swoimi ciałami. W końcu pięćset dwadzieścia jeden lat to już całkiem poważny wiek. Radien był pewnie starszy, ale nigdy nie śmiała go zapytać. Z tego, co wiedziała, wciąż miał prawo jazdy i rozbijał się po Finlandii tymi swoimi amerykańskimi wozami. Jego ciało musiało być więc w całkiem dobrej formie. Wyglądał też całkiem, całkiem... Rozmarzyła się.

- Dobra, mam cię - odezwało się echo głosu Radiena.

Coś trzasnęło niczym odpalana zapalka i ciemność rozsunała się na boki. Świat wyrósł wokół Jarugi, jakby ktoś ścigał powoli czarną płachtę ze szklanej kuli, która zdawała się ją otaczać. Jaruga wciąż nie czuła swojego ciała, ale wiedziała, gdzie się znajduje.

- To nasz wojownik? - zapytała w myślach, nie słysząc własnego głosu. - Jesteśmy w nim?

- Tak - odparł Radien, również bezgłośnie. - On widzi coś nieco innego. Skorygowałem odbiór zmysłowy,

ściągnąć zasłonę jego pamięci. On myśli, że ta kobieta, to ta jego ukochana z dawnych czasów.

- Jaka kobieta? - zapytała Jaruga.

Zasłona powoli odkrywała przed nią świat. Z początku widziała tylko światło, bezpośredni, oślepiający blask. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to szerokie, kryształowe lampy, wiszące pod sufitem pomieszczenia, w którym się znajdowała. Gdy w miarę integrowania się świadomości Jarugi ze zmysłami Ułana-Udego zasłona rozsunała się jeszcze bardziej, staruszka dostrzegła krzesła o złoconych, fantazyjnie rzeźbionych nogach oraz elegancko ubranych ludzi, mężczyzn i kobiety, którzy siedzieli przy stolikach zasłanych białymi obrusami. Czerwone, niebieskie, zielone, miejscami również białe suknie kobiet kontrastowały gustownie z głęboką czernią męskich fraków i białą kołnierzyków i mankietów koszul. Kelnerzy w czarnych kamizelkach i zakasanych precyzyjnie rękawach uwijali się pomiędzy stolikami. W rękach trzymali zastawione tace. Niektórzy nieśli po prostu białe, idealnie wyprasowane kawałki materiału, przerzucone przez przegub ramienia. Inni pochylali się sztywno nad stolikami, przyjmując zamówienia albo tłumacząc coś uprzejmie swoim klientom.

Zasłona zsunęła się do końca i przed Jarugą pojawił się kwadratowy stół, zasłany jak pozostałe, ale ustawiony na niewielkim podwyższeniu, pod rzeźbioną kolumną podtrzymującą strop sali. Przy stole siedziało dwoje ludzi. Kobieta była drobna, ubrana w długą, białą suknię

o fantazyjnych zagięciach na piersi i odsłoniętych ramionach. Na jej lewym ramieniu błyszczała srebrna bransoleta. Gęste, kręcone, kruczoczarne włosy spływały na ramiona i za oparcie złotego krzesła. Czerwone trzewiki wyglądały nieśmiało spod falbaniastego zakończenia sukni. Kobieta siedziała w rozluźnionej pozycji, z nogą założoną na nogę i z podpartym na dłoni podbródkiem spoglądała z zaciekawieniem na swojego towarzysza. Mężczyzna był od niej niewiele starszy. Nosił idealnie skrojony, grafitowy garnitur, białą koszulę i czerwony fular, zawiązany pod szyją. Jasne, krótkie loki opadały mu nieco na czoło. Odgarniał je co jakiś czas spokojnym ruchem długiej, smukłej dłoni. Spojrzenie jego orzechowych oczu było skupione. Kącik wąskich ust mężczyzny unosił się w delikatnym uśmiechu.

- Ta czarna - powiedział Radien.

- No, widzę - mruknęła Jaruga.

Para przy stoliku nie rozmawiała. Siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w siebie z zaciekawieniem jak para dawnych kochanków, która spotkała się po latach.

- Pani Maria Wisnowska - zaczął w końcu mężczyzna, odwracając na moment wzrok. - Jestem wielce szczęśliwy, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Jay'u - odparła uprzejmie Maria, bacznie obserwując twarz rozmówcy.

- Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy? - zapytał po chwili.

- Możliwe - powiedziała niemal szeptem. Spojrzała na towarzysza i dotknęła bransolety. - Dziękuję za ten prezent. Jest naprawdę piękna.

- Pasuje do sukni - odparł Jay.

W tym momencie do stolika zbliżył się kelner. Czarny frak przesłonił Jay'a. Ułan-Ude najwyraźniej nie był nim zainteresowany, bo wciąż wpatrywał się w czarnowłosą piękność i nie zamierzał się przesunąć.

- Nie możesz go...? - zapytała Jaruga.

- Pewnie bym mógł, ale zostawmy mu sterowanie - odparł Radien. - Nie jestem jeszcze pewien, gdzie się znajdujemy i jak otoczenie zareaguje na taką interwencję z zaświatów.

- A jak ma zareagować?

- No właśnie nie wiem.

Maria skończyła przeglądanie karty dań i odłożyła ją z niesmakiem. Plecy kelnera zgięły się w głębszym ukłonie.

- Co mogę dla pani podać? - zapytał kelner.

- Och, nie wiem, nie wiem... - odparła Maria. Przybrała zmartwiony wyraz twarzy i spojrzała na kelnera. - Może mi pan coś doradzi.

- Naturalnie. Czy miała by pani ochotę na danie mięsne, danie jarskie...

- Jarskie - odparła szybko Maria. - Muszę dbać o linię. Nie wiem, nie wiem... - zawahała się. Gwałtownie zadarła głowę i spojrzała na kelnera z uwodzicielskim uśmiechem. - Proszę mnie zaskoczyć - powiedziała.

- Naturalnie, proszę pani - odparł kelner. - Nie będzie pani zawiedziona.

- Wyśmienicie! - Wisnowska klasnęła w dłonie.

Kelner skinął głową i obrócił się w lewo.

- A pan co by sobie życzył? - zapytał w kierunku niewidocznym dla Jarugi i Radiana.

- Karkówkę - odparł mężczyzna. - Dobrze wysmażoną, z ziemniakami i ogórkami.

- Ale... - zawahał się kelner. - Nie mamy tego w karcie, proszę pana, czy mógłbym zaproponować szanownemu panu coś innego? Osobiście polecam pieczeń z jagnięcia marynowaną w...

- Niech będzie - przerwał Jay i machnął ręką. - I wino dla pani Wisnowskiej i dla mnie. Czerwone?

Maria skinęła ochoczo głową, wzbudzając fale czarnych loków. Grzywka opadła na twarz, przesłaniając figlarnie jedno oko.

- Czerwone - potwierdził jej towarzysz.

Kelner skłonił się i odszedł w usługowej pozie, lawirując pomiędzy kolegami, pochylonymi nad stolikami, czy innymi, którzy pędzili z tacami pełnymi parujących dań.

- Wracając do tematu - podjął mężczyzna - czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy? Z niemałą przyjemnością muszę stwierdzić, że mam wrażenie, że skądś kojarzę pani piękne oczy.

- Och, drogi panie! - zawołała Maria. - Wszak jestem aktorką. Połowa tej sali - zatoczyła pochyloną dłońią okrąg nad głową - zapewne kojarzy moją twarz. Jeśli nie więcej.

Wie pan, ostatnio moja kariera ma się coraz lepiej, coraz lepiej... Także prawdopodobnie pan również widział mnie na deskach któregoś ze wspaniałych teatrów Radovii, panie Jay'u.

- Nie chodzę do teatru - odparł chłodno.

- Jakże to?

- Po prostu. - Wzruszył ramionami. - Preferuję inne rodzaje rozrywek.

Maria spojrzała na niego niemal zszokowana.

- Niebawem - wydusiła w końcu. - Jest pan doprawdy intrygujący.

Kelner przyniósł wino. Tym razem stanął tak, że przesłonił Ułanowi-Udemu Marię. Tatar zareagował natychmiast. Stanął niemal ramię w ramię z obsługującym stolik. Radien syknął ostrzegawczo, gdy dłoń z butelką wina zachwiała się lekko.

- Za blisko - powiedziała Jaruga.

Tatar jednak na to nie zważał. Schylił się, chcąc precyzyjnie się pod wyciągniętym ramieniem kelnera, żeby choć odrobinę zbliżyć się do Marii. Musiał jednak zawadzić o czarny smoking, bo kelner szarpnął gwałtownie ręką. Wino pociekło strumieniem po krawędzi kieliszka, następnie zaczerwieniło biały obrus, aż w końcu, dzięki niewątpliwej pomocy siły rozpędu nadanej ręką kelnera, chlusnęło prosto na białą suknię aktorki. Kelner odskoczył gwałtownie. Jay zerwał się z krzesła.

- Panie, co pan!?! - zawołał.

Gwar na sali umilkł jak ucięty nożem. Zaskoczony kelner nie był w stanie wydusić słowa. Szarpał się z białą szmatką, przewieszoną przez ramię, jednocześnie usiłując nie wylać reszty wina z butelki. Maria natomiast siedziała nieruchomo, wciąż z takim samym uroczym uśmiechem na ustach. Czerwona plama rozszerzała się, zajmując coraz większą część jej fantazyjnie skrojonej, białej sukni.

A Maria nic sobie z tego nie robiła. Siedziała spokojnie, z rękami na kolanach i wpatrywała się prosto w Tatara.

- Co się dzieje? - zapytała Jaruga.

Jay w bardzo dosadnych słowach wymyślał kelnerowi i całej restauracji. Oczy wszystkich wykwinionych gości chłoneły niezwykłą scenę. Mały skandalik od czasu do czasu jest przecież potrzebny. Inaczej życie klasy wyższej byłoby dramatycznie nudne.

Do stolika przybiegli kolejni kelnerzy. Każdy starał się jakoś pomóc, załagodzić sytuację, a jednocześnie uratować życie koledze, wszystko w usługowych ukłonach i z prostymi plecami. Po chwili z zaplecza przybiegł niski jegomość o zakręconych fikuśnie wąsach i kilku włosach zaczesanych na bok na łysej czaszce. Błyskawicznie ocenił sytuację. Warknął kilka słów do kelnerów, którzy momentalnie rozbiegli się po sali. Nieszczęsnemu sprawcy wypadku wymierzył sowity policzek, a następnie wskazał palcem na zaplecze. Zanim winny odszedł z podkulonym ogonem, kierownik zabrał mu jeszcze szmatkę z ramienia.

- Pani pozwoli - powiedział, nachylając się w stronę Marii. Jego okrągła twarz przybrała prawdziwie zatroskany

wyraz.

Maria natomiast wciąż siedziała nieruchomo. Jednak gdy kierownik pochylił się, żeby wytrzeć wino z jej sukni, uniosła sztywno rękę. Kierownik zamarł. Maria uśmiechnęła się jeszcze szerzej i dotknęła bransolety na ramieniu. Potem wyciągnęła tę samą rękę w kierunku Ułana-Udego.

- O kurka - zaklął jeszcze Radien.

Dłoń Marii zatrzymała się w powietrzu, jakby aktorka zawahała się na moment, po czym wystrzeliła w powietrze i chwyciła Tatara za szyję. Szarpnęła nim gwałtownie. Czarna kotara znów opadła na Jarugę.

- Odłącz nas! - zdążył jeszcze krzyknąć Radien Pardne, po czym wszystko zgasło.

Jaruga szarpnęła się i skoczyła z wrzaskiem na równe nogi.

- Co się dzieje? - zapytał powolnym głosem Grabin.

Staruszka dyszała ciężko. Dokoła panowała głęboka noc. Księżyc w pełni przeglądał się w gładkiej powierzchni Wieprza. Świerszcze grały w zaroślach. W lesie krzyczały co jakiś czas nocne ptaki.

- Gdzie jest Radien? - zapytała, uspokoiwszy nieco oddech.

- Zniknął - odparł Grabin.

- Jak to zniknął? Gdzie on jest? Przecież miałes go na ramieniu! Miałes go trzymać! - zawołała, obrzucając drzewca wrogim spojrzeniem.

- I trzymałem - odparł Grabin. - I panią też trzymałem, jak weszłaś w niego. Wyszedłem sobie w nocy z rzeki i usiadłem z powrotem na łące, co by nocnych zwierząt przy wodopoju nie straszyć. I tak sobie siedzę i siedzę, i nagle patrzę, a pana Radiana nie ma. A zaraz potem wy, pani, spadacie na ziemię. Wybaczcie, że nie zdążyłem was złapać. Zgrabiały mi trochę stawy. Zimne jeszcze noce są, a siedzieliście tam dość długo - dodał.

- Ile czasu minęło? - zapytała Jaruga całkiem już przytomnie.

- Jeszcze nie odezwały się pierwsze ptaki - odparł Grabin. - Tu niedaleko mieszka drozd. - Wskazał konarem na pobliską ścianę drzew. - Powinien się niebawem odezwać.

- No tak, nie masz zegarka - powiedziała Jaruga. - A wydawało mi się, że jesteśmy tam dziesięć minut - zastanowiła się przez moment. - A kolegi Tatara nie widziałeś?

Grabin pokręcił powoli głową.

- Ciekawe - mruknęła Jaruga.

- Co takiego?

- Powinien wrócić z nami. A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Z wami?

- Tak, z Radianem i ze mną...

- Pan Radian zniknął - powiedział Grabin powoli. - Nie wrócił tu, tak jak pani. Po prostu zniknął, podobnie jak wcześniej tatarski wojownik.

Jaruga zapatrzyła się w tarczę księżyca, błyszczącą na tle czarnego nieba usianego diamentami gwiazd. Ta dziewczyna chyba ich widziała. Nie... Ona na pewno ich widziała. Chociaż może nie ich, ale na pewno Ułana-Udego. Jak to możliwe? Może on był saivą również w tamtym świecie? Ale co to za świat? Lokal, w którym się znaleźli, wyglądał jak restauracja w każdym większym ziemskim mieście. Jak mówił ten mężczyzna? Maria Wisnowska? Nie brzmi jak nazwisko z innego świata.

Ale kto powiedział, że obywatele równoległych światów nie mogą nosić słowiańsko brzmiących nazwisk? Ostatecznie liczba historii występujących we wszechświecie jest przecież ograniczona. Wszystkie przypadki to tylko wariacja kilku podstawowych kryteriów wynikających z inteligentnej osobowości. Ale wciąż jest to dziwne. A może to jednak był Eden? Żaden inny świat tylko jakies zakamarki Edenu? Skąd właściwie Radien mógł wiedzieć, że to był jakiś równoległy świat?

Pytania mnożyły się w jej głowie i przytłaczały ją coraz bardziej. Jeśli na świecie istniała jedna rzecz, która denerwowała Jarugę najbardziej, to były to pytania, na które nikt nie udzielił odpowiedzi. W szczególności dotyczyło to pytań zadawanych przez nią. Myśli zaczynały krążyć w jej głowie, usiłując dopasować jakiegokolwiek podpowiedzi do poszczególnych zagadnień. Radien sobie poradzi, tego była pewna. Kto jak kto, ale on da sobie radę. Ona nie będzie w stanie skontaktować się z nim, bez względu na to, gdzie teraz przebywa. Jest zapewne

wyczerpany. Nie będzie mógł ponownie otworzyć tunelu transpsychicznego, żeby chociaż z nią porozmawiać, zakładając oczywiście, że wciąż jest gdzieś na Ziemi. Ona też czuła, że podróż do Ułana-Udego bardzo ją zmęczyła i sama wolała nie podejmować komunikacji. Jeszcze gdzieś utkwii po drodze i będzie problem. Do przesyłania świadomości na duże odległości noaidowie potrzebowali dużo sił i energii. Przy zmęczonym umyśle powstaje istotne ryzyko braku powrotu do własnego ciała i pozostania gdzieś w przestrzeni psychicznej, w znieawidzonej Krainie Snów.

- Kojarzysz osobę o nazwisku Wisnowska? - zapytała Jaruga, bez większej nadziei. - Maria Wisnowska?

Grabin poruszył się, skrzypiąc konarami. Na łąkę spłynęło kilka urwanych liści.

- Tak - zagrzemiał głos drzewca ponad głową staruszki.

- Co?

- Znam to nazwisko - odparł. - Była to aktorka. Z tego, co pamiętam, grała we Lwowie. Pochodziła z Warszawy, do której po kilku latach powróciła i tam dalej była aktorką. Tam ją ktoś zabił.

Jaruga zadarła głowę i zlustrowała pociągłą, pomarszczoną twarz drzewca.

- A skąd ty to wiesz? - zapytała podejrzliwie. - Nie zmyślasz mi aby? To poważna sprawa.

- Pani, ja raczej nie żartuję - odparł Grabin. - Nie umiem. Chyba.

- Drewniak jesteś. Wiem. - Jaruga machnęła ręką. - To skąd niby masz takie informacje, co?

- W czasach moich młodzięcych - zaczął drzewiec - gdy dopiero budziła się moja świadomość jako odrębnej istoty, odrębnej od wielkiego ducha lasu, rośłem w lesie Jaworowskim.

- Gdzie?

- Na Roztoczu - wyjaśnił Grabin. - Tylko trochę bardziej na południowy wschód. Niedaleko Lwowa.

- Ach, tak.

- Tak. - Grabin kiwnął powoli głową. Zaszumiały drobne listki w kształcie serc. - Nie pamiętam, który to był rok. Dawno. Chyba z półtora wieku będzie - zastanowił się i zamilkł.

Jaruga zbyt dobrze znała drzewca, żeby pozwolić mu się zamyślić. Ponownie mógł się odezwać za tydzień. Albo za miesiąc.

- Dobrze - powiedziała. - I co dalej? Maria Wisnowska? Co ona miała wspólnego z tym lasem?

Grabin otrząsnął się i spojrzał na nią jakby ze zdziwieniem.

- Las Jaworowski był popularnym miejscem wycieczek lwowskich mieszczan - powiedział. - Przyjeżdżali na kilka dni i spacerowali po lesie, urządzali pikniki, rozmawiali, kochali się, kłócili się... - wyliczał.

- Dobra, dobra - przerwała mu Jaruga. - Rozumiem, że Wisnowska tam przyjeżdżała ze Lwowa, tak? I co?

- Kochała się z mężczyznami - odparł drzewiec. - Oraz rozmawiała. Również głównie z mężczyznami.

Jaruga westchnęła.

- A o czym z nimi rozmawiała?

- O śmierci - odparł. - Najczęściej o śmierci. O truciznach, o sposobach odebrania sobie życia, o pogrzebie, w tym o swoim własnym. Czasem również o teatrze. A potem z reguły się kochali. Czasem w wiele osób. Widziałem to. Pamiętam. Wybierali stałe miejsce, przy moim młodzieńczym pniu. Nawet teraz czuję to ciśnienie soków buzujących od tego ich zwierzęcego podniecenia... - Drzewiec zatrzęsł się nagle, szumiąc liśćmi.

- No, no... - Uśmiechnęła się Jaruga. - Spokojnie, Grabinku, nie zapalaj się tak, bo będzie pożar. I co było potem? Ona wyjechała do Warszawy, tak?

- Tak - odparł Grabin, gdy opanował drzenie gałęzi.

- I co potem?

- Ktoś ją zabił. Ale to wiem tylko z opowieści ubożąt. Pytałem ich czasem, tych, co bywali w wielu miejscach. Pytałem ich o ludzi, których pamiętałem. Chciałem słuchać ich historii, przeżywać ich losy i żyć ich życiem. Chciałem mieć coś z tego, co jest dane ludziom, chciałem się oddzielić w jakiś sposób od wszechogarniającej świadomości lasu.

- No i ci się udało - przyznała Jaruga.

- Kilku innym też się udało. Nie byłem sam. Ale oni nie przetrwali tego, co działo się na świecie potem. Ale to było potem... - Drzewiec znów popadał w zadumę.

- Wiem. Zginęli na wojnie. Spłonęli w pożarach, zmiażdżeni pod gąsienicami czołgów... - wyliczała Jaruga. - Jesteś sam na Roztoczu. Zostałeś sam. Współczuję, ale

trzeba żyć. Ważne, że ty jesteś. Ważne, że jest las. Życie daje tyle możliwości.

- Tak... - mruknął Grabin. - To ja już pójdę - powiedział po chwili.

- Poczekaj - zawołała Jaruga. - Opowiedz mi więcej o Wisnowskiej. Co wiesz od ubożąt?

Grabin zatrzymał się w lesie, za pierwszą linią drzew.

- Niewiele - powiedział. - W Warszawie była aktorką. Weszła na dużo wyższy poziom niż we Lwowie. Grała na wielu scenach. Była kontrowersyjna, ale uwielbiana przez ludność Warszawy. Nie do końca rozumiem, co to znaczy, ale była bezpruderyjna w pruderyjnym społeczeństwie, tak mówiły ubożęta. Podobno spotykała się z wieloma mężczyznami. Grała ich uczuciami, aż w końcu jeden z nich ją zabił.

- Z zazdrości?

- Podobno sama go o to poprosiła - odparł. - Następnie miał popełnić samobójstwo, ten mężczyzna, ale tego nie zrobił. Mówili, że zabrakło mu odwagi. Był Rosjaninem. Żołnierzem. Nazywał się Bartenjew. Aleksander Bartenjew, pamiętam to doskonale. Mam dobrą pamięć do ludzkich nazwisk. Ludzkie nazwiska są ludzkimi historiami, a tych mógłbym słuchać godzinami...

- Skazali go? Tego żołnierza.

- Tak. Ale ułaskawił go ponoć sam car. Potem on wrócił do Warszawy, dużo później i umarł tam. Więcej nie wiem - zakończył Grabin i westchnął ciężko. - A chciałbym.

- Dziękuję ci - powiedziała Jaruga. - Idź teraz, dokąd chcesz. Ja wyjadę na jakiś czas.

Liście zaszeleściły w gałęziach drzew na skraju lasu.

- Pani Jarugo?

- Słucham? - zapytała staruszka, która w tym czasie zdążyła już podejść do swoich sani i szykowałą uprzęże. Zające spały nieopodal, skryte w nadrzecznych zaroślach.

- Jak pani się czegoś dowie, proszę mi powiedzieć, jak ta historia się skończyła, dobrze?

- Dobrze, Grabinie. Powiem.

Drzewiec odszedł. Leśny szum powoli ucichł. Gdzieś w koronach drzew zaśpiewał pierwszy drozd. Po kilku minutach dołączył do niego rudzik z drugiego końca polany. Jaruga ułożyła poślanie na saniach i pogłaskała zające, które spały jeszcze smacznie.

- Ruszamy za trzy godziny - powiedziała i otuliła się kocem. - Pośpijcie jeszcze chwilkę. Musicie mieć siłę. Długa droga przed nami.

- Może mógłbym zaoferować poczęstunek na rachunek firmy - próbował jeszcze kierownik sali, wywlekając na zewnątrz swój lęk prosto pod nogi klientów, którzy właśnie zamierzali wyjść z restauracji w aurze skandalu.

- Dość! - warknął Jay, odtrącając kelnera, który usiłował, po raz siódmy już chyba w ciągu ostatniego kwadransa, wytrzeć suknię Wisnowskiej. Podał Marii

wyciągnięte ramię. - Proszę - powiedział. - Odwiozę panią do domu. - Spojrzał na aktorkę z góry, z pewnością siebie, która znikła natychmiast, gdy Maria oddała spojrzenie z uroczym uśmiechem.

- Oczywiście! - zawołała niemal radośnie. - Niech mnie pan stąd zabierze, proszę, proszę... - powtarzała z ekscytacją. Wstała z krzesła, ignorując jego usłużnie wyciągnięte ramię. - Chodźmy!

Jay spojrzał za nią zdezorientowany. Zawiesił na moment wzrok na zdruzgotanym kelnerze oraz kierowniku sali, który właśnie popadł w kompletną apatię, wycierał machinalnie serwetką niewidzialną plamę zawieszoną w powietrzu przed jego twarzą. Jay poprawił pistolet zatknięty za pasek pod marynarką, po czym, wśród gwaru rosnącego niczym rój rozemocjonowanych pszczół, ruszył szybkim krokiem za aktorką. Wypadł za nią na ulicę. Rozglądała się, zapewne w poszukiwaniu dorożki. Obróciła się. Uchwycił jej wzrok. Uśmiechnęła się.

- Chyba będę musiała się przebrać, proszę pana - zachichotała, prezentując poplamiony biust.

Jay odchrząknął. Dostrzegł to, co Maria zapewne chciała, żeby dostrzegł, pod czerwoną plamą wina, ogrodzone białym materiałem zwiewnej sukienki.

- Zaraz znajdę Baruela, mojego sekretarza - wykrztusił po chwili.

Ulica była opustoszała. Przed lokalem, jak na złość, akurat nie stała żadna dorożka, oczekująca z reguły na

wytaczających się z restauracji. Najwyraźniej jeszcze za wcześnie.

Maria złapała go za obie dłonie.

- Ależ nie trzeba, proszę pana! - zawołała. - Taka piękna noc, niech mnie pan odprowadzi na piechotę!

- Eee... - jęknął. - Z wielką chęcią, pani Mario - powiedział, zbierając myśli. - Ale to będą ze dwa kilometry. A pani - zniżył wzrok - pani buty... Czy nie są zbyt niewygodne na taką wycieczkę?

Maria również spojrzała w dół. Patrzyła przez chwilę. We dwoje wyglądali jak niby para nastolatków, która nie potrafi przełamać bariery wstydu, mimo że bardzo chce. Nagle, jakby wyrwana z odrętwienia, Maria poderwała jedną nogę do góry, wspierając się o pierś Jay'a. Ściągnęła jeden z butów i cisnęła go w mrok ulicy.

- Ależ pani Mario!

Dziewczyna nie przejęła się jego cichym protestem. Zmieniła nogę i w mrok, w sam środek rozsyczonej szumem gazowych latarni ciemności, poleciał drugi rubinowy bucik.

- Ha! - zawołała Maria z radością. Podskoczyła kilka razy. Spojrzała jeszcze w kierunku, w którym poleciały buty, po czym odwróciła się i pobiegła bosą chodnikiem.

- Co do cho... - mruknął Jay.

- Padre? - odezwał się usłużny głos na wysokości jego piersi.

Jay oderwał wzrok od uciekającej aktorki, białego ducha, chłonną ciepłe światło ulicznych latarni. Baruelo

spoglądał na niego spokojnym wzrokiem, jak zwykle opanowany.

- Właściciel restauracji pragnie panu przekazać, że... - zaczął.

- Nie teraz - przerwał mu Jay. Chaos myśli goniących po jego głowie wyłonił decyzję. - Wracaj do Casy. Ja wrócę późno - powiedział, po czym ruszył biegiem za Marią, która wydawała się już jedynie białym okruszkiem na ulicy o kolorze kawy z mlekiem.

Baruelo kiwnął głową.

- Naturalnie - powiedział. - Naturalnie - westchnął, po czym wrócił do restauracji.

Gdy otworzył wahadłowe drzwi, gwar podnieconych głosów wylał się na ulicę wraz z jaskrawym światłem kryształowych żyrandoli. Zaraz jednak światło i dźwięk uciał nóż odrzwi i wszystko wróciło do normy. Tylko oddalający się stukot obcasów stanowił echo niedawnych wydarzeń, lecz i on wkrótce ucichł.

XII. PRZENIESIENIE

Alfonso del Rey czuł ból. Rozsadzał mu czaszkę. Wdzierał się wewnętrznymi kanalikami jego ciała we wszystkie kończyny i uchodził z niego rozdzierającym krzykiem.

- Zakneblujcie go - rzucił pułkownik.

Żołnierze posłusznie wepchnęli brudną szmatę w usta ciennika. Spiczaste zęby wgryzły się w materiał. Ciennik siedział wyprostowany na prostym, drewnianym krześle. Skórzasty kapelusz, stanowiący czubek jego brunatnej głowy, spowijała siateczka z metalowego drutu. Wszystkie druciki schodziły się za jego głową w jeden przewód, owinięty brązowym sznurkiem, który płożąc po skalistym podłożu, łączył się ze szkieletową konstrukcją nad zgromadzonymi w jaskini ludźmi. Oraz nad skrzynią.

- Przygotować się do przytwierdzenia mapy - powiedziała skrzynia.

Jeden z żołnierzy przygotował dwa metalowe haki. Upewnił się, że od połowy długości zaczepy opadają po

spuszczeniu zasuw, po czym przytwierdził je do pozycji wyjściowej. Nastąpiło metaliczne kliknięcie, ledwie słyszalne przez stłumione jęki del Reya niesione po jaskini upiornym echem. W tym samym czasie drugi z żołnierzy odczepił od stalowej konstrukcji linkę. Wyciągnął z za pasa czarną płachtę, którą przewiązał niczym flagę do fału. Spojrzał na towarzysza, ten skinął głową. Żołnierz zaczął energicznie wciągać płachtę w kierunku szczytu jaskini.

- Przytwierdzić mapę - odezwała się skrzynia.

Żołnierz podszedł do kretociągu i po chwili wrócił, ściskając pod pachą skórzaną tubę. Ciennik szarpnął się mocniej na krześle, ale skrupowane za plecami ręce oraz metalowa obręcz, zaciśnięta wokół szyi i kostek, nie pozwalała mu wstać ani spaść z krzesła. Żołnierz spojrzał na pułkownika. Najwyraźniej zobaczył w bezosobowym, drewnianym obliczu Stirlinga jakiś znak albo może nie dostrzegł niczego, co mógłby poczytać za sprzeciw, bo sięgnął do wnętrza tuby ręką spowitą w długą do łokcia gumową rękawicę.

Nie wyciągając mapy, podszedł do stalowej konstrukcji. Czarna płachta była już niemal na szczycie jaskini, gdzie na zewnątrz wychodziła końcówka bezużytecznej już anteny, a któredyś wpadały jedyne dostające się do jaskini promienie słoneczne, gdy całe wnętrze rozblęskło gwałtownym blaskiem. Tuż obok stalowej anteny ze skalnego podłoża wystrzelił wąski, pionowy słup ognia, nie wyższy od pomocników pułkownika.

- Ach, pan mecenas - powiedział Stirling. - Witamy, witamy. Właśnie mieliśmy zaczynać. Zdążył pan idealnie w porę.

- Proszę wybaczyć to niewielkie spóźnienie, ale aparat odbiorczy u Wincla został nieco przekalibrowany - odezwał się płomień głosem Elliota Messa.

- Nie ma najmniejszego problemu, panie mecenasie - odparł uprzejmie Stirling, unosząc się na stalowych odnóżach. Jednym z nich skinął żołnierzowi z mapą, a ten zamknął skórzaną tubę. - Chwileczkę jeszcze. Proszę kontynuować zaciemnienie - powiedział do drugiego z żołnierzy, który chwilowo wstrzymał się z wykonywaniem swojego zadania.

- Swoją drogą, nie sądziłem, że rzeczywiście udało się panu znaleźć niezniszczoną komorę pierwotną - powiedział Mess. - Z naszych danych wynikało, że za wyjątkiem tej pod Radovią, w Imperium nie ma innych zdatnych do użytku.

- A jednak - odparł pułkownik. - Nasi tunelowcy przeprowadzają regularne zwiady po Tunelach. Chociaż przyznaję, że namiary na tę jaskinię dostaliśmy od Elfów.

- Od kogo?

- Od Elfów - powtórzył pułkownik.

- Tych dzikusów z puszczy?

- Dokładnie tych. Tych samych również, którzy za wszelką cenę chcą się z tej puszczy wydostać i nieszczęśliwie im się, że Edykt o Równouprawnieniu nie objął ich swoim zakresem.

- Może dlatego, że Cesarz, podobnie jak zdecydowana większość racjonalnie myślących hominidów, nie wierzy w ich istnienie? - zaproponował Mess.

- Możliwe - przyznał pułkownik. - Żeby uzyskać ich pomoc, musiałem im złożyć pewną obietnicę... A do jej realizacji mapa będzie niezbędna.

Płomień syczał i delikatnie falował na lekkich podmuchach wiatru, wpadających do jaskini przez otwór w sklepieniu. Del Rey przestał się rzucać na krzesło i wisiał bezwładnie w krępujących go więzach, jakby stracił przytomność.

- Moment - powiedział płomień. - Proszę przesłonić oczy.

Żołnierze posłusznie zniżyli wzrok. Stirling obrócił się, klekocząc odnóżami po skale. Gwałtowny rozbłysk rozświetlił salę. Rozległ się trzask, jakby pękło jakieś olbrzymie polano, przesilone w ognisku.

- Dziękuję.

Pułkownik odwrócił się i zobaczył postać wysokiego mężczyzny o czarnych, elegancko zaczesanych włosach, który stał obok stalowej konstrukcji, dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą ze skały strzelał wąski, pionowy płomień.

- Nigdy mnie nie przestaniecie fascynować - powiedział Stirling.

- W jakim sensie, jeśli wolno zapytać?

Elliot Mess otrzepywał właśnie smoking z niewidocznego pyłku.

- Najbardziej ogólnym, jaki można sobie wyobrazić - odparł pułkownik. - Po co panu ta mapa, panie mecenasie? Przecież piekielnicy mają już bardzo ciekawy i bardzo... efektowny, że tak to ujmę, sposób transportu osobistego. Potrzebujecie jeszcze możliwości sterowania Tunelami?

- Pan wie przecież, że mapa jest jednorazowa, pułkowniku.

- Owszem - przyznał Stirling. - Ale oznacza to tylko tyle, że należy ten jeden dostępny raz wykorzystać jak najlepiej się da.

- Otóż to.

- Ale wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie - ciągnął pułkownik. - Piekielna Palestra potrzebuje Mapy Tuneli...

- Poprawka - przerwał piekielnik, unosząc dłoń. - Ja potrzebuję Mapy Tuneli. Piekielna Palestra rzeczywiście nie ma takiej potrzeby.

- Ale transakcja, przy której za naszą pomocą cesarscy przechwycili mapę, miała przecież nastąpić pomiędzy Mafią a Piekielną Palestą - zaczął Stirling.

- Jakież pozory są potrzebne - powiedział adwokat. Spojrzał na skrzynię z uśmiechem. Następnie powiódł wzrokiem po jaskini. Zatrzymał spojrzenie na znieruchomiałym cienniku. - Zresztą, kto jak kto, ale pan, panie pułkowniku, powinien o tym wiedzieć najlepiej.

Stirling nie odpowiedział. Lina wciągana przez jednego z żołnierzy zaskrzypiała przeciągle i jaskinia pogrążyła się w ciemnościach.

- Oczywiście - odezwał się Mess. - Nikt nie może zobaczyć mapy, bo nie zadziała. Tak mówi legenda.

- Oraz instrukcja spisana przez inżynierów w podaniach zamieszczonych w Księdze - uzupełnił pułkownik.

- A to jest coś innego niż legenda? Bajki o stworzeniu świata, bogu, boskich inżynierach...

- Oraz tunelach i ich mapie.

- W każdej bajce jest ziarnko prawdy - odparł piekielnik. Rozległy się kroki twardych butów. - Pan wybaczy, panie pułkowniku, ale czy ten ciennik jest tu konieczny? - zapytał, stając w ciemności obok skrzyni.

- Niestety tak - powiedział pułkownik. - Z jego pomocą, przy niewielkim wzmocnieniu jego siły psychicznej, będziemy mogli wydać mapie jak najwięcej instrukcji jednocześnie.

- No tak. Pan oczywiście nie ma nic przeciwko, jeśli w tym pomieszczeniu znajdzie się jeszcze jedna osoba, prawda?

- A któż to taki?

- Bardzo miła, młoda dama - odparł Mess z nutką ironii w głosie. - Klientka Palestry. Przy okazji zrealizujemy jedno zlecenie, wspomagając się mapą. Pani się zgubiła i potrzebuje wskazania drogi do domu.

- Ach tak... - mruknął pułkownik. - Nie wiedziałem, że Palestra działa w branży turystycznej.

- Klient nasz pan - odparł piekielnik.

- Naturalnie - westchnął Stirling. - Jeśli pan żąda ode mnie potwierdzenia, to naturalnie je pan uzyska. Zdaje się,

że nie mam wyboru, prawda?

- Ależ skąd, panie pułkowniku. - Adwokat odszedł w głąb jaskini. - Zawsze jest jakiś wybór. Możliwość dokonywania wyborów to istota inteligencji.

- Oczywiście - przyznał pułkownik. - Czyli ilu tuneli pan potrzebuje?

- Trzech - odpowiedział piekielnik. - Tak jak się umawialiśmy - dodał, zanim pułkownik zdążył zadać kolejne pytanie. - W zamian za udostępnienie mapy pańska armia zyska pełne wsparcie Palesty.

- Dobrze - odparł Stirling. - Przytwierdzić mapę! - rozkazał w ciemność. - A pana, panie mecenasie, proszę o przekazanie dokładnych instrukcji naszemu medium.

Mess nabrał powietrza, żeby zadać pytanie, ale zanim zdążył je wypowiedzieć, pułkownik kontynuował:

- Proszę złapać za kabel z tyłu jego głowy, mój człowiek pana zaprowadzi. Następnie proszę dokładnie wypowiedzieć w myślach instrukcje. Zostaną one przekazane do umysłu ciennika, a następnie wzmocnione i przekazane do mapy za pomocą anteny.

- Dobrze.

Mess poczuł na ramieniu dotyk ciężkiej, twardej dłoni, która pchnęła go nieznacznie w ciemność. Dał się poprowadzić i po chwili usłyszał pod sobą ciężki oddech ciennika. Wymacał w ciemności kabel. Objął go dłonią. Poczuł, jak przeszedł go dreszcz. Ciennik wyprężył się na krześle i jęknął przez knebel. Elliot Mess skupił myśli

i zaczął przekazywać instrukcje dla kierunków otwarcia Tuneli.

Pomimo wczesnej pory ulica Markotna była cicha i opuszczona. Jay nie dziwił się temu. Był to prawdopodobnie ten krótki moment pomiędzy gwarnym wieczorem, zaludniającym ulice Radovii powracającymi do domu pracownikami biur, rozmaitych sklepów, czy warsztatów, którzy za chwilę przeobrażali się w sunących w kierunku centrum klientów nocnych lokali i restauracji, a rozwrzeszczaną nocą, gdy zabawa osiągała stadium kulminacyjne, która nie mogąc się pomieścić za drzwiami knajpek, wylewała się tłumem podchmielonych imprezowiczów na ulice. Jay nie dziwił się temu. Dość już zdążył poznać Radovię, żeby rytm jej życia, urywany, bijący siłą i energią, czasami może nawet nieco spazmatyczny, nie zachwycał go ani nie irytował.

Jednak w tym momencie w ogóle się tym nie interesował. Nie obchodził go subtelny puls miasta, szum jego arterii, głucho uderzenia serca.

Teraz chwycił dłoń. A ona mu się nie wyrwała.

- Och, proszę pana - westchnęła Maria Wisnowska, zatrzymując się u jego boku. Jay czuł ciepło jej smukłego ciała. Ścisnął jej dłoń. Była delikatna i miękka, o silnych, smukłych palcach. Pocałował je.

- Piękna noc, nieprawdaż? - szepnął jej do ucha.

Musiał się w tym celu nachylić. Wyczuł kwietny zapach jej włosów. Poczował jej dłoń w okolicach swojego pasa. Poruszyła się. Jay drgnął.

- Och, tak - odpowiedziała szeptem, pełnym ulgi i czegoś, czego Jay nawet nie śmiał zidentyfikować. - Szkoda ją tracić, taką piękną i ciepłą, na przedwczesne wracanie do domu.

- Czy chciałaby pani pójść do innej restauracji? - zaproponował, odsuwając się od niej na metr i skłaniając się lekko, jak to robili tutejsi dżentelmeni. - A może na tańce lub do teatru?

Maria uśmiechnęła się w gazowym świetle latarni.

- Nie. Chyba nie - powiedziała, po czym spuściła wzrok, niczym niewinna dziewczynka. - Ja bym chciała...

- Tak? - dopytywał Jay. Czuł jak jakiś zwierz budzi się gdzieś w okolicach podbrzusza. - Co by pani chciała? - Zniżył głos i jakby chcąc jej w ten sposób dodać odwagi, podszedł do niej i ponownie ujął jej dłoń.

- Ja bym chciała... - zaczęła. - Z panem bym chciała. Chciałabym być z panem. Tej nocy - dodała i uniosła na niego wzrok.

Jay zadrżał. Jej pełne pożądania, pożerające go niemal spojrzenie nie pasowało do tonu głosu naiwnego dziewczęcia. Ten kontrast z początku sprawił, że zrobił ruch, jakby chciał się cofnąć, lecz szybko się powstrzymał. Podał jej ramię. Kobieta ujęła je z uśmiechem.

- Możemy się udać do mojego pałacu - zaproponował.

- Nie - szepnęła mu do ucha, wspinając się na palce, opierając się dłonią na jego barku. - Chcę teraz. - Jej ciepły oddech wyzwolił w nim drugą falę dreszczy.

- Tu - zaczął ochrypłym głosem. Odchrząknął. - Tu obok jest hotel - powiedział. - Znam właściciela. Ma u mnie dług.

- Wspaniale! - zakrzyknęła Maria, odskakując w bok. - Chodźmy - powiedziała, powracając do jego ramienia. Jej dłoń torowała sobie drogę w dół, w kierunku pasa. - Chodźmy.

W ciemnościach coś gruchnęło. Potem huknęło, aż w końcu po jaskini przetoczył się grom i głuchy warkot spadających kamieni.

- To już? - zapytał Elliot Mess, odrywając na moment rękę od przewodu łączącego go z ciennikiem. - Otwarte?

- Nie - odpowiedział pułkownik. - Jeszcze nie. To tylko tunele ustawiają się wokół groty, usiłują się do niej przebić - wyjaśnił. - Ale to dobrze - dodał. - To oznacza, że odbierają nasze sygnały.

- Przekazałem już wszystkie instrukcje - oświadczył piekielnik po chwili ciszy.

- Dobrze. Zapamiętał pan w jakiej kolejności wskazał na przejścia? - zapytał Stirling. - Jak rozumiem, potrzebuje pan trzech tuneli: jeden do aktualnego miejsca przebywania niejakiej Marii Wisnowskiej, drugi prowadzący do czegoś,

co uznaje pan za bramę pomiędzy światami, a trzeci do Piekła?

- Tak. Dokładnie do apartamentów Morbidiusa Monsa.

- Dziekana Piekielnej Palestry?

- Dokładnie do niego.

- Jeśli mogę zapytać...

- Wątpię - przerwał mu Mess. - Wątpię, żeby mógł pan zapytać. Teraz to ja pana o coś zapytam, pułkowniku.

Nastąpiła chwila milczenia. Alfonso del Rey jęknął stłumionym głosem.

- Słucham - powiedział w końcu pułkownik.

- Czego pan chce w zamian? - zapytał. - Oczywiście poza możliwością skorzystania z Tuneli dla swoich potrzeb. A swoją drogą, jak pan wykorzysta Tunele? Zabije pan Imperatora? Zrobi szturm Armii Powstańczej w samym centrum Sidry?

- Nic z tych rzeczy - odparł pułkownik. - Prowadzę powstanie, panie mecenasie, zbrojny ruch oporu przeciwko Cesarstwu. Chcemy przywrócić Graalii utraconą, zagrabioną jej niepodległość, przy okazji, w miarę możliwości, wspierać w tych dążeniach inne narody - tłumaczył. - Takie zrywy, tego typu operacje nie są wszczynane po to, żeby zakończyć je zwycięstwem. Naturalnie nie mam tu na myśli zwykłych żołnierzy, biednych chłopaków i dziewczyny wszystkich niemal gatunków, którzy w ten czy inny sposób doznali cierpienia ze strony Cesarstwa. Temu imperialni kirasjerzy zabili ojca, przez przypadek, bo wszedł nie tam, gdzie trzeba, ale

wciąż, zabili. Tamtemu zbuntowani żołdacy zgwałcili siostrę. Potem zostali schwytani przez żandarmerię i publicznie straceni. Ale to już nie było ważne. Rodzina kolejnego straciła majątek i połowę swoich członków w trakcie Pierwszej Wojny Okupacyjnej. Nie ważne, że nie mieli szans. Walczyli o honor. – Pułkownik zawiesił na moment głos. – Ci wszyscy, o których powiedziałem, zginęli już dawno. Ale Armia wciąż walczy. Wciąż przychodzą nowi, gotowi, żeby zginąć za ojczyznę, albo po prostu zrezygnowani, pozbawieni nadziei przez niefortunny splot okoliczności. Armia Podziemna zawsze chętnie ich przyjmie.

– I wykorzysta do swoich celów? – wtrącił Mess.

– To bardzo mocne stwierdzenie, panie mecenasie. A to nie o to chodzi. Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Celem nadrzędnym rzeczywiście jest walka z Cesarstwem, ale to nie oznacza, że jest to cel osiągalny. Przynajmniej w ciągu stu lat.

– Kolejnych stu lat?

– Możliwe, że i kolejnych. Chyba, że wydarzy się coś nieoczekiwanego.

– Na przykład?

– Panie mecenasie... Skąd takie pytanie? Czy nie zna pan majora Visa?

– Tak – odezwał się po chwili Mess. – Vis Maior. Sprawca wszechrzeczy. Naturalnie. Znamy się dość dobrze.

– Doskonale. Możemy zatem kontynuować?

- Liczy pan na przychyłność Palestry w pańskich dalszych działaniach?

- To chyba oczywiste. Taka była umowa.

- Naturalnie - przyznał adwokat. - Naturalnie.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia - powiedział pułkownik. - Czy możemy zatem zacząć?

- Proszę.

W ciemności jaskini coś trzasnęło metalicznie. Zgrzytnęły druty. Ciennik jęknął boleśnie. A następnie nieprzenikniony mrok pieczary wypełnił ogłuszający huk tłuczonych kamieni.

Jay wbiegł za Marią na piętro hotelu po skrzypiących, drewnianych schodach, wyslizganych przez tysiące stóp, spieszących przez dziesiątki lat w górę i w dół jak termyty w kopcu. Czuł rosnące podniecenie. Wrzało w nim jak gotująca się woda. Miał wrażenie, że jest bliski wybuchu. Spojrzał za dziewczyną. Biała suknia skrywała umiejętnie wdzięki, gdy patrzył na nią z dołu schodów. Burza czarnych włosów wirowała przy zmianie kierunku na kolejnych półpiętrach. Delikatny dotyk bosych stóp kontrastował z uderzeniami jego butów na twardej podszewie.

- Trzecie! Trzecie! - zawołała wesoło, znikając w korytarzu odchodzącym od klatki schodowej.

Jay zatrzymał się na chwilę, żeby nabrać tchu. Czuł, jak krew buzuje mu w skroniach szaleńczym szumem. Oparł się o złoconą balustradę. Była wyrzeźbiona w subtelne

zagłębienia w kształcie gadzich łusek, a jej początek, na parterze, tuż za kontuarem recepcji, bezimienny artysta przyozdobił głową węża z rozdwojonym językiem wysuniętym spomiędzy zakończonych srebrnymi szpikulcami zębów.

Pamiętał Marię. Dobrze ją pamiętał. Nigdy nie zapomni tej ślicznej, łagodnej twarzyczki zadziornej dziewczynki, wykrzywionej wściekłością, wtedy gdy wciągała go do wnętrza zatęchłej szafy na Nowogrodzkiej w Warszawie. Obudził się potem w szpitalu w Radovii. Lekarze, w większości laskowicy, powiedzieli mu, że znaleziono go na ulicy, na zatęchłym podwórku jednej z obskurnych kamienic na Zarzeczu. Zaczynał od zera. Wiedział, że nie znalazł się w Warszawie i dokładnie Warszawę pamiętał. Czasem tęsknił. Bardziej jednak za ludźmi niż za miastem, za przyjaciółmi, za bratem, który został tam, gdziekolwiek to było. Tutaj był sam. Zupełnie sam. Ale z drugiej strony, tutaj mógł zacząć wszystko od początku. Skorygować wszystko, co wymagało skorygowania. Nie popełniać drugi raz tych samych błędów. Realizować nowe plany.

Jedno jednak mu się przydało z czasów studiów w Warszawie. Znał przepis na proch i budowę broni palnej. Co odkrył dość szybko po przybyciu do tego dziwnego miasta, tutaj prochu nie znano. Broni palnej również. Mieli jakieś tam wyrzutnie w stylu karabinów, które czasem nawet mogły śmiertelnie postrzelić człowieka, ale tylko przy bardzo, ale to bardzo korzystnym zbiegu okoliczności, wybitnie niekorzystnym dla postrzelonego. Mafia go

zauważyła, a on dostrzegł u siebie cechy, których nigdy by się po sobie nie spodziewał. Jego brutalność i bezwzględność musiała zaimponować mafiosom. Piął się w górę po szczeblach przestępczej drabinki błyskawicznie. W pewnym momencie, przy pomocy kilku zastraszonych rzemieślników z Radovii i obcych kupców, sprowadzających dziwne środki z dalekich krain, przygotował sobie swój pistolet. Kupców nawet nie musiał szczególnie zastraszać. Sprzedawali mu siarkę i saletrę bardzo chętnie, ponieważ miejscowi raczej nie rzucali się na produkt, gdy tylko przybywał do miasta. W Radovii, a jak się przekonał wkrótce, również w całej Graalii, raczej nie znano dla nich zastosowań. Saletra była używana najczęściej jako składnik do trucizn, bardzo popularnych w Graalii. Może dlatego nikt nigdy nie zawracał sobie tutaj głowy wynajdowaniem nowych śmiertelnych broni? A może ze względu na to dziwne poczucie, w jakim trwała Radovia i chyba całe Cesarstwo? Jakaś ukontentowana stagnacja. Jakby stworzenie Imperium i utrzymywanie pokoju na granicach, życie w dostatku, gdzie mało kto cierpiał głód i nędzę, było ich celem nadrzędnym i właśnie ten cel osiągnęli... Możliwe. Jay czasem się nad tym zastanawiał. Teraz sam doszedł na szczyt. Ale on nie zamierzał się zatrzymać, o nie. Jest jeszcze wiele do zrobienia, pomyślał, poprawiając pistolet przytwierdzony do pasa na biodrze.

Tyle do zdobycia... Spojrzał w górę schodów i uśmiechnął się kątem ust. Zaczniemy od tego, co czeka wyżej. Przeciągnął ramiona jak sportowiec przed

treningiem, gimnastyk przed wykonaniem wyjątkowo trudnej sztuczki i z krzywym uśmiechem na ustach przeskoczył ostatnie kilka schodków, które dzieliły go od trzeciego piętra. Skreślił za róg, gdzie zniknęła Maria i ruszył korytarzem. Był wąski, niemal klaustrofobiczny, ale w Radovii nie było to nic niezwykłego, nawet jak na najbardziej ekskluzywny hotel w mieście. Inna rzecz, jak już robili takie ciasne korytarze, to mogli je choć troszkę bardziej rozświetlić. Kilka małych lichtarzy ze świecami to nie był najbardziej efektywny sposób rozświetlania małych pomieszczeń, w dodatku wyłożonych ciemnozielonym atłasem na ścianach.

Jay pobiegł wzrokiem w głąb korytarza i dostrzegł drzwi na samym końcu. Otoczone z dwóch stron, nieco mniejszymi lichtarzami, były dobrze widoczne. Na tle ciemnobrązowego drewna z delikatnymi, płyciutkimi żłobieniami na krawędziach, błyszcząły złote cyfry.

- Pokój trzysta dwa - przeczytał i ruszył zwawo w kierunku drzwi.

Gdy się do nich zbliżył, zauważył, że były uchylone, a ze środka dobiegał plusk wody. Złapał za klamkę i pociągnął do siebie. Plusk stał się głośniejszy. Wszedł do środka. Znalazł się w ciasnym przedpokoju. Na wprost znajdowało się, przesłonięte girlandą z kolorowych koralików, przejście do sypialni. Świece płonęły w żyrandolu pod sufitem. Przemknęło mu przez myśl pytanie, kto zdążył je zapalić. Przecież nie zapowiedział swojej obecności w hotelu, a wątpił, żeby obsługa trzymała świece zapalone we

wszystkich pokojach na wszelki wypadek. Hotel Admirals nie był zbyt oblegany. Zawsze znalazł się w nim wolny pokój. Nocleg tutaj kosztował tyle, że stać na niego było tylko tych największych, przedstawicieli superklasy, cichych, ukrytych władców Radovii. Tej tajemniczej grupy, w której istnienie i rzeczywiste wpływy niektórzy nie wierzyli, szczególnie ci zamożni, wykształceni przedstawiciele klasy średniej, a inni się jej bali. I nie chodziło tu o przedstawicieli arystokracji, czy zamożnych kupców. Oczywiście oni również znajdowali się w tej dość ogólnie zakreślonej grupie, ale z pewnością nie wszyscy, nie tak jak chcieli to widzieć rewolucjoniści, ci idioci, ostatnio coraz częściej mówiący o równości, braterstwie i o czymś tam jeszcze, wymachując czerwonymi flagami na ulicach. Superklasa to grupa, którą charakteryzował najwyższy stopień ekskluzywności i nieokreśloności zarazem. I Jay od niedawna do niej należał.

Wzrok mężczyzny spoczął na wieszaku przy drzwiach wejściowych. I to wystarczyło, żeby wszelkie podejrzenia, wszelkie plany uciekły i schowały się przed nadciągającą falą pożądania, wlewającą się do mózgu.

Na wieszaku wisiała biała suknia z czerwoną plamą pod dekoltem. Obok niej zwisała damska bielizna. Jay opanował się z trudem. Cofnął rękę, która automatycznie powędrowała do drzwi łazienki, za którą pluskało się spełnienie. Ściągnął płaszcz i odwiesił obok sukni. Zawahał się przez moment, ale w końcu sięgnął do pasa i wyciągnął pistolet. Mierzył nim przez moment w ścianę, a następnie

wsadził do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Jakby ze złością zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe i gwałtownie przeszedł przez girlandę do sypialni. Tutaj również świece płonęły na żyrandolu. Wesole ogniki błyskały co jakiś czas w kryształkach, zwisających z lampy i obracających się pod wpływem niewyczuwalnego wiatru. Większą część powierzchni pokoju numer trzysta dwa zajmowało szerokie łóżko przykryte zieloną, lekko błyszczącą narzutą. Wezgłowie, obite jasnym materiałem, tonęło w tapecie tego samego koloru. Przed łóżkiem stało niewielkie biurko z lustrem, w typie toaletki, a przed nim krzesło o białym, owalnym oparciu z artystycznie rzeźbionej stali. Naprzeciwko wejścia do pokoju, po drugiej stronie łóżka, było wyjście na balkon, przesłonięte firaną.

Jay zdjął buty i usiadł na łóżku. Westchnął i położył się, chłonąc całym ciałem kojącą miękkość materaca i jedwabistą gładkość narzuty. Zdradziecka fala pożądania opadła nieco. Założył ręce pod głowę i czekał, rozluźniwszy uprzednio pod szyją koszulę i fular. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że pluskanie w łazience ucichło. Usłyszał mokre kroki na posadzce. Szczęknęły otwierane drzwi. Fala wezbrała. Przeszła przez jego ciało miliardem dreszczy, które nie mogąc znaleźć ujścia, wstrząsnęły dłońmi. Widział jej cień przesuwaną się za girlandą. Schyliła się. Czekał cierpliwie. Widział jednak, że upragnione ciało za kolorowymi koralikami znieruchomiało. Jakby oglądało własne dłonie, jakby właśnie wyszło z macicy, świeże, nienaruszone, nieznanne, zobaczyło świat dziwny i nowy.

Usłyszał ciche westchnienie, po czym, po upływie tysiąca lat, po nieznośnej wieczności oczekiwania, koraliki girlandy poruszyły się i wynurzyła się z nich maryjna dłoń, biała jak alabaster, gładka jak najdelikatniejszy jedwab. Po chwili dołączyły przedramiona, a zaraz za nimi wychynęły łokcie. Druga dłoń pozostawała za kolorową przesłoną. Poniżej pojawiła się łydka, za nią kolano i nagie udo. Koraliki zachrzęściły delikatnie. Pod skórą uda zadrgały mięśnie, gdy stopa stanęła w pokoju.

Jay uniósł się na przedramionach. Wstrzymał oddech. Wbił wzrok w mięśnie, w skórę. Uniósł spojrzenie, poruszył się niespokojnie. Zobaczył pierś, pełną, białą, z delikatnym, nieśmiałym, czerwonym punkcikiem sutka, który sterczał, jak gdyby badał otoczenie po drugiej stronie girlandy. Kolejne westchnienie. Pierś poruszyła się kusząco, grzechocząc koralikami. Następnie wychynęła twarz. Błada. Równe brwi. Orzechowe oczy. Pełne usta. Kolejna fala dreszczy przeszła przez ciało mężczyzny.

- Jesteś mój - powiedziała Maria cichym, chrapliwym głosem.

- Tak - odparł mężczyzna, z trudem przepychając słowa przez ściśnięte gardło.

Huknął strzał. Po nim drugi i trzeci. Jay nic nie poczuł. Może lekkie uderzenie. Jego wzrok zniżył się, prześliznął po piersi tak bliskiej, a tak niedostępnej. Spadał niżej i niżej, aż zawisł na czarnej, dymiącej lufie pistoletu, wystającej tuż ponad drgającym udem.

- Aleksandrze... - usłyszał jeszcze i zapadł się w mrok, puch i plusz.

Zgasło światło, zgasły dźwięki. Nic nie pozostało.

Lilith patrzyła na dymiącą lufę pistoletu. Sama nie spodziewała się takiej reakcji. Miała wrażenie, jakby zadziałał jakiś mechanizm ukryty gdzieś głęboko w przejętej przez nią świadomości. Wiedziała, że aby się stąd wydostać, musi wypełnić przeznaczenie tej saivy. Wtedy jej pierwotny nośnik, znajdujący się w świecie, z którego pochodziła, na Ziemi, przyciągnie ją z powrotem. W tym świecie znajdowała się niejako na zasadzie wypożyczenia. Zadziwiająco dobrze się w niego wpasowała, fakt, ale to nie miało teraz znaczenia. Teraz liczyło się przeniesienie.

Kim był ten mężczyzna? Odsunęła girlandę z koralików i przeszła do sypialni. Małe, kolorowe drewnianka czule gładziły jej nagą skórę. Powiodła wolną ręką po swoim ciele. Przesunęła nią po gładkiej skórze ud, zatrzymując się na chwilę na kroczu, przesuwając nieco głębiej palcem. Poczwała dreszcz. Nie czuła tego od wieków, zamrożona w kosmicznej pustce. Nigdy więcej, pomyślała. Potem ruszyła wyżej, wzdłuż płaskiego brzucha, wciętej talii, aż dotknęła niewielkiego, pełnego biustu. Ścisnęła lewą pierś, uszczypnęła wciąż sztywny sutek. Spojrzała na trupa na łóżku, nie odejmując ręki od piersi. Pistolet opuściła wzdłuż ciała.

Jej niedoszły kochanek nie był oszałamiająco przystojny. Nie był również brzydki. Pamiętała, że miał błękitne oczy, teraz szeroko otwarte i nieruchome. Mocno zarysowaną szczękę zdobiła kilkudniowa szczecina jasnego zarostu. Średniej długości blond włosy pozostawały zaczesane na bok, na modłę tutejszych dżentelmenów. Nieco krępa, dobrze zbudowana sylwetka spoczywała w spokojnej pozie na łóżku. Nawet nie zdołał zmiąć pościeli. Leżał tam po prostu na wznak, jakby zwyczajnie zasnął, nie mogąc się doczekać powrotu kochanki. Tylko trzy rosnące czerwone plamy na jego koszuli świadczyły o przyczynie nadzwyczajnego spokoju.

Wiedziała, że jej pragnął. Czuła to. Chłonęła to uczucie. Po raz pierwszy od tak dawna. Wiedziała, że jest tylko saivą. Co prawda w tym świecie przybrała z jakiegoś powodu materialną postać, ale wiedziała, że to się zmieni natychmiast po powrocie. Musi wrócić. Natychmiast. Dość już czekała. Połączenie gdzieś było otwarte. Skąd by się wziął ten dziwak? Dotknęła bransolety, którą wciąż miała na ramieniu. Nie będzie jej jednak potrzebny. Miała co do niego inne plany, ale skoro ten mężczyzna już nie żyje... Odpięła bransoletę i położyła na łóżku, obok dłoni martwego.

- Dziękuję za prezent - powiedziała czule do mężczyzny.
- Aleksandrze - dodała.

Obróciła się na pięcie i nie zabierając sukni ani bielizny, wyszła z pokoju. Nie wiedziała, dokąd idzie. Teraz powinien nastąpić transfer. Ścisnęła w dłoni pistolet. Zabiła swojego

kochanka. Pozwoliła, żeby saiva sama wybierała drogę. Skręciła na klatkę schodową i zbiegła po schodach, stawiając delikatnie kroki. Czuła podniecenie.

Na parterze podążyła w prawo i poszła korytarzem, równie mrocznym i wąskim, jak ten na trzecim piętrze. Przełożyła pistolet do lewej ręki. Doszła do drzwi z napisem: „Wstęp tylko dla obsługi”. Otworzyła je i weszła do środka. Stała przez moment zdezorientowana w ciemnym pomieszczeniu. Nagle coś zagruchotało, ziemia chrupnęła jej pod stopami i Lilith poczuła, że jej ciało spada.

Upadła boleśnie na twarde, chropowate podłoże. Uniosła się ciężko na kolana. Na dłoniach i udach pojawiły się strużki krwi. Rozejrzała się. Znajdowała się w owalnym tunelu, oświetlonym niewidocznymi lampami. Wydawało się, jakby światło rozchodziło się jednocześnie ze wszystkich kierunków i wypełniało przestrzeń dokoła. Tunel urywał się za jej plecami. Obróciła się i zobaczyła, że korytarz biegł na wprost bez żadnych zakrętów. Wstała i wtedy zobaczyła krzesło, które stało obok niej. Spadło z hotelu? Spojrzała w górę, ale nie dostrzegła żadnej wyrwy, żadnego otworu, przez który mogła tu wpaść. Jakby po prostu się tutaj zmaterializowała. Podeszła do krzesła. Na zwykłym, prostym oparciu z bielonego drewna widniał wyryty kunsztownie napis: „Usiądź na mnie”.

Lilith uśmiechnęła się. Podeszła do krzesła i usiadła na nim delikatnie, jakby bała się, że może się rozpaść pod jej

ciężarem. I wtedy korytarz przyspieszył wokół niej i zaczął znikać za plecami z zawrotną prędkością.

Morbidius Mons, dziekan Piekielnej Palestry, siedział pochylony nad szklanym biurkiem w swoim gabinecie, pomiędzy trzecim a czwartym kręgiem Pieła, w części służbowej. Wodził palcem po pożółkłym pergaminie o poszarpanych rogach, które przycisnął do zimnego blatu obsydianowymi kostkami.

Gabinet dziekana był relatywnie niewielki, przynajmniej jak na przewodniczącego tak dużej i potężnej organizacji, jaką była Piekielna Palestra. Po prawej stronie od biurka, nie dalej niż metr od krawędzi blatu, wznosił się smukły regał. Czerwone i zielone grzbiety wiekowych woluminów błyszcząły złotymi literami w błękitnym świetle słońca, które wpadało przez przeszkloną ścianę po przeciwnej stronie gabinetu. Ze względu na swoje położenie pomiędzy Połówkami, Pieło było bardzo mrocznym miejscem. Nie wynikało to jednak z jego przeznaczenia, czy też głównego przedmiotu działalności. Kluczowe znaczenie odgrywała tu po prostu geografia. Światło słońca, wokół którego orbitowały Połówki, docierało w przestrzeń pomiędzy nimi tylko dwa razy na dobę: przez dwie godziny tuż przed świtem i dwie godziny tuż przed zmierzchem. Naturalnie nie jest to precyzyjne określenie, jako że to, co na jednej Połówce jest świtem, na drugiej jest postrzegane jako zmierzch i na odwrót. Teraz na Połówce, na której

w obecnym momencie historii brylowało Imperium, właśnie zapadał zmierzch, więc słońce powoli gasło za usianą gigantycznymi stalaktytami krawędzią Wielkiej Pionowej Ściany.

Morbidius wpatrywał się jeszcze przez moment w pergamin, po którym szersze i węższe linie pędziły na wszystkie strony, krzyżowały się, przenikały, a nawet połykały nawzajem. Jednak dziekan nie zwracał uwagi na ten mętnik. Wpatrywał się w jedną linię, która powstała przed chwilą i momentalnie znieruchomiała, odcinając się swoim bezruchem od całej reszty. Dziekan westchnął. Przysunął do siebie do połowy zapisaną kartkę i położył na środku pergaminu. Wyciągnął krucze pióro z jednej z obsydianowych kostek, zamoczył jego czubek w drugiej kostce i kontynuował pisanie. Mógł zawołać pomoc, wezwać straż. Wiedział jednak, że to tylko przedłuży sprawę. Wolał zrobić to na własnych warunkach.

W miarę jak światło słońca przygasało, stopniowo rozjaśniały się ustawione w kątach pomieszczenia wysokie świeczniki o szklanych nóżkach, jakby ktoś bardzo powoli zwiększał ciśnienie nieznanego paliwa napędzającego płomień w umieszczonych w nich świecach.

Skończył pisać, odłożył pióro. Wstał z krzesła i podszedł powolnym krokiem do przeszklonej ściany, za którą przetaczał się majestat Drugiej Połówki. Wyziewy gazów, wyrzucanych w kosmiczną pustkę wyglądały z tej odległości niczym miniaturowe konfetti wystrzeliwane z losowych miejsc na mrocznej płaszczyźnie drugiej połowy globu.

Gdzieś tam, tuż przed wydostaniem się gazów w próżnię, dochodziło do zapłonu. Jaskrawe rozbłyski migotały na porytej jaskiniami i pęknięciami wklęsłej powierzchni. Morbidius stał z rękami założonymi za plecami i przyglądał się kosmicznemu spektaklowi. Owoc powędrował gdzieś na zewnątrz, nad jedną lub drugą połówkę i nie było go stąd widać. Słońce chowające się za krawędzią błysnęło ostatnim promieniem, jaśniejszym od wcześniejszych, jakby oddając ostatni hołd na pożegnanie, po czym znikło.

Za plecami Monsa zaczął narastać chrobot, jakby ktoś drapał sufit od drugiej strony jakimiś ogromnymi grabiami o tępych końcówkach. Coraz mocniej i mocniej, aż w końcu na sufit grzechocząc i łomocząc zleciała lawina gładów. Dziekan westchnął i wtedy coś pękło z trzaskiem. Na posadzkę za jego plecami zwały się tony skał. Dwie świece zgasły pod nagłym podmuchem. Zrobiło się ciemniej.

- Dzień dobry, panie mecenasie - odezwał się Mons, nie odwracając się od okna. - Czekałem na pana.

Nikt nie odpowiedział, lecz dziekan wiedział, że on tam jest. Wiedział, co się właśnie stało. I podejrzewał, co zaraz będzie miało miejsce. Przygotował się dobrze.

- Czy wykonał pan zadanie? - zapytał, przybierając ton surowego przełożonego. - Mapę pan znalazł - stwierdził. - Gratuluję. Czy pani Wisnowska jest w drodze? Nasz klient już się niecierpliwił. Odszedł przed paroma godzinami. Zdaje się, że sam opuścił nasz świat. Honorarium pozostanie zabezpieczone do momentu przeniesienia klientki.

Jakaś skała obruszyła się i sturlała na podłogę, pociągając za sobą kilka innych. Miniaturowa lawina zabrzęczała na obsydianowej podłodze.

- Tak - odpowiedział Elliot Mess. - Zadanie wykonane.

- Bardzo dobrze - powiedział Morbidius, uśmiechając się do szyby.

Po chwili ciszy rozległy się cztery kroki twardych obcasów. Zaszleścił jakiś materiał. Coś wydało cichy klik.

- Panie dziekanie Mons - zaczął Mess. - Jestem zmuszony prosić pana o ustąpienie ze stanowiska.

- A dlaczego miałbym to zrobić, panie mecenasie, niech mi pan to powie?

- Dopuścił się pan karygodnych zaniedbań - odpowiedział Mess twardym głosem. - Palestra nie jest już tak wielka, jak była. Pana rządy doprowadziły do zapaści. Nie można pozwolić, żeby to dalej trwało.

Mons wzruszył tylko ramionami, wciąż krzyżując dłonie za plecami.

- Ja wykonuję tylko rozkazy Rady - odpowiedział. - Pan wie przecież, przewodniczący reprezentuje władzę wykonawczą. Nie podejmuje decyzji co do tego, co ma wykonywać. Jestem tylko narzędziem w rękach Rady.

- Proszę nie opowiadać głupstw - parsknął Mess. - Rada to pańskie kukiełki. Ale tym bym się nie martwił. W tej chwili powinni już zostać unieszkodliwieni.

- Przez kogo?

- Przez zaniepokojonych, którym leży na sercu dobro Palestry - odparł Mess. - Dość już. Proszę ustąpić.

- Bo inaczej mnie pan zabije? - zapytał dziekan. - I tak pan to zrobi, panie Mess.

- Nie chciałbym tego robić.

Mons wybuchnął śmiechem. Przeniósł ramiona przed siebie.

- Panie Mess - zaczął, wstrzymując śmiech. - Niech mnie pan nie rozśmiesza. Znam pana od początku pana kariery. Śledziłem ją dokładnie. Każdy krok, każdą decyzję, każdą publiczną wypowiedź. Wiem, kim pan jest. Od początku wiedziałem. Czy pan myśli, że to, gdzie się pan znalazł, jak szybko zdobył pan taką pozycję, to tylko zasługa pańskich umiejętności?

Elliot nie odpowiedział. Rozległ się kolejny klik.

- W dużej części tak - odpowiedział sobie Mons. - Jest pan bardzo zdolnym prawnikiem i piekielnikiem. Ale to nie wystarczy. Same zdolności, choćby nie wiem jak duże, nie popchnęłyby pana tak daleko do przodu w tak młodym wieku. Potrzebne jest jeszcze szczęście. - Odwrócił się gwałtownie na pięcie i spojrzał Messowi prosto w oczy. - Ja jestem pańskim szczęściem, panie mecenasie, czy pan tego chce, czy nie. Potrzebny jest następca. Wiedziałem, że nie będę rządzić wiecznie. Wolałem sam go sobie wybrać.

Mess milczał dalej. Morbidius dostrzegł neutralizator w wysuniętej z rękawa dłoni mecenasa. Czarna lufa, wąska jak nieco zbyt gruba igła, celowała w podłogę. Mons wiedział, że powyżej, w rękawie, znajduje się zbiorniczek z ciekłym azotem. Nie było lepszego sposobu na błyskawiczne zabicie piekielnika niż gwałtowne schłodzenie

tchawicy, serca lub którejś tętnicy. Można było też oczywiście próbować metod klasycznych: poderżnięcia gardła, wbicia sztyletu w serce, czy nawet strzału z karabinu z bardzo bliska. Z uwagi na dużą zdolność do regeneracji organizmów piekielników, te rozwiązania nie zawsze były skuteczne.

Morbidius uśmiechnął się i uniósł dłoń. Wskazał na biurko.

- Wszystko jest przygotowane - powiedział. Mess nie spuszczał z niego wzroku. - Spisałem odpowiednie instrukcje.

- Instrukcje?

- Dla pana - wyjaśnił dziekan. - Żeby się pan nie pogubił w nowej roli. Jest pan przecież jeszcze bardzo młody. Radzę przyjąć kilka rad od starszego prawnika.

Mess mierzył go wzrokiem.

- Dziękuję.

Morbidius uśmiechnął się ponownie i ruszył spokojnym krokiem w stronę biurka. Mess błyskawicznie uniósł broń. Dzieliło ich nie więcej niż pięć metrów. Stos gładów za plecami Elliota odgradzał go od drzwi do gabinetu. Mons nie spodziewał się jednak odsieczy żadnych lojalistów. Wierzył w swojego wybrańca. Wiedział, że Elliot zadbał o wszystko. Dlatego go wybrał.

- Proszę nie utrudniać - powiedział Mess.

- Ależ panie mecenasie. - Mons spojrzał na niego, rozkładając ramiona. - Przecież i tak musi mnie pan zabić.

Nie ma innej drogi. W Palestrze nie ma demokracji, monarchii ani nawet anarchii. Tutaj rządzi śmierć, Elliocie.

- Nie musi tak być - wycedził Mess przez zaciśnięte zęby. - Może pan odejść na własnych warunkach. Przejąłem Radę. Wierni panu piekielnicy zostali unieszkodliwieni. Teraz to tylko formalność. Proszę odejść. Szanuję pana. Nie chcę pana zabi... - Nie zdążył dokończyć.

Mons uderzył dłonią w blat. Z sufitu, obok wyrwy wyciętej przez Tunel, w mgnieniu oka wysunął się czarny, dzwonowaty kształt. Mess nie strzelił. Zamiast tego spojrział w górę. Na to też liczył Mons. Z dzwona błysnął oślepiający blask, a następnie na Elliota chlusnął strumień parującej cieczy, która momentalnie zestaliła się wokół prawnika. Palec już naciskał na spust, gdy zmartwiało. Oczy Messa wciąż były skierowane ku górze, szeroko otwarte.

- Umrę - powiedział Mons. Podszedł do bryły lodu z zastygłym wewnątrz prawnikiem. - Ale najpierw muszę sprawdzić, co pan planuje. Muszę odejść w spokoju, Elliocie. Ale potem umrę. Nie ma innej możliwości. Lód się roztopi i wrócisz. - Postukał w szklistą tafelę. - Nie martw się. Wintryfikator. - Wskazał na dzwon wystający z sufitu. - Bardzo interesujący wynalazek. Zwykłych hominidów zabija, niszcząc połączenia nerwowe w mózgu. Piekielnicy sobie radzą. Nasze organizmy mają wyższą temperaturę. Został pan unieruchomiony, ale wewnętrzny żar nie pozwolił na ścięcie mrozem organów wewnętrznych. Gdy lód się roztopi, wróci pan do normalności. Może tylko trochę będą pana bolały kości, ale to nic wielkiego. -

Przybliżył twarz do lodu. Oczy Messa poruszyły się i spojrzały na dziekana. - Proszę się nie martwić. Mnie już wtedy nie będzie. - Wrócił do biurka. Przysunął sobie krzesło i wspiął się po nim na szczyt lodowej bryły. - Do widzenia, Elliocie - powiedział jeszcze, po czym wskoczył w wylot Tunelu.

W jaskini rozległ się świst i szum, dochodzący z Tunelu. Stirling obrócił się. Świst narastał bardzo szybko, jakby z Tunelu nadjeżdżała brygada kretociągów. Gdy stawał się już nie do zniesienia, gdzieś wysoko w górze coś błysnęło i zaraz wszystko ucichło. Wąski snop światła padł prosto w dół, rozświetlając centralną część pieczary.

Pośrodku jaskini stał kretociąg. Obok niego wznosiła się ażurowa konstrukcja ze stalowych rurek aż po czubek jaskini. Kawalek dalej stało krzesło, a na nim siedziała postać w wysokim kapeluszu z głową opuszczoną na piersi. Na stalowej platformie kretociągu, zaraz za spiczastym czubkiem oraz bocznymi łapami ryjącymi, stało dwóch zamaskowanych ludzi, uzbrojonych w szable i skrócone karabiny. Pomiedzy nimi stała drewniana skrzynia.

- Och, to pani Wisnowska! - zawołał ktoś z lewej strony.

- Dobry wieczór, panowie - odezwał się kobiecy głos. - Którędy na Warszawę? - zapytała konwersacyjnym tonem.

Coś zgrzytnęło i w światło od strony Tunelu wjechało krzesło. A na nim siedziała młoda kobieta o czarnych włosach. Siedziała wyprostowana. W dłoniach, złożonych

skromnie na kolanach, ścisnęła jakiś czarny przedmiot. Poza tym nie miała ze sobą ani na sobie nic.

- Dobry wieczór, szanowna pani. Dobry wieczór, dziekanie Mons - odezwał się Stirling, obracając się w stronę cienia, z którego powitano Marię. - Cóż za spotkanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł głos z cienia, wciąż nie wychodząc na światło.

- A gdzie się podział mecenas Mess? - zagadnął pułkownik.

- Zatrzymały go ważne sprawy - odparł dziekan. - Osobiście przybyłem dopilnować zakończenia zlecenia.

- Ależ tu zimno... - powiedziała kobieta.

- Pani Mario - powiedział nieznajomy - przejście jest otwarte. Teraz wystarczy, że skieruje pani swoje myśli do czegoś, co jest dla pani najważniejsze na świecie, najważniejsze w pani życiu. Niech pani się skupi. Tunel sam panią poprowadzi, a potem nastąpi przeniesienie.

- Aleksander - powiedziała w końcu kobieta, cicho, niemal łkając. Jej pierś poruszyła się niespokojnie. - Mój Aleksander. On mnie potrzebuje - dodała, ścisnęła czarny przedmiot.

Opuściła głowę. Kurtyna czarnych włosów przesłoniła jej piersi. I wtedy krzesło drgnęło.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - powiedział dziekan.

Krzesło z kobietą wyjechało na środek jaskini. Maria wciąż siedziała z opuszczoną głową, nieruchomo. Minęła stalową konstrukcję. Burza włosów zabujała się na

zakręcie, krzesło skręciło o pięćdziesiąt stopni, a następnie, z tym samym świstem, co poprzednio, przyspieszyło gwałtownie i przemknęło tuż obok kretociągu. Skręciło ponownie i wpadło w niewielki, świeży wyłom w skalnej ścianie jaskini.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - powtórzył nieznajomy z cienia. Wizg cichł z wolna, aż w końcu zamilkł urwany przez grzmot walących się skał. - Tunel odcięty. Bardzo dobrze. Panie pułkowniku, proszę wybaczyć, że zająłem panu czas.

- Ależ nie szkodzi, panie dziekanie - odparł Stirling. Musiał jednocześnie dać jakiś znak swoim żołnierzom, bo w tym momencie jeden z nich się schylił i pociągnął za coś kilka razy. Po chwili silnik kretociąga zaczął cicho szumieć.

- Zadanie wykonane - powiedział Mons. - Mogę odejść. Proszę trzymać się ustaleń poczynionych z mecenasem Messem.

- Oczywiście - powiedział Stirling.

Jeden z żołnierzy wyprostował się i znów stanął obok niego.

- Żegnam - powiedział Mons.

- Do zobaczenia.

- Żałuję, ale raczej nie - powiedział jeszcze Mons, z głębi Tunelu.

Pułkownik nie odpowiedział.

- Dawajcie go na pokład i jedziemy - rozkazał pułkownik, odczekawszy chwilę.

Obaj żołnierze zeskoczyli z pojazdu i dźwignęli krzesło z nieprzytomnym ciennikiem. Zdjęli bezwładnego jeńca z krzesła, które następnie odrzucili w kąt jaskini. Ułożyli ciennika na siedzeniu za miejscem kierowcy, po czym stanęli znów na stanowiskach po bokach pułkownika.

- Jutro wróćcie po rury z czterema ludźmi - rozkazał Stirling. - Teraz załatwimy kwestię Elfów.

Kretociąg drgnął i ruszył niespiesznie w kierunku jednego ze świeżych wylotów tuneli.

XIII. MOTEL ADMIRAŁ

- Motel Admirala? - zapytala Anne, zsiadajac z motocykla. - Serio?

Maurycy zgasil silnik i wlozyl gogle na czolo.

- A co? - zapytal, rozkladajac pietą nozke. - Coś nie pasuje?

Anne rozejrzala się dokoła. Budynek otaczal nieregularnym półokręgiem parking pokryty asfaltem dziurawym jak syberyjskie, wiejskie drogi. Jedyne źródło światła na placu dawaly trzy latarnie, świecące żółtawym światłem, które przeciskalo się z trudem przez zabrudzone klosze. Na ścianach motelu, obejmujacych plac parkingowy z dwóch stron, wznosily się trzy piętra tarasów z drzwiami do poszczególnych pokoi. Pośrodku, pomiędzy dwoma skrzydłami, znajdowało się wejście. Żółto-czerwony neon z pochyłym napisem Admirala błyszczal dumnie nad przeszklonymi drzwiami obrotowymi. Maurycy wyciągnal plecak z sakwy i podal Anne. Sam wziął małą, skórzaną

sakwę oraz worek z cennym zawiniątkiem w sieci psychostatycznej.

- Nie, no, może być - odparła w końcu Zmoraczka. Zasunęła kurtkę. Noce były jeszcze chłodne. - Nie w takich miejscach spędzaliśmy noce, prawda? - Uśmiechnęła się do Maurycego. - Może przynajmniej nie jest nawiedzony...

- Wygląda na nowy - powiedział Maurycy i wzruszył ramionami. - Ale kto go tam wie. Saivowie wszędzie mogą się zainstalować. Kto wie, co tu było wcześniej. Pamiętasz kiblowego fryca?

- A jak? Pewnie! - odparła Anne i oboje wybuchli śmiechem.

Maurycy rzucił jeszcze okiem na motocykl, po czym skierował się do wejścia do motelu. Anne ruszyła za nim. Obserwowała jego szerokie barki, spowite w grube ponczo. Długie, proste blond włosy spływały chaotycznymi strumieniami na ramiona. Miał sprężysty krok, dokładnie taki, jak pamiętała. Lewe ramię nosił nieco niżej, jak wtedy. Całą drogę czuła jego zapach. Ten sam zapach. Nie do końca wiedziała, co oznaczało pojęcie piżmowy, ale gdzieś podskórnie czuła, że właśnie tak mogłaby nazwać to, co czuła, gdy była blisko Maurycego. To samo, co wtedy. Czy naprawdę tak niewiele się zmieniło? Nie... Zmieniło się. Są starsi. Nie są już narwanymi dzieciakami, którzy myślą tylko o tym, żeby wskoczyć do łóżka. A przynajmniej tak jej się wydawało. Chociaż coraz bardziej miała co do tego wątpliwości. I ta dziewczyna... Czy to była jakaś sztuczka tej kaczki, czy ona rzeczywiście mu się tak podoba? Może

on sam o tym jeszcze nie wie? Anne zatrzymała się na moment przy tej myśli, ale zaraz ją odrzuciła. Ostatecznie stwierdziła, że nie ma to znaczenia. Przecież nie zamierza za niego wychodzić za mąż. Teraz miała dużo bardziej konkretne zamiary, których horyzont czasowy zamykał się w ciągu najbliższej nocy. Potem niech będzie, co chce.

Maurycy stanął obok drzwi i czekał, aż ona przejdzie przodem. No tak, pomyślała. Polakiem się zostaje na zawsze. Z uśmiechem na ustach przeszła przez obrotowe drzwi. Tak jakby to ona miała zebrać na siebie wszystkie ciosy po wejściu do nieznanego pomieszczenia. Anne zaśmiała się pod nosem. Niech no tylko spróbują na nią wyjść jakieś ciosy. Pożalują, że się urodziły. Poczowała ukłucie w boku. Syknęła z bólu. Trochę zeszywniała na tym motorze. Na szczęście ten sierściuch jej nic nie złamał, ale wciąż była trochę obita.

Wbrew pozorom, stworzonym przez ogromny sztyld i wielką przeszkloną powierzchnię głównego wejścia do motelu, recepcja była relatywnie niewielka. Po lewej stronie od wejścia, za odrapanym kontuarem z połączonym dzwonkiem na blacie i jakimiś ulotkami reklamującymi lokalne przedsiębiorstwa usługowe, siedział chudy, zasuszony mężczyzna w białej koszuli o kilku włosach przeczesanych w poprzek przez łysinę na czubku czaszki. Na zagiętym nosie cudem trzymały się okulary w drucianych oprawkach. Podniósł się niechętnie, gdy Maurycy podszedł do kontuaru. Anne postanowiła zostawić mężczyźnie ten męski obowiązek zorganizowania im

noclegu. Wiedziała, że Maurycy nie był żadnym despotą czy maczo, chociaż czasem tak wyglądał. Zdawała sobie jednak również sprawę, że usilne manifestowanie swojej kobiecej niezależności nie ma większego sensu. Zawsze bardziej wolała robić niż pokazywać, że coś robi. A to, że załatwiał niektóre rzeczy za nią, nie sprawiało, że czuła się gorsza. Rozejrzała się ostrożnie z nawyku, ukradkiem.

Pomieszczenie było około cztery razy dłuższe niż jego szerokość. W głębi za gnomem, przeglądającym właśnie rejestr rezerwacji, było przejście, zapewne na zaplecze, przesłonięte płachtą w trzykolorowe paski: niebieskie, białe i czerwone. Obok kontuaru stały rzędem trzy automaty: z batonami, z napojami oraz z czymś, co Anne zidentyfikowała jako różne rzeczy do jedzenia. Ku jej zaskoczeniu znajdowały się tam również opakowania kabanosów. Nie widziała jeszcze, żeby ktoś sprzedawał kabanosy w automatach. Dziwny kraj... Dalej od automatów, w stronę końca pomieszczenia, stało kilka foteli o różnych stylach i kolorystyce. W każdym siedział mężczyzna. Wszyscy byli na oko po pięćdziesiątce i wszyscy posiadali bardziej lub mniej widoczne ślady choroby alkoholowej na swoich obliczach. Jak jeden mąż odwrócili wzrok, gdy Anne na nich spojrzała. Ułamek sekundy za późno, żeby tego nie zauważyła, ale teraz i tak wgapiali się jak gdyby nigdy nic w malutkie ludziki, biegające po zielonym tle na małym ekranie telewizorka zawieszzonego na wysięgniku pod sufitem.

- Gotowe - odezwał się Maurycy. Obróciła się do niego z uśmiechem. - Pokój trzysta dwa.

- A skąd pomysł, że chcę być z tobą w jednym pokoju? Mają oddzielne łóżka? - zapytała. Mówiła głośniej niż było potrzeba, żeby Maurycy ją usłyszał. Wszyscy zgromadzeni w holu głównym motelu Admirał spojrzeli na nią, włącznie z drucianookim recepcjonistą. Zmorak również na nią patrzył, ze zmieszaniem. Anne roześmiała się uroczo.

- Oj, no, żartuję tylko - powiedziała najśłodszym głosem, na jaki było ją stać. Następnie podeszła do Maurycego, wspięła się na palce i pocałowała go namiętnie w usta, przyciągając go za potylicę. Rozchylił wargi. Ich języki spotkały się. Weszła w niego agresywnie, szybko. Poczowała wewnętrzną stronę jego zębów. Poczowała dłonie na swoich plecach. I wtedy oderwała się od niego. Równie szybko i gwałtownie.

Spojrzała po zgromadzonych. Panowie odwrócili wzrok, ale w zamieszaniu zapomnieli nawet o małym pudełku pod sufitem, które idealnie się nadawało do tego, żeby się w nie wgapić. Patrzyli jeden na drugiego, potem gdzieś w kąt, potem na automaty. Anne zaśmiała się ponownie. Złapała Maurycego za rękę.

- Chodź - powiedziała.

Jaruga poganiała swoje zające do bardziej zwawego biegu. Pędzili wiejskimi drogami na północ, mniej więcej równoległe do krajowej siedemnastki. Do sani

przymocowano stare koła od rowerów na wypadek, gdyby trzeba było wyjechać na utwardzone drogi. Jednak rzadko to się zdarzało. Wyjazd na drogę utwardzoną wiązał się z tym, że można na niej spotkać innych uczestników ruchu, którzy, statystycznie rzecz biorąc, posiadają umysły, nie zawsze akceptujące coś takiego, jak zaprzęg zajęcy ciągnący sanie na szprychowych kołach, ze starą czarownicą, zawiniętą w różnokolorowe szmaty w środku. Z reguły nie mieściło się to ludziom w głowach. Chociaż to było oczywiście tylko takie powiedzenie.

Jak mogłoby się nie mieścić im w głowach coś jak najbardziej realnego i namacalnego? Współcześni ludzie byli w stanie zaakceptować tak abstrakcyjne i nieosiągalne dla ich zmysłów, a czasem nawet absurdalne pomysły, jak to, że człowiek stanął na Księżycu, w głębinach oceanu żyją kałamarnice olbrzymie, maleńkie, niewidzialne gołym okiem organizmy powodują choroby, czy też w końcu to, że w silniku samochodu dochodzi do eksplozji, które poruszają cały pojazd naprzód. Podobnie z historią. Wierzyli w to, że wojnę wywołał ten, a nie inny dyktator, że ci żołnierze zabili tych w przeszłości, a nie na odwrót. Wierzyli w to, że w ogóle była wojna, podczas gdy nie są w stanie tego zweryfikować zmysłami. Dziwne to. Nie zaakceptują starej baby na zaprzęgu zajęcy, nawet jak ta przejedzie im koło nosa, ale przyklasną, żeby upamiętnić bohaterów bitwy, której nikt z żyjących nie widział na oczy, albo przyznają milion dolarów komuś, kto wmówi im, że taka ciecz, a nie inna, zabije drobne organizmy czyhające na ich zdrowie.

Ludzie są dziwni. Magia nie, wiedza tak. Bo czym jest wiedza? Tylko wiarą w to, że wiemy co robimy, przykrytą cieniutką warstwą tynku z dowodów.

A magia? Magii nie ma. Ale jest wiele rzeczy do niej podobnych. Na przykład saivowie. Albo zaprzęg zajęcy ze starą wiedźmą, mknący nocą przez południowomazowieckie wsie. Tylko, że to wszystko mieści się w zakresie zmysłowego poznania przeciętnego człowieka, a wiedza musi być przez niego zaakceptowana na dużo wyższym poziomie abstrakcji. I to jest ciekawe.

Spojrzała na siwe grzbiety swojego zaprzęgu. Zające zaczynały zwalniać. Nie chciała ich poganiać. Pędziły prawie cały dzień. Było już ciemno. W trakcie drogi zrobiły tylko trzy przerwy. Trzeba dać im odpocząć. Wyprostowała się z lejcami w dłoniach. Dobrze by było zdrzemnąć się w normalnym łóżku, pomyślała. Kto wie, kiedy znowu będzie miała taką okazję, gdy dojedzie do Warszawy.

Przy drodze powinno coś być. Skręciła zaprzęgiem w boczną uliczkę, pomiędzy dwie stodoły i pojechała w kierunku drogi lubelskiej.

Maruder, lokalny kot, biało-rudy mieszkaniec piwnicy pod motelem Admiralski, ponoć ojciec chrzestny całego obiektu i biologiczny całego zastępu kotów w okolicznych wsiach, wyszedł na cowieczorną przechadzkę po swoich włościach. Wkroczył nieśpiesznie na dziurawy asfalt. Wyuczonym krokiem omijał kałuże powstałe w pęknięciach nawierzchni.

Należy coś w końcu zrobić z tymi dziurami, pomyślał. Nie miał już przecież ośmiu lat! Mógłby się potknąć i co wtedy? Jeszcze by ktoś zobaczył... Można przecież powiedzieć, że był kotem w podeszłym wieku. Świadczyły o tym choćby jego zęby. Wiek kota określa się wszak po jego uzębieniu. U Marudera nie było to proste, ponieważ zębów posiadał sztuk jeden i jedna trzecia. Słyszał, jak mówili to ci ludzie w śmiesznych, kolorowych kubraczkach, gdy jego człowiek, pozorny właściciel motelu, zabrał go do weterynarza. Podrapał dwóch z nich, tak na wszelki wypadek. Potem nic nie pamiętał, aż do chwili, gdy obudził się z powrotem w trzeszczącym samochodzie swojego człowieka. Nie mógł sobie przypomnieć, co się stało potem, jak podrapał tych rzeźników. Pewnie dali mu coś na uspokojenie, tak podejrzewał, tak jak wtedy, gdy obcinali mu pazury. Właściwie jedyne, co się zmieniło, to to, że odechciało mu się obsikiwać teren przy cowieczornym obchodzie. Rzadziej załatwiał się również na bagaże pozostawione przez gości nieopatrznie na parkingu. Z reguły starał się to robić, przecież nie można pozwolić, żeby ktoś je ukradł. Musiał dbać o dobre imię swojego motelu. Ostatnio jednak coraz mniej chciało mu się to robić i traktował to już bardziej jako obowiązek niż... Właśnie, niż co? Nieważne. Zastanowi się nad tym na drzemce po obchodzie.

Wyszedł na środek parkingu. Wyciągnął łapy w tym miejscu co zwykle, oraz przeciągnął się, dokładnie tym samym ruchem, jak co wieczór. Następnie usiadł, zaplótł

ogon wokół ciała i rozejrzał się po balkonach swojego motelu. Ruch był niewielki. Na drugim piętrze, pomiędzy pokojami numer dwieście dwadzieścia trzy oraz dwieście dwadzieścia cztery, dwóch facetów stało opartych o barierkę i paliło papierosy. Nie powinni tego robić. Przecież jest do tego wyznaczone miejsce. Maruder osobiście wskazał je swojemu człowiekowi. Tam wolno palić, nie narażając na zasmrodzenie całego piętra i wszystkich okolicznych pokoi, w których akurat otwarto okna. Poza tym Maruder czuł się dziś niewyspany. Nie chciało mu się iść i dyscyplinować niesubordynowanych gości. Niech im będzie.

Powiódł wzrokiem w prawo. W drugim skrzydle, na trzecim piętrze, o barierkę opierali się kolejni ludzie. Ci jednak nie palili papierosów. Niewysoka blondynka w czarnej, skórzanej kurtce przyciskała mężczyznę w dziwacznym, jasno-ciemnym kocu do barierki i wręcz pożerała go pocałunkami, ściskając dłońmi jego głowę. Maruder dopiero po chwili zauważył, że kobieta, najwyraźniej z powodu niewielkiego wzrostu, oplotła mężczyznę nogami i wisi na nim jak kocię na matce. Gospodarz zdążył jeszcze pomyśleć, że lepiej da znać swojemu człowiekowi, bo namiętna para jeszcze wypadnie przez barierkę i będzie kłopot. Na szczęście mężczyzna w kocu oderwał się od barierki i podtrzymując kobietę dość nieprzystojnym gestem za pośladek, wolną ręką otworzył pokój i oboje wtoczyli się do środka, zatraskując za sobą drzwi z numerem trzysta dwa.

Maruder spojrział jeszcze w lewo i w prawo, ale nikogo więcej nie zauważył. Wobec tego ruszył w dalszą część obchodu. Poszedł w kierunku zaplecza. Kolejnym etapem wieczornej wizyty gospodarskiej było sprawdzenie, czy wszystkie tylne drzwi są dokładnie zamknięte. Nie chciał przecież, żeby jakiś złodziej wszedł w nocy i coś ukradł. Po co komu takie kłopoty? Lepiej im zaradzić zawczasu. Obejrzał się jeszcze przez bark, żeby policzyć samochody na parkingu. Dwa małe, płaskie i jeden wyższy. Ten wyższy, na bardziej gumowych kołach, należał do właściciela. Obok niego stał jeszcze jeden pojazd. Miał dwa koła i był ni to płaski, ni to wysoki. Wąski jakiś był, stał oparty o jakąś podstawkę, przechylony nieco na jeden bok. Maruder patrzył przez chwilę na dziwny pojazd, zastanawiając się, czy już kiedyś taki widział, po czym machnął ogonem i poszedł dalej. Na pewno widział już coś takiego. Jest doświadczonym, wiekowym kotem. Widział już w swoim życiu wszystko, co kot mógłby zobaczyć. Czuł to pod futrem. Nic już go nie zaskoczy. Przecież nie jest jakimś tam kociakiem czy narwanym młodzianem.

Skręcił za róg. I wtedy właśnie zdarzyło się coś, co zapamiętał do końca życia. Coś, co stało się legendą, powtarzaną przez co najmniej pięć pokoleń gospodarzy Admirala, nawet wtedy, gdy zamiast motelu, zrobiono tam najpierw bar go-go dla tirowców, których coraz więcej pędziło na Ukrainę nową, ekspresową drogą, a zaraz potem, całkiem niedługo później, centrum handlowe.

Maruder wymaszerował z za rogu z uniesionym ogonem. Spojrzał przed siebie. Pierwsze, co zrobił, to uciekł, niewiele myśląc dał dyla i zwał. Obejrzał się dopiero na skraju lasu w bezpiecznej, w jego mniemaniu odległości. Zobaczył kobietę. Stała tam po prostu przy jakiejś dziwnej, kanciastej konstrukcji z ogromnymi tymi częściami, które u samochodów były dwa razy mniejsze i się kręciły, gdy samochód przesuwiał się nad nimi. Była ubrana w szmaty. I śmierdziała. Czuł to aż tutaj. Tylko koty czuły ten smród. Charakterystyczny smród. Maruder nie miał jednak czasu, by zbyt długo się jej przyglądać. Po pierwsze dlatego, że staruszka zaraz znikła na zapleczu, dokładnie tam, gdzie nikt niepowołany nie powinien wchodzić, a po drugie, i był to dużo istotniejszy powód, w pogoń za Maruderem rzuciło się stado piekielnych bestii o długich, wąskich uszach. Kicały jak szalone i kot w ostatniej chwili zdołał dźwignąć swe zacne biało-rude ciało na drzewo. Gdy spojrzeł w dół, uspokajając oddech, bestie gdzieś znikły. Kobiety również nie dostrzegął.

Tamtej nocy nie zszedł już z drzewa.

Lilith pędziła tunelem. Był taki sam jak poprzedni. Nagle usłyszała za plecami gruchot i trzask, a potem otoczyło ją światło. Oślepiło ją. Nic nie widziała, poza twarzą tego żołnierza. Sięgnęła głęboko do podświadomości swojej saivy. Musiała się stąd wydostać. Już końcówka. Przestrzeń

snów i już zaraz będzie. Nieważne gdzie. Ezechiel powinien już wrócić. Tymoteusz powinien czekać.

- Och, pani się zgubiła, pani Mario? - odezwał się głos gdzieś po jej lewej stronie. Czuła, że porusza się naprzód. Wiedziała, że teraz nie wolno się zatrzymać. Tylko się nie zatrzymać.

- Nie, nie - odparła. - Lecę do Aleksandra.

- Ależ pani Mario, pani Aleksander nie żyje - powiedział nieznajomy. - Nie żyje.

Wtedy Lilith ogarnęła ciemność i pustka, jakby ktoś odciął ją od zewnętrznego świata. Podświadomość stłumiła ją gdzieś głęboko na dnie wspomnień saivy Wisnowskiej. Cholera, pomyślała jeszcze. Docierały do niej szczątkowe dźwięki i blaski światła. Rozróżniała czyjeś głosy, słyszała szum. Gdzieś zamiauczał kot.

Tak. Wyszła. Już nikt jej nie zatrzyma.

- Wyszła - powiedział Radien Pardne. Jego twarz unosiła się w powietrzu przed Jarugą.

- Czekales na nią w Snach? - zapytała staruszka.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Musisz ją znaleźć - powiedział Radien. - Nie wiem, gdzie się pojawi. Sprawdź w jej mieszkaniu w Warszawie. Trzeba zawiadomić Maurycego. Niech ją złapie. Krukowi nie mów.

- Czemu w mieszkaniu?

- Tam było przejście - wyjaśnił Radien. - Ale myślę, że ono nie będzie jej już potrzebne.

- Co?

- Podejrzewam, że było inne przejście - powiedział. - Znajdź tego Rosjanina też. On chyba ma coś wspólnego z przejściem.

- Bartenjewa?

- Tak.

- A po co?

- Zrób to - uciał Pardne. - I zawiadom Zmoraka. Ja już nie mam siły. Muszę wracać. Przyjadę do was za jakiś czas.

- A co z Tatarem?

Radien uniósł brwi.

- Chyba został - odpowiedział. - Nie wiem. Muszę iść. - Jego twarz zamigotała i zgasła.

Jaruga splunęła pod nogi. Akurat teraz, kiedy rozpuściła zające, musi szybko jechać dalej. Niech to cholera zeżre... Ale zaraz, zaraz... Przecież to motel. A w motelu są... Samochody?

Wyszła na parking. Stały na nim trzy auta. Jedno z nich, stary suzuki samurai, miało na boku napis: „Admirał”, taki sam jak na obrzydliwym neonie ponad wejściem. Trzeba znaleźć kluczyki. Spojrzała w kierunku recepcji. Już chciała ruszyć, omotać recepcjonistę i zabrać mu kluczyki. Prosta sprawa. Kątem oka zauważyła jakiś odblask. Obróciła się.

- No nie... - mruknęła. - To może obejdzie się bez kradzieży. - Popatrzyła jeszcze moment na motocykl, znajomy stary Sokół. Niemożliwe, żeby były takie dwa.

Tylko jedna osoba mogła jeździć na takiej maszynie po lubelskiej. Chyba...

Wyciągnięcie informacji od recepcjonisty było jeszcze prostsze niż się spodziewała. Da im chwilę czasu, pomyślała. Pewnie się za sobą stęsknili. Ich burzliwy związek, rozstania i powroty, i rozstania, i powroty, aż w końcu huczny koniec był źródłem plotek, które docierały nawet do Rozpudy. Ubożęta były niezawodnym źródłem informacji.

Jaruga szczerze kibicowała Anne i Maurycemu. Bardzo zasmuciła ją wiadomość, że od siebie odeszli. A teraz, za sprawą decyzji jakiegoś Kruka z kancelarii, który traktował Zmoraków jak maszyny o określonych zdolnościach i tylko na tej podstawie kwalifikował ich do danego zadania, znowu ich drogi się skrzyżowały. Co z tego będzie? Pójdzie tam o północy, pomyślała i opadła na fotel w recepcji.

Anne padła na łóżko. Maurycy zerwał z siebie ponczo i koszulę i skoczył w jej stronę. Gogle oraz zawiniątko z uwięzionym Bartenjewem poleciało na podłogę. Dziewczyna wywinęła mu się, chichocząc wesoło jak mała dziewczynka. Zmorak padł na pościel. Anne stanęła przed łóżkiem w triumfalnej pozie. Maurycy obrócił się i chciał wstać. Mięśnie na jego piersi napinały się i rozluźniały. Anne zmrużyła oczy i przygryzła wargi. Wolno, bardzo powoli rozpięła zamek kurtki i odsłoniła ramiona. Zmorak znieruchomiał oparty na przedramionach.

- Czekałem - powiedział. - Tak długo. Na ciebie - wychrypiał.

Anne przyłożyła palec do ust i nic nie odpowiedziała. Ściągnęła kurtkę i odrzuciła ją w kąt. Obróciła się do niego tyłem. Zdjęła pas z pistoletem i położyła na nocnej szafce. Gdzieś za oknem przejechał samochód, rozświetlając na moment niewielki pokój. Maurycy odchrząknął. Ruszył się w jej stronę, ale ona odskoczyła. Warknął, ale się nie poruszył. Nerwowym ruchem odpiął pochwę noża i cisnął ją za siebie. Broń brzęknęła o szybę.

- Oj nieładnie, nieładnie. - Anne pogroziła mu palcem, kręcąc biodrami. - Nie szanujesz broni. Co by na to powiedzieli instruktorzy? Chyba... - zaczęła, zbliżając się do niego. Odsunął się, opadając lekko na pościel. - Musisz ponieść... - kontynuowała, wchodząc kolanami na materac. Jej dłonie powędrowały do paska jego spodni. - Jakąś karę... - mówiła dalej, patrząc mu prosto w oczy. Zmorak był zahipnotyzowany. Pamiętał to spojrzenie. Pamiętał ją. Pamiętał ten zapach, pamiętał każdy jej ruch. Myślał o tym każdego dnia. Za każdym razem, gdy rozmawiał z inną kobietą, widział oczy Anne, głębokie, lazurkowe studnie o agresywnych wirach łagodności. Spał z innymi. Za każdym razem, gdy czuł woń kobiety, widział Anne. Każdego roku, przez całe dziesięć lat. Myślał, że powoli zaczął sobie z tym radzić, ale gdy ją zobaczył, wtedy na Próżnej, wtedy wszystko wróciło. I wiedział, że już nie odejdzie. Chyba, że zabierze go ze sobą.

Leżeli w ciemnościach, bez słowa ściskając swoje dłonie, ich oddechy uspokajały się, zrównały się ze sobą i powoli płynęły razem w noc.

Anne otworzyła oczy. Za oknem jakiś samochód zajechał na parking i oświetlił pokój światłem reflektorów. Zmoraczka zamrugła. Nie krzyknęła. Zerwała się z łóżka. Pod ścianą stał Bartenjew.

- Wstawaj! - zawołała, wyszarpując i odbezpieczając pistolet. Strzeliła bez ostrzeżenia. Maurycy podskoczył. Ogłuszony hukem sięgnął po nóż. Nie było go pod oknem. Bartenjew spojrzał na nich, potem na swoją pierś, a następnie powoli, zaczynając od czubka głowy, zaczął się rozsypywać jak rzeźba z piasku. Kolejne drobinki sunęły po podłodze w kierunku broni Anne. Zmoraczka dyszała ciężko.

- Jak on się... - zaczęła.

Światło reflektorów zgasło. Maurycy zapalił lampkę nocną. Dopiero teraz usłyszał, że ktoś wali w drzwi. Spojrzał na nie. Twarzą do niego stała kobieta o czarnych włosach. W wyciągniętych dłoniach trzymała czarny pistolet. Jej oczy były rozszerzone strachem. Na piersi rosła czerwona rana. Maurycy zastygł w bezruchu. Po chwili powoli uniósł dłonie.

Anne spojrzała na niego. Zobaczyła odbicie w szybie.

- Aleksandrze - jęknęła czarnowłosa kobieta. Nagle jej twarz wykrzywiła się w grymasie gniewu. - Zabiłeś go!

Anne skoczyła przed siebie. Czarnowłosa pociągnęła za spust. Huknął strzał. W tym samym momencie drzwi

otworzyły się z hukiem. Ktoś zarzucił coś na kobietę, która nagle rozpadła się na dwie postaci. Jedna z nich uleciała w mrok jak dym. Druga znikła pod narzuconą płachtą. Pistolet upadł na podłogę. Maurycy otrząsnął się, podbiegł do Anne. Leżała oparta plecami o ścianę. Przyciskała dłonie do nagich piersi. Spomiędzy jej palców ciekły strumienie jasnej krwi.

- Nie! - krzyknął Maurycy. - Dzwoncie po pomoc!

Ktoś wykrzyczał coś do telefonu. Maurycy ujął twarz Anne. Była lodowata.

- Za późno - powiedziała gasnącym głosem. - Tętnica - wyjaśniła. Nagle jej oczy otworzyły się szeroko.

- Nie! Anne! - krzyczał Maurycy.

- Kocham. Kochałam... - jęknęła jeszcze Zmoraczka. Kącik jej ust uniósł się na moment, po czym jej głowa opadła na piersi, a ręce zwisły bezwładnie po bokach. Krew ciekła po nagich udach i spływała na podłogę.

Maurycy patrzył na nią. Ręce trzęsły mu się jak w febrze. Poczłł czyjś dotyk na ramieniu.

- Odeszła - powiedziała staruszka nad jego uchem.

Zmorak otrząsnął się i wyciągnął dłoń. Dotknął policzka Anne, przesunął dłoń po jej twarzy.

EPILOG

Żółtawy płomień dwóch świec, osadzonych w srebrnym lichtarzu, oświetlał blat ciężkiego, drewnianego biurka. Samotny mężczyzna siedział pochylony przy blacie i przesuwał palcem po kolejnych liniach rozłożystej księgi o prostokątnych kartkach. Poprawił monokl w oku i poruszył się na krześle.

W pewnym momencie coś trzasnęło cicho. Mężczyzna nie poruszył się. Dwukrotnie skrzypnęły klepki podłogi. Te, co zawsze. Dokładnie te dwie klepki, na które musiał nadepnąć każdy, kto wchodzi do sklepu. Rumsztyk sam je tam zainstalował, zaraz po śmierci pana Ludwiga. Wiedział, że będą próbować. Złodzieje czy konkurencja, nieważne. Ktoś w końcu przyjdzie.

Ukradkiem odczepił niewielką kuszę przytwierdzoną pod blatem i wycelował pod biurkiem przed siebie, przez specjalnie wycięty w tym celu otwór. Celując na wprost, musiał trafić tego, kto podejdzie do biurka. Specjalnie

poprzestawiał lady z towarem, tworząc miniaturową twierdzę z labiryntem murów, zaprojektowaną tak, żeby uniemożliwić intruzowi choćby zbliżenie się do kasy, czy bardziej cennych towarów, bez wyjścia na strzał.

- Dobry wieczór, Rumsztyku - odezwał się ktoś zza szafy, zastawionej młynkami do kawy. - Schowaj, proszę, kuszę, przychodzę jako przyjaciel.

Szajlok poznał go od razu. Wyprostował się na krześle i położył kuszę na księdze, wciąż gotową do strzału.

- Czego chcesz? - warknął. - Już się rozliczyliśmy.

- Ależ, Rumsztyku - powiedział intruz. - Czy nie jesteśmy już przyjaciółmi?

- Miałem przez ciebie kłopoty.

- Ale ostatecznie nie wyszedłeś na tym tak źle, co? - zagadnął głos zza szafy. - Gdyby Mapa nie przeszła przez twoje ręce, pewnie nie odzyskałbyś całej firmy, co? Piekielna Palestra pomogła?

- Nie twój interes.

- Oczywiście, nie mój - powiedział. - Niemniej gratuluje ci skutecznego wejścia w buty starego Ludwiga Wincla. Zawsze go szanowałem i wiedziałem, że jeśli ktoś miałby go zastąpić, to tylko ty.

Rumsztyk rozluźnił się nieco. Ostatecznie co del Rey mógł mu zrobić? Szukała go Mafia. Tatusiek przeżył dziwny zamach. Kontakt Szajloka w Mafii nie wiedział, co się dokładnie stało. Plotki mówiły, że poszedł do hotelu z prostytutką, a ta próbowała go zabić nożem. Nieważne. Istotne, że Tatusiek przeżył i Mafia w najbliższym czasie nie

będzie się interesować rynkiem handlowym, pozwalając Rumsztykowi skutecznie okopać się na swoich nowo zdobytych pozycjach. Zajęli się zemstą.

- Szukają cię, Alfonso - powiedział w końcu. - Cała Mafia. Tatusiek jest przekonany, że to przez ciebie. Że to ty nasłałeś na niego tę dziwkę.

- I ty w to wierzysz?

- Nie ma znaczenia, w co ja wierzę.

- Ależ ma - odparł del Rey. - Mogę ci pomóc. Wiesz, ostatnio mam bardzo dobre kontakty wśród pewnych ludzi w służbie Cesarza takich, którzy nie istnieją.

- To znaczy?

- Powiedzmy, że dostałem zadanie. Ktoś mnie uratował, ja komuś dałem swoje informacje, ktoś mi dał swoją pomoc - zawiesił głos. Rumsztyk usłyszał trzy kroki. Alfonso wciąż pozostawał niewidoczny, choć Szajlok czuł, że stoi na wprost od wejścia. Dokładnie na linii strzału. - Wiem, że Wincel był Inżynierem. I wiem, jak tę wiedzę spożytkować.

Rumsztyk schował kuszę. Otworzył szafkę biurka. Szczęknęło szkło. Na stole pojawiły się dwie szerokie szklanki.

- Napijmy się - powiedział.

Sekretarz John van Poe uchylił rondo cylindra i przetaił twarz chusteczką.

- A co ze Zmorakiem? - zapytał.

Stał na śródleśnej łące. Za jego plecami wśród zarośli meandrowała spokojnie rzeka.

- Dajcie mu spokój na kilka miesięcy - odparł Radien Pardne. Siedział ze skrzyżowanymi nogami przy niewielkim ognisku. Za jego plecami stał Grabin.

- A kto się zajmie Równowagą? Nie możemy sobie na to pozwo...

- Do cholery jasnej, zabiliście mu ukochaną! - przerwała Jaruga, wyłaniając się z zarośli.

- Po co te nerwy? - zaczął van Poe. - Nikogo nie zabiliśmy. Nikt w Konsylium nie miał pojęcia o tym, co robi Wisnowska. Poza tym nie mamy nikogo innego, kto by się zajął Równowagą w Warszawie. Nie możemy jej tak zosta...

- Możecie - uciął Radien. - I zostawicie - dodał. - To rozkaz don Creole'a.

- Co to ma znaczyć?

- Zapytajcie sami przewodniczącego - powiedział Radien, nie zwracając uwagi na protesty Kruka. - Don Creole chciał z panem rozmawiać. Zdaje się, że ma to związek z pańskimi niepowodzeniami i karygodnymi zaniedbaniami w zakresie tuneli...

- Ja sam nic nie...

- Przejścia są już zamknięte - uciął ponownie Radien. - Maria Wisnowska została zamknięta w mieszkaniu na Nowogrodzkiej. Miasto zaplombowało drzwi i zainstalowało monitoring. Nie ma potrzeby przewożenia jej do Edenu.

Van Poe milczał.

- Tylko skąd ona miała pistolet? - zapytała Jaruga. - Prawdziwy pistolet?

- Wisnowska nic nie pamięta - odparł van Poe. - Badamy tę kwestię.

- Oczywiście, że nie pamięta - powiedział Radien. - Dziękuję panu za rozmowę.

Van Poe patrzył jeszcze przez moment w ognisko. Po chwili podskoczył, okręcił się i w miejscu, w którym przed chwilą stał, młócił skrzydłami powietrze ogromny kruk. Zakrakał, po czym wzbił się w powietrze i odleciał.

W gałęziach Roztocza zaśpiewał pierwszy drozd.

KONIEC

Warszawa-Kraków,
kwiecień-wrzesień 2017 r.

Piekielna palestra

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-824-3

© Adam Barcikowski i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Natalia Czerniak

KOREKTA: Zuzanna Hejniak

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.